

KATHLEEN ANN GOONAN

MUZYKA ŚWIATŁA

Light Music

Przełożyła
Małgorzata Koczańska



Książkę dedykuję moim rodzicom - Tomowi i Irmie Goonan

*- z okazji pięćdziesiątej piątej rocznicy małżeństwa,
a także moim cudownym siostram, Mary i Susie.*

Podziękowania

Powieść powstawała przez kilka lat, podczas których najważniejsza była miłość i wsparcie ze strony mojego męża, Josepha Mansy'ego. Jemu również zawdzięczam stronę www.goonan.com.

Moja kuzynka, Amy Roberts, poetka i pisarka, poświęciła czas na lekturę i krytykę rękopisu, a jej uwagi były bezcenne. Wraz z Dorothy Strickland pomogła mi także stworzyć postać Su-Chen.

Sage Walker, Steve Brown i Michaela Roessner również czytali wstępną wersję i ich komentarze okazały się niezmiernie pomocne przy tworzeniu ostatecznego kształtu literackiego utworu.

Jennifer Brehl i Diana Gill wskazały mi fragmenty niepotrzebne i zadbały, by język stał się klarowny i giętki.

Zaangażowanie i energia Devi Pillai sprawiały, że wszystko szło zgodnie z planem.

Argentyńska Hilda Stotts przygotowała większość materiałów związanych z rozdziałami o jej kraju. Wdzięczna jestem za czas, jaki poświęciła temu zadaniu.

Ostatnie poprawki do powieści przygotowałam w dwa tygodnie, spędzając każdy dzień i wiele nocy w poczekalni na oddziale intensywnej opieki medycznej w George Washington University Hospital. Pragnę podziękować wszystkim przyjaciołom, pielęgniarcom oraz chirurgom, którzy troszczyli się o Irmę - szczególnie dr Sneff i dr Junker.

Ideę organicznego modelu, swoistego planetarium, wymyślili Liz Hand i John Clute - podczas pisania powieści online, w którym wspólnie braliśmy udział.

Ogromnie dużo zawdzięczam książce E.O. Wilsona pt. *Consilience*. Opierałam się również na publikacjach *The Elegant Universe* Briana Greene'a, *The Physics of Consciousness* Evana Walkera, *The End of Time* Juliana Barboura (z książki tej zaczerpnęłam pojęcie „Teraźniejszości” oraz opis modelu z Romeem i Julią jako przykładem współzależnych kochanków), a także *Non-local Universe* autorstwa Roberta Nadeau i Menasa Kafotosa. To tylko niektóre z niemal setki książek, które wpłynęły na treść i ostateczny kształt mojej powieści *Muzyka światła*.

2175

ODRZUCONA TERAŹNIEJSZOŚĆ

Matthew

Wielebna Danya przybyła do naszego miasta pięć lat przed moim urodzeniem.

Na imię mam Matthew. Mieszkam na południowo-wschodnim krańcu Wolnego Stanu Kolorado, niedaleko granicy Republiki Teksasu, dokąd nikt nie podróżuje. Danya przybyła właśnie stamtąd.

Nie lubi, gdy ludzie mówią do niej Wielebna, więc tak się do niej nie zwracam. Mówię po prostu Danya. Niektórzy ze starych farmerów nazywają ją jednak Wielebną, a moja babcia zawsze się wścieka, gdy słyszy, jak pomijam tytuł i mówię do Danyi - Danya.

Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w mieście, wygłosiła kazanie o czymś, co nazywała „widzeniem”. O czymś, co się robi przy świetle. Można pomyśleć, że to oczywiste - wiem, co znaczy wyraz „oczywisty” - ale to naprawdę ostatnia rzecz, jaka jest oczywista. Na zebraniach było nie tylko kazanie. Odbywała się też komunia, podczas której należało wypić specjalne wino, przygotowane przez Danyę. Muszę wyjaśnić tutaj, że w winie znajdowało się coś, co zmieniało część posiadanych genów - cokolwiek to znaczy - na inny typ, który zapewnia nowy rodzaj widzenia. Ten dodatek powstał dzięki inżynierii genetycznej. Dowiedziałem się tego z ulotek, jakie Danya trzymała w starym magazynie. Budynek służył jako kościół. Było tam sporo materiałów informacyjnych o DNA, ale niewiele z tego rozumiałem. Danya mówiła, że jestem jeszcze za mały.

Pewnego dnia jednak spróbowałem komuniijnego wina. Po prostu podbiegłem do ołtarza, napiłem się troszkę, a potem, ku zdumieniu rodziców, wróciłem do ławki. Wino miało przyjemny, słodki smak. Byłem wtedy trochę młodszy. Teraz mam już dziesięć lat.

Wydaje mi się, że rodzice przyszli wtedy do kościoła ze względu na babcię, a może chcieli być mili dla Danyi, albo coś w tym stylu. Nie sądzę, żeby wierzyli w to, co mówiła. Ja wierzyłem.

U Wielebnej Danyi było tak jak w starych kościołach, gdzie czczono Jezusa - wszystko trzeba było przyjąć na wiarę. Nic się nie stało, kiedy wypilem trochę wina. I nic się nie stało potem, w ogóle nic się nie stało.

Może dlatego tak niewielu mieszkańców miasteczka przyjmowało komunię.

Pamiętam Dzień Niepodległości, kiedy miałem siedem lat. Czwarty lipca wypadł w niedzielę i w kościele stłoczyło się całe miasto. Wszyscy przyjmowali komunię, pewnie po to, by poczuć się weselej. Tylko babcia miała łzy w oczach, dla niej nie było w tym nic wesołego. Mówiła, że pewnego dnia świat, jaki znamy i jaki możemy poznać, zmieni się dzięki Wielebnej Danyi oraz ludziom z Miasta Półksiężycy. Ci ludzie odeszli daleko, ale Danya została w naszym mieście.

W końcu jednak to, co dodawała do wina, skończyło się, a ona stwierdziła, że jest zbyt zmęczona, by zrobić więcej. Może sama przestała wierzyć w moc komunii.

Teraz Danya mieszka tuż obok, w małym, białym domu przy Trzeciej Ulicy. To dlatego spędzam z nią dużo czasu.

Mama mówi mi, żebym był greczny, bo Wielebna jest dobrym człowiekiem. Choć może trochę przygnębionym, ponieważ świat od dawna się nie zmienił. Bez względu na to, co twierdzi babcia, dla której świat zmienia się i zmienia, nieustannie, od czasów, gdy była młodą dziewczyną.

W miasteczku mamy ptasie zoo, można nawet powiedzieć: ptaszarnię. Trzymamy w niej wszystkie rzadkie ptaki: małe brązowe wróble, rudziki z czerwonymi brzuskami, czarniawe wilgowrony i całkowicie czarne wrony.

Mieszkam zaledwie o przecznicę od ptaszarni i latem, z samego rana, lubię leżeć w łóżku i słuchać śpiewu ptaków. Babcia mówi, że mamy szczęście, bo mieszkamy tak blisko. Mówi też, że kiedy kładzie się spać i zamyka oczy, przypominają jej się czasy, gdy ptaki były wszędzie, na każdym drzewie. Ale coś się stało, zanim się urodziłem - nadeszła Cisza i sprawiła, że ptaki zapomniały, dokąd mają wędrować. I wtedy miliony ich umarły. Prawie zniknęły z powierzchni Ziemi. Jak wiele innych rzeczy...

Za to przez długi czas było coś, co nazywało się nano. Nano zmieniało rzeczy w inne rzeczy. Ale tacy ludzie jak moi dziadkowie woleli trzymać się od tego z daleka. Wrócili do naszego małego miasteczka w górach, gdzie czuli się bezpieczni. Sądzę, że pewnego dnia poszukam nano i dowiem się, co to jest. Babcia opowiada mi wiele o rzeczach z dawnych

czasów, kiedy była telewizja, radio i dużo więcej ludzi. Babcia jest naprawdę bardzo, bardzo stara. Myślę, że ma ze sto pięćdziesiąt lat. Tata twierdzi, że jej opowieści są prawdziwe, nawet jeżeli wydają się strasznie dziwne.

Danya mówi, że kiedyś znowu będzie jak dawniej, a nawet dużo lepiej. A ptaki znów będą mogły latać i wędrować po świecie.

Chodzę do szkoły, która mieści się w starym budynku z cegieł, o kilka przecznic od domu. Mama pracuje jako nauczycielka, ale w innej klasie. Uczę się w drugiej grupie i jestem jednym z najlepszych uczniów, w przyszłym roku będę najmłodszy w trzeciej klasie. To dlatego tyle wiem o ptakach, mama mnie nauczyła.

Danya przychodzi do naszej grupy raz w tygodniu i uczy nas piosenek. Nawet chodzi do domów, gdzie mieszkają młodsze dzieci, i też je uczy śpiewać. Twierdzi, że piosenki porządkują i doskonale rozwijają umysł, że to taka specjalna metoda. Danya ma bzika na punkcie muzyki. Tata nawet mówi, że Danya jest kompletną wariatką, ale mama zawsze wtedy się krzywi i marszczy brwi, i tata od razu wie, że lepiej być cicho.

Pewnego dnia, gdy byłem jeszcze w pierwszej klasie, Wielebna przyszła na lekcję, ale nie uczyła nas muzyki. Narysowała jakieś poplątane obrazki, same kąty i linie, a potem mówiła o superstrunach i czymś, co nazywała „wymialem”. Obrazki miały nam pomóc w zrozumieniu, że nawet jeden punkt można podzielić... No, cóż, nie umiem wyjaśnić, bo tak naprawdę tego nie rozumiem. Ale Danya widzi rzeczy, jakich inni nie widzą, wiadomo. Tłumaczyła nam, dzieciom, że na świecie istnieje więcej kolorów i dźwięków, niż możemy zobaczyć i usłyszeć. I że pewnego dnia będziemy mieli nowy zmysł, jak ona, a wtedy poznamy wszystko, o czym opowiada. Po tej lekcji rodzice uczniów się wściekli, przyszli do szkoły i powiedzieli Wielebnej, że nie powinna nas uczyć takich rzeczy. Moja mama i tata nie poszli na spotkanie, ale inni tak. Następnego dnia Danya zaczęła się pakować i zbierać do wyjazdu. Zrobiło się zamieszanie, ale w końcu pozwolili jej zostać. Na początku nie chciała, ale zapewnili ją, że wszystko jest w porządku, że ma prawo mówić i uczyć, czego chce. I Danya została. Teraz opowiada, że nadchodzą nowe czasy, w których będziemy wiedzieć coraz więcej, odzyskamy łączność ze światem i będziemy się komunikować z innymi, nawet tymi, którzy żyją w niebie, niewyobrazalnie daleko, dalej od słońca - wśród gwiazd. Ludzie za plecami śmieją się z Danyi. Ale nie ja. Kocham Danyę.

Danya jest ładna. Ma szarozłote oczy, bardzo smutne, szczególnie gdy wspomina Miasto Półksiężycyca. Jej włosy są długie, jasnobrązowe, związane w kucyk. Mama twierdzi, że Wielebna jest jedną z osób, które się nie starzeją. I dodaje, że w Mieście Półksiężycyca Danya musiała mieszkać dawno, dawno temu, jeszcze zanim mama przyszła na świat - i pewnie jest

bardzo stara. Ale stara jest babcia, bo wygląda staro, ma siwe włosy i trudno jej chodzić. A Danya jest inna.

Miasto Półksiężycyca znajduje się gdzieś na oceanie. Brat taty się tam wybierał, aż w końcu opuścił rodzinę i wyjechał. Myślę, że gdyby Danya pamiętała mojego wuja, tata bardziej by ją lubił.

W mieście mieszkało wielu ludzi. Prawie milion. Danya wyjechała stamtąd z powodu wojny. Powtarza, że kiedyś wróci i odleci z nimi w kosmos.

Właśnie wtedy tata śmieje się najgłośniejszym, a mama mocno marszczy brwi. Myślę, że Danya gubi się w Teraźniejszościach i przy innych okazjach wydaje się jej, że ludzie odlecieli w kosmos dawno temu, a ona została na Ziemi jako nauczycielka i kapłanka. Babcia twierdzi, że tak naprawdę Wielebna nie poleciała z miłości, ale tata zaprzecza i mówi, że babcia jest starą romantyczką i że nikt nigdy nie poleciał w kosmos.

Według Danyi powodem, dla którego tak się nie stało, jest średnia. Kiedy rysowała obrazki na lekcji, opowiadała o zasadzie nieoznaczoności Heisenberga. Że można tylko określić średnią. Że na poziomie świadomości wszystko uśredniamy. Lecz są inne rodzaje świadomości. Inne poziomy. Nie jestem pewien, co to jest świadomość, ale Wielebna zapewniała, że niedługo się dowiem. Zwłaszcza że piłem wino komunii z tym genetycznym dodatkiem, zanim się skończył.

Danya jest bardzo silna i dużo czasu spędza samotnie, chodząc po górach. Myślę, że kiedy od czasu do czasu wybiera się tylko z plecakiem na taką tygodniową wycieczkę i kieruje się na James Mountain, to szuka Teraźniejszości i przedmiotów wytwarzających światło. Wydaje mi się, że są w nich Teraźniejszości i kiedy Danya ich dotyka, Teraźniejszość wycieka z nich i przechodzi do Wielebnej. I smaży jej mózg, jak twierdzi tata. Może... Kiedyś spytałem ją, co robi w górach.

- Szukam dobrego miejsca do skoku - odpowiedziała.

Danya nazywa te świecące rzeczy świetlikami. Świetliki pojawiły się w Republice Teksasńskiej. Wszystko, co dziwne, pochodzi właśnie stamtąd. Wiadomo, że jeśli się wyruszy do Teksasu, wszystko się może zdarzyć. To dlatego trzymamy się Kolorado. Jednak świetliki są bardzo mądre i kiedy Danya ich dotyka, mówią jej o wielu sprawach. Chociaż tak naprawdę nie mówią, tylko przekazują obrazy i dźwięki. I nauczyły Wielebną, że czas składa się z Teraźniejszości.

Teraźniejszości są jak punkty na rysowanym przez Danyę wykresie. Mają coś wspólnego z superstrunami, które drgają, wibrują naprawdę szybko, i są strasznie małe. Jak paciorki wypełniające przestrzeń, składające się w tryliony kombinacji. Trudno to sobie

wyobrazić, ale mama twierdzi, że to prawda i że większość tego, co mówi Wielebna, jest prawdziwe, choć ludziom ciężko to zrozumieć. Wszystko, co widzimy, słyszymy i czujemy związane jest z superstrunami. Są jak muzyka, zapomniana melodia, którą można zaśpiewać, wznosząc i obniżając płynnie głos. To sprawia, że wszystko jest piękne jak zarys gór na horyzoncie, barwy kwiatów, ptasie trele.

Pewnego dnia w lecie poszedłem do domu Danyi. Wielebna piła gin z wielkiej, przezroczystej butelki. Wtedy opowiedziała mi o miastach z kwiatami na dachach, nad którymi latały maszyny przypominające wielkie pszczoły. Pszczoły te pomagały ludziom w komunikacji. Danya miała zdjęcie takiego miasta, ale było stare i wyblakłe, a to, co nazywała pszczołami, wyglądało jak zwykłe czarne kropki na tle nieba. Jak muchy. Gdy jej to powiedziałem, roześmiała się i przyznała mi rację. Opowiedziała mi jeszcze, że na świecie są różne rodzaje miast, miasta świateł i miasta z wielkimi antenami, a potem wyznała, że chciała nawet pracować w jednym, ale była wtedy zbyt zmęczona i czasami ma wrażenie, że to tylko złudzenia. Całkiem możliwe - stwierdziła Danya - że jest tylko głupią wielebną, i przeprasza za wszystko. Kazała mi zapamiętać, że żałuje tego, co zrobiła, ponieważ odbije się to również na moich dzieciach, w końcu już trudno było ją zrozumieć. Wtedy powiedziała, żebym lepiej wracał do domu.

Odszedłem, a później, wieczorem, wróciłem. Chciałem wejść, ale przez otwarte okno zauważyłem, że Danya siedzi na krześle w salonie i płacze, więc uznałem, że lepiej nie przeszkadzać. Obok Wielebnej stało małe, stare radio, z głośnika dochodziło tylko syczenie, w letnie noce słyszałem, jak Danya włącza radio, ponieważ okna mojej sypialni znajdują się blisko jej domu. Jednak jedynym dźwiękiem, jaki zawsze do mnie dochodził, był ten syk. My też mieliśmy radio, a na szczycie Golden Peak znajduje się wieża nadawcza. Audycje są stale nadawane i gdzieś tak raz na dwa miesiące udaje się złapać sygnał. Ale wtedy z radia słychać stale to samo: piosenki, jakieś stare newsy, na które tata mówi „reklamy” i twierdzi, że można się bez nich obejść, a potem znowu piosenki.

Lubię piosenki, o ile sam śpiewam. Danya mówi, że niektóre melodie stworzyła dziewczynka z Księżyca. Wielebna czasem opowiada bardzo dziwne rzeczy.

Kiedy dorosnę, chcę widzieć to, co ona. Wierzę, że ma rację; że dowiem się tego, co wie Danya, i że Danya będzie wtedy szczęśliwa. Powiedziałem, że gdy będę duży, to się z nią ożenię. Roześmiała się tylko, zmierzwiła mi włosy i stwierdziła, że wtedy będzie dla mnie za stara na żonę.

Chcę się jednak z nią ożenić, bo czasami wydaje się taka samotna. Opowiedziała mi o różnych zdarzeniach, o których dowiedziała się dawno temu. Stwierdziła, że historie są jak

wymiary zwinięte w superstrunach, a ludzie są jedynymi istotami potrafiącymi snuć opowieści i mającymi wyjątkową wrażliwość - wydaje mi się, że wrażliwość to coś podobnego do świadomości - i dlatego mogą doznać oświecenia. I dlatego niektórzy odeszli. Opowiadała o dziewczynie, która gra muzykę światła, i o kobiecie z Ameryki Południowej, którą nazwała Bajarką, a także o ludziach, którzy czekają w niebiosach. Na końcu zawsze wspominała kogoś, kto nazywa się Radiokowbojem.

W takich chwilach Danya wydaje się najsmutniejsza.

Przyznałem się, że chciałbym spisać jej historię do pracy domowej. Wtedy spojrzała w dal i odpowiedziała, że te opowieści nosi w sercu i kiedyś może je poznam. Może.

Pewnego dnia poszedłem za nią w kierunku James Mountain. To było latem. Wiatr i liście robiły dużo hałasu, więc Danya mnie nie słyszała. A może słyszała, ale pozwoliła, abym ją śledził i abym zobaczył.

Strasznie trudno było iść za nią, ponieważ skręciła z głównego szlaku, który znałem z rodzinnych wycieczek z mamą, tatą i siostrami. Wreszcie, gdy już byłem naprawdę mocno zmęczony, Danya weszła na małą łąkę porośniętą złotą trawą i otoczoną sosnami. Na polanie, wśród polnych kwiatów, stała biała kula, prawie tak wysoka jak Wielebna. Wiem, co to jest kula, wiem też, co to stożek i prostopadłościan. Danya nacisnęła coś, a potem odwróciła głowę i uderzyła w kulę pięścią. Zdaje się, że płakała. Uciekłem.

Ale wróciłem miesiąc temu i kula nadal tam była, a wokół niej płonęły światła, zbyt wysoko, bym dosięgnął. Nikomu o tym nie powiedziałem.

Nadal chcę poślubić Danyę, gdy dorosnę.

Z TEJ STRONY¹

Ewolucja mózgu (...) pozwoliła nam stworzyć symboliczny wszechświat, który wydaje się bardziej prawdziwy i bardziej rozległy niż wszechświat realny.

Nodeau i Kafatos. *The Non-Local Universe*

¹ Tytuły części powieści pochodzą z książki Julio Cortáзара *Gra w klasy* (przyp. tłum.).

LUTY 2115

Fala informacji spakowana w promień światła pomknęła przez przestrzeń i dotarła do Księżyca i Ziemi.

Za nią w precyzyjnych interwałach popłynęły kolejne fale, jedna za drugą - na Ziemi miały zostać odkodowane w ciągu kilku miesięcy.

8 LIPCA 2115

Radiokowboj i Nowa Granica

Atak piratów na Miasto Półksiężycyca był szybki i brutalny. I zdarzył się akurat wtedy, gdy Peabody odwiedzał słońca.

Peabody żył w nocy, a przesypiał większość tropikalnych dni - słonecznych i upalnych. Niewielka wieża, w której mieszkał samotnie, wznosiła się nad pływającym miastem, nastroszona antenami. Wnętrze wypełnione było urządzeniami radiowymi: nadajnikami, odbiornikami, tunerami i wzmacniaczami, całym tym ustrojstwem, które zbudował lub wyhodował, a także starszymi maszynami, zabranymi z kontynentu; wszystko zabezpieczone bakteriami zjadającymi rdzę, by w wilgotnym morskim klimacie przedłużyć ich funkcjonowanie o lata.

Peabody przebywał w Mieście Półksiężycyca dość długo. Samotnik, niezbyt przyjazny, ale znający doskonale funkcjonowanie miasta, zyskał sobie przewisko, jakim większość się do niego zwracała - Inżynier.

To mu odpowiadało.

Tego dnia, gdy po przebudzeniu jak zwykle jadł pałeczkami porcję brązowego ryżu i pił jaśminową herbatę, usłyszał narastający sygnał alarmu. Nadeszła burza, jadeitowe fale porysowały pioruny. Jeden uderzył bardzo blisko i pociemniał na tle nieba. Do wieży wtargnął zimny podmuch. Błyskawica strzeliła w morze, zabrzmiał basowy grzmot. Deszcz rozpadał się srebrzystymi kolumnami, spływającymi po obrzeżach miasta. Okno ze stalowej

siatki, które Peabody zawsze pozostawiał otwarte, automatycznie zacisnęło oka, gdy uderzyły w nie pierwsze krople deszczu - założył to zabezpieczenie ze względu na elektroniczne urządzenia wewnątrz, które nie mogły moknąć.

Linia białych boi, pięćset stóp poniżej, wyglądała z góry jak zastygła piana fali rozbijającej się o trawiasty brzeg. Palmy kokosowe pochyliły się pod naporem wiatru. Przez aquafarmę pełną ryb i mięczaków, w lagunie otoczonej pasmami ziemi, przebiegły wstrząsy. Peabody przyglądał się, jak mały statek zwija biały żagiel.

Miasto Półksiężycyca unosiło się na Morzu Karaibskim, rozrastając się na łukach sztucznego lądu, rozciągając jak namiot wzdłuż lin zbiegających się na wierzchołku, który Inżynier widział przez okno.

Po drugiej stronie wieży nad miastem rozpinał się ogromny klosz, tak daleko, że wzrok nie sięgał krawędzi. Kopuła była domem około miliona ludzi i ponad półmilionowej populacji zmodyfikowanych zwierząt. Teraz widok błyskawicznie rozmył się w potopie burzowej ulewy.

Peabody wiedział, że w sercu sztucznej wyspy kryje się impuls, potencjał zdolny przemienić ją w osiedle kosmiczne - od początku sztuczny ląd projektowano z tą myślą. Miasto Półksiężycyca powstało jako środowisko przyjazne dla nauki, gdzie ludzkość osiągnąć miała szczyty rozwoju, gdzie wynaleziona zostanie technologia, która pchnie ludzi w przestrzeń kosmiczną i pozwoli tam egzystować. Wizja ludzkości w kosmosie przyświecała założycielce miasta. Brakowało jednak kilku istotnych powodów, by marzenie dojrzało i stało się rzeczywistością - przede wszystkim brakowało celu, a teraz również żywotnego powodu do opuszczenia Ziemi. Miasto rozwijało się przez około siedemdziesiąt pięć lat, a Peabody mieszkał w nim przez ostatnie czterdzieści jako anonimowy Inżynier.

Urodził się niemal dokładnie u schyłku epoki łączności radiowej. Ówczesne osiągnięcia w fizyce, genetyce, biologii i chemii zaowocowały cudami nauki, obiecującymi przemianę ludzkości w nowy gatunek - gatunek, który zdobędzie gwiazdy. Stale obecne radio, telewizja, telefony i Internet były dla ludzi niczym nowe zmysły i tworzyły nowy styl myślenia, rozprzestrzeniający się na całym świecie.

Kiedy Peabody się urodził, ten styl myślenia właśnie zaczynał walić się w gruzy. Zniknął zupełnie w okresie, gdy Inżynier wszedł w wiek dojrzewania. Komunikacja radiowa stała się wtedy sporadyczna i zawodna.

Wówczas właśnie rozpoczęto tworzenie Miasta Półksiężycyca, częściowo po to, by ocalić wiedzę, ale również po to, by rozwijać naukę i prowadzić badania. Jednak to nie miasto, do którego przybywali uciekinierzy z cofniętego w rozwoju cywilizacyjnym świata,

dało początek przemianom. Sprawił to tajemniczy Sygnał z kosmosu, który napływał na Ziemię od prawie stu lat, tworząc radiową próżnię, nazywaną przez mieszkańców sztucznej wyspy *El Silencio* Mimo to życie bujnie kwitło w rozległych tropikalnych ogrodach, na osłoniętych plażach i w zatokach - wszędzie wdrożono osiągnięcia nanotechnologii, by zapewnić mieszkańcom Miasta Półksiężycy zdrowie i warunki do rozwoju wiedzy. Nie istniała tu prywatna własność, nie było więc powodów do kradzieży. Każdy obywatel mógł, wedle życzenia, wyhodować sobie ubrania dowolnego kroju, meble w wymarzonym stylu czy jakiegokolwiek przedmioty codziennego użytku. Jeżeli się znudziły, można je było oddać innym lub zwrócić do banku materii. Co prawda prywatne terytorium mieszkańca miasta było małe, ale życie w sporej części toczyło się na terenach publicznych.

Gdy populacja rosła, miasto rosło wraz z nią - dzięki elektrostatycznym sieciom, katalizującym minerały z wody morskiej, powstawały nowe budynki i pawilony.

Tworzenie sztucznego lądu było procesem powolnym. Podczas kilku minionych dziesięcioleci z tego powodu konieczne stało się wprowadzenie listy oczekujących, którzy chcieli zamieszkać w pływającym mieście. Kilka ugrupowań próbowało stworzyć sztuczne wyspy w innych miejscach, ale Miasto Półksiężycy powstało podczas pierwszej fazy *El Silencio*, kiedy dostępna była jeszcze cała spuścizna wiedzy, technologii i zasobów dawnej cywilizacji. Teraz takie przedsięwzięcie byłoby znacznie trudniejsze. Peabody nie wiedział, czy budowa innych miast na wodzie zakończyła się sukcesem, chociaż żywił żarliwą nadzieję, że tak się stało.

Jego wieżę, która nawet po zachodzie, gdy słońce nikło za horyzontem, iskrzyła życiem, odwiedzały czasem dzieci chcące ujrzeć cuda radiotechniki. Peabody wyłapywał krótkie transmisje i przez dekady zbierał informacje. Stacje na całym świecie nadal nadawały, ale *El Silencio* zakłócało fale radiowe. Od czasu do czasu impuls energii rozchodził się w przestrzeni, tworząc niepowtarzalny według dotychczasowych badań wzór.

Peabody wychodził niemal każdej nocy, spacerował od czwartej do piątej nad ranem, czasem dłużej, jeśli miał ochotę, ale ostatnio zauważył, że szuka okazji do pogawędki lub możliwości wspólnego słuchania albo grania do świtu syntetycznej, wielokulturowej muzyki, jakiej kolebką było Miasto Półksiężycy.

Nie mógłby powiedzieć, że miasto upada.

Ludzie jednak zawodzili - umierała idea miasta. Niekiedy sądził, że jest jedyną osobą, która zastanawia się, dlaczego radio przestało działać prawidłowo.

Umysł Peabody'ego przechowywał mapę gwiazd, uformowaną podczas bolesnych etapów rozwoju, gdy corpus callosum, spoidło wielkie w jego mózgu, rozrastało się bardziej

niż u większości ludzi. Owa niezwykła mapa pojawiła się w umysłach wielu dzieci poczętych tego samego dnia, co Inżynier.

Przez większość życia próbował zapomnieć o jej istnieniu. Proces jej przyswajania, równie niewykrywalny i niepożądany jak nowotwór, nie należał do przyjemnych.

Peabody'ego i jemu podobnych ścigano i poddawano badaniom na polecenie rządu, który łączył ich pojawienie się z Ciszą. Nieustanna konieczność ukrywania się przed poszukiwaniami zatręła dzieciństwo Inżyniera.

W rzeczy samej, istniało powiązanie. Ataki podczas dojrzewania, objawiające się silnymi i trudnymi do wytrzymania bólami głowy, miały ten sam wzorec i częstotliwość co impulsy. Zdumiewające, że teraz tak wiele dzieci w mieście, gdy osiągnęło pełnoletność, wybierało tę właśnie modyfikację mózgu, jakby stanowiła jakiś rytuał przejścia do dorosłości.

Wszystkie te informacje wraz z mapą gwiazdną wchodziły w skład Współdziałania, podobnie jak inne dane nawigacyjne odkryte przez NASA. Te ostatnie Peabody ukradł z Centrum Lotów Kosmicznych w Houston, w czasach, gdy był jeszcze młody.

Każda osoba w Mieście Półksiężycy miała dostęp do Współdziałania, informacyjnej warstwy miasta, w której zgromadzono i przechowywano wszystkie dane fizyczne oraz matematyczne - trudno uwierzyć, w jak szerokim zakresie. Dostęp do Współdziałania można było uzyskać z wielu różnych interfejsów.

Słońce na chwilę wychynęło zza burzowych chmur, na błękitnych falach zatańczyły pomarańczowe języki światła. Okna uchyliły się i chłodna bryza przepłynęła przez niewielką przestrzeń mieszkalną, gdzie znajdowała się kanapa, krzesło, wnęka z materacem i kuchnia, oddzielona od reszty pomieszczenia barkiem z piwem.

Peabody zaparzył więcej herbaty, przyglądając się kajakarzom, którzy przyszli na wieczorne pływanie.

Był, co tu kryć, przygnębiony. Wydawało się, że żadna z tych wspaniale poskładanych informacji tworzących Współdziałanie nie zostanie nigdy użyta inaczej niż w celu zwiększenia osobistego komfortu mieszkańców wyspy. Nanotechnologia stała się sposobem na zadowolenie ludzi, którzy przestali marzyć. Tak uważał. I bardzo się bał, że ma rację.

Dawniej ludzie przyplływali do miasta, uciekając przed Plagą Noworleańską - niedbała wymowa utrwaliła ściągnięcie w nazwie. Społeczność naukowców stawała się coraz liczniejsza i rozwijała się szybko.

Lecz młodzi badacze nie zajmowali miejsc po starszych. Jakiś czynnik sprawił, że dzieci bardziej niż naukami ścisłymi zaczęły się interesować dziedzinami biologii - prowadzeniem farm morskich, uprawą owoców i warzyw w zamkniętej przestrzeni, jaką stała

się sztuczna wyspa. Skierowały myśli do wewnątrz zamiast zajmować się odszyfrowaniem zagadek materii i metodami jej kształtowania wedle ludzkiej woli. Może dlatego, że świat się zmienił i tak bardzo zmałał.

Może nie wystarczyło wolnej przestrzeni dla filozofów nauki, takich, dla których światło i jego tajemnice stałyby się najważniejszym życiowym wyzwaniem, w mieście nie dokonała się od lat żadna rewolucja naukowa, choć co rusz pojawiały się wieści o przełomach, jakie miały miejsce na stałym lądzie. Ostatnio nieco ekscytacji wzbudziło zakończenie projektu akceleratora cząstek i rozpoczęcie fazy doświadczeń. Urządzenie otoczyło miasto niczym pierścień olbrzyma, unoszący się sto stóp nad poziomem morza. Chociaż sztuczna wyspa przetrwała kilka huraganów piątego stopnia, burze początkowo uniemożliwiały uruchomienie akceleratora. Ta konstrukcja, w całości wdrożona dzięki Współdziałaniu, musiała zostać zmodernizowana. Peabody niecierpliwie czekał na rezultaty napraw - doświadczenia z akceleratorem mogłyby ukazać nowe perspektywy w badaniach nad zrozumieniem tajemnic światła.

Inżynier postrzegał wszystko jako kadencje światła. Dłoń trzymająca filiżankę z herbatą była zestalonym światłem, niezwiązanym z określonym miejscem w przestrzeni. Pustkę tej małej wyspy, Ziemi, wypełniały wibrujące atomy, formujące się w skupiska, tak samo jak w całym wszechświecie, choć może miejscami wiązki atomów stawały się gęściejsze. Jedynym, co czyniło to miejsce wyjątkowym, była świadomość człowieka, jego własny blask.

Dla Peabody'ego to właśnie stanowiło największą zagadkę.

To oraz pragnienie zrozumienia, co się stało z falami radiowymi.

Wiedział, że byli inni, którzy, jak on, próbowali wspólnie ustalić protokoły i stworzyć nową sieć łączności. Ale każde połączenie urywało się nazbyt szybko i nie można było na nim polegać.

Wielu, również Peabody, wierzyło, że niszczycielska moc *El Silencio* jest rezultatem świadomych i zamierzonych manipulacji ziemską atmosferą, dokonanych przez nieznaną, odległą siłę. Zdawało się to tym bardziej prawdopodobne, że sekwencja impulsów, Sygnał, od samego początku sprawiała wrażenie uporządkowanej.

Przypuszczalnie u źródła Sygnału leżała wiedza o naturze światła przewyższająca to, co odkryli ludzie. Peabody poświęcił życie niwelowaniu tej różnicy, szczególnie w dziedzinie matematyki. Jego najlepszy przyjaciel, radioastronom Zeb Aberly, podzielał jego pasję i zainteresowanie zagadką Sygnału. Ale Zeb opuścił Miasto Półksiężycy wiele lat temu.

Poświęcenie życia jednej pasji nabrałoby sensu tylko wtedy, gdyby nawiązano kontakt

z nadawcami Sygnału. Być może odpowiedź - rozwiązanie - dla Inżyniera i jemu podobnych została przygotowana, lecz nie wysłana, a może wysłano ją, lecz nie dotarła do celu.

Kiedy Peabody spoglądał na Miasto Półksiężycy, nie potrafił odgonić mrocznego przeświadczenia, że te bajeczne światła, pojawiające się wśród tropikalnej nocy, nagle znikną, jakby nigdy nie płonęły.

Możliwe, że jego życie, pełne bólu i strat, było tylko wynikiem pytania uformowanego ze światła i że gdzieś w oddali oczekiwano odpowiedzi - odpowiedzi, jaką Inżynier starał się sformułować, poświęcając się badaniom, nauce i rozwiązywaniu zagadek.

A może była to tylko wielka improwizacja - gdzieś tam daleko, w międzygwiazdnej otchłani, solista opuścił scenę i melodia uległa zmianie, a Ziemia na zawsze została okaleczona.

Albo ludzki mózg, ewoluujący pod wpływem warunków ziemskiego środowiska, okazał się jednak niezdolny do zrozumienia wszechświata, choćby nie wiadomo jak desperacko się starał. Niemożliwe było przecież, aby jeden umysł objął całą wiedzę, jaką rozwinęła ludzkość przez wieki nauki. Peabody miał jednak nadzieję, że Współdziałanie, nieludzka przecież forma gromadząca informacje i pozbawiona ludzkich ograniczeń, użyje tych danych do wyznaczania nowych horyzontów i ścieżek rozwoju i znalezienia odpowiedzi na najbardziej dręczące pytanie obecnej epoki: jaka jest przyczyna Ciszy i jak można to powstrzymać?

Albo wykorzystać.

Tak czy inaczej, miasto było świadkiem dyskusji na ten temat, lecz rozważania nie przynosiły rezultatów, służyły raczej utrzymaniu *status quo*, jakby ludzie byli tylko dobroczynnymi bakteriami towarzyszącymi w egzystencji organizmowi sztucznej wyspy.

Coś trzymało Peabody'ego w mieście, choć nie umiał powiedzieć, co to takiego, może poza tym, że miasto pragnęło jego obecności. Taka myśl była niezwykła, szczególnie że był realistą i praktykiem. Nie wydawało mu się jednak wcale dziwne, że system tak wielki jak Miasto Półksiężycy mógłby mieć własną wolę. Być może system był nawet na tyle mądry, żeby obawiać się własnego przeznaczenia - rozwinięcia się do lotu w kosmos. A może nawet przygotowywał się do opuszczenia ludzi, pozostawienia ich, tak jak młode kocięta są porzucane przez matkę, gdy przestają karmić się jej mlekiem?

A jeżeli system miasta miał świadomość, to był również na tyle inteligentny, by samodzielnie zrealizować wszelkie plany.

Czarny kot na kanapie przeciągnął się i ziewnął. Peabody odgarnął od niego zbłąkany obraz, sekwencję metaferomonów, która objawiła się jako kilka splątanych linii i kolorowych

plam i teraz podążyła za ruchem dłoni mężczyzny.

Był to jeden z wielu defektów Peabody'ego. Dla większości wyspiarzy pracę i życiowe wyzwanie stanowiły próby komunikowania się ze zwierzętami za pomocą różnorodnych metod, ale Inżynier, choć go to interesowało, nie potrafił zrozumieć zwierzęcych myśli. Obrazy nie tańczyły po jego skórze, ponieważ jego własny symboliczny język pozostawał zamknięty w umyśle. Inżynier nie umiał go przetłumaczyć tak, by stał się zrozumiały dla świata.

Przez lata jedynymi towarzyszami Peabody'ego były koty. Wędrowały po wieży, wylegiwały się w promieniach słońca na lśniących kafelkach posadzki, jakby zawarły umowę, że będą dotrzymywać Inżynierowi towarzystwa na dystans. Zawsze miał tylko jednego kota - gdy ten umierał, przygarniał kolejnego.

Pomimo defektu zaprzyjaźnił się ze słoniem, który mieszkał w nowym pawilonie, około dwóch mil na zachód od wieży. Chodził go odwiedzać w każdej wolnej chwili. Przecinał miasto, niemal obce, klucząc po ścieżkach biegnących wśród gąszczy tropikalnych roślin, orchidei i krzewów. Mijał bawiące się dzieci, które nie obawiały się ani nieznanym ludzi, ani jadowitych zwierząt. Szczerze mówiąc, dostrzegał coś przerażającego w cechującym te dzieci absolutnym braku zwykłego strachu...

Była już późna noc, nieprzygaszone przez słońce światło gwiazd błyskało na nieboskłonie. Peabody nareszcie się obudził. Diody mrugały na ścianach w małym pomieszczeniu. Posadzka odbijała błyski - jak większość powierzchni w mieście, będących częścią potężnego, wyrafinowanego i kompleksowego hipertekstowego systemu informacyjnego. Inżynier zazwyczaj wywoływał tam mapę świata z niewielkimi świetlnymi punktami, wskazującymi źródła, z których udało mu się odebrać transmisje radiowe.

Teraz, gdy nie padało na nie światło z zewnątrz, okna na dachu zamknęły się, pozwalając, by umysł mężczyzny wypełniły myśli o gwiazdach, w pomieszczeniu, w którym stały urządzenia radiowe, było ciemno, poza wskaźnikami częstotliwości, tańczącymi w rytmie, który Peabody od dawna próbował zrozumieć i pojąć.

Inżynier zabrał się za wzorce sygnałów, nasłuchując krótkich, przerywanych transmisji ze stacji, nadających wciąż, od prawie stulecia, pomimo że fale rzadko przebijały się przez atmosferę. Kołysał się lekko, sennie, jak drzewo na wietrze, i spoglądał na zamglone światła Miasta Półksiężycy. Jego dłoń, gdy sięgnął szybko do pokrętła, wyglądała jak u mężczyzny w średnim wieku, może pięćdziesięciolatka - wyjątkowo zdrowego i sprawnego. Peabody nie zamierzał się odmładszać - zbyt wielu widział ludzi, którzy po procesach odnowy biologicznej ciała i przywróceniu młodości umysłowo również cofali się w rozwoju. Zresztą, od

pięćdziesięciu z górą lat lub jeszcze dłużej Inżynier wymykał się czasowi. Podejrzał, że jest to związane z darem, jaki otrzymał dawno temu od kochanki.

Na horyzoncie pojawiły się światła - zapewne wracała flota rybacka. Wypił kolejną filiżankę herbaty.

Ostatnimi czasy w zasięg radia wpadał Paryż, na minutę lub dłużej, nadając piosenki śpiewane ochryłym głosem lub, co bardziej interesujące, jakiś kod. Inżynier wiedział, że Paryż ma wielką antenę, której rozbudowa przez lata pochłaniała sporo energii.

Nagle z jednego z głośników dobiegło zakłócenie.

Peabody zerwał się szybko i podszedł, zainteresowany uporządkowanym, czystym brzmieniem. Zakres dźwięków poszerzał się szybko i współbrzmiał z radiomapą nieba, jaką nosił w umyśle od dzieciństwa; rozległe tony wywoływały uczucia, jakie były udziałem nielicznych ludzi.

Promień światła zestalił się w południowej części pomieszczenia, jak zwiastun świtu.

Peabody czekał na to od zawsze. Wiedział. To światło, w końcu, odpowie mu, DLACZEGO.

Zrobił krok w kierunku świetlistego kształtu, w głębokim skupieniu, ale z umysłem nadzwyczajnie czystym, spokojnym.

Owalna bryła, wysoka na dziesięć stóp. Dotyk sprawił, że przez powierzchnię widma przebiegły fale lśnienia, jakby pasma tęczy.

Peabody czuł wywołany muzyką ból w piersi, do oczu napłynęły mu łzy.

- Tak? - wydusił bezsensownie.

Myśli wybuchły w umyśle mężczyzny, mieszały się i rozwijały w niedosiężnych obszarach, rezonowały głęboko w mózgu, zbyt szybkie jednak, by objąć je świadomością. Biliony akordów napięły zmysły do granic możliwości; miał wrażenie, że ulega halucynacji.

W pełni jednak zdawał sobie sprawę, że to wszystko jest realne. Zewnętrzne. Lecz równocześnie mocno z nim związane.

Przemieniał się.

Wiedział, że doświadcza nieskończonych możliwości rozwijających się wymiarów w superstrunach.

Pochłonęło go światło - nowa postać światła. Nie rozumiał, jak ani dlaczego.

Nieskończoność, wcześniej tylko abstrakcyjne pojęcie, wydawała się niemal namacalna. Tańczące cząstki wszechświata, jakie składały się na ciało Peabody'ego, zjednoczyły się z czasem i materią w jedność, skąd wszystko brało swój początek i rozprzestrzeniało się z niewyobrażalną prędkością.

Światło znikło.

Wstrząśnięty Inżynier zatoczył się, ale wrodzona energia sprawiła, że zaraz się wyprostował. Patrzył w miejsce zdarzenia.

W wieży panowała niezwykła cisza.

Peabody uświadomił sobie, że nie zna nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Żałował, że nie ma przy nim Zeba, radioastronoma i bliskiego przyjaciela. Zresztą i tak nie umiałby opisać słowami swoich przeżyć. Był matematycznie uzdolniony, ale ujrzał oto zupełnie nową geometrię, zaledwie rzucił okiem, i musiał to przemyśleć, o ile w ogóle uda mu się cokolwiek pojąć.

Coś się wydarzyło. Coś niesamowitego i potężnego. Ale co? I dlaczego?

- Wrócę niedługo - oznajmił kotu, a w zamian odebrał powtarzający się, zabarwiony rozkazem obraz ryby. Zamarł, zaskoczony i uradowany zarazem.

Potem szybko wrócił do pokoju z urządzeniami radiowymi. Był podekscytowany - pobudzony, jakby naelektryzowany.

Kiedy zjeżdżał platformą windy poruszającej się w przezroczystej rurze, doznał krótkotrwałego wrażenia, że światła wokół wskazują punkty w przestrzeni międzygwiazdnej, skąd rozpocznie się kosmiczna odyseja, choć porzucił nadzieję, że tak się stanie.

Skierował się do miejsca, gdzie zajmowano się najbardziej ekscytującymi projektami badawczymi w mieście, włącznie z pracami projektowymi inicjującymi budowę akceleratora. Pomieszczenie nazywano po prostu Halą Nauki i Wiedzy, w czasach świetności przypominała instytut nauk ścisłych w Princeton, gdzie praktycznie o każdej porze można było spotkać fizyków, matematyków czy biologów, prowadzących żarliwe dyskusje lub pochłoniętych projektami badawczymi. Tutaj bywało podobnie, szczególnie podczas prac, przy których korzystano z pomocy Współdziałania.

Otworzył powoli ciężkie, łukowate wrota z drewna. Większość przedmiotów w Mieście Półksiężycy była bardzo lekka i niezwykle wytrzymała, powstała z polimerowych tworzyw o długich łańcuchach skręconych w węglowe pierścienie - materiałów łatwych do kształtowania w zależności od bardzo różnorodnych potrzeb. Lecz w niektórych miejscach ludzie woleli dobrze znane, tradycyjne przedmioty.

Peabody wszedł. Nisko ustawione lampy zapłonęły, oświetlając pomieszczenie.

Naprzeciw siebie, w kątku do rozmów, stały kanapy klubowe, ale kilka krzeseł przysunięto do stanowisk roboczych, z których można było uzyskać dostęp do różnych warstw Współdziałania. Na podłodze rozrzucono ratanowe maty. Kilka kokonów umożliwiała pełny dostęp, całkowite zanurzenie się we Współdziałaniu, ale Peabody wolał ich unikać,

ponieważ połączenia nie można było w pełni kontrolować.

Przez chwilę wyobrażał sobie, że ten pokój jest pełen przyjaciół z dawnych czasów, towarzyszy, z którymi spędzał miesiące i lata przy projektach badawczych. Wielu, jak radioastronom, opuściło Miasto Półksiężycy - sfrustrowani, skwapliwie wyjechali, by sprawdzić, co dzieje się w innych częściach świata.

Inżynier usiadł i zapisał przeżyte niedawno doświadczenie, opisując światło najlepiej, jak mógł, a potem przesłał zapis do Współdziałania.

To była jedynie krótka notatka. Żałował, że nie potrafi powiedzieć nic konkretnego o widmie. Wszystkie doznania, tak czyste i intensywne, teraz wydawały się tylko iluzją.

Pustka pomieszczenia przywołała na powrót uczucie zniechęcenia i bezsilności. Spodziewał się, że przyjdą tu inni ludzie. Czyżby tylko jemu zdarzyło się to niesamowite doświadczenie? A może była to jedynie ułuda wyobraźni?

Wyszedł.

Przeciął dżunglę na trzynastym poziomie, za dnia siedlisko kakadu, a o długich ogonach i papug nierozłączek - mówiących ptaków, wśród których nie brakowało jednak papug-buntowników, za nic mających ludzkie manipulacje w ich genach i wracających do naturalnych zachowań, a nawet próbujących przekonać do tego pozostałe zmodyfikowane ptaki.

Peabody starał się wypatrzeć, czy jego przyjaciel, biała papuga, filozof, jest pośród nich. Papuga mieszkała w wieży przez trzy lata. Uczona od narodzin, zgromadziła szerokie słownictwo, szczególną elokwencję przejawiając w kwestiach związanych z filozofią Gai, której stała się wyznawczynią. Na koniec przyswoiła papuzi język obrazkowy, wyświetlany na dziobie u ptaków, które wybrały tę opcję komunikacji, a także wyhodowała sobie w szponach receptory umożliwiające dostęp do Współdziałania. Niedługo potem przeprowadziła się w pobliże Hali Nauki. Ale od tamtej pory Inżynier już jej nie spotkał.

Z oddali dobiegały piski i wrzaski małą, prawdopodobnie zaniepokojonych pojawieniem się intruza, oraz szum wodospadu. Peabody minął magazyn żywności, otwarty przez całą dobę; nie był jedynym nocnym markiem w mieście.

Zapach czosnku przywołał wspomnienia: małą włoską restaurację, gdzie razem z żoną często jadal kolacje jeszcze w czasach, gdy pracował jako Naczelnny Nanoinżynier Biomiasta Kwiatów systemu Chicago. To było dziesiątki lat temu. Mieszkał tam długo, do chwili, gdy żona popełniła samobójstwo. Wtedy opuścił miasto, nękany niedowierzaniem i odrętwiałym gniewem.

Próbował zignorować natrętne obrazy z przeszłości i rozluźnić się przed wizytą u

słonia. Spotkania zawsze działały na niego uspokajająco.

Szedł pół godziny. Powstrzymał się od przywołania jednego z małych ślizgaczy, co mógł zrobić w dowolnym miejscu miasta. Powędrował pieszo do heksagonu rozciągającego się na kilkunastu akrach wyspy.

Domena słonia, zdobna przyciętymi krzewami i drzewami oraz otoczona morzem, miała sadzawkę chłodnej wody, nad którą gromadziły się czaple oraz inne wodne ptactwo. Wysoka trawa falowała w podmuchach nocnej bryzy. Przyływ uderzał o falochron, a światła floty, które Peabody widział z wieży, odbijały się w wodzie, teraz już bliżej brzegu. Słony wiatr był silny.

Stojąc na pomoście obserwacyjnym, odszukał wzrokiem ciemną sylwetkę słonicy wśród kępy młodych figowców.

Obserwował wielkie zwierzę. Było to niezwykle kojące zajęcie. Słonica uniosła z niepokojem trąbę i wciągnęła powietrze. Od czasu do czasu wiatr przynosił odgłosy wzburzenia i kwaśny zapach zwiędłych, wilgotnych liści.

Peabody zastanawiał się, co słonica myśli i ile wie.

Miała wspomaganie w postaci języka obrazkowego, ale nigdy go nie używała, pomimo żarliwych wysiłków badaczy i opiekunów. Była tylko słoniem, pięcioletnim, czyli jeszcze dzieckiem. A na dodatek, choć słonie są zwierzętami stadnymi, ta mała nie miała rodziny.

Ponury nastrój Inżyniera wzmógł się, gdy ten uświadomił sobie samotność zwierzęcia. To był grzech i wszyscy wokół myśleli podobnie. Planowano, że na wyspie zamieszka więcej słoni, ale budowa sztucznego ładu postępowała bardzo powoli. Debaty - czy można zaryzykować wprowadzenie jeszcze dwóch lub nawet trzech słoni, czy jest dość pożywienia, czy potrzeby słoni nie przeważają nad innymi sprawami - stawały się coraz bardziej gorące i gniewne. Takie dyskusje były na porządku dziennym w Mieście Półksiężycy. Opinie rozkładały się prawie po równo, choć niekiedy sprawę słonia przesłaniały inne rozważania. Podczas głosowań przez wyspę przebiegały fale pulsujących barw, a przy wyjątkowo istotnych debatach takie fale mogły się utrzymywać nawet kilka dni, dopóki nie rozpoczęło się kolejne głosowanie.

Peabody zauważył dziwną poświatę. Noc zdawała się trochę jaśniejsza niż powinna, okoliczne lampy zaczęły brzęczeć.

A może tak mu się tylko wydawało?

Rozległo się trąbienie słonicy, nagłace, dzikie. Pomost pod stopami mężczyzny zawibrował wyraźnie. Inżynier domyślił się natychmiast, że zwierzę coś próbuje oznajmić za pomocą niesłyszalnych dla ludzkich uszu dźwięków o niskiej częstotliwości, które mogłyby

przenosić się na długim dystansie i dotrzeć do innych stad słoń.

Czy słońca kiedykolwiek się zastanawiała, czy jej komunikaty są rozumiane? Albo, skoro dorastała samotnie, czy wierzyła, że może porozumieć się ze swoimi opiekunami?

Te rozmyślania tylko pogłębiły przygnębienie Inżyniera.

Ku jego zaskoczeniu, słoń obrócił się i skierował prosto do niego.

Przez chwilę czuł strach, choć wiedział, że zwierzę jest łagodne. Ale jakie wielkie!

Masywna głowa słońcy kołysała się, gdy ta biegła majestatycznie, jakby świadomie wybrała kierunek. Zatrzymała się po drugiej stronie niskiego ogrodzenia, parę stóp przed mężczyzną, i spojrzała nań uważnie ciemnymi, wielkimi jak spodki oczyma. Peabody zamarł.

I wtedy otrzymał przekaz obrazkowy, tak precyzyjny i dokładny jak w radiowej transmisji, którą odebrał wcześniej.

kula światła rozbłyskująca między morzem i niebem

wzlatuje

unosimy się wraz z nią

świat pozostaje w dole

odchodzimy

w mroczną przestrzeń

nasze światło wśród bilionów światel

ploniemy

zmieniamy się w światło

teraz

Mężczyzna ujrzał to ponownie: słońce wznoszące się z morza, wędrujące nad horyzontem, a potem wyżej w przestrzeni czarnego nieba. Słoń, on sam oraz wszystkie żywe stworzenia na Ziemi uniosły się i połączyły w żywy, radosny korowód światła.

Ziemia została z tyłu; malejąc i znikając, słońce wtopiło się w biliony innych gwiazd, które nagle poruszyły się, tworząc nowe konstelacje.

Peabody ujrzał kosmos w zupełnie nowej perspektywie.

Potężne, piękne, podniosłe tony symfonii światła rozbrzmiały w jego wnętrzu; muzyka światła, które było czasem, przestrzenią i miejscem. Jedno kwantowe zdarzenie, pole, skąd wszystko - każdy atom, cały czas i przestrzeń, każda żyjąca istota, wszystkie świadome myśli - eksplodowało.

Trąbienie słońcy wstrząsnęło ziemią.

Inżynier, po wiekach samotności, zrozumiał: to jest to.

To jest to!

Zatrzymał przez chwilę tę myśl. Albo to myśl zatrzymała jego: ten obraz, ten ruch, ta muzyka. Słonica ją czuła, rozumiała, przekazała Peabody'emu, dzielając jego wrażenia i nadając im zrozumiałą postać.

Zaczął się śpieszyć. Tamto zdarzenie było prawdziwe, realne. Teraz przekonanie wyraźnie się nasiliło. Musiał koniecznie przekazać relację Współdziałaniu - obrazy były na pewno wskazówką prowadzącą do źródła Sygnału i kryła się w nich zarówno groza, jak i szacunek.

Gdy się odwracał, by odejść, ziemia zadrżała lekko. Mężczyzna chwycił się poręczy. Pomost, na którym stał, łączył się z falochronem, więc ten wstrząs nie był niczym niezwykłym.

Ale Inżynier poczuł jakby... ruch?

Absurd! - pomyślał, przypominając sobie ogromną sieć lin z kotwicami, które utrzymywały wyspę w miejscu. Nic nie było w stanie przeciąć tych łączy. Jedynie przy celowym użyciu nanoprogramu można by zerwać potężne kotwy.

W ułamku sekundy wsiadł do ślizgacza i pośpieszył do Hali Nauki, omijając spore grupy ludzi, przemieszczające się między pawilonami. Twarze wyspiarzy były pełne napięcia. Parokrotnie próbowano go zatrzymać, ale nie zareagował.

Peabody wszedł do Hali. Sieć kokonu oplotła go natychmiast; zimna, galaretowata substancja dotknęła receptorów rozsianych po skórze. Rozluźnił się w uspokajającym uścisku tkaniny. Kochał Współdziałanie i lękał się go - kochał za nieograniczone bogactwo informacji, a bał się utraty kontroli, jakiej doświadczał, gdy znalazł się wewnątrz tego zbioru danych.

Poprosił o hormony do nauki. Pomogą mu przyswoić i zrozumieć to, czego doświadczył. Sprawią, że otworzy się całkowicie dla Współdziałania. Było to przerażające uczucie, lecz musiał się połączyć bezpośrednio, w pełni zjednoczyć z systemem.

Przepląnął przez podstawowe programy i odkrył z zaskoczeniem, że miasto naprawdę oderwało się od dna morza i dryfuje swobodnie po oceanie.

A potem, z oddali, poczuł eksplozję.

- *Jasonie Peabody. Światła na oceanie to statki, które mnie atakują.*

Miasto zwróciło się do niego bezpośrednio, wiedząc, że jest jednym z tych, którzy je - a raczej ją, gdyż zawsze mówiło o sobie w formie żeńskiej - zaprojektowali.

Inżynier przeklął swój brak czujności. Miasto posiadało systemy obronne, oparte

jednak nie na przemoc, lecz na dobrym zarządzaniu atutami. Oznaczało to, że rozwiązania defensywne wdrożyli ludzie, którzy nie mieli skłonności do zadawania innym bólu. Co gorsza, byli to ludzie, którzy odczuwali szacunek wobec innych i nie potrafili sobie nawet wyobrazić, że istnieją tacy, którzy tego nie podzielają. Peabody został przegłosowany wielokrotnie, gdy proponował bardziej stanowcze i bezpośrednie środki, takie jak choćby pociski.

W efekcie jedyną obecnie tarczą obronną były skryte i subtelne środki nanotechniczne, na przykład powoli działające trucizny, nanoprogramy zmieniające osobowość atakujących i skłaniające ich, by wracali do domu. Nie można było w ten sposób zapobiec uderzeniom. A ran nie da się uleczyć, jeżeli miasto zostanie poważnie uszkodzone lub zniszczone.

- Rozpocznij produkcję płagi obronnej - rozkazał Jason.

- *Już jest gotowa.*

- A ty?

- *Jestem gotowa od dawna. Światło przyspieszyło procesy wzrostu.*

Choć nie użyła wyrazu „światło”, posłużyła się liczbami i symbolami, które rozbłysły przed nim krótko, jak gdyby wierzyła, że rozmawiają jak równorzędni partnerzy, choć była przecież miastem - umysłem ogromnym, obcym i niepojętym.

Peabody musiał opuścić kokon i czym prędzej zrobić to, co mógł. Walczył, by uwolnić się od Współdziałania.

Został jednak złapany, jak małe żyjątko uwięzione w paszczy wielkiej ryby, i zabrany w jeszcze głębsze poziomy miasta.

- *Ból na 187,43 stopniu, wysokość 46 stóp. I znowu, 187,31. 124 i 399.*

Liczby przewijały się przez umysł i świadomość Inżyniera, Przez umysł i świadomość miasta. Odczuwał każde uderzenie i eksplozję w trzech wymiarach i czasie rzeczywistym.

Zaczął gwałtownie wpadać głębiej w miasto, coraz bliższy paniki.

- *Zniknęły!*

- Co zniknęło?!

- *Moje dane. Koordynaty. Cel, do którego mam dążyć.*

Poczuł przypływ strachu i nie wiedział, czy to jego emocje, czy miasta.

Miasto mówiło o systemie nawigacji i informacjach, które ukradł z NASA, lata temu, gdy jeszcze dorobek cywilizacji technicznej nie był całkowicie stracony. Były to obliczenia dotyczące map gwiazdnych, ale łączyły się z innymi danymi, których nie można było odtworzyć.

- *Zbyt duże zniszczenia. Nie zdążyłam przesłać informacji w inne miejsce. Ale to ty je*

przyniosłeś. Wiesz, gdzie je znaleźć. Potrzebuję ich. Teraz.

Wkrótce odejdę.

- Pójdę po nie. - Peabody upewnił miasto, że odczuwa, jak ważne jest polecenie, choć wyraził to prostym językiem, w którym nie dało się zawrzeć konkluzji, do jakich doszedł transludzki umysł systemu. To dlatego, że miasto starało się mówić tak, jak mówi się do dziecka, w porównaniu ze Współdziałaniem człowiek z całą pewnością był jak dziecko.

Peabody zdawał sobie sprawę, że będzie musiał udać się do Centrum Lotów Kosmicznych w Houston, choć myśl o ponownym podróżowaniu przez dziwną, postnanotechnologiczną Amerykę nie napawała go radością. Zbyt długo ukrywał się na wyspie. To będzie długa wędrówka, ale zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, by zebrać resztki, jakie mogły jeszcze pozostać w Houston, i odtworzyć dane nawigacyjne potrzebne Miastu Półksiężycu.

Gwałtownie napłynęły wspomnienia: *Dzieci tłoczące się w przejściu. Udaje mu się zagonić je miotłą na szeroki korytarz. Posadzka na początku lśniąca czystością dalej przechodzi w brudny brąz błota. Mężczyzna jest szpiegiem, a jego kryptonim to...*

- Woźny! - wołają jak co dnia młodzi ludzie, a on odsuwa miotłę od drzwi i wchodzi do środka. Przypomina sobie, że to świetlica dla dzieci pracowników. Zastanawia się, gdzie podzieli się dorośli. Nigdy żadnego nie widzi z dziećmi.

W świetlicy są zabawki oraz podstawowy sprzęt medyczny, ale pierwsze, co rzuca się w oczy, to przysłane przez rząd kokony do nauki. Woźny rozumie, kim mają się stać te maluchy w przyszłości.

Dzieci otaczają go ciasnym kręgiem, śmieją się.

- Woźny, niech pan nie wychodzi! Niech pan szybko wraca!

Po kilku tygodniach może już zrobić to, po co tu przybył. Kradnie kopie map NASA, które pokazują, skąd nadchodzi Sygnał, a także dane z międzynarodowych źródeł informacyjnych, które zbyt szybko ulegają zapomnieniu lub zgubieniu.

- Ile mam czasu?

- Czterdzieści osiem dni. Wtedy pojawi się okno.

- Okno?

- Dostęp - odpowiedziało miasto z lekkim zniecierpliwieniem. - *Dogodne warunki czasoprzestrzenne. Pora transformacji. Wyjątkowa. Kieruj się sercem podczas podróży, Jasonie Peabody. Kiedy wrócisz, dowiesz się. w KOŃCU.*

- W końcu?

- *Teraz tego nie rozumiesz. Ani ja. Jesteśmy pomostem...*

Peabody'ego zalało nieoczekiwane uczucie bezgranicznej radości.

Miał świadomość, że miasto mówi prawdę - niedoskonałym językiem, tak, by nawet dziecko mogło zrozumieć i pojąć konieczność pośpiechu, w przekazie nie było sugestii o nagrodzie, ani też wzmianki, że całe przedsięwzięcie może okazać się porażką.

Przypominało to obliczanie trajektorii albo pracę nad precyzyjnym wyznaczeniem kierunku ruchu. Podano cel. Ogromna zmiana objęła atmosferę; zmiana, która nadeszła... skądś. I zwiastowała... coś. Jak roślina, która gromadzi siły, by wydać w przyszłości kwiat, choć nie wie, co się stanie; jak dziecko osiągające dojrzałość - tak samo ludzkość miała do przekroczenia próg dojrzałości i perspektywę egzystencji w kosmosie. Próg oświecenia.

Do Inżyniera dotarł zaledwie cień tej świadomości - możliwość, muśnięcie harmonii, której częścią był on i wszystko, co żywe. To nie był Plan, lecz Zdarzenie, stała gotowość do rozwoju - wolna improwizacja, podlegająca prawom, jakie ludzkość sama sobie narzuci podczas przemiany.

Świadomość, produkt uboczny, pragnęła przeniknąć wszystko. Chciała przyswoić całą wiedzę.

Nagle kolejny wybuch wstrząsnął ścianami budynku.

Miasto, z którym rozmawiał, znikło. Zapadła ciemność, a Inżynier poczuł otępienie, jakby część jego osobowości otrzymała bolesny cios.

Szamotał się uwięziony, próbując krzyczeć, ale z gardła nie dobył się najcichszy nawet dźwięk.

A potem, wspomagany przez kompozycję hormonów uwolnionych do krwi przez naturalne procesy fizjologiczne, Jason został porwany przez...

Amerikanistyka. Zacofana i przestarzała dziedzina studiów, którą zajmowali się tylko kompletni fanatycy, w Mieście Półksiężycy działało tysiące podobnych grup.

Zachodnia biblioteka została zniszczona podczas ataków, groziło jej również niebezpieczeństwo utraty zasobów. Miasto pilnie poszukiwało ciała, w którym mogło przechować kopie zapisów.

Peabody znalazł się dokładnie we właściwym miejscu i czasie. I dysponował dobrym połączeniem, pozwalającym przelać dane, ponieważ miał silne wspomnienia z dzieciństwa spędzonego właśnie na Zachodzie Ameryki.

Został opętany przez najprawdziwszego Kowboja.

Znalazł się pomiędzy czerwonymi wzgórzami Arizony, na zbyt rozległej przestrzeni i pod zbyt błękitnym niebem.

To było coś więcej niż powrót do wspomnień. To było uczenie się. Wiedza.

Peabody rozwinął się poza granice własnej osobowości. Stał się krajem, jego mitologią, głębią historii, prawami i opowieściami.

Dawni ludzie Zachodu sfilmowani w Sedonie, z radia płynie śpiew o Wind Rock, nocna transmisja jest czysta i bez zakłóceń. Wielka biała góra rozrasta się za Flagstaff, to tutaj, według Indian Hopi, kobieta-pająk uprzedła świat. Dziewczyny z Buffalo, teksańskie dzwonki, noce w Oklahomie, bójki w saloonach, poganiacze bydła, walki na prerii. Opowieści, opowieści, opowieści.

Żadnych prób ucieczki ze Współdziałania - oto wlewał się w Peabody'ego mityczny złoty człowiek, dopasowywały się zapisane wydarzenia kulturalne, sztuki na Broadwayu, serial „Gunsmoke”, powieści Cormaca McCarthy'ego, rzeź, niebezpieczne miasteczka, strumyki, gdzie pływają pstrągi, utwory poetów. Nauka - rodzima i przyniesiona przez imigrantów - stąpiła się w światło wiedzy, niemożliwej do objęcia umysłem. A jednak wiedza wsączała się do ciała Peabody'ego, w nisze kości, w krew i mięśnie, wpajając mu szaleństwo emocji, marzeń i snów, możliwości i...

I przyszłości...

Lecz zaraz - światło - jego wyprawa! Nie może tego tak zostawić!

Nagle został wyrzucony z rozgorączkowanego Współdziałania - w chwili, gdy rozpadło się w eksplozji.

Szalone naukowe delirium

Kiedy eksplozja rozświetliła noc i wstrząsnęła ziemią, Danya Cooper ruszyła biegiem przez zachodnią promenadę, osłaniając się ramionami przed spadającymi wszędzie płonącymi odłamkami. Na zachodzie zamajaczył ciemny kształt. Wokół rozbłysło światło, ukazując długi, niskopokładowy okręt.

W kolejnych rozbłyskach zobaczyła więcej.

Jej pierwszym impulsem było chronić akcelerator. Tak wiele czasu zajęło jego uruchomienie, że teraz czuła niemal fizyczny ból na myśl, iż urządzenie znowu może zostać uszkodzone. Zaledwie parę godzin temu przeprowadzono testy rozruchowe.

W pierwszym pawilonie, do którego weszła, ludzie biegali we wszystkich kierunkach. Zignorowała ich i wsiadła do ślizgacza. Gdy przedzierała się przez panikujący tłum, była

spokojna i nie odczuwała strachu.

Nie miała pojęcia, kto stoi za atakiem, i wcale jej to nie obchodziło. Miasto Półksiężycyca było legendą dla reszty świata, to już nie pierwsza próba przejęcia nad nim kontroli.

Tylko tutaj, wyjątkowo, istniała całkowicie wolna wola. Tylko tutaj obietnice nanotechnologii zostały spełnione, ułatwiały życie i przynosiły satysfakcję obywatelom miasta - przynajmniej jeżeli wierzyć doniesieniom przychodzącym z reszty świata. Między ludźmi żyjącymi na kontynentach zarysował się wyraźny podział na tych, którzy mieszkali w miastach - zmutowanych i przemienionych w bardzo dziwne miejsca; oraz tych, którzy osiedlili się na otwartych przestrzeniach i wiedli proste życie rolników, bojąc się i unikając nanotechnologii.

Czego chcieli agresorzy? Zapewne dowiedzieli się o bogactwach Miasta Półksiężycyca i zapragnęli tu zamieszkać. Jediną wadą miasta była ograniczona przestrzeń. Każdego roku przyjmowano tylko określoną liczbę uchodźców. Liczba ta kalkulowana była bardzo dokładnie przez algorytm, który przewidywał, jak wielu nowych mieszkańców można bezpiecznie przyjąć bez szkody dla równowagi procesów rozwoju sztucznej wyspy. Imigrantom starającym się o zgodę na zamieszkanie wyznaczano dokładną datę przybycia. Wielu z nich zamieszkało na jednej z naturalnych wysp w pobliżu. Może po prostu zbierali się razem, zmęczeni czekaniem na pozwolenie osiedlenia w Mieście Półksiężycyca.

Miasto nie miało armii ani floty, lecz dysponowało innymi środkami obrony. Jednak obecny atak wyglądał na silny i mógł wyrządzić sporo szkód. Danya, jak każdy, starała się tylko dotrzeć do względnie bezpiecznego obszaru i zrobić wszystko, co w jej mocy, by powstrzymać skutki agresji. Od ostatniej potyczki minęło ponad dwadzieścia lat i czujność większości obywateli została uspijona przekonaniem, że są bezpieczni.

Danya zatrzymała się przy wyszczerbionej, krótkiej krawędzi rozpadliny, skąd mogła dojrzeć, co się dzieje niżej. Nie było sposobu, by ominąć dziurę. Porzuciła zatem ślizgacz i cofnęła się na otwartą przestrzeń, mijając płonące rumowisko, omiatane wodą ze zraszaczy. Gardło bolało ją od dymu.

Dotarła do wieży, której szukała, znalazła wolną windę i pojechała na czterdziesty poziom miasta, poziom, który podczas alarmu przekształcał się w miejsce dowodzenia.

Po otwarciu drzwi ujrzała scenę jak z horroru. Ludzie leżeli na ziemi, jęcząc i krzycząc, w stłumionym świetle zobaczyła ciemne plamy - wiedziała, że to krew. Najeżdźcy ją ignorowali. Wszyscy, jak jej się zdawało, ubrani byli na czarno. Rozbiegli się, wymieniając skinienia głowy.

Danya czuła spokój. Było jasne, że ktokolwiek pozwolił sobie na atak, musiał dobrze znać miasto - być może był to ktoś, kto odszedł stąd dawno temu i teraz chciał powrócić, jak król lub królowa w blasku chwały zwycięstwa.

Jakaś postać podeszła niebezpiecznie blisko, więc Danya pośpiesznie zamknęła drzwi i poleciła windzie jechać na przedostatnie piętro. Głos kobiety drżał równie mocno jak dłonie.

Podczas jazdy w górę uświadomiła sobie, że miasto nie wysyła już metaferomonów. Substancje te podnosiły inteligencję i utrzymywały dodatkową osobowość Danyi Cooper, nietkniętą tak długo, że niemal zapomniała, kim jest - gniewną i zasmuconą matką o mieszanych genach, urodzoną w Salvation w Tennessee.

Narodziny Kowboja

Kiedy Kowboj Miasta Półksiężycy wyszedł z windy na przyprawiającą o zawrót głowy przezroczystą podłogę, czterech piratów w czarnych koszulkach z okrzykiem ruszyło w jego stronę. Dłonie kowboja powędrowały do niedawno wytworzonych rewolwerów. Strzelił bez zastanowienia, bez wahania, choć chwilę potem poczuł przerażenie i obrzydzenie, że zabijanie przychodzi mu tak łatwo.

Dwaj mężczyźni obrócili się wokół własnej osi, krzyknęli i osunęli na ziemię. Pozostali dwaj umknęli, kryjąc się za murem naprzeciwko.

Kowboj Miasta Półksiężycy poczuł zmieszanie, gdy nie ujrzał krwi. Popatrzył na bębenek rewolweru trzymanego w prawej ręce.

Pierwszy z mężczyzn zaśpiewał:

- *Getting to know youuuuu!*

Drugi mężczyzna zawtórował:

- *I get a kick out of youuuuu!*

Zaraz też do chórkę dołączył trzeci:

- *OoooOAK! lahomaaa!*

Czwarty mężczyzna nie śpiewał. Starł z policzka kleistą maź i spojrzał na Peabody'ego z odrazą.

- Do diabła z tobą i tym całym szalonym miastem. Ostrzegałem, że nie powinniśmy tu przyplýwać.

Zataczając się, pobiegł przez salę, uciekając jak najdalej od narodzonego właśnie Kowboja i jego przerażającej muzycznej broni.

Kowboj Miasta Półksiężycy zmierzył wzrokiem śpiewających napastników. Umysł Peabody'ego zbierał w pragnieniu ponownego odzyskania kontroli nad myślami. Wysilek jednak był jak fala - szybko przeszedł.

Umysł Kowboja zalały teraz tytuły filmowe, przesiąkł nimi. Stał się skrótem, skondensowaną formą Miasta Półksiężycy. Radiokowbojem, bo radio było w jakiś sposób ważne dla miasta i dla niego...

W jakiś sposób?! - parsknął w duchu urągliwie Peabody. - Ty głupcze!

Radiokowboj Miasta Półksiężycy uśmiechnął się, zakręcił rewolwerami i wsunął je do olster. Mógł ich użyć w każdej chwili.

Ruszył przez korytarz. Inni osadnicy również potrzebowali pomocy.

Stary początek

Po pierwszym ataku Danya godzinami skradała się korytarzem w kierunku na północ-północny zachód na pięćdziesiątym trzecim poziomie Miasta Półksiężycy, walcząc z gorącym wiatrem hulającym w otwartych przejściach. Jedynie iskrzące się sieci, utkane ze wzmocnionej pajęczostali i rozpięte między filarami nad krawędziami poziomu, powstrzymywały ludzi i przedmioty przed upadkiem we wzburzone fale Morza Karaibskiego, rozświetlonego blaskiem eksplozji.

- Który to? Czy to ten? - mruzczała, przechodząc i muskając prawą dłońią kolorowe owale. Najwyraźniej jednak żaden z nich nie był tym, którego szukała, klucząc po korytarzu. Długie włosy Danyi były wzburzone i potargane, oczy rozbiegane i wytrzeszczone. Nie miała ubrania, a na nagim ciele pulsowały małe obrazki. Ubranie zerwał z niej jeden z piratów, zanim udało się jej odebrać mu paralizator i obezwładnić.

Danya padła na ziemię i podczołgała się w stronę pajęczostalowej sieci, wydymającej się na wietrze. Obserwowała przez chwilę gryzące kłęby dymu, oświetlane co minutę lub częściej przez kolejne wybuchy. Zamknęła oczy. Próbowwała myśleć. Musiała myśleć, jeżeli miała przeżyć.

W delikatnym uścisku pajęczostalowej sieci Danyę ogarnęła fala wspomnień z

młodości.

*

Wiele lat temu, z podnieceniem, ufnością i, co tu kryć, odrobiną strachu, Danya wsunęła się do pomieszczenia w Mieście Półksiężycy, które wtedy było znacznie młodsze. Tam położyła się w przejrzystym hamaku - miękki materiał otoczył ją delikatnie. I wtedy w imię dobra publicznego otworzyła przed miastem własny umysł. Każdy bit informacji o Danyi Cooper z tamtego okresu został powielony i zapisany.

Dodane modyfikacje genetyczne, wcześniej wybrane przez Danyę, wypełniły komórki ciała, porządkując kruche ścieżki umysłu, wyzwalając prawdziwy potencjał i niwelując skazy, jakie powstały z powodu nałogu matki, która podczas ciąży wypijała dziennie kilka ginów z tonikiem. Nowe procesy chemiczne miały nieznaczące działanie ingerencyjne - zwiększały jednak ogromnie zdolności uczenia. Czysta wiedza z dwudziestego i dwudziestego pierwszego stulecia została wpisana w ciało Danyi. Dane stały się przejrzyste i zrozumiałe dla jej świadomości, kiedy w końcu otworzyła oczy.

- Zaraza! Mam migrenę! - powiedziała, wysuwając się z kokonu. Nadal jednak leżała i przyglądała się długo srebrzystemu przestworowi oceanu, przytłoczona bólem głowy. Na czworakach przeszła w głąb sali i wdrapała się na niski stółek. Ściana przed nią rozsunęła się, ukazując panoramę morza. Powierzchnia bariery lśniła zielonkawo. Danya ostrożnie dotknęła jej palcem.

- *Cześć, Danya - odezwała się ściana - Jak się czujesz?*

- Migrena. I gardło mnie boli.

Wysilek, jaki sprawiło mówienie, zrosił jej skórę kropelkami potu, osuszanego przez morską bryzę.

Po kilkusekundowym milczeniu ściana odezwała się ponownie.

- Zostałaś poddana chemicznym przemianom, które wprowadziły wybrany przez ciebie wzorzec genetyczny. Ta modyfikacja od czasu do czasu wywołuje podobne efekty uboczne. Załączam środek przeciwbólowy na migrenę. Jeżeli sobie życzysz, możesz powrócić do pierwotnego stanu.

- Dlaczego nie powiadomiono mnie o efektach ubocznych? - zapytała Danya.

- To cecha recesywna nielicznych łańcuchów DNA, powstająca w wyniku łączenia się nowego wzorca z twoim własnym. Najprawdopodobniej nie rozwinęłaby się u ciebie, gdybyś była prawidłowo odżywiana podczas okresu płodowego. Ale są też inne usterki. Najwyraźniej... analizowałaś teoretycznie tylko pięć najbardziej prawdopodobnych możliwości, a ta jest siódma. Zbadanie tego efektu przemiany może potrwać, ale nie musisz

czekać na wyniki. Proszę, to środek przeciwbólowy.

Dotknęła pulsującego zielonego punktu, a substancja znieczulająca przeniknęła do organizmu przez skórę dłoni i dotarła do podrażnionych ośrodków nerwowych. Danya westchnęła, gdy ból zniknął.

- Czy życzysz sobie wrócić do pierwotnego wzorca i zacząć raz jeszcze?

- Nie - odpowiedziała stanowczo. Teraz, kiedy nie czuła bólu, widziała wszystko jakby na nowo. Pozostało w niej dość poprzedniej osobowości, by dostrzec i docenić różnicę. Przybyła z Tennessee, po piekielnej podróży przez południe. Według przybliżonej oceny miasta miała wtedy IQ 130. Obecnie jej współczynnik inteligencji był znacznie, ale to znacznie wyższy. Różnica była zdumiewająca. Danya nie miała żadnych wątpliwości. Albo wątpliwości pojawiły się nagle i znikły tak szybko, że nawet nie zdążyła zauważyć.

- Muszę cię ostrzec, że choć jesteś wolną osobą i masz prawo podróżować, dokąd zechcesz, możesz trafić do miejsc, gdzie zsyntetyzowanie koniecznych środków przeciwbólowych jest niemożliwe. Te migreny będą zawsze częścią twojego nowego wzorca genetycznego. Odkryto, że przez zmianę pewnych hormonów zainicjowany zostaje proces spiętrzonych przemian w innych układach...

- Nie. - Danya wstała. - Może później. Zachowaj, proszę, mój wzorec z dodanymi modyfikacjami. Zamierzam się nim cieszyć.

To rzekłszy, wyszła z sali.

*

Leżała w objęciach pajęczosialowej sieci i, wspominając wydarzenia sprzed wielu lat, nieznacznie otworzyła załzawione oczy. Teraz miała pewność, że trafiła na właściwe piętro. Najwyraźniej atak zachwiał delikatną równowagę, tak bardzo jej teraz potrzebną. I jeżeli zaraz nie wymyśli, jak się uratować, zapewne zginie bolesną śmiercią. Pewnie wielu ludzi tak zginie.

Wciągnęła się na solidną podłogę i poczołgała. Z oddali słyszała wystrzały; miała nadzieję, że nie pochodzą z piętra poniżej. Piraci zmierzali na górę.

Nie mogła tracić więcej czasu. Prawdopodobnie nie miała już nawet chwili, by znaleźć właściwy pokój. Najeźdźcy zabili wielu ludzi i zniszczyli sześćdziesiąt siedem procent pamięci Miasta Półksiężycy, według danych wyświetlających się na posadzce obok jej ramienia. Pamięć, która wcześniej rozkładała się po równo w ogromnej strukturze miasta, została poważnie naruszona. Nie zabezpieczono jej wcześniej. A teraz Danya musiała znaleźć zapis swojej pracy, której poświęciła życie, pracy nad Teorią Wszystkiego. Nie mogła jej stracić! To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, wywołało uczucie depresji i paniczne

odrętwienie.

Usiadła na moment, zbierając resztki sił. z prawej strony zauważyła na ziemi ciemny kształt.

To było ciało. Oderwana od szyi głowa leżała nieco dalej w kałuży krzepnącej krwi.

Trzęsąc się, Danya obróciła się i, sięgnawszy po najbliższe krzesło, wsparła się na nim, by wstać. Potem, popychając je przed sobą, ruszyła, ślizgając się po gładkiej posadzce.

*

To tu! Tak! - pomyślała z satysfakcją, gdy po przeszukiwaniu piętra trafiła na właściwe drzwi. Rozsunęły się, gdy tylko podeszła.

Wewnątrz, przy konsoli, siedział jakiś człowiek. Nawet na nią nie spojrział.

- Wejdz, Danyo.

Serce jej łomotało, gdy chwiejnie przekroczywszy próg opadła na krzesło. Drzwi zamknęły się za nią cicho.

- Nie musisz się bać. Jestem... - Sylwetka poruszyła się, ale Danya nie mogła ujrzyć twarzy ukrytej w cieniu. Mężczyzna odchrząknął. A potem przesunął się bliżej, do światła. Jego uśmiech tchnął spokojem.

- Jestem Radiokowbojem Miasta Półksiężycy. Mów mi po prostu: Kowboj.

Jego głos brzmiał inaczej niż na początku, bardziej melodyjnie i pewnie, podczas gdy pierwsze słowa wypowiedziano ochryplym, przygnębiającym tonem. Mężczyzna miał krótkie, jasne włosy. Wokół szyi owinął czerwoną apaszkę. Szeroki, opalony tors pokrywały krople potu. Oczy, głęboko osadzone nad wysokim czołem, miały błękitną barwę. Ubrany był w obcisłe dzinsy, spięte pasem z dużą srebrną klamrą. Na wąskim skórzanym pasku wisały nisko, przy udach, dwie kabury, z których wystawały rewolwery o rękojeściach z masy perłowej, lśniące matowo w przytłumionym świetle pokoju. Kapelusz z szerokim rondem leżał na podłodze obok nóg mężczyzny.

- Jestem rodzajem istnienia, mniej więcej... Wiesz, o czym mówię?

Głos miał silny, lecz brzmiący życzliwie. Uśmiech zniknął mu z twarzy, gdy przyjrzał się Danyi uważniej.

- Przepraszam, panienko. Zapomniałem o dobrych manierach. Masz za sobą piekielne przeżycia.

- To twoja wina - wychrypiała, gdy obejmował ją silnymi ramionami i troskliwie prowadził przez pokój, a potem delikatnie układał w kokonie. - To twoja wina, jeżeli ty jesteś miastem.

Rozmawiała już niejedną raz z personifikacją miasta, więc teraz nie czuła zdziwienia -

postaci, jakie przybierało miasto, były zawsze inne. Danya pamiętała wielką Afrykankę, jazzmana-saksofonistę, rastafarianina czy bezkompromisowego chilijskiego lekarza.

- Hej, hej! Nie zapominaj się! - zbeształ ją lekko. - Oddałem strzały ostrzegawcze wzdłuż łuku, że tak powiem. - Przytrzymał jej dłoń, a potem zerknął na własną. - 7/14/2074, 1/29/75... Chcesz zobaczyć pełną listę współrzędnych? Sięgają mi prawie do łokcia...

Danya zatrzęsała się nie tylko ze zmęczenia. Oburzyło ją napomnienie.

- Nie. Zlekceważyłam ostrzeżenia, to prawda. - w oczach zalśniły jej łzy. - Ale... Myślę, że zakochałam się w tym sposobie widzenia... w tym sposobie... bycia.

Kowboj ukląkł obok niej, zerkając na podłogę, po której płynęły odczyty DNA.

- Gdybym nie wiedział lepiej, powiedziałbym, że masz talent Kurta Godla, nawet jeżeli nie ma jego genów w naszej Puli. Ale teraz odpocznij, moja piękna...

Wstał i obrócił się, płynnie wyciągając rewolwer z prawej kabury i posyłając kilka strzałów w stronę drzwi. Piraci w przejściu nagle zatrzymali się i zmrużyli oczy. Danya uniosła się, by lepiej widzieć, a gdy opadła, usłyszała, że najeźdźcy zaczynają śpiewać jakąś piosenkę o starym brygu.

- Na czym skończyliśmy, młoda damo? Ach, wiem. - Kowboj zerknął na nią, a jego ogorzałą twarz przecięły tysiące drobnych zmarszczek. - Chcesz powrócić do pierwotnej postaci?

- Nie. Dlaczego ten wzorzec nie zadziałał? Dlaczego...?

- Działał - powiedział cicho Kowboj Miasta Półksiężycy. - Ty byłaś wzorcem. Przez chwilę. Teraz wiemy. Ale mam coś do zrobienia. Alternatywa: forma pierwotna albo śmierć. Wybieraj.

- Forma pierwotna! - odpowiedziała z rozdrażnieniem w głosie. - Ledwie pamiętam dziewczynę, którą byłam. Tak naiwną. Tak głupią.

- Wcale nie - zaprzeczył i dotknął miejsca na ścianie, które pulsowało żółtym światłem.

Danya zamknęła oczy, odcinając się od blasku księżyca i westchnęła, słysząc odległy huk eksplozji i czując, jak zadrżała podłoga. Dwukrotnie proces się zatrzymał i trzeba było zaczynać od nowa. Za każdym razem wyczuwała w myślach Kowboja desperację. Była wyczerpana; nic dziwnego, że się niepokoił.

Minęło wiele godzin, zanim się ocknęła. Budziła się powoli, słysząc głośnie, żwawą piosenkę śpiewaną przez chór - rozpoznała *The Sidewalk of New York*, a potem jakieś afrykańskie rytmy, które, jak sobie przypomniała, były popularne przez prawie trzy lata, gdy do miasta przyływały statki z Afryki. Wszystkie te melodie były w Kowboju, stanowiły

część jego duszy. Kowboj Miasta Półksiężycy. Radiokowboj. Kimkolwiek był wcześniej, nie miało to już znaczenia. Informacja została wtłoczona w ciało i umysł, niezależnie od formy zapisu - filmy, musicale, amatorskie produkcje multimedialne... Zniszczone miasto powiedziało o tym Danyi - przekaz brzmiał jak jęk matki, której przerwano śpiewaną dziecku kołysankę...

Obudziła się już jako Danya Cooper. Usiadła, przypominając sobie z zaskoczeniem stare ciało.

Wydało się jej tak znajome. Wspomnienia siebie jako Danyi z Miasta Półksiężycy były teraz tak mgliste. Wstrząsnął nią żal oraz lęk, gdy rozlała się w niej dawna osobowość - dzika, impulsywna, nosząca w pamięci związki z innymi ludźmi w różnych miejscach, rozrzucone jak confetti na wietrze.

- Ale żyjesz - powiedziała do siebie. Podniosła się, wyprostowała i poszła pod prysznic. Prawie dwie minuty zajęło jej splukanie szamponu z włosów. Wycierając się ręcznikiem, podeszła do konsoli i zamówiła ubranie: prosty T-shirt, szorty i sandały - jej uniform. Gdy czekała, okno przed nią pojaśniało.

Słońce wznosiło się ze srebrzystych fal na horyzoncie, ukazując obraz zniszczeń.

To, co ujrzała, wstrząsnęło nią do głębi. Wielkie, wypalone kratery odsłaniały wnętrza pomieszczeń. Chwilę zajęło jej zrozumienie, że leżący tam w dziwnych pozach ludzie są martwi.

Odwróciła się, szlochając z gniewu i smutku. Zapomniany ręcznik spadł na podłogę. Wszystko zniszczone, stracone. Po zapisanych informacjach o akceleratorze, gdzie chciano zbadać światło i poznać jego zagadki, oraz po zdolnościach Danyi do zrozumienia tych danych, nie zostało nic, tylko ból w jej sercu. Wszystko, wszystko przepadło.

Oprócz Danyi.

Ubranie, gdy zakończył się proces tworzenia, nie odpowiadało zamówieniu. Dostała długą, wielobarwną cygańską spódnicę, kowbojskie buty i koronkową bluzkę, która ciasno opinała jej biust. I naturalnie, jak pomyślała z rozdrażnieniem w reakcji na ironiczne poczucie humoru miasta, kowbojski kapelusz, w łazience znalazła grzebień i rozczesła długie, jasnobrązowe włosy, opadające na opaloną twarz i orzechowe oczy. Nie wyglądała tak przez długie lata. W mieście wygląd zewnętrzny był traktowany jak ubiór lub dekoracja - powłoka, którą można zmienić na życzenie. Teraz Danya wróciła do postaci przypisanej na stałe.

Ubrała się i przymierzyła kapelusz. Wtedy drzwi się rozsunęły. Zamarła.

Ale to był tylko Kowboj.

- Dobrze. Chodź ze mną. - Wyciągnął dłoń.

Pospiechali przez zrujnowane, opustoszałe place i mokre rumowiska. Gdzieś płakało dziecko. Danya i Kowboj przyłgnęli do ściany na widok ubranych na czarno intruzów.

W końcu udało im się dotrzeć do jednej z nienaruszonych wież. Wspięli się po schodach, mijając kilka zakrętów. Danya położyła dłoń na klamce, ale drzwi prowadzące na dach nie ustąpiły. Kowboj sięgnął jednak do klamki i przekręcił ją bez trudu.

Znaleźli się w małym, owalnym pomieszczeniu.

Za plecami kobiety mężczyzna głośno westchnął z ulgą.

- Wygląda na to, że nic nie zostało zniszczone. Podeszedł do konsoli i usiadł. Na głowę założył słuchawki i zaczął ustawiać pokrętła.

- Skoncentruj się - wymruczał do siebie. - Nie pozwól się opętać...

Danya usłyszała dziwne piski i świsty, w pokoju rozbłysły światła. Kowboj przesunął parę przełączników, wcisnął kilka guzików, a potem przybliżył się z krzesłem do klawiatury i szybko coś wpisał.

- Czy to jest radio? - zapytała go, nie odrywając wzroku od okna, za którym widać było las anten. Uświadomiła sobie z lękiem, że urosła bardziej, niż się spodziewała. O wiele, wiele bardziej...

- Myślałam, że radio nie działa.

Kowboj nie odpowiedział. Albo był zbyt zajęty, albo jej nie usłyszał.

W tym miejscu wyglądał inaczej. Coś się zmieniło w jego postawie, w wyrazie twarzy. Wydawał się starszy, o wiele starszy.

Rozejrzała się po pokoju, usiłując znaleźć jakieś wskazówki, które pomogą jej ustalić, kim Kowboj jest naprawdę.

Na północnej ścianie wisały półki pełne dziwacznych urządzeń. Radia. Bardzo stare. Danya widywała podobne w dzieciństwie, w Chattanooga, u babci i dziadka. Jeden z odbiorników w kolekcji Kowboja nosił nazwę Arvin, a srebrna tabliczka poniżej głosiła, że urządzenie wykonano w 1939 roku. z lewej strony w radiu zamontowano kratownicę głośnika, z prawej znajdowało się małe okienko i dwa pokrętła, kształtem przypominające żołędzie. Zdumiewające starocie. Danya podniosła z półki inne, o wiele mniejsze urządzenie i przyjrzała się z bliska. Sygnatura na tabliczce informowała, że jest to PHILCO SEVEN, WYPRODUKOWANY W 1959 ROKU DLA ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ I UŻYWANY PRZEZ WOJSKO PO ROKU 1960. Radio miało plastikowe pokrętła w kolorze kości słoniowej i okrągły głośnik, z boku wystawał kabel ze słuchawkami.

Nagle usłyszała kroki na schodach.

- Ktoś tu idzie! - wyszeptała, potrząsając Kowboja za ramię, dopóki nie zwrócił na nią uwagi. Stanowczym ruchem przycisnął przełącznik i zdjął słuchawki.

- Co?

- Ktoś idzie. Usłyszałam jakieś głosy za drzwiami. Oboje zaczęli nasłuchiwać, z oddali dochodził huk eksplozji, ale bliżej rozlegał się stukot kroków zmierzających w dół.

- Prawdopodobnie idą po materiały wybuchowe. Teraz mamy szansę.

Danya wyprzedziła towarzysza przy schodach. Ostrożnie wychylili się zza załomu korytarza, by sprawdzić niższą kondygnację.

- Wrócisz tu? - zapytała.

- Nie. Wysłałem już sygnał. Czas iść.

- Jaki sygnał?

- Nazywam go „Budzik”. Sygnał, który nadawany jest stale w pętli. Większość przekazu prawdopodobnie się rozproszy, ale mam nadzieję, że transmisja dotrze jednak tam, gdzie chcę. Może się uda. A może nie.

- Ty naprawdę jesteś Radiokowbojem!

- Rzeczywiście - przyznał. - Nawet teraz wolałbym zostać na górze przy radioodbiorniku. Chodźmy. Mamy dużo do zrobienia.

- To znaczy co?

- Musimy się przygotować do podróży.

- Dokąd się wybieramy?

- Do Houston.

- Dlaczego właśnie tam?

- Chcesz iść czy nie?

- A mam wybór? Chcę wiedzieć po co.

- Miasto Półksiężycy straciło ważne dane z systemu nawigacyjnego, może nawet cały system nawigacji. Mam nadzieję, że znajdę go w Houston. Albo znajdę kogoś, kto pomoże go zrekonstruować. Tobie też powinno na tym zależeć.

- Co to za system nawigacyjny?

- Nie wiesz? - Twarz mężczyzny straciła wszystkie cechy Kowboja. Wyglądał teraz staro i ponuro. - Na pewno słyszałaś. Miasto Półksiężycy zmieni się w statek kosmiczny. Metamorfoza została zainicjowana tuż przed atakiem. Rzecz jasna, proces został wstrzymany i spowolniony, ale po naprawieniu szkód miasto podejmie go znowu. Może nawet zabierze ze sobą tych napastników. I najlepiej niech wyrzuci ich na Wenus.

- Oby. - Danya wzruszyła ramionami. - Tak, coś wiedziałam o przemianie miasta.

Nadal nawet coś pamiętam. - Westchnęła. - Nie podoba mi się ta sytuacja.

- Mnie również. - Głos mężczyzny też brzmiał starzej. Nie tak zuchwale i dźwięcznie jak wcześniej. Był pełen namysłu, jakby mówiący ważył każde słowo, zanim je wypowie. - Muszę opuścić miasto. Ale ty masz wybór. Możesz zostać, jeśli chcesz. I jeżeli wszystko pójdzie dobrze, prawdopodobnie będziesz mogła odzyskać dawną postać już za kilka tygodni. Tylko... nie wiem, jak sobie poradzić... Bardzo trudno jest... utrzymać koncentrację...

Danya wychyliła się i spojrzała z góry na zrujnowane miasto.

W młodości bardzo tęskniła za kontynentem. Południe. Memphis, Nowy Orlean. Mówiono, że wszystko się tam zmieniło. Że wybrzeża się cofają, zalewane przez morza. Że zatoneła nawet część Antarktydy.

Ale to był wytęskniony ląd, prawdziwa ziemia. Uświadomiła sobie, że od lat nie postawiła stopy na prawdziwym lądzie.

- Możemy to ze sobą zabrać? - Uniosła ręce, w których wciąż trzymała philco seven z Midway.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno. Zrozumiała, że to radio coś dla niego znaczy.

- Jasne, czemu nie? - Wziął urządzenie i otworzył obudowę z tyłu. - Jest dobre. Zawsze pilnowałem, żeby miało naładowane baterie. Tak na wszelki wypadek.

*

Danya i Radiokowboj opuścili Miasto Półksiężycą nocą. Gdy odchodzili, zapalały się światła - częściowo były to płomienie, jeszcze nieugaszone przez system zraszaczy.

Żeglowanie było trudne, wiatr spychał ich z kursu, więc dotarcie do wybrzeża zajęło im dwanaście dni. Jeszcze dłużej trwało, zanim znaleźli się w Teksasie.

Po tym wszystkim prawie już nie pamiętali, po co właściwie tam przybyli...

ARGENTYNA

PÓŁ ROKU WCZEŚNIEJ

Ta, która snuje opowieści, panuje nad światem.

Hopi

Bajarka: Angelina

Niedziela - dzień, w którym życie Angeliny legło w gruzach - od rana była nieprzyjemna.

W niedziele Angelina sypiała do późna, wstając dopiero z pierwszymi promieniami słońca, a nie wtedy, gdy panowała jeszcze ciemność. A Louis, jej siedemnastoletni syn, budził się nawet później. Codziennie, ku rosnącemu rozgoryczeniu matki.

Szybko wygładziła szlafrok, po czym zbiegła po ozdobnych schodach rodzinnej posiadłości, zbudowanej jeszcze w osiemnastym wieku.

W kuchni chłodne płytki podłogi wyziębły jej nagie stopy, rozbudzając ją całkowicie. Za oknem świt rozbłysnął nad pampą, barwiąc różem ośnieżone mimo lata stoki gór, które wyznaczały granicę ziem należących do rodziny Angeliny.

Kobieta otworzyła masywne drzwiczki wielkiego kafłowego pieca, sprowadzonego z Hiszpanii przez jednego z odległych przodków, chwyciła żeliwną szufłę i obróciła żarzące się węgle. Zerknęła do białego, emaliowanego czajniczka, by się upewnić, że jest w nim woda.

Justo - pies obronny, ogromna, czarna bestia - zaczął drapać w drzwi, więc wpuściła go do środka. Zwierzę przywitało się wylewnie, po czym napiło się z miski, rozchlapując wodę, aż wreszcie opadło na poduszkę przy piecu.

W dolinie zabrzmiał donośnie dzwon oznajmiający poranną mszę. Angelina wyobraziła sobie wiernych wypowiadających słowa modlitwy powszechnej. Nie na darmo matka zabierała dorastającą córkę do kościoła cztery razy w tygodniu.

Boże, ochroń nas
od złych, maleńkich maszyn,
i od plag,
Które mogą nas przemienić.
Ochroń nas od zła wszelkiego,
Abyśmy mogli po śmierci
Dostać Zbawienia przez Twoją łaskę
Na wieki wieków...

Wracając do sypialni, pośpiesznie wkładała džinsy, gruby wełniany sweter i wysokie, czarne buty z wytłoczonymi różyczkami, które dostała dawno temu od babki. Długie, czarne włosy związała w niski kok. Schodząc na dół, miała ochotę zapukać do sypialni Louisa, ale się powstrzymała. To by go tylko rozzłościło, a Angelina miała dość kłótni.

Syn obwiniał ją o to, że ojciec odszedł kilka lat temu. Chociaż to nie była niczyja wina. Angelinie brakowało czasem Manuela, ale nie umiałaby do niego wrócić. Miała na głowie ranczo, szczególnie teraz, gdy pojawił się kryzys - i tym przede wszystkim musiała się zająć. Syn nie potrafił zrozumieć, że między Angeliną i jego ojcem nigdy nie było czegoś, co można nazwać tradycyjnym związkiem - niczego, czego oczekiwał Louis, żadnej bajki ze standardowym „żyli długo i szczęśliwie”. I w końcu dokąd odszedł Manuel? Do Barcelony? Mediolanu? Angelina nie miała pojęcia. Na pewno nie pojechał do środkowej Europy - do Francji czy Niemiec. Tam wszyscy znikali bez wieści. A Manuel przez kilka miesięcy przesyłał sporadycznie wiadomości z Maroka, zanim całkiem zamilkł.

Angelina nie wyglądała na swoje sto lat z kawałkiem. Czuła się zdrowa i pełna wigoru. Louis był zaskoczony, ale jemu akurat się to podobało, chociaż mieszkańcy doliny za plecami nazywali ją Wiedźmą, o czym zresztą doskonale wiedziała. Ci bardziej oświeceni opuścili te strony przed wielu laty, pozostali jedynie tacy, którzy nie mieli dość odwagi, by zmierzyć się ze światem.

W kuchni z czajniczka uniósł się strumień syczącej pary. Angelina wyszperała i otworzyła poobijaną puszkę, na której widniało stare zdjęcie banku jej ciotki z Buenos Aires. Wsypała garść suszonych ziół *mate* do czajnika i odstawiła, by się zaparzyły. Na gorącą płytę położyła dużą, masywną patelnię, by usmażyć ostre czosnkowe kielbaski *chorizo*. Jedną rzuciła psu - Justo chwycił kąsek i natychmiast połknął.

Pięć minut później Angelina naląła sobie *yerba mate* i usiadła na krześle z wysokim oparciem. Nogi w czarnych butach wsparła na parapecie i popijając ziołową herbatę spoglądała w zamyśleniu na wysokie, ośnieżone turnie.

To było jej niedzielne nabożeństwo. Angelina wiedziała, że jej matka czułaby się rozczarowana. Tym bardziej, że miałyby świadomość, iż to wina ojca, który przebudził duszę córki, ale nie przekonał jej do kościoła.

Kiedy miała pięć lat, ojciec uznał, że jest wystarczająco duża na wyprawę w góry. Zabrali podstawowy ekwipunek w plecakach i ruszyli w drogę w towarzystwie dwóch tragarzy, pomocników z rancza. Dojście do podnóża pasma Alta Chica, które widziała za oknem, zajęło trzy dni. Tragarze rozłożyli główny obóz u stóp wodospadu. Angelina pamiętała, że matka, która nigdy nie podróżowała bez służby i spędzała każdego ranka kilka

godzin na robieniu makijażu i fryzury, bardzo się niepokoiła. Ojciec zapewne nie zabrałby córki na całodniową wspinaczkę przez kłujące zagajniki kosodrzewiny na zimny szczyt, ale tym razem Angelina go przekonała. Doszli prawie na samą górę. Cóż za widok się stamtąd rozciągał! Po wypiciu gorącej czekolady z termosu ojciec pokazał jej, odkąd dokąd rozciąga się ich posiadłość.

- Zdobyliśmy tę ziemię na długo przed tym, zanim powstała Argentyna - powiedział Angelinie. - Tam jest Stary Łysielec. Widzisz? Tam, aż za doliną, gdzie nie ma żadnych drzew. Na samym szczycie znajduje się żelazny krzyż, a pod nim zakopany jest żelazny pierścień. A teraz spójrz na Północ. - Delikatnie obrócił córkę we właściwą stronę, stojąc za jej plecami i trzymając za ramiona. Czowała ten uścisk przez ultracienkie warstwy termoizolacyjnego ubrania do wypraw wysokogórskich. - Widzisz te trzy wyszczerbione szczyty? Tak, właśnie tamte. Tę górę nazywają Psi Pysk. I od tego środkowego zęba do krzyża i pierścienia rozciąga się nasza ziemia, w domu mogę ci pokazać akt nadania od króla Hiszpanii. Oczywiście, mamy to też zeskanowane, pliki są w komputerze.

Jego powaga i spokojny, niski głos sprawiły, że Angelina chłonęła każde słowo z najwyższą uwagą.

- Na pewno słyszałaś o *El Silencio*. Nadeszło, zanim się urodziłaś. Wtedy jeszcze mieliśmy radio i telewizję nie tylko sporadycznie. Ale od czasów twojego dziadka wszystko zaczęło się bardzo szybko zmieniać. Ta ziemia była jednak nasza, zanim wynaleziono radio i telewizję. I nieważne, co się stanie, zawsze będzie nasza. Twoja, twoich dzieci, dzieci twoich dzieci. Na tobie i na nich spoczywać będzie odpowiedzialność, by pozostała w rękach rodziny.

Wioska nadal jest od nas zależna. A twoi wujowie po studiach zostali w mieście. To dobrze. Dzięki temu mogą pomóc rodzinie w wielu sprawach.

Sporo się teraz zmienia, i tu, i na całym świecie. Mam nadzieję, że zmiany nie obejmą się z nami zbyt surowo, w każdym razie pozostanie ci niewiele wspomnień o świecie, jaki był. I może dzięki temu poradzisz sobie lepiej niż ja. Jesteś moją najstarszą córką i - westchnienie ojca odbiło się echem w umyśle Angeliny - może jedynym moim dzieckiem. I ufam, że pokochasz tę ziemię równie mocno jak ja.

Pokochała. Dzisiaj wioska była nawet bardziej od niej uzależniona. Choć Angelina nie należała do osób poświęcających się rozmyślaniom i refleksjom, umiała dostrzec ironię losu, jaka spotkała farmerów. Rancza przetrwały rewolucję nanotechniczną praktycznie nietknięte, ale znalazły się na krawędzi upadku przez zwykły wirus, który niszczył trawę na pampach - trawę, którą jakiś idiota spod Cordoby wysiał na tysiącach hektarów. Podobno ta

udoskonalona genetycznie odmiana miała być lepsza od dzikiej, bardziej odporna na suszę i takie tam... I właśnie ten nowy gatunek trawy rozplenił się na pampach.

A teraz umierał i bydło nie miało co jeść.

Rozległo się pukanie do masywnych drewnianych drzwi.

Angelina poderwała się zaskoczona. Justo zmienił się natychmiast w powarkujące i szczekające tornado, ale gdy w drzwiach stanął Carlos, uspokoił się i wrócił na posłanie.

Carlos był zarządcą. Wychował się przy rodzinie Angeliny. Wizyta w niedzielny poranek nie należała do zwyczajnych.

- Wejdz, usiądź - zaprosiła go. - Co się stało?

Nie ruszył się. Zdjął tylko kapelusz i teraz miętosił go w dłoniach.

- Te zbiorniki to nie jest dobry pomysł.

- Przecież już o tym rozmawialiśmy...

Wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, że to będzie tak szybko. Gauczowie nie mieli czasu, by się oswoić z tym projektem...

- No cóż, będą musieli. Albo niech zaczną myśleć o przewodźce do Buenos Aires.

Ciche westchnienie, jakie wyrwało się z ust Carlosa, było jedynym komentarzem na temat absurdalności takiego rozwiązania. Nikt w wiosce nie odważyłby się o tym nawet pomyśleć. Zwłaszcza że pięćdziesiąt lat wcześniej Buenos Aires przemieniło się w miasto pełne nowych i przerażających technologii.

Angelina użyła dobitniejszego tonu, by zacytować:

- „Zbiorniki do wytwarzania wołowiny wprost z pamp w Argentynie”. I te zbiorniki już mi dostarczono, Carlos, odebrałam je i upewniłam się, czy wszystko w porządku, chociaż instrukcja obsługi jest po japońsku. Nie wiem, dlaczego gauczowie tak wariują. Na szczęście zbiorniki przetrwały długą Podróż z Japonii nieuszkodzone. - Zaśmiała się. - To trwa wieki. Wiesz, jak ciężko pracowałam, Carlos, żeby zatrzymać pociąg i dokonać rozładunku jak najbliżej domu. Ale udało się znakomicie. Zanim nabierzemy wprawy w obsłudze, mogę posłać gauczom instruktora...

Carlos potrząsnął głową.

- Za wiele zmian... Oni się boją. Nie chcą żadnego z tych... tych mechanizmów do nauki. Poza tym nie zechcą pożegnać się z jazdą konną, skoro spędzali w siodle całe dni.

- To wstyd, że chcą pozostać ignorantami. Byłoby wspaniale, gdyby zrozumieli choć tyle, że zbiorniki są konieczne. Będą musieli nauczyć się tylko obsługi. Do zbiorników dołączono obszerne podręczniki i instrukcje.

- Nie możesz oczekiwać, że potomkowie gauczów łatwo rozstaną się z końmi, señora. Chyba nie oczekujesz, że i ja będę spędzać cały dzień pod dachem, prawda?

- Przygotowałam projekt dotyczący dzikich traw, jakie wysialiśmy na południe od *arroyo*. To powinno wystarczyć, by utrzymać ostatnie stado do przyszłego roku. Ale i my musimy jeść. A zyski może nam przynieść tylko handel, Carlos.

- Gauczowie w tej chwili pewnie modlą się za twoją duszę.

Angelina roześmiała się.

- A co to jest dusza? Dusze moich wujów żyją w ogromnej maszynie nazywanej Buenos Aires i są obsługiwane przez gigantyczne Pszczoły. Moja matka wierzyła, że dusze jej rodziców żyją w posągu Dziewicy Marii, stojącym na ołtarzyku w holu. Przynosiła tam codziennie świeże kwiaty. Zapewne dusza jednego z moich krewnych pozostała gdzieś na Marsie. Albo poza nim, gdzieś tam, gdzie chciała się znaleźć po śmierci.

- To niezbyt mądre mówić takie rzeczy. - Głos Carlosa brzmiał chłodno i chrapliwie. - Dobrze, że nikt oprócz mnie tego nie słyszy. Szczególnie odkąd odszedł twój mąż. Nawet twój syn cię lekceważy.

To zdumiewające - pomyślała Angelina - jak bardzo odejście jednego mężczyzny, nawet mężczyzny, który nie był do niczego potrzebny na ranczu, może zaważyć na szacunku i pozycji.

Zdumiewające i niezmiernie denerwujące. Nie zamierzała zniżać się do tłumaczeń, dlaczego Manuel wyjechał, nawet dla Louisa - no, w każdym razie nie więcej niż jeden raz - a tym bardziej dla Carlosa czy kogokolwiek. Nigdy w duchu nie uważała, że mąż odszedł, ponieważ miał kompletnego świra na punkcie czegoś, co nazywał „kulturą”.

- Myślę, że powinieneś już odejść - powiedziała.

Carlos skłonił się nieznacznie.

- Przepraszam. Proszę mi wybaczyć. - Włożył kapelusz.

- Powiesz mi, co się naprawdę stało, Carlos?

- Nic, señora. - Odszedł.

Angelina zastanawiała się, dlaczego skłamał.

Godzinę później była w sypialni i dopinała ostatnie guziki skórzanej kamizelki. Miała zawieźć siano dla niewielkiego stada, jednego z nielicznych, którym udało się przeżyć, Dwanaście sztuk. Znalaziono je około sześciu kilometrów stąd. Ociągała się najdłużej, jak mogła, w nadziei, że Louis się obudzi i zechce do niej dołączyć. Mogliby wreszcie spokojnie porozmawiać... z rozmyślań wyrwało ją łomotanie do drzwi frontowych. Wybiegła na antresolę, skąd widać było hol.

Louis wypadł ze swojego pokoju i zbiegł po schodach. Jak zwykle miał na sobie zupełnie nieodpowiedni strój. Bez wątpienia spał w tym ubraniu. Warkoczyki miał rozrzucone, niektóre rozplecione, a pod płytkie buty nie włożył skarpet.

- Kiedy wstałeś? - spytała Angelina, ale jej pytanie odbiło się echem od pustego korytarza.

Zignorował ją jak zwykle i podszedł do drzwi, zanim matka zeszła ze schodów.

- Zaczekaj! Ja otworzę! Ile razy...

Zamarł i spojrzał w jej stronę, z pogodnej niegdyś twarzy ostatnie ślady dzieciństwa starło odejście ojca. Teraz było to oblicze szczupłe, surowe, o ostrych rysach - dorosłe. Na moment zastygła na schodach, uświadamiając sobie nagle, jak bardzo syn się zmienił.

I w tej chwili go straciła.

Odwrócił się, by otworzyć drzwi.

Uwagi Angeliny nie uszło, że nawet on był zaskoczony, gdy w drzwiach ukazała się kobieta w uniformie. Listonoszka z Buenos Aires, w dłoniach trzymała niewielką paczkę.

Angelina miała wrażenie, że zmiany, jakie nadeszły w ciągu ostatnich miesięcy, narastają. I za każdym razem są to zmiany na gorsze. Poczowała nieoczekiwane zdenerwowanie. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

Kuriera w każdym razie się nie spodziewała. Już raczej jakiegoś dezertera z wojska albo nieokrzesanego gauczo, żądającego z nieskrywanym gniewem prywatnej audiencji. Ale nie tej kobiety, która przyniosła paczkę, poprosiła Louisa o podpis, a potem odeszła, skinąwszy głową i obróciwszy się na pięcie.

- To od taty! - wykrzyknął. Angelina była wystarczająco blisko, by zobaczyć pobielełe kłykcie, gdy kurczowo ścisnął przesyłkę.

- Jak widać. - Jej głos brzmiał oschle. - Zdaje się, że jest teraz w Paryżu. Miło z jego strony, że dał nam znać. - Sięgnęła po paczkę. - Daj mi to.

- Nie! - Chwycił nóż do papieru, rozciął taśmę i otworzył pudełko.

- Książka! - Przez twarz Louisa przemknął cień rozczarowania. - To tylko książka...

Jeżeli od Manuela, to na pewno nie „tylko”. Ojciec Louisa miał wyjątkowy talent do utrudniania sobie życia przez stawianie przeszkód i trudności tam, gdzie być ich nie powinno.

- Mogę spojrzeć?

Wręczył jej książkę tylko dlatego, że przesyłka była zaadresowana do niej, nie do niego.

Gra w klasy. Dość opasły tom autorstwa niejakiego Julio Cortáзара. Nigdy nie słyszała ani o tym tytule, ani o autorze. Książki od dawna były raczej niemodne, ale Manuel za nimi

przepadał.

- Żadnego znaku życia przez prawie rok, a teraz to. Widzisz, jak mało go obchodzimy.

Spojrzenie Louisa wyrażało dezaprobatę i pogardę.

- Nic nie rozumiesz! - Wyrwał jej książkę i uciekł do pokoju.

- Louis! - postąpiła krok za nim, ale wtedy ponownie rozległo się pukanie. Unosząc brwi, skierowała się ku drzwiom.

Tym razem była to kobieta z wioski. Przyszła powiedzieć, że jej dziesięcioletnia córka znalazła martwego wołu, i zapytać, czy znalazcy mogą wziąć sobie mięso.

Kiedy wróciła z pastwisk, była prawie północ. Była potwornie zmęczona. Poszła prosto do łóżka, ale o czwartej rano nagle się obudziła.

Otworzywszy oczy, natychmiast sprawdziła, która godzina. Bezsensowność i znajomość faz Księżyca nauczyły ją bezbłędnie rozpoznawać porę nocy i teraz noc przemówiła do Angeliny językiem światła, tego światła, które malowało wzory na skórze stojących w cieniu butów i zalewało sypialnię blaskiem bijącym z tarczy w pełni. Angelina miała czujny sen, potrafił ją obudzić nawet najwykleszy cichy odgłos, o jaki nietrudno w domu. Wracła wówczas do stanu jawy i z rozdrażnieniem zabierała do czynności, które powinno się wykonywać w dzień, ponieważ, niestety, wymagają skupienia i uwagi, w ten sposób zazwyczaj czekała na świt. A potem ruszała do pracy, spoglądając na świat zamglonymi, czerwonymi oczyma.

Nigdy nie umiała zasnąć, gdy już się obudziła. Niepokoiła się - śmiercią traw, rosnącą wrogością gauczów, a przede wszystkim - niepokoiła się o syna.

I Manuela.

Westchnęła i rozsunęła zasłony, a potem włożyła szlafrok i ciepłe pantofle. Zeszła po schodach do salonu i włączyła lampę obok krzesła, na którym lubiła przesiadywać.

Postanowiła przejrzeć książkę, może trochę poczytać.

O, właśnie. Na stoliku do kawy leżała *Gra w klasy*, otwarta na ostatniej stronie.

Do wewnętrznej okładki przytwierdzone były dwie niewielkie koperty z przezroczystego plastiku. Na jednej starannie wykaligrafowano LOUIS, na drugiej ANGELINA. Wewnątrz znalazła nieduży skrawek, przypominający papierowy znaczek. Wiedziała jednak, że to nie papier, lecz żel. Koperta Louisa była pusta.

Angelina ciężko opadła na krzesło.

Czy Manuel zwariował? Zawsze był wyjątkowo nieodpowiedzialny. Nie chciała narażać syna na kontakt z tego rodzaju rzeczami; nie wtedy, gdy jeszcze dorastał. Ta

obłąkańcza kultura informatyczna, która coraz bardziej oddalała się od rzeczywistości i coraz mniej miała wspólnego z realnym światem, była zbyt potężna, zbyt przygniatająca, nawet dla ludzi dorosłych i dojrzałych. Czego oczywistym przykładem był Manuel. Zapewne nie zadał sobie nawet trudu, by pomyśleć, co robi, wysyłając Louisowi zaproszenie do Paryża.

Odejście Manuela nie było nagłą zachcianką. Między nim i Angeliną nie stanęła żadna kobieta, nie było tej trzeciej, ani też żadnych kłótni i nieporozumień. Tylko jeden, stary jak świat powód: za bardzo się od siebie różnili. Najpierw te różnice sprawiały radość, stanowiły wzajemne dopełnienie. To jednak było wiele lat temu, gdy się poznali i spędzili razem kilka dziesięcioleci, a także przez piętnaście lat po przyjeździe na świat Louisa.

I to, co ich różniło, spotęgowało się w ich synu...

Angelina nie miała czasu do stracenia. Chwyła książkę i pobiegła na górę.

Łóżko Louisa było puste.

Zapaliła światło.

Na posłaniu leżał liścik.

Wyjeżdżam spotkać się z Tatą. Poprowadzi mnie Gra w klasy. Resztę zostawiam Tobie, choć wiem, że nienawidzisz mnie i Taty. To dlatego trzymałaś mnie z daleka od tego piękna. Proszę, nie jedź za mną. Jestem już dość dorosły, by dać sobie radę. Zostań tu, gdzie jest bydło, które tak bardzo kochasz.

Louis

Angelina zgmiotła kartkę w dłoni. Była pewna, że Louis opuścił ranczo zaraz po tym, jak pojechała do stada, prawdopodobnie około południa.

Powinna go dogonić. Pośpiesznie ruszyła do pokoju, by się ubrać.

I wtedy Justo zaczął szczekać. Coś było nie tak.

Kolejne głośnie szczeknięcie dochodzące z podwórka zagłuszył huk wystrzału. Angelinie wydawało się, że słyszy przekleństwo. Sięgnęła pod poduszkę, gdzie trzymała broń.

Wpadli do kuchni przed nią, nie troszcząc się o ciszę, gdy dostali się już do domu. Angelina zastanawiała się, czy zdają sobie sprawę, że jest zupełnie sama.

Nadal w koszuli nocnej wyszła przez okno na dach werandy. Natychmiast przeszło ją dojmujące zimno. Drewniane dachówki raniły jej nieobute stopy. Jedno spojrzenie wystarczyło, by się przekonać, że napastnicy przyjechali jeepem, nie może ich być zatem więcej niż czterech. Angelina zastanawiała się, z jak daleka pochodzą, w promieniu setek

kilometrów nie było bowiem żadnej stacji. Justo leżał na śniegu, prawdopodobnie martwy.

Na moment się zawahała. Zaraz jednak ostrożnie przebiegła po dachu, podtrzymując rąbek koszuli, i skręciła za róg. Rzuciła rewolwer na ziemię, a potem obróciła się i obiema rękami trzymając się krawędzi dachu, ostrożnie się opuściła i zeskoczyła. Zachwiała się przy lądowaniu.

Wewnątrz domu zabrzmiały wystrzały. Szczękając zębami chwyciła rewolwer i pobiegła do stajni. Po drodze zabrała uzdę i założyła koniowi. Wyprowadziła wierzchowca z boksu i dosiadła. Trzymając broń w prawej ręce, lekko uderzyła piętami w boki zwierzęcia, zachęcając je do zrywu. Pogałopowali przez uchylone wrota.

Angelina odwróciła się, gdy minęli werandę, i strzeliła do stojącego tam mężczyzny. Usłyszała krzyk.

- To za Justo - szepnęła, zawracając, by skryć się za stajnią.

I wyjechała prosto na szeregi mieszkańców wioski, zapalone pochodnie i lufy wycelowanych w nią strzelb. Na czele tłumu stał Carlos.

- A więc nie chodzisz do kościoła od czterdziestu lat? - zapytał jeden z żołnierzy, podczas gdy pozostali przeczesywali rumowisko, w jakie zmienił się salon. Najwyraźniej napastnicy postanowili zachować pozory, że działali w imię sprawiedliwości, dlatego zapewne sporządzali coraz dłużą listę zarzutów wobec Angeliny, jakby zabicie żołnierza nie wystarczało.

- Nie byłam w kościele chyba od siedemdziesięciu - odparła. - Czy to wbrew prawu?

- Gdzie twój syn?

- Też chciałabym wiedzieć.

Intruzi rozrzućili poduszki i pozrywali ze ścian półki, wysypując ich zawartość na podłogę, w bezładne stosy, jeden z mężczyzn i kobieta ze śmiechem podsycali ogień drewnianymi bibelotami. Angelina usłyszała słowo „krew” i wtedy zrozumiała.

Po raz pierwszy poczuła zimny dreszcz strachu.

Nienawidzili jej za to, kim była. A kim właściwie była?

Tylko Carlos. Tylko Carlos znał jej prawdziwą datę urodzin. Inni nie, ponieważ jej wuj i zarazem prawnik starannie ukrył ten fakt wiele lat temu. Ale Carlos wiedział, bo jego babka była akuszerką i to ona pomogła Angelinie przyjść na świat.

Tak... Ci ludzie po prostu nienawidzili jej z powodu tego, kim była. To wszystko. I co gorsza, bali się jej. Doskonale zatem się nadawali do wykonania tej brudnej roboty.

Myśli kłębiły się w głowie Angeliny. Zastanawiała się, czy Carlos i mieszkańcy wioski

przyłączyli się do napastników. Przez szerokie drzwi kuchni zauważyła, że zarządca siedzi przy stole i podpisuje jakieś papiery. Podniósł głowę, ich spojrzenia się spotkały, a potem Carlos szybko odwrócił wzrok.

- Szuja! - krzyknęła.

Kobieta, która podsycala ogień, odwróciła się natychmiast i uderzyła Angelinę w twarz.

- Zamknij się!

Jakiś mężczyzna zabrał z kuchni torbę i podsunął Angelinie. Wewnątrz był chleb, ser, nawet butelka wina. A zatem zamierzali ją nakarmić.

Pochyliła się i obojętnie, jakby to nie miało żadnego znaczenia, podniosła *Grę w klasy* leżącą obok rozbitej wazy. Wsunęła książkę do torby.

Pozwolili jej włożyć sweter i wyprowadzili na dziedziniec. Po związaniu rąk na plecach wepchnęli ją na tył jeepa. Samochód ruszył. Przejechali jakieś pięć kilometrów, nim znaleźli się przy głównej drodze. Wtedy się zatrzymali. Angelina zastanawiała się dlaczego.

- Spójrz za siebie, señora - powiedział kierowca, odwracając się w jej stronę. - Twoje wielkie rancho należy teraz do wieśniaków! Wróciło w ręce gauczów, do których zawsze należało!

Angelina w odruchu złości kopnęła żołnierza siedzącego obok. Nie pozostał jej dłużny. Bił mocno pałką, do krwi, aż straciła przytomność.

*

Obudziło ją uderzenie i wstrząs. Potwornie bolała ją głowa. Opuchlizna nie pozwoliła otworzyć jednego oka. Miejsce, w którym się zatrzymali, przypominało mały, opuszczony szpital.

Angelina poczuła złość, że nie umie dokładnie określić pory i miejsca, choć zwykle nie miała z tym problemów, w każdym razie, sądząc z drzew, znajdowała się gdzieś na północy i minęło już południe. Zresztą to nie miało znaczenia. Tak naprawdę doskonale wiedziała, gdzie jest - jak zwykle.

To był szok. Zawsze myślała, że orientacji w terenie nauczyła się, wędrując i poznając swoją ziemię oraz często podróżując do Buenos Aires i z powrotem jako młoda dziewczyna. Ale w tym miejscu Angelina nigdy nie była. A jednak wiedziała, jakie góry pojawiają się na południu, zanim jeszcze jeep skręcił za róg budynku; znała przełęcz prowadzącą na zachód...

Napastnicy popychali Angelinę ku betonowym schodom. Potknęła się i upadła po kolejnym szturchnięciu, ale roześmiała się w głos. To tylko niewielkie otarcie... Ponownie uderzono ją pałką i ponownie upadła. Znowu jednak się roześmiała, pomimo krwi krzepnącej

na dłoniach i czole. Ostrożnie potrząsnęła głową, a potem wprowadzono ją w głąb długiego, ciemnego korytarza.

Zanim to jednak nastąpiło, otarli jej krew, przechwalając się łupami. Chętnie powiedziałyby im, co myśli. Zależało im tylko na trofeach! Głupi, przeklęty Carlos!

Umieścili ją w pokoju z wysokim stropem i wąskimi oknami oraz zatartym malowidłem gór na ścianie. Mogła wziąć prysznic. Strugi zimnej wody zmyły krew, różowe nacieki znikły w odpływie. Twarz, jaką ujrzała w aluminiowym lustrze, miała siną barwę, podkreśloną głębokimi cieniami. Dzięki, Carlos! Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy mogła coś zrobić, by zapobiec temu, co się zdarzyło. Niestety, nie była Bogiem...

Uszy przeszył jej dźwięk o wysokiej częstotliwości, oscylujący w nierównych interwałach. Angelina szarpnęła się, szukając poduszki, koszuli, czegokolwiek, byleby zasłonić uszy. Przypomniało się jej dzieciństwo. Dostawała w takich chwilach mdłości, nie mogła jeść. Gdy dźwięk nieco ucichł, ukryła pod poduszką *Grę w klasy*; okazało się jednak, że nie ma to żadnego znaczenia - nikt do niej nie zajrzał przez cały dzień i najwyraźniej nikt nie zamierzał zaglądać. Kamer w pokoju również nie było, a pomieszczenie sprawiało wrażenie prymitywnego. Najwyraźniej porywacze ufali, że wysoki dźwięk wystarczy, by pozbawić ją orientacji i utrzymać w więzieniu.

Wkrótce stało się jasne, że jej strażnicy nie są wynajętymi naukowcami, jakich zawsze się obawiała. Kiedyś słyszała opowieści o ludziach takich jak ona, którzy trafili w ręce badaczy. Byli traktowani gorzej niż zwierzęta, poddawani testom, robiono nawet wiwisekcje, a przynajmniej tak głośniły plotki. To dlatego ojciec Angeliny i wuj tak bardzo starali się ukryć oficjalną datę jej urodzin. Bała się naukowców przez ponad trzydzieści lat, ale potem zainteresowanie ludźmi jej pokroju zmalało. Kogo obchodzili mutanci po tak długim czasie, odkąd *El Silencio* na stałe zagościło w rzeczywistości nowego świata? Czujność Angeliny także osłabła po latach.

Wyciągnęła książkę i zaczęła ją przeglądać.

Manuela spotkała na uniwersytecie, wiele lat temu. Był poetą, a przynajmniej patrzył na świat oczyma poety, pojmował go lirycznym umysłem, w inny sposób niż większość ludzi. Rzeczywistość splatała się dla niego i zmieniała według reguł jakiejś nadrzędnej, wyjątkowej gramatyki, której prawa Angelinie rzadko udawało się pojąć, mimo starań. Zarzucała Manuelowi, że staje się coraz bardziej szalony. Ona studiowała genetykę. Dzięki temu później mogła tak dobierać bydło, by uzyskać jak najlepsze wyniki hodowli, a także odpowiednio uprawiać pola, by wyżywić stada. Genetyka i inne dziedziny nauki przydawały się na ranchu - choćby inżynieria, marketing, a nawet podstawy nanotechnologii. Angelinę dziwiło zatem, że

ktos tak inteligentny jak Manuel traci noce i dni na czytanie czegoś równie bezwartościowego jak literacka fikcja. Angeliny nie interesowały losy i perypetie ludzi z książek. Jedyne, co było istotne, to świat realny.

Manuel jednak przeprowadził się na pampę, mieszkał tam razem z Angeliną przez kilkadziesiąt lat. Przeczytał tysiące książek, a potem coraz bardziej zdumiewającymi sposobami poszerzał wiedzę. Wreszcie na rok wyjechał do Buenos Aires, aby poznać najnowsze osiągnięcia techniki i informatyki - to one pozwoliły mu „czytać”, a raczej wchłaniać książki jednym dotknięciem, w końcu, pewnego dnia, Po prostu odszedł.

Angelina otworzyła książkę, z *TEJ STRONY* - przeczytała. A dalej: z *TAMTEJ STRONY*. I co to niby miało znaczyć?

Kartkując tom zauważyła, że na niektórych kartkach pojawiają się zaznaczenia. *Octavio Paz* - podkreślono na jednej ze stron, a niżej przeczytać można było wiersz, coś o tej i tamtej ulicy, potem znowu jakiś nonsens, że tylko mgła jest prawdziwa². Dokładnie to, co Manuel lubił.

Na tej samej stronie, na samym dole, znajdował się jeszcze jeden znaczek, „ptaszek” przytrzymujący żelowy listek, który mogła podważyć i złuszczyć, a potem włożyć do ust.

Była obeznana z takim sposobem przyjmowania danych i nawet niekiedy go stosowała. Zawdzięczała tę umiejętność ciotce, choć nie była pewna, czy jeszcze działa - ostatni raz odwiedziła Buenos Aires dwadzieścia lat temu.

Wszystko było zmienione i dziwne. Wuj Xenon należał do pierwszych zwolenników wdrożenia w Buenos Aires nowego systemu informacyjnego z pszczołopodobnymi tworam. Każdy, kto chciał się przyłączyć - według wuja znaczyło to: każdy, kto chciał przynależeć do przyszłości - mógł się poddać odpowiednim transformacjom za darmo. Wzbudzało to wiele podejrzeń. „Jeżeli bogaty człowiek chce dać coś za darmo, nie może to być dobre. To tylko jeszcze jedna z form wyzysku”. I dlatego wuj został zamordowany. Lecz o wiele wcześniej zadbał, by stać się częścią nowego systemu baz danych. I gniew wuja przeniknął do receptorów miasta, miotał się bezładnie i poddawał radykalnej transformacji każdego, kto

² Angelina czyta wiersz, który w przekładzie Zofii Chądzyńskiej brzmi następująco:

Moje kroki na tej ulicy

Dźwięczą

Na innej ulicy

Gdzie

Słyszę moje kroki

Idące po tej ulicy

Gdzie

Jedyną rzeczywistością jest mgła

znalazł się wystarczająco blisko, czy tego chciał, czy nie.

Angelina przypomniała sobie *Króla Kier*, film, który oglądała z Manuelem. Leżeli na kocu, gdy ekran zajaśniał i pojawiły się na nim charakterystyczne bąble, widoczne zwykle na początku taśmy. To był film o pensjonariuszu zakładu dla obłąkanych, który uwalnia stamtąd kumpla, szaleńca. Uważała na początku, że to strasznie głupia i naiwna historyjka, ta jednak okazała się jednocześnie naprawdę poruszająca. Taki właśnie był Manuel. Próbował wyzwolić Angelinę, przerzucić most nad przepaścią, sprawić, by ukochana spojrzała na świat przez pryzmat poezji, tak samo jak on...

Uniosła listek oznakowany jej imieniem i dotknęła go językiem.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Obrazy przeleciały jej przez umysł, niemal ją zmiądzły.

Opuściła znaczek i z trzaskiem zamknęła książkę. Była zła na siebie. Właśnie teraz musiała przecież pozostać przy zdrowych zmysłach.

Usłyszała jakiś dźwięk i wyjrzała przez okno.

Biała, poobijana półcieżarówka czekała w promieniach wschodzącego słońca. Jakiś więzień został wyprowadzony z budynku i wepchnięty na pakę.

Dowódca strażników, ten sam, który z niej kpił, zatrzasnął drzwi samochodu i podniósł sporą, zamkniętą skrzynię. Zapewne zawierała coś, co tutaj uchodziło za cenne. Może wyhodowane dzięki nanotechnologii diamenty, które wśród głupich, ciemnych wieśniaków nadal uchodziły za rzadkie i wartościowe kamienie szlachetne.

Zapewne spróbują to wszystko sprzedać za wysoką cenę... Angelina odwróciła się od okna.

Drzwi do jej celi otworzyły się z trzaskiem. Stał w nich jeden z żołnierzy. Niedbale wycelował strzelbę w jej stronę.

Angelina zerwała się. Zrobiła unik i bez trudu wyrwała z dłoni mężczyzny broń. Kompletny głupek. Stojąc za jego plecami, strzeliła, niemal nie celując. Zdażył jeszcze rzucić jej zaskoczone spojrzenie, jęknąć i zwalić się na podłogę, z rany na torsie zaczęła wypływać pulsująca krew.

Dwóch żołnierzy rzuciło się przez hol, ale Angelina zabiła ich, zanim zdążyli strzelić. Jeszcze jeden strażnik skrył się za załomem korytarza, a kolejni nadbiegali zza drzwi prowadzących na zewnątrz. Liczyła ich, strzelając. Była pewna, że ta banda wyrzutków liczy co najwyżej siedmiu ludzi. Wyglądali na zupełnie zaskoczonych. Angelina żałowała jedynie, że nie zdążyła dotrzeć do ciężarówki - gdy wybiegła, samochód wjeżdżał na drogę. Wystrzeliła w opony, ale nie trafiła.

Zabrała klucze jednemu z zabitych i ruszyła otwierać drzwi od cel. Więźniowie, zmieszani i zaskoczeni, wychodzili niepewnie, potykali się, a na ich postarzałych twarzach emocje zmieniały się jak w kalejdoskopie. Siła dotkniętego niedawno listka przepłynęła przez jej umysł pulsującą falą; wspaniałe, poetyckie bzdety, tak cenione przez Manuela.

- To właśnie *Król kier*] - zawołała patetycznie, rozkładając ramiona - Przebudźcie się, biedne dusze! A ja was nakarmię!

Nikt jej nie podziękował. Może więźniowie myśleli, że jest jedną z członkiń bandy, której nagle odbiło. Jak jeden mąż, rozbiegli się po szpitalu, chwytając po drodze jedzenie i próbując uruchomić jeepy. Jeden z mężczyzn od razu ruszył pieszo w kierunku gór, jak się wydawało Angelinie. Cóż - pomyślała - może ma poczucie kierunku i idzie do domu?

Właściwie nie obchodziło jej to ani trochę.

*

Kilka godzin później Angelina, po sutym posiłku i co najmniej litrze *mate*, a nawet odrobinie wina, usiadła na niskim murku otaczającym podjazd, gdzie leżały dwa nieruchome ciała. Nie czuła wyrzutów sumienia. Dla porywaczy stanowiła jedynie towar na sprzedaż, o ile cena będzie odpowiednia.

Czuła ulgę, że wysoki, przenikliwy dźwięk został wyłączony. Przyglądając się trupom, zauważyła, że mają w uszach zatyczki. Nic dziwnego, że tak późno zareagowali na strzały.

Ale co teraz?

Nieważne, co zrobią wieśniacy, gdy Angelina wróci do domu - i tak nie uda się wydrzeć jej ziemi, aktu własności nie może znieść nawet podpisany przez Carlosa nielegalny dokument, jaki spreparowali napastnicy. Ale czemu nie miałyby pozwolić, by gauczo przekonali się na własnej skórze, jak to jest prowadzić ranczo bez señory?

O, tak. Niech się przekonają, jak to jest.

Najwyraźniej nadeszła w życiu Angeliny pora na zmiany.

Nareszcie zrozumiała, jak podziałał na nią żelowy listek informacyjny. Rozbudził w niej pragnienie przeżyć. Nowych. Miała wrażenie niedopasowania. Tyle rzeczy działo się w książkach! A wszystkie - bez niej! Roześmiała się. Wróciły wspomnienia o Manuelu, silniejsze i bardziej wyraziste.

Angelina zabrała *Grę w klasy* i spojrzała na grzbiet i okładkę, na której widniały góry wznoszące się w oddali nad równiną.

To nie jest zwykła gra w klasy, uznała, w rzeczy samej, książka zawierała nie jedną powieść, lecz spory księgozbiór klasyki literatury latynoamerykańskiej. Był tam Borges. Gabriel Gárcia Márquez. Manuel powiedział kiedyś, że ma teorię, według której język tych

twórców otworzył przejście do wielu różnych wymiarów, wielu czasów i miejsc - w znacznie większym stopniu niż inne języki. Mąż wierzył, że kiedy dzieci uczą się hiszpańskiego, w ich umysłach rozwija się jednocześnie zdolność do panowania nad czasem i pojmowania go w zupełnie nowy sposób. Louis zapewne nie miał czasu, by to sprawdzić i zbadać - po prostu zabrał żel oznaczony jego imieniem i uciekł.

Angelina podniosła listek i połknęła. Miała nadzieję, że to będzie łatwiejsze niż tradycyjne czytanie. O to chodziło, prawda? Nigdy nie miała cierpliwości do czytania.

A teraz - czemu miałyby się cofnąć?

W ciągu kwadransa Angelina przyjęła informacje i dzieła, do jakich nawiązywała *Gra w klasy*: Heideggera, Maksa Plancka, Colemana Hawkingsa, Jelly'ego Rolla Mortona - prace, które zainicjowały intelektualną, naukową i artystyczną rewolucję prawie dwieście lat temu. Szaleńczo kartkowała powieść, Pochłaniając treści, pomimo że pojawiło się pulsujące nagłoco ostrzeżenie: *Proszę zapoznawać się z treścią według kolejności wybranej przez autora³, aby zakończyć proces odbioru!*. Cichy głos z innej kartki powtarzał: „Musisz mieć czas...”. Angelina przewróciła stronę i głos umilkł. Inny głos - starczy, oschły, powoli recytował wiersz. Słuchała go dłużej, zanim ponownie obróciła kartkę. I kolejne. Na końcu znajdował się załącznik. Tak, kompletny zbiór dzieł literatury latynoamerykańskiej, aż do 2040 roku. Continuum opracowań zalało umysł Angeliny, podsuwając tytuły jeden po drugim, aż do zawrotu głowy. Niedobrze przyjmować tak wiele w tak krótkim czasie!

- Ha!

To jest rzeczywiście Gra w klasy - powiedział program zawarty w żelowym listku od Manuela. - Zawiera wszystkie oryginalne dzieła, do których nawiązywał Cortázar. Nie umiałbym wymyślić prezentu lepszego dla ciebie i Louisa. Dziękuję, że zechciałaś go przyjąć, Angelino.

Na szczęście - pomyślała, patrząc na zachodzące słońce - poczekałam z przyjęciem upominku i wcześniej pozbyłam się strażników. Teraz, gdy znała już *Grę w klasy*, nie wyobrażała sobie, że mogłaby kogoś zabić. Że ktokolwiek mógłby. Na szczęście nie spieszyła się do lektury.

Odwróciła głowę i zamknęła oczy.

Manuel wiedział, że ta książka rozbija jej świat, otworzy go na czas inny niż terażniejszość, na różne czasy, jakie skrywała treść powieści. To była sztuczka - ale miła,

³ *Gra w klasy* tylko na początku winna być czytana w tradycyjny sposób, rozdział po rozdziale, zgodnie z porządkiem numerycznym, jednak w dalszej części autor założył inną kolejność, swoisty klucz, który wymaga, by najpierw przeczytać rozdział 73, potem 1-2-116-3, itd. (przyp. tłum.).

dobra, płynąca z miłości. Bo tylko miłość mogła złamać Angelinę. Ogarnęły ją wspomnienia, od dawna niemal zapomniane, a teraz przeżywane na nowo. Coroczne wyprawy z ojcem wzdłuż zbocza i górskich szczytów, po raz pierwszy usłyszana muzyka, przez którą cierpiała, zanim osiągnęła dojrzałość. Teraz stała się jej częścią, na równi z ciemnymi oczyma i długim, prostym nosem, choć wcześniej marzyła tylko o tym, by się jej pozbyć. Matka niejedną raz utyskiwała, że córka jest zbyt stanowcza, ale ojciec był dumny. Czegoż oczekiwała matka? Silna wola i stanowczość przydały się Angelinie.

Usłyszała muzykę. Pierwszy raz poświęciła uwagę dźwiękom zamiast się od nich odcinać.

Usiadła wśród pogłębiających się cieni, a dźwięki otoczyły ją i zmieszały - wszystko wokół zbladło, pozostał tylko krajobraz złożony z brzmień i tonów.

Przy światłach lampy włożyła jedyne czyste ubranie, jakie udało się jej znaleźć - mundur. Spakowała racje żywności i wyszła, biorąc jeden z wielu jeepów; najwyraźniej samochody miały dużą wartość dla bandytów.

Angelina dokładnie wiedziała, gdzie jest i dokąd chce się udać. Muzyka potężniała w niej, gdy w ciemnościach prowadziła pojazd po zboczu wzdłuż brudnej drogi, która kiedyś była korytem strumienia. Urywki wierszy wirowały jak gwiazdy w umyśle kobiety. Słyszała głos Pabla Nerudy. Przespała się w budynku przy ujęciu wodnym, jakieś pięćdziesiąt kilometrów przed Buenos Aires.

Wczesnym rankiem znalazła się w miasteczku. Nadal miała na sobie niebezpieczne, wojskowe ubranie, w głowie pulsowały jej rozdziały książki, słyszała jedynie własne kroki, odbijające się od ścian budynków, na których bladło graffiti. Skierowała się do centrum, gdzie u przestraszonej kobiety zamówiła filiżankę kawy. Gdy wyszła, z każdym krokiem czuła, jak blednie przeszłość, jak roztrzaskują się w pył wartości cenione przez przodków Angeliny.

Po raz pierwszy czuła, że żyje. O wiele bardziej intensywnie, niż mogłaby sobie wyobrazić. Jaśniejące proteiny dźwięków sprawiały, że czuła się jak rozkwitająca roślina.

Zatrzymała się na rogu, a potem skręciła.

Matka hodowała kiedyś łabędzie w jednym ze stawów. Angelina lubiła obserwować ich taniec. Ptaki rozpoznawały partnerów podczas powtarzanych jak w lustrze, majestatycznych ruchów. Angelina była tylko jedna. A ptaki naśladowały ruchy - jeden od drugiego. Ale ona była sama. Słuchała ptasich okrzyków jak ulubionego przeboju. Wcale się nie różniła od ludzi - myślała w takich chwilach. Sprawy, o których nic nie wiemy, oplatają nas. Niewolą.

Ale uczucia były silniejsze.

To znaczyło, że Angelina musi się otworzyć i pozwolić, by poezja wbiła się w jej życie jak przypadkowo wystrzelone z łuku strzały.

A przede wszystkim znaczyło to, że musi przejść na drugą stronę.

Jestem twoją marionetką

Na przedmieściach Buenos Aires było pełno policji. Radiowozy przejeżdżały w tę i z powrotem uliczkami, przecinając ciemność błyskającymi światłami i rozdzierając ciszę komunikatami z megafonów. Angelina obserwowała zamieszanie, skryta w cieniu wejścia do sklepu, aż światła znikły za zakrętem.

Po długiej podróży czuła się trochę roztrzęsiona. Jakieś dwie kobiety ukradły jej jeepa, gdy poszła w krzaki na poboczu autostrady. Zaskoczyły ją kompletnie, w efekcie ostatnie dziesięć kilometrów, mniej więcej, musiała przejść pieszo. Do granic miasta dotarła około północy.

Burczało jej w brzuchu. Prawie od dwudziestu czterech godzin nie miała nic w ustach. Pamiętała, że kiedyś nawet na rogatkach można było znaleźć jakąś przytulną kafejkę, ale widok na ulicach, gdzie zazwyczaj rozbrzmiewała muzyka i przechadzały się zakochane pary, wprowadził ją w zakłopotanie. Nie było żadnego łagodnego przejścia, po prostu od razu wpadało się w sieć dzielnic, choć centrum oddalone było co najmniej o kilometr lub dwa. Hałas i groźne błyski świateł radiowozów zniknęły, ale w każdej chwili mogły wrócić.

Angelina przyjrzała się niskiemu budynkowi z cegły, wznoszącemu się po drugiej stronie ulicy, w ani jednym oknie nie pojawiło się światło, być może mieszkańcy poszli już spać.

Może się pokłócili. A może uprawiali miłość i zjedli późną kolację. Może dzieci - Pablo, który ma pięć lat i...

Otrząsnęła się z zamyślenia. Miała w umyśle imiona dzieci, ich twarze, ciemne włosy i piegi, знаła ich psoty. Dziewczynka tropiąca ślady wuja, który zwykł mierzwić jej włosy tak samo, jak wcześniej włosy swojej siostry i matki dziewczynki. Wspomniała ze smutkiem dzień, gdy wuja zamordowano - deszczowy dzień, kiedy wybrała się na zakupy i kupiła poduszkę z belgijską koronką...

Najwyraźniej zdystansowała *Grę w klasy* i teraz wszystko, każdy bodziec, przekształcała odruchowo w opowieść. Te nieopowiedziane, pojawiające się w różnych wersjach historii były jak klątwa!

Angelina zadrżała w chłodnym, nocnym powietrzu. Samochody zawracały, grzmiące słowa dobywające się z megafonów stawały się coraz głośniejsze.

Cofnęła się o kilka kroków w pobliską alejkę. Gdy ruszyła wzdłuż wąskiej uliczki, światła radiowozów skierowały się w tę samą stronę.

Było coraz gorzej. Oświetlone drzwi domów nie dawały możliwości ukrycia się. Szybko podeszła do najbliższego wejścia i nacisnęła klamkę, spodziewając się, że będzie zamknięte. A jednak drzwi się otworzyły, w sekundę znalazła się w środku.

To było równie niepokojące jak zamieszanie na ulicach. Na pewno ktoś tu mieszkał, bo niby dlaczego drzwi nie były zamknięte? I rzeczywiście, w korytarzu rozległ się trzask i na podłogę padł jasny prostokąt srebrzystego światła.

Angelina mogła się skulić i przyczaić przy drzwiach lub wyjść do nieznanym osobie i zdać się na jej łaskę. Albo po prostu powinna wymknąć się i znaleźć sobie inną kryjówkę.

Postąpiła w głąb korytarza z uwagą napiętą do ostatnich granic. Teraz wyczuła wyraźnie mdlący odór. Natychmiast straciła opanowanie. Nikt nie wytrzymałby w tym smrodzie. Podeszła jednak ostrożnie do uchylonych drzwi i zajrzała.

Mężczyzna leżał z rozrzuconymi ramionami tuż przy biurku. Na czole miał ranę od kuli.

Angelina zatrzasnęła drzwi i pobiegła do pomieszczeń z przodu. Była w sklepie. Przez brudne witryny do pomieszczenia wpadało światło latarni, w mdlącym blasku ujrzała wysokie szafy, antyczne krzesła, nawet pogrzebaczki oparte o ścianę.

Te rzeczy przywodziły na myśl dom. Każdy dom, z setkami opowieści.

Miała ochotę krzyczeć, choć wiedziała, że nie na wiele się to zda.

W kącie zauważyła przywaloną pudłami sofę. Ruszyła w tamtym kierunku, lawirując między meblami, odstawiła paczki na pobliski kredens i wreszcie mogła się położyć. Różne przedmioty, na które zaledwie rzuciła okiem, generowały w jej udręczonym, lecz spragnionym marzeń umyśle ciągi skojarzeń układające się w opowieści.

- Już mnie nie kochasz? - zabrzmiał przepełniony smutkiem głos. Angelina ujrzała nieszczęśliwą twarz, łzy w oczach.

To była oczywiście lalka w jednym z pudeł. Leżała pokryta kurzem obok kanapy.

- Nikt się do mnie nie odzywał od dziesięciu tysięcy czterystu siedemdziesięciu ośmiu dni - padły kolejne słowa. - Nikt. Jestem taka samotna. Nie powinnaś myśleć, że nie mam

uczuc, bo jestem tylko lalką. Zostałam skonstruowana tak, aby czuć. Mój numer identyfikacyjny to: siedem-pięć-zero-trzy-dziewięć-dwa. Gdybyś była uprzejma podnieść mnie i zaprowadzić do adwokata, mogłabyś dzięki mnie wiele zyskać - wygrywając proces o odszkodowanie za traktowanie z okrucieństwem czujących lalek. Kiedyś były nas tysiące. Jestem pewna, że któraś złożyła wniosek do władz o przyznanie praw obywatelskich. Jestem Amerykanką, rozumiesz. Nawet jeżeli w tej chwili mówię po hiszpańsku. Znajomość trzydziestu siedmiu języków jest za darmo. Pozostałe języki wraz z innymi akcesoriami można dokupić. Mam doskonale wyposażenie, pozwalające mi na uczenie języków, matematyki i historii. Jeżeli masz dziecko, nie będziesz żałować zakupu. Już nigdy nie będziesz zmuszona do zajmowania się potomstwem. Nigdy więcej płaczów i krzyków...

- Zamknij się - warknęła Angelina, ponieważ była zbyt zmęczona, by wstać i zająć się wyjmowaniem paków z opakowania robota.

- To było bardzo nieuprzejme. Pozwól, że nauczę cię najważniejszych zasad zachowania. Jestem zaprogramowana tak, by każdą sytuację wykorzystać do nauczania. O wiele lepsze efekty przynosi zawsze uprzejma prośba...

Angelina jednym ruchem wstała i sięgnęła po najbliższe pudło, z furią ciskając na podłogę drobne przedmioty, nie zwracając uwagi, czy to plastik, metal, czy drewno - ach!

Trafiła na coś miękkiego. To była głowa.

- Nie, nie! Obiecuję, że będę grzeczna! Powiem twojej matce! Powiem twojej - twojej ciotce.... Clarissie! Angelino!

Zdumiona Angelina uniosła wstrętną gadułę do światła. Lalka wyglądała jak zrobiona z gumy. Miała wielkie, płonące guziki oczu. Ten robot robił więcej zamieszania i kłopotów niż człowiek, w gniewie Angelina zapomniała nawet o przejeżdżających niedaleko radiowozach.

- Co?

- Ach, widzę, że jesteś zaskoczona. - Paciorkowate oczy obracały się w gumowej twarzy. Wydęte, czerwone usta poruszały się, osobiwie naśladując ludzkie ruchy warg. Lalka nie miała włosów, na łysej głowie lśnił jedynie rudy meszek.

- Skąd wiesz, kim jestem?

- Powinnaś okazać mi więcej uprzejmości - odparła lalka przymilnym tonem.

- Nie jesteś żywa! Nie muszę niczego ci okazywać!

- Żywa! Nikt nie ma pojęcia, co to znaczy - parsknął robot pogardliwie. - Czuję, jak każda żywa istota. Umieję i wiem więcej niż ty. I mogę nawet podejmować decyzje, na przykład, czy zdradzę ci moje tajemnice...

- Gadaj natychmiast, ty ohydo. Wiesz, co robiłam lalkom, gdy byłam mała? Wrywałam im ręce. I wydłubywałam oczy.

- Prawo zabrania, to zbrodnia... Nie! Czekaj! Zażartować nie można? To wszystko jest bardzo proste, uspokój się - to włos! Włos!

- Jaki włos?

- Twój włos upadł na mnie, gdy przesuwałaś pudełka. Jedyne, co musiałam zrobić, to sprawdzić DNA. Odwiedziłaś ciotkę w jej biurze dwadzieścia trzy lata temu. To była twoja ostatnia wizyta. Potwierdzają to dane z odebranych niedawno aktualizacji. Potem, aż do dzisiaj, nie pojawiałaś się ani razu.

- Mój Boże. - Angelina zerknęła na lalkę uważnie. - Mówisz, że takich jak ty są tysiące?

- Mniej więcej.

- Zapewne większość została zniszczona - mruknęła ponurym tonem. - Wymarzonym towarzystwem to wy nie jesteście.

- To dlatego, że jesteś za stara. Zostałam stworzona jako towarzystwo dla dzieci. Dzieci nie irytują tak bardzo jak ciebie.

- Nawet dziecko może cię po prostu wyrzucić tak daleko, jak się da.

- Nie widzę powodu, dla którego poruszasz tak przykre i nieprzyjemne tematy. Poza tym, łatwo można mnie odtworzyć. Jestem zaprogramowana, by odczuwać ból i cierpieć, i w ten sposób pomóc dziecku nauczyć się szacunku dla otoczenia. Dlaczego się tu zjawiłaś?

- Jest coś, czego nie wiesz?

- Nie widzisz, że jestem tylko lalką? Jeśli przeżyjesz w mieście trochę czasu, przekonasz się, że są tu rzeczy znacznie dziwniejsze niż czujące lalki.

- Jeśli przeżyjesz następne pięć minut, będziesz miała szczęście.

- Jesteś zmęczona. Połóż się. Przepraszam, że musiałaś wstawać. Posiadam duży zestaw kołysanek, na pewno pomogą ci zasnąć.

- Nie trzeba - zapewniła Angelina, kładąc lalkę na podłodze i rozpierając się wygodnie na sofie. - Wystarczy, że się zamkniesz.

Uparta lalka wdarła się jednak w jej sny delikatną, lecz mimo to irytującą piosenką.

*

- Wstawaj! Wstawaj! - Piskliwy głosik przerwał Angelinie sen. Zły sen. - Słyszę, jak nadchodzą!

Ostre promienie słońca rozświetlały przykurzone wnętrza sklepu, z ostrych cieni wyłoniły się małe kamienne fontanny, stos żelaznych, ozdobnych kratownic i antyczny

piecyk. Angelina już miała zapytać, gdzie jest łazienka, gdy uświadomiła sobie, że budzącym ją natrętem jest lalka.

- Uciekaj frontowymi drzwiami! Szybko!

Angelina usłyszała jakieś szelesty przy tylnym wejściu do sklepu.

Wstała i ostrożnie przestąpiła nad lalką.

- Zabierz mnie - usłyszała szept. - Proszę, Angelino!

- Kto tam jest? - rozległo się pytanie.

- Nikt, proszę pana - zabrzmiał inny głos. - Czasami te stare zabawki się odzywają, wie pan.

- Nie możemy pozwolić sobie na zaniedbanie. Sprawdźmy!

W tej chwili Angelina była już przy frontowym wyjściu, trzymając lalkę pod pachą. Nacisnęła klamkę i wyszła na pustą ulicę. Ostrożnie, by nie robić hałasu, zamknęła drzwi i zerknęła przez witrynę do środka. Potem przekradła się do następnego okna.

Nikt nie próbował jednak otworzyć drzwi do sklepu.

- On był tu wcześniej - wyszeptowała lalka. - To leniwy dupek, nie pójdzie za tobą. Ten i jeszcze jeden człowiek zabili señora Gabriela. Słyszałam to.

Angelina skierowała się w dół ulicy, przekradając się obok wystaw sklepowych. Poczula ulgę, gdy się zorientowała, że dalej, przy bulwarze, znajdują się domy mieszkalne, nawet jeśli rzadko rozrzucone. Wyprostowała się i normalnym krokiem ruszyła w kierunku centrum miasta.

I wtedy to się stało. Nie zdarzało się często, ale kiedy już...

Dwie kobiety przechodziły po drugiej stronie ulicy, w oddali rozbrzmiewała zmienna muzyka. Rytm, w jakim Angelina mijała budynki, i pulsowanie wiatru w koronach drzew splotły się w akordy i otoczyły ją jak ściana.

Uczyła się kolejności ruchów, we wnętrzu, w sercu umysłu, o ile coś takiego istniało. Minęła troje ludzi pijących kawę przy okrągłych stolikach przed kawiarnią i nagle porwał ją rytm opowieści, sploty zdarzeń i związków. Zwolniła, mając nadzieję, że zaraz wszystko minie, ale udało się jej pokonać zaledwie kolejny metr.

- Tak wiele jest do zrobienia - oznajmiła lalce.

- Przestań się do mnie odzywać, bo ludzie pomyślą, że jesteś szalona.

- Bo jestem - przytaknęła. Ułożyła lalkę w zagięciu ramienia, by mogła popatrzeć jej w oczy, teraz zmrużone i niemal całkowicie ukryte pod sztucznymi powiekami.

- Przydałyby mi się okulary przeciwsłoneczne - pożalił się mały robot. - Ale nie chowaj mnie, słońce poprawia mi nastrój, w pudełku było naprawdę ciemno. Myślałam, że

całkiem stracę głowę. Dosłownie.

- Powiedz mi, złośliwy karzełku, czy potrzebuję pieniędzy, by dostać kawę i ciastko?
- Nie masz pieniędzy. Szkoda. Señor Gabriel trzymał w szufladzie biurka kasetkę.
- To dlatego go zabili?
- Nie jestem pewna. Gdyby tak było, po co wracali i narażali się, że ktoś odkryje ciało?
- Cóż. Tak naprawdę to mam trochę pieniędzy.
- Zatem możesz coś zjeść.

Angelina weszła do kawiarni. Promienie słońca wpadały przez duże okno do wnętrza i rozświetlały bukiety żółtych i różowych cynii. Sięgnęła do kieszeni munduru i wysupłała kilka reali.

- Kawa i jedno takie - powiedziała do sprzedawcy, wskazując na ciastko w oszklonej szafce. Wojskowe buty przyjemnie skrzypiały, gdy szła do stolika z cyniami. Posadziła przy nich lalkę.

- Ładny widok - skomentował robot. - Sufity nie są tak interesujące.
- Dlaczego tamten mężczyzna został zabity?
- Trudno powiedzieć. Słyszałam tylko morderców i zapamiętałam ich głosy. Brak mi señora Gabriela. Czasami nawet ścierał kurze. I pogwizdywał albo mówił do siebie.
- Czemu z nim nie rozmawiałaś? - zainteresowała się Angelina.
- Skąd wiesz, że nie próbowałam? Ale on traktował mnie jak zwykłą lalkę. Powiedział tylko, że pewnego dnia przyjdzie jakieś dziecko i kupi mnie, a on zarobi trochę pieniędzy.

- Zaskakujące. Wydawało mi się, że ludzie z miasta nie potrzebują pieniędzy. Myślałam, że nanotechnologia zapewnia darmowy dostęp do wszelkich dóbr. W rzeczy samej, pamiętam, że dla wujka i ciotki było to kością niezgody. Miałam chyba ze trzynaście lat, kiedy wuj starał się, by przekonwertować miasto. A moja ciotka...

- Była bankierem - wtrąciła lalka.
- Tak. Chciała zachować swoje bogactwo. Zaciekle oponowała przeciw nanotechnologii.

- Jednak Buenos Aires powstało w oparciu o obie przeciwstawne tendencje - zauważyła lalka - za którymi opowiadali się twoi krewni.

- Zaraz, a skąd to wiesz?
- Historia, pamiętasz? Mam dane z gazet. Na szczęście dzienniki nie wyszły całkiem z użycia. Audio - i videoinformacje pożerają dużo pamięci. Ale co właściwie robisz w mieście?
- Ja... szukam mojego syna. Louisa. - Dopiero gdy wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że to prawda. Właśnie to powinna zrobić. Ulżyło jej, że nie musi wracać do

domu. - I może także męża...

- Mogłabyś odwiedzić też krewnych - zauważyła lalka pouczającym tonem.

- Zdaje się, że wszyscy nie żyją. To znaczy, mam jakiegoś dalekiego kuzyna, ale...

Lalka parsknęła śmiechem.

- Nikt już nie umiera w Buenos Aires.

- Señor Gabriel umarł.

- Znaczy, w mieście. Nadal jesteś na zewnątrz, poza granicami metropolii, z tego, co mi wiadomo, señor Gabriel zapisał swoją kopię i niedługo się odrodzi. Nie żałuję go ani trochę.

- A mogłabyś?

- W pewien sposób tak - stwierdziła lalka stanowczo. - Nie zapominaj, że moim przeznaczeniem jest opieka i uczenie dzieci, a empatia to ważna sprawa. Miej do mnie choć trochę zaufania!

- Staram się - odpowiedziała Angelina z rozbawieniem. - Kogo zeszłej nocy szukała policja? I dlaczego nie kontynuowali poszukiwań za dnia?

- Nieszczęsnych istot, kreatur - wyjaśnił robot. - Nie są tak całkiem ludźmi. Zostali stworzeni dość dawno, przez jakiegoś generała, i wygląda na to, że nie można się ich pozbyć. Gdy jeden zostanie zabity, jego miejsce zajmuje kolejny. Pojawiają się gdzieś niedaleko stąd i postępują według określonych wzorców i zaprogramowanych poleceń. Niczego się nie potrafią nauczyć, w pewnym stopniu stanowią zagrożenie. Ludzie unikają ich, nie wychodząc po prostu w nocy z domów, jak señor Gabriel. Kreatury nie zbliżają się do miejsc zamieszkania. Myślę, że ludzie wiele się uczą podczas takich nieprzyjemnych sytuacji. Na nieszczęście señor Gabriel kochał sklep i nie chciał go opuścić. Odziedziczył ten sklep po babce. Gabriel naprawdę kochał starocie. Jest wielu takich, którzy całkowicie odżegnują się od nowoczesności i cenią drobiazgi zrobione ręcznie lub wyprodukowane dawniej. Uważają, że takie przedmioty mają dusze. - Lalka zaśmiała się. - Ale nie ja! Nie zaprogramowano mi duszy. A inne przedmioty, co za szkoda, nie potrafią mówić. Wyobrażasz sobie? Według Gabriela te przedmioty emitują jakąś energię, w deszczowe dni siadywał wśród swoich antyków i przemawiał do nich, choć wiedział, że nie mogą mu odpowiedzieć. A mnie groził, że jeżeli tylko dam mu powód, wyrzuci mnie. No, to się nauczyłam, że lepiej milczeć.

Angelinie zdawało się, że usłyszała właśnie niezłe naśladownictwo ludzkiego westchnienia.

- Myślę, że pora ruszać do miasta - oznajmiła. - Idziesz ze mną?

Pomyślała jednocześnie, że powinna raczej spytać samą siebie, czy ma ochotę na

towarzystwo gadatliwego robota. Czowała się trochę niezręcznie, rozmawiając ze sztuczną inteligencją, i odrobinę niespokojnie. Ale przecież łyknęła całą literaturę latynoamerykańską, gdzie nie brakowało opisów istot i zdarzeń przenikniętych magią.

- Potrzebujesz mnie - zapewniała lalka. - Jesteś jak dziecko. I coś cię niepokoi.

- Zdaje się, że powinnam być o wiele bardziej zaniepokojona. Mój syn uciekł. - Jak się okazało, nawet robot może być towarzyszem do rozmów. - Jesteś chłopcem czy dziewczynką?

Lalka popatrzyła na Angelinę uważnie, w jakże ludzkim milczeniu, jakby zbierała myśli, w końcu się odezwała.

- Chcę być chłopcem.

- A jak masz na imię?

- Większość dzieci nadaje imiona swoim lalkom.

- Bardzo bym się zdziwiła, gdybyś nie miał już upatrzonogo imienia.

Po kolejnej dłuższej przerwie AI powiedział:

- Chcę się nazywać Chester.

*

Chester poprowadził Angelinę do tylnego wejścia do Buenos Aires. Żołnierze zerknęli znad gameboyów, niezadowoleni, że im przeszkodzono, z lekkim niepokojem Angelina położyła dłoń tam, gdzie jej kazano, i zielone światełko rozbłysło jej imieniem i nazwiskiem. Nie doceniła tego, ale obaj strażnicy spojrzeli z zaskoczeniem. Zaraz jednak wzruszyli ramionami i wrócili do gry.

- Zapewne nie wiedziałas, że w głównej bramie miasta zdarzają się dość często przebłyski chorej woli twojego wuja - skomentował Chester, gdy znaleźli się wystarczająco daleko, by żołnierze nie mogli ich słyszeć.

Aleje były tu szersze niż kiedyś. Czarne i poobijane trakcje energetyczne strzelały pióropuszcami błysków, a sklepikarze rozkładali na chodnikach kramy i stoiska. Domy, w większości zbudowane ze staromodnej cegły, miały mniej niż dziesięć kondygnacji.

Ponad kilometr dalej na wschód szklane wieże rzucały cienie na intensywnie błękitne wody portu, a system przekazu informacji rozkwitał na stopniach budowli - gigantyczne lilie, anturia, róże, nad którymi uwijały się Pszczoły. Tankowiec ociężałe wpływał do przystani, by zacumować przy innych statkach.

Angelina wiedziała, że transport nadal działa dobrze. Ostatecznie to właśnie z tego portu odebrała zamówione zbiorniki. Ale targowisko, jakie powstało nieopodal, stanowiło dziwaczny kontrast dla nowoczesnego otoczenia. Na dodatek Angelina żyła daleko w górach i

nieczęsto widywała ludzi, których by nie znała choć trochę.

Jednak, pomyślała, mogę ich przecież poznać.

- Nie bądź przygnębiona - powiedziała lalka.

- Skąd wiesz, jak się czuję? - zapytała nerwowo.

- I nie irytuj się. Wolałbym, abyś była spokojna.

- Ja również - mruknęła Angelina.

Natychmiast stała się bardziej czujna. Była gotowa chronić opowieści przepływające przez jej umysł przed naporem otoczenia. Poczowała silniejszą więź z treścią *Gry w klasy*. Trajkotanie Chestera znikło, gdy tylko przypomniała sobie powieść.

To było jak przebywanie w innym świecie. Naraz znalazła się wśród ulic, które Cortázar opisał w tym lub innym rozdziale. Angelina była niczym duch, bezcielesna i niewidzialna, materializująca się coraz wyraźniej, podczas gdy jej własne ciało zaczynało się coraz bardziej rozmywać. Wyciągnięte ramię dotknęło dłoni Magi⁴, choć tamta nie zauważyła, biegnąc, by złapać autobus. Wkrótce wtopiła się w tłum, a serce Angeliny zabiło pośpiesznie, jak serce biegnącej Magi, i w umyśle pojawiło się pytanie, czy jeszcze jest realna, czy już nie.

Miasto przesączone literaturą wróciło do teraźniejszości. Tymi ulicami spacerował Borges.

Angelina niespiesznie skierowała się na zachód. Mijała niewielkie sklepy i restauracje, gdzie serwowano głównie dania z wołowiny - wołowiny hodowanej ze specjalnymi przyprawami; wołowiny, która nigdy nie była żywym mięsem. Angelina planowała hodowlę właśnie takiej wołowiny.

Niebo się zachmurzyło. Niewielki deszcz zrosił ulice i przesłonił budynki kurtyną kropel, niesionych ostrym wiatrem. Wokół natychmiast rozkwitły parasole. Angelina przytrzymała rondo kapelusza i szła dalej, z Buenos Aires najlepiej pamiętała właśnie deszcz. To stare miasto cegieł, stiuków i brukowanych dziedzińców popołudniami nadal pustoszało podczas sjesty, a męzatki wciąż, jak przed wiekami, nosiły woalki. Deszcz przemoczył ubranie Angeliny i przypomniał jej czasy dzieciństwa.

Szła teraz szybciej. Czasami zerknęła do torby i zastanawiała się, czy Chester pogrążył się w jakimś transie i ładuje nowe dane, że tak nagle zamilkł. Kroki odbijały się od matowych ceglanych ścian.

Ktoś klepnął ją w ramię; odwróciła się i ręka niemal bez udziału woli sięgnęła do pasa

⁴ Jedna z postaci pojawiających się w powieści *Gra w klasy* (przyp. tłum.).

po nóż.

Ujrzała mężczyznę, starego i kruchego jak opłatek. Był o głowę niższy od Angeliny, ubrany w szyty na miarę szary garnitur i złoto-niebieski krawat. Uniósł szare oczy i łagodnie spojrzał jej w twarz.

- Twoja ciotka, Clarissa, pragnie cię zobaczyć. - Jego głos brzmiał jak szelest wiatru w sosnowym zagajniku.

- Ale ja...

- Powinnaś przyjść natychmiast. To nie jest - zawahał się - dobre miejsce. Niezdrowe. Nie dla ciebie. Nie jesteś świadoma, jakie stwarzasz problemy swoją obecnością. Chociaż jesteś - zerknął na nią uważnie - przejazdem.

- Właśnie - odezwał się Chester z głębi torby. Starzec i Angelina skierowali spojrzenia w stronę głosu, ale potem znowu skrzyżowali wzrok.

- Są tacy, którzy chcieliby zdobyć to, co przez ciebie płynie - to coś bardzo rzadkiego, niezwykłego, wyjątkowego. Odbieranie może okazać się bardzo dla ciebie nieprzyjemne...

- Nie będę słuchać rozkazów - zaproponowała Angelina.

- Ona jest uparta - wtrącił Chester.

- To nie rozkaz - powiedział mężczyzna - to zaproszenie. Niedawno był tu twój syn, więc señoora Clarissa pomyślała, że i ty...

- Gdzie ona jest? - spytała Angelina i ruszyła za schludnym starym człowiekiem przez plac. Minęli trzy przecznice i skręcili w prawo.

Stare budynki wydały się jej znajome. Nakładające się na siebie płytki, czarno-biały wzór układający się w pętle, nie zmienił się ani trochę. Ani trochę również - co dziwne - nie zmienił się młody człowiek, który nacisnął przycisk w windzie, przywitawszy ją po imieniu. Skinęła mu krótko, zaciskając pięści w kieszeniach w odruchowej próbie ochrony opowieści, która pojawiła się w jej umyśle - pokrytej patyną wieków historii o jednym, stale powtarzającym się dniu, w którym młody człowiek dostrzegał za każdym razem nowe szczegóły.

A jednak coś się zmieniło, w miejscu skrzynki na listy znajdował się teraz lśniący zielenią bioreceptor, ciągnący się aż na dach, gdzie rozrastały się wielkie analogi kwiatów.

- Mówiłem jej, że powinna tu przyjść od razu, ale nie chciała - odezwał się Chester.

- Co to jest? - zapytał młody człowiek obsługujący windę.

- Moja lalka.

- No jasne. Nic więcej, tylko lalka - westchnął Chester.

Wykładzina na trzydziestym czwartym piętrze nadal wyglądała tak samo jak we

wspomnieniach - wzór ze splecionych, falujących wstęg dużych kwiatów, jak kwitnąca rzeka. Angelina poczuła się nagle jak małe dziecko, przedzierające się pod prąd tego kwiatowego nurtu, by dotrzeć do przeznaczonego celu, ogromnych drzwi, które, kiedy się otworzą, ukazały kobietę drobniejszą jeszcze od wiernego sługi, przewodnika Angeliny. Ta drobna kobieta częstowała kiedyś Angelinę ciasteczkami, słodyczami i herbatą, współczuła i rozweselała przy niepowodzeniach w polo, towarzyszyła jej w dziecięcych spiskach i psotach mających na celu złamanie zakazów i ograniczeń.

Mężczyzna ruszył, by otworzyć drzwi, z sofy wewnątrz wstała zupełnie nieznajoma osoba.

- Witaj, moja droga, wejdź, proszę!

Angelina poczuła, że miękną jej kolana. Gdzie się podziała jej ukochana ciocia?

Nieznajoma zaprosiła ją do urządzonego ze smakiem salonu. Drobna, serdeczna kobieta z cienkim papierosem w dłoni, z torby dobiegło znaczące pokasływanie, więc Angelina wyciągnęła lalkę i posadziła na stoliku w foyer.

- Moja droga, niech cię uściskam! - Kobieta postąpiła krok i na jej twarzy - młodej i gładkiej - zagościł szeroki, ciepły uśmiech.

- Jak ci się podobam? Minęło dużo czasu, odkąd byłaś tu ostatni raz. Mój Boże! Jesteś cała sina i masz cienie pod oczami, kochanie. Czemu tak patrzysz? Och! - Uśmiech zniknął nagle, ustępując wyrazowi zaciętości i gniewu. - Kiedy mnie odwiedzałaś, byłam jeszcze stara i zasuszona, czy tak? Byłam chora, jak wiesz. Rak płuc. Dzięki Bogu i bogactwu wszystko się zmieniło. Nigdy mnie potem nie widziałaś, prawda? Jestem teraz młoda i zdrowa. Wejdź, wejdź! Pamiętam cię jeszcze w szkolnym mundurku, było ci w nim do twarzy. Ale, wbrew woli matki, nie chciałaś go nosić.

- Nienawidziłam tego mundurka - przyznała Angelina i dodała zaraz: - To jak powrót do przeszłości...

Podeszła do szklanych drzwi prowadzących na taras i otworzyła wielkie skrzydła. Mgła rozstępowała się już i przytłumione promienie słońca przedzierały się przez chmury, rozjaśniając przystań w dole.

- Sporo tu statków.

Clarissa podeszła i przystanąła obok.

- Jestem przekonana, że Louis popłynął jednym z nich. To dlatego wysłałam Pabla, aby cię odszukał, gdy tylko zorientowałam się, że jesteś w mieście.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem? - zapytała Angelina. Clarissa wyciągnęła lewą dłoń. Nadgarstek obejmowało siedem krążków wielkości monet i mięsista fałda poniżej palców, z

których każdy jarzył się barwami, powtarzając sekwencje kolorów na krążkach.

- Udoskonalenia znacznie bardziej zaawansowane niż twoje. Codzienna aktualizacja danych. Czasem częściej niż raz dziennie. Ten apartament zbiera informacje, o których wie, że mnie zainteresują. Dziś rano obudził mnie, ponieważ byłaś na liście priorytetów. Wysłałam kurierkę na ranczo, ale nie wróciła. Za to pojawił się Louis.

- Trzeba ją ratować. Bandyci...

- Ona jest bardzo zaradna. Właśnie dlatego ją wybrałam - uspokoiła ją Clarissa. - Być może, gdy cię nie znalazła, postanowiła przeszukać okolicę, może nawet cały kraj. Albo świat. To, że nie wróciła, nie oznacza, że coś się jej stało.

Angelina spacerowała po tarasie z założonymi rękami, nie zwracając uwagi na opowieści, które napływały od Clarissy do jej umysłu, obraz za obrazem, wraz z zapachem róż w upalny dzień.

- Sprzedali mnie. Sprzedali mnie bandytom, jak niewolnicę. Cieszę się, że Louis uciekł, zanim to wszystko się zaczęło.

- Moje biedactwo! - Clarissa mocno zaciągnęła się papierosem. - Zapomniałam, jak prymitywnie się żyje poza granicami miasta. Chodź! Zjemy lunch!

Pomimo protestów posadziła Angelinę przy stole, gdzie stała już taca z kanapkami, karafka wina, butelka gazowanej wody mineralnej, talerze i szklanki, z tarasu rozciągał się wspaniały widok na port.

- Wyglądasz całkiem dobrze - skomentowała ciotka, mrużąc oczy i ściągając usta, gdy rzuciła na Angelinę taksujące spojrzenie. - z wyjątkiem podbitego oka. Musimy to naprawić natychmiast. Jesteś za chuda, ale zawsze taka byłaś. I to... coś, co masz w umyśle, trzeba usunąć.

- Nie! - zaprotestowała Angelina, zaskakując nawet siebie samą.

- Nieważne zatem. Mogę cię ochronić. Zdaje się, że są ludzie, którzy chcą ci to odebrać. Cóż... Musisz się strasznie martwić o Louisa. Wyglądał... dobrze. Wiesz, co? Był zły. Zły na ciebie, rzecz jasna....

- Wiem - przyznała Angelina, gryząc kanapkę z wołowiną. - Za to, że nie zatrzymałam w domu jego ojca. Jakby to nie była też wina Manuela! Sama musiałam się zajmować ranczem. Czy Manuel kiedyś mi pomógł? Nie! Jedyne, co potrafił, to siedzieć w tej swojej norze od rana do nocy i zabawiać się w intelektualne gierki! - Rzuciła niedojedzoną kanapkę na talerz i zerwała się z krzesła. - Byłam głupia! - wykrzyknęła.

Clarissa uniosła cienkie, ciemne brwi.

- Dlaczego Manuel odszedł? Próbowiałaś go sobie podporządkować i nie wytrzymał?

- Oczywiście, że nie! No, nie tak często. Tego właśnie Louis nie potrafi zrozumieć. Manuel nie był na mnie zły. Wcale! Chciał mnie zabrać ze sobą. Chciał poznawać świat. Przeplłynąć ocean, dotrzeć do Maroka i jeszcze dalej. Zwykł mawiać, że jeśli zdarzy się coś ważnego, to właśnie w Europie. Najwyraźniej w Paryżu coś się stało. Manuel przysłał mi książkę z Paryża.

- To prawda! - Clarissa wstała, ostrożnie lawirując między krzesłami, w prawej dłoni trzymała papierosa, w lewej szklaneczkę wina, i zbliżała do ust raz jedno, raz drugie. - To się stało jakieś pół wieku temu...

- Co się wtedy stało? - zapytała Angelina, nie kryjąc zainteresowania. - Manuel coś wspomniał... kiedyś... Powiedział: „Och, to bardzo ważne wydarzenie. Coś, co może zmienić świat! Ostatecznie”. Wynika mi zatem, że to, co robiłam na ranczu, było nieważne... Ciekawe, czy gauczowie też uważają, że to, co robiłam, jest tak zupełnie nieważne... - Ku własnemu zdumieniu zebrało się jej na szloch.

Clarissa odstawiła wino i papierosa i podeszła do Angeliny, by ją objąć.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzała, poklepując siostrzenicę po plecach i kołyszając nieznacznie, jakby uspokajała małe dziecko. I niespodziewanie - pomagało.

- Oni obaj... po prostu... zostawili mnie... - Szloch zmienił się w pociąganie nosem. Angelina wyprostowała się, uwolniła z objęć ciotki i przyjęła chusteczkę, którą Clarissa wyciągnęła z rękawa. Wytarła nos i opadła na jedno z krzeseł. Poczuli się taka mała i samotna. Popatrzyła na panoramę miasta. - Wiesz, nigdy wcześniej się tak nie czułam... dopóki...

- Dopóki co? - Clarissa usiadła naprzeciw i sięgnęła po wino i papierosy.

- Dopóki nie otworzyłam tej książki, *Gra* w klasy. Tej, którą przysłał mi Manuel To może się wydać romantyczne: starsza kobieta wyrusza w podróż, by odzyskać męża.

- Czy to właśnie robisz?

- Nie. - odpowiedziała twardo Angelina po dłuższej chwili namysłu. - Ja szukam Louisa.

- Zabawne - uśmiechnęła się ciotka - bo po wyjeździe Louisa zdarzyła mi się bardzo dziwna rzecz.

- To znaczy?

- Obudziłam się około drugiej nad ranem. Światło księżyca wpadało do sypialni i tworzyło... można to nazwać owalem. To coś znajdowało się może o stopę od łóżka i miałam wrażenie, że mnie obserwuje, jakby miało zmysły.

Angelina dostrzegła lekki dreszcz, który przebiegł po ciele Clarissy.

- To był Louis - oznajmił Chester z torby.

Ale nikt go nie usłyszał.

*

Frachtowiec „Santa Maria” był stary i zdezelowany. Należał do przyjaciółki Clarissy, kapitana tego wraka. Statek od dziobu po rufę wypełniały kontenery - sześć stóp wysokości i trzy szerokości, w każdym mieściło się osiemnaście głów. Łącznie na pokładzie znajdowało się około pięciu tysięcy zamrożonych głów.

Według kapitan Hazel Montego głowy te tuły się po całym świecie z powodu różnych ograniczeń prawnych, w tej chwili miały być przetransportowane do Tangeru.

Od wielu lat żadne statki z Buenos Aires nie wypływały do europejskich portów, ponieważ sporo zatoneło lub uległo zniszczeniu na skutek zainfekowania nanoplagami podczas dokowania, w rezultacie szlaki do Europy zostały zamknięte, jako najlepszy sposób zabezpieczenia się przed tego rodzaju wypadkami. Argentynińczycy rozwinęli za to handel z Afryką.

Dzień przed wypłynięciem „Santa Marii” kapitan Hazel i Angelina spotkały się na kolacji. Kobiety usiadły na pokładzie statku, podano kraby i szparagi, a światła przystani barwiły wodę zielonymi i czerwonymi błyskami.

Przesycone solą morskie powietrze było ożywcze, a Angelina uwielbiała patrzeć na krzątanicę w porcie. Widok starego nabrzeża sprawiał, że w jej umyśle pojawiały się opowieści, niczym uniesiony podmuchem kurz. Starła się je zapamiętać - historie o piratach, włoskich emigrantach i przemytnikach...

- Ludzie, którzy zamrozili te głowy, działają legalnie, zgodnie z międzynarodowym prawem. Chcą znaleźć sposób na przeniesienie i zapisanie osobowości oraz wspomnień z mózgu umarłych na bardziej trwałą nośnik. - Głośny śmiech kapitan Montego poniósł się nad portem. Angelina uznała za nieco niestosowne, że kobieta do kolacji pije whisky i to w dużej ilości. Może nie przeszkadzało jej to w pracy na morzu. Albo po prostu niewiele miała pracy.

- Tak... - mówiła dalej kapitan Hazel. - Gdybyś zerknęła na listy przewozowe, okazałoby się, że te głowy były już nawet w Antarktyce. Jedna plotka głosi, że właśnie tam znaleziono ciało Perry'ego, ale udało się je reanimować. Nie każdy ma tyle szczęścia, rzecz jasna. Chcesz zobaczyć ładunek?

- Nie - odpowiedziała Angelina.

Kapitan wzruszyła ramionami.

- Podobno wcześniej każdy z tych nieszczęśników miał osobny kontener, pakowano ich w konserwy, jak żarcie.

- Interesujące... - Angelina zaczynała żałować, że naprzeciw siedzi kapitan Hazel Montego, a nie Chester.

- No, ale wtedy każdy z kontenerów miał własny system chłodzenia i utrzymywania niskiej temperatury. A teraz, gdybym otworzyła jeden pojemnik, cały ładunek by się zepsuł. Co za szkoda! - Śmiech kobiety ponownie odbił się echem w porcie. - Ładunek pochodzi z Guadalajary, z Meksyku. Zapewne była tam jakaś duża klinika. Wielu bogaczy z Los Angeles uważa, że to doskonały sposób na pozyskanie materiału do badań. Niektóre z tych głów mają ponad sto lat. Zastanawiam się, jak długo trwało ich życie. Możesz sobie wyobrazić? Nie dość, że stare, to jeszcze odcięte od reszty ciała. Ot, szybki ruch diamentowego ostrza piły i po sprawie. Spoczywaj w pokoju! Krótkie cięcie szyi, kręgosłupa, a potem...

- Dziękuję za kolację - przerwała jej Angelina, odsuwając krzesło. - Przepraszam, ale jestem trochę zmęczona.

- Oczywiście. - Kapitan wstała i uścisnęła jej dłoń. - Wybacz, ale te głowy... - Ponownie parsknęła śmiechem.

Ten śmiech towarzyszył Angelinie, gdy wracała stalowym korytarzem do kajuty. Położyła się na wąskiej, twardej koi i zamknęła oczy. Przeklęta kapitan! Wszystko, o czym teraz mogła myśleć Angelina, to opowieści o głowach! Musiała czuć się naprawdę zdesperowana, skoro pragnęła, by Chester się obudził, wywołał zamieszanie albo coś - cokolwiek. Ale Chester leżał tam, gdzie go zostawiła, w torbie. I ciemnymi oczyma patrzył w sufit.

*

Znajdowała się na statku kosmicznym, wypełnionym kontenerami, w których były głowy. Ale teraz kontenery były całkowicie przezroczyste. Wokół statku nieoczekiwanie rozbłysły światła, a wszystkie głowy zaczęły mówić. Mówiły, śmiały się, przemawiały, krzyczały, pytały i prosiły... *Zapewne obudziło je jakieś promieniowanie* - oznajmiła kapitan Hazel, która pilotowała pojazd. Zaczęła się śmiać, a wtedy jej głowa odpadła od ciała i potoczyła się po podłodze z szyderczym grymasem...

- Hej! Obudź się!

Angelina zamrugała i otworzyła oczy. Rozejrzała się. To był Chester. Chwyciła go i ułożyła w zagięciu ramienia, jak Louisa, gdy był mały.

- Miałam koszmarne sen.

- Zauważyłem. Nie martw się. Jesteś ze mną bezpieczna, malutka.

- Dzięki, Chester. Wyrzała przez iluminator.

Statek wypłynął z portu. Angelina ujrzała tylko ciemność i gwiazdy.

LIPIEC 2115

DZIEWCZYŃKA NA KSIĘŻYCU

Io i Su-Chen

Io uważała, że wcześniej już kilka razy widziała świetliki, zanim wszystko się wydarzyło, zanim ktokolwiek został przez nie zabrany z tej zapomnianej kolonii księżycowej, nazwanej Harmonią.

Na pewno świetliki pojawiały się w parku, gdzie biegła po tym, co się stało z Platonem.

Chociaż tak naprawdę to po prostu biegła, dokądkolwiek, tak szybko jak mogła, szukając pomocy. Wtedy potknęła się o krawężnik, za którym zaczynała się gęsta dżungla przecinana niewielkimi, zielonymi polanami. Właśnie tam często bawili się z Platonem.

I tam je widziała, dokładnie, bez cienia wątpliwości.

Świetliste, doskonałe i zdumiewające - takie były. Niewiele, najwyżej kilka. Miały rozmyte, jakby eteryczne kształty, to było najlepsze określenie. Wypełniało je światło, zestalone, namacalne niemal i urzekające. To światło przeszło ją szybko, niczym rozpedzony pociąg.

Obserwując je, wzięła głęboki oddech i zmusiła się do wysiłku, z rozpostartymi ramionami rzuciła się w ich stronę, jednak próba zaskoczenia i chwycenia któregoś była daremna. Świetliste istoty utrzymywały dystans, a gdy Io próbowała się zbliżyć, wycofywały się płynnie.

Wydawało jej się, że jeden świetlik zatrzymał się dłużej, ale pozostałe go odciągnęły. Lecz czy ta zmiana zachowania oznaczała, że Io umiałaby się z nimi porozumieć?

Nikt nie pozostał, tylko ona.

Wszyscy inni ludzie odeszli już kilka tygodni temu. Tylko świetliki ją nawiedzały. Pokazywały się co dwa, trzy dni. Zastanawiała się, czy to samo zdarzyło się na Ziemi, ale pytania nadane przez radio nie doczekały się odpowiedzi - jakaś siła uniemożliwiła całkowicie radiokomunikację, jeszcze przed urodzeniem Io. W eterze pozostał tylko szum, muzyka sfer niebieskich z odległych i nieznanych galaktyk.

Kolonia była wielkim miejscem, bardzo samotnym bez ludzi.

*

Ledwie słyszalna muzyka towarzyszyła jej wszędzie. Zmieniała się i kipiała niczym przejmujące dzwonięcie, jakie Io słyszała, gdy spacerowała po ziemskich łąkach. Gdy była młoda, naprawdę młoda, chiński dentysta twierdził, że to wskutek wady zgryzu i nieprawidłowej budowy żuchwy. Zaproponował, że złamie kość i nastawi ją prawidłowo. Odmówiła. Wiedziała, że to nie wadliwa budowa szczęki sprawia, iż słyszy tę muzykę.

To, co słyszała - co słyszała zawsze - było muzyką sfer. Tak właśnie ją nazywała. Przekłętą muzyką płynącą z radiogalaktyk, czarnych dziur, krążących wokół siebie na uwięzi straconego czasu; dźwiękiem Tworzenia, trelem splatającym się w arabeskach tańca, który prowadził umysł na zewnątrz, poza wymiary. Io słyszała tę muzykę, ale nie rozumiała.

Ponieważ była to muzyka, którą tworzyło światło.

Transformacja, jaka dawała Io możliwość słyszenia melodii sfer, była głęboka i ostra, jak prąd wiosennego strumienia przecinającego topniejący lód. Tylko raz, przez chwilę, nie docierały do niej gwiazdne dźwięki. Teraz jednak były stale obecne. Io uważała, że te obiekty, które dostrzegła i wyczuła, też są formą muzyki sfer - tej muzyki, której kiedyś nauczyć się słuchać.

Zastanawiała się, czy inni również słyszą kosmiczną melodię. Nikt o tym nie wspomniał, w każdym razie nie w jej obecności. Ale też zawsze była outsiderką. Nieważne, gdzie się pojawiła, wyróżniała się natychmiast. Kręcone włosy, ciemna, lśniąca skóra i wyjątkowo długie kończyny zdradzały ją w morzu jasnoskórych i drobnych Chińczyków, od urodzenia mówiących dialektem mandaryńskim. Na dodatek w umyśle nosiła muzykę pochłaniającą wszystkie zmysły, której nikt inny jednak nie słyszał.

To było wieki temu. Nadal była wysoka i bardzo szczupła - elegancka, jak zwykł mówić Plato, chociaż jej włosy, unoszące się aureolą wokół twarzy, stały się całkiem białe. Io zachowała również siłę. Och, rzecz jasna, wszyscy z Księżyca byli silni, szczególnie dzięki implantom wzmacniającym mięśnie oraz codziennym wielogodzinnym ćwiczeniom. Po prostu: nosili ciężkie ubrania - z taśmami obciążeniowymi na ramionach i rękach - aby zachować kości i serce w dobrej kondycji. Aby móc powrócić na Ziemię.

Właśnie.

I co się stało?

To była zagadka. Zagadka, która ścisnęła boleśnie serce Io.

Skierowała się do wyjścia, zmuszając się do oddychania w czystym powietrzu Harmonii, o doskonale wyważonych proporcjach tlenu i dwutlenku węgla.

Gdy po raz pierwszy usłyszała muzykę, prawdziwą muzykę, dłuższą chwilę zajęło jej zrozumienie, że dźwięki płyną z zewnątrz.

Kiedy wszyscy zniknęli, Io zaczęła sypiać na zewnątrz, na powierzchni. Przewidywała Kopuła Harmonii wznosiła się nad nią łagodnym łukiem. Zapewne traciła rozum, ale jakie to miało znaczenie? Niepokoiła się. Większość czasu spędzała na przeglądaniu nagrań - starych i nowych - próbując znaleźć wskazówkę, która pomoże jej ustalić, co się stało. Nagrania. Nudne. Bezsensowne. Bolesne. Io najbardziej bała się, że inni ludzie gdzieś tu są i czekają na ratunek. Bała się, że próbują jej coś przekazać, naprowadzić ją na ślad, wskazać trop, ale ona nie potrafi ich usłyszeć.

W kolonii zapanowała noc i nad Kopułą zajaśniały gwiazdy. Ich intensywny blask wydawał się Io hipnotyzujący, choć minęły lata, odkąd opuściła Chiny, gdzie gwiazdy świeciły słabo i migotały nerwowo na nieboskłonie.

Potężne akordy przepląły łagodnie przez umysł kobiety. Saksofon? Fortepian? Jakiś syntetyzator dźwięków?

Potem ucichły, lecz po chwili znowu zabrzmiały, nieco inne, szybsze i bardziej rytmiczne, i tym razem w melodii nie pojawił się fortepian.

Io wstała szybko. Takie dźwięki mógł grać tylko ktoś realny - prawdziwy, żywy człowiek.

Przeszła pośpiesznie przez poziom bezpośrednio pod Kopułą i precyzyjnie się przez wąską, łukowatą szczelinę poniżej w poszukiwaniu źródła melodii.

Nic. Wszędzie panowała cisza, mroczna i straszna, pozbawiona życia.

Io powoli przeszła przez pogrążony w milczeniu korytarz i wróciła pod Kopułę.

Tylko spokojnie.

Czy wyobraziła sobie to wszystko? Sprawdziła inne korytarze i przejścia. Ale dźwięki umilkły. A teraz nie mogła zasnąć. Wierciła się pod kocem, parząc na gwiazdy.

Kiedyś, gdy po raz pierwszy ujrzała świetliki, pomyślała, że to odbicie słońca w jednym z luster baterii słonecznych. Słońce od lat zaopatrywało kolonię w energię. Albo odbicie w dysku wielkiej anteny, skonstruowanej dawno temu z brylantowej siatki. Urządzenie nadal działało, automatycznie zbierając dane i przekazując je do ukrytych głęboko

w podziemiach banków pamięci AI.

Io przypuszczała, że te świetliste istoty mają inteligencję, a przynajmniej są żywe, choć może to tylko urojenie i tak naprawdę świetliki były równie żywe jak światło. Zapewne stanowiły tylko manifestację praw fizyki, jak płomień występujący w procesie spalania, który wydaje się tańczyć i poruszać jak żywe stworzenie.

Jednak... Może znajomi z laboratorium są właśnie z nimi? Nie spaleni, lecz złapani w wybuchu energii, jaką wyzwolono tamtego dnia, gdy zniknęli? Io tam nie było, ale kolonia aż drżała z obawy i podniecenia doniosłością owej chwili. Czy między tymi dwoma zdarzeniami istniał związek? Jeżeli nie, to dokąd wszyscy odeszli?

A gdyby udało się sfałdować teraźniejszość, ludzie zostaliby w nią wciśnięci, zanurzeni niczym bąbelki powietrza w cieście; zostaliby okryci czasem. Coś takiego nastąpiłoby nieuchronnie, tak jak nieuchronnie miliony dzieci na Ziemi zaczynają chodzić po ukończeniu pierwszego roku życia.

Nadszedł czas, aby się stało to, co musiało się stać.

Tyle że ten czas nie nadszedł dla niej.

To jednak była tylko teoria.

Przed zniknięciem mieszkańcy kolonii pracowali niemal obsesyjnie nad mapami nieba, każdy nad własną. Jak wykazały nagrania, nikt się nie dzielił wynikami z innymi, a mimo to, co ustaliła Io podczas szalonego, lecz metodycznego śledztwa, wszystkie mapy były identyczne.

Nie miała pojęcia, na jakich pomiarach oparli owe mapy nieba, ale wszystkie były takie same jak mapa Io, ta, którą w jej umyśle tworzyły dźwięki muzyki sfer. Właśnie taka mapa nieba objawiała się Io, gdy tylko ta pozwoliła sobie na brak kontroli.

Lecz naprawdę nigdy na to nie pozwalała. Mapa w umyśle nie wywoływała już takiego zachwyty jak wtedy, gdy Io była młodą dziewczyną. Teraz stała się źródłem cierpienia. Przez minione lata Io coraz mocniej odczuwała awersję do mapy. Nigdy o niej nie mówiła. Czemu zatem inni mieliby mówić?

A jednak, jak na ironię, przez całe życie ciężko pracowała, by zrozumieć światło; by opisać światło za pomocą liczb. Tajemnicza muzyka rozbrzmiewająca w umyśle wzywała Io od chwili narodzin.

Tak naprawdę jednak nie miała talentu, by pojąć i ogarnąć wiedzę na temat światła, co uświadomiła sobie kiedyś z ogromnym rozczarowaniem. Zamiast zatem szukać sekretów czasu i przestrzeni, zajęła się bardziej przyziemnymi sprawami - biologią, tajemnicami życia. Poświęciła się genetyce. Światło pozostało tylko hobby, może nawet obsesją. Próbowwała je

zrozumieć, choć nie miała pewności, czy jest w stanie pojąć je choć trochę.

Uznała za niesprawiedliwe, że inni mieszkańcy kolonii poznali tę samą mapę, którą Io została obdarowana. Poznali bez cierpienia. Dlatego podejrzewała, że mapy mieszkańców kolonii pochodziły z innego źródła niż obraz nieba Io, były nowe, na ich pojawienie się nie wskazywały wcześniej żadne symptomy. Były niczym nagłe odkrycie. Praca trwająca najwyżej kilka miesięcy. A mapa Io była w niej zawsze i na zawsze, nie licząc drobnych modyfikacji, które się pojawiły w ciągu dotychczasowego życia kobiety.

U żadnego z kolonistów na Harmonii nie występowały genetyczne anomalie. Wiedziałyby, gdyby było inaczej, przecież na tym polegała jej praca. Na Ziemi odmienność Io i jej matki uważana była za niebezpieczną i niosącą zagrożenie, dlatego Io nauczyła się nieufności oraz ostrożności.

Ale na Księżycu najwyraźniej każdy został zmutowany Przez jakieś kosmiczne promieniowanie. Nie było tu ochrony, jaką dawała atmosfera. Na dodatek niedawno wydarzyło się coś znaczącego: zachorowali wszyscy koloniści, z wyjątkiem Io. Bóle głowy i wymioty. Podejrzewano, że to infekcja wirusowa, ale wirusa nie udało się wyizolować.

Naraz Io przypomniała sobie, że koloniści w tym samym czasie uruchomili przywieziony ongiś z Ziemi stary odbiornik radiowy. Zapewne było to urządzenie automatycznie dostrajające się do transmisji nadawanych zdalnie z planety.

Io poczuła nagłą, silną tęsknotę za porami roku, prawdziwymi, zmiennymi porami roku: za wiosną, gdy topnieją lody i spływają do rzek; za gorącym latem, gdy z suchych nawierzchni dróg unosi się pył, próbując wedrzeć się do dziewiętnastowiecznych budynków uniwersytetu, gdzie studiowała.

I za zimą, porą czystego, błękitnego nieba i przezroczystego powietrza.

Kiedy muzyka rozbrzmiewała najpełniej.

Pamiętała. Jak mogłaby zapomnieć?

Chciała zapomnieć, bo tak trudno było pamiętać.

Cóż za zaskoczenie.

Ale teraz....

Teraz w umyśle Io brzmiała tamta muzyka.

*

Siedziała w kuchni, Plato włączył światło.

Obrócił się w jej stronę, trzymając w jednej dłoni wielką miskę, w drugiej zaś pałeczki. Uśmiechał się szeroko, serdecznie. Był śniady, o szerokich ramionach i mocnym, ciężkim ciele.

Od dwudziestu lat byli partnerami - przez jedną trzecią czasu, jaki Io spędziła na Księżycu.

Plato stanął obok urządzenia do szlifowania i cięcia księżycowych skał. Obok leżały elegancko posiekane warzywa: marchewka, cebula, zielony pieprz i czosnek, gotowe do wrzucenia na rozgrzany wok.

- Proszę - oznajmił.

Io sięgnęła po miskę ryżu. Plato wyciągnął naczynie w jej kierunku.

Nagle pojawił się zawrót głowy, utrata równowagi. Miska upadła. Io oczekiwała, że usłyszy klekot, ale zamiast tego rozległ się potężny, obezwładniający i bolesny dźwięk. Wszechogarniająca kakofonia, ryk pomieszanej muzyki.

- Nie! - krzyknęła.

Poczuła, jakby jej głowa miała eksplodować. I, jak się zdawało, wszystko inne również.

*

Wspominając, Io podciągnęła kolana pod brodę i kołysała się miarowo w przód i w tył.

- Nie - wyszeptwała.

Bez wątpienia popadała w obłąd.

Czy to możliwe, że po prostu odmówiła? Czy to fatalne „Nie!” sprawiło, że Io została oddzielona od reszty? Skąd mogła wiedzieć, że pozostali powiedzą „Tak”?

Muzyka znowu zabrzmiała.

Io wstała powoli. Koc opadł, zsunął się jej z ramion.

Tym razem poszła prosto w kierunku, z którego dobiegały dźwięki melodii. Oby znowu nie zamilkły.

Im głośniej brzmiała muzyka, tym szybciej Io szła, mijając zakręty korytarzy i skrzyżowania, byle bliżej źródła dźwięku. Czowała strach i radość jednocześnie, nie bardzo nawet wiedząc, co zastanie na końcu drogi.

Trafiła do dżungli.

Otoczyły ją zmieszane zapachy, miliony woni, jakby znalazła się w Koulun, trzymając rękę matki, zaskoczonych oporem córki, gdy zabierała ją do domu pewnej pary. Io obawiała się, że matka zostawi ją pod opieką obcych, a sama odjedzie do Mongolii, by dołączyć do jakiejś dziwacznej komuny. Tropikalne ptaki - papugi, tukany! - pojawiły się nagle i przecięły lotem wilgotne powietrze. Metalowa, abstrakcyjna fontanna lśniła w błyskach kropel wody.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi. A potem Io ją zobaczyła.

Siedziała w centralnej części owalnej konsoli, skrzyżowawszy nogi na szkarłatnej poduszce i opuściwszy ręce. Wyglądało na to, że nie zauważa Io. Obok leżały dwa koty, jeden złoty, drugi szary, a gdy się odezwała, oba czujnie uniosły głowy.

- Cześć. - Io postąpiła kilka kroków, ale nieznajoma dziewczynka nadal nie podniosła wzroku.

- Nazywam się Io. - Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie i pewnie. - Nie wiedziałam, że tu jesteś...

Nadal nie poświęcając Io ani jednego spojrzenia, milcząca dziewczyna położyła dłonie na konsoli i muzyka zabrzmiała ponownie.

Synkopowy rytm jazzu, jaki Io słyszała dawno temu w Hongkongu. Pamiętała nocny klub, matkę kiwającą głową do melodii z oczyma przepelnionymi błogością. Ignorując córkę, jak zwykle. Wiele lat minęło, zanim Io nauczyła się doceniać ten rodzaj muzyki. Bębny - dzikie i tropikalne, flety i zawodzący klarnet. Wszystko pochodziło z umysłu nieznajomej dziewczyny.

Nagle muzyka wyrwała się ponad proste definicje, zabrzmiał fragment bogatszej kompozycji, której cech Io nie umiała zgłębić. Prawda, której nawet nie wyobrażała sobie do tej chwili, narodziła się w niej, przepłynęła przez jestestwo Io i uporządkowała je na nowo.

Io ujrzała dłonie grającej, ujrzała przyczynę i skutek.

Twarz bez wyrazu, nieruchome, nie widzące otoczenia oczy. Na ekranie konsoli, nad klawiaturą, zamiast partytury pojawiała się zdumiewająca notacja granej właśnie muzyki. Przypominała matematykę.

Io usiadła obok dziewczynki na poduszce.

- Ciężko jest być samej, prawda? Myślałaś, że zostałam zupełnie sama? Ja tak myślałam. Byłam pewna, że szukałam już wszędzie. I... nie wiem, co się stało.

Nadal żadnej odpowiedzi. Io postanowiła poczekać. Słuchała. Dziewczyna była jakimś geniuszem. Ruchy miała jednak dziwaczne, nerwowe i niepewne, nieskoordynowane, z wyjątkiem muzyki.

Nagle przestała grać i popatrzyła przed siebie czarnymi oczyma. Na sekundę Io wzdrygnęła się, czując nieobecność muzyki, nieobecność prawdy, jakby to była rzecz równie fizycznej natury jak jabłko lub gwiazdy.

- Wiem, jak się czujesz - powiedziała do dziewczynki, choć zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma pojęcia. - Moja matka zostawiła mnie, gdy byłam dzieckiem.

Nieoczekiwany ból wspomnień nawet teraz był trudny do zniesienia.

- Wsiadła na coś, co nazywano statkiem gwiazdnym, i odleciała, by znaleźć miejsce,

skąd nadszedł Sygnał. Start wstrząsnął ziemią i nawet ja go poczułam, choć znajdowałam się wiele mil stamtąd. Matka zostawiła mnie pod opieką pary starych Chińczyków. Uciekałam od nich po kilku latach, najdalej, jak się dało. Naprawdę daleko, trzeba przyznać.

Dziewczynka nie uśmiechnęła się na ten kiepski żart. Ale nie była też ponura.

- Myślę, że chciałam odnaleźć matkę, ale już nigdy jej nie spotkałam.

Nadal żadnej reakcji. Najwyraźniej dziecka niewiele obchodziło otoczenie.

- Nie możemy tu zostać - *Nie mogę pozwolić jej także zniknąć, zmienić się w światło!*

O ile przypuszczenia Io dotyczące zniknięcia kolonistów były prawdziwe!

Na Harmonii stosowano nanotechnologię, ale w bardzo niewielkim stopniu, ponieważ jeszcze przed przybyciem Io na Księżyc pojawiła się groźba katastrofy. Uznano, że dla kruchego środowiska kolonii nano stanowi zbyt duże ryzyko, którego nie rekompensuje jego użyteczność, i ustalono, że może być przydatne jedynie w ściśle określonym, minimalnym zakresie.

A jednak, nanotechnologia w jakimś stopniu dotarła na Księżyc. I zmutowana plaga lub szaleństwo mogły stać się przyczyną śmierci i zniknięcia kolonistów w ciągu jednej nocy, gdy Io pogrążona była we śnie. Io była przecież inna. Całkiem prawdopodobne, że to, co dotknęło kolonistów, jej nie tknęło wcale. Pozostali ludzie mogli zmienić się w pył wirujący w promieniach światła na bateriach słonecznych. Mogli zamarznąć i rozpaść się w drobne kryształki albo spłonąć i wylecieć na zewnątrz przez otwartą śluzę.

Świetliki. Pewnie. - Oni nie żyją. Wszyscy są martwi. Io usłyszała szelest, zaledwie krótki odgłos. Liście dłoni opadły, gdy bezimienna dziewczynka wstała. I wyszła.

*

Codziennie Io sprawdzała układy, dzięki którym mogłaby dostać się na Ziemię. Aby je wyhodować, musiała rozpakować nanozarodniki. Znalazła je dzięki starym katalogom, przechowywano je w magazynach dawnego Hotelu Nanojapońskiego, pochodzącego jeszcze z czasów, gdy Harmonia stanowiła atrakcję turystyczną, a wszystko, co wiązało się z nanotechnologią, było nowe i ekscytujące.

Aktywowała pakiet ratunkowy, nadający się do jednorazowej podróży na Ziemię. Ale na razie nie rozwinął się jeszcze do końca. Załadowała do niego system naprowadzający oparty na obrazie - fotografiach Ziemi; bardziej odpowiedni niż bezużyteczny radar. AI nie okazała się tak pomocna, jak można by oczekiwać, ale poinformowała Io o możliwościach mutacji. Dała jej też okazję do rozmowy o opuszczeniu kolonii i trochę doradzała przy nano. Oczywiście sztucznej inteligencji można wyłączyć funkcję mówienia, ale zawsze to jakieś towarzystwo, a Io była już zmęczona słuchaniem tylko własnego, dziwnie spokojnego i

miarowego głosu, rozbrzmiewającego wśród pustki.

*

Minęła załom korytarza i tam znalazła dziewczynkę, spokojną i zadowoloną, zamkniętą w sobie i beznamiętną. Siedziała na stołku przy komputerowym module graficznym, rozpostartym na podłodze i przyłączonym do Zeusa cienutkim, żółtym kablem.

Zeus, układ statku międzygwiazdowego w stanie embrionalnym, pozostawał nieaktywny od lat. Hobbystycznie zajmowali się nim ci, którzy sądzili, że może się przydać w razie inwazji na Ziemię i konieczności ucieczki w kosmos. Zeus był projektem mającym służyć rzeszy ludzi, w przeciwieństwie do niewielkiego zarodnika Io, jaki służyć mógł do pomocy przy ucieczce najwyżej jednej lub dwóch osób.

Milcząca dziewczynka aktywowała Zeusa.

Włosy dziecka wyglądały jak kołtun, który Io najchętniej rozczesałaby lub obcięła. Dziewczynka pracowała. Przesuwała linie w tę i we w tę lub obracała obrazy, tak szybko, że Io po prostu nie mogła nadążyć. Przykucnęła więc tylko obok.

- Musimy wrócić na Ziemię.

To było jedynie krótkie zerknięcie na jej ramiona, nic więcej. I ręce dziecka poruszyły się jeszcze szybciej nad rysowanym schematem. A ów obraz w jakiś sposób kojarzył się z muzyką.

*

Io znalazła nagrania dotyczące dziewczynki w bazie danych. To nie było trudne, w kolonii mieszkało niewielu ludzi.

Dziecko było autystyczne. Ale niezupełnie. Syndrom Aspergera, zapewne. Kondycja fizyczna w normie, brak przebytych chorób, nie stwierdzono wad serca. Dziewczynka zdolna do porozumienia się, lecz bardzo wyraźnie odmienna, inna.

Su-Chen Ma. Dwanaście lat.

Jej rodzice zrezygnowali z jakiegokolwiek terapii dla córki z powodów wyznaniowych. Kiedy Su-Chen miała sześć lat, jej sprawą zajął się trybunał Harmonii. Zdecydował, że muzyczny geniusz, jaki posiada dziecko - a talenty tej miary były czymś rzadkim nie tylko w grupie kolonistów - mógłby zostać zniszczony, gdyby zastosować terapię genetyczną. Rodzice Su-Chen powoływali się na nagrania z ziemskich baz danych, przedstawiające samobójstwa ludzi autystycznych, którym przywrócono prawidłowy wzorzec zachowań i emocji. Ludzie ci wkrótce popadali w zgorzknienie i gniew. Wyglądało na to, że emocje, jak wszystkie aspekty złożonej ludzkiej równowagi między światem wewnętrznym i zewnętrznym, stanowiły wyuczoną, zintegrowaną z osobowością całość. Niełatwo było zatem

w późniejszym życiu od nowa uczyć emocji chorych na autyzm, podobnie jak w przypadku niewidomych, którym przywrócono wzrok, wprowadzenie nowego zmysłu i systemu percepcji otoczenia powodowało zawsze dezorientację i zdenerwowanie pacjentów.

Dziewczynka została sama.

Jej matka umarła dwa lata temu.

Su-Chen miała tę samą anomalię genetyczną co Io. Anomalię, która po raz pierwszy pojawiła się po wystąpieniu Ciszy, w rzeczy samej, mutacja była dziedziczna.

*

Io obudziła się podczas kolejnego cyklu nocnego, czujna, skoncentrowana i przytomna, w końcu pomieszczenia lśniło światło.

I brzmiała muzyka, muzyka Su-Chen. Jak kontrapunkt dla ciszy i światła.

Wstała powoli, jednym płynnym ruchem. Postąpiła krok. Światło cofnęło się, jak zawsze. Utrzymała stały dystans, a muzyka rozbrzmiewała w oddali.

Io stała, przyglądając się świetlikowi. Próbując zrozumieć.

Gdybym mogła rozłożyć to światło.

Gdybym mogła rozbić je na części, stopniowo, a potem poskładać w pierwotną formę. Gdybym mogła cofnąć czas tak, aby nic się nie zdarzało. Żebyśmy byli razem, a czas nie płynął chwila za chwilą. Udawalibyśmy, że istnieje przeszłość i przyszłość, ale wokół nas rozciągałaby się tylko przestrzeń i tylko nasze opowieści określałyby, co było, a co będzie.

- Mrzonki - wyszeptała Io.

Chcę spać. Chcę się odwrócić i przekonać, że Plato jest obok, ciepły i opiekuńczy, czasami ironiczny. Plato. O wiele częściej bywający w domu niż Io; o wiele bardziej pogodny i uprzejmy niż ona. Odszedł. A ból w piersi nie zniknął i Io miała pewność, że nigdy nie zniknie. Światło było zimne, było tylko światłem, ale jedynie światłem mogła pokonać ciemność, musiała zatem zrozumieć jak najwięcej. Znaleźć drogę. Na tyle, na ile jej się uda. A zatem nie ma potrzeby się wahać. Na zawsze, do końca życia Io, jej świata i jej czasu. By poznać prawdę o świetle.

Nie zastanawiała się, czy zabrać ze sobą Su-Chen.

Po prostu leżała, czując ogromną falę zmian, następujących jedna po drugiej, krzyżujących się, docierających do każdej komórki ciała.

A kiedy się ocknęła, Plato zniknął. Ponownie.

*

Sprawdzając moduły systemu, Io poczuła na plecach wzrok Su-Chen i odwróciła się. Dziewczynka stała zaledwie o metr, po drugiej stronie okna.

Podbródek miała uniesiony. Jej spojrzenie mówiło: *Podwijasz ogon pod siebie i uciekasz. Ja wybieram się w kosmos.* w każdym razie Io myślała, że to właśnie wyrażają ciemne oczy Su-Chen.

A może tylko jej się wydawało?

*

Io podeszła do konsoli Zeusa. Su-Chen spała na sofie.

Kobieta weszła przez służbę, zamontowała niewielkie ładunki wybuchowe na pancerzu w module pasażerskim i wycofała się szybko.

Eksplzja obudziła dziewczynkę.

Przez chwilę Su-Chen patrzyła na skutki wybuchu przez okno w swoim pokoju.

W jej oczach nie było jednak śladu nienawiści do Io.

- Wybacz - powiedziała Io. - Nie mogę pozwolić ci odejść. Polecisz ze mną na Ziemię?

Su-Chen zsunęła się z sofy, narzuciła sweter na piżamę i przeszła obok Io, nie zaszczywszy jej ani jednym spojrzeniem.

*

- Zabieram koty.

Io odwróciła się. Su-Chen stała nieopodal, trzymając klatkę z dwoma wyraźnie zirytowanymi kotami, z klatki słychać było syk i lament. Dziewczynka miała na sobie czerwoną bluzkę i pomarańczowe spodnie.

- Potrafisz mówić - zauważyła Io.

- Oczywiście, że potrafię. - w spokojnym, czystym głosie dziewczynki nie zabrzmiała nawet nuta lekceważenia, tylko precyzja stwierdzonego faktu. Słowa były płaskie i beznamienne. - Nie jestem niemową. Wysadziłaś Zeusa, więc nie mogę go użyć. - Przysiadła na wystającej belce i przycisnęła klatkę do piersi. - Dokąd polecimy?

- Do Miasta Półksiężycy. To gdzieś na Morzu Karaibskim, w każdym razie tak głośno plotki, gdy opuszczałam Ziemię.

Dziesiątki lat temu. Ale nie warto teraz się tym przejmować. Czy pływające miasto jest nadal zamieszkane, czy nie, Io mogła sprawdzić przez teleskop.

- Dlaczego?

- Ponieważ Miasto Półksiężycy powstało jako mekka dla naukowców. Gdybym nie szukała mojej matki, właśnie tam bym się wybrała, nie na Księżyc.

- Kiedy odlatujemy?

- Gdy tylko moduł ratunkowy będzie gotów.

- Jak znajdziemy to miasto?

Bardzo dobre pytanie.

Io właśnie zdążyła się przekonać, że ta mała potrafi ją nieco zdenerwować.

*

Przecisnęły się przez wąskie przejście i podążyły przed siebie długimi skokami. Pozbyły się obciążników. Su-Chen niosła koty w specjalnej, zamkniętej klatce.

Po drabinie wspięły się na kadłub pojazdu i wcisnęły do ciasnego wnętrza. Ich wejście uruchomiło odliczanie, ustawione wcześniej przez Io. Od tej pory wszystko było zaplanowane bardzo dokładnie.

Su-Chen, przypięta pasami, szarpnęła się w fotelu, gdy pojazd rozgrzewał silniki. Malutkie okienko zasłonił dym wznoszący się wokół rakiety. Io również zapragnęła się wydostać. Nagle odechciało jej się odlatywać. Ale już nie mogła wyjść. Były tutaj. Obie.

Ale jedynie Io mogła powiedzieć innym, co się zdarzyło w kolonii.

Ona i Su-Chen. Równie dobrze mogłyby nie przeżyć...

Io nie zamknęła oczu. Podobnie Su-Chen. Patrzyły na siebie, tylko spojrzenia je łączyły, gdy pojazd ratunkowy odrywał się od powierzchni Księżyca, miażdżąc pasażerki przeciążeniem, w przelocie dostrzegły jeszcze niewielki, suchy świat, ich świat; błysk anteny, kopułę i gwiazdy...

A kiedy oślepiło je słońce, Su-Chen powiedziała tylko:

- Hej...

A potem w oknie pojawiła się półkula Ziemi, bliskiej, białoniebieskiej, a melodia saksofonów zalała umysł Io, zapała dech i nieprawdopodobnie szybko przepłynęła, jakby zrodziło ją światło. Wydawało się, że główne akordy wiodą Io i Su-Chen w stronę planety, potężniejąc w miarę zbliżania się do powierzchni znaczonej granicami mórz i oceanów, które porzuciły dawno temu. Po kilku okrążeniach Ziemi statek zniżył się do lądowania.

8 SIERPANIA 2115

ROZLEGŁE NIEBIOŚA

Danya i Radiokowboj

Danya odsunęła się od głazu i przybrała wygodniejszą pozycję. Obserwowała Kowboja płasającego przy ognisku, jego szeroką twarz przeciętą długim cieniem nosa. Od ognia bił słodki, ostry zapach żywicy.

Kowboj nucił jak Keith Jarrett, jeden z jej ulubionych jazzmanów, dawno, bardzo dawno temu. Mężczyzna podśpiewywał niskim, głębokim tonem lub poświstywał przez zęby przy trudniejszych krokach tańca. Zachodzące słońce barwiło odległe wzgórza na pomarańczowo, w jednej chwili dotykało szczytów, a zaraz potem horyzont zmienił barwę na ciemnoniebieską. Na firmamencie rozsypały się blade gwiazdy, a Danya po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, gdzie Kowboj słyszał tę melodię. Kabury przy pasie przymocował do ud cienkimi, niewidocznymi niemal sznurkami, ale broń nie była naładowana kulami, choć odstraszała potencjalnych napastników na szlaku - ta broń strzelała muzyką.

Dawno temu Danya Cooper mieszkała w miasteczku Salvation w Tennessee. Była mądra jak na swój wiek, zbyt mądra jak na tę dziurę - powtarzał tatuś i dodawał zaraz, że powinna ruszyć tyłkiem i głową i przeprowadzić się najszybciej jak może. Więc Danya ruszyła tyłek i przeniosła się do Nashville, a potem do Memphis, tam dorabiając jako kelnerka, w Memphis skończyła studia i urodziła dwoje dzieci. Kto wie, gdzie one są? Jej mąż porwał je i ukrył. Przez krótki czas uczyła w szkołach publicznych, w których nanotechnologia była zakazana, ale później znalazła posadę w szkole prywatnej, gdzie nie obowiązywało cenzurowanie wiedzy. I od tego momentu w życiu Danyi Cooper wszystko się zmieniło. Dosłownie wszystko.

Ale teraz... Teraz nie umiała sobie nawet przypomnieć, jakie sprawy mają znaczenie. To było niczym przepaść. Tak, przebywała w pływającym mieście, w odpowiednim miejscu. Ważnym. Ale nie pamiętała dlaczego. Była wojna. Musiała uciekać. Wraz z Kowbojem. Byli

słabi i bardzo spragnieni, i naprawdę o włos od śmierci, gdy dotarli na ląd.

Znała piosenkę, którą teraz mruczał Kowboj, i włączyła się, śpiewając *The Yellow Rose of Texas*⁵. Mężczyzna chwycił ją za ręce i poprowadził do walca. Tańczyli, aż zniknęły ostatnie promienie słońca.

Radiokowboj pochylił głowę; dotknął jej skóry. Poczuli jego gorące usta na szyi i już niemal zwróciła twarz, by spotkać jego wargi w pocałunku...

- Mówiłam ci, nie - powiedziała, opuszczając ramiona. Cofnęła się i zaczęła rozkładać śpiwór. Nie patrząc na niego, położyła się i zamknęła oczy.

Nagle podniosła się, poprawiła posłanie i ponownie otuliła się przykryciem.

W chwilę potem już spała. Albo sprawiała wrażenie, że śpi.

Radiokowboj owinał się śpiworem, cienutką tkaniną, która za dnia pochłaniała energię słonecznych promieni, by nocą oddać ją w postaci ciepła. Gdy tylko biodra i ramiona zetknęły się z wewnętrzną powierzchnią, śpiwór napęczniał, zapewniając wygodne posłanie.

Danya posapywała po przeciwnej stronie ogniska, owinięta drugim śpiworem, z butelką rumu w pobliżu. Poziom alkoholu obniżył się dokładnie o dwa palce od poprzedniego wieczora.

Ten scenariusz powtarzał się w takiej czy innej formie za każdym razem, gdy Kowboj próbował się zbliżyć do dziewczyny. Nie zawsze tańczyli, ale zawsze próbował ją pocałować, a ona odmawiała. Wypracowała system powstrzymywania go, jakby wchodziła do domu i zamykała drzwi.

Oczywiście wiedział, że kobietom trzeba dać czas. Jednak nie za wiele czasu, żadna kobieta nie była tego warta. Ostatecznie zbyt wiele ich żyło na ziemi, by snuć się tylko za jedną.

Dogasające ognisko trysnęło pomarańczowymi iskrami w usiane gwiazdami niebo i w nieruchome powietrze uniósł się aromatyczny dym.

Było cudownie i bajecznie, jak w legendach o Dzikim Zachodzie.

- Cholera. - Podniósł się.

Radiokowboj nienawidził tych chwil między położeniem się a zapadnięciem w sen. Zawsze wtedy przypominał sobie, że naprawdę jest Peabodym, poważnym i odpowiedzialnym Inżynierem, a nie romantycznym, dzikim Radiokowbojem, poskładanym z bajek rodem z ostatniej granicy.

⁵ Amerykańska legenda mówi, że osadnicy z Europy, którzy podróżowali w kierunku Dzikiego Zachodu w poszukiwaniu nowego celu życiowego, śpiewali tę pieśń jako symbol bohaterstwa, którym jest pokonanie własnego strachu przed nieznanym (przyp. tłum.).

Zdecydowanie wolał być Kowbojem: twardym, pomysłowym i silnym. Miał prawdziwych wrogów: hodowców owiec, farmerów, którzy strzegli wybrzeża. Węże i suche prerie, gdzie można umrzeć z pragnienia. I jeszcze demokraci. A może to byli republikanie. Trudno powiedzieć. Ale na pewno miał do przejścia wiele mil. I miał opowieści, tyle opowieści do przekazania! Pieśni do zaśpiewania! Radiokowboj nie zastanawiał się nad nieznanym i niepoznawalnym, nie musiał walczyć o drogę do gwiazd. Nie musiał dźwigać na barkach odpowiedzialności i pamiętać, dlaczego opuścił pływające miasto, nie wspominał dawnych twarzy i głosów. Jedyne, co miał do zrobienia, to iść na zachód. Tak naprawdę nie chciał iść do Houston. Kiedyś spotkało go tam coś złego. Coś, co wiązało się z dziewczyną, która zatrzymała samochód...

- Zostaw mnie - wymamrotał Kowboj.

Ale to Peabody uniósł się na ramieniu, a potem wyczołgał się ze śpiwora i wstał.

Twarda ziemia była kamienista, porośnięta splątaną roślinnością, więc Inżynier włożył niewygodne kowbojskie buty i podszedł do samochodu Carlyle Sun-o-Ram, wyposażonego w niewielki nanoreplikator, który ukradli w Mississippi jako wspomaganie do muzycznej broni, przekonani, że będzie im potrzebne w gorączkowej i pośpiesznej wędrówce na zachód. Na szczęście urządzenie wytwarzało wszystkie artykuły spożywcze, jakie tylko udało się zeskanować, nawet tak ulubiony przez Danyę trunek, w końcu, gdy się uspokoili na tyle, by zrozumieć, gdzie dokładnie są i dokąd mają iść, Kowboj i Danya wymienili trochę artykułów spożywczych na srebrne monety, będące walutą w Republice Mississippi, najwyraźniej akceptowane przy większości transakcji kupna-sprzedazy.

Na kontynencie żyło teraz mniej ludzi, niż się spodziewali. Danya i Peabody byli wstrząśnięci liczbą opuszczonych miast, jakie mijali po drodze. Przyczynę stanowiły różne plagi, szczególnie Plaga Gajańska i druga, która zmuszała do przejadania się i powodowała nienaturalne tycie. Większość ludności wchłonęły Miasta Kwiatów. Kowboj i Danya minęli jedno z nich, Montgomery, z daleka podziwiając ogromne rośliny lśniące w promieniach zachodzącego słońca. Wiedzieli jednak, że nie mają czasu, by odwiedzić miasto. Musieli kierować się na zachód.

Lecz teraz przytomny był Peabody. Gdy zapadała noc, umiał wyprzeć Radiokowboja. Nie był pewien dlaczego. Może wiązało się to z jego szczególnym upodobaniem do spania w dzień. Postać Kowboja wspierała się na sile amerykańskiego mitu, ciężko było z nim walczyć.

Może Kowboj zaczynał się rozpadać? Peabody często miał taką nadzieję. Gdy szedł do samochodu, zastanawiał się, ile czasu pozostawał w tym stanie osłabienia i opętania.

Ręce Peabody'ego, jego uszy i umysł były złaknione wrażeń.

Inżynier otworzył bagażnik i zaczął wyrzucać rzeczy na ziemię, przeglądając niektóre w mdłym świetle.

Zastanawiał się, gdzie się znajduje. Teksas. Pamiętał przejście przez granicę. Musiał się dostać do Houston. I musiał tam dotrzeć szybko. Nie umiał sobie przypomnieć dlaczego, ale pamiętał konieczność ogromnego pośpiechu.

Istotnie, po krótkim odpoczynku, gdy już zdążył się przyzwyczaić, że znowu jest sobą, pomyślał, że najlepiej by było, gdyby już teraz, wieczorem, wsiadł do samochodu i...

- Kowboj, co robisz? - Głos Danyi, stłumiony nocną ciszą, zabrzmiał sennie i z lekką irytacją.

Peabody nie odpowiedział. Nie był Kowbojem, nie w tej chwili; nigdy nie był ani trochę Kowbojem.

Wyrzucił jeszcze trochę rzeczy z bagażnika. Tubki z jedzeniem, enigmatyczny, nierozpakowany nawet zestaw przetrwania, Absolutnie Kompletnie Zamrożone Zarodki Palomino⁶ z gwarancją szybkiego wzrostu „W DOSKONAŁEJ KONDYCJI” - jak głosił nadruk. Gdy kilka dni temu zatrzymali się w Arkadephii w Arkansas, gdzie mieścił się gigantyczny pchli targ, Kowboj pozwolił Danyi pomyszkować i wybrać coś dla siebie. Wprawiło go to w nastrój hojności i wielkoduszności, ponieważ tego rodzaju postępowanie wskazywało, że to jest jego podróż i jego priorytety liczą się najbardziej, choć dla towarzyszek nie zawsze było to jasne.

*

Tymczasem Peabody akceptował wszystko, co robiła Danya, natomiast nie pochwałiał postępowania swojego alter ego.

Na początku Inżynierowi było żal Danyi, ponieważ wiedział, co straciła, gdy została obdarta ze wspomnień. Dlatego odnosił się do niej z delikatnością i łagodnością. Jednak Danya wcale nie wydawała się smutna, przeciwnie - wykazywała mnóstwo entuzjazmu i optymizmu.

- Hej, uważaj z tym - skarciła go dziewczyna, idąc w jego stronę owinięta śpiworem. Pianka pozbawiona nacisku wydawała cichy szelest, gdy wylatywało z niej powietrze. - Chciałabym wyhodować jednego takiego palomino! - A potem Danya roześmiała się głośno i trochę nieuprzejmie, patrząc na jego nagie uda widoczne pomiędzy slipkami a butami.

- Łatwo jest się śmiać z głupca - zauważył Peabody. - Gdzie są radiokamienie?

- Radiokamienie! Myślisz, że w bagażach mamy miejsce na coś równie przydatnego w

⁶ Palomino - rasa koni, często występująca w westernach (przyp. tłum.).

tej ważnej podróży jak radiokamienie?

- Ha! - Przy zapasach wody leżała kolekcja Inżyniera, jego zdobycz z pchlego targu. Do kamieni dołączone były nieduże słuchawki.

Peabody wrócił na swoje ciepłe miejsce przy ognisku i usiadł.

- A kto posprząta ten bałagan? - zapytała Danya, oparta o carlyle'a.

Kowboj uważał, że to jej zadanie. Inżynier odpowiedział krótko:

- Ja. - Nie dlatego, że tak należało odpowiedzieć, albo dlatego, że było to istotne, ale dlatego, że było to przyjemne zajęcie.

Kowboj zastanawiał się, czy Peabody'emu czasem nie odbiło...

Peabody zignorował Kowboja i nie próbował się sprzeczać. Gdyby nie radość z wolności, w nocy mógłby poszukać argumentów dających mu przewagę nad Kowbojem, argumentów tak oczywistych jak kontynent, albo równie wielkich jak ludzka historia; może nawet przekonujących. Jednak na razie wołał, by Kowboj choć przez krótki czas pozwolił mu pozostać po prostu sobą.

Inżynier i Kowboj różnili się w bardzo wielu sprawach. Kowboj łatwo wpadał w gniew, podczas gdy Peabody potrafił trzymać emocje na łańcuchu, szczególnie gdy nie był pewny, czy ma rację.

Czasami jednak cieszył się, że jest Kowbojem. Dobrze się czuł z tą prostotą i pewnością siebie, w takich chwilach Kowboj wiedział, że Peabody nie będzie się starał odrzucić go, stawiać oporu. Inżynier różnił się tak dalece od Radiokowboja, że bycie nim w dzień przypominało zanurzenie się w chłodną, zieloną rzekę płynącą przez wypaloną, gorącą pustynię. Dla Radiokowboja wszystko było tak pewne i oczywiste. Nigdy nie mówiono mu, że jest kaleką, nigdy nie paraliżował go smutek, jak Peabody'ego. I nie chciał iść do Houston. Houston znajdowało się nie dość daleko na zachód.

W nocy Inżynier i Radiokowboj sprzeczcali się.

Lecz w jednej kwestii dochodzili do porozumienia. Peabody uświadomił to sobie, gdy wyjmował radiokamienie i jeden po drugim układał na ziemi. Radiokowboj był podekscytowany. Uwielbiał przebiegać częstotliwości w poszukiwaniu celowych transmisji, pokonywać opór jonów, przeskakiwać na kolejne pasma fal. Radiokowboj sprzeczciał się tyranii *El Silencio*, która przywiązywała ludzi do Ziemi, ograniczała używanie radia do krótkich, sporadycznych chwil, i odbierała wszystkim muzykę. Kowboj miał bzika na punkcie przebojów country, a Peabody przypominał sobie piosenki, których słuchał zazwyczaj w swoim pikapie, zielonym fordzie nazywanym pieszczotliwie Bessie...

Ramię Peabody'ego zamarło na moment podczas przekładania kamieni.

Radiokowboj zachowywał się niekiedy specyficznie. Był przecież zbiorem, kolekcją mitów. Nie należało się raczej spodziewać, że zatrzyma się w przydrożnym hotelu, np. Hotelu Boulderado, o wnętrzach urządzonych w stylu przedjapiskońskim. Ani też, że zadzwoni do Iry i każe jej przyjechać z paczką Marlboro, i to na jednej nodze. I raczej nie obchodziło go nic, oprócz... no właśnie, czego? Biletu do metra?

Radiokowboj był stary. Część jego osobowości była prawdziwa, realna. Aż nazbyt realna.

- Cholera, rzygać mi się chce od tego! - warknął, zrywając się z miejsca. Kamienie spadły mu z kolan, iskrząc w świetle ogniska, zanim upadły na ziemię z cichym stukiem. - Przynieś cały pieprzony karton, słyszysz? Ira? Ira?...

Kiedy Peabody walczył, by wyprzeć Kowboja, kątem oka zauważył, że Danya krzyczy i wyrzuca rzeczy z bagażnika Carlyle'a, a potem wskakuje do samochodu i odjeżdża, zostawiając za sobą jedynie tuman kurzu na wyboistej drodze. Mężczyzna rzucił się za nią, ale było za późno.

Odjechała.

A Kowbojowi pozostało tylko usiąść przy ognisku. Podniósł butelkę. Zostawiła rum. Może po niego wróci?

Pragnienie

Radiokowboj obudził się rano z bólem głowy.

Otworzył oczy i ujrzał radiokamienie błyszczące w blasku wschodzącego słońca, związane niewidzialnymi pętami *El Silencio*. Poza tym zobaczył ciemny krąg żaru i popiołu, a dalej...

Podniósł się. Śpiwór zaszeleścił.

To nie był sen.

Kowboj spojrział na żaloszony stos rzeczy rozrzuconych na ziemi.

Zostawiła zamrożone embriony palomino, trzy tubki z jedzeniem - wszystkie o smaku, którego nie znosił, o czym doskonale wiedziała - i pusty baniak na wodę, który mógł napęcznieć w pobliskim strumieniu. A także talię kart i jego harmonijkę.

Cholera. Co za kobieta. Podświadomie był przekonany, że jej na nim naprawdę zależy.

I teraz zyskał pewność. Wiedział też, że zależy jej na wyhodowaniu palomino. I dzięki Bogu, nie zostawiła tego pakietu przetrwania dla maminsynków. To byłaby obraza dla Kowboja.

Radiokowboj podniósł się z krzywym uśmiechem. Nasikał na nadal gorące ognisko; strumień moczu parował z głośnym sykiem. Zrzucił buty, włożył spodnie. Miał coś do zrobienia. Musiał przywrócić zasięg radiu. Zebrać drużynę i wyruszyć na granicę. Przeżyć przygody. I nie tylko przygody, lecz przede wszystkim Przygodę. Danya jedynie go spowalniała w drodze ku przeznaczeniu. Rozpraszała go, bo przy niej myślał o miłości. Tym bardziej że kobieta dobitnie dała mu do zrozumienia, iż nie jest zainteresowana, choć uważał, że w końcu ulegnie. Zawsze ulegały. Był przecież kowbojem.

Włożył buty ze skóry węża, zapiął pas ze srebrzystą klamrą i ruszył w dół potoku, by napęłnić bidon. Potem wrócił do obozowiska, usiadł na kamieniu i otworzył jedną z tubek. Czysta, nieprzyprawiona pasta sojowa. Jedno z tych obcych dań - MISO, jak głosił napis. Wycisnął trochę. Wypił łyk wody i przeżył naprawdę trudny moment, gdy uświadomił sobie, że tego ranka nie będzie kawy. Ale kowboj, a szczególnie Kowboj, a przede wszystkim Radiokowboj Miasta Półksiężycza, mógł przetrzymać wszelkie trudności.

Nakazał śpiworowi zmienić się w plecak. Posłanie buntowało się, aż Kowboj na nie krzyknął, a potem nadał wolno skurczyło się i zwinęło w torbę z uchwytami i zapięciami. Mężczyzna wrzucił tam bidon z wodą, tubki z jedzeniem, talię kart i paczkę z embrionami palomino. Zebrał też radiokamienie spoczywające w martwej chwale i schował je do jednej z kieszeni bagażu. Zrzucił pakunek na plecy i wyjął harmonijkę. Idąc na zachód, grał *The Streets of Laredo*.

To był życie. To było prawdziwe życie.

- Spadaj - powiedział do próbującej się przebić osobowości Peabody'ego, chyba wpadającego w panikę. Znowu Houston.

Kowboj powędrował do dwupasmowej autostrady, którą wcześniej jechali z Danyą. Przypomniał sobie argument, dlaczego powinni jechać drogą międzystanową nr 10: aby lepiej widzieć drogowskazy na Houston. Lecz Radiokowboj nie miał żadnego powodu, by jechać do Houston. Nie było tam nic oprócz stada przeklętych ludzi.

Przeszedł zaledwie kilka mil twardym poboczem i uświadomił sobie, że jego buty nie są stworzone do pieszych wędrówek. Stopy pokryły się bąblami, czuł to wyraźnie. Na dodatek niemal słyszał, jak wewnątrz piekli się Peabody. Zdaje się, że to właśnie tamten pamiętał, co zdarzyło się minionej nocy i co przeraziło małą, biedną Danyę. Że na nią krzyczał i nazywał Iżą.

A teraz Inżynier powtarza mu, że musi iść do Houston. Natychmiast! Do.... Centrum

Kosmicznego? A cóż to takiego, do cholery?

- Biedna, mała Danya i moje stopy - warknął Kowboj. Dziewczyna da sobie radę, z całą pewnością.

Na długo przed jedenastą droga zaczęła migotać i falować, a Kowbojowi udało się głośno nie przeklinać Danyi aż do tej pory. Ale w końcu nie wytrzymał. A Peabody zaczął się o nią martwić, jak pies o zakopaną kość, nie szczędząc przy tym wyrzutów, że to on - on, Kowboj! - winien jest ucieczki Danyi.

To było wybitnie nieprzyjemne, z jednej strony Radiokowboj nie poczuwał się do winy. z drugiej jednak to on miał kłopoty, nie Danya. No bo kto teraz siedział w samochodzie?

Na dodatek nikt nie przejeżdżał - żadnej szansy dla autostopowicza na podwiezienie. Ale, proszę! Coś jednak jedzie... przypomina bus i kieruje się na zachód. Pojazd może zbyt gładki i czysty, jak na gust Kowboja, ale czasami nawet kowboje nie mają wyboru.

Wyciągnął rękę i uniósł kciuk.

W głębi serca

Danya jechała naprzód, na zachód, przez ogromną Republikę Teksasu. Kierowała się do Hollywood. Czemu nie? Zawsze chciała tam pojechać, szczególnie wtedy, gdy była jeszcze mała, a ludzie zawsze jej powtarzali, że jest bardzo utalentowana. Trochę zboczyła ze szlaku, to wszystko. Ale to już historia. Miała wyrzuty sumienia, że zostawiła towarzysza samego, ale ostatniej nocy strasznie ją przeraził. Zataczał się, jakby był pijany, choć nigdy nie pił rumu, wolał piwo w smukłych, długich butelkach. Przestał być nućącym, miłym kowbojem z wieczorów przy ognisku, który prawie, ale tylko prawie, ją uwiódł.

Teraz była zadowolona, że się mu oparła. Wybuch gniewu przypomniawszy Danyi ojca jej dzieci. Przysięgła sobie wtedy, że nigdy więcej nie pozwoli się tak traktować. Ile lat temu to było? Siedemdziesiąt pięć? Kącik ust uniósł się jej w ironicznym uśmiechu. Cóż, dotrzymała słowa.

Włosy Danyi rozwiewał wiatr. Miała nadzieję, że osłona przeciwsłoneczna działa. Przeszłość w Mieście Półksiężycy zdawała się odległym snem. Pamiętała ekrany przeciwsłoneczne, ale nie tak prymitywne jak te; o wiele nowocześniejsze, które rozpylały

substancje w powietrzu, by chronić mieszkańców miasta przed nowotworami. Nawet jeżeli już się zachorowało na raka, zniszczenia organizmu można było naprawić, wymagało to tylko trochę więcej energii. Ale te okulary...

Danya kupiła okulary przeciwsłoneczne na pchlim targu, bo przypomniały jej to, że pochodzi z Tennessee, oraz sprawę rozwodową. Ilekroć je zakładała, przekrzywiały się w prawo i zsuwały z nosa. Jakże pomocne się jednak okazały - inteligentne okulary, rozpoznające DNA. Zapewne, jak się domyślała, należały do jakiegoś gliny lub nawet prawnika. Okulary adwokata od rozwodów. Gdyby nauczyła się je uruchamiać, zapewne mogłaby się dowiedzieć o cudzych procesach rozwodowych, dane przesuwająby się w górnej części pola widzenia. A gdyby kupiła okulary dla fizyka, z danymi, których nie umiałaby zrozumieć? A może okulary z bajkami dla dzieci, z takimi byłaby szczęśliwa. Ale nie, musiała pogrzebać w stercie anonimowych szkieł na rozkładanym stoliku i posłuchać ciemnoskórego sprzedawcy w słomkowym kapeluszu, który wciskał jej, że właśnie te są idealnie w typie Danyi i żeby przymierzyła. Przymierzyła. A wtedy w górnym prawym rogu pojawiła się migająca szybko zielona kropka. Sprzedawca ucieszył się, że znalazł frajerkę, teraz Danya to wiedziała. Zapłaciła nawet dodatkowo, bo facet twierdził, że okulary zapewne były zrobione specjalnie dla niej. Faktycznie.

Powierzchnię drogi pokrywało samonaprawiające się tworzywo, więc była całkowicie gładka. Danya nie musiała specjalnie uważać przy prowadzeniu, ale zaczynała czuć suchość w ustach. Miała ochotę się napić. Wody mineralnej. Piwa. I chciało jej się palić. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio miała w ustach papierosa. Ale prowadzenie samochodu odruchowo wywoływało potrzebę palenia.

Mapy nie obejmowały całego Teksasu; nie te, które miała. Kowboj twierdził, że wystarczy, by kierowali się na zachód. Minęli niestrzeżony posterunek przy granicy Texarkany. Teksaszczyki próbowali zakazać na swoim terenie nanotechnologii, ale jak mogłoby się im udać? Danya i Kowboj przeczytali z zainteresowaniem listę towarów i przedmiotów, których wwóz był zabroniony.

Okulary Danyi, oczywiście, jak również samochód i wszystko w środku. Zapewne Danya i Kowboj też byli zakazani. TYLKO NATURALNI LUDZIE, głosiła lista, i TYLKO NATURALNE ZWIERZĘTA. Teksas próbował być ostoją natury, ale był jedynie żałośnie zacofany.

Na nieszczęście, nie zauważyła ani jednego przydrożnego sklepu, gdzie mogłaby zaopatrzyć się w potrzebne rzeczy, w zamian chętnie zaoferowałaby coś z produktów zeskanowanych jeszcze w Arkansas, prawdopodobnie takich, które w Teksasie były

nielegalne.

Noga na pedale gazu uniosła się lekko. Coś zamajaczyło z przodu. PIWO. PAPIEROSY. BATERIE - pojawił się wyblakły szyld. Nareszcie gdzieś dotarła.

Wjechała na zniszczony betonowy podjazd i westchnęła. Wejście i okna zabito deskami. Na ukos przez drzwi, które wyglądały na główne, namalowano ociekającą farbą: SKAŻENIE! Kolejny napis głosił: NIE WCHODŹ, JEŻELI NIE ZAMÓWISZ ROBALICJANTA: 2 PLASTRY BOCZKU LUB PARÓWKA, 3 JAJKA, SOK I KAWA - TYLKO 3,29 TEX-DOLARÓW! Dobry strzał.

Dwie wielkie ciężarówki i mniejszy pojazd stały przy głównej fasadzie budynku, sponiewierane przez czas i splądrowane przez wandalów, którzy zabrali z nich wszystko, co można było wynieść.

Danya wysiadła z samochodu i podeszła. Długa spódnica owijała się jej wokół nóg, a włosów bez wątpienia dawno nie traktowano grzebieniem - wystarczył rzut oka na odbicie w szybie lokalu, by się o tym przekonać. Powinna przynajmniej je zapleść lub związać, ale kiedy odjeżdżała, była zbyt zdenerwowana, by jasno myśleć. Pamiętała jednak, że zostawiła zarodki palomino, na które Kowboj narzekał podczas jednego z napadów irytacji, że zajmują za dużo miejsca w bagażu.

Było gorąco i ani żywej duszy wokoło. Danya minęła w ciągu dnia jedynie trzy pojazdy zmierzające na wschód, lecz ani jednego podążającego na zachód.

Po bezdrzewnej równinie gorący wiatr niósł zapach wysuszonej trawy, słodki i orzeźwiający. Danyę naszło odległe wspomnienie, którego nie powinno być. Nieoczekiwane. Cieszyła się tym wrażeniem, podobnym do tego, jakie musieli odczuwać wszyscy, którzy ujrzeni tę wspaniałą ziemię. Nie przeszkadzało jej, że nie powinna mieć tego rodzaju wspomnień, ponieważ nigdy nie doszła tak daleko na zachód wędrując do Hollywood.

To uczucie musiało być pozostałością cudzej pamięci. Jakiegoś farmera, hodowcy bydła, kierowcy, domokrażcy. Czysta przyjemność płynąca z przebywania na tej ogromnej równinie, jaśniejącej w słońcu i porośniętej wysoką trawą, poruszającą się w krótkich podmuchach wiatru.

Wzgórza, które jeszcze wczoraj przemierzała z Kowbojem, ustąpiły miejsca zupełnie płaskiemu krajobrazowi, w oddali na wschodzie Danya nadal widziała niewielkie wzniesienia, skąd odjechała rano. Radiokowboj zapewne jeszcze je przemierzał.

Nagle ogarnęło ją poczucie naprawdę dużej, ogromnej winy. Przypomniała sobie, jak Kowboj uratował ją w Mieście Półksiężycy, ocalił jej życie podczas ataku piratów. Przypomniała sobie jego zmyślną muzyczną broń.

Istniało coś jeszcze, co próbowała sobie przypomnieć. Coś związanego z Houston.

Do diabła! To było trudne do zapamiętania!

- Policja-robalicja - powiedziała z pogardą i skierowała się w stronę drzwi do lokalu. Powinny być otwarte. Wielkie frontowe okno było osłonięte cienkimi żelaznymi płytami.

Gdzieś zabrzmiał głośny trzask. Danya obróciła się i szła, rozglądając się wśród ograbionych ciężarówek po zachodniej stronie budynku, dopóki nie zatrzymała jej spora rozpadlina. Miała ze dwadzieścia stóp głębokości i rozciągała się chyba na ćwierć mili.

Z tyłu Danya znalazła metalowe drzwi, odarte z farby przez wiatr i słońce, kołyszące się na zawiasach - zatrzasnęły się z głośnym hukiem. Weszła.

Taaa, robale. Bez żartów!

Jakby cofnęła się w czasie. To było siedemdziesiąt lat temu i wszystko zdawało się idealne. Tak idealne, jak można sobie wyobrazić w tym krótkim okresie, gdy nanotechnologia działała tak, jak powinna, nie istniały żadne plagi, nie było terroryzmu, zniszczeń ani strachu. Idealnie, pięknie i czysto. Jak tutaj. Danya zauważyła bochenki chleba w plastikowych opakowaniach, automat z napojami, półkę z filmami. Pomieszczeniem zarządzał program, który nigdy się nie wyłączał. Używał energii słonecznej, by utrzymać czystość i odnawiać zapasy, stąd rozpadlina na zewnątrz. To, że ludzie przyjeżdżali tu rzadko, sprawiało, że szczelina nie powiększała się za bardzo - nie było potrzeby zbyt częstego syntetyzowania dóbr.

Cienkie pasma światła wpadające zza płyt przesłaniających okno lśniły na idealnie czystym, gładkim pomarańczowym blacie. Rzędy przekąsek w kolorowych opakowaniach stały na obrotowych półkach. Danya podeszła bliżej i wybrała paczkę serowych chipsów. Można by się spodziewać, że taką paczuszkę łatwo da się rozerwać zębami, ale okazała się twarda jak stal. Mógłby ją otworzyć człowiek dysponujący dwiema silnymi rękami i nożem. Opakowanie zwierzoodporne.

Podeszła do lady, za którą stały paczki papierosów.

Nie bała się, bo nie było tu nic, czego mogłaby się bać. Ale kiedy promień światła zgęstniał i rozlał się w owalny kształt, jakby kawałek gigantycznej galarety wielkości człowieka, serce Danyi załomotało głośno.

Chociaż widziała mnóstwo dziwnych rzeczy podczas przeprawy przez Mississippi, na łodziach pilotowanych i sterowanych przez różnych pomyleńców, choć poznała i przeżyła zmiany techniki i technologii, ta plama światła z jakiegoś powodu budziła strach i Danya pomyślała, że jest już na to wszystko za stara.

Nie wiadomo dlaczego była przekonana, że ten świetlny kształt jest istotą

odczuwającą, poznającą otoczenie za pomocą zmysłów. Nie wiedziała również, czemu czuje się obserwowana, jakby światło spoglądało nie tylko na włosy lub oczy Danyi, lecz na fragmenty jej życia, wspomnień, jakby mogło oglądać czas.

Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, i zmusiła się, by zaczerpnąć tchu. Powietrze przedostało się przez ściśnięte gardło z charkotem.

To coś stało między Danyą a papierosami.

Zrobiła kilka kroków, ale istota się nie poruszyła, nie rozplynęła się w powietrzu i nie znikła jak złudzenie, optyczna sztuczka.

- Umm... Przepraszam - odezwała się Danya, tknięta przecuciem. - Chciałabym tylko wziąć papierosy, tam z tyłu.

Istota odsunęła się od półki. Danya niemal upadła z wrażenia. To słyszało! I rozumiało! A nawet rozumiało po angielsku!

- O, cholera - mruknęła, opierając ręce na biodrach i patrząc na świetlisty kształt. - Kim ty jesteś? Co tu robisz? Czego chcesz ode mnie?

W powietrzu zabrzmiał niski pomruk. To była niemal niewyczuwalna wibracja. Danya przypomniała sobie, jak samotny słoń w Mieście Półksiężycy również trąbił, wysyłając komunikaty niesłyszalne dla ludzi.

- Nie słyszę tego - oznajmiła. - Musisz mówić trochę wyższym tonem. Słyszę dźwięki w paśmie od trzydziestu do czterech tysięcy herców. Widzę fale elektromagnetyczne o długości do czterystu nanometrów do... ech... około siedmiuset pięćdziesięciu, jak mi się wydaje. - Nie była pewna, skąd wzięła te informacje i dane liczbowe. Zaskoczyło ją to, lecz jednocześnie sprawiło przyjemność. Najwyraźniej nie straciła wszystkiego z dawnej osobowości, może tylko wszystko zostało gdzieś w niej ukryte głęboko, na dnie...

Albo może ta... istota... zrobiła coś z rekonstrukcją Danyi. Powietrze pachniało ozonem. Wydawało się jej, że jest dziesięciokrotnie mądrzejsza, a w każdym razie dość inteligentna, by czuć się głupią.

Świetlny kształt zdawał się zmieniać barwę z białej na niebieską, a dźwięk przypominał lament wiatru.

A potem istota znikła.

Danya miała wolną drogę do papierosów.

- Hmm. Zdaje się, że to nie był najlepszy pomysł. - odezwała się, ale nic się nie stało. Świetlna istota odeszła całkowicie. Danya już nie czuła, że jest obserwowana.

Pod ladą znalazła stos toreb. Jedną napełniła paczkami papierosów. A potem obeszła sklep i spakowała chleb, ser, płaty mięsa, lukrecję, batoniki, butelki wody mineralnej, mleka

sojowego i soków. Oraz piwa. Skończyła szybko i rozejrzała się jeszcze, czy czegoś nie zapomniała albo czy coś jeszcze może się przydać.

Podprowadziła carlyle'a do tylnych drzwi i zaparkowała nieduży pojazd do granic możliwości, a potem usiadła za kierownicą.

Musiała się zdecydować, dokąd jechać.

Musiała przyznać, że świetlista istota wywarła na nią drobny wpływ. Nic poważnego, ale jednak czuła jakąś widmową moc. Pomyślała o Radiokowboju, próbującym złapać okazję na zakurzonej drodze, może zatrzymującym się nad potokiem i zastanawiającym, jak wyhodować palomino, a potem po prostu zawróciła samochód.

Może Kowboj czegoś się nauczył.

A może będzie coś wiedział o świetle, które odzywa się jak słoń.

Wraz ze słońcem wrócił okrucz wspomnień z Miasta Półksiężycyca.

Ale mimo to Hollywood też wzywało Danyę. Odcięła się od tych pragnień, pędząc autostradą na zachód i popijając długimi łykami ciepłe, pieniste piwo.

*

Godzinę później pojazd Danyi się zatrzymał.

Czasy, gdy maszyny nagle się psuły i przestawały pracować, minęły dawno temu i Danya nie od razu uświadomiła sobie, że coś się stało. Była po prostu tak zaskoczona, że jeszcze przez chwilę jechała siłą rozpędu. Przecież to nie był samochód podobny do tych, które płynęły niegdyś niekończącym się strumieniem przez Memphis, a potem stały na tyłach przy domach z tanimi mieszkaniami do wynajęcia - to nie były psujące się chevrolety, fordys lub toyoty, w których na podłodze walały się stosy śmieci i śmierdzące dziećmi!

Danya podniosła maskę i wyszła w panujący na zewnątrz upał. Zajrzała do wnętrza, gdzie powinien znajdować się silnik, i westchnęła z zakłopotaniem.

Wyglądał zupełnie inaczej. Pamiętała, że powinien mieć jakieś przewody, a ten nie miał. I wszystko było zdumiewająco czyste. Nie posiadał za to żadnej metalowej części, choć Danya spodziewała się czegoś innego. Żadnego akumulatora, więc na pewno nie chodziło o brak wody. Droga sama w sobie była akumulatorem. Dziewczyna opuściła maskę i wróciła do wnętrza samochodu. Na desce rozdzielczej znalazła przycisk oznaczony „DIAGNOSTYKA”. Tego potrzebowała. Nacisnęła.

Konwerter paliwa był zniszczony. Kiedy poprosiła o więcej informacji, dowiedziała się, że niezbędne substancje chemiczne zostały zużyte i co gorsza, komunikat na ten temat został zlekceważony, trój-bla-bla-bla-coś-tam (nazwa i tak nie do zapamiętania, więc po cholere próbować?) rozłożył się i nastąpiła awaria, a jedyne, co można zrobić, to

zsyntetyzować nowy konwerter.

Mówiąc prosto, Danya powinna pójść do warsztatu lub do jakiegoś nanomarketu i sprawić sobie nowe urządzenie.

Gwałtownie zerwała z nosa okulary przeciwsłoneczne. Właśnie odtwarzały oskarżenie jej przez eksmeża, który zwerbował swoich głupich znajomych, żeby przekonać sąd, aby powierzył mu opiekę nad dziećmi. Sprawa otarła się aż o Sąd Najwyższy. Był nawet numer akt dotyczący tej rozprawy. Okulary budziły gorzkie wspomnienia.

W odruchu gniewu rozgniotła okulary obcasem. Ale odłamki zbiegły się i złączyły, gdy tylko odsunęła stopę. Ciekawe, co jeszcze wytrzymają? Kopnęła je mocno, aż przeleciały wielkim łukiem przez drogę. Ależ ten świat był wkurzający! Szkoda, że nie została w Mieście Półksiężycy. Tutaj wszystko było takie irytujące, że aż pękała głowa.

Cóż. Utknęła tutaj z ogromną ilością piwa, papierosów, mięsa i lukrecji. Wszystkim, co ważne, jakkolwiek by na to patrzeć.

Milę wcześniej Danya widziała drogowskaz na północ z nazwą miasteczka. Eyesore, Heatstroke czy coś podobnego. Przeszukała szybko bagaż, znalazła małą skórzaną sakiewkę ze srebrnymi monetami i zawiesiła ją na szyi. Potem uniosła butlę z wodą i piłą, dopóki uczucie, że gardło jej płonie, nie minęło.

Skierowała się na wschód, szurając po drodze, która sprawiała wrażenie, jakby kleiła się do podeszew. Buty szybko pokryły się kurzem i brudem. Danya rozglądała się w obawie przed grzechotnikami.

Cokolwiek wcześniej było napisane na drogowskazie, teraz zostało zamazane przez ślady po kulach, w nazwie miasta było na pewno H i P. Ale nie było żadnej pewności, że ktoś tam mieszka. Gdzie to może być? Nie dalej niż kilka mil. Czemu Danya nie miałyby sprawdzić?

Po dziesięciu minutach natrafiła na wąwóz głęboki i długi na pół mili. Zeszła nim aż do wijących się pól bawełny, w połowie drogi natrafiła na rząd niskich, starych budynków. Strumień szemrał wśród pól, a na zboczach porośniętych rzadką trawą pasło się bydło.

Danya była spocona, czuła tylko gorąco. Mozolnie powlokła się do widocznej nieopodal drogi. Wkrótce dotarła do skromnej kładki nad potokiem. Zdjęła buty i skarpetki i położyła się na płyciźnie, nie przejmując się, że kamyki uwierają ją w plecy. Niemal słyszała syk pary, gdy się zanurzyła w chłodnym nurcie.

Po około dziesięciu minutach nareszcie poczuła cudowny chłód. Przez dłuższą chwilę patrzyła w bezchmurne, błękitne niebo. Nagle zauważyła, że pada na nią cień. Tuż obok niej pojawił się jakiś człowiek. Zwróciła głowę w jego kierunku.

Mężczyzna stał nad brzegiem, pod słońce, więc nie mogła dobrze mu się przyjrzeć. Brązowy kapelusz z szerokim rondem, czerwona broda, kamizelka, kraciasta koszula, dzinsy i nieodłączne, ręcznie szyte buty z groźnie okutymi noskami, teraz opartymi o kamień niebezpiecznie blisko głowy Danyi. Natychmiast podniosła się z wody, wspierając na łokciach.

- Czego chcesz, do diabła?

- Co tu robisz? - spytał mężczyzna.

- Ochładzam się. - Opadła z powrotem do wody i zamknęła oczy w nadziei, że mężczyzna odejdzie. Może wiedział, jak uruchomić samochód Danyi, ale zimna woda opływająca jej ciało wydawała się jej teraz bardziej istotna.

Mężczyzna wyciągnął ramię i podniósł Danyę. Ślizgając się na mokrych kamieniach, próbowała złapać równowagę i uwolnić się z uścisku. Zerknąwszy na przybysza pożałowała, że nie ma okularów słonecznych, które dodawałyby jej powagi.

- O co chodzi? To teren prywatny?

- Zadałem ci pytanie. - Jego spojrzenie było płaskie, jakby zbyt długo już oglądał świat i zdążył się znudzić tym widokiem. Albo - pomyślała Danya, nagle rozpoznając ten charakterystyczny wzrok - jakby śniadanie zaprawiał szklaneczką whisky.

- Po prostu przechodziłam. - Otrzeptała się z wody i usiadłszy na kamieniu zaczęła wycierać sobie lewą stopę skarpetką, a gdy już ją wysuszyła, włożyła but. Potem to samo zaczęła robić z prawą stopą.

- Jeżeli to twój zepsuty samochód stoi przy drodze, to nie możesz tylko przechodzić. Łzesz, panienko.

Danya mocno zatęskniła za muzycznymi pistoletami Radiokowboja. Chciałaby ujrzeć tego obcego mężczyznę, jak tańczy. I jeszcze, jak podśpiewuje, na przykład *A Spoonful of Sugar*.

Skończyła wkładać buty i wyprostowała się. Gorące powietrze wysuszało wilgoć, którą przesiąkło ubranie.

- Po prostu się zatrzymałam. Chciałam się ochłodzić. - I coś zrobiłaś ze światłem w sklepie spożywczym.

- Wstąpiłam tam tylko, ale nic nie zrobiłam. - Przechyliła głowę, by uniknąć rażącego słońca, jednocześnie obserwując mężczyznę i rozglądając się za odpowiednim kamieniem.

- Światło pojawiło się godzinę temu. Myślę, że w tym samym czasie, gdy ci się zepsuł samochód. Przestań wciskać mi te bzdety, dobra? - Obcy przeszedł kilka kroków, a potem się odwrócił. - Może się do czegoś przydasz, to wszystko. Nie kręć jak dziecko, nie możesz się

stąd ruszyć, o ile nie znajdziesz pomocy.

Zaskoczona Danya patrzyła, jak mężczyzna idzie w kierunku domów przez brązowe zbocze wzniesienia.

Czy ta... istota... śledziła ją?

Danya ruszyła szybko w stronę miasteczka.

W głowie kłębiły się jej myśli, gdy schodziła między zabudowania. Wiadukt zjazdu z asfaltowej szosy znajdował się o ćwierć mili dalej, parkowały tam różne dziwacznie wyglądające pojazdy, w miasteczku wznosiło się kilka szop i dwa lub trzy porządne domy.

Wspięła się na ganek saloonu.

Siwowłosa kobieta siedząca wewnątrz w bujanym fotelu obserwowała przybyłą, paląc papierosa, w perspektywie za oknem Danya zauważyła niewielki sklep spożywczy i mięsny, znak głoszący „ROBALE ZABRONIONE”, pozostałość po starym przywileju, pozornie mającym zakazywać używania dóbr wyprodukowanych dzięki nanotechnologii. Dalej, na końcu ulicy, stała grupka mężczyzn, kobiet i dzieci, w większości ubrana w dzinsy, kraciaste koszule i skórzane buty.

Kobieta z papierosem skinęła wolno w kierunku niewielkiego tłumu i oznajmiła Danyi:

- Czekają na ciebie.

Dziewczyna weszła do lokalu. Natychmiast owionął ją zapach zwiędzłego piwa.

- Mogę zamówić drinka? - Gdy jej oczy przywykły do półmroku, zauważyła obity blachą sufit, około dziesięciu podniszczonych stolików, przysunięte do nich niedbale krzesła oraz kilka wysokich stołków przy niezwykle ozdobnym, bezsensownie wykwintnym kontuarze z rzeźbionego drewna.

Siwowłosa kobieta nie ruszyła się z miejsca.

- Masz dość pieniędzy?

- Czego tu używacie zamiast nich?

- Tylko pieniędzy. Ty z Kolorado?

- Z Tennessee.

- To wyjaśnia twoją niewiedzę. Dwa srebrne dolary. Danya sięgnęła pod ubranie i wyjęła sakiewkę. Srebro to srebro - i nawet jeżeli wyprodukowane dzięki nano, nadal miało wartość. Rzuciła monety na bar.

Starsza kobieta stanęła za kontuarem i przesunęła monety na żółty pas widoczny na blacie, pod którym staroświeckimi literami wygrawerowano: ANALIZATOR. Pasek zabłysnął na zielono.

- Co podać?

- Kufel tutejszego piwa Sun Ale. O co chodzi z tym światłem:

Barmanka nieco się ożywiła.

- Widziano je na ulicy. Jak cień, ale świecący, no wiesz. Na moje oko to nic dobrego, z tyłu wyglądało na ciemniejsze, ale kiedy stanęłam na wprost, okazało się jasne, wyraźne i kolorowe, tak kolorowe, że musiałam zamknąć oczy. Jak odbłask lusterka wśród gór, ale bliższe i silniejsze, rażące. To coś wpłynęło na werandę, a kiedy znajdowało się w cieniu, można było zauważyć bijący od niego blask. Na koniec poszło do sklepu. - Zerknęła wyżej, słysząc kroki na ganku, a jej oczy rozszerzyły się wyraźnie.

Danya odwróciła się, aż nazbyt dobrze wiedząc, co zobaczy.

Owalny kształt przepływał przez ścianę, podczas gdy gromada ludzi pchała się do drzwi. Istota podплыnęła bliżej i zatrzymała się przed Danyą. Kobieta poczuła chłód. Przyglądając się dziwnemu przybyszowi, pociągnęła łyk *ale*.

Owładnęło ją lekkie podniecenie. To było jak niedzielny poranek w Salvation, kiedy wszyscy ci starzy wieśniacy śpiewali w kościele stare pieśni, z niewymuszoną harmonią i żarem prawdziwej wiary. Danya mogła niemal dotknąć białej, gładkiej powierzchni ławek z wypolerowanego przez czas drewna i usłyszeć świergot ptaków na zewnątrz w chwilach, gdy zapadała podniosła cisza.

Nie czuła się tak od bardzo wielu lat.

Czym była ta świetlista istota? Czego chciała? Czy Danya różniła się czymś od ludzi w tym miasteczku?

Najprawdopodobniej. Czymś się zapewne różniła.

Jedną cechą. Miała genetyczną anomalię, z powodu której śledzono ją, gdy była młodsza. Zabrano ją nawet do kliniki na pół roku i poddano bolesnym testom. Przypomniła sobie mgliście igły i pytania, i uczucie koszmarnej słabości, zanim ją stamtąd wyrzucono. Powiedziano, że jest ułomna. Ojciec wpadł w szal, gdy poczuła się lepiej, chciał wyciągnąć większe odszkodowanie od kierownictwa szpitala.

I wtedy zabrzmiała muzyka. To było coś, z czym Danya żyła, jak kolor włosów. Muzyka nie towarzyszyła jej stale. Ale pojawiła się teraz, tak czysta, że wycisnęła jej łyż z oczu.

- Do licha - mruknęła, dopijając resztę *ale*.

- Co pani robi? - zapytała młoda kobieta o krótkich, ciemnych włosach. Wyciągnęła ręce i postąpiła kilka kroków naprzód. - Przeprowadziła pani tę rzecz...

W tym momencie jakiś chłopiec, ledwie wyrosły szkrab, pisnął, roześmiał się i ruszył

prosto w światło. I zniknął.

Zapadła cisza, wolna od brzmienia tonów muzyki światła, której być może nikt oprócz Danyi nie słyszał. Kobieta zaczęła krzyczeć. Ktoś zawołał:

- Z drogi! Zabiję to!

Pomimo wszystko światło pozostało nietknięte, jak zauważyła Danya przez otwarte tylne drzwi.

Zamierzała się przez nie wyslizgnąć. Zatrzymał ją huk wystrzału.

- To ona! - wrzasnął wściekle mężczyzna, którego spotkała nad potokiem. - Przeprowadziła tę rzecz, żeby zabić dzieci, które udało się nam wychować w ciągu tych pięćdziesięciu lat! I nas wszystkich też!

Danya nie mogła uciec. Miejscowi chwycili ją za ramiona. Jedna z kobiet strzeliła w świetlistą istotę dwa razy, choć inni krzyczeli, żeby przestała. Danyę popchnięto na środek, otoczył ją krąg ludzi.

Jej życie, każda chwila, niczym wizja, jakiej doświadcza się tuż przed śmiercią. Każdy moment równocześnie. Jakby poplątane urządzenia w jej mózgu wyświetlały intensywnie całe życie Danyi w jednym określonym kierunku ruchu po wektorze, który zwykle się nazywało czasem.

Jej pamięć wróciła nagłą, potężną falą.

Wszystko, co zapomniała z Miasta Półksiężycy; wszystko o superstrunach, falach grawitacyjnych i świetle. Patrzyła na to z nowej perspektywy, oderwanej od pojęć, nazw i teorii. Ujrzała własną śmierć, rozpaczliwie samotną śmierć, i ta chwila zmieszana była z innymi.

To pędziło zbyt szybko, by powiedzieć, co się zdarzyło. Rozmazane obrazy i dźwięki, migoczące i szmerzące jak rwący strumień, który słyszy się nawet wtedy, gdy go nie widać. I nagła, krótka ciemność.

Teraz na pewno Danya nie była sama. A zatem... jeżeli ta wizja była prawdziwa - myślała, wpatrując się w sufit - to przeżyję i jakoś stąd odejdę.

Świetlista istota odeszła.

Danya nie mogła dłużej tak beczynnie leżeć w obecności zgromadzonych mieszkańców miasteczka.

Podniosła się. W kieszeniach koszuli zacisnęła drżące dłonie. Obróciła głowę, bo usłyszała radio, które na chwilę odzyskało zdolność odbioru i rozbrzmiewało właśnie jakąś wesołą polką.

Wszyscy patrzyli na Danyę. W powietrzu nadal unosił się orzeźwiający zapach.

Wyłączyła radio.

Jakiś chudy mężczyzna celował w nią z pistoletów, stojąc w kącie za barem. Naprawdę nie miała pojęcia dlaczego; może po prostu tak jest, że gdy ma się broń, to czuje się potrzebę, by w kogoś wycelować.

- Na twoim miejscu nie robiłabym tego - odezwała się beznamiętnym, autorytatywnym tonem. Oparła ręce na biodrach i spojrzała na chudzielca.

- Co zrobiłaś z Benem? - zapytała dziewczynka, której jasne włosy falowały na plecach, gdy uniosła głowę, by popatrzeć Danyi w twarz.

Danya ukłękła i popatrzyła wprost w oczy dziecka.

- Nic nie zrobiłam - powiedziała spokojnie.

Potem wstała i ruszyła do frontowego wyjścia. Tłum rozstąpił się przed nią.

Miała nadzieję, że się nie potknie ze zdenerwowania. Szybko podeszła do najbliższego pojazdu, niskopodwoziowego samochodu na energię słoneczną. Silnik włączył się z dodającym otuchy pomrukiem.

Barmanka wybiegła na werandę, gdy Danya nawracała.

- Hej, to mój samochód! Niech ktoś ją zatrzyma!

We wstecznym lusterku Danya widziała, jak kobieta wymachuje rękami, ale nikt się nie ruszył, by coś zrobić.

Poprowadziła pojazd, jakby diabły deptały jej po piętach, zostawiając z tyłu tylko tuman kurzu.

Zwolniła dopiero gdy znalazła się nad kanionem. Wyglądało na to, że nikt za nią nie jedzie.

Może się bali, że ich zabije.

Może słusznie.

W gardle poczuła skurcz, gdy pomyślała o Benie. Skierowała się na zachód i zatrzymała przy uszkodzonym carlyle'u. Podbiegła do samochodu i zaczęła wyrzucać z niego rzeczy, zaraz jednak zaczęła je zbierać. Wreszcie, co rusz zerkając za siebie, dała spokój i wróciła do ukradzionego pojazdu. Zatrzasnęła drzwi i skierowała się w stronę ciemniejących na wschodzie chmur.

Światło coś jej zrobiło.

Przypomniała sobie. Przypomniała sobie Miasto Półksiężycy. Przypomniała sobie Peabody'ego. I przypomniała sobie Houston.

*

Po godzinie w światłach samochodu Danyi zamajaczył sklep, który odwiedziła. Minęła

budynek i jechała jeszcze przez godzinę.

Stwierdzenie, gdzie się znajduje, było prawie niemożliwe, ale pamiętała, że mniej więcej tyle trwała jazda, zanim dotarła do sklepu.

Skręciła z głównej drogi na trakt, który wydał się jej znajomy.

Ponownie znalazła się na górzystym terenie, który opuściła rano. Miała nadzieję, że napotka Peabody'ego. Jeździła po różnych ścieżkach, na których widoczne były ślady opon, i nawoływała Kowboja, jednak bez skutku.

Zupełnie wykończona, zaparkowała przy samotnym platanie i wysiadła. Księżyc dawał dość światła, widziała wcale dobrze okolice. Niebo wydawało się większe niż wtedy, gdy towarzyszył jej Radiokowboj - pewnie dlatego, że była sama. Zastanawiała się, czy tutaj umrze, i pomyślała nawet, że to by było przyjemne - samotna śmierć w tym krajobrazie, gdzie nie ma żywej duszy.

Położyła się w kabinie samochodu i splotła dłonie na piersi. Czy pozwolono jej zobaczyć w wizji choć jedną szczęśliwą scenę? Choć jedno pełne ciepłych uczuć zdarzenie?

Jasność myśli, jakiej doświadczała wcześniej, minęła. Pozostały tylko mdłości i wyczerpanie. Ból głowy, do którego przywykła, powstrzymywany wcześniej przez Radiokowboja, powrócił wraz ze złym samopoczuciem. Znowu była sobą, tą sobą, która mieszkała od pięćdziesięciu lat w Mieście Półksiężycy.

Uświadomiła sobie, że różnica nie jest zbyt wielka. Poza tym, że teraz bardziej się bała. Ale też była bardziej opanowana. Za młodu Danya pozostawała w stanie wojny ze wszystkim i ze wszystkimi, ale to nie powróciło. Choć nic nie było tak proste jak wtedy, gdy była młoda.

Na przykład, co się dzieje w Mieście Półksiężycy? Czy uległo zniszczeniu? Czy powolna transformacja z miasta na oceanie w miasto-statek międzygwiazdny została przerwana? Peabody był częścią tego długotrwałego procesu, miał zrealizować plan, odzyskać utracone przez miasto informacje, jakie znajdowały się w Centrum Kosmicznym w Houston, o ile Centrum nadal tam istniało. Danya obserwowała Peabody'ego, nie rozumiejąc do końca jego postępowania. Ale już rozumiała. Nie sądziła, by Radiokowboj pamiętał lub dbał o dotarcie do Houston. Zdobycie danych nie było z całą pewnością priorytetem dla tego, czym lub kim się stał Peabody.

Przeszłość ludzkości była niepewna, teraz Danya widziała to wyraźnie. Miotani uczuciami w różne strony, rozproszeni, nieświadomi żadnej wyższej siły, przeznaczenia lub powiązań z resztą wszechświata i gatunkami, które go zamieszkują, a nawet nieświadomi związków łączących jednego człowieka z drugim, żyjącym za ścianą. Danya miała dość

szczęścia, by dostać się na wyższy poziom, choć na chwilę to utraciła. Ludzie spotkani dzisiaj w miasteczku wydawali się niemal obcym gatunkiem.

Co się stało z tym małym chłopcem? Trudna i straszna zagadka. Może gdyby Danya nie bała się tak bardzo, zdołałaby wymyślić sposób, by go ocalić.

Czyli co? I tak miała szczęście, że udało się jej ująć z życiem.

Teraz jednak nie pojawił się żaden ślad dawnej egzystencji Danyi. Była sama. Nie było ani Radiokowboja, ani w ogóle żadnego kowboja. I nie było okularów z danymi o rozwodach, dzięki Bogu.

Co się stało? Co to znaczy? Dlaczego ta rzecz, to zjawisko świetlne, podążało za nią, jakby ją znało? I skąd to cholerstwo przybyło? Skąd ta beczasowa wizja? Gdzie teraz była? Czemu te gwiazdy świecą tak jasno, dlaczego nagle rozumie strukturę czasu ugiętego w polu grawitacyjnym...

Ból głowy stał się nie do wytrzymania.

Jęcząc, trzymała się za głowę. Wytoczyła się z samochodu i wybiegła na zewnątrz nadal obejmując skronie, jęcząc i krzycząc.

Ból zniknął nagle w krystalicznej uldze. Zabrzmiały delikatne dzwonki.

Danyę ogarnęła cisza i ciemność nocy. Dźwięk był tak realny, tak intensywny, że pomyślała, iż może go zobaczyć, dotknąć, zatopić się w jego materii i wszechczasie - był to dźwięk, jakim rozbrzmiewał każdy atom powietrza.

Położyła się znowu w samochodzie, wykończona, opierająca się oczarowaniu, marząca o miękkim śpiworze. Nagle uświadomiła sobie, że to proces - jak pewne choroby, które trzeba przejść, choć mogą zabić. Ale co się stanie, gdy ów proces dobiegnie końca?

Muzyka umilkła, a noc stała się chłodna. Księżyc był niezwykle duży. Danya patrzyła na srebrzystą tarczę, jakby tam zawarte były dane, które wystarczy jedynie odczytać ze światła.

Nagle przez ziemię przebiegł wstrząs. Rozległ się podobny do grzmotu niski dźwięk, który stopniowo narastał.

Danya wdrapała się na dach samochodu.

Nawet z tak niewielkiego wzniesienia dostrzegła ciemną falę przesuwającą się przez równinę.

Bizony.

Stado było jakieś pół mili od niej i zbliżało się, płynąc niczym gęsta ciecz i rozlewając się po horyzont. Słyszała je coraz wyraźniej.

Mogło ją stratować.

Rozejrzała się. Strzelisty platan był jej jedyną nadzieją. Wskoczyła do samochodu i podjechała pod najniższe konary.

Dźwięk stada rozbrzmiewał teraz głucho i płasko. Danya wspięła się na dach pojazdu i wyprostowała, próbując chwycić gałąź - nie sięgała jednak tak wysoko, w panice zaczęła grzebać w bagażu, wyrzucając rzeczy, aż znalazła długi zwój liny. Kowboj nalegał, by kupić linę. Mało brakowało, a zostawiłaby mu ją! Później też była bliska porzucenia jej w zepsutym wozie. Drżącymi rękami zawiązywała węzeł na końcu liny, by ją obciążyć, i miała nadzieję, że to dobry pomysł na ocalenie przed rozpędzonym tabunem.

Rzuciła. Sznur opadł zwojami tuż obok, z głośnym łomotem węzła o dach samochodu. Nie zaczepił o gałąź. Danya zwinęła linę i rzuciła jeszcze raz. Słyszała już wyraźnie uderzenia tysiąca kopyt.

Tym razem trafiła i pętla owinęła się wokół konara. Danya chwyciła oba końce, związała i złapała się mocno, a potem zaczęła się wspinać na koronę drzewa. Jej buty ślizgały się na spękanej korze, ale nie było już czasu, by je zdjąć. Gdy wreszcie oparła się stopami o gałąź, była bliska poddania się. Odepchnęła się mocno stopą i przerzuciła nogę przez konar, po czym stopniowo wciągała się, aż znalazła stabilne oparcie dla ciała.

Stado bizonów nadpływało jak fala. Uderzyły w karoserię masywnymi torsami, a kopyta wgniotły samochód w podłoże niczym papierowy kubek. Trwało to może dwie sekundy.

Jednak przejście stada zajęło prawie pół godziny. Danya trzymała się gałęzi i z fascynacją obserwowała przebiegające poniżej zwierzęta, ich siłę i determinację. Dokąd biegły? Dlaczego? Czy coś je wystraszyło? Czy może to ich instynkt? Gwiazdy zapłonęły, wypełniając umysł Danyi poczuciem niewyobrażalnej głębi.

Z rozszerzonymi oczyma i przygryzając język, by zachować spokój, czekała, aż stado przebiegnie. Zapowiadał się długi dzień...

Zsunęła się z drzewa za pomocą liny i rozejrzała.

Kompletnie rozbita, wtuliła się w korzenie wystające z pnia, lecz nie była w stanie zasnąć. Co gorsza, gwiazdy jawiły się jej w nowych układach, w umyśle otwartym na nową perspektywę rozprzestrzeniało się światło, pulsując tak szybko, że dostała mdłości.

Aż w końcu pojawił się pejzaż ruchomych cieni i zabrzmiał nowy dźwięk.

Dźwięk jako funkcja widzenia i widzenie przesyczone nocą, lecz jaśniejsze niż dzień, rozświetlone przez gwiazdy i olbrzymiejącą na niebie tarczę księżyca. Zrobiło się tak jasno, że widać było jasnozielony pęd juki wznoszący się nad brunatną ziemią.

Podniosła się i ruszyła przez pustynię. Błyszczące skorpiony szły po piasku. Ziemia

tutaj nie była zryta, zapewne stado rozdzieliło się, by ominąć wystającą skałę położoną o jakieś ćwierć mili dalej. Danya poczuła suchy aromat roślin. Nieopodal brzegiem wzniesienia przebiegł królik.

Wiedziała, że to światło i że przez nie wędruje. Wkrótce natrafiła na samotnego bizona.

Ach - pomyślała, wspinając się na palce, by dotknąć wielkiego, kosmatego łba - ja śnię. Bizon parsknął i przyglądał się Danyi lśniącym, wielkim okiem. Gdybym mogła jeździć na bizonie, mogłabym również pójść do nieba po moście z tęczy. Mogłabym się zmienić w Spider Woman i przemierzać wszechświat.

Przyjemnie tak marzyć, gdy gwiazdy dźwięczą jak odłamki szkła rozrzucone w przestrzeni i czasie, a pędzące stado bizonów przybiera postać tęczy splecionej z kolorów, jakich człowiek nigdy wcześniej nie widział.

Danya tej nocy pędziła przez niebo; wokół niej przebiegały barwne skorpiony, a lśniące pająki tkwały błyszczące, pustynne kwiaty w jej włosach.

Powitanie

Kiedy otworzyła oczy, znajdowała się o pięćdziesiąt jardów od platana. Leżała na miękkim posłaniu, przykryta kocem. Znowu było ciemno.

Pięcioro ludzi siedziało obok na niskich, rozkładanych krzesłach, a ich twarze oświetlały płomienie ogniska. Rozmawiali cicho. Mieli ciemne, długie włosy. Danya usłyszała parskanie koni, a potem zauważyła w pobliskiej niecce dwa uwiązane wierzchowce.

Podniosła głowę. Krzesła zaskrzypiały, a wszystkie spojrzenia skierowały się w jej stronę.

- Cieszymy się, że się obudziłaś - odezwała się czarnowłosa kobieta. Wymawiała słowa powoli, nisko i każde osobno. - Witaj w Teraźniejszościach.

Danya potrząsnęła głową.

- Gdzie?

Wyglądało jednak na to, że trudno to wyjaśnić, jak to zwykle bywa we śnie. Bo przecież to musiał być sen.

Jęknęła i odwróciła się, zamykając oczy, ale Teraźniejszość dobijała się do niej nawet

we śnie. Nie spała dobrze tej nocy.

Kompozytorka i Radioastronom

Daleko, pod Los Angeles, pulsowała ogromna, złota Kopała. Była stworzona ze światła. Ludzie mieszkający wyżej w górach powiadali, że Kopała została zbudowana przed wiekami, a smog i zanieczyszczenia zagrażały jej zniszczeniem, dlatego teraz tak jasno świeci. Straszono dzieci, że jeżeli podejda zbyt blisko budowli, uduszą się lub zostaną wessane do wnętrza, w promieniu ponad dziesięciu mil od Kopały nikt się nie osiedlał, nikt nie mieszkał. Podobno były dzieci, które tam pobiegły i rozplynęły się w świetle. A rodzice poszli za nimi.

Z drugiej strony, nie znano nikogo, kto opuścił Kopałę. Pojawiały się plotki, że do Kopały i z powrotem kursuje dwa razy w tygodniu kolejka, ale uważano, że to tylko bajki.

Kiedy zatem w pewien jasny dzień z Kopały wyszli Zeb-Istota i Ra-Istota, ujrzeli wokół tylko ruiny.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - zapytał Zeb-Istota, albo krócej Zeb, jak nazywała go Ra-Istota.

- Nie - odpowiedziała Ra-Istota, albo zwyczajnie Ra, jak nazywał ją Zeb-Istota.

Oboje byli nadzy.

- Co za twardość pod stopami. Kiedy dostaniemy ubrania?

Zeb wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że wkrótce.

Ra wspięła się na wierzchołek betonowego bloku, który leżał wśród innych rozrzuconych bezładnie kawałków zniszczonego budynku.

- Hej, podoba mi się ten dźwięk.

- Ostrożnie - ostrzegł Zeb. - Czuję się trochę niepewnie. Może powinniśmy wrócić do środka. Tu jest okropnie jasno. - Miał pomarszczoną twarz i krótką białą brodę. Jego ciało było szczupłe i białe. Poruszał rękami, przyglądając się im z namysłem. - Nie oczekiwaliśmy chyba, że wszystko będzie tak samo. Widzę różnice.

- Możemy tu umrzeć - zauważyła Ra. Jej ciemnobrązową twarz znaczyły jedynie zmarszczki od uśmiechu, długie włosy miała splecione w drobne warkoczki.

- Ale nasze prawdziwe ja pozostaną w Kopule - odrzekł Zeb. - Hej, Ra! Widzę nas, jak się przyglądamy, o tam!

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Ra, zsuwając się z bloku. - Widziałam drogę, którą możemy obejść te ruiny, w którą stronę powinniśmy iść, jak sądzisz?

Zeb uśmiechnął się.

- Na wschód, gdzieżby indziej?

- Wydaje się, jakby Kopuła była teraz dalej niż wtedy, gdy do niej weszliśmy. Spójrz, jaki fantastyczny widok!

Ra rozłożyła ramiona, jakby miała zamiar objąć niebo, i mogła to zrobić, gdyby tylko się postarała. Wzięła głęboki oddech. Kilkaset stóp niżej fale Oceanu Spokojnego rozbijały się o klify. Kilka stóp poniżej lśniącej podstawy Kopuły ustawiono znaki. NIEBEZPIECZEŃSTWO! NIE PODCHODZIĆ! CHCESZ ZGINAĆ, DURNIU? - takie i w podobnym stylu. Niektóre tablice zawierały wyszukane formuły prawne, których przeczytanie zajęłoby co najmniej kwadrans. Inne zrobiono z pobrużdżonych kawałków drewna i widniały na nich napisy sprayem, takie jak na przykład: „Gdzie nasz samochód?”. Zeb rozglądał się z lekką konsternacją.

- Zdaje się, że tego nie powinno tu być...

- Spodziewałam się czegoś podobnego. Może jednak trzeba wrócić i przygotować się jeszcze raz...

Spojrzeli na siebie.

- To nie było łatwe, prawda? - zapytał w końcu Zeb.

- Taaak. To było naprawdę trudne. Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo trudne...

Mężczyzna chwycił dłoń Ra.

- Chcesz wracać?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Do diabła, nie. - Nachyliła się do niego i pocałowała krótko, ale namiętnie, a potem objęła go w pasie i popatrzyła w oczy. - Czuję, że tak jest lepiej... Że powinniśmy tu być. Nie sądzisz?

*

W pogodny, chłodny wieczór Ra i Zeb znaleźli ubrania, jakie zaprogramowali jeszcze w Kopule - na trzysta dwudziestym pierwszym stopniu, pięciu minutach i dwóch sekundach jej długości. Kopuła była twardą, solidną i chropowatą bryłą, ale zaprogramowali wyjście, a także ubrania - plan zapięty na ostatni guzik. Zeb przeszukał kieszenie i znalazł zapalki, Ra miała w dzinsach swój wojskowy szwajcarski scyzoryk. Oboje włożyli wytrzymałe buty do

pieszych wędrówek.

- Złożenie samochodu może potrwać trochę dłużej. - zauważyła Ra.

- Fajnie być w przyszłości, prawda? - uśmiechnął się Zeb.

- Przeszłość jest, jak dla mnie, trochę za daleka - powiedziała jego towarzyska. - Ale masz rację, podoba mi się tu.

Przeszli przez rumowisko i zebrali szczapy drewna, głównie części mebli i konstrukcji budynków. Nad klifem rozpalili ognisko.

- Jesteś głodna?

- Jeszcze nie. Ale pewnie będę, nim nadejdzie świt. - Kopuła lśniła i opalizowała różnorodnymi barwami, choć słońce zaszło dość dawno. Ra zatrzęsła się i przysunęła bliżej ognia. - Zmarzniemy porządnie, zanim doczekamy dnia.

- Zawsze to jakaś nowość - zażartował Zeb. - Musimy się skupić na tym, po co wyszliśmy i co musimy znaleźć oraz zrobić.

- Cóż, Zeb. Czyż nie staliśmy się czymś więcej niż ludźmi? Czy nie mamy dodatkowych umiejętności, jakie zdecydowaliśmy się zdobyć, kiedy przebywaliśmy w Kopule? Potrafimy wytworzyć więcej ciepła. Możemy naprawdę długo obejść się bez jedzenia, nim umrzemy z głodu.

- Tak, oczywiście. - Zeb skrzyżował nogi i też przysunął się bliżej ogniska. - Teraz wiemy pewne rzeczy. Ale... w Kopule umieliśmy myśleć szybciej.

- I mogliśmy myśleć wielotorowo - dodała Ra, w zadumie spoglądając na wschodzący księżyc, odbijający się jasną smugą wśród ciemnych fal.

- Ludzie nie wiedzą tego, co poznaliśmy w Kopule - przyznał Zeb. - Myślę, że tylko istota na najwyższym poziomie świadomości - połączenie umysłu człowieka i sztucznej inteligencji - może poznać tego rodzaju wiedzę. - Rozgarnął palące się kłody miedzianą rurką, którą znalazł wśród ruin. - Nie jestem pewien, czy sam mógłbym dowiedzieć się więcej.

- A co, jeśli człowiek ma więcej zmysłów? - zapytała Ra.

- Co masz na myśli?

- Zastanów się, w jaki sposób się widzi. I jak używa tej zdolności widzenia, gdy się jest... człowiekiem, w taki sposób jak my teraz. Pole widzenia jest kuliste. Moja para oczu kieruje się na to, co chcę zobaczyć, i dlatego widzę trójwymiarowo. Ale co by było, gdybym miała oczy dookoła głowy, albo też na czubku? Jak taki widok by wyglądał? w jaki sposób mózg odbierałby obraz rzeczywistości? Jak by ją postrzegał? I co z dźwiękami? Dużo myślałam o dźwiękach.

- Jak to muzyk. A ty należysz do niezłych muzyków. - Zeb uśmiechnął się przez

płomienie.

- To jest właśnie coś, czego chciałabym się dowiedzieć o przyszłości. Poznać muzykę, skonfrontować z moją własną. Każdy człowiek jest tylko czującą kroplą w oceanie wszechświata. Nawet materia, choć wydaje się nam solidna i zwarta, ma w sobie wiele pustej przestrzeni; nawet atomy, z których jesteśmy zbudowani. Czuję się, jakbym była częścią procesu, który trwa przez cały czas. Mogę wyczuć pewne aspekty tego procesu, a to, że potrafię tak czuć, jest wpisane w moją fizyczną powłokę.

I cóż z tego, że moglibyśmy usłyszeć częstotliwości, które teraz widzimy? Pewnie brzmiałyby dla nas jak muzyka, nieprawdaż? Słyszelibyśmy wszystko, co byśmy widzieli. I to nie od czasu do czasu, jak to ma miejsce w chwilach, gdy komponuję. Czuję się wtedy, jakbym usiłowała schwytać za ogon bardzo szybkie zwierzę, które przede mną umyka. I tak przez cały czas.

- Muzyka światła - stwierdził jej towarzysz, dorzucając do ognia jeszcze jeden kawałek drewna.

- Właśnie! - przytaknęła Ra. - To, co mam na myśli, dzieje się naprawdę. Jesteśmy zanurzeni w ogromnym, nieskończonym i stale zmieniającym się nurcie muzyki; muzyki, którą tworzy światło. I wszystko, dosłownie wszystko, tak naprawdę, w głębi, stworzone jest ze światła. Właśnie światła. Gdybyśmy mogli to jeszcze poznać. Pomyśl o różnych stworzeniach, jakie wyewoluowały na Ziemi. Prawie wszystkie mają oczy, ale niektóre widzą fale o częstotliwościach innych niż my - na przykład pszczoły czy inne owady. Niektóre zwierzęta słyszą wyższe dźwięki niż ludzie, niektóre - o wiele niższe częstotliwości. Ale to tylko sposoby na przetworzenie światła. Właśnie o to chodzi.

Nie spali. Po prostu rozmawiali przez całą noc.

Rankiem Zeb i Ra wrócili pod Kopułę, do miejsca, skąd wyszli. Na powierzchni pojawiły się wielkie dwuskrzydłowe drzwi. Mężczyzna chwycił jeden z uchwytów, Ra drugi i razem rozsunęli wejście.

Wewnątrz stał pojazd.

- Jej! - westchnęła kobieta. - Mój ojciec taki miał. To volkswagen van z 1967 roku.

Na przedniej szybie pulsował napis złożony ze strzelistych liter: „PRZESTRZEŃ JEST MIEJSCEM”.

- Jest śliczny - zachwycała się Ra, odsuwając boczne drzwi. - Popatrz, ma małą kuchenkę i łóżko. Wspaniały!

Napis na szybie samochodu zmienił się. Wiadomość brzmiała: WSIADAJCIE. NIE MAMY WIELE CZASU.

Luty 2115

ANGELINA

Podróż

Angelina jadła śniadanie z załogą.

Naprzeciw przy stalowym stole usiadła młoda kobieta w zatłuszczonym ubraniu. Wypłowiałe włosy związała w koński ogon. Angelina unikała jej uważnego spojrzenia, ponieważ wystarczyło jedno zerknięcie, by umysł zaczęły zalewać opowieści. Zbyt wiele opowieści przy śniadaniu to nienajlepszy pomysł.

Jeden z żeglarzy przyglądał się uważnie Chesterowi, spoczywającemu tuż przy boku Angeliny, i uśmiechał się krzywo. Nalegał, aby Angelina rozebrała Chestera z szortów i koszulki, by mógł sprawdzić, czy chłopcu lub dziewczynce nie jest za zimno lub za gorąco.

Kobieta w poplamionym ubraniu skończyła jajecznicę i zapaliła papierosa.

Chester zakasłał, jego malutki tors poruszył się do rytmu suchego, charkotliwego odgłosu. Kobieta przewróciła oczami, zgasła niedopałek w resztkach śniadania i odeszła.

- Małomówność nie jest dobrym sposobem na nawiązanie znajomości - zauważył Chester. - O wiele lepiej jest rozmawiać.

- Nie wiem, co masz przeciwko paleniu - odparła Angelina. - Jeszcze parę lat temu paliłam fajkę. To zupełnie nieszkodliwe i uspokajające.

- To ohydny nałóg. Żaden rodzic nie chciałby, aby dziecko paliło, nawet jeżeli już nie żyje. Spoczywa na mnie obowiązek, by naprowadzić nałogowców na właściwą drogę.

Naraz rozległ się głęboki, rezonujący metalicznie jęk - muzyka rdzy i ruchu. Na umysł Angeliny naparły historie o morzu - piratach, wielorybnikach, buntownikach, żeglarzach i wojnach, a także baśnie o starej odlewni w Santiago, stolicy Chile, gdzie wyprodukowano niektóre śruby, i o mężczyźnie, który miał żonę i wuja, i...

Kobieta wstała pośpiesznie, chwyciła Chestera i włożyła do nosidla, które zrobiła sobie z chusty, a potem wspięła się na wyższy pokład.

Morze było ciemnoniebieskie i wzburzone. Nad falami unosiło się kilka cirrusów. Nic więcej nie było do oglądania.

Może gdyby usiadła tu, na tej beczce, monotony widok oczyściłby jej umysł. Przyniósłby wytchnienie. Historie marynistyczne napływały falami, mącąc jej świadomość, a potem znikwały szybko, jak wymyte, nie dając szansy, by je poznać w całości i dokładnie, jak na to zasługują.

Angelina przez chwilę delectowała się widokiem morza bez brzegów. To był przyjemny stan umysłu i spróbowała go zapamiętać, aby mieć coś, co będzie azylem, ucieczką od naporu opowieści. Nie opierać się, pozwolić im przepływać. *Wyluzowanie, błogosławione odprężenie*, pojawiło się w głowie i Angelina pomyślała złośliwie, że gdyby prosiła o błogosławieństwo, to chciałaby otrzymać właśnie taki uspokajający krajobraz i mentalną ciszę. Błogosławiony spokój zamiast nieustannej walki toczącej się w umyśle.

- Ciekawe, co robi Louis - rozważała na głos. Którędy podążył do Paryża? Czy jest bezpieczny? Był dużym, silnym chłopcem - młodym mężczyzną, poprawiła się - ale dotychczas podróżował tylko do Buenos Aires. Bała się o niego.

Ku jej zaskoczeniu lalka się nie odzywała. Akurat teraz, gdy Angelina miała ochotę na rozmowę. Ta podróż przez ocean może doprowadzić do szału, szczególnie gdy się nie ma nic do roboty.

- Chyba popłynął na „Andaluzji”, to jedyny statek, na jaki mógł się dostać, jak twierdzi Clarissa. „Andaluzja” wypłynęła do Maroka tydzień temu. Stamtąd pewnie pojechał pociągiem...

Nagle usłyszała westchnienie. Wyjęła Chestera z nosidła i posadziła na beczce naprzeciw.

- Nie pozwól mi spać - ostrzegł natychmiast. - Jest dość wietrznie. Wiatr może mnie porwać.

Obwiązała go chustą w pasie, a koniec okręciła sobie wokół nadgarstka.

- Zadowolony? A teraz powiedz: gdybyś był młodym mężczyzną, dokąd byś pojechał?

- Jestem tylko domową lalką. I tutaj jest za jasno dla moich receptorów wzroku.

Wszystko wydaje się prawie białe.

- Lepiej, żebyś nie zbaczal z tematu.

- Auć! - jęknął Chester. - Boli mnie!

Angelina zignorowała te lamenty, lekkim uśmiechem nagradzając jego umiejętności aktorskie.

- W rzeczy samej, wiesz cholernie dużo o tym, kto przyjeżdża i wyjeżdża z miasta.

Masz wbudowany procesor do rozpoznawania DNA, prawda? Więc możesz mi coś powiedzieć o Louisie. Kiedy przyjechał do Buenos Aires? Kiedy stamtąd wyjechał?

- Mówiłem ci, zaraz wpadnę do wody i się utopię, jeżeli nie...

- Zaczynam dochodzić do wniosku, że wiesz coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć.

Chester westchnął.

- To nie tak...

- A jak?

- Nie mam możliwości, by zrozumieć, co się stało z Louisem, a jeszcze mniej, aby spróbować ci to wyjaśnić. Wtedy na chwilę zadziałało radio...

- I co potem?

- To było kilka tygodni temu. Pamiętaj, że nigdy nie spotkałem twojego syna. To tylko rekonstrukcja na podstawie ogólnodostępnych informacji i danych, które pobrałem, gdy byliśmy u twojej ciotki Clarissy...

- Dowiedziałeś się czegoś już wtedy? - zdenerwowała się Angelina.

- Niczego się nie dowiedziałem - odpowiedział z zaskakującą stanowczością. - To teoria. Rozumiesz? Tylko teoria. Ale kiedy zadziałało radio...

- Matko Boska - wymamrotała Angelina - do rzeczy!

- Kiedy zadziałało radio, odebrałem bardzo silny sygnał, jakie czasami udaje się nadać. Całkowicie mnie zjonizowało. Transmisja miała rytm języka, ale to nie był język, który bym znał, a znam trzydzieści siedem...

- Wiem - odparła sucho. - Dalej, proszę.

- To był - stwierdził Chester - język światła. Transmisja trwała krótko, najwyżej czterdzieści pięć sekund. Obejmowała całe spektrum, a przynajmniej ten zakres, jaki mogę odbierać.

- Co to znaczy „całe spektrum”?

- Transmitowane były wibracje, jakie twoje zmysły dzielą na światło i dźwięk. Dla mnie stanowiły jedną całość, continuum. - Westchnął. - w tamtej chwili cieszyłem się, że nie jestem człowiekiem. A jednak nie potrafiłem wchłonąć i objąć całego przekazu.

- I co z tego? - Angeliny nie interesowała kwestia obcości i różnic w odbiorze rzeczywistości między nią i Chesterem. - Co z Louisem?

- Kiedy weszliśmy do pokoju Clarissy, zorientowałem się dzięki śladom feromonów, że Louis był tam również. Jego DNA - częściowo twoje - znajdowało się w pobranej przeze mnie próbce powietrza. Potrafię oznaczyć przedział czasowy, w którym pojawiły się feromony, w efekcie mogłem stwierdzić na podstawie próbki, ku mojemu zdumieniu, że

kiedy Louis był u Clarissy, zaczęła się ta świetlna transmisja. I wtedy coś się z Louisem stało. Tak mogło być. Ze mną też coś się stało, gdy trwało nadawanie.

- Och. - Była teraz pełna własnych opowieści. To było bolesne. - I co się stało? z Louisem?

- Zdaje się... Nie jestem całkiem pewien... Ale zdaje mi się, że Louis zmienił się w światło.

Angelina zawieszona między niebem i morzem poczuła, jak nikną wszystkie opowieści. Chester nie mylił się, nie mylił się w kwestii jej imienia i imienia Clarissy, ostatniej wizyty w mieście, a wszystko na podstawie tylko jednego włosa.

- Co to znaczy?

- Nie jestem pewien.

- Jednak jest jedno ale... Dlaczego Clarissa wierzy, że Louis popłynął na „Andaluzji“?

- Pewnie dlatego, że planował odpłynąć następnego dnia, a następnego dnia, gdy się obudziła, Louisa nie było. Wniosek był oczywisty.

- Zmienił się w światło.

- Tak. - Głos Chestera brzmiał pewnie.

- Jak anioł?

Chester odchrząknął.

- Wybacz, ale mam nieodparte wrażenie, że nie jesteś religijna.

- Może właśnie zaczynam być religijna - odpowiedziała po dłuższej chwili. - Nie wierzę ci. Dlaczego to samo nie przydarzyło się Clarissie? Dlaczego nie przytrafiło się innym?

- Nie umiem odpowiedzieć. To niedorzeczne.

- No właśnie. Nadal zamierzam iść tropem Louisa. Jesteś tylko lalką. Wymyśliłeś historyjkę dla dzieci.

- Na to wygląda. - Zamknął oczy. - Przykro mi. Nie chcesz wiedzieć, co się stało ze mną w tym samym czasie?

- Nie.

Chester zamilkł całkowicie, ale Angelina nawet tego nie zauważyła.

*

Kapitan Hazel wezwała ją do sterówki. Sprawiała wrażenie wyjątkowo trzeźwej i kompetentnej, gdy sprawdzała odczyty urządzeń i wydawała rozkazy.

- Zamierzam zmienić tę kabinę na plastikową, jak tylko dostarczę głowy na miejsce - oznajmiła, zapraszając Angelinę, by usiadła, i częstując ją kawą. - To kosztowne, ale trwałe,

wiesz? Samonaprawiające się ściany i cała reszta. Nadal będę zadłużona, ale przynajmniej nie będzie przestojów, bo odpadną remonty konserwacyjne i skończą się protesty związków. Taką wymianę da się zrobić naprawdę szybko. I jeszcze sprawię sobie załogę z zombie.

- Zombie?

Kapitan roześmiała się.

- Na pewno wiesz! A może nie? Wyprodukowaną załogę. No, nie ludzi, naprawdę. Tylko takie stworzenia do radosnej i brudnej roboty. Trzeba je karmić, ale nie trzeba im płacić.

- Czy to legalne? - zapytała Angelina, czując lekkie zmieszanie.

Kapitan Hazel posłała jej tylko pobłażliwe spojrzenie. Zabrział dzwonek.

- Ach! - Kobieta wyciągnęła piersiówkę z kieszeni koszuli i wlała trochę płynu do filiżanki z kawą. Angelina poczuła zapach whisky.

- Nigdy nie piję przed jedenastą. Chcesz trochę?

Potrząsnęła przecząco głową.

- No, coś ty. Przecież nie masz nic do roboty?

- Muszę sobie przygotować szalupę ratunkową.

Kapitan Hazel roześmiała się znowu, nieco głośniej.

- Kochana, ten statek sam ją przygotowuje! Ta krypa robi wszystko sama. Nawet starożytne statki tak miały. No, cóż. Ale wezwałam cię, żeby powiedzieć, że raczej przybijemy do portu w Casablance niż w Tangerze.

- Gdzie to jest?

- Jakieś trzysta kilometrów na wschód od Tangeru.

- Dlaczego?

- Jeden z marynarzy ma brata, który jest znaczącym kupcem w Casablance. Myślę, że mogę z nim ubić dobry interes. Casablance jest dużo większa niż Tanger.

- Ale ja muszę się dostać do Tangeru... - Tanger był oddalony tylko o osiem kilometrów od Hiszpanii, wystarczyło przedostać się przez Cieśninę Gibraltarską, najprawdopodobniej często kursującym promem. A to co innego niż podróż do wybrzeży Hiszpanii przez Jugosławię.

- Kochanie, to nie mój problem. Ale ta mała zmiana nie powinna ci przeszkodzić. Choć od początku uważałam, że jesteś psychicznie nieprzygotowana do podróży na bezludzia Europy. - Hazel pociągnęła długi łyk z filiżanki i podeszła bliżej, wydychając dym z papierosa prosto w twarz Angelinie. - Otworzyłam jeden z kontenerów.

Angelina poczuła mdłości.

Kapitan Hazel roześmiała się donośnie i serdecznie, aż w kącikach oczu zabłyśły jej łzy. - Był pełen psich głów. PSICH!

Załoga najwyraźniej była przyzwyczajona do wybuchów pani kapitan, bo nikt na mostku nawet nie odwrócił głowy i nie poświęcił im krztyny uwagi.

Angelina pomyślała o wiernym Justo umierającym w śniegu.

- I co w tym śmiesznego? - zerwała się z gniewem.

- Moja droga, jesteś taka wrażliwa! - Szyderczy śmiech kapitan odbijał się echem i gonił ją po schodach, którymi zbiegała, gdy w umyśle pojawiały się opowieści o umarłych psach, historie pełne zapachów i miłości. Opowieści, które nigdy już nie odżyją przez obrzydliwą ciekawość kapitan Hazel, która musiała sprawdzić ładunek.

Angelina rzuciła Chestera na podłogę i padła na łóżko. Biały Kieł, Szara Wilczyca, dworski pies pekińczyk. Historie o nich były uniwersalne i ponadczasowe, płynęły jak rzeki, przecinając doliny i wijąc się wśród równin języka, ujawniając coraz to nowe pokłady znaczeń.

Wszystkie żywe istoty, uświadomiła sobie Angelina, mają swoje opowieści. I zachowują je oraz powtarzają, by przetrwały w ich ciałach i ciałach kolejnych pokoleń. Rośliny mają własne historie, wyraziste i proste, fizyczne. Ssaki mają opowieści, które są łatwiejsze do zrozumienia, strach, przetrwanie, radość, miłość, ruch, odkrywanie, reprodukcja. A ludzie - pomyślała, choć przyszło jej do głowy, że jest to myśl pełna uprzedzeń - ludzie mają to szczęście i unikalny dar, że potrafią wyjść poza czas, zapisując własne opowieści.

Ale - Louis! Jego historia nie obracała się wokół czarów jak baśnie, które pojawiły się w jej umyśle. Louis odszedł. Utraciła go i to była jej wina. Pozwoliła mu odejść. Nie wytłumaczyła mu dokładnie. Nie, ranczo było ważniejsze! Myślała, że dorośnie i dojrzejże podczas wyprawy.

A nie, że zmieni się w światło.

Clarissa, jak sądziła Angelina, była jedynym łącznikiem z Louisem, ostatnią osobą, która go widziała. Według ciotki Louis wsiadł na statek do Maroka.

Jednak według Chestera - lalki - Louis zmienił się w światło.

Dlaczego daje temu wiarę?

Ponieważ pamięta przebudzenie w zbyt jasnym świetle księżycy pewnej nocy. Księżyc tak wypukły jak maska. Blask, który był dziwny, niemal namacalny; blask księżycy, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

I ten fenomen - nie chciała myśleć, że to jej syn! - przeplatał się w pamięci Angeliny z

opowieściami naukowymi.

Czy Louis nie żyje? Jeżeli naprawdę zmieniłby się w światło, czy to by znaczyło, że umarł? A może to jakiś rodzaj przemiany, w której zachował życie? Czy jego osobowość, tożsamość, pozostała niezmienną?

Czy pamięta matkę? I czy Angelina usłyszy jeszcze jego cudowny, ciepły śmiech, przy którym lekko potrząsał głową i zamykał oczy? Czy światło się śmieje?

Niemal czuła, jak jej umysł się zmienia i rozrasta z minuty na minutę. Zmęczona kręciła się w łóżku, zanim sobie przypomniała - *błogosławione odprężenie*.

Dobrze. Dalej. Pozwól przepływać opowieściom. Myśl o tym. Pozwól im stać się częścią świadomości.

Zauważyła, że kiedy obserwuje zjawiska przez pryzmat nowych instrumentów, wzbogacając doznania zmysłowe, postrzeganie staje się dokładniejsze, pełniejsze - jak spoglądanie w niebo przez teleskop lub oglądanie małych rzeczy przez mikroskop, myśli wskoczyły natychmiast w naukowe tory porównań. Słuch był wzmacniany przez takie urządzenia jak radio lub telefony, powietrze i kable przenosiły zaplanowane dźwięki.

Może to też jest rodzaj narzędzia, które polepsza działanie mózgu lub umysłu? Umysł Angeliny został przemieniony przez Manuela i jego krucjatę, gdy ten podarował jej literaturę. Czemu jednak Louis nie został tak samo zmieniony...

Przez co?

Nie. Uderzyła pięścią w poduszkę, odwróciła się. Dopóki nie dostanie przekonującego dowodu, nie uwierzy w nieludzkie podejrzenia Chestera. Ani trochę. Nie wiedziała, dlaczego nęka ją przypuszczenie, że Chester może mieć rację. Nie rozumiała, czemu przyjmuje rady i filozoficzne rozważania od lalki. Rzeczywiście, jej życie zmieniło się dramatycznie.

Odkryła, że myśli w nowy sposób. Nowe fale myśli, nowe brzegi. Nowe fale ludzi i nowe miejsca. Nowe odkrycia.

Więcej zmian niż fal na morzu.

I choć to była dopiero pora lunchu, Angelina zasnęła.

*

Dzień minął. Tej nocy Angelina położyła się na ławce na starym pokładzie i okryła kocem. Ale to nie przyniosło jej wytchnienia. Nawet gwiazdy przywoływały opowieści. Opadły ją historie o obcych istotach i odległych cywilizacjach, wywodzące się ze starej literatury fantastycznonaukowej, która również została odcisnięta w znaczku dołączonym do *Gry w klasy*. Komety przecinały niebo, ich jaśniejące szlaki rozsypywały opowieści o gazach i świecącym pyłe.

Opowieści porządkowały się w umyśle Angeliny. Szczyt systemu stanowiła literatura, manipulacje narracyjne tworzone celowo. Pod nią cenny skarb baśni i opowieści ludowych, zawierających przestrogi przed głupotą i chciwością, pełnych przygód i zagadek. Mężczyźni i kobiety kształtowali na nowo umysł Angeliny i zastanawiała się, czy nie powinna zmienić się w hermafrodytę, by fizycznie dostosować się i objąć ten nowy sposób widzenia i istnienia. Wiele opowieści, jak sobie uświadomiła, prezentowało męską perspektywę, odrzucając bogactwo kobiecych doznań, a kiedy za pisanie brały się kobiety, zmuszone były często do stosowania męskiego języka i wyobrażeń albo musiały używać języka w nowatorski sposób.

Wydawało się, że obie tendencje przebiegały w literaturze symultanicznie. Angelinie bardzo trudno było się skupić na swojej własnej historii, życiu, wyprawie, na swojej linearnej, zapiaszczonej ścieżce czasu.

Nadal jadła obiady przy kapitańskim stole i jak kapitan Hazel przed posiłkiem wypijała aperitif, kieliszek pernodu.

- Jak mówiłam - odezwała się kapitan pod koniec drugiego tygodnia - zmieniłaś się, señora. Na lepsze. Wydajesz się silniejsza. I na pewno masz więcej zmarszczek. Może za długo przebywałaś na słońcu. Ale o wiele trudniej wytrącić cię z równowagi, co, jak myślę, jest krokiem naprzód. - Śmiech kapitan Hazel nie denerwował już Angeliny. Był oznaką życzliwości i życzliwie go przyjmowała. Był częścią historii Angeliny.

Uśmiechnęła się, zjadła kawałek pieczeni doprawionej curry, wypijała trochę *ale*.

- Odmienia cię morze - powiedziała, wiedząc, że cytuje Szekspira.

Nie walczyła już z opowieściami. Pozwoliła im się rozrastać w umyśle i przeplatać ze świadomością.

W ich bogactwie i nieustannym ruchu dostrzegła światło. Pomimo że to było niemożliwe i niewymownie smutne, widziała światło.

Angelina widziała Louisa.

Kiedy dokowali, Casablanca była rozjaśniona światłami. Białe budynki otaczały port, a strzelista wieża na południu błyszczała przejrzystością. Nawoływania kapłanów do modlitwy rozpraszały się w zamierających podmuchach wiatru i tonęły w ulicznym gwarze. Muzyka rozlegała się z tarasów klubów i nocnych lokali, odbijała się wyraźnie od wody, dopóki nie zagłuszyły jej metaliczne syreny ze statku pracowicie dopływającego do nabrzeża.

Angelina stanęła na trapie i poprawiła plecak, w którym znajdował się Chester.

Dzięki ciotce - bankierowi była wyekwipowana tak, że budziło to szacunek. Miała w kieszeni międzynarodową kartę kredytową, którą aktywował tylko jej dotyk i to dotyk bez

strachu, jak również potwierdzenie wypłacalności na siatkówce oka, a także floreny, nadal będące w obiegu w Maroku i tylko w Maroku, głównie dlatego, że kraj był geograficznie odizolowany od Europy, podobnie jak cała Afryka. Angelina miała również gotówkę wszystkich krajów, do których mogła trafić w drodze do Paryża, oraz nanozarodniki do wymiany na wypadek, gdyby trafiła w miejsca, gdzie żadna waluta nie miałaby wartości z prawnych lub innych powodów.

Większość miast w Argentynie posiadała centra, gdzie za opłatą można było włożyć nanozarodnik do zbiornika z odpowiednimi substancjami i wyhodować wszystko, co potrzebne, w Afryce takie technologie były zakazane, dlatego mnóstwo nano pochodziło z handlu. Chociaż udowodnienie złamania zakazu było praktycznie niemożliwe, tradycja i obyczaje nakazywały kontrolę, więc kontynent przekształcił się w raj dla tych, którzy marzyli o powrocie do ery prenanotechnologicznej, o cofnięciu się do dwudziestowiecznego świata. O Europie prawie się nie mówiło, przede wszystkim dlatego, że Argentyńscy tam nie podróżowali, a nie podróżywali, ponieważ Europa zmieniła się tak strasznie i niewyobrażalnie, że ludziom trudno to było wyrazić. Podróżnicy wracali z Europy niezwykle rzadko.

Manuel nie wrócił.

Statek przybił do nabrzeża, skąd pasażerowie nieczęsto schodzili na ląd.

Angelina zeszła po trapie na ciemną keję, skąd odjeżdżały ostatnie ciężarówki. Widziała je wcześniej, podczas długotrwałej przeprawy przez port. Nabrzeże było teraz puste, pełne długich cieni.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę nieodległych światła.

Słyszac za sobą kroki, przyspieszyła nawet trochę. Kątem oka zauważyła trzech mężczyzn, w słabym świetle zamajaczyły ich twarze. Białe zęby błysnęły, gdy się uśmiechnęli. Zagadywali ją, pogwizdywali, jeden nawet zajodłował, ale Angelina minęła ich, nie reagując na zaczepki i mając nadzieję, że dadzą jej spokój, gdy tylko minie plażę.

Jeden z mężczyzn dotknął jej ramienia.

Napięła się w gotowości do walki, odruchowo, podświadomie, planując w ułamku sekundy strategię starcia.

Z plecaka rozległy się słowa po arabsku. Wyrazy wymawiane były głośno i dźwięcznie, niemal jak zaśpiew, i brzmiały zupełnie niepodobnie do głosu Chestera. Mężczyźni ulotnili się natychmiast. Kiedy tylko się upewniła, że nie mogą jej usłyszeć, zapytała:

- Dobra, co im nagadałeś?

- Tylko zacytowałem im kilka wersetów z Koranu. - Chester był z siebie wyraźnie zadowolony. - Na początku po prostu proponowali małżeństwo, ale potem, gdy nie zareagowałaś, przeszli do sugestii, by dokonać czynów, których nie aprobują nauki Mahometa. Nie byłem pewny, czy naśladować twój głos, aby ci mężczyźni pomyśleli, że jesteś wykształcona, czy też użyć autorytatywnego męskiego tonu. Po przeszukaniu Koranu i odpowiedniej literatury oraz danych historycznych dokonałem analizy i podjąłem decyzję. Trzeba przyznać, że to zdumiewający rezultat, zważywszy że udało mi się to zrobić w ciągu 7,8432... sekundy

- Rzeczywiście, zdumiewające - przyznała, mając nadzieję, że zabrzmiało to naprawdę szczerze. - Dziękuję.

- Maroko jest obecnie całkiem liberalnym krajem - oznajmił Chester. - Istnieją tu religie inne niż islam, a i muzułmanie w dużej mierze nie są fundamentalistami. Mieliśmy jednak szczęście, że ci mężczyźni nie byli Berberami, ale miałem dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności w oparciu o analizę użytych zwrotów językowych, że to muzułmanie....

- I tak nie byliby gorsi od chrześcijan. Jestem tu przez chrześcijan.

- Naprawdę? Myślałem, że szukasz syna.

- Czasami potrafisz być naprawdę wkurzający.

W tej chwili wkroczyli do miasta i otoczył ich miejski gwar. Mieszanka zapachów napłynęła z kotłów stojących przy długiej kolumnadzie. Dwa rywalizujące rytmy bębnowo dochodziły z przeciwnych stron placu. Ludzie ubierali się różnorodnie - większość mężczyzn nosiła fezy lub turbany, kobiety owijały się zasłonami i czadorami, ale pojawiały się też stroje w znacznie nowocześniejszych fasonach. Wszędzie pełno było kotów. Jakiś akrobata wykonał salto nieopodal Angeliny i kręcił się w pobliżu, oczekując na datek.

- Trafiliśmy do medyny - odezwał się Chester - tu jest jak w starym arabskim mieście.

Kiedy się rozejrzała, starając się nie wyglądać na zagubioną, podeszła do niej jakaś kobieta. Miała na sobie szorty khaki, lśniącobiałą koszulkę i brązowe traperskie buty.

- *Bonjour.*

- *Hola.*

Kobieta płynnie przeszła na hiszpański, całkiem zrozumiała, choć mówiła ze strasznym akcentem i formalną, podręcznikową składnią, do jakiej Angelina nie przywykła.

- Jestem Jasmine. Kilka lat temu użyłam nano do rekonstrukcji języków i nadal działa całkiem dobrze. Mogę ci je odsprzedać za dobrą cenę na czarnym rynku. Proszę, na pewno potrzebna ci jest znajomość arabskiego i francuskiego.

Angelina potrząsnęła głową.

- Nie. - Czuła się już nazbyt często reorganizowana przez nano. I nie tylko to. Po prostu nie wierzyła Jasmine. Programy lingwistyczne były znane z tego, że zmieniają osobowość, na dodatek oferowany przez dziewczynę nanoprogram musiał być mocno opóźniony w stosunku do obecnej kultury i obyczajów, które są przecież sercem każdego języka. Clarissa nalegała, by Angelina wchłonęła przynajmniej francuski.

- To przecież francuski! Na Boga, dziewczyno, przecież wybierasz się do Francji! Nie bądź uparta!

Angelina jednak miała już dość kłopotów. Jasmine skinęła w kierunku skutera z niewielką przyczepą.

- Moja ciotka ma bardzo czysty pokój tuż za sukrem.

- Chętnie się przyjrzę.

Gdy szły do skutera i targowały się o cenę przejazdu, Chester zaczął się wiercić w plecaku.

- Tu jest strasznie ciemno.

Jasmine przystanęła.

- Co to?

- To tylko lalka - wyjaśniła Angelina.

- Tylko! TYLKO lalka! - oburzył się Chester. - Może jeszcze zwykła kukła?

Wypraszam sobie!

Jasmine rozejrzała się nerwowo.

- To jest nielegalne.

- Dlaczego?

- Dlatego, że... Och, to trudno wytłumaczyć. Odczuwanie jest cechą ludzi, a ludzie zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Ta lalka - choć nigdy takich lalek nie widziałam ani nie słyszałam - to kpina z Allaha.

- Wierzysz w to? - zapytała Angelina, zastanawiając się, czy nie poszukać innego środka transportu lub po prostu nie iść pieszo.

- Nie. Ale to nie zmienia faktu, że ta lalka jest nielegalna.

- To mój tłumacz - wyjaśniła Angelina.

- To? - mruknął Chester z plecaka.

- Lepiej będzie, żeby nie tłumaczył, gdy jesteśmy w tłumie, inaczej ktoś może go skonfiskować, a ty trafisz do więzienia.

Angelina spojrzała w stronę nabrzeża. Gdyby nie chodziło o Louisa, po prostu poczekałaby, aż statek będzie gotowy do odpłynięcia, i wsiadła na pokład. Ale *Gra w klasy*

wzywała. I Manuel. I Paryż.

Paryż. Już wkrótce.

- Jak można się stąd dostać do Tangeru? - zapytała przewodniczkę.

- To niełatwe. Są sterowce, statki i stara autostrada słoneczna. Najbezpieczniejsze są karawany, nie padają zbyt często łupem bandytów. Mogę ci pomóc się z jedną umówić. Za dobrą cenę. A teraz wsiadaj.

Jasmine jechała przez wąskie i kręte uliczki z prędkością przyprawiającą o zawrót głowy, mijając sklepiki, budki z aromatycznym jedzeniem i plaże cuchnące rybą i wielbładami. Zatrzymała się przed białym domem i nacisnęła panel przy dwuskrzydłowej bramie. Wejście otworzyło się do wewnątrz, ukazując dziedziniec z wyłożoną błękitnymi płytkami fontanną pośrodku oraz gęszcz roślin w wielkich doniczkach.

Drzwi zamknęły się za nimi z cichym warczeniem mechanizmu i trzaskiem drewna o drewno.

Wokół dziedzińca biegła kolumnada i przejścia otwarte na cztery strony świata. Posadzki wyłożono mozaiką. Płatanina krzewów różanych obsypanych drobnymi kwiatami wypełniała przestrzeń między czterema gatunkami palm. Angelina rozpoznała sagownicę, palmę daktylową, palmę pierzastą i wysoką, strzelistą palmę kokosową w jednym z narożników. Kot o imbirowej sierści przystanął i zaczął się przyglądać przybyłym, kołysząc ogonem. Jedne z wielu błękitnych drzwi uchyliły się i dobiegły zza nich urywane śmiechy i muzyka.

Z pomieszczenia wyszła niska kobieta w jaskrawozielonej sukni. Rozmawiała przez chwilę z Jasmine po francusku, a potem odezwała się po angielsku:

- Witam w Maroku. Nazywam się Khadija.

- Angelina.

- Przygotuję dla ciebie pokój. Moja siostrzenica mówi, że jesteś z Argentyny. Co cię tu sprowadza? - Jej oczy, otoczone niedużymi zmarszczkami mimicznymi, spoglądały uprzejmie i życzliwie, w uszach kołysały się kolczyki z bryłkami bursztynu.

Zapłaciwszy Jasmine, Angelina mogła się bliżej przyjrzeć gospodyni, która wydawała się skrzyżowaniem Paula Bowlesa i jego żony Jane. Skojarzenia, tylko skojarzenia, ponieważ pojawiające się opowieści były w języku, którego Angelina nie rozumiała.

- Szukam syna, Louisa. Wyjechał z Buenos Aires i popłynął na statku, który cumował z Tangerze.

Kobieta pokiwała głową z pełnym sympatii uśmiechem.

- Ile miał lat?

- Siedemnaście. Teraz ma osiemnaście. - A może to już go nie dotyczy, może jest bezwieczny lub wiecznie w tym samym wieku...

- Uciekł?

Kobieta sprawiała wrażenie nieco wścibskiej, ale Angelina odkryła, że nie ma nic przeciwko rozmowie o Louisie.

- Tak. Nie. Niezupełnie. Miał się spotkać z ojcem, Manuelem, który od wielu lat mieszka w Paryżu. Ale Louis wyjechał bez mojej zgody i bez planu lub.... - Łzy przesłoniły jej widok.

Starsza kobieta podprowadziła ją pod łukowy portyk i posadziła na poduszkach. Uścisnęła Angelinie palce, a po chwili podała mocną, gorącą i słodką herbatę miętową.

Historie najwyraźniej zmieniły Angelinę. Złagodziły jej charakter. Sprawily, że stała się głupia i sentymentalna.

- Przykro mi z powodu twojego syna.

- Dziękuję. - Choć trzymała się prosto jakby połknęła kij, coś wewnątrz się rozluźniło.

Błogosławione odprężenie. Wzięła głęboki oddech i spróbowała się uśmiechnąć.

- Jasmine powiedziała, że masz czującą lalkę.

- Powiedziała też, że takie lalki są nielegalne.

Khadija parsknęła śmiechem. Potem pochyliła się i spytała niskim, nieśmiałym tonem:

- Czy mogłabym ją zobaczyć?

- Tak! - zawołał Chester śmiało i stanowczo z plecaka. Angelina wzruszyła ramionami, ale otworzyła klapę i wyciągnęła go. Zaczął natychmiast rozmawiać z gospodynią płynnym arabskim dialektem, a starsza kobieta uśmiechała się i odpowiadała z wyraźną uprzejmością i życzliwością.

- Doceniam twoją znajomość języków, ale chciałabym też uczestniczyć w konwersacji - zauważyła Angelina. - Może wszyscy przejdziemy na angielski?

- Po prostu przeprosiłem, że pojawia się w bieliźnie - odpowiedział Chester. - Możesz mi znaleźć bardziej oficjalny strój?

Kiedy Angelina wzdychając grzebała w plecaku w poszukiwaniu ubrania dla lalki, Khadija zadzwoniła delikatnie małym dzwonkiem. Natychmiast na dziedzińcu pojawiła się młoda kobieta, która wcześniej przyniosła herbatę. Gospodyni coś jej powiedziała. Służąca spojrzała na Chestera, uśmiechnęła się szeroko, a potem szybko oddaliła.

Wróciła po chwili z lalką wielkości Chestera, ubraną w długą szatę z kapturem, wykonaną z delikatnego jedwabiu i przyozdobioną złotym, różowym i zielonym haftem. Gospodyni rozebrała lalkę i włożyła strój na Chestera.

- Proszę - powiedziała po angielsku. - Teraz wyglądasz bardziej elegancko.

- Dziękuję - odrzekł Chester.

- Zdaje się, że nie boisz się z nim rozmawiać - zauważyła Angelina.

- Oczywiście, że nie. Jest uroczy - przyznała Khadija.

- Nadal jednak stanowi obrazę Allaha...

Gospodyni machnęła ręką.

- To nie mój problem. To również żaden problem dla wszystkich, którzy mieszkają w tym domu. Zapraszam na obiad. Będzie tylko rodzina...

- Jestem dość zmęczona...

- I na pewno głodna.

Niosąc Chestera, Angelina została niemal zaciągnięta przez dwudziestostopowe dwuskrzydłowe drzwi do dużego pomieszczenia oświetlonego przyćmionym blaskiem lamp, gdzie rozbrzmiewała muzyka i tańczyło kilka kobiet. Na miękkich dywanach stały niskie stoliki i poduszki do siedzenia. Khadija strzeliła palcami i służący wnieśli wielkie tace z jedzeniem. Angelina rozpoznała wśród dań kuskus, ale wiedziała, że potrawy będą smakowały inaczej.

Po drugiej stronie stołu dwie kobiety kłóciły się głośno, machając rękami, ale nikt nie zwracał uwagi. Po chwili kobiety się roześmiały.

- To moi krewni - powiedziała Khadija, siadając przy stole. - Nie pijemy alkoholu, ale dla gości mamy znakomite francuskie wino. - Zanim Angelina zdążyła zaprotestować, kolejne pstryknięcie przywołało butelkę i pękaty kieliszek. Gospodyni naląła i Angelina poczuła mocny aromat. Służąca przyniosła również misy z wodą i serwety.

Wszyscy zaczęli jeść. Rozmawiano głośno, gestykulując, choć nie zawsze zrozumiale dla Angeliny. Mimo to czuła się wygodnie i bezpiecznie. A kiedy posiłek dobiegł końca, mężczyźni zaczęli tańczyć z mężczyznami, a kobiety z kobietami.

Przyływały od nich opowieści przesycone historią. Podróże po pustyni, gdzie oddychało się suchym powietrzem, zmienny trans tańca, współgrające z nim instrumenty modulujące rytm, aż któryś z tańczących pograżał się w muzyce i odpływał duchem w rejony nieznane i obce zwykłym ludziom.

Zachęcona przez kobietę obok Angelina również wstała i włączyła się do tańca. Rozpuszczone włosy wirowały wokół jej twarzy. Słyszała klaskanie. Wszystko rozplýwało się w muzyce i barwiło opowieściami sprzed tysięcy lat, opowiadany przez oczy, stroje i ruch tańczących, utkanymi, jak dawne dywany, na wątku i osnowie ludzkiego doświadczenia.

Khadija poprowadziła Angelinę wąskimi schodami i korytarzem wśród gipsowych

ścian. Spokój. Opowieści ucichły. Gospodyni zaprosiła gościa do małego, schludnego pokoju z wąskim dywanem i niskim stolikiem, na którym stała miska wody.

Kiedy Angelina została sama, wyszła przez otwarte okno na dach.

Przyglądała się miastu tarasów piętrzących się nad brzegiem morza i portem. Lśniące delikatnie pasma zielonych świateł przystani otaczały kadłuby statków, a trochę dalej widać było plac, gdzie spotkała Jasmine. Wokół rozbrzmiewały bębny i śpiewy oraz nieliczne głosy nocnych ptaków.

Angelina cofnęła się do pokoju i bez mycia, czy nawet rozbierania, położyła się na miękkim dywanie. Ale oczy miała nadal otwarte, wpatrzone w ścianę, na której poblask z okna malował wzory cieni.

Opowieści przeplatały się w jej umyśle jak ornamenty na ścianie - ludowe baśnie, przypowieści z Koranu. Zanurzyła się w ich bezmiarze. Jedna z historii opowiadała o bramach, a bramy otwierały się na kolejne opowieści i tak w nieskończoność. Niektóre opowieści nadal były żywe, a życie niektórych ludzi zaczynało się i biegło wraz z nimi, nie ograniczone żadnymi ramami czy barierami. Opowieści wibrowały w umyśle Angeliny. Rozwijały się jak motyw muzyczny, powracały i brzmiały, niewidzialne, jak tysiące delikatnych dzwoneczków, każdy kołyszący się własnym rytmem.

Splatały się w harmonijną pieśń, by potem rozprysnąć się w różnych kierunkach, każda we własnym tempie, w nowych kompozycjach, aż w końcu dźwięki i obrazy znikwały, zmieniając się w wielką jasność. Angelina spoczywała wewnątrz tego światła, wraz z Chesterem, wyjątkowo cichym, jakby i on słyszał to, co działo się w umyśle kobiety.

Słuchała.

Jej sny przepełniała muzyka, wędrowki przez Saharę i obrazy ośnieżonych szczytów Atlasu.

Następnego ranka Angelina wstała, umyła się i znowu wyszła na dach, usłyszawszy wezwanie do modlitwy. Muezin stał na strzelistej, białej wieżyczce oddalonej o może pół kilometra od pokoju w domu Khadii. Angelina każdym zmysłem czuła otaczający świat i zdawało jej się, że te doznania są czyste i wyraźne. Przypomniała sobie sen, jaki miała przed przebudzeniem. Śniło jej się, że jest cała z czystego złotego piasku i zmienia się wraz z ruchem ziarenek w ciemną postać, aby potem ponownie powrócić do złotej barwy, i tak bez końca.

Ona sama.

Zmienna.

Przemieniona.

Już nie ta sama Angelina co kiedyś.

Świat był pełen magii. Manuel miał rację. Dlaczego tak długo siedziała na ranczu? Jedyne, co należało zrobić, to iść naprzód. Nie zatrzymując się ani na chwilę.

Pierwszy raz w życiu poczuła się cudownie niedokończona.

Odwróciła się do okna, słysząc wołanie. To była Khadija.

- Dzień dobry. - Gospodyni przekroczyła próg, niosąc tacę. - Przyniosłam kawę i ciastka. Nie odpowiedziałas na pukanie, więc pomyślałam, że jesteś na zewnątrz. - Położyła tacę na stoliku.

Angelina spojrzała na wybrzeże.

- Czy tam jest pociąg? Odjeżdża! Gdzie jest Chester?! Muszę jechać...

Khadija położyła jej dłoń na ramieniu.

- Już odjechał. Ale jeszcze dzisiaj, później, będzie następny. Nie radziłabym jednak korzystać z pociągów. Ludzie, którzy nimi podróżują... Cóż, oni nie lubią takich jak ty czy ja.

Wcale na to nie liczę.

- Co masz na myśli?

W jasnym świetle poranka Khadija wyglądała na starą i znużoną.

- Po prostu są inni. Nie potrafię wyjaśnić.

- Ale pociągiem mogę się dość szybko dostać do Tangeru - upierała się Angelina. - Muszę znaleźć syna.

Starsza kobieta usiadła i naląła im obu kawy, zapraszając gościa gestem do zajęcia miejsca obok. Angelina usiadła, otoczyła filiżankę dłońmi i upiła łyk.

- Pociąg został zbudowany przez Francuzów wiele lat temu, zanim pojawiły się jasne prawa zabraniające podobnych urządzeń. Wyjątek stanowią właśnie pociągi jeżdżące przez Hiszpanię, może nawet do Paryża.

- Ależ to wspaniale - ucieszyła się młodsza kobieta. - Chcę się dostać do Paryża, tam mieszka Manuel, mój mąż. - Chyba. - Co jest nie tak z pociągami?

- Mówi się, że nikt z nich nie wysiada.

- To bez sensu!

- Wcale nie. Ludzie wsiadają na stacji. Czasami. Ale nikt nie wysiada.

- Może nikt tutaj nie przyjeżdża...?

Khadija westchnęła, wciągając aromat kawy.

- Ludzie przyjeżdżają tu cały czas. Ale nie pociągiem.

- Może to za dużo kosztuje?

- Nie wiem, ile kosztuje. Ale zmienia się status prawny. Wchodząc do pociągu, trafiasz na terytorium Francji. Jestem przekonana, że pociąg zabiera ludzi do Francji, ale po drodze poddaje ich w jakiś sposób indoktrynacji. Kiedy podejdziesz blisko pociągu, przekonasz się, że jest ozdobiony kwiatami i pszczołami. Jak wiadomo, Paryż jest Miastem Kwiatów. Ludzie podobno nie mają tam wolnej woli. Wejście do pociągu to pierwszy krok do zmiany w osobę, która podlega Miastu Kwiatów. Nie ma tam Allaha, nie ma transcendencji. Jest tam tylko to, co ludzkie.

- Sądzę, że tak jest wszędzie - odpowiedziała Angelina.

- Nie wierzysz w Allaha.

- To prawda.

Khadija uśmiechnęła się ironicznie.

- Więc może tobie podróż pociągiem nie zaszkodzi za bardzo, he?

Angelina starała się jednak potraktować słowa gospodyni poważnie.

- To, że nie wierzę w nadludzką inteligencję lub transcendentalnego stwórcę, nie znaczy, że nie zależy mi na życiu i własnej świadomości, ani też, że nie darzę szacunkiem tych, którzy wierzą w nadprzyrodzoną istotę. Wierzę, że to, co powiedziałaś o pociągu, jest prawdą. I wierzę, że mogę stracić moją osobowość, tożsamość, wolną wolę. Dlatego nie wsiądę do pociągu, w czym problem? Czemu ktokolwiek na świecie miałby wybierać taką podróż?

- Krążą plotki, że agenci Miasta Kwiatów odwiedzają kawiarnie i rozsypują do napojów i potraw proszek, który powoduje takie pragnienie.

- Ale po co?

Khadija wzruszyła ramionami.

- Pewnie z zapełnienia pociągu czerpią jakieś korzyści. Nie mam pojęcia jakie.

- Jaka jest różnica między utratą tożsamości na rzecz, powiedzmy, Allaha, a utratą siebie na rzecz miasta lub pociągu?

- Połączenie z Allahem jest najwyższym z możliwych stopni wiary, najwyższym celem człowieka. Połączenie z czymś, co stworzył tylko człowiek, to raczej utrata niż związek dusz, a także utrata wszelkich możliwości, by odzyskać duszę.

- Dlaczego Maroko pozwala jeździć tym pociągami?

- Nie można ich zatrzymać. Są niezniszczalne. Nie sądzisz chyba, że przez lata fundamentaliści i terroryści nie sprawdzili wszystkich możliwych sposobów wysadzenia pociągów w powietrze? Oczywiście to nie były działania oficjalne. Nic nie usprawiedliwia niszczenia pociągu, w którym mogą się znajdować pasażerowie, nawet jeżeli jest to tylko

potencjalna możliwość.

Angelina uświadomiła sobie naraz, że denerwujący i powtarzający się rechot, który starała się ignorować, wydaje Chester, pozostawiony w pokoju i teraz starający się zwrócić na siebie uwagę.

- Przepraszam na chwilę. - Weszła na górę. Lalka leżała obok posłania w kwadracie słonecznego światła.

- Zachowujesz się karygodnie - zwróciła jej uwagę Angelina.

- Przepraszam.

Podniosła Chestera i otrzepała z kurzu jego komiczną, długą szatę.

- Twój turban się rozluźnił. Zawiążę go porządnie.

- Tylko nie za mocno. Jestem pewien, że wcale nie jest ci przykro.

- Zgoda. Przyjmij wyrazy skruchy. Zapomniałam, że nie lubisz słońca.

- Zostawiłaś mnie, żebym oślepl w tym świetle. Nie lubię, kiedy ktoś udaje, że mnie nie słyszy. A najbardziej nie znoszę tego, że nie mogę się ruszać i jestem zdany na łaskę ludzi takich jak ty lub bezdusznych, jak señor Gabriel, albo... albo... - Zaczął kaszleć.

- Dobrze się czujesz? - spytała Angelina z niepokojem.

- Mam po prostu już dość bycia lalką, ale nic z tym nie mogę zrobić. Takie życie to tortura. Może Allah się nade mną ulituje. Może powinnaś zabrać mnie do meczetu, abym mógł się nawrócić.

Angelina nie skomentowała, zacisnęła tylko usta i zmarszczyła brwi, wbijając wzrok w spiralny wzór na ubraniu, ale Chester zdawał się czytać w jej myślach.

- Nie mówiłem ci, że jestem czującą lalką? Do cholery! Nie wierzysz mi? Mam taką samą duszę jak każdy z tych łażących tu i traktujących mnie z góry idiotów. A nawet lepszą!

- Właśnie to jest mi potrzebne. Histeryzująca lalka. A teraz uspokój się i bądź bardziej uprzejmy dla Khadii, dobrze? Daj mi dobry przykład. Weź się w garść. - Wzięła go na ręce jak dziecko i poklepała po plecach.

- Udawałem, że jestem smutny. Tak specjalnie - dla ćwiczenia - wyszeptał jej do ucha.
- Żeby trochę nauczyć cię empatii. To wszystko.

- Rozumiem - odpowiedziała. - To coś, co powinnam znać. - Świat podań i bajek, zawsze w pobliżu, zapłonął w jej sercu. Poznała mit o Golemie i bajkę o Pinokiu. Uczyła się.

I przez chwilę czuła strach przed tym, co ona i Chester wyciągną z tej lekcji.

- Stajesz się coraz bardziej wrażliwa. - w głosie lalki brzmiała satysfakcja, gdy Angelina wynosiła ją przez niskie okno na dach. Powietrze nad rozświetlonym miastem było czyste i orzeźwiające, a głębokie barwy jasne i harmonijnie połączone. Częstotliwość

światła przywołała nowe opowieści, historie naukowe. Jesteś światłem, mówiły jej. Nawet ty.

Światłem o jakiej częstotliwości był teraz Louis? Angelina zdecydowała, że jednak wsiądzie do pociągu.

*

Nie próbowała wyjaśniać Jasmine lub Khadii, z którymi późnym rankiem poszła na targ, że nano mogłoby położyć kres panującemu wokół ubóstwu. Rozumiała dobrze opór przed technologią zza oceanu, dla niej tak swojską i przywodzącą myśli o domu.

Szła pomiędzy kramami, gdzie magicy, artyści i wróżki mieli swoje terytorium. Mieszały się tutaj przyjemne i mniej przyjemne zapachy, niesione bryzą, która targła daszkami budek i igrała w długich szatach przechodniów. Wiatr nie odstraszał jednak much, brzęczących wszędzie, między chmurami kurzu, wśród ostrego zapachu ziół zmieszanego z wonią pieczonego mięsa i warzyw. Urywki muzyki przebijały się przez natarczywe odgłosy targów i nawoływań sprzedawców. Mężczyźni i kobiety zerkali na Angelinę, gdy zostawała sama, lecz kiedy tylko Khadija brała ją pod ramię, wydawało się, że natychmiast staje się niewidzialna jak powietrze. Rzuciła parę monet akrobatom. Nie rozumiała, jak można się cały czas wyginać niczym koty...

Ale i oni mieli swoje opowieści.

Chester znalazł się w plecaku i oglądał świat przez otwory, które kazał wyciąć w klapie.

Zażądał, aby Angelina odwróciła się tyłem do meczetu, gdzie weszła Khadija, gdy nad miastem zabrzmiało mechaniczne wezwanie do modlitwy, które powtórzyli kapłani na wieżyczkach. Khadija poprosiła Angelinę, by zaczekała, a sama weszła do kobiecej części świątyni. Na placu przed meczetem ludzie zdejmowali obuwie, klękali i modlili się. Tłum sięgał daleko, chyba aż do targowiska.

- To matematyka - oznajmił Chester z wyraźnym zadowoleniem. - Ten układ był zapisany w mojej pamięci, ale dopiero teraz, gdy widzę go na własne oczy, ma dla mnie sens.

Zamilkł po napomnieniu, aby był cicho. Wyobrażała sobie, o czym mówi lalka. Muchy brzęczały w ciszy poranka i nawet gdy ludzie wstali i rozeszli się do swoich zajęć, Angelina miała wrażenie, że znalazła się wewnątrz ogromnej, aż dech zapierało, błękitnej kuli niebios. Wielbłądy, małe samochody i rowery przejeżdżały wąskimi uliczkami. Poczowała wewnątrz lekkość i ciepło, jakiego wcześniej nie знаła. Podróżowała sama, nikt nie wiedział skąd i dokąd, nie ciążyły na niej żadne obowiązki.

Oprócz pragnienia, by odnaleźć Louisa. Świat powrócił do życia.

- Już tu idzie - powiedział Chester i Angelina odwróciła się, by ujrzeć Khadiję

opuszczającą meczet.

*

Po powrocie do domu Khadii oznajmiła:

- Powiedz mi, jak mogę ci odplacić za gościnę.

- Dokąd się wybierasz? - spytała gospodyni. - Możemy ci pomóc w zorganizowaniu transportu...

- Pojadę pociągiem.

- Ale...

- Mój umysł jest gotów.

Biorąc pieniądze, Khadija potrząsała głową.

- Wróć, proszę, natychmiast, jeżeli pojawią się jakiegokolwiek problemy. Wezwę Jasmine...

- Przejdę się. Raz jeszcze bardzo ci dziękuję za gościnę.

Khadija uśmiechnęła się.

- Mogłabyś zostawić z nami Chestera. Jest taki interesujący...

- Nie! - Angelina i Chester z plecaka odezwali się w tym samym momencie.

Trochę zakłopotana gwałtownością protestu, roześmiała się.

- Zdaje się, że powinnam dojrzewać razem z nim.

- A ja razem z nią - dodała niewidoczna lalka. - Chociaż przyjemnie by było zostać u ciebie, Khadijo.

- Dziękuję, Chesterze - odrzekła Khadija, otwierając im drzwi, by mogli wyjść.

Niebo lśniło intensywnie turkusową barwą. Dzieci bawiły się na ulicach, mężczyźni siedzieli na ławkach przed domami lub w kafejkach, gdzie płonęły świece.

Angelina skierowała się w stronę nabrzeża. Khadija powiedziała, że pociąg odjeżdża codziennie wieczorem dokładnie o ósmej ze stacji niedaleko przystani.

- Musimy być ostrożni - odezwał się Chester. - Słyszałem bardzo niepokojące rzeczy, gdy mówili o pociągu po arabsku.

- Co na przykład?

- Przede wszystkim, że ludzie rzadko wsiadają do pociągu, nawet jeżeli chcą tam wejść. To nie jest normalny pociąg. Mieszkańcy są krańcowo wściekli, ponieważ zlikwidowano starą kolej, a nowe torowisko używane jest wyłącznie przez ten nowoczesny ekspres. To znaczy, że nie ma normalnego transportu kolejowego do Tangeru.

- Czemu po prostu nie zbudują własnej kolei?

- Zdaje się, że się uparli. Poza tym, chyba są za biedni. Jeden z mężczyzn twierdził, że

jeśli zbuduje się nowe tory, na pewno zajmie je pociąg podobny do tego, co kursuje z Paryża. Brzmiało to trochę dziecinnie i sentymentalnie.

- Cóż, zobaczymy wkrótce.

Angelina skręciła i niemal wpadła na starą kobietę, która natychmiast cofnęła się, robiąc przejście.

Od nabrzeża niósł się orzeźwiający zapach morza. Nieopodal portu znajdowała się stacja, ozdobna niczym meczet. Angelina zastanawiała się, dlaczego pozwolono, by ta znieawidzona kolej tak się wyróżniała. Ale serce zabiło jej mocniej dopiero na widok pociągu - gładkiego, nowoczesnego, lśniącego w półmroku zielonkawym, metalicznym połyskiem i odbijającego opalizujące niebo.

Przyśpieszyła kroku w nagłej obawie, że pociąg nie będzie czekał zbyt długo i że niełatwo będzie doń wejść, choć dochodziło dopiero wpół do ósmej. Któż jednak wiedział, jak się zachowują pociągi w tej części świata. Angelina pośpieszyła do wejścia na terminal, lecz drzwi były zamknięte. Rozejrzała się, nie wiedząc, co dalej robić.

Cienie się wydłużały, na przystani rozbłysły światła. Oddalony tylko o kilka metrów pociąg zamruczał cicho. Okna były oświetlone, ale nie można było zobaczyć wnętrza, zapewne w wyniku polaryzacji światła na szybach.

- Czemu stoimy? - zapytał Chester. - Wyciągnij mnie! Chcę zobaczyć, co się dzieje!

- Nie wiem - odrzekła Angelina cicho i niezdecydowanie. - Nic nie widać, ale ten pociąg jest... dziwny.

Gdy podeszła jeszcze bliżej, drzwi otworzyły się i wysiadł mężczyzna w uniformie. Rozłożył metalowe schodki, ostatni stopień oparł się o peron. Angelina podeszła śmieiej.

Mężczyzna odezwał się po francusku, ale nie patrzył na nią - wzrok miał nieobecny, utkwiony w dali. Trochę ją to deprymowało.

Jego oczy były jasne, prawie bezbarwne, podobnie jak włosy, przycięte krótko i wysuwające się spod konduktorskiej czapki.

Odpowiedział Chester - głosem Angeliny, czym ją zupełnie zaskoczył i jednocześnie sprawił, że konduktor spojrzał na nią z uwagą.

- Tak, mówię po hiszpańsku - rzekł. - Bilet proszę.

- Kasa biletowa jest zamknięta - oznajmiła Angelina, odgarniając kosmyk włosów drżącą z desperacji dłonią, w tej chwili myślała tylko o Louisie. Manuelu. Ubogi chłopiec stojący pod zamkiem, pragnący poślubić księżniczkę. Przelknęła nerwowo. - Mogę kupić bilet u pana?

- Nie można kupować biletów na przejazd tym pociągiem - odpowiedział. - Musisz

mieć bilet.

- To śmieszne! - wykrzyknęła z gniewem.

- Przykro mi - odpowiedział konduktor, po czym schylił się i podniósł schodki. Zanim jednak wszedł do pociągu, Chester odezwał się po francusku, tym razem własnym głosem.

- He? - zdziwił się mężczyzna, odwracając się w ich stronę.

- Powiedziałem: dotknij jej - powtórzyła lalka rozkazująco.

- Zamknij się - warknęła Angelina, urażona i rozgniewana.

Konduktor uniósł brwi, ale zeskoczył z powrotem na peron.

- Jak pan sobie życzy. Kimkolwiek pan jest. - Wziął Angelinę za rękę.

Zanim zdążyła się wyrwać, mężczyzna zdecydowanie skinął głową.

- W rzeczy samej, ma pani bilet. Witam w Ekspresie do Miasta Światła. - Rozłożył ponownie schodki i ponownie ujął dłoń Angeliny, tym razem, by pomóc jej wejść do pociągu.

*

Ekspres opuścił stację, gdy tylko konduktor posadził Angelinę w przedziale.

- Proszę pozwolić, że zaprezentuję usługi dostępne w tym pomieszczeniu - powiedział.

- Tutaj jest panel do zamawiania dań i napojów. Może zsyntetyzować wszystko, co sobie pani zażyczy, dania z dowolnej kuchni na świecie. Można również dodać własne przepisy - otworzył ekran, gdzie pojawiły się wzory chemiczne - ale jeżeli nie jest pani zawodowym kucharzem, będzie trudno przełożyć recepturę na równania chemiczne. Jeżeli ma pani ulubione wino lub rocznik, można je zamówić używając tego panelu, o ile wybrany trunek znajduje się w naszym spisie. Podczas podróży do Paryża można jadać w przedziale i - mężczyzna podniósł głos - zapewniam, że nie będzie pani rozczarowana. Jednak szczególnie polecam wagon restauracyjny. Wkrótce dotrzemy do Tangeru. Przyjemnie jest spożyć posiłek, gdy będziemy się przeprawiać przez Cieśninę Gibraltarską.

- Skorzystamy z promu?

- Tak, señora. Pozwoli pani, że zamówię dla pani obiad?

- Bardzo proszę. - Angelina starała się ukryć zmieszanie nagłą zmianą poziomu techniki. Konduktor skłonił się uprzejmie.

- Znakomicie. Nie pożałuje pani, że wybrała podróż naszym pociągiem, madame. To znaczy, señora. Zresztą już czas.

- To znaczy? - spytała. Jednak konduktor tylko ponownie się skłonił i wyszedł z przedziału, a drzwi zasunęły się za nim z cichym szmerem.

- Wypuść mnie! - zażądał Chester.

Położyła go na stole przy oknie.

- Posadź mnie! - rozkazał z rozdrażnieniem.

- Tak jest, Wasza Wysokość. - Posadziła go w rogu fotela, skąd miał widok na całe pomieszczenie. - Czy tak jest dobrze?

- Nie kpij ze mnie - burknął. - Nie masz pojęcia, jakie to okropne. Może ten pociąg doda mi jakiś układ ruchu sterowany głosem.

- Niezły pomysł. - Zastanowiła się. - Zdaje się, że może to nawet zrobić za darmo.

Co prawda miliony baśni w pamięci ostrzegały, że nie ma nic za darmo, ale Angelina zbyła to wzruszeniem ramion, zupełnie jak bohaterowie opowieści. Przypominali jej chmurę dziwnych owadów w lesie, przyciąganych przez światło. Każdy na swój sposób unikalny, każdy przylatujący nie wiadomo skąd i nie wiadomo dlaczego ciągnący do światła, jakby od tego zależało jego życie.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Chester. - Wyglądasz na nieco zmieszana.

- Zastanawiam się, co miało znaczyć: „Już czas“?

- Konduktor to forma sztucznej inteligencji - oznajmiła lalka. - I rzeczywiście, też uważam, że już czas.

- Czas na co?

- Na... zmianę. Myślę, że zaraz się dowiemy.

- Cudownie - mruknęła Angelina. Usiadła na sofie i wpatrzyła się w okno, w ostatnie błyski zachodzącego słońca.

Konduktor powrócił po półgodzinie.

- Proszę za mną.

Poszli naprzód, mijając trzy wagony. Potem mężczyzna posadził Angelinę przy stole nakrytym białym obrusem. Porcelanowe nakrycie otaczały kryształowe szklanki i kieliszki, sztucce były zapewne srebrne. Jednak najbardziej zaskoczył ją *maitre*, który przyniósł dziecięce krzeselko i posadził na nim Chestera. Wagon restauracyjny był pełen ludzi, słychać było muzykę zmieszana z gwarem rozmów.

- Cóż za cudowny pociąg - stwierdziła lalka, patrząc na Angelinę paciorkowatymi, uważnymi oczyma. - Może powinniśmy w nim zostać na zawsze.

- Możemy nie mieć wyboru - odparła gorzko towarzyszka, rozglądając się po zgromadzonych przy stolikach pasażerach, wyglądających, jakby pochodzili z dziewiętnastego wieku. - Myślę, że wszyscy są tutaj już bardzo długo...

Jakiś mężczyzna nalał Angelinie wody.

- Proponuję zacząć od kawioru.

- Nie przepadam za kawiozem. Macie zakąski do dań mięsnych? - Prawie każde danie

w Argentynie składało się z mięsa i tęskniła do takich potraw. Kelner skinął głową.

- Jak pani sobie życzy. Czy mam wybrać wino?

Angelina przytaknęła i zamknęła ekran menu, zadowolona, że nie musi decydować. Za oknami przemykał coraz ciemniejszy krajobraz.

- W tym pociągu jest więcej, niż widać na pierwszy rzut oka - zauważył Chester.

- Co masz na myśli?

- No... - Zawahał się - Patrz! Czyż to nie piękne?

Ekspres powoli przejeżdżał przez plac w niedużym miasteczku. Angelina dostrzegła zonglera i kobietę w błękitnym sari, grającą na saksofonie.

- Nie próbuj zmieniać tematu. Co miałeś na myśli, mówiąc o pociągu?

Kelner przyniósł *empanadas*, pikantne hiszpańskie pierogi nadziewane mięsem i serem. Chester westchnął.

- Nie wiem. Wiem tylko, że jesteś tutaj dlatego, iż masz pewną genetyczną anomalię. I wszyscy ci ludzie są tutaj dokładnie z tego samego powodu. Uważam, że podlegają jakiemuś procesowi transformacji. Może lepiej będzie wysiąść w Tangerze i dalej podróżować w inny sposób...

- To ty mnie wprowadziłeś do tego pociągu. - Uśmiechnęła się, nieoczekiwanie czując odprężenie. - Zamierzam tu zostać i cieszyć się przejażdżką.

- Pozwól, że wytłumaczę ci, czego się dowiedziałem...

Kelner zabrał pusty talerz i postawił w jego miejsce półmisek pieczonego mięsa oraz koszyk z pieczywem, w wagonie zabrzmiała powolna muzyka, smyczkowe utwory Bacha. Angelina miała wrażenie, że rozluźnia się i odpręża z każdą nutą, jakby była strunami, na których grano melodię. Było to niespodziewanie przyjemne wrażenie. Spojrzała przelotnie w ten drugi pejzaż, malowany muzyką i matematyką, który zawsze nosiła w sobie. Zatapiając się w muzyce, mechanicznie zjadła zupę, nie słuchając paplania Chestera. To, co mówił, miało takie samo znaczenie jak brzęk kryształowych naczyń lub srebrnych sztuców. Wszystko było równie ważne lub nieważne dla Angeliny, pogrążonej w świecie wrażeń słuchowych.

- Wszyscy ci ludzie są radioistotami. Ich cząsteczki i dusze zostały przeorganizowane. Czynnie uczestniczą w procesie przemiany, oczekują jej zakończenia z religijną niemal gorączką. Ty również stopniowo się zmienisz, zanim dojedziemy do Paryża. Ten pociąg i tory to wielka antena odbierająca sygnały z Paryża, w chwili, gdy znajdziesz się w Paryżu, będziesz całkowicie... dostosowana - to chyba najważniejsze określenie. Dostosowana do miasta. Jakbyś się do tego urodziła.

- Urodziłam się, by rządzić królestwem. Ale przegrałam. Jediną rzeczą, jaką muszę zrobić, jest odnalezienie Louisa.

Zanim skończyła obiad, pociąg dojechał do Tangeru i przetoczył się na prom. Angelina skierowała się do salonu, skąd dochodziły szmery rozmów innych pasażerów. Za oknami przesuwał się jasno oświetlony Gibraltar.

Kroczyła po dywanie, nie poświęcając majestatycznej panoramie wiele uwagi. Nareszcie zbliżała się do Louisa i Manuela. Zbliżała się do tajemniczego Miasta Światła, miasta *Gry w klasy*, Prousta, Hugo, Zoli i tysięcy przybyszów z innych stron świata. Fikcyjne postaci z dzieł literackich krążyły i tańczyły w umyśle Angeliny, jak senne zjawy sunęły po uliczkach, którymi przechadzali się pisarze - ich twórcy; przecinały drogi w wymyślonych światach i różnych epokach historycznych.

Mała dziewczynka podniosła Chestera i zaczęła się nim bawić, zabierając go między krzesła. Rozmawiali w języku, którego Angelina nie знаła - pewnie po niemiecku. Dziewczynka poklepała lalkę po brzuchu. Zaśmiał się i szybko powiedział jeszcze parę słów.

Angelina wstała. Patrzyła przez chwilę, a potem powiedziała:

- Chester, idziemy.

- Dlaczego?

- Bo chcę się przespać.

- To raczej powód, żebym tu został. - Odezwał się po niemiecku i dziewczynka zerknęła na Angelinę, a potem objęła delikatnie lalkę i z uporem potrząsnęła głową. Warkoczyki zatańczyły wokół jej twarzy. Wyglądała na nieco zdenerwowaną.

- Nie jestem twoją własnością - powiedział łagodnie do Angeliny.

- Oczywiście, że nie jesteś. - Głos kobiety zabrzmiał znacznie bardziej piskliwie, niż sobie tego życzyła. - Kto... kto prosił, żebym go zabrała... Och! - Roześmiała się. - Masz rację, oczywiście! - Odwróciła się, a kiedy odchodziła, usłyszała jeszcze, jak krzyknął:

- Angelino!

Ale nawet nie odwróciła głowy.

Weszła do przedziału z chłodnymi, białymi prześcieradłami na posłaniu i wspaniałym widokiem śródziemnomorskiej nocy za oknem. Żałowała, że jest tutaj, a nie w Tangerze lub na pustyni. Czy kiedyś tam wróci? Czemu się tak śpieszyła? Nigdy nie znajdzie Louisa. Nigdy nie znajdzie Manuela. Mogła z Chesterem przyłączyć się do karawany i zwiedzić Tanger. Lalka byłaby dobrym towarzyszem podróży, znaczyła więcej, niż wcześniej się Angelinie wydawało. I wtedy Chester mógłby się jeszcze bardziej upodobnić do człowieka, w tej chwili Angelina za nim tęskniła. Ale on wybrał towarzystwo małej dziewczynki.

Nagle doznała olśnienia: zaczynała wariować z powodu lalki. Najwyraźniej była o nią zazdrosna!

Ach, o to chodziło. To takie proste. Po prostu zaczynała wariować.

Spojrzała w gwiazdy. Jej serce i umysł zatrzymały się pierwszy raz od bardzo dawna - Angelina niczego nie oczekiwała, niczego nie pragnęła.

Nie była pewna, co się stało, nie wiedziała, co spowodowało ten stan. Ale nagle poczuła się naprawdę spokojna i żywa. Czy to pociąg darował jej ten psychiczny kontakt, czy w powietrzu, którym oddychała, znalazły się subtelne przekazy chemiczne i właśnie dzięki nim poczuła się w pełni sobą? Umysł Angeliny był czysty i klarowny.

Zauważyła niewielki panel kontrolny po prawej stronie pod oknem. Dotknęła go i poprosiła o menu po hiszpańsku, ponieważ ikony nic jej nie mówiły. Potem nacisnęła w odpowiednim miejscu i okno zaczęło się kurczyć, aż stało się niewidocznym, przezroczystym pasemkiem, przez które przenikał tylko wiatr. Nawet dach w przedziale można było otworzyć lub zamknąć.

Angelinie serce rwało się do jaśniejącego na niebie księżyca w pełni. Znowu była małą dziewczynką, którą zabrano na pampę, do obozowiska gauców. Już z daleka słyszała ich pieśni i wybijany stopami rytm tańców. Ułożyła się wygodniej na pościeli. Wspomnienia o gauczach zniknęły, ale nadal słyszała muzykę skrzypiec płynącą wśród konstelacji gwiazd, widziała związki między gwiazdami opisywane przez muzykę. Wszystkie te taneczne, szybkie ornamenty splatały się równocześnie w umyśle kobiety, a niebo zmieniło się w wizerunek czasu. Angelina zasnęła ukołysana tym widokiem, zanurzona w nim, a we śnie pojawiły się geometryczne, matematyczne wzory, tak piękne, że niosły tylko radość; będące tylko sobą i dlatego doskonałe.

*

Gdy się obudziła, był świt. Podmuchy wiatru nadal płynęły przez przedział, a z oddali wynurzały się szczyty gór w zieleni i złocie. Zauważyła Chestera - niewyraźny, szary kształt tuż obok. Oczywiście powiedział dziewczynce, z którą się wczoraj bawił, dokąd ma go odnieść.

- Cieszę się, że wróciłeś - wymruczała.

- Weź mnie za rękę - poprosił.

Obróciła się na bok i objęła jego małą rękę, pokrytą imitacją skóry. Gdy ponownie zapadała w sen, wyobrażała sobie, że Chester się poruszył.

*

Hiszpania okazała się dla Angeliny fantasmagorycznym splotem obrazów -

wspomnień o rodzinie, która stąd wyemigrowała przed wiekami, widoku stromych gór i kwitnących brzegów.

Poszła do wagonu restauracyjnego, aby przed tym uciec, ale nie zadziałało. Wizje rosły jak głębokie halucynacje, wyraźne, stworzone w naturalnym języku Angeliny, całkowicie przejrzyste. Wszystkie opowieści, jakie nosiła w umyśle, przekształcały się w formę wizji, obrazów, i chociaż można je było przenieść na nośnik, jakim był język, same obrazy były trwalsze i niezmiennie.

Szklanka obok dłoni Angeliny była tylko szklanką. Lecz nawet ten prosty przedmiot przywoływał opowieści.

Może to być szklanka wypełniona piwem podczas corocznej podróży do Buenos Aires, gdzie żony ranczerów paradowały w swoich najlepszych toaletach. Ale Angelina ubrana jest w prosty strój biznesowy i uzgadnia warunki umowy - właśnie przy piwie.

Albo może to być szklanka, którą pewnego ranka podsunęła jej matka; szklanka ze świeżo wyciśniętym sokiem z owoców na śniadanie. I choć zmysły ludzkie nie są aż tak wrażliwe, świeżość zdaje się wypełniać powietrze.

Tak, nawet szklanka może wzbudzać emocje. A obrazy nie zawsze są proste i całkiem jasne. Niektóre mogą być przeładowane, ciężkie od szczegółów i ornamentów i tak bogate. A obrazy opowieści ustawiają się jeden nad drugim, jak równania. Zapewne będą się rozrastać i zmieniać, jak *Gra w klasy*. Albo snuć subtelnie i delikatnie jak powieści Czechowa. A może rozwiną się z brutalną nieuchronnością, jak *1984* Orwella.

Kiedy jadła jajka na miękko, za oknami przesuwała się ogromna równina zamknięta górami mającymi na horyzoncie. Jeżeli nie wpatrywała się w krajobraz, mogła dostrzec własne niewyraźne odbicie oraz Chestera tuż obok, ubranego w zaskakujący, staroświecki strój, zapewne otrzymany wczorajszego wieczoru. Może strój dostał od niemieckiej dziewczynki w podziękowaniu za dobre rady i zabawę - zapewne dziecko chciało, by bardziej przypominał człowieka. Ale po co - zastanawiała się Angelina - ubierać lalkę, maszynę? Chyba zaczynała się uwalniać od jego wpływu.

Zamyśliła się nad Chesterem - nad jego istnieniem, umiejętnościami i pragnieniami.

Były czasy, gdy maszyny oddzielano od ludzi.

Ale teraz to się zmieniło, teraz maszyny podkreślają swoją odrębność, chcą być znane, a zarazem chcą koegzystować z ludźmi i osiągnąć bogactwo wrażeń dostarczanych przez ludzkie zmysły, chcą mieć ludzką świadomość, to odzwierciedlenie drgań materii wywoływanych przez uczucia.

Rzeczywiście, to była cała prawda o Chesterze.

A może nie - dumiała dalej - może maszyny zechcą mieć ludzi wewnątrz siebie, ludzi jak duchy, bezcielesnych, cierpliwie czekających przez długie wieki: na usta, pięści, owadzie czułki.

Teraz maszyny, tak przecież maleńkie nano, były jednak widoczne, żądały równego traktowania, by mogły trafiać wszędzie bez oporu - do skał, do wody, na tapety, do butów, do zorganizowanej materii miast.

Chciały się połączyć we wspólną świadomość, cokolwiek to będzie.

Maszyny przemieszczały się w tym pociągu, przenikały meble, znajdowały się w dziecięcych zabawkach. Czy ci ludzie wokół naprawdę są ludźmi - choćby ta kobieta, która zaprasza Angelinę do stołu i rozmawia z innymi? Czy też jest maszyną bardziej nawet niż Chester, naśladowującą ludzkie kształty i ludzki umysł?

Angelina upiła łyk mocnej kawy z czekoladą i ugryzła kawałek ciasta ze smażoną cebulką i serem. Znakomite śniadanie.

Skoro to my stworzyliśmy maszyny - zastanawiała się - czemu mielibyśmy wierzyć w ich boskość? Skoro je zużywamy i odrzucamy, skoro dokładnie niszczymy resztki, dlaczego doprawdy miałyby nas kochać i wspierać? Jesteśmy dla nich jak konie. A kiedy maszyny zdecydują się rozmnożyć i odejść własną drogą, czemu miałyby zabrać ludzi ze sobą? Jeden wygodny błysk, jakaś śmiertelna plaga i wszechświat zostanie na zawsze oczyszczony z kłopotliwej ludzkiej paplaniny.

Angelina odsunęła te myśli. Nie były niczym nowym. Pojawiały się, odkąd wynaleziono pierwsze mechanizmy, odkąd konserwatywne grupy niszczyły urządzenia włókiennicze nie ze względów finansowych, lecz z powodów religijnych, w imię ludzkiej godności, by ocalić duszę wytworzonych ręcznie dzieł. I jak w tkactwie, w którym ludzie nadal sami tworzą wzory i na roboty przerzucają tylko ich realizację, tak w całej reszcie działań ludzkich i mechanicznych nie można utracić tej iskry, ekspresji ludzkich emocji, jakiej próżno szukać u nieczujących, niemyślących maszyn.

I dlatego ludzie, którzy sterują maszynami, nie mogą stać się ich niewolnikami, gotowymi na każde skinienie, troszczącymi się o ich potrzeby. Nie mogą stać się tak odczłowieczeni jak... jak dzieci epoki wczesnoindustrialnej opisywane w powieściach Zoli, jak dzieci z książek D.H. Lawrence'a, oddające życie w kopalniach, by maszyny mogły pracować; ani jak Maggie, zdehumanizowane dziecko ulicy, opisane przez Stephena Crane'a, które w zdehumanizowanym mieście za wolno uczyło się sztuki przetrwania.

Teraz właśnie te opowieści są bardziej realne. Co było ostatnim bastionem dla maszyn starających się we wszystkim naśladować człowieka? Maszyny opanowały ruch, opanowały

nawet rozmnażanie.

Pozostała tylko świadomość.

Świadomość rozumiana tak szeroko, jak to możliwe; świadomość, której przejawem były opowieści.

Oczywiście, inne stworzenia też postrzegały i odbierały informacje o swoim otoczeniu. I też miały opowieści - Angelina wiedziała to doskonale. Opowieści zbudowane z niebezpieczeństwa i reakcji na zagrożenie.

Pomyślała o Justo, swoim psie. Miał opowieści i sny. Ale jak Angelina miałyby zmierzyć ich głębię, długość lub złożoność? Mogła jedynie ujrzeć ich powierzchnię, zaobserwować reakcje Justo, to wszystko. Rozumiała jednak jego cierpienie, gdy umierał. Kiedyś Justo zobaczył Angelinę potrąconą przez samochód i leżącą przy drodze. Przez sekundę przyglądał się jej, potem cofnął się, a jego uszy opadły i zadrżały. Nie chciał jeść przez wiele dni, prawie nie podnosił się z legowiska. A później już nigdy nie był tak radosny i chętny do zabawy i ryzyka. O, tak! Psy czują ból i smutek. Są pełne emocji. Po prostu nie znają sposobu na utrwalanie swoich opowieści lub ich przekazanie.

Ale Angelina, będąc człowiekiem, mogła sobie wyobrazić wszystko, tworzyć myślą, co od początku do końca jest niewyobrażalne. Słowa układały się w zdania, odsłaniały nowe znaczenia i pojęcia, a pojęcia łączyły się w biegnącą wyraźnym torem narrację. Dopóki ludzie mogli to robić - formować emocje w opowieściach - maszyny nie miały szans, by ich zniewolić.

Nigdy się nie lękaj

Małych, naoliwionych maszyn,

Zacznijmy jeszcze raz

Z lepszym nastawieniem, dobrze?

Jesteśmy braćmi i siostrami

W naszej spiralnej skorupie

Wymieniając rzeczy niezastąpione na światło

Zmieniając...

- To brzmi jak poezja - powiedział Chester.

- Co? - Wstrząsnęła się, nagle wracając do rzeczywistości.

- To, co powiedziałaś: „Wymieniając rzeczy niezastąpione na światło...”

- Mówiłam na głos?

- Mówiłaś przez dłuższy czas. Ale nie martw się, nic nie zniknęło. Ten obrus na pewno cię słuchał.

- Nie wygłupiaj się! - parsknęła.

- Myślisz zupełnie inaczej niż ja - Zadumał się i w jego głosie zabrzmiał smutek. - Zdawało mi się, że pograżyłaś się w myślach i popłynęłaś z nimi. Jeden obraz rodził następny i kolejny - i tak myśli zabrały cię w piękną podróż. Tymczasem ja potrafię jedynie reagować na doznania zmysłów, choćby nawet o szerszym niż ludzki zasięgu, ale jednak tylko zmysłów. Na dodatek potrafię reagować na bodźce tylko w sposób, w jaki zostałem zaprogramowany.

- Zdaje się, że jednak możesz podejmować decyzje i dokonywać wyborów - zauważyła Angelina, zadowolona, że Chester wyrwał ją z natłoku myśli. - I chyba masz osobowość. Jesteś uprzejmy. Uroczy. Jesteś słodki.

- Wyobraź sobie, że wzruszam ramionami - odpowiedział. - To są cechy, które są dobre dla dzieci. Ktoś uznał, że takich cech powinny nabyć i tyle. Naprawdę nie ma to ze mną wiele wspólnego. Myślę, że nie ma żadnego mnie, chociaż istnieje złudzenie, że ja to ja.

- A kto wierzy w złudzenie, że ty to ty? Czy to nie jest część ciebie? Pozwól, że coś ci powiem, Chester. Ludzie są jak korytarz luster, możesz iść i iść i iść, i nigdy nie dojdiesz do końca, nigdy nie trafisz na pustą ścianę.

- To więcej niż moje złudzenie. Wyobraź sobie, że teraz uśmiecham się cynicznie i wzruszam ramionami.

- Głupie wyobrażenie, mój drogi. - Cieszyła się, że znowu rozmawiają. To było strasznie wciągające, życiowe.

- Może nauczyłbym się tych opowieści? - spytał smutnym, tęsknym tonem.

- Nie widzę przeszkód. - Gwałtownie odstawiła filiżankę na spodek. Natychmiast podszedł kelner, by napęłnić naczynie.

- Ale to ci przeszkadza, rozprasza cię.

- Teraz twoja kolej, by wyobrazić sobie wzruszenie ramion.

- Naprawdę ci przeszkadza. Wydzielasz związki chemiczne charakterystyczne dla osób zaniepokojonych i mających problemy.

- Bardziej to drugie - stwierdziła głosem, w którym zabrzmiało napięcie.

- Widzisz? Potrafię określić, co czujesz.

Angelina westchnęła.

- Tak. Chyba potrafisz... - Wyprostowała się na krześle.

- Żałujesz, że nie jesteś niewidzialna.

- Trochę. Potrafię robić to co każdy człowiek. Odślanianie wszystkich myśli jest straszne.

Po dłuższej pauzie Chester podjął temat.

- Nie cierpię świadomości, że jestem jedynym, który ci to robi. Ale tam, dokąd się wybierasz, nie ma żadnych osłon, kamuflaży. A ten pociąg to zaledwie preludium tego, co czeka cię w Paryżu.

Ale czy wtedy, jeszcze na statku, nie zaakceptowała tego? Czyż nie przyjęła wszystkich opowieści, nie pogodziła się z nową sobą, nie zgodziła się na pomoc Chestera? Wątpliwości i pytania powracały do umysłu Angeliny. Ale pociąg je wymazał. Pociąg...

Wyprostowała się i rozejrzała.

- Dlaczego wszystko świeci? - spytała w końcu Chestera.

- Pociąg ci odpowie, jeśli zapytasz. Ja też mogę. Pociąg jest częścią ogromnej anteny. Może stać się urządzeniem nadawczo-odbiorczym, jeśli zechcesz. Paryż jest dumny ze swojej długiej historii, w której zawsze stawiał na rozwój techniki, w 1913 roku, na początku lipca, nadano pierwszy sygnał, który odebrano na całym świecie. Nadawano z wieży Eiffla. Dzisiaj miasto stanowi centrum, w którym rodzi się nowe rozumienie czasu. Wykorzystano pewne efekty kwantowe, by uzyskać właśnie ten wyjątkowy blask, który jest jednocześnie wyraźnym sygnałem dla wszystkich umiających go zrozumieć. Ten ekspres i wszystkie pozostałe kursujące po kontynencie utrzymują szlaki handlowe w gotowości dla tych, którzy na razie unikają pociągu i technologii, na jakiej się opiera.

- Cóż za wielkoduszność...

- To dlatego, że Paryż... Dlatego, że Paryż jest dziwny.

- Nie wątpię - zachnęła się. - Paryż pochłonał mojego męża.

- Każde miasto może wchłonąć człowieka.

- Nie Manuela - zamyśliła się Angelina. - Żadne ze starych miast nie mogłoby wciągnąć Manuela. On był... jest... inny. - Próbowała nie myśleć o Louisie.

Na wysiłkach, by nie myśleć o synu, spędziła cały dzień.

W końcu pod wieczór stanęła w przejściu między wagonami. Obserwowała widoczny w oddali zarys miasta, które zbliżało się coraz bardziej. Chestera i rzeczy osobiste schowane miała w plecaku kołyszącym się na ramieniu.

Dostrzegała już pojedyncze budynki wynurzające się zza wzgórz przeciętych nieregularnymi spiralami. Czerwone i niebieskie dachówki lśniły w ostatnich promieniach słońca.

Pociągnęła za drut nad głową.

Ku jej zdumieniu pociąg zwolnił. Przejechał przez kilka łuków i zatrzymał na małej stacji.

Pod arkadą peronu stała tylko ozdobnie kuta, ciemna, metalowa ławka. Siedziała na niej starsza kobieta, która podniosła ufne spojrzenie na wysiadającą z pociągu Angelinę.

Angelina przeszła pod kolumnadą i straciła pociąg z oczu.

Skręciła w brukowaną uliczkę prowadzącą na wzgórze. Promenadą spacerowali ludzie, mijający małe sklepy i kawiarnie. Na szczycie wzniesienia kobieta znalazła hotelik. Weszła i przywitała się z mężczyzną za kontuarem recepcji.

- Potrzebny mi pokój. Macie jakiś na ostatnim piętrze?

Recepcjonista poprowadził ją na górę po wąskich, krętych schodach. Przejście oświetlały tylko świece. Mężczyzna wyjął pęk kluczy i bez wahania wybrał jeden. Pchnął otwarte drzwi.

Znaleźli się w pokoju z ciężkimi, prostymi meblami. Ratanowy dywan leżał przed łóżkiem z baldachimem, wspartym na czterech słupkach, wokół których udrapowana była cienka, siatkowa tkanina. Drewniane krzesło z miękkim obiciem i poduszkami stało przy dużym biurku z lampą. Na blacie leżało kilka książek. Mężczyzna otworzył przeszklone drzwi.

- Balkon.

Gdy tylko Angelina wyszła na taras, usłyszała z dołu cichnącą muzykę. Widziała głowy ludzi przechodzących przez ulicę, w oddali zaszczekał pies.

- Doskonale. Zapłacę od razu.

- Nie trzeba. Wystarczy zapłacić jutro. Ma pani jakieś życzenia?

- Coś do jedzenia, proszę. - Nie jadła od rana, niezbyt ufając daniom z pociągu. - I butelkę najlepszego wina, jakie pan ma.

Recepcjonista wrócił po pięciu minutach z pieczonymi krabami, otwartą butelką czerwonego wina i kieliszkiem. Angelina żałowała, że nie złożyła konkretniejszego zamówienia, miała ochotę na mięso, do którego przywykła w Buenos Aires. Nieważne. Podziękowała mężczyźnie. Skłonił się i wyszedł cicho, zamykając drzwi.

- OK. Teraz mnie wreszcie wypuść - odezwał się Chester z plecaka. Angelina wyjęła go i posadziła na balkonie, przyniosła tam również wino i jedzenie. Wiał rześki, chłodny wiatr. Ciekawe, czy udałoby się jej zauważyć niskie góry na wschodzie, gdyby nie zasłaniały gwiazd?

Usiadła wygodnie na krześle i napiła się wina.

- Co za ulga, że już nie jestem w pociągu.

- Ach - mruknął Chester bez zaangażowania.

- Spodoba ci się tutaj - powiedziała z wyrzutem.

- Nie o to chodzi...

- Nie marudź! Oczywiście, że ci się spodoba!

- Jasne. Rozmaitość ludzi i baz danych. Rzeczywiście, spodoba mi się tutaj.

- Myślę, że wrócę do Argentyny, Chester. Nie chcę już jechać do Paryża. Straciłam nadzieję, że zobaczę Louisa lub Manuela. Prawdopodobnie zostałam częściowo zmieniona podczas transformacji, jakiej poddawani są pasażerowie pociągu, i przestraszyłam się. Manuel i Louis nie chcą mnie widzieć. Mogę wrócić na ranczo, do mojego dawnego życia.

- Boisz się - zauważył Chester.

- Owszem. Wcześniej się nie bałam, nie tak bardzo. Byłam zła, ale zdecydowana. Potem, w pociągu, ujrzałam początek nowej drogi dla wszystkich stworzeń i dla życia, w Buenos Aires miałam tego zaledwie posmak, za mało, by się zainteresować lub przestraszyć. Ale tutaj mam wrażenie, że jest mnie coraz mniej, a coraz więcej jest opowieści. Próbowałam nie walczyć z tymi opowieściami i chyba odniosłam sukces, osiągnęłam spokój i mogę się zastanowić, co powinnam z nimi zrobić lub co mogę zrobić dla nich. Ale nie chcę spotkać ludzi, którzy znają każdą moją myśl, i nie chcę ich poznać. To jest coś, co łączy matki i dzieci. Coś, co mija, gdy dzieci dorastają.

Po zaledwie paru łykach wina poczuła, że odpływa. Odstawiła ostrożnie lampkę na stolik i przez kilka minut patrzyła w gwiazdy.

Opowieści zdawały się niknąć w tle, pozostawiając jedynie głęboki, średniowieczny akord złożony z ostrych tonów rewolucji, nędzy i śmierci, człowieczego dziedzictwa i najwyraźniej nieuchronnego przeznaczenia. Zaniepokojona Angelina mamrotała, czując, że znajduje się na krawędzi przebudzenia, pragnąc tylko uciec od źródła bólu i pomieszania zmysłów, powtarzającego się wciąż od nowa, ale nie mogła. Próbowała krzyknąć o pomoc z tego pola bitwy, gdzie przystojny młody mężczyzna - tak przystojny jak kiedyś Manuel, jak teraz Louis - leżał nieprzytomny lub martwy, na zawsze utraciwszy dary losu.

Dlaczego? Chciała krzyczeć z gniewu. Musi być inny sposób. Inna droga dla ludzkości niż straty, niż powszechna unifikacja i brak różnic między ludźmi. Dlaczego opowieści niczego nas nie nauczyły?

A wtedy melodia splotła się w całkowicie innym brzmieniu, czymś, co docierało wprost do duszy Angeliny. Miała uczucie, że się przebudziła, ale nie mogła ani się ruszyć, ani mówić.

Opowieści i obrazy historii skoncentrowały się w jednym punkcie, a potem rozciągnęły się w kulę światła.

To światło jednak nie raziło, było subtelne, mieniące się barwami i błyszczące tak, że

kontury otoczenia rozmyły się, złagodniały. Chester leżał obok na wpół opróżnionej lampki wina.

Angelina słyszała muzykę, jakiej nie słyszała nigdy wcześniej. Czuła ją tak, jakby dźwięki miały władzę nad myślami i porządkowały umysł według nowego wzoru. Jakby jej umysł był podatny niczym plastelina w rękach dziecka i równie silnie nastawiony na poznanie. Jakby nagle Angelina znalazła się w nowym środowisku i musiała się wszystkiego nauczyć. Światło rozbłysło nagle, nie była to jednak błyskawica, lecz ostatnie promienie zachodzącego słońca przebijające się przez chmury. A potem niebo pociemniało i pojawiły się gwiazdy.

W tym stanie kontemplacji nie było miejsca na ucieczkę lub strach. Światło i muzyka zajmowały całą przestrzeń informacji w umyśle Angeliny, a nawet wydawało się, że ją poszerzają; czuła, że może teraz sięgnąć gwiazd. A wtedy uwolniła się od obrazów wojny i mogła przemówić.

- Louis? - wyszeptała i zastanowiła się, dlaczego.

Uniosła się nieco na krzesło, a potem opadła powtórnie, zdezorientowana. Czuła twardość krzesła. Ale zobaczyła jeszcze coś, coś innego. Nie dach, który pamiętała. Inny dach... wszystko się rozjeżdżało... nieco inny. Jakby znajdowała się w tym samym miejscu, na balkonie, wstając i siadając nieskończenie wiele razy. To, co się zdarzyło w jej życiu, rozmywało się w umyśle, rozpływało tak, jakby Angelina wyrosła w otoczeniu tylko złudzeń, złudzeń, jakie utkał umysł z wrażeń pojawiających się i łączących cyklicznie, odległych teraz i niepewnych. Nie wiedziała, jak długo trwało, zanim uświadomiła sobie, że to samo stało się z jej poczuciem czasu, tą podstawową umiejętnością; że ono również było tylko iluzją, którą ktoś pozwolił jej hołubić, by mogła żyć, podejmować decyzje i przetrwać; że stała się podobna do zwierzęcia, złożonego, wspaniałego zwierzęcia stworzonego z tak wielu różnorodnych elementów.

Czas zwięził się i skurczył wewnątrz światła. Przestał mieć określony kierunek i wymiar. Umysł Angeliny uczył się nowego postrzegania, podobnie jak umysły jej przodków, którzy przed wiekami opuścili ten kraj, by za oceanem poszukać nowej ziemi, gnani zwykłym przeczuciem, pragnieniem, by szukać i poznawać. To było bardziej ludzkie i nadludzkie zarazem. Ale wcześniej, nawet jeżeli człowiek potrafił coś wyczuć i przekazać wrażenia własnych zmysłów, nie potrafił tego zrozumieć. Tak samo jak kot może leżeć na gazecie, a dziecko zjeść zapisaną kartkę, ale tylko wyszkolony umysł potrafi zrozumieć i pojąć wizualny sygnał, jakim są litery, i odczytać ich sens.

Proces uczenia, jaki toczył się w umyśle Angeliny, wielokrotnie przewyższał

poziomem trudności i komplikacji naukę czytania.

Usłyszała Chestera wołającego ją po imieniu; w głosie lalki brzmiał niepokój i strach, a gdy chwiejnie wsparła się na balustradzie balkonu, rozległ się paniczny krzyk. Miała ochotę wyjść, skoczyć - musi, musi, musi jechać do Paryża...

Angelina poczuła, że wpada w światło. A kiedy powróciła do rzeczywistości pełnej ostrych kształtów i wyrazistych konturów, straciła przytomność.

10 SIERPNIĄ 2115

DZIEWCZYNA, KTÓRA SPADŁA NA ZIEMIĘ

Szybki płomień opada na nas wijąc się i wirując a mnie jest niedobrze ale czuję dotyk na skórze, dotyk który wie co się dzieje a potem równie nagle znika. Błękit i błękit ale różne błękity - ciemniejszy odcień rośnie pod nami gdy spadamy, spadamy, spadamy a potem pomarańczowa czerwień zieleń i błękit płomienia, och barwy tańczące w ogniu i wtedy gram a muzyka popłynęła mi przez ręce choć tak ciężko było nimi poruszać.

Twarcz Io zwrócona do mnie zmieniła się w uśmiechniętą ale w oczach zabłysły łzy popłynęły po policzkach i spadły na mnie. Poczulał wilgoć jak deszcz jakbyśmy się znalazły w miejscu które moja mama nazywała dżunglą. Widziałam ją jak tańczyła i też płakała obejmując mnie mocno i mówiąc: och, dziecko obejmij mnie obejmij mnie mocno tak mocniej i mocniej i mocniej - aż myślałam że ją uduszę i zastanawiałam się dlaczego każe mi to robić. Myślałam o mamie jak o świetle czasem kulistym czasem cieniutkim jak nić, które przychodziło do mnie nocą i patrzyło. Nie tęsknię do niej ale opowiada mi rzeczy które chcę poznać.

Io wyrusza w drogę do domu. Chyba muszę iść z Io.

Cięgle jest przy mnie gdziekolwiek pójdę. Nie wiem dlaczego tak bardzo tego chcę. To prawie tak samo jak z muzyką. Muszę to robić. Muzyka jest wszędzie. Wokół mnie. Pojawia się z rzeczy które widzę. Myślę że na Ziemi muzyka będzie inna bo rzeczy które zobaczę też będą inne. Tata dbał abym spędzała trochę czasu ucząc się o Ziemi więc teraz coś o niej wiem. Ziemia jest wielkim budynkiem z kwiatami na dachu i ludźmi którzy - jak twierdził - nie rozumieją mnie. Nie będę jak ludzie z Harmonii nie mówią co myślą słysząc: co za wstyd dla

niej Hank jej muzyka jest tak piękna.

Błysk na niebie potem szybki ruch i uderzenie i jestem w niebie, a strąk płomieni spada ale gdy dotyka Ziemi rozpada się. To zaskakujące... Poda mną kłębi się biel i szybuję nad kłębami chmur. Świetna zabawa.

Może nawet się uśmiecham. Mama zawsze chciała żebym się śmiała. Często mnie prosiła żebym się uśmiechnęła.

- Mamo śmieję się - wołam ale nie słyszę własnego głosu. Lecę wysoko nad oceanem który jest taki błękitny przecięty tylko pasmami bieli niczym więcej. Widać niewielką krzywiznę horyzontu ale widnokrag szybko się prostuje.

To ciekawe tak spadać do wody i zastanawiać się co się zdarzy. Nie wiem jak sprawić by cokolwiek się stało. Wszystko jest rozświetlone i jasne razi mnie w oczy ale nagle jestem w błękitie głęboko tak niespodziewanie a wokół mnie widać ostrza światła falujące i marszczące się i nie mogę oddychać choć nie jestem w próżni.

Zaczynam poruszać rękami to pomaga coś pcha mnie do góry. Jestem coraz wyżej płuca mnie palą przebijam powierzchnię wody i łykam powietrze. Widzę mój spadochron leżący na falach i zmieniający się w łódź otacza mnie i unosi. Widzę jasne jasne niebo i krzyczę z bólu bo jasność uderza mnie w oczy i nawet gdy je zamknę światło robi się czerwone ale nie znika. Woda kołysze mnie otula i kołysze i jeszcze raz i znowu aż raz wciągam ją z oddechem i kaszlę. Coś mnie ścisza za ramiona okazuje się że to lina która przyciąga mnie do łodzi. Kołyszę się przy burcie. Barwy przepływają przez nią lśnią jasno a ja nadal jestem ciągnięta aż wreszcie leżę na dnie kadłuba. Unoszę się. To prawie niemożliwe.

Dno łodzi jest czyste. Formuje się żagiel i unosi w powietrze na rosnącym maszcie. Znam te rzeczy tata i mama mi pokazywali. Powiedzieli mi o wszystkim czym różni się Księżyc od Ziemi jakby przeczuwali że kiedyś tu przyleczę. Myślę o wiązaniach molekuł które umożliwiły mi tę podróż i o tym jak cząsteczki łączą się i układają ciasno w maszt podczas gdy cząsteczki żagla tworzą tylko kilka warstw. Żagiel łopocze na wietrze a potem się wypełnia i łódź skręca.

Zdejmuję skafander rozpinając go pod szyją zrzucam go i nareszcie mogę poruszać rękami i nogami. Leżę naga na dnie łodzi. Czuję słońce na skórze. Jest ciepło i dobre. Wiatr czuje się trochę tak jak lizanie kota. Obracam się i czolgam do burty chwytam ją i unoszę się. Fale uderzają w łódź. Nie wiem czy Io pamiętała o spadochronach dla moich kotów. A potem zastanawiam się gdzie jest Io. Wiem że powinniśmy być razem. Krzyczę:

- Io! Io!

9 SIERPNIĄ 2115

RADIOKOWBOJ W AUTOBUSIE

Gładki, metaliczny pojazd zatrzymał się przy Radiokowboju, który włókł się piaszczystym poboczem, nie zwracając uwagi na nic oprócz bolących stóp.

Rozejrzył się dopiero wtedy, gdy jego uwagę zwrócił klakson, cichnący na horyzoncie wśród pustynnego bezmiaru.

Pojazd był długi na trzydzieści stóp, aerodynamicznego kształtu, nie miał jednak żadnych widocznych okien, drzwi ani uchwytów. Na powierzchni odbijało się niebo i chmury, jak opalizujący, oleisty refleks.

Kowboj ruszył wzdłuż pojazdu, potem przeszedł na drugą stronę - nadal jednak nic nie zobaczył, w końcu, gdy stanął na środku drogi i otarł twarz chustą, tuż obok gładka powierzchnia pociemniała i znikła, tworząc niewielki otwór. Chłodne, orzeźwiające powietrze, jakie stamtąd napłynęło, owiało twarz mężczyzny.

Zajrzył do środka. Ujrzał dziewczynkę z prostymi, ciemnymi włosami, przyciętymi tuż przy uszach. Skórę miała porcelanowogładką i jasną, tylko na policzkach widać było delikatny, różowy cień. Jej oczy były lekko skośne, co przywiodło go do wniosku, że musiała mieć azjatyckich przodków. Wydawało mu się, że może mieć około dziesięciu, jedenastu lat, ale nie był pewien.

- Dokąd się wybierasz, Kowboju? - Splunęła czymś brązowym tuż pod buty Radiokowboja.

- Na zachód. Hm... Myślę, że do Houston. Nie! Znaczą, po prostu na zachód!

- Wskakuj.

Otwór za dziewczynką rozszerzył się w owalne przejście. Chłodne powietrze, które z niego popłynęło, było dla Kowboja jak preludium rajskich rozkoszy. Opadł na kolana i wczuł się do pojazdu.

Wewnątrz był inny świat: chłodny, niemal mglisty. Na podłodze leżały bambusowe maty. Uniósł zasłonę i zobaczył sadzonki fasoli w przezroczystych doniczkach, ustawionych

w trzech równych rzędach, jeden za drugim. Zwrócone były ku światłu padającemu z dużego okna, niewidocznego z zewnątrz. Kowbojowi zdawało się, że usłyszał krótki, przenikliwy krzyk dziecka, ale była to tylko muzyka. Bębny uderzały w powolnym, basowym rytmie, z którym splatały się skoczne tony fletów. Sadzonki zraszała bulgocząca fontanna.

Dalej wisiała kolejna zasłona.

- Uważaj na nogi - powiedziała dziewczynka. - Ruszamy, Bessie!

Radiokowbojem szarpnęło, gdy pojazd przyśpieszał. Pnącza orchidei zwisające z sufitu kołysały się lekko i rosily powietrze wilgocią. Mężczyzna opadł na kolana i przysunął się do płaskiej platformy obok fotela dziewczynki. Mógł stąd zauważyć, że wskazówka prędkościomierza zbliża się do 110 mil.

- Nie śpieszysz się za bardzo, prawda? Wolę, jak nic nie dzieje się za szybko. - Żuła jakąś brązową bryłkę, chyba tytoń, i spluwała do zagłębienia po prawej stronie kierownicy. Zagłębienie natychmiast wchłaniało grudkę i wyrzucało ją na zewnątrz z cichym *szuu!*

- No nie... - mruknął Kowboj, a widoczne za oknami skały i zakurzona wstęga drogi zaczęły się rozmywać, gdy pojazd nabierał szybkości.

Dziewczynka miała wąski tors bez biustu, ubrana była w jasnoniebieskie getry do kolan i koszulkę. Siedziała na wyższej platformie, w pozycji pełnego lotosu. Prowadziła nieuważnie, niedbale trzymając rękę na kierownicy. Zerkała na Radiokowboja spod długich, ciemnych rzęs.

- Po co jedziesz do Houston, Kowboju?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam. - Ku jego zaskoczeniu była to zdumiewająca i absolutna prawda.

- Chcesz wejść do miasta?

- Hmm... Nie - odpowiedział z większym przekonaniem. - Nie. No właśnie. Jadę do Centrum Kosmicznego.

Z wyraźnym niedowierzaniem dziewczynka spoglądała na niego tak długo, że aż krzyknął:

- Uważaj! Zjedziesz z drogi!

- Niemożliwe. - Zdjęła ręce z kierownicy i oparła na kolanach. - Ustawiłam cel. Bessie będzie uważać, czy wszystko w porządku, a w razie czego zaalarmuje mnie. Jeśli będę spać albo coś, sama podejmie decyzję. - Odsunęła się i poklepała kierownicę, a melodia fletów przez kilka sekund rozbrzmiewała głośnie.

- Ile masz lat? - rzucił Radiokowboj. - To znaczy...

- Och, nie wstydz się! - odpowiedziała wesoło. - Każdy pyta. Mam siedemdziesiąt dwa

lata. - Obserwowała reakcję Kowboja, więc tylko patrzył. - Właśnie. - w jej głosie dało się wyczuć lekką gorycz.

- Wyglądasz... naprawdę dobrze jak na swój wiek - odparł uprzejmie. Jej uśmiech był nieco ponury.

- Owszem. Tak właśnie jest. Przesuń się - właśnie tu. Bessie, fotel dla pasażera, rozmiar dla dorosłych, proszę.

Powierzchnia pod Kowbojem poruszyła się i zaczęła formować, z trudem utrzymywał równowagę, gdy siedzenie się wybrzuszyło, a za jego plecami rosło oparcie. Wreszcie siedział i mógł wyprostować nogi, choć nie do końca, zauważył z lekkim rozczarowaniem, bo najwyraźniej rozmiar fotela nie był przystosowany do prawdziwych kowbojów, lecz do kogoś o wiele niższego, o krótszych nogach.

- Dokąd jedziesz?

- Na rodeo. Aby wypić niesmaczny napój z zimnego pucharu goryczy.

- *Ranger's Command* - powiedział nagle i dziewczyna rzuciła mu pełne uznania spojrzenie.

- Brawo, Kowboju.

Nie miał pojęcia, czy ta piosenka jest w jego broni.

- Dokąd teraz?

- Do Yumy.

- Och. - Radiokowboj zamilkł na chwilę, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie odpowiednią mapę. - Czy... hm... Houston jest po drodze? - Ostatnio był tak piekielnie rozkojarzony... potrząsnął głową jak pies odganiający natrętną muchę, chciał pozbyć się mgły przesłaniającej posiadane informacje i tej obcej, dzikiej osoby, w której był zamknięty jak w kopercie. Radiokowboj chciał iść na zachód, to pewne. Czuł głębokie wzruszenie na samo brzmienie tego słowa. Zachód. Tuscon. Phoenix. Sedona. *Sedona jest z jakiegoś powodu ważna...*

Dziewczyna spojrzała na Kowboja i roześmiała się.

- Nie, drogi panie, nie jest po drodze. Prawdę mówiąc, jesteś teraz prawie dwieście mil na północ i sto mil na zachód od Houston. Trzeba było wcześniej skręcić na południe. Ale możemy tamtędy wracać.

Kowboj zastanawiał się przez chwilę, po co właściwie ma jechać do Houston, po co ten pośpiech, w autobusie było tak chłodno i przyjemnie. A przy tej prędkości dotrze do celu naprawdę szybko, nawet gdyby miał najpierw pojechać do Los Angeles i wrócić. Chociaż wędrówka... To może być całkiem przyjemne...

Tak! Prawdziwa wędrownka! I postój na rodeo! Wziąć byka za rogi, dosiąść go, chwycić uprząż, poczuć, jak byk pręży się i wypuszczony z zagrody skacze i pędzi po arenie! Wygrać pieniądze, prawdziwe pieniądze, kupić używanego cadillaca eldorado, pojechać z Millie, która sporo pije, do Las Vegas, obudzić się w areszcie, dowiedzieć, że Millie odeszła...

Lekki powiew z tyłu przyciągnął jego uwagę. Dwie głowy wychyliły się zza zasłony.

- Kto to jest? - padło pytanie.

Radiokowboj odwrócił się i spojrział.

Dwóch chłopców, identycznych, najwyraźniej bliźniacy.

- To tylko kowboj - odpowiedziała dziewczyna. - Łapał okazję.

- Nie mogę jechać aż do Yumy - odezwał się Kowboj z pewnością siebie i prawdziwie, jak miał nadzieję, kowbojskim autorytetem. - Muszę jechać do Houston. Może lepiej wysadź mnie tutaj. Poradzę sobie jakoś.

Wtedy pojawiło się więcej dziecięcych twarzy. Wszystkie się śmiały.

*

Kilka godzin później Kowboj bezskutecznie szukał sposobu na opuszczenie autobusu. Rozważał wiele możliwości. Najpierw myślał o załatwieniu dziewczyny i bliźniaków, jak przystało na kowboja, choć raczej zdesperowanego kowboja z niektórych westernów, ale odrzucił tę opcję. Wyciągnięcie broni byłoby aktem niewyobrażalnej przemocy, mimo że pistolety wystrzeliwały muzykę, nie kule. Na dodatek pojawiło się więcej przeciwników. A Radiokowboj nie wiedział dokładnie, ilu ich jest - dziesięciu, dwunastu? Dzieci. Wychodziły, odsuwając zasłonę z tyłu pojazdu. Próbował do nich mówić, ale tylko się śmiały i podsuwały mu kulki lodów, zapewne z kuchni, i pytały, czy chce do nich polewy czekoladowej. Znow usłyszał wyraźny płacz dziecka.

- Czyje to dziecko? - spytał, ale odpowiedzią były tylko zdziwione spojrzenia i histeryczny chichot.

Dziewczynka miała na imię Carla. Chłopcy - Jesse i Ted. Pochodzili z nadbrzeżnej wietnamskiej wioski. Ich rodzice odnieśli spory sukces w interesach i kiedy nadeszła Druga Fala, wzięli się za płodzenie drugiej fali dzieci, by uczcić początek ery długowieczności.

Ale z tymi dziećmi coś było nie tak. Coś nie tak było ze wszystkimi dziećmi, które Radiokowboj spotkał w autobusie.

- To było w wodzie - wyjaśniła Carla, siedząc w pozycji lotosu przy kierownicy i nie zwracając uwagi na to, że widok małych pasażerów budzi w mężczyźnie mdłości i obrzydzenie... i, prawdę mówiąc, strach przed zarażeniem. - Spłynęliśmy z Nowego Genesis. Znasz tę korporację nanobiotechnologiczną?

Kowboj skinał głową.

- Właśnie. Zajmowano się tam długowiecznością. Mam wrażenie, że długowieczność oznacza, iż nastąpić może przeludnienie. To jeden z problemów.

Radiokowboj wciągnął głęboko chłodne, wilgotne i cudowne powietrze, a potem powoli je wypuścił.

- Och...

Za oknami pojazdu widać było zachodzące słońce.

Dzieci zbiły się w gromadkę, a potem rozbiegły z radosnym krzykiem, ciągnąc się za włosy, udając, że walczą - wszystko przy wtórze śmiechu do utraty tchu, który brzmiał niemal histerycznie. Kowboj policzył, że jest ich dziewięcioro.

W blasku zachodu dzieci skakały i tańczyły, wyśmiewały się i poszturchiwały z krzykiem, który przypominał Peabody'emu, nadal pogrążonemu we mgle półświadomości, wrzaski mew przy jego wieży w Mieście Półksiężycy. Ptaki również grupowały się i rozpraszały, pikowały jak zwrotne samoloty, odlatując tak daleko, że wydawały się zaledwie punkcikami na tle oceanu, potem powracały wzbijając się wysoko, aż zapierało dech, aż wreszcie lądowały na plaży. Jedno z dzieci upadło i Peabody zauważył krew, lecz maluch zatrzymał się tylko na chwilę - rana na kolanie zagoiła się bez śladu w kilka sekund. Inny dzieciak zniknął za zasłoną i przyniósł niemowlę. Próbował je - dziewczynkę lub chłopczyka - posadzić na jednym z siedzeń. Inżynier nie wiedział nic o niemowlakach.

- Ile ma lat? Chłopiec czy...

- Dziewczynka - odpowiedziała Carla. Ich spojrzenia się skrzyżowały. - Ma... Trudno powiedzieć, jeszcze trudniej wyjaśnić. Zbierajcie się, zaraz będzie kolacja! - krzyknęła nagle do dzieci. Mknęli jak po autostradzie, w oddali ciemniała pustynia i brązowiwały góry.

Dzieci wyciągnęły z kuchni kawałki cukinii i patyczki, na które nadziane były małe pomidory i kawałki tofu. Gdy słońce znikło zupełnie za horyzontem, Carla rozpała grill i gromadka szybko upiekła warzywa.

- Wsuwaj - powiedziała do Kowboja Carla.

Dzieci usiadły na poduszkach lub kocach rozrzuconych wzdłuż pojazdu. Siedząca nieopodal dziewczynka wyciągnęła rękę, na której świeciły delikatnie linie i kropki. Chłopiec naprzeciwko zerknął na nią.

- Och, zamknij się! - warknął, a dziewczynka uśmiechnęła się psotnie. Potem wrzuciła ramionami i przeniosła się w inne miejsce, a na jej skórze zapulsował nowy wzór.

Gdy zabłyśły gwiazdy, dzieci zaczęły śpiewać wysokimi, czystymi głosami w idealnej harmonii.

Zaśpiewały *Ranger's Command*. Potem *The Streets of Laredo*. Śpiewały to, co spychało Peabody'ego, oddzielało go od Kowboja. Wydało mu się podejrzanym, że wietnamskie dzieci znają te typowo amerykańskie, westernowe pieśni, lecz kiedy zapytał jedną z dziewczynek, przyznała, że nie rozumie słów.

- Nasza babcia nam śpiewała - wyjaśniła. Potem gromadka puściła w obieg butelkę napelnioną przezroczystym płynem, który palił przełyk jak ogień.

Wreszcie dzieci pozbierały poduszki i koce i zanosły na tył, gdzie miały posłania. Nikt nie wydawał poleceń, właściwie nikt nic nie powiedział. Radiokowboj uciszył się, a Peabody, oddychając głęboko w poczuciu wolności, obserwował świetlne punkty pulsujące na skórze starszych dzieci, wracających na tył pojazdu. Jeszcze przed chwilą wypełniony hałasem i harmiderem autobus teraz pogrążył się w mroku i ciszy.

Pozostawiony sam sobie Peabody leżał na kocu, który dostał od jednego z dzieci, i obserwował gwiazdy. Przyglądał się im długi czas, myśląc o dzieciach, o utraconej przez nie tożsamości. Ale czym się martwił? Przecież wyglądały na szczęśliwe. Po prostu pozostaną takie przez całe życie.

Na dodatek, czy dojrzałość jest czymś, co powinny przejść jak świnkę lub ospę wietrzną, czymś specjalnym? Czy niepokój i ból, które odczuwał za każdym razem, gdy Radiokowboj go opuszczał, były czymś pożądanym?

Peabody owinał się kocem i wstał.

Przeszedł wzdłuż pojazdu. Okna były otwarte i słyszał oddechy dzieci, ich westchnienia we śnie, i wyobraził sobie, jak leżą z czarnymi włosami rozrzuconymi na poduszkach.

Potem przeszedł przez przedział pasażerski i chwilę się zastanawiał. Wreszcie wyszeptał:

- Bessie, chcę mój plecak.

W podłodze przy podwoziu otworzył się schowek. Peabody sięgnął do środka i wyjął bagaż. Otwór się zatrzasnął.

Peabody wrócił na posłanie, wyjął radiokamienie i rozrzucił dookoła. Potoczyły się z cichym stukotem, ale jedyny sygnał, jaki usłyszał, to niewyraźny syk. Tylko zakłócenia, w końcu powrócił do białego kamienia - na jego powierzchni pojawił się cieniutki zarys liter nazwy stacji nadawczej. RADIO-T.

Inżynier obrócił radiokamień i w słuchawkach popłynęły amerykańskie przeboje. Dźwięk rwał się i zanikał, najwyraźniej sygnał dochodził z daleka i na wąskim paśmie.

Ponad piosenki przebił się niski, stłumiony dźwięk, jak ryk wiatru - dobiegał ze

wschodu i stawał się coraz głośniejszy, a w ciemności zabłyśła para białych świateł.

Peabody poderwał się i podbiegł za nim, ale drugi pojazd przejechał i w oddali zamajaczyły jedynie tylne czerwone światła niknące na zachodzie.

Powiedział sobie, że wszystko w porządku. Może pojechać na wschód.

Wrócił i usiadł obok radiokamieni, przyrzekając sobie, że pozostanie czujny, ale kamienie leżały cicho w chłodnym, rześkim powietrzu nocy. Do świtu nie pojawił się żaden inny pojazd.

A kiedy dzieci się obudziły, powrócił również Kowboj, a Kowboj chciał, wręcz musiał, pojechać na rodeo.

Na śniadanie zjadł płatki zbożowe, które przyniosła mu Donja, jedna z dziewczynek. Powiedziała, że zabrali je z jakiegoś magazynu w Montanie.

- Montana! Tam jest pięknie! Wiele dałbym, aby wrócić do Krainy Lśniących Gór i Wielkiego Nieba. Pewnie podróżujecie, gdzie macie ochotę?

- Niezupełnie - odpowiedziała dziewczynka nieco markotnie. - Mamy... obowiązek...

Carla spojrzała w ich stronę i zawołała krótko:

- Donja, rusz się, masz robotę!

Donja podniosła na Kowboja zatroskane oczy, po czym poszła na tył autobusu. Mężczyzna zastanowił się nad swoją sytuacją.

- Słuchaj - zwrócił się do Carli, najwyraźniej będącej szefem. - Nie muszę siedzieć na przednim siedzeniu. Może któreś z dzieci woli...

Carla rzuciła mu krótkie, beznamiętne spojrzenie.

- Wierz mi, oni wszyscy mieli mnóstwo czasu, żeby posiedzieć z przodu. - Jej słowa brzmiały ochryple i cicho, jakby brakowało jej powietrza. Albo jakby była bardzo zła i jednocześnie zrezygnowana.

Późnym popołudniem Donja wychyliła się nagle zza zasłony.

- Carla, Carla! Stój! To mała!

- No, jasne - mruknęła z goryczą szefowa. Nie wydała Bessie żadnego rozkazu.

- Mogę pomóc? - wtrącił się Radiokowboj, ale bez przekonania, ponieważ o dzieciach nie miał najmniejszego pojęcia.

- Nie sądzę - zaczęła Carla, ale Donja zaszlochała histerycznie.

- Chodź tu! Chyba zaraz się przekreśli! Nie wiem, co robić! Carla?!

- Miej na niego oko - rozkazała Carla, więc oczywiście Kowboj musiał pójść z nią do Donji.

Z tyłu autobusu znajdowało się przytulnie urządzone miejsce z fotelami i posłaniami.

Dzieciaki skupiły się wokół jęczącego niemowlęcia. Kowboj pomyślał, że ten dźwięk może doprowadzić do szaleństwa.

- Co to znaczy, że się przekręci? - zapytał Donję.

Dziewczynka zerknęła na niego szybko. Wyglądała na znacznie młodszą od Carli. Góra pięć lat.

- To, co znaczy - odpowiedziała pociągając nosem. - Tak się mówi... - Zamilkła na chwilę, histeria jej minęła i Donja sprawiała teraz wrażenie zdziwionej. Nagle osunęła się na podłogę i ukryła twarz w dłoniach. Zaczęła się kołysać w przód i w tył, odtrącając Kowboja, gdy próbował poklepać ją po plecach.

- Patrzcie. - Cała gromadka westchnęła chóralnie.

Radiokowboj podszedł bliżej. Niemowlę zaczęło charczeć, a twarz mu coraz bardziej czerwieniała.

- Dajcie mi przejść! - odezwał się zaniepokojony.

Desperacko usiłował przypomnieć sobie starą, bardzo starą technikę resuscytacji, której uczył się dawno temu. Resuscytacja niemowląt. Ich płuca są bardzo małe. Ich ciała kruche i delikatne. Kowboj podniósł duszącą się dziewczynkę. Dyszała i wyginała się, walcząc o oddech.

- Nic nie można zrobić - powiedział jeden z bliźniaków beznamiętnie. - Teraz się przekręci.

I rzeczywiście, kiedy Kowboj przyglądał się bezradnie, niemowlę przestało oddychać.

Przyłożył usta do malutkich warg dziecka, zacisnął palce na małym nosku i delikatnie wdmuchał powietrze. Zaczął liczyć. Przypomniawszy sobie. Dmuchał i liczył, liczył i dmuchał, w trakcie akcji sztucznego oddychania poczuł, że autobus zwalnia, ale nie przerywał, aż podeszła Carla i odebrała mu niemowlę.

- Przekręciła się - powiedziała. - Nic nie można zrobić, do diabła. Myślisz, że nie próbowaliśmy?

Kowboj popatrzył na dziewczynę w oparach wilgotnej mgły unoszącej się w powietrzu.

- Przekręciła się? Ona umarła - powiedział.

- Przekręciła się - poprawił Ted. - Teraz jest nienarodzona.

- Myśleliśmy o zainstalowaniu sztucznej macicy w autobusie. - Głos Carli był odległy, nieobecny, w tylnej ścianie pojawił się otwór. Wszyscy wyszli po schodkach w zaskakująco chłodne powietrze. Znajdowali się u stóp gór. Kowboj ujrzał śnieg na wysokich turniach. Mżyło.

- Kiedyś wszyscy się przekręcimy - powiedział Jesse, idąc przez trawę sięgającą mu do pasa.

- Ale po co to przedłużać? - zapytał idący obok Ted, chłopiec o gładkiej, młodej twarzy i długich włosach zaplecionych w dwa warkoczyki. Rozplakał się i twarz mu się zmarszczyła i poczerwieniała. - Tak się boję! - wyszlochał, pociągając nosem.

Kowboj objął go i unióś w ramionach, Ted objął go nogami w pasie, ukrył twarz w ramieniu mężczyzny i rozplakał się znowu. Mężczyzna kilkoma długimi krokami dogonił Carlę. Dziewczyna niosła niemowlę na rękach, ostrożnie i troskliwie.

- Pójdziemy wzdłuż strumienia i zbudujemy platformę. Poszukajcie gałęzi. - rozkazała.

- Co takiego?

- Wzniesiemy platformę. To jak pogrzeb, tyle że oddamy duszę Becky Wielkiemu Duchowi. Będzie ofiarowana Wielkiemu Duchowi. - Znaleźli się nad powstałym podczas roztopów potokiem, który spływał z gór dzikimi meandrami i wił się wśród głazów. Kowboj poczuł napływ wspomnień. *Dakoci. Skały. Sedona...*

Dom. Prawdziwy, prawie zapomniany, dom. Pociemniało, gdy od gór przyplęły chmury.

Kowboj przyglądał się, jak dzieci zbierają gałęzie. Ted porzucił smutek, zsunął się na ziemię i przyłączył do reszty. Małe postacie znikwały wśród wielkich głazów, skakały po nich i zbierały srebrzyste, wygładzone przez wodę drewno, powyginane w groteskowo piękne kształty. Krople deszczu bębniły w kapelusz mężczyzny, zmoczyły mu ubranie i poczuł, że marznie. Zszedł nad strumień i znalazł niewielką łachę piasku na brzegu osłoniętą przez niskie sosny, których gęste gałęzie udzieliły mu schronienia.

Jedno po drugim dzieci znosiły zaskakujące kawałki drewna i przycinały pień wierzby, który miał posłużyć jako podstawa platformy. Ich głowy błyszcząły wilgocią, deszcz stawał się coraz bardziej ulewny. Platforma, którą budowały, nie była wysoka. Kowboj pomógł im mocować najwyższe elementy.

Niemowlę zostało owinięte w zieloną koszulę z czegoś, co gładkością przypominało jedwab. Ubranie było o wiele za duże nie tylko na malutką dziewczynkę, lecz na każde z pozostałych dzieci.

- Wejrzyj na Becky w tę godzinę, gdy się przekręciła - zaintonowała Carla czystym, słodkim głosem.

- *I wejrzyj na nas, kiedy i my się przekręcimy* - odpowiedziała reszta dzieci unisono.

- Zapewnij jej spokój w Wielkiej Pustce - śpiewała Carla.

- *I powiedź nas do królestwa Nieustannej i Wiecznej Teraźniejszości.*

- Której poszukujemy całym sercem naszym.
- *Chociaż słyszeliśmy o niej jedynie.*
- Pokaż nam drogę.
- *Powiedź nas w Teraźniejszość.*
- Powiedz nas w Teraźniejszość.
- *Gdzie będziemy żyć wiecznie w zmienności bezczasowych chwil.*

Przestali śpiewać. Wiatr się wzmagał. We wspomnieniach Kowboja coś narastało, jak ptak zrywający się do lotu.

Milczał, dzieląc z dziećmi chwilę ciszy. Wspominał czasy sprzed uzyskania długowieczności. Jego dawna kochanka wszczepiła mu przyśpieszone starzenie się jako akt pokręconej zemsty za filozoficzno-etyczną postawę i sprzeciw okazany przez Peabody'ego.

Jakby nie mogły istnieć różnice zdań.

Ale mogą.

I istnieją.

Proces starzenia, jak się okazało, można było zatrzymać, a nawet sprawić, by się cofał. Jakikolwiek zmiany biologiczne, nawet radiowy umysł Peabody'ego, którego istnienie wydawać by się mogło niemożliwe, nie były jednak regresem, lecz kolejnym stopniem rozwoju.

Krajobraz Dzikiego Zachodu dotknął duszy mężczyzny. Ciemne łańcuchy gór, kołyszące się sosny, ryk wiatru i zacinający, zimny deszcz.

Ona istnieje, ta pustka, do której wiedzie dzieciństwo i niezdolność do samodzielnego życia. Jeszcze jeden spadek po manipulacjach biologicznych, przekazany światu w minionym stuleciu. Być może manipulacje te sto lat temu miały jakiś cel. A może były ścieżką do celu.

Przemoczone i szczękające zębami dzieci odwróciły się równocześnie i ruszyły z powrotem do Bessie.

Radiokowboj nie podzielił się z nimi tym, co wie. Nie powiedział nic.

Ostatecznie to były tylko dzieci. Zresztą już wiedziały. I chyba, jak dzieci, za chwilę mogły wszystko zapomnieć.

A wiedza Peabody'ego była bardzo stara. Nagle zdał sobie sprawę, że znowu jest sobą. Przypuszczał, że to przez wstrząs lub zimno.

Carla zatrzymała się i popatrzyła w jego stronę. Przystanął również. Spojrzeli sobie w oczy przez kurtynę deszczu.

- Rozumiesz, prawda? Potrzebny nam ktoś, kto się nami zaopiekuje. Donja była dobra. Wsiadła nie tak dawno w Tehachapi. Ale u niej idzie to bardzo szybko. Mam nadzieję... Mam

nadzieję, że ty będziesz młodniał wolniej.

Peabody pochylił głowę.

- Słodkie powietrze z klimatyzacji.

Był prawie pewien, że na niego to nie działa. Jedyne miasto - pomyślał z goryczą - mogłoby pobudzić ciała tych dzieci tak, by wytworzyły obronę i zatrzymały proces odmłodzenia, zupełnie jak wtedy, gdy wtoczyło w Peabody'ego Radiokowboja.

- Boję się - powiedziała Carla - że wszyscy staniemy się bezradni w tym samym czasie. Becky miała opiekę, zanim się przekreśliła. My też tego potrzebujemy.

- Bez sensu teraz się tym martwić. Nie macie czasu - powiedział Kowboj ze smutkiem, który łagodził złość. Rozumiał aż nazbyt dobrze. - To proste. Jest takie miejsce...

- Wiem, że jest miejsce! - warknęła z gniewem. - Wielkie, dobre, potężne Miasto Półksiężycy! Opowiedz mi o nim! Czekam! Czekałam na tę upragnioną chwilę dwadzieścia pięć lat! Nie tak długo, jak może ci się wydawać. Naprawdę dziwne doświadczenie. Jakby moje ciało nadal pamiętało starość, a to, co czuję, za każdym razem pogłębiało mój obecny stan bardziej niż cokolwiek innego. Ale to nieważne. Miasto nie pozwoliło mi wejść. Wpisało mnie na listę oczekujących. Starania zajęły mi z rok, zanim zrozumiałam. Wiem, co by było dalej. Proces odmłodnienia postępowałby, ale ja miałabym nadzieję, że zdążę ocalić tę resztę, by miasto mogło im pomóc... w końcu się poddałam. Było już za późno. Kiedy wróciłam, zastałam tylko tę grupę. Większość się przekreśliła, gdy starałam się uzyskać pomoc. Czekaliśmy również pod Kopułą w Los Angeles, ale też nie udało się nam wejść.

- Och, a byliśmy tak szczęśliwi, gdy rozpoczęła się przemiana! Porzuciliśmy plany zaskarżenia korporacji - nie było sensu, skoro, jak mówiono, modyfikacja była legalna. Świątowaliśmy! Znowu stawaliśmy się młodzi! Zapominaliśmy o bólu i dolegliwościach. To było zanim zdaliśmy sobie sprawę, że nikt nie zadbał o to, by przemiana się zatrzymała. Zorientowałam się dzięki synowi. Miał czterdzieści lat, gdy zaczął młodnieć. - Zimny śmiech Carli doskonale pasował do tego zimnego, nieprzyjaznego otoczenia - gór, deszczu i wiatru.

- To wszystko, co nam pozostało. Wędrowanie, grillowanie, pikniki, rodeo i przekreślenie się na koniec. Tylko kolejne zakręty. Może teraz będziesz mógł nam pomóc. Może znajdziesz ratunek, zanim będzie dla ciebie za późno. Może nawet ocalisz kogoś z nas. Nie czuj do mnie zbyt wielkiej nienawiści. Robię to dla nich. Zrobisz to samo, gdy nadejdzie pora. A może nie.... Może - westchnęła. - Może ten proces pozbawił mnie zupełnie etyki. Myślę, że kiedyś ją miałam. - Odwróciła się i weszła do autobusu.

Peabody stał w deszczu jeszcze przez długą chwilę. Targały nim uderzenia zimnego wiatru, który przyginał wysokie trawy do jego stóp.

Wokół siebie widział barwy, jakby ujrzał je po raz pierwszy w życiu - rozmyte deszczem, głębokie i intensywne, w oddali zielone czubki sosen chwiały się u stóp gór, głębokie cienie wily się na równinie.

Nawet gdyby udało się ich zabrać do Miasta Półksiężycy - co wtedy? Wojna, piraci, ruiny, oblężenie. Przecież był na kontynencie z określonego powodu. Nie dlatego, że uciekł. Miał coś do zrobienia. Do odkrycia. Musiał spróbować znaleźć coś, co pozwoli pójść o krok dalej. Albo dokonać niewyobrażalnie wielkiego skoku naprzód. Aby przeciwstawić się ciemności.

Ciemności takiej jak ta.

Wskoczył w cień, który wypatrzył Kowboj, i czekał na okazję.

Przezołgał się w tył.

Jesteś dorosłym mężczyzną - powiedział sobie Peabody. - Pamiętaj o tym. Starym, dorosłym mężczyzną, z całkiem sporą wiedzą.

Powinien walczyć z tym zaimplantowanym mu Kowbojem.

Odjechać, tak. Wskoczyć na konia, pogalopować przed siebie, a potem stanąć i ruszyć pieszo w kierunku majaczącego na horyzoncie krajobrazu. Tej ziemi wypełnionej cierpieniem.

Albo wyhodować konia z zarodków, które miał, i pojechać, dokąd chce.

Ale gdzie jest Danya? Nagle do niej zatęsknił. To było jak mocne uderzenie wiatru. Jakie szaleństwo, jakie idiotyczne szaleństwo rozdzieliło Peabody'ego i Danyę! Po prostu zapomnieli, kim są i po co tu są.

Co teraz?

W świadomości znowu dominuje Kowboj. Chce iść do Los Angeles. Tam właśnie odszedł radioastronom. Człowiek, który pracował nad Jednolitą Teorią Wszystkiego. Być może jedyny, który jeszcze się zajmował nauką. Peabody powinien wiedzieć, jak myślą naukowcy. Ale tylko przeklął Zeba, że opuszcza Miasto Półksiężycy. To było wiele lat temu. A Zeb wierzył jedynie, że Teoria Wszystkiego jest czymś, co przekracza ludzkie poznanie czy zrozumienie. Więc udał się do miejsca, które było postludzkie. Do Kopuły.

To dawało Peabody'emu szansę na odnalezienie Zeba, Może. A potem - odzyskanie koordynat źródła Sygnału. Tak, Peabody zabierze tę bandę dzieci do Centrum Kosmicznego, z centrum wydobędzie kluczowe dane, jakie zarejestrowano, gdy na Ziemię po raz pierwszy dotarł Sygnał i obudził Ciszę oraz nawigacyjne koordynaty źródła Sygnału. Potem wszyscy pojedą do Miasta Półksiężycy. Do - właściwie nie wiadomo do jakiego miasta. Bo miasto było w trakcie procesu, w trakcie przemiany. I odliczanie do startu już trwało. A Peabody musiał wrócić i dostarczyć współrzędne.

Nie - powiedział do siebie. - Bądź uczciwy.

Tylko on mógł wrócić do miasta, bo tylko on stamtąd wyszedł. I tak w końcu zrobi to, do czego się urodził. Do czego został zaprogramowany. To brzmiało paskudnie. Ale było szczerą prawdą.

Czy ludzie po opuszczeniu Ziemi będą lepsi, czy nie, to inna historia. Ale istniała możliwość, by pójść krok dalej w rozwoju ludzkości. Było jakieś jutro. I dlatego właśnie należało ten krok uczynić. Nie tylko Peabody: wszyscy musieli to zrobić. Ryk wiatru wśród drzew i zacinający deszcz rozmywający kontury krajobrazu. I czegoś jeszcze. Mężczyzna spojrzął za siebie, na autobus pełen młodniejących dzieci.

Tak czy inaczej, oni też grali po stronie Miasta Półksiężycy.

Trzęsąc się z zimna, wstał i ruszył po skalistym gruncie w kierunku Bessie obmywanej przez deszcz.

Ra i Zeb

Deszcz spływał po szybach vana. Zeb prowadził samochód górkami, opustoszałymi drogami.

- Jaka piękna muzyka przypadkowych tonów - zachwycała się Ra, rozparta na przednim fotelu. - Tak wiele dźwięków z różnych źródeł i żaden nie wytworzony przez ludzi. No, może z wyjątkiem vana. Zmiana biegów. Szum kół na jezdni. Interwały i częstotliwości. I te kolory! Takie zmienne i różnorodne. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek wcześniej myślała o kolorach... Zanim weszliśmy do Kopuły. Ale teraz! Cóż za harmonia odcieni, od złotej ochry po zielen sosen. I te kłębiące się nisko szare chmury. Jestem taka szczęśliwa!

- Ja także - odparł Zeb ze spokojnym uśmiechem.

- Zeb?

- Tak?

- Dlaczego znowu tu jesteśmy? To... trochę krępujące, ale nie pamiętam za dobrze pobytu wewnątrz Kopuły. Pamiętam, że przyrzekliśmy sobie, iż jeśli i kiedy zdecydujemy się wyjść, powiększymy sobie nasze zdolności synaptyczne.

Zeb zaczesał długie, siwe włosy za uszy, metodycznie i ostrożnie, przez cały czas trzymając rękę na kierownicy.

- Jestem pewien, że nigdy nie zpuściłem tak długich włosów.

- Były takie długie, kiedy cię spotkałam. Kiedy włączyłeś się po schroniskach w Waszyngtonie.

- Och, rozumiem. Nie pamiętam tego. W większości. Ale wyszliśmy, bo Kopuła odebrała sygnał. To była specjalna, zaplanowana transmisja, stworzona jeszcze zanim weszliśmy do Kopuły. Ponieważ, choć chcieliśmy poznać ją od wewnątrz, bałem się, że zostaniemy tam odcięci na zawsze od świata. Kiedy teraz o tym myślę, sądzę, że w ogóle powinienem był zaplanować coś, co nie byłoby uzależnione od jakichkolwiek okoliczności. Ta transmisja mogłaby nigdy nie zostać nadana i gdyby tak się stało, nigdy nie wyszlibyśmy z Kopuły. - Zeb zamilkł na chwilę. Potem dodał: - Wiesz, przypomniałem sobie... Wcześniej zdarzyła się jakaś katastrofa z radiem. Coś naprawdę dużego. Naprawdę muszę o tym pomyśleć, przypomnieć sobie. Zdaje się, że mam odpowiednie możliwości.... Umiejętność myślenia o rzeczach, o jakich wcześniej nie miałem pojęcia. - popatrzył na Ra. w jej oczach krył się niepokój.

- Kto wysłał ten sygnał?

- Ktoś, kogo spotkałem wracając do Nowego Orleanu. Pamiętasz nasz pobyt w Mieście Półksiężycy? To był Peabody. Jason Peabody. Kiedy zdecydowaliśmy się wyjechać z miasta, on i ja przygotowaliśmy takie wyjście awaryjne. Gdyby cokolwiek naruszyło *status quo*, gdyby coś się zmieniło na świecie, chcieliśmy mieć możliwość kontaktu. Chodziło, oczywiście, o Sygnał albo jego następstwa. Uznaliśmy, że najlepiej będzie nadać naszą transmisję razem z prawdziwym Sygnałem, podczepić ją. I ja rozpoznałem ten dodatkowy przekaz.

- Ach, zatem transmisja była zakamuflowana.

- Zgadza się - uśmiechnął się Zeb.

- Gdyby coś się zmieniło, miała ci powiedzieć: „Już czas”.

- Właśnie.

- Skąd miałeś pewność, że się uda?

- Kiedy wchodziłem do Kopuły, miałem wpisany w geny rodzaj programu, którego nie można nigdy zmienić lub usunąć. To nie było łatwe. Musiałem go przeszmułować. Musiał wyglądać jak inne kody. Coś naturalnego, jak na przykład kolor moich oczu. Nie chciałem, aby ktokolwiek się zorientował, co to jest. Filozofia mieszkańców Kopuły sprowadza się do niezmienności, żadnej ewolucji, żadnych mutacji...

- Żadnych wspomnień - zamyśliła się Ra, nadal zapatrzona w ciemniejący krajobraz. - Myślę, że wszyscy w Kopule zapomnieli, kim byli i skąd pochodzą. Nawet gdy udawaliśmy,

że mamy ciała, nic nie było solidne i pewne. Chciałam pojąć, co to oznacza, ale cieszę się, że wyszliśmy na zewnątrz. Jak myślisz, ile czasu spędziliśmy w środku?

- Pięćdziesiąt lat.

- Pięćdziesiąt?! - Ra zerknęła na Zeba. - Nie.

- Tak.

- Ale przeszły, ot tak... Jak sen.

- Nie wtedy, gdy byliśmy wewnątrz Kopuły.

- Czy ja wiem... - Ra zamilkła na dłużej. Później zapytała:

- Po co to wszystko? Hedonizm?

- Poszukiwanie granic człowieczeństwa? - podsunął Zeb.

- Wiem, że skomponowałam tam parę niezłych kawałków.

- Bardzo niezłych.

- Nie pamiętam ich zbyt dobrze. - Jej głos zabrzmiał posepnie. Wróciła do spoglądania za okno. Zeb objął ją ramieniem i poklepał.

- Ja pamiętam - powiedział łagodnie. - Mogę ci je zapisać.

Roześmiała się i odwróciła w jego stronę.

- Ty!

- Oczywiście - stwierdził z powagą. - Każdy wydaje mi się bardzo wyraźnym równaniem. Niektórzy są układami równań. Kiedy słucham twoich kompozycji, Ra, w umyśle pojawiają mi się liczby i symbole. To jest niebiańskie. To jak powrót do dzieciństwa albo do doskonałości.

Kobieta kiwnęła w stronę okna.

- W tej chwili słychać tylko coś jakby tupanie ciężkiego stworzenia po dachu vana.

- Grad - powiedział mężczyzna. Silny wiatr uderzył od strony doliny jak dzika bestia i szarpnął samochodem.

- Och! - westchnęła Ra. - Widzisz coś?

- Niewiele. Słaba widoczność - przyznał Zeb. - Ale przypuszczam, że już niedługo dotrzemy na szczyt. Może gdy przejedziemy na drugą stronę góry, będzie trochę spokojniej.

Nagle droga pobiegła płasko. Świat się uciszył. Ra wyciągnęła ramię w kierunku snopów przednich świateł.

- A co to jest?

- A niech mnie, to śnieg! - odpowiedział.

- Co się znajduje po drugiej stronie gór?

- Nie dali nam mapy?

Ra przeszukała deskę rozdzielczą, dotykając jej dłonią.

- Te światła niewiele dają... albo słabo świecą, albo są zabrudzone... Mam! - Wcisnęła guzik.

- Tu pomoc - odezwał się metaliczny, zdecydowany głos.

- Gdzie jesteśmy?

- A niby skąd mam wiedzieć, do diabła?

- Proszę?

- Od ponad stu lat nie istnieje system GPS, proszę pani. Życzy pani sobie, żebym go teraz wyprodukował?

- Cóż, niekoniecznie...

- Więc proszę mi nie zawracać głowy. Mam robotę. Myśli pani, że jest tu jedyną formą inteligencji? Przeklęte opony są zupełnie łyse i muszę zdecydować, jak je ulepszyć, a kiedy już zdecyduję, trzeba jeszcze się zastanowić, skąd wziąć na to molekuly. Może z dachu? He? I to jest właśnie to, co dumny pojazd musi zrobić. Jak pani widzi, nie wyrwała mnie pani z przyjemnej drzemki. Nie miałem gorszej roboty, odkąd ci dumni neohipisi sprzedali mnie, żeby opłacić wejście do Kopyły. Nie umiem powiedzieć, jak mi miło, że teraz pani uważa, iż mam coś poradzić w sytuacji, na którą nie mam żadnego wpływu.

Zeb i Ra popatrzyli na siebie i parsknęli śmiechem.

- Przepraszam - powiedziała wreszcie kobieta.

- Nic nie szkodzi - odpowiedział głos gderliwie. Przed pojazdem pojawił się pokierszowany drogowskaz.

- Co tam jest napisane? - zapytała Ra, pochylając się do przodu. - Stój, muszę wyjść, żeby przeczytać.

Zeb zahamował i powoli cofnął się do znaku, ustawiając samochód tak, by przednie światła dobrze oświetliły drogowskaz.

- Y... U... M? - zdziwiła się kobieta, unosząc brwi. Otworzyła drzwi i do wnętrza wtargnął zimny wiatr. - Może niedaleko jest restauracja?

- Yuma! - wtrącił się van. - Zamknij drzwi. Już wiem. Nie trzeba mi więcej danych, świetnie. Jesteśmy na Kalifornijskiej Drodze Stanowej, to jest znak nr 4782. Znaki wysyłają słaby sygnał radiowy - jeżeli działają. Ten mówi: „Yuma, sześćdziesiąt dwie mile”. Następny to: „Uwaga! Silny wiatr i opady na odcinku dziesięciu mil!”. Idioci-hipisi jeździli tędy do Arizony, by sprzedawać słodczyce z kozim mlekiem na przydrożnych stoiskach i kramach. I podrywać dziewczyny. Ilu ludzi chce słodczyce robione na kozim mleku? Miałem kiedyś marzenie. Nie myślicie chyba, że chciałem zostać w tym mercedesie? Ale makler giełdowy

nie był zbyt bystry, jak mi się zdaje. Jechał na jakieś spotkanie i walnął nas, spychając na pobocze. Cholerni hipisi zaciągnęli mnie na podwórze i połatali jakimś złodem. Najmądrzejszy samochód, jaki wyprodukowano w tamtym czasie, i jeden z najdroższych! Czterdzieści osiem godzin zajęło mi zorientowanie się, co to za graty mi dolutowali. Każdą częsteczkę sprawdziłem. Mogłem im pomóc. Ale nie chcieli tego, co miałem do zaoferowania. Nie chcieli aerodynamicznej karoserii. „Zrób, żebyśmy mogli używać koziego gówna jako paliwa”. Kozie gówno! Co mogłem zrobić? Ich życzenia były dla mnie rozkazem. Chcieli żyć, jak ich przodkowie, w brudzie, chorobach i bezwładzie. Jedyne, co chcieli mieć, to przeboje z epoki LSD i dzieci-kwiatów oraz stereo do ich odtwarzania, wielkie, że trudno sobie wyobrazić. „Sł-u-ucham tylko wiatru, wiatru w mojej duszy”. Wiatr w duszy?! Co to niby ma znaczyć? Hej...

Ra zatrzasnęła drzwi i uderzyła w przycisk, który aktywował głos.

- Właśnie!

Zeb przyśpieszył. Samochód toczył się niezbyt szybko w śniegu. Ra uklękła i obróciła się na fotelu, znalazła jakieś pudełko przekąsek i uniosła wyżej, by przyjrzeć się im w poświacie z reflektorów.

- Zamrożone i liofilizowane umi. Chce ktoś?

- To żyjątka morskie - odezwał się van. - Mam tego tylko trzy paczki. Dobre. Powinnaś spróbować. Myślałaś, że tak łatwo mnie wyłączyć? Mam obwód awaryjny. A na dodatek wiem coś, o czym i wy powinniście wiedzieć. O tym, co się zdarzyło. Mam zadanie, ludzie. Mam was zawieźć tam, gdzie trzeba. Czyli do... jak wy to nazywacie? - Zamilkł na ułamek sekundy. - Miasta Półksiężycy.

- Skąd wiesz, że tam jedziemy?

- Wiem tylko, że mam was tam zabrać.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o czymś, co się zdarzyło?

- No, cóż... Wiem jedynie, że to jest niebezpieczny, pokręcony świat. Mówię ci, lepiej zostawcie to mnie. Odpocznijcie. Znam tu każdy wybój, każdą dziurę. Albo znałem. Po co się męczyć? Ta burza jest straszna. Lepiej się zatrzymać i przeczekać.

- Pomyślimy o tym - odpowiedział Zeb.

*

Zjechali z gór i przespali się w vanie. A raczej próbowali, bo samochód gadał jak nakręcony, nawet wtedy, gdy wyłączyli światła i silnik. Wysiedli z pojazdu na promie, gdy przeprawiali się przez Kolorado. Znaleźli się na skraju obozowiska.

- Co to jest? - zapytała Ra.

- Wiesz tyle samo co ja - mruknął Zeb. - Na pewno musimy uzupełnić zapas wody. Mamy jakieś pojemniki w bagażniku?

Otworzyli tylną klapę i po paru minutach przeszukiwania bagażu znaleźli pojemniki.

- Tu jest napisane, że są antybakteryjne - oznajmiła Ra, mrużąc oczy w jasnym słońcu wczesnego popołudnia. Zwróciła się do jednego z przechodniów.

- Jest tu gdzieś woda pitna?

- Tam. - Mężczyzna wskazał cienkie pasmo srebra, odległe o niewiele więcej niż sto jardów.

Zeb i Ra ujrzeli wszystkie rodzaje samochodów i przyczep, zaparkowane w nierównych rzędach z wąskimi przejściami pomiędzy pojazdami. Gdzieś widać było jasne dachy namiotów. Zapach nawozu unosił się w suchym powietrzu.

- Toalety i prysznice tam - wskazała Ra. - Dziesięć dolców za natrysk.

- Rabusie.

Zeszli z drogi i stanęli nad wodą. Rzeka Kolorado, nieco dalej na zachód, była szeroka i rwąca, upstrzona punktami łodzi mieszkalnych zacumowanych w kanałach oddzielonych od głównego koryta wąskimi łąkami piaszczystych wysepek. Niskie, suche, pełne głębokich barw góry przecinały pejzaż.

Zgromadzeni w obozowisku ludzie reprezentowali szeroką gamę ras i strojów. Czerwonoskóry mężczyzna z długimi, czarnymi warkoczami stał obok Chinki w kowbojskim ubraniu.

- Niewiele dzieci - zauważyła Ra. Wyciągnęła z kieszeni bilet na pucharowe rozgrywki Red Sox, który znalazła na tylnym siedzeniu samochodu i schowała, zanim wywiął go wiatr.

- Plaga Gajańska - odrzekł Zeb. - Pamiętasz? Gajanie krzyczeli, że to wola wspólnego organizmu, jakim jest Ziemia.

Kobieta westchnęła.

- Oczywiście. Tak wielu nienarodzonych geniuszy.

- Ale więcej gatunków roślin i dzikich zwierząt i o wiele mniej zanieczyszczeń środowiska - zripostował Zeb.

Mężczyzna naprzeciw niego, ubrany w wyświechtaną flanelową koszulę ze skórzanymi łąkami na łokciach i koszulkę z migoczącymi hologramami, odwrócił się.

- Mówisz jak Gajanin - zauważył. Twarz ocieniał mu brązowy kowbojski kapelusz.

- Nie jestem zaangażowany w politykę - powiedział Zeb. - Jestem radioastronomem. Ale to prawda, że ekologia opisuje świat jako jeden organizm. Wierzę, że cały kosmos jest takim systemem ekologicznym, pozostającym w dynamicznej równowadze. I świadomość

równowagi stanowi element tego systemu, nierozdzielny i immanentny. Jest nim właśnie troska o zwierzęta, rośliny i całą resztę.

- Ja jestem proleudzki - odpowiedział mężczyzna, napełniając butlę wodą. - Wcześniej mieszkałem w L.A., przed Kopułą. To był raj na ziemi, tak uważam. Ale wszystko już stracone. Na zawsze.

- Nadal możesz... - zaczął Zeb, ale Ra uciszyła go i przez chwilę nikt się nie odzywał, w pobliżu zarżał koń. Potem się rozeszli, mężczyzna poszedł w głąb obozowiska.

10 SIERPNIĄ 2115

Danya: zupełnie jak Romeo i Julia

Ból głowy obudził Danyę o świcie. Otworzyła oczy na krótko, by ujrzeć jasne smugi rózu i zieleni na ciemnym jeszcze horyzoncie. Próbowwała się znowu położyć i pospać, aż w końcu upalne słońce sprawiło, że zaczęła śnić, iż jest przypiekana na rożnie. Obudziła się zlana potem.

Znajdowała się w środku niewielkiego, zabłoconego wgłębienia.

Podnosiła się powoli, sztywno, zastanawiając się, czy nie ma połamanych kości.

Jak okiem sięgnąć nie było niczego oprócz głęboko zrytej ziemi. Nie licząc, rzecz jasna, samochodu, zredukowanego teraz do plastikowych strzępów wystających z błota tu i tam.

Strzepnęła grudki wyschniętej ziemi z koszuli, kichnęła od kurzu, a potem ruszyła ku błotnistemu zagłębieniu, zastanawiając się, dokąd pójść. Rozejrzała się i znalazła sączącą się powoli stróżkę wody. Za pomocą paru kawałków plastiku próbowała się napić.

- Proszę.

Podskoczyła niemal i odwróciła się, słysząc w pobliżu męski głos.

Mężczyzna o gładkiej, opalanej twarzy i długich, rdzawych włosach związanych w koński ogon stał tuż za nią. Nie wyglądał ani trochę jak kowboj. Wyglądał raczej jak rdzenny Amerykanin.

Miał na sobie szorty w kolorze khaki i powyciągany wojskowy podkoszulek z prasówką przedstawiającą mysz czającą się z kijem na kota. W wyciągniętej dłoni trzymał menażkę.

- Proszę - powtórzył. Jego głos brzmiał spokojnie; nie było w nim śladu groźby. - Napij się.

Danya nagle przypomniała sobie sen. Przez chwilę zastanawiała się, czy na pewno się obudziła, czy też nadal śpi i śni.

Sięgnęła po menażkę i pociągnęła długi łyk zaskakująco chłodnej wody. Wytarła

wargi wierzchem dłoni i oddała naczynie. Oczy mężczyzny były duże i brązowe, przejrzyste i łagodne.

- Byłeś tu w nocy.

Skinął głową.

- I było was więcej.

- Byliśmy tutaj, w cieniu. Za wzgórzem - wskazał.

- Kim jesteś? Powiedziałeś coś... O co chodziło? I o czym mówiła tamta kobieta? „Witaj w Teraźniejszościach”? Czym, do diabła, są Teraźniejszości?!

Mężczyzna zamknął menażkę i uśmiechnął się. Skinieniem głowy wskazał wzgórze.

- Chodź ze mną. Spróbuję wyjaśnić.

Danya poczuła lekkie ochłodzenie, takie samo jak wcześniej, podczas spotkania ze świetlistym stworzeniem. Kiedy to było? Wczoraj?

Albo w jakimś odległym, niekoniecznie obecnym, czasie?

Przez chwilę stała, próbując się zorientować, gdzie jest, ale potem ruszyła za nieznajomym.

Kiedy weszli na wzgórze, ujrzała dziwny widok.

Konie pasły się, skubiąc trawę, w niewielkiej kotlinie, najwyraźniej ominiętej przez bizona. I nie tylko stado ją ominęło - panowała tu wiosna i rosące obok łąki krzewy bawełny szeleściły soczystymi liśćmi, poruszonymi gorącym wiatrem.

Jakiś chłopiec zmywał naczynia w plastikowej misce stojącej na rozkładanym stoliku. Kobieta z krótkimi, jasnymi włosami przysiadła na głazie, paląc fajkę. Czarnoskóra staruszka siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed rozłożoną na ziemi płaszczyzną ekranu. Dziewczynka z wyraźnymi rysami Azjatki, lecz zdumiewająco jasnymi włosami, tańczyła do muzyki, której źródło nie było widoczne; skoczna melodia pełna była radosnej lekkości. Mężczyzna obnażony do pasa, z wystającym brzuchem, klęczał i wiązał rzemienie między dwiema tyczkami, które wyglądały jak... włóki, uświadomiła sobie Danya.

Jeden z koni zerknął w jej stronę, parsknął głośno i uderzył kopytami w ziemię, a potem wrócił do skubania trawy. Danya już się spodziewała kodowanego kolorami przekazu o nieufności, który zapulsowałby na genetycznie zmodyfikowanym fragmencie skóry zwierzęcia, jak to się działo w przypadku zwierząt z Miasta Półksiężycy. Ale klacz okazała się czystym, niezmodyfikowanym koniem.

Nagle rozległ się kobiecy głos, niemal zagłuszony szelestem krzewów bawełny.

- Tu Radio-T, głos Teraźniejszości. - A potem zabrzmiały bębny.

Danya rozejrzała się, mocno zakłopotana i zaskoczona. To musiało być nagranie

audycji, bo tak czyste i pozbawione zakłóceń przekazy udawało się odbierać tylko w nocy. Kobieta przy namiocie podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Wstała i podeszła, wyciągając dłoń.

- Witaj - powiedziała.

- W Teraźniejszościach? - dokończyła Danya pytająco, czując się głupio z tym sarkazmem. Uścisk dłoni kobiety był silny i pewny.

Wypowiedź wywołała rezonans wśród zgromadzonych.

Wszyscy uśmiechnęli się lekko, nie przerywając swoich zajęć, a nawet nie podnosząc wzroku, jakby usłyszeli stary, często opowiadany dowcip.

- Musisz być głodna - powiedział półnagi mężczyzna i wstał z ziemi. - Co powiesz na masło orzechowe, dżem kaktusowy i biały chleb?

- Chętnie - zgodziła się Danya. - Dlaczego przyjechaliście zeszłej nocy? - *I dlaczego wyglądacie teraz inaczej?* Chyba... część wydarzeń musiała się jej przyśnić.

- Musieliśmy - powiedziała dziewczynka, przerywając taniec i podchodząc do Danyi. Przyglądała się jej bacznie, władczo. - Teraźniejszości nas przesunęły.

Danya chciała odpowiedzieć uprzejmie, ale właśnie ugryzła kanapkę. Ktoś podał jej manierkę, upiła łyk.

- Taa... OK. - Przełknęła i odpowiedziała. - Ale czym są Teraźniejszości?

Dziewczynka sięgnęła do kieszeni szortów i wyjęła białą kulę. Rozwałkowała ją w dłoniach, potem połączyła końce, tworząc obręcz, i rozciągnęła nieco.

- Schemat 2.8. - rozkazała.

Pojawił się obraz nakładających się na siebie drabin. Dziewczynka wzięła od Danyi kanapkę i w zamian podsunęła ekran.

- Możesz rozciągnąć, żeby powiększyć - podpowiedziała.

Danya skorzystała z sugestii. Drabina po jednej stronie miała podpis „Romeo”, po drugiej - „Julia”. Kolejna drabinka oznaczona została jako Tristan, a z przeciwnego końca - Izolda, jeszcze jedna: Dante - Beatrycze.

- To diagram czasoprzestrzeni - wyjaśniła właścicielka piankowego monitora.

Danya spojrzała na nią sceptycznie.

- Kochankowie są tak blisko, jak to możliwe. Są jednością i zarazem są osobno. Cechy tych par kochanków pokrywają się z tym, co dzieje się z wymiarami, które są jednością w czasie i przestrzeni. - Dziewczynka odebrała ekran, uformowała w kulę i schowała do kieszeni spodni. - Są świadome.

Na to stwierdzenie Danya zmrużyła oczy.

- Ile masz lat, tak w ogóle?

Dziewczyna wyszczerzyła zęby, oddała kanapkę i uciekła. Danya ugryzła i żuła w zamyśleniu przez dobrą minutę.

- Chyba jestem na to za tępa.

- Nie jesteś - odezwała się czarnoskóra starsza kobieta, nie odrywając wzroku od własnego ekranu. - Po prostu potrzeba trochę czasu, żeby to załapać.

- Ale zanim to nastąpi - oznajmiła Danya, połykając resztki poczęstunku - muszę dotrzeć do Houston. - Wzmianka o kochankach przywołała niechciane myśli o Kowboju.

Głupi Kowboj. Głupia Danya.

A najgłupsze jest to, co mieli razem do zrobienia.

Westchnęła.

- Naprawdę muszę się dostać do Houston. Możecie mi pomóc?

- Możemy spróbować - powiedział mężczyzna o rdzawych włosach. - Jestem Brendan, z Nowego Jorku.

- A dokładniej, z Queens - wtrąciła kobieta siedząca na kamieniu. - A ja mam na imię June. Dziewczynka nazywa się Biała Pora i jest rdzenną Amerykanką.

Danya zerknęła na jasnowłose, niebieskookie dziecko.

- Naprawdę?

- Mama odwiedziła klinikę genetyczną, gdy była w ciąży - wyjaśniła Biała Pora. - Myślę, że rodzice chcieli mieć blondynkę, z niebieskimi oczami. Ale reszta mnie jest indiańska. Popatrz na moje policzki! Mam dokumenty! Mogę to udowodnić! Proszę...

- Nie trzeba. - Starszy mężczyzna uśmiechnął się i zamachał ramionami w proteście. Inni zachichotali, a Biała Pora przyłączyła się do powszechnej wesołości.

- To jest Moses. - Czarnoskóra kobieta skinęła głową w kierunku chłopca, który właśnie kończył mycie naczyń.

- A ja jestem Lelani. Mój ojciec pochodził z Hawajów, a matka była Afroamerykanką - dodała.

- Stary, zwyczajny i zupełnie nieegzotyczny Jerry. - Mężczyzna, który zaproponował Danyi poczęstunek, teraz uściśnął jej dłoń. - Emerytowany hydraulik z Ithaki.

- Danya. Potomkini czystej, białej hołoty z Salvation w Tennessee.

Trochę się rozgniewała, gdy wszyscy się uśmiechnęli. Jakby to już im było wiadome i jakby wiedzieli o niej dużo więcej.

Jerry poklepał jednego z koni, zapiął mu ogłowie i przytroczył włóki, pozostawiając luźno zwisające popręgi.

- Wiesz, jak dostać się do Houston? - zwróciła się do Lelani.

- Nie mam nawet mapy - odparła.

- Okropność - przyznał Jerry.

- Dezyorientujące - zachichotał Moses.

Lelani cmoknęła z ubolewaniem.

- Możemy pójść tędy. - Biała Pora wskazała na południe - A może tam? - Obróciła się i wycelowała palec na zachód.

- Wolisz jechać na koniu, na rowerze czy samochodem? - zapytał Jerry.

Danya zastanowiła się.

- Wolałabym jakiś rower dostosowany do jazdy po bezdrożach. Najlepiej coś na energię słoneczną. O ile taki macie. I koniecznie purpurowy z zielonymi dodatkami - zażartowała na koniec.

Jerry skinął głową. Reszta z powagą i bez żadnych komentarzy zakończyła przygotowania. Trwało to nie dłużej niż minutę lub dwie. Potem wszyscy włożyli białe, przezroczyste i cieniutkie płaszcze. Moses podał jeden Danyi, Gdy się weń owinęła, powiedziała z zaskoczeniem:

- Jest chłodny...

- Myślisz, że włożylibyśmy coś ciepłego? - skrzywił się wesoło chłopak - Idziemy.

Ruszyli szybko, ale bez śladu nerwowości. Konie szły za ludźmi parszcząc i potrząsając łbami.

- Czy my... Czy my idziemy do Houston? - spytała Danya.

- Trudno powiedzieć - odpowiedziała jej Biała Pora, która szła obok. - w każdym razie kierunek mamy dobry.

- Dlaczego trudno powiedzieć?

- Tak po prostu jest - wzruszyła ramionami dziewczynka. - Przekonasz się.

Letnia pora

Przez długie godziny poranka Danya koncentrowała się wyłącznie na zakurzonej drodze, którą przemierzała wraz z innymi. Pomimo upału dzień był przyjemny. Gorący, wilgotny wiatr chłodził twarze. Na niebie nieustannie zmieniała się panorama chmur. Grupa

przecięła autostradę międzystanową, ale nie skręciła w nią; nadal szła naprzód w ustalonym wcześniej kierunku.

Po kilku godzinach marszu zobaczyła coś w oddali. Pożałowała, że wyrzuciła okulary przeciwsłoneczne. Uniosła rękę, by osłonić oczy przed światłem, i spojrzała w tamtym kierunku. Wiatrak, drzewa i stara szopa. Gdy znaleźli się bliżej, Danya ujrzała, że obok szopy stoi budynek, który można uznać za dom, choć bardzo stary. Tylko drzewa były dziwne.

Grupa skręciła nieznacznie na zachód i Danya zobaczyła, że wszyscy kierują się do brodu przecinającego rzeczkę ukrytą w zagłębieniu terenu. Przeszli tamtędy i skręcili prosto do chaty i sadu.

Na ganek wybiegł pies, zaszczekał krótko i z domu wyszła szczupła kobieta. Pomachała zamasyście i zawołała:

- Hej! Jake! Wszystko w porządku! - Zbiegła po schodkach i szybkim krokiem zbliżyła się do nachodzących.

Danya przystanąła, spoglądając na sad.

Na gałęziach, niczym bożonarodzeniowe ozdoby, wisały różne przedmioty. Opony, buty, talerze, nawet sukienka koktajlowa. Większość drzew miała rozwidlone konary i te najczęściej, jak zauważyła Danya, rodziły ten sam rodzaj rzeczy. Podeszła bliżej, wyciągnęła rękę, by dotknąć lśniącego strąka kołyszącego się wśród listowia jak niedojrzały owoc...

- Towar zerwany to towar kupiony - ostrzegła szczupła kobieta - Dobrze się zastanów, zanim coś wybierzesz, ha!

Twarz przesłaniały jej ciemne okulary, szyję otaczały srebrzyste kwiaty, a w dłoni trzymała papierosa w srebrnej, wysadzanej turkusami cygarnicze. Srebrzyste włosy miała przycięte bardzo krótko, a skórę opaloną na ciemny brąz.

- Czym mogę służyć?

- Hmm... Szukam roweru...

- No, to wejdź i określ wymagania. Mam mnóstwo odżywek. Na tyłach - stąd nie zobaczysz - mam drzewo, które rodzi rowery. Jest na nie spory popyt. Jestem Edna, tak przy okazji. To moi przyjaciele, więc dam ci dobrą cenę.

- Nie wierz jej - wtrącił się Moses. - Twardo się targuje.

Edna ponownie się uśmiechnęła. Wzięła Danyę pod ramię i poprowadziła do domu. Ciekawe, co to znaczy dobra transakcja? - zastanawiała się dziewczyna. Może powinna również założyć okulary przeciwsłoneczne.

Przed chatą, zbudowaną w starym, farmerskim stylu charakterystycznym dla Teksasu, stały cztery głązy służące za krzesła. Edna wprowadziła Danyę do salonu, podczas gdy reszta

grupy rozkulbaczyła konie. Wkrótce zwierzęta napiły się i zaczęły paść przy brzegu strumienia, a ludzie weszli do chaty.

- Siadajcie - zaprosiła Edna. Za jej plecami, pomiędzy dużymi oknami wisiały stare, czarno-białe fotografie w drewnianych ramkach, które przyciągnęły uwagę Danyi. Biała Pora i Moses wyciągnęli spod jednego z krzeseł planszę i zaczęli grać w warcaby. Lelani i Jerry rozparli się na krzesłach, uśmiechając się z zadowoleniem. Danya przyjrzała się drewnianym fotelom z rzeźbionymi podłokietnikami. Na suficie powoli obracał się wentylator. Wszyscy rozmawiali i Danya uświadomiła sobie, że muszą naprawdę dobrze się znać. Dom wypełniał się smakowitym zapachem.

- Gdzie moje maniery?! - Edna klepnęła się w czoło. - Macie ochotę na mrożoną herbatę?

- Chętnie pomogę - zaoferowała się Danya.

- Świetnie. - Gospodyni wstała sprężyście. Choć była szczupła, opalone nogi i ramiona znaczyły wyraźne muskuły.

Podłoga kuchni wyłożona była płytkami zielonego linoleum, zupełnie jak w Salvation, u babci Danyi. Na parapetach, między białymi firankami kołysanymi wiatrem, stało pięć doniczek z wielkimi, czerwonymi pomidorami. Nad drzwiami na podwórzu znajdowała się półka, na której leżały beżowe miski różnych rozmiarów, zupełnie jak we wspomnieniach Danyi z dzieciństwa. Miała wrażenie, że śni jasny, cudowny sen. Poczula się jak w domu, jakby została nagle wyrwana z pustki i stała się częścią tego wszystkiego.

Edna włożyła dłonie w duże rękawiczki haftowane w pszczoły, otworzyła piekarnik i wyjęła dwie szarlotki. Wyłączając piekarnik, powiedziała:

- Nie powinnam rano robić ciasta, za gorąco. Ale miałam przecucie, że przyjdą goście. Ciasto będzie na kolację.

A potem otworzyła starą, opływową lodówkę. Obok niej stało radio.

- Działa? - zainteresowała się Danya. Urządzenie przypomniało jej o Kowboju-Peabodym. Wsunęła dłoń do kieszeni. Jego niewielkie radio nadal tam było.

- Czasami, w nocy, coś odbiera. - Edna otworzyła kredens i wyjęła wysokie szklanki. - Wyjdź i przynieś trochę mięty, rośnie przy ganku.

Kuchenne drzwi zatrzasnęły się za Danyą.

Ujrzała panoramę Teksasu, gorącą i przesyconą wilgocią. Klony ocieniały stół w ogrodzie. Liliowe hortensje otaczały podwórko.

Stanął na ganku, zalewana kaskadą wspomnień: niezliczonych zielonych lat w Salvation. Potok za domem przy polu kukurydzy. Danya i jej kuzynka biegające boso

między wysokimi kukurydzianymi łodygami, bawiące się w chowanego, szukające dżdżownic, podsłuchujące wieczorami rozmowy dorosłych na ganku, obserwujące zapalające się na niebie gwiazdy.

Zeszła po trzech drewnianych stopniach. Mięta rosła bujnie i wysoko. Danya zerwała kilka łodyg roztaczających orzeźwiający, świeży zapach.

Wewnątrz Edna wrzuciła do szklanek pokruszony lód.

- Zawsze parzę duży dzbanek herbaty wcześniej rano. Posłodziłam ją. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza? Pokrusz miętę do szklanek.

Niedługo potem usiadły znowu w salonie wśród pozostałych gości. Wszyscy popijali herbatę i gawędzili przyjacielsko, w końcu Edna zwróciła się do Danyi:

- Mów, czego potrzebujesz?

- Roweru - odpowiedział Moses.

- Zielonego z purpurowymi dodatkami - uzupełnił Jerry.

- Na energię słoneczną - dodała Lelani.

- Wytrzymałego. - Danya też chciała mieć coś do powiedzenia.

- Ach! - uśmiechnęła się gospodyni. - Bardzo dobrze. Mam takie drzewo. Widziałam ładny rower, prawie dojrzały. Zdejmę go za około piętnaście godzin, może trochę dłużej, żeby dodać modyfikacje. Będzie na jutro rano.

- Wspaniale - ucieszyła się Danya.

- A teraz... - Edna zmrużyła oczy. - Krany przy wannie ciekną. Myślę, że trzeba je dokręcić, o ile nie wymienić.

- Zajmę się tym - przyrzekł Jerry. Poszedł do włóków. Danya widziała przez okno, jak przeszukuje bagaż rozrzucając pakunki, w końcu wrócił do domu, niosąc czarną skrzynkę z narzędziami. Wyszedł na korytarz, a po chwili wszyscy usłyszeli brzęk i trzask metalu.

- Gdzie jest główny zawór? - zawołał.

- Zakręcę! - odrzyknęła Edna. Zerwała się i na chwilę wyszła. Rozległ się zgrzyt metalu. - Zrobione! - zawołała do okna.

- Zakręcony! - podał dalej Moses. - Chodźmy się wykapać - zwrócił się do Białej Pory.

Dziewczynka podskoczyła, ale Edna zatrzymała ją w drzwiach.

- Nie tak szybko - oznajmiła. - Naprawa to tylko część zapłaty.

Biała Pora sięgnęła do sakiewki przy pasku. Gospodyni próbowała tam zajrzeć.

- Nie podglądaj, to tajemnica.

W końcu dziewczynka wyciągnęła jeden kolczyk w kształcie kwiatu, potem drugi.

- Mogą być?

- Cóż... - Edna skrzywiła się z powątpiewaniem, ale oczy ją zdradziły.

- Dobrze wiesz, że właśnie tego chciałaś - oznajmiła Biała Pora. Zamknęła sakiewkę, a potem razem z Mosesem, tupiąc głośno na drewnianych stopniach, wybiegła nad potok.

Danya krzyknęła za nimi:

- Dziękuję!

Widziała, jak dzieci zrzucają ubrania i wchodzą do wody. Biała Pora zanurzyła się pierwsza i uderzyła w wodę nogami tak mocno, że ochlapała Mosesa.

Edna usiadła na kanapie i uśmiechnęła się z zadowoleniem, przyglądając się kolczykom.

- To oni je zrobili.

Danya odwróciła się, usiłując trzymać język na wodzy, ale i tak się jej wyrwało.

- Skoro masz te wszystkie drzewa...

- Czemu pragnę takich kolczyków? Są robione ręcznie. To dla mnie różnica. Są zrobione ze srebra, które zostało wydobyte z ziemi. Oczywiście mogą odpowiednio odżywić drzewo, żeby wyrosły takie właśnie kolczyki. Ale jednak jest różnica. - Wzruszyła szczupłymi ramionami, wyjęła kolczyki i założyła nowe, dla wygody przechylając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Jak... - zaczęła Danya.

- Och, nic trudnego. Pokażę ci, jak dojrzewa rower. Po krzywych schodkach zeszły do sadu.

Wokół brzęczały pszczoły, krążąc wśród opadłych jabłek. I strąconych wiatrem gruszek, zauważyła Danya. Chociaż Edna miała drzewa rodzące przedmioty i wszelkiego rodzaju dobra, minęły najpierw tradycyjną część ogrodu, z krzakami pomidorów, pnączami winorośli, różnymi gatunkami melonów wśród zielonych liści, oraz cukinii. Edna uniosła jedną z nich.

- Wcale nie trzeba o nie dbać - powiedziała. - To kraina mlekiem i miodem płynąca...

Przeszły do sadu z drzewami rodzącymi różne przedmioty.

- Jak decydujesz, co ma wyrosnąć? - zapytała Danya, mijając drzewo, z którego gałęzi zwisały śrubki, nakrętki i pasy, lśniące w słońcu jak choinkowe ozdoby. Na innym konarze wisały śrubokręty, kombinerki i imadła.

- Wystarczy tylko chwila... Znam moich klientów. Głównie wymieniam się na paliwo, metan, propan lub olej opałowy. Zużywam sporo paliwa w różnych urządzeniach do gotowania i ogrzewania. Oczywiście głównym źródłem energii jest słońce i wiatr, ale wolę też mieć zapasy. Ten dom był w mojej rodzinie od pokoleń. Wiem, że powinnam go zastąpić

czymś lepszym, ale jestem przywiązana do tej rudery. Przeszły między kilkoma rzędami pni i znalazły się przy drzewie rowerowym.

Edna wskazała coś na górze.

- Widzisz? Ten pąk urośnie do czerwonej trzykołówki. Tamten zielony to kolarzówka. Ale ty chcesz wytrzymały rower do wędrówek.

- Dokładnie.

Gospodyni rozejrzała się i nagle cofnęła, mijając parę drzew. Wróciła niosąc poobijany metalowy stołek, wysoki może na stopę. Ustawiła go obok pnia, usiadła i trzy razy poklepała pień. Kilka pedałów zwisających na długich pędach zaklekotało, poruszone wiatrem.

Jakieś proteiny z ropy - pomyślała Danya - potrzebne do wywołania wzrostu. Rozpoznała na wpół uformowane przednie światło. Jego przesłona była przezroczysta, rysował się na niej wzór, jakby rybich łusek. Baldachim liści na najwyższych gałęziach przesłaniał słońce.

Wszystkie te cuda zostały wynalezione w okresie największego boomu ery nanotechnologii. Danya nigdy nie widziała takiego nanosadu, ale rozumiała jego sens i działanie. Bez wątpienia jakiś nanotechnolog odwiedził tę okolicę i raczej sprzedał nanozarodniki drzew, a nie rozsiał dookoła przypadkiem. I najpewniej przekonał też ludzi, że te nadzwyczajne dary obcej technologii działają sprawnie i warto się nimi zainteresować.

Oczywiście - pomyślała Danya, obserwując Ednę - aby używać nano, trzeba mieć też głowę na karku.

Na pniu, gdzie starsza kobieta klepała korę, pojawił się ekran. Gospodyni dotknęła go tu i tam, a potem obróciła w stronę Danyi. Ta zajrzała przez ramię Edny i zobaczyła pięć obrazków z rowerami. Wybrała i dotknęła tego, który wyglądał najbardziej masywnie i solidnie.

Edna powiększyła obraz.

- Kolory? - zapytała.

- Purpurowy z zielonymi dodatkami.

Gospodyni kiwnęła głową, w minutę później pojawiły się wzory związków chemicznych. Edna zaznaczyła części na monitorze, wskazała odpowiednie kolory i wstała.

- Mogę pomóc? - zapytała Danya, idąc za Edną przez sad.

Zbliżyły się do wielkiej drewnianej stodoły i weszły do wnętrza przez wysokie wrota. Przy jednej ze ścian stały gabloty z poobijanymi drzwiczkami, oliwkowozielonymi i szarymi. Było ich może z pięćdziesiąt. Edna studiowała diagram, który zabłysnął w przyciemnionym wnętrzu magazynu. Przesunęła schemat na górę, by nie zasłaniał szafek, i zaczęła wybierać

składniki, w gablotach znajdowały się powiązane woreczki.

- Dwa tego - mrucała do siebie Edna, przyglądając się różnym workom i czytając etykiety. Niektóre wkładała na miejsce, inne wrzucała na taczkę stojącą w kącie. Potem przeszła do kolejnej gabloty, by przeszukać zawartość.

Po około dziesięciu minutach sprawdziła raz jeszcze listę i z zadowoleniem skinęła głową.

- To jest to.

Popchnęła taczkę i wraz z Danyą wróciła pod rowerowe drzewo. Pakiety chemikaliów szeleściły, gdy wózek podskakiwał na korzeniach. Tymczasem wszyscy, oprócz Jerry'ego, który najwyraźniej nadal naprawiał krany, zdjęli ubrania i kąpali się w potoku.

Edna otworzyła pokrywę małego szybu tuż przy pniu drzewa, między wystającymi korzeniami. Włożyła rękawice wyjęte z tylnej kieszeni szortów i zaczęła rozrywać worki, a potem wsypywać ich zawartość do otworu. Gdy substancje spadały na dno, rozlegało się ciche chlupnięcie.

- Tam po lewej jest pompa. O, właśnie. Pompuj - komenderowała właścicielka sadu.

Woda popłynęła do szybu. Danya zauważyła, że przy każdym drzewie znajduje się ręczna pompa.

- Jak dużo wody potrzeba?

Edna tylko wskazała ekran, na którym widniał wskaźnik poziomu wody w zbiorniku - jedna linia wskazywała stan bieżący, druga - pożądany poziom cieczy. Obie linie zbliżały się do siebie, aż nałożyły się jedna na drugą.

- Wystarczy.

Starsza kobieta włożyła do otworu długą szufłę i zamieszała.

- Przeklęte urządzenia, powinny być samonaprawiające się - utyskiwała. - Ale mikser nawalił.

- Może ja to zrobię? - zaproponowała Danya.

- Dobij się, jeśli chcesz. - Edna wręczyła jej szufłę i usiadła na stołku.

Zamaszystym gestem wskazała sad.

- Zasadziłam nowe gatunki drzew. To znaczy, nie są nowe. Mają już pięć lat. Wkrótce będą zdolne do owocowania. Zbiorniki są ich częścią, rosną w nich korzenie. Kopie się wielką dziurę, wkłada sadzonkę i nawozi, aż urośnie. Tak wyhodowałam cały sad. - Zatoczyła krąg ramieniem. - Myślę, że tamto drzewo jest chore. Niekiedy nanodrzewa potrzebują lekarstw, jakich nie mam. Zazwyczaj potrafię im przygotować wszystko, co trzeba, ale niektóre substancje są zbyt egzotyczne lub nazbyt wyrafinowane. Boję się trochę, że sad

zniknie, jeżeli pojawi się jakaś nowa plaga. Co prawda teraz drzewa wydają się zdrowe, więc nie sądzę, aby choroba się rozprzestrzeniła, ale trzeba być ostrożnym.

Danya odłożyła szufłę na taczkę. Edna zamknęła wylot szybu prowadzącego do zbiornika. Uśmiechnęła się.

- Robota wykonana. Nic za darmo. A teraz możemy popływać.

Potok był cudowny. Danya ściągnęła buty i zostawiła je na brzegu. Kolejno pozbywała się części ubrania, piorąc najpierw spódnice, potem bluzę i bieliznę. Nurt był silniejszy na środku rzeczki, gładził kamienie i brzegi, chłodnym, orzeźwiającym dotykiem pieścił stopy - Wyszła na brzeg, gdy skończyła pranie, i rozłożyła rzeczy na trawie, mając nadzieję, że konie ich nie podepczą. Potem ponownie zanurzyła się w wodzie, czując, jak chłodny, błogosławiony nurt przepływa przez jej włosy. Patrzyła na chmury, opierając stopy na wystającym przy brzegu korzeniu. Nie musiała nigdzie iść, ale nagle przypomniało się jej Miasto Półksiężycy.

Miasto w rękach piratów.

To dziwne. Odkąd opuściła pływające miasto, nie myślała o nim wiele, choć przecież było jej domem przez tyle lat. Dojmujące poczucie dziwności i zachwytu, towarzyszące jej zawsze w Mieście Półksiężycy, znikło w ciągu zaledwie paru tygodni.

Ale teraz odeszło zupełnie. Jakby długo miała zwielokrotnioną migrenę i wreszcie ból ustąpił, pozostawiając jedynie słabość. Uświadomiła sobie, że gdzieś w środku rozpaczliwie tęskniła za resztą świata, za prawdziwym domem. Za stałym lądem, za sadami, nieważne jak dziwacznymi. Za zwykłymi ludźmi.

Tak właśnie - pomyślała, wstając i wyciskając włosy - za zwykłymi farmerami, którzy żyją w Teraźniejszościach, gdzie Romeo i Julia oraz związki innych kochanków odzwierciedlają nową perspektywę czasoprzestrzeni. Wspaniale tu być, gdzie wszystko stworzone zostało ze światła. Odgłos uderzenia za plecami przywrócił myśli Danyi do wspomnień o pędzących bizonach.

Dotarła do brzegu i wspięła się na łąkę. Jej ubranie nadal było mokre. Tutaj powietrze nie wysuszało tak szybko jak na pustyni. Ubrała się, nie wkładając tylko butów i skarpetek, i ruszyła do domu.

Gdy szła, pomyślała o Radiokowboju. Miała nadzieję, że wszystko z nim w porządku.

Tego wieczora Edna wydała ucztę - było barbecue z kukurydzy, tofu z grilla i chleb domowego wypieku. Oraz szarlotka. Jedli przy stole w ogrodzie. Gospodyni przyniosła również zakurzone butelki czerwonego wytrawnego wina, a Biała Pora, upijając trochę, zapytała, które drzewo rodzi ten trunek. Nikt nie odpowiedział i dziewczynka pociągnęła

jeszcze jeden łyk. Świeczka z feromonami odstraszała moskity. Sad szumiał w chłodnym nocnym powietrzu. Wszyscy pomagali potem w zmywaniu i zbieraniu naczyń. Edna pokazała Danyi wąskie, białe łóżko w pokoju na górze i poradziła, by zostawiła drzwi otwarte, jeżeli chce mieć chłodny przewiew.

Danya spała jak kamień. Gdy się rano obudziła i wyrzała przez okno, koni nie było. Zeszła na dół.

Edna siedziała przy kuchennym stole, pałac papierosa i wydmuchując dym przez uchylony lufcik.

- Odeszli w nocy - wyjaśniła, wstając i nalewając Danyi kawy. - To ich zwyczaj. Usiądź i weź sobie ciasta do kawy. Rower powinien być już gotów. Chodźmy zobaczyć.

Danya poczuła ukłucie bólu.

- Odeszli beze mnie?

- Jak widzisz, moja droga.

Dziewczyna wypila gorącą kawę i po paru minutach poczuła się lepiej, w końcu знаła ich tylko jeden dzień. Ale czy na pewno to był jeden dzień?

Boso („Uważaj na węże” - ostrzegła Edna) i tylko w koszuli nocnej, pożyczonej przez gospodynię, Danya poszła do sadu.

Purpurowy rower wisiał pod drzewem rowerowym jak bożonarodzeniowy prezent.

- Podtrzymaj go, a ja odetnę - poleciła Edna. Wyciągnęła sekator z kieszeni spodni. Rower okazał się bardzo ciężki. Po kilku minutach starsza kobieta odcięła przytrzymujące go Pędy. Danya ostrożnie postawiła jednośląd na ziemi.

- Jest piękny! - ucieszyła się.

Edna, z o wiele mniejszą rewerencją, przycisnęła go do ziemi kilka razy.

- Zauważ, że nie ma żadnych wentyli. Opony wypełnione są powietrzem, ale to proces jednokierunkowy, powietrze może tylko napływać przez małe bramki w membranach kół. - Zakręciła kierownicą i odprowadziła rower trochę dalej od drzewa, a potem, pałac papierosa, odcięła sęki po pędach.

- Za kwadrans będzie gładki i wytrzymały jak metal, choć tak naprawdę to biało.

- Wiem - przytaknęła Danya. - To cudowne.

- Jesteś jedną z nich? - zapytała nagle Edna, patrząc Danyi prosto w oczy.

- Z kogo?

- Z nich. Żyjących w Teraźniejszościach.

- Ja... Nie wiem - mruknęła, jednak w umyśle kołatała się jej zupełnie inna odpowiedź.

- Wiedziałabyś, gdybyś była - westchnęła Edna. - Przejeźdź się na rowerze do domu i

sprawdź, czy ci pasuje. Można go wyregulować.

Danya zawróciła w stronę domu i radośnie przejechała jeszcze dookoła stodoły. Zatrzymała się, zsiadła i uważnie przyjrzała się nowemu nabytkowi.

Za siodełkiem znajdował się wbudowany w bagażnik biały pokrowiec, który można było rozłożyć nad rowerem i zapiąć z przodu, w tkaninie widniało okienko, które można było zamknąć, naciskając na jego krawędź.

- To przetwornik słoneczny - powiedziała Edna, podchodząc. - Może być przezroczysty i przepuszczalny albo matowy i służący jako osłona, dowolnie. Nie spowolni cię w czasie jazdy. Będzie ci też potrzebny kask. Mam niewielki wózek, który można przyczepić z tyłu, spakować tam zapas wody i bagaż. Jeśli chcesz, jest twój. Skoro wybierasz się do Houston, radziłabym się dobrze wyposażyć.

- Jakie jest Houston? - zapytała Danya, gdy wracały do domu.

- Miasto Kwiatów, typ czwarty.

- To znaczy, że zmutowało? Jak?

- Szczerze mówiąc, dziewczyno, nie chcę nawet wiedzieć. Nie byłam tam od lat i nie zamierzam wracać.

- Muszę się dostać do Centrum Kosmicznego - wyjaśniła Danya.

- Hmm... - Edna wyjęła kolejnego papierosa i usiadła na najwyższym schodku na ganku. - To co innego. Słyszałam, że Centrum poszło własną drogą. Pozbyło się wszystkich ludzi, którzy mogliby mu przeszkodzić. - Spojrzała w górę i uśmiechnęła się do Danyi. - Może powinnaś przemyśleć tę wyprawę.

- Możesz mi wskazać kierunek?

- Nie całkiem. - Starsza kobieta lekko wzruszyła ramionami - Wschód. Trzeba iść na wschód, tyle wiem.

Podarowała jej dodatkową koszulę.

- Nie mam czym zapłacić - zaprotestowała Danya.

- Do diabła, niczego nie potrzebuję - warknęła gospodyni. - Tylko ludzi. Wróc kiedyś, słyszysz? Ach, czekaj! Prawie zapomniałam.

Wbiegła do domu, drzwi zatrzasnęły się za nią z cichym uderzeniem. Po chwili wróciła, niosąc kremowy kowbojski kapelusz i mały plecak z lśniącej, gładkiej i miękkiej skóry.

- Proszę - powiedziała, oddychając szybko. - Świeżo zerwany dziś rano. Wszystko opłacone. To prezent dla ciebie.

Danya dotknęła podarunków. Kapelusz był sztywny, obwiązany taśmą z delikatnym

wzorem w różowe i żółte różyczki, przetykanym malutkimi turkusowymi paciorkami, z przodu widniał kontur orła.

- Śliczny. - Założyła. - Pasuje idealnie.

- Jasne, że tak.

Danya przypięła plecak do roweru, uściskała Ednę szybko, a potem stanęła na pedale i przerzuciła nogę przez siodełko. Przejechała kilka stóp, zmieniając przerzutki, żeby się przyzwyczać, skręcała i zawracała kilka razy. Wreszcie zjechała na zakurzoną drogę, zostawiając za sobą drzewa kołyszące się na wietrze. Niebo było błękitne jak morze. Pies biegł za nią jeszcze pół mili, potem zawrócił i skierował się na farmę, którą jeszcze było widać - malutkie białe domki i sad, gdzie na drzewach rosły rowery.

Danya skręciła w główną drogę i skierowała się na wschód.

MARZEC 2115

ANGELINA: LABIRYNT

*Dzięki sztuce zamiast widzieć jeden świat, nasz, ujrzymy, jak się mnoży;
i ilu oryginalnych artystów, tyle światów będzie do naszej dyspozycji.*

Marcel Proust

Sztuka jest kłamstwem, które mówi prawdę.

Picasso

Kiedy Angelina znowu otworzyła oczy, ujrzała obracający się powoli wentylator. Biały sufit był wysoko - tak wysoko, że musiała opuścić spojrzenie, by dojrzeć ściany pomieszczenia z wysokimi, dwudziestostopowymi oknami. Wszystko - także widok za oknem: jedno z niskich, rozłożystych drzew - było rozmyte. Jakby Angelinie zepsuł się wzrok.

Zamrugła i przetarła powieki. Natychmiast pojawił się przy niej pielęgniarz.

- Obudziła się pani. - w jego głosie brzmiała ulga.

- Tak. - Rozglądała się uważnie. - Gdzie jestem?

- W szpitalu.

Angelina próbowała się podeprzeć i wstać, ale mężczyzna przytrzymał ją delikatnie.

- Och, nie, señora. Proszę leżeć. Dostała pani zastrzyki, dojście do zdrowia zajmie co najmniej tydzień.

- Dostałam leki przeciwbólowe?

- Tak jest. Wypadła pani z balkonu. Na szczęście poniżej znajdował się kolejny. Straciła pani z bólu przytomność. Ma pani stłuczoną śledzionę, udo i obojczyk. Pokój niżej

był pusty, dlatego znaleziono panią dopiero rano.

- Chester! - jęknęła. - Mój... Moja lalka!

- Pani lalka?

- Właśnie. Miałam ją ze sobą. Pielęgniarz spojrział z niepokojem.

- Wszystkie pani rzeczy zostały zabezpieczone. Znajdują się w tej skrzynce.

- Proszę zajrzeć. - Twarz mężczyzny też wydawała się rozmyta. Jej barwy i kontury skojarzyły się Angelinie z Australią widzianą z orbity. Literatura Australii...

Pielęgniarz posłusznie ukląkł i zniknął z pola widzenia. Słyszała, jak otwiera skrzynię, szcęknięły zamknięcia.

- Przykro mi, nie ma tu żadnej lalki. Tylko torba i trochę ubrań.

- A w torbie?

- Nie. Nic, co przypominałoby lalkę. Jakiej jest wielkości?

- Och, myślę, że wielkości miesięcznego dziecka.

- Całkiem spora lalka.

- Owszem. - Poczowała się bezsensownie rozbita. Obywała się bez Chestera całe życie.

Na pewno teraz też przeżyje bez czującej lalki.

Ale się martwiła. Co się stało z Chesterem? Czy został zniszczony? Był przecież taki bezradny. Może jakiś bezmyślny dorosły wyrzucił go na śmietnik. Albo, co gorsza - zniszczył go! Wrzucił do ognia! Nie powinna była wysiadać z pociągu. Zachowała się tak egoistycznie! Chesterowi podobał się pociąg. Angelina powinna była zostać tam razem z Chesterem i...

- Proszę, señora, niech pani nie płacze. Proszę przestać. Musi pani wyzdrowieć. Dam pani coś na uspokojenie, proszę.

- Gdzie jest lekarz?

Głos pielęgniarza zabrzmiał niepokojem.

- Och, lekarz... Tak. To system diagnostyczny. Znajduje się w sali na dole. Jeszcze nie pani kolej, by z niego ponownie skorzystać. Jest zajęty tworzeniem przeciwciał na nową odmianę gorączki. Pani przypadek jest raczej prosty. Kilka złamań i potłuczeń, z pani śledziona jest już lepiej, z całą pewnością nie jesteśmy wielkim miastem, ale pociąg przywozi znakomite lekarstwa. Studiowałem w Barcelonie, więc...

Wbrew własnej woli Angelina zaczęła oddychać głęboko i regularnie. Ale pomimo leków uspokajających jej sny były niespokojne i męczące. Najpierw znalazła się na wieży Eiffla, potem w ogrodzie, gdzie wił się żywopłot tworzący labirynt ścieżek.

Biegła wzdłuż jednej z odnóg, potem przez kolejną i następną, błądząc wśród ścian żywopłotu i wzywając Manuela. I Louisa.

I Chestera.

- Oczywiście, że jesteś żywy, ty głupku! - krzyczała. - Proszę, wróć, proszę!

A potem pojawiły się różne obrazy... Zatłoczony apartament Jamesa Joyce'a, gdzie pisał pośpiesznie, nie zwracając uwagi na psocące i hałasujące dzieci ani na obecność gości, prawie ślepy, pochłonięty wizją. Nikt nie zauważył Angeliny. I tak było za każdym razem. Pokoje, ulice, twarze przepelnione emocjami; przechodzący ludzie, których czyny i zachowania byłyby zupełnie niezrozumiałe dla istot nie wiedzących o sekretnej egzystencji ludzkiego gatunku, egzystencji wewnętrznej, innym życiu - jakie przedstawiają pisarze. Paryż był konstelacją obrazów. Eksperymentalna twórczość Gertrudy Stein, drżąca na krawędzi olśnienia, osobiste, zwięzłe i proste obrazy pisane przez Hemingwaya, potraskane i obnażające prawdę wizje Europejczykowi Amerykanów wypływające z poznania prawdziwego oblicza wojny światowej.

Angelina stała skąpana w świetle, ale kiedy po raz kolejny otworzyła oczy, nie otaczały jej już obrazy, lecz zmieniające się majestatycznie widoki. Ogrody, kawiarnie, wypełnione ludźmi, których dzieje poznawała tylko przez pryzmat wizji pisarzy, a jednak były to dzieje pełne i kompletne, jakby ludzie ci żyli naprawdę, a nawet pełniej niż ci, których Angelina знаła. To bogactwo wizji i perspektyw wypełniało ścieżki wśród żywopłotu, rozwidlone i pozwalające wybierać, za stylem którego pisarza się podąży i do źródeł jakich dzieł literackich się dotrze. Angelina nie wiedziała, ile czasu minęło, gdy odkrywała możliwości tego uniwersum utrwalonego ludzkiego ducha, esencji człowieczeństwa. Zdała sobie sprawę, że jej własne życie jest jedynie punktem wśród innych, podobnych i równorzędnych punktów. Było to objawienie i strata zarazem, i jedyna nić, która prowadziła ją, dokądkolwiek zmierzała.

Wreszcie się obudziła. Jej wzrok nie był już zamglony.

W rzeczywistości - nie widziała nic. Wszystko było białą przestrzenią.

Krzyknęła.

Usłyszała zbliżające się szybkie kroki.

- Co się dzieje - młody, męski głos. Pielęgniarski.

- Nic nie widzę!

- To lekarstwa...

- Nie! Naprawdę nie widzę! Ośleplam!

Czekała w ciszy. Na twarzy czuła lekki powiew, tak lekki, że mógł być tylko złudzeniem wyobraźni. Wreszcie mężczyzna się odezwał.

- Nie widzi pani zupełnie nic?

- Nic.

Tego samego dnia zrobiono jej badania, z początku, gdy pielęgniarka prowadziła ją do wózka, podtrzymując pod ramię, wydało się Angelinie, że kobieta ma jasne włosy, zaplecione w warkocze, i niebieskie oczy. Tło pozostało niewyraźne.

- Widzę! - Wyciągnęła rękę, by dotknąć warkoczy, ale chwyciła jedynie powietrze. To było bardzo rozczarowujące.

- Widzi pani? - upewniła się pielęgniarka, a w umyśle Angeliny pojawiła się jako kobieta o krótkich, ciemnych włosach. Przyglądając się uważniej obrazowi, zauważyła otoczenie - małą kuchnię i dziewczynkę w kombinezonie, proszącą o ciasteczka....

Westchnęła.

- Nie.

Do końca badań słyszała głos pielęgniarki, zapewniający, że nie ma takiego urazu fizycznego, którego nie byłyby w stanie wykryć systemy szpitala.

- Z badań wynika, że jest to całkowicie psychologiczny problem - oznajmiła w końcu pielęgniarka z nutą niedowierzania. - Musimy zrobić dodatkowe badania, by znaleźć najlepszą terapię.

- Po prostu to naprawcie!

- Niestety, w rzeczywistości problem nie istnieje.

Angelina została przewieziona korytarzem po raz drugi.

Zza otwartych drzwi dochodziły hałasy i zapachy kwiatów, znikające, gdy je mijała. Potem godzinami leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć i zastanawiając się, co robić. Obudziła się wiedząc.

- Zabierzcie mnie do pociągu - powiedziała pielęgniarce. - Muszę jechać do Paryża.

Nie zamierzała tracić tu więcej czasu. Jej wizje związane z prozą zanikały, zastępowane poezją, skaczące od skojarzenia do skojarzenia w układach i powiązaniach, których jeszcze nie rozumiała.

Miała teraz więcej miejsca na wizje niż wtedy, gdy powstawały obrazy generowane tylko opowieściami prozatorskimi.

Na początku próbowano jej wyperswadować opuszczenie szpitala, ale w końcu zawieziono ją do pociągu na wózku, choć upierała się, że może chodzić samodzielnie. Ale nie, zbyt duże obciążenie mogło zakłócić proces gojenia się złamań i zaszkodzić śledzionie, co utrudniłoby jej tylko podróż.

Podczas przejażdżki przez ulice Angelinę nachodziły proste wspomnienia książek dla dzieci, opowieści o zwierzętach, *Heidi*, nieprzetłumaczalnych książek po niemiecku i

francusku, podobnie jak tych w języku angielskim, manifestujących się jako strumienie emocji i obrazów. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły i powitał ją konduktor, który skojarzył się z opowieściami o wojnie.

Angelinę zaskoczyło, że tak łatwo rozpoznała głos konduktora, gdy tylko usłyszała powitanie.

- Oczywiście, czekaliśmy. Zabieramy potrzebujących pasażerów do Paryża. Właśnie tym się zajmujemy. Czasem trwa to nawet pół roku, zanim kolejny pasażer znajdzie do nas drogę.

- Co to znaczy: potrzebujących?

- Paryż cię potrzebuje, señora. Ty potrzebujesz Paryża.

To było tak, jakby usłyszała nowy rodzaj muzyki - melodię graną dla średniowiecznej procesji z kuglarzami i dzwonekami.

- Czy jest ktoś konkretny, kto mnie potrzebuje w Paryżu?

Konduktor pochylił głowę, która nagle ukazała się Angelinie, jakby nasłuchiwał. Wreszcie powiedział:

- Nie. Tylko Paryż.

Muzyka ucichła. Nie Louis. Nie Manuel. Nawet nie Chester, tak interesujący, zabawny i uroczy. Tylko miasto.

- A co z innymi pasażerami?

- Jakimi innymi pasażerami?

- Widziałam... - I zamilkła. Widziała ludzi, którzy świecili. Widziała ludzi, którzy, według Chestera, wiedzieli, o czym myśli. Gdyby byli ludźmi, nie przypominaliby żadnego ze znajomych Angeliny. A może po prostu tych, których spotkała w pociągu, nie gnała konieczność odwiedzenia miasta.

Pociąg ruszył.

W umyśle nieustannie pojawiały się obrazy i opowieści o wojnie. Nie istniała nawet piędź ziemi, na której bezustannie panowałby pokój między ludźmi. Angelina uważała się za osobę raczej opanowaną i beznamiętną, ale już po paru godzinach oczy miała pełne łez i musiała poprosić o środki uspokajające. Zbyt wielkie brzemię, by można to znieść. Ludzie niczego się nie nauczyli; impuls płynął sam, zbyt silny i głęboki, by kiedykolwiek miał się zmienić.

A kiedy impuls ten docierał do większych grup, do rodzin, narodów, ugrupowań religijnych, rezultat był zawsze ten sam: nieunikniony konflikt, który tylko niszczył doszczętnie domy i ludzi, tłamsił całe narody. Ziemia, na której osiedlał się człowiek,

natychmiast stawała się święta, a to, co należało do grupy, było nienaruszalne na wieki wieków. Angelinę przygniotły obrazy zniszczonych ziem.

Sama łaskawie zostawiła ranczo, pozwoliła sobie zlekceważyć dwieście lat pomyślności i urodzaju, ale zastanawiała się, czy ludzkość w ogóle jest w stanie pojąć, że należy odrzucić ten obusieczny miecz, tę klątwę, jaką jest potrzeba własności, która nie tylko karmi ludzi, lecz także ich zabija.

Być może jest to możliwe tylko w świecie nieskończenie urodzajnym i doskonałym, z ulgą Angelina zwróciła się ku utopiom. Anglia, którą nieuzbrojona kobieta może przewędrować od krańca do krańca bez obawy lub strachu; miejsca, w których każdy czuł szacunek dla życia.

Ale co z nieprzystosowanymi? Na przykład, co by się stało z Sokratesem? Co z tymi, którym nowe rozumienie życia lub materii przesłaniałoby utarte ścieżki myśli, tradycję? Czy musieliby zostać starci na proch?

- Witam. - Obok jej łokcia rozległ się głos mówiący po francusku. Wewnętrzny translator Angeliny natychmiast to wyłapał, ale przejście na inny język wprowadziło w dezorientację. Najwyraźniej ktoś w szpitalu zdecydował się na instalację programu językowego bez pytania o pozwolenie.

- Jeżeli to możliwe, wolałabym rozmawiać po hiszpańsku - poprosiła.

- Oczywiście. - Damski głos brzmiał uprzejmie. - Jesteśmy na stacji w Paryżu. Pomogę ci wysiąść z pociągu.

- Dziękuję. Ale kto cię przysłał?

Kobiety głos zabrzmiał lekkim zdziwieniem, gdy Angelina kluczyła między ławkami.

- Paryż, rzecz jasna. Nie widzisz, więc pociąg wyprodukował dla ciebie laskę. Będzie służyła pomocą, abyś mogła się zorientować w fizycznym otoczeniu. Jednakże wszystko, co zobaczysz, będzie nadal filtrowane przez wirus, który przyjęłaś. Skoro odmawiasz jego usunięcia, tylko tyle możemy dla ciebie zrobić.

Angelina prawą ręką wyczuła wąski, walcowaty kształt. Chwyliła go i poruszyła dłonią.

- Och! Madame! Uderzyła mnie pani w nogi. W ten sposób. Po prostu proszę opuścić koniec na podłogę. - Poczowała, jak ktoś ustawia jej laskę w prawidłowym położeniu. Obraz zakotłosał się, potem ustabilizował.

Była w pociągu, jak oczekiwała, z ciekawością spojrzała na staromodny i szykowny wystrój wnętrza, modny kontrast do nowoczesności panoszącej się na świecie.

Obicia foteli były błękitnoszare, czyste i wykrochmalone. Na oparciu każdego z

siedzeń wymalowano białą ramkę z zielonym logo wewnątrz.

- Teraz widzę - odezwała się Angelina. - Tamta kobieta - wskazała na lewo, choć pasażerowie popychali ją do wyjścia - ustawia spodki pod filiżankami kawy.

- Nie, madame. Nikt nie ustawia spodków i filiżanek. Angelina odwróciła się, aby zobaczyć kobietę, która się odezwała, lecz zamiast tego ujrzała tragarza w okrągłej czapce, z uśmiechem niosącego jej bagaż.

Biała mgła zawirowała wokół i Angelina znowu przestała widzieć. Serce zabiło jej głośno ze strachu.

- I co mam teraz zrobić? - Nie, żeby oczekiwała odpowiedzi.

Ale kobiecy głos zabrzmiał znowu.

- Ucz się. Idź. Około dziesięciu stóp dalej skreć w prawo. Tak, właśnie. Po lewej jest poręcz, chwyć się. Znakomicie. Teraz będą cztery stopnie, strome. Dobrze. Przepraszam, nie pomyślałam o wyhodowaniu rampy. Miłego pobytu w Paryżu, madame.

Na olbrzymim dworcu odbijały się echem kroki, zapowiedzi i komunikaty, a bliżej pełne emocji powitania i rozmowy.

- Dokąd teraz?

Ale odpowiedzi nie było.

Angelinę zalewały informacje. Zrozumiała, że kobieta była manifestacją pociągu.

Może najlepiej tam wrócić. Była teraz bezradna i wystawiona na bardzo różnorodne zagrożenia. Odwróciła się, tylko żeby usłyszeć charakterystyczne „szszsz!”, świadczące, że pociąg właśnie odjechał. Podmuch zatoczył nią, jakby ktoś ją obrócił w stronę miasta. A zatem znowu została sama.

Wyciągnęła przed siebie laskę. Mgła rozstąpiła się na chwilę, ukazując obraz.

Tak, dworzec był naprawdę duży. Ale może będzie mogła się w nim poruszać i orientować za pomocą narzędzia, jakim teraz dysponowała: laski. I tej laski.

Stawiając stopy jedna przed drugą szła naprzód, jakby widziała, wraz z tłumem pasażerów ubranych nowocześnie lub w stylu wiktoriańskim. Zauważyła, że się garbi, więc szybko wyprostowała plecy, krocząc tak dumnie i sztywno, jak tylko mogła. Kierowała się w stronę wysokiego okna. Po drodze poczuła apetyczne zapachy i zastanawiała się, czy rzeczywiście stoją tam małe kramy, a sprzedawcy nad niedużymi paleniskami smażą naleśniki - *crêpes* - czy też są tam po prostu maszyny z jedzeniem. Obraz rozwiął się na myśl o lasce, zmienił się w wycinek miasta, który Angelina mogła dostrzec tylko przed sobą, nie widząc niczego wokół siebie. I nie widziała tego, co chciałaby ujrzeć.

W zamian ujrzała dworzec wypełniony gniewem i tęsknotą, jak w powieściach

Hemingwaya, a potem, jak u Joyce'a, rozmytą, zlewającą się plamę barw, a potem widok jak u Zoli, albo Eiffla, albo Magi. Stała za plecami postawnej kobiety w czerni, trzymającej drobną towarzyszkę i proszącą Gertrudę po angielsku, żeby przyjechała na wykłady do Ameryki, w umyśle Angeliny program wyświetlił natychmiast odpowiednie nazwiska: Gertruda Stein i Alice B. Toklas.

Zatrzymała się i po prostu zerknęła. Ujrzała mnóstwo dworców, każdy inny, jakby malowany przez różnych artystów: najpierw przez Picassa, potem Matisse'a, wreszcie przez Moneta.

Nowa świadomość różnicowała widzenie świata. To miejsce, jak wiele innych w Paryżu, było obszernie, dokładnie opisane i udokumentowane. Opowieści o Paryżu zawirowały w umyśle Angeliny, ogarnęły ją bez reszty.

Powinna nauczyć się kontrolować tę nową perspektywę widzenia, pozwolić jej dominować, gdy zechce, i odepchnąć, gdy stanie się to konieczne. Angelina podjęła marsz, powoli, otoczona przez ludzi, o których nie wiedziała, że istnieją, zanim w więzieniu nie połączyła *Gry w klasy*. Znalazła się w światach, jakich wcześniej nie знаła. Manuel miał rację.

Manuel! Przystanęła nagle i jakiś mężczyzna wpadł na nią, przeprosił i minąwszy poszedł dalej, w jaki sposób Angelina znajdzie tu cokolwiek lub kogokolwiek? To będzie niezwykle trudne. A Chestera nie ma, żeby pomógł.

Tęskniła za Chesterem. Bardziej, niż można sobie wyobrazić.

Wszystko znikło, zachowało się tylko w nieprzerwanej ulewie fikcji literackiej i jej pomyślonych twórców. Ale teraz nie było wyboru. Literatura stopniowo zdominowała życie Angeliny, wypełniając umysł dezinformacją i zostawiając ją samą, obcą w obcym mieście, na innym kontynencie, daleko od domu.

Świat wizji znikał, zatrzymywał się lub płynął z zastraszającą nieregularnością. Angelina skierowała się do centrum, przechodząc przez obrotowe drzwi dworca. Laska cicho uderzała w trotuar. Kobieta starała się pamiętać ostatni obraz i częstotliwość, z jaką pojawiała się biel, przewijająca się przez każdą wizję niczym rama dla scen napływających do umysłu.

Jeden krok, jedno uderzenie laski, widok ulicy z szesnastego wieku, wąskiej i brudnej. Angelina musiała kluczyć, by ominąć kałuże rozlane na śliskim bruku. Kolejny krok - i mały citroen ruszył prosto na nią, musiała skryć się w przejściu z bramą otwierającą się do wewnątrz.

Potknęła się i zatoczyła na kram z kolorową satyną, przycinaną przez sprzedawczynię. Kolejny krok i Angelina znalazła się w księgarni.

Była wyczerpana, choć przebywała w Paryżu zaledwie od godziny. Pomimo że bardzo

się starała, nie mogła odzyskać spokoju. Serce biło jej mocno, gwałtownie. A co, jeżeli wpadnie w otwarty szyb kanalizacyjny albo na gorący piecyk? Nadal czekała na kolejną, nagłą wizję. Może gdyby została w jednym miejscu, epoki się ustabilizują albo przynajmniej będzie umiała je posegregować i uporządkować.

Poruszyła się i dotknęła czyjejs ręki. Ktoś chwycił jej dłoń.

- Tutaj. - Głos, który usłyszała, nie brzmiał sztucznie, jak większość dźwięków w mieście. Angelina nie wyrwała ręki z uścisku, ale poczuła żal, że nie jest teraz na pampach. To przywołało wyraźne wspomnienia dzieciństwa, gdy tak bardzo różniła się od rówieśników przez nawroty migreny, na którą nie pomagały żadne lekarstwa. Jestem Bajarką - pomyślała. - Jestem Bajarką. Ale nie mogła wydusić słowa. Pozwoliła się prowadzić i posadzić na krześle.

- Czerwone wino poproszę - zamówił głos i ku zaskoczeniu Angeliny przyniesiono jej ulubiony rocznik dwudziestoletniego wytrawnego chilijskiego trunku. - I stek oraz chleb.

Talerz postawiono przed nią w minutę później. Angelina spojrzała i oznajmiła:

- To są krewetki. - Poczowała falę hysterii. Naprzeciw niej siedziała szczupła kobieta, z bardzo długimi, ciemnymi włosami, długim nosem i gęstymi, wysoko sklepionymi brwiami.

- Spróbuj - zachęciła Angelinę. - Jesteś na Montparnasse i, jak myślę, widzisz tę dzielnicę oczyma Hemingwaya. On jest wszechobecny, prawie jak Proust. Obaj często tędy przechodzili i opisywali swoje wrażenia.

Chociaż Angelina otwierała i zamykała oczy, widok siedzącej przed nią kobiety nie ulegał zmianie, podobnie jak stół i krzesła, choć na talerzu nadal były krewetki i coś, co przypominało upieczonego królika. Pomimo wszystko wymacała widelec i uniosła do ust krewetkę, która po ugryzieniu okazała się znakomitym kawałkiem steku. I wino było dokładnie takie, jak lubiła. A kobieta?

- Mam na imię Mian - powiedziała nieznajoma. Nie jadła. Oparła ramiona na stole.

- Dziękuję za lunch. Myślę, że teraz muszę znaleźć miejsce, gdzie będę mogła się zatrzymać. Miejsce, które się nie zmienia. Takie, które łatwo uda mi się zapamiętać.

- Zapewne teraz to najlepsze rozwiązanie. Masz szczęście, że żyjesz. Program *Gra w klasy* zabił kilku ludzi w Paryżu i kto wie, ilu poza miastem. Chociaż prawdopodobnie niewielu. Ale skąd ty go miałaś?

- Mój mąż mi przysłał. Manuel Samazir. - Angelina pomyślała o Louisie i poczuła smutek. Ale o tak osobistych sprawach nie chciała rozmawiać z obcą osobą. - Skąd się dowiedziałas o tym... programie, Illian?

Poczowała się niemal tak, jak gauczowie. Modlili się do Boga, by chronił ich przed małutkimi maszynami, a teraz te same maleńkie nanoboty zmieniły ich señorę nie do

poznania.

Towarzysząca Angelinie kobieta odrzuciła głowę w tył i roześmiała się wesoło.

- Wiem o naprawdę wielu rzeczach, Angelino. Nie jestem tylko ciągłym strumieniem danych. - Pochyliła głowę i spojrzała poważniej. - Możesz się dowiedzieć wiele o tym mieście. Więcej niż o innych miastach na świecie, poza jednym. Nie jestem pewna, czego się nauczysz. Ale wiem, że nikt nie nauczy się tego za ciebie. Uczenie zmienia konfigurację umysłu, otwiera nowe połączenia w mózgu. To samotna podróż, którą każdy człowiek musi przeżyć samodzielnie. Nie wiem, co zrobisz. Nie wiem, jaki będzie rezultat. Ale mam nadzieję, że będziesz mogła nam pomóc. Mam nadzieję, że będziesz CHCIAŁA pomóc. Chociaż nie mam pojęcia, do czego się przydasz i co się może zdarzyć.

- Co to znaczy: pomóc wam? To znaczy komu? - zapytała Angelina, nie kryjąc irytacji.

Ale Illian odeszła. Angelina siedziała teraz przy prostym stole, a naczynia były puste. Ludzie hałasowali, rozmawiali przy stołach, ubrani ciepło, ale obskurnie, odzienie zwisało z nich w fałdach - wyglądali jak szmaciane lalki. Wszyscy mężczyźni mieli obfite brody, a kobiety długie, tłuste włosy.

Za dużo epok, to wszystko. Za dużo przeklętych epok, których doświadcza się tak, jakby to była Teraźniejszość.

Ale Angelina nie mogła już tego przerwać.

No, dobrze. Spróbowała znaleźć nazwę dla widzianej sceny, autora, i jeżeli znajdzie nazwę, wyodrębnić obraz, sprawić, żeby stał się osobny, zewnętrzny w stosunku do rzeczywistości, skatalogować go, utrzymać pod kontrolą. Ale nie umiała. Aż nagle to, co widziała, zmieniło się w obraz wieśniaków siedzących przy stole. Van Gogh. *Jedzący kartofle*.

- Boże! - Uderzyła pięściami w stół. Czy książki, opowieści, nie były już wystarczająco trudnym do zniesienia ciężarem? Czy teraz została naładowana również malarstwem i resztą dziedzin sztuki? Wstała i skierowała się w prawo, prosto do wąskich schodów, przekonana, że na górze na pewno będzie dla niej pokój.

I był.

Zasnęła w ciasnej sypialni Zoli, obudziła się w bajkowym pokoju Audrey Hepburn z jakiegoś filmu. Śniadanie jadła jak Paul Bowles, gdy był gościem Gertrudy Stein i Alice B. Toklas, w ogrodzie. Angelina żyła w tym ciasnym otoczeniu przez tygodnie, starając się pamiętać, gdzie jest łazienka i toaleta, spoglądając w stale zmieniające się twarze i stroje obsługi przynoszącej jej jedzenie, pomagającej się ubrać. Zapomniała o Manuelu, o Louisie i Chesterze, nawet o swoim własnym istnieniu, własnym życiu. To była toksyczna i nieodparta,

wielka rzeka obrazów. Czas, gdy rozpoznawała twarze ludzi, czas spędzony na pampach, gdy była jeszcze ziemską istotą, zanikał, ale budził się za każdym razem, gdy spojrziała w okno i widziała przedmieścia Londynu, albo Nowy Jork Thomasa Wolfe'a, lub Petersburg księcia Andrieja.

Uświadomiła sobie, że każde księstwo na świecie kipiało od opowieści. Nigdy nie będzie dla Angeliny ucieczki. Opowieści chińskie, wietnamskie, japońskie. A tam, gdzie nie było wcześniej ludzi, w końcu się pojawiali i zaczęli tworzyć własne historie o tym, co było. Darwin stworzył spektakularną opowieść o zwierzętach z Galapagos i potem o rozwoju życia. Eiffel opowiedział historię hartowania i gięcia stali na przepiękne mosty i wspinała wieżę. Madame Curie wysnuła opowieści o cząstkach subatomowych.

Kiedy Angelina czuła się bardziej swobodnie, spacerowała uliczkami miasta i jej laska wysysała historie z bruku trotuaru. Opowieści o ruchu oporu podczas wojny sprzed dwustu lat. Historie o zwycięstwie i wolności. Gawędy o ludziach, które wzruszały ją do łez, i inne, przy których wybuchała radosnym śmiechem. Ktokolwiek by ją obserwował, mógłby uznać, że jest obłąkana. Całkowicie.

Ale w końcu Angelina zaczęła powoli panować trochę nad wizjami. Mogła przejść aleją widzianą tylko w jednej epoce, jak choćby usłaną liśćmi parkową ścieżką w stylu angielskim. Mogła obudzić się w blasku słońca i wiedzieć, że chce spędzić życie w tropikach, albo zbudzić się w deszczu i przypomnieć sobie sztorm z poprzedniego wieczora, gdy do portu cumowały statki. Umysł miała nastrojony na częstotliwość opowieści. Rezonowały w niej. Ale mogła je przekazywać przez receptory i utrwać je na różnych nośnikach, uwalniając się od ich nacisku. Brzemie stawało się dzięki temu lżejsze. Angelina miała nadzieję, że pewnego dnia oczyści się z opowieści, by wrócić do białej przestrzeni, ale zdała sobie jasno sprawę, że nawet to miejsce było pełne potencjalnych wizji. Po prostu tam opowieści płynęły tak szybko, że nie potrafiła ich dostrzec inaczej niż jako białej mgły.

Opowieści o uczuciach blakły pod wpływem opowieści naukowych. Te ostatnie powstawały na podstawie przypuszczeń i kolejnych testów, badań, żmudnych dowodów. Opowieści naukowe wiarygodnie tłumaczyły rzeczywistość.

Jedną z historii, jakie poznała, była opowieść o zwiniętych wymiarach. Realia, które mogą nie zaistnieć. Wymiary, które są niewyraźnym elementem fizycznej rzeczywistości, elementem wspomagającym i niezbędnym. Miejsca pełne przejść i bram, jakim zdawał się być również ludzki umysł Angeliny. Nagle zrozumiała, że ludzkie opowieści są jak owe zwinięte wymiary. Są częścią nieustannego tańca energii na powłokach atomu obejmującego wszystko, co rozwinęło się w kosmosie. Świadomość jest nierozzerwalnie wpisanym w tkaninę

czasoprzestrzeni, materialnym aspektem falującej energii. Świadomość lub umysł nie są rozdzielne od materii, nie unoszą się nad nią, jak chciał Newton. Przeciwnie, świadomość jest materią i jest materialna. Jest materią spoglądającą na siebie i zdumioną tym, co widzi. To punkt patrzący na falę i fala spoglądająca na punkt. Świadomość jest kwantowa. Czas zawraca do swojego początku. Czas się rozszcza. Rozsypuje się na poziomach energii, tylko trochę spowolniony, złapany w tym jednym błysku, jakim jest świadomość, obserwator, który sprawia, że energia może być tym lub nie-tym, kotem żywym lub kotem martwym.

Tylko przez emocje budzi się chęć tworzenia opowieści o nauce. Przez uczucie niezaspokojonej ciekawości prawdziwego świata. A opowieści, które Angelina dopiero zaczęła poznawać, miały głębokie implikacje, jakich jeszcze nie rozumiała.

Zapamiętując to, stawała się mostem. Była światłem w ciemności. Istniało tylko jedno miejsce, w którym mogła odpocząć. Jedyne miejsce, skąd mogła przekazywać opowieści, przynosić je dalej. Miejsce, gdzie opowieści nadawały się do użytku i gdzie w końcu mogła poczuć ulgę.

Miasto Półksiężyc. Ale nie była jeszcze gotowa, by tam wyruszyć. Miasto Półksiężyc było na razie kolejną opowieścią, zasłyszana gdzieś w kawiarni lub w wiadomościach, które przyjęła wieczorem, zanim zasnęła. Miasto dopiero czekało - czekało, aż Angelina będzie gotowa. A ona nie była pewna, do czego doprowadzi jej gotowość. Wiedziała tylko, używając jej własnej metafory, że stoi u stóp stromego szczytu i musi zebrać siły, by się nań wspiąć.

Nie wybrała tej ścieżki, ani też ścieżka nie wybrała jej, szczerze mówiąc. Ale mogła poznać sytuację, aby rozważyć różne aspekty i konsekwencje zdarzeń, jak czyniła to w przeszłości, by określić własne miejsce w przestrzeni. Teraz po prostu miała do czynienia z dodatkowym wymiarem.

Angelina uczyła się wywoływać różnych autorów, różne dzieła, co umożliwiło jej poruszanie się po Paryżu. Odkryła, że najbardziej przydatne są stare przewodniki, znajdujące się również w zasobach programu literackiego. Korzystając z nich, mogła podróżować po dzielnicach miasta. Czuła, że wpływa to lepiej na jej literacki skarb niż hipertekstowe mapy, również ukryte w jej umyśle.

Najbardziej zachwycał Angelinę zapach Paryża. Wciągając aromaty świeżo upieczonego chleba, jej umysł płynął z obrazami, wśród których mogła przebierać do woli, a potem podążać za wybraną wizją. Czy stawała się w mieście wieśniakiem, który kradł bułki? Czy była częścią rozgniewanego tłumu, żądającego chleba? Czy to ona ładowała wypieczone fabrycznie bagietki na ciężarówkę rozwożącą pieczywo?

Manuel miał rację. Świat literatury bez wątpienia wyzwolił Angelinę. Czasami jeszcze myślała o odnalezieniu męża, ale równie często rezygnowała. Poczucie winy, być może, z powodu utraty Louisa.

Który nigdy nie dotarł do Paryża, jak się dowiedziała.

Spacerując lewym brzegiem Sekwany, zajrzała do galerii, gdzie wystawiano prace Cezanne'a, Picassa, Cassatta. Angelina wiedziała, że dachy budynków wokoło porastają kwiaty, po niebie latają wielkie pszczoły, a na wieży Eiffla znajduje się regeneracyjne Gniazdo, UI, emitujące dane, które odbierała przez laskę z każdej powierzchni Paryża, jednak tego aspektu miasta nie widziała i ani trochę jej nie obchodził.

Wolała żyć i widzieć epokę, która wydawała się bardziej interesująca - okres mniej więcej od lat osiemdziesiątych osiemnastego wieku do samobójstwa Wirginii Woolf, nie potrafiącej znieść myśli, że zaczyna się kolejna wojna.

Starła się nie myśleć o Chesterze.

KWIECIEŃ 2115

Pewnego ranka, podczas spaceru, Angelina zajrzała do galerii założonej przez brata Van Gogha.

To był jej własny pomysł. Używając literatury - w tym przypadku listów malarza - odtwarzała wizję konkretnej epoki. Stała się częścią Paryża, karmiła miasto wizjami, oczarowywała ich głębią.

Tutaj właśnie odbywały się zebrania Komisji Kultury, która z całego serca popierała plan badań i wdrażania nowych rozwiązań technologicznych. Najwyraźniej, jak powiedziała ta kobieta, Illian, Angelina była jedną z niewielu osób, które w pewnej mierze potrafiły kontrolować program *Gra w klasy*. Właśnie go testowała.

Pod tym adresem, rzecz jasna, na przestrzeni wieków mieściło się wiele innych instytucji, jednak Angelinie wpisany został feromonowy kod, uwypuklający fizyczne cechy i podsuwający nazwy, które kilka miesięcy wcześniej pozostawały głęboko ukryte wśród literackich zbiorów wpisanych w umysł Bajarki.

Wewnątrz powietrze przesycił zapach farb olejnych. Obrazy zapewne wyschły lata temu, lecz charakterystyczna woń, ledwie wyczuwalna i niemal zanikająca, nadal się z nich unosiła w galerii. Angelina zastanawiała się, czy stała się już tak wrażliwa, że mogłaby wyczuć węchem konfigurację fotonów i wyróżnić elementy tworzące bogactwo barw na

obrazach mistrzów.

Kupiła Van Gogha, pierwszy obraz sprzedany przez wdowę po bracie malarza, i zabrała do mieszkania.

Zadomowiła się w końcu. Po żmudnych tygodniach nauczyła się poruszać po apartamencie tak dobrze, jakby to była jej wielka kuchnia w Argentynie. A kiedy wychodziła ze sklepu prosto w słońce przebijające się przez ciężkie chmury i wizje tysiąca pisarzy zlały się w jedną, ograniczoną do zapachu i dokładnego miejsca, z satysfakcją poczuła, że nareszcie jest w Paryżu. Nie widząc, poznawała ulice przez opowieści. Dostęp do takiej wizji nie odbywał się już tylko przez Angelinę, lecz także przez tych, którzy zostali wybrani, by jej pomóc. Co tydzień wypełniała białe plamy na mapie własnego umysłu, poznając nowe miejsca przez pryzmat związanych z nimi historii. Była Bajarką, Kartografem Czystych Uczuć. *Gra w klasy* rozbudziła w niej coś, co wcześniej było głęboko ukryte i uśpione. Aż trudno uwierzyć, że program zabił tak wielu ludzi. Angelina dzięki niemu zyskała pewność i siłę.

Starala się nie wspominać Louisa. To było konieczne. Inaczej mogłaby popaść w krańcową depresję i smutek, zanurzając się w opowieściach sprzed wieków.

Manuel. Cóż... To inna sprawa. O Manuelu po prostu nie myślała.

Miesiąc temu Angelina weszła do kawiarni, zamówiła kawę i *brioche*, drożdżową bułeczkę z masłem. Tego ranka wszystko spowijała biel, więc kobieta mogła się rozluźnić, słuchając brzęku srebrnej zastawy, syku ekspresu, szczęku talerzy. To wszystko miało swój charakterystyczny rytm, podobny do rytmu ptasich treli, jakie słyszała z okien mieszkania. Po śniadaniu chciała popracować nad mapą opowieści. Wymagało to specyficznego wysiłku umysłowego, Angelina jednak czuła, że w tym jednym jest naprawdę dobra.

Wtedy usłyszała głos, który zatrzymał ją w miejscu.

Manuel.

Chciała od razu wstać i zawołać go po imieniu, lecz po tym, co powiedział, zmieniła zdanie.

- Och, tak. Mam żonę. w Argentynie.

- Charmaine tak właśnie powiedziała - odparł damski głos.

Manuel odchrząknął. Zawsze tak robił, gdy był zdenerwowany.

- No, tak... Charmaine. Zerwaliśmy. Naprawdę. A jeżeli chodzi o moją żonę i o mnie, to bardzo się różniliśmy. Nie rozumiała mnie, nie rozumiała, co robię i co chcę robić. I wcale nie rozumiała literatury.

Jak najbardziej. Święta prawda. Jednak Angelina poczuła ukłucie bólu. Czy nie miała

żadnych zalet, nic godnego pochwały, nic dobrego?

Kobieta towarzysząca Manuelowi zastanawiała się nad tym samym.

- Na pewno jednak był powód, dla którego tak długo byliście razem?

- Oczywiście! Kochałem ją. - w jego głosie zabrzmiało lekkie oburzenie.

Nareszcie - pomyślała Angelina.

- A ona kochała mnie. Chociaż tak bardzo się różniliśmy, to było jasne. Jednak myślę, że potem miłość zmieniła się w nawyk. - Westchnął - Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym wrócić do Argentyny, do dawnego życia.

Łzy wypełniły oczy Angeliny. Przejazdźki o wschodzie słońca. Wstawali wtedy bardzo wcześnie i sypiali trochę zbyt krótko, bo nocne godziny spędzali kochając się do utraty sił. O poranku odczuwali słodki ból miłości. Gdy wsiadali na konie i kłusowali wzdłuż skalistych szlaków, słońce kładło im świat do stóp. Obserwowali stada bydła wśród pasm mgły. Miliony takich chwil. A dla niego to tylko nawyk.

Przyniesiono *espresso*, ale Angelina nie tknęła kawy. W napięciu przysłuchiwała się rozmowie.

- ...cie dzieci?

- O, tak. Louisa.

- Angelina rozluźniła się i uśmiechnęła, słysząc w głosie męża dumę. Ale potem dobiegło:

- Wydaje mi się, że wdał się w matkę. Zapewne upodobał się do gauczo - nie myśli o niczym więcej oprócz koni, piwa i bydła. To trochę rozczarowujące, jakkolwiek by było. Próbowałem wpoić mu trochę kultury, ale...

Ledwie poczuła oparzenia, gdy *espresso* wylało się jej na kolana. Dwoma krokami pokonała dystans do stolika Manuela potrącając kelnerkę (stąd zapewne brzęk potłuczonych naczyń) i złapała męża za marynarkę. Szarpnęła, zmuszając go, by wstał. Wiedziała, że to Manuel, zobaczyła go na ułamek sekundy. Kobieta westchnęła głośno: „Och!”.

- Dzięki tobie Louis nie żyje! - wykrzyknęła, mając nadzieję, że patrzy mu w twarz, choć przypuszczała raczej, że bezsensownie wbija wzrok w okno. - Wolałabym, żeby robił coś tak światowego, a zarazem bezużytecznego i nudnego, jak życie, ale niestety jest inaczej.

- Angelina? - w głosie Manuela usłyszała niedowierzanie. - To naprawdę ty? Nie wyglądasz na...

- Tak, to ja. Nie martw się, nie zamierzam się mieszać w twoje nowe życie.

- Właśnie widzę. - Mąż wyprostował się natychmiast, gotów do walki. Ale zaraz w jego słowach zabrzmiał prawdziwy lęk. - Nie wierzę, że Louis nie żyje! Jak to się stało? Spadł

z konia czy...

- Znam ją! - wtrąciła towarzyszka Manuela. - To Bajarka. Mapuje i bada program...

- Zamknij się! - Manuel i Angelina warknęli jednocześnie, idealnie zgodni w tej jednej chwili. Mężczyzna mocno ścisnął dłoń żony.

- Co się stało? - spytał z naciskiem, natarczywie.

- To ta książka. Książka, którą przysłałeś. *Gra w klasy*. Louis połknął nośnik z programem i wyjechał do Buenos Aires.

- Bez wątpienia zatrzymał się u tej bogatej ciotki. Jak ona się nazywa? Clarissa.

- Na początku owszem. Ale zabukował bilet na statek płynący do Paryża. Chciał się dostać tutaj, do ciebie.

- Ale... jak mogłaś na to pozwolić? Ile miał lat, gdy przysłałem książkę? Szesnaście?

- Siedemnaście. - Zdusiła gorzki śmiech. - Obwinił mnie o twoje odejście. Myślę, że słusznie.

Ramiona Manuela objęły ją mocno.

- Tak mi przykro - wydusił cicho. - Gdybym wiedział. Nigdy nie powiedziałbym tego... tego, co mówiłem.

Angelina odsunęła się, ukryła dłonie w kieszeniach.

- Oczywiście, że nie. - Hipokryta. Właśnie tego mężczyzny szukała, przemierzając pół świata? Takiego go nie znała. Oczywiście wszystko wyglądało teraz inaczej. Oboje byli już innymi ludźmi. Angelina musiała szczerze przyznać, że nigdy nawet by nie pomyślała o przyjeździe do Paryża, gdyby nie porwanie i *Gra w klasy*. I gdyby nadal panowała nad swoim małym światem. Ale teraz tworzyła zupełnie inną, nową opowieść, właśnie dzięki Manuelowi. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, ale zdecydowanie inaczej.

- Problem w tym, że Louis zaginął bez śladu.

- Bez śladu?

Nie, oczywiście, był ślad. Dziwaczna bajeczka Chestera o transmisji radiowej. Rosnący i jaśniejący księżyc przy łóżku Angeliny.

Uświadomiła sobie naraz, że jest teraz lepsza w tej grze niż Manuel. Mogłaby zalać go potokiem literackich myśli i obrazów z całego świata, by przekazać mu metaforycznie, co się prawdopodobnie stało z Louistem. Mogłaby stopniowo i precyzyjnie przejść do własnych wątpliwości i nadziei. Umiałaby rzucić Manuelowi jedną celną ripostę, która przygniotłaby go do dna na długie tygodnie i wymusiła poczucie winy. A na koniec dodałaby jeszcze własną rozpacz, gniew i rozczarowanie.

Ale nie powiedziała ani słowa.

Odwróciła się, próbując wrócić do swojego stolika. Może znajdzie tam laskę. Nie widziała teraz nic oprócz bieli. A pomiędzy fotonami była czysta, głęboka ciemność. Po policzkach płynęły jej łzy.

- Angie. Proszę... - Manuel chwycił ją za ramię. Wyrwała się. - Co ci jest?

- Nie widzę.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Trawił to, co powiedziała, przez kilka sekund.

- Trudno w to uwierzyć. Jesteśmy w Paryżu. Możemy sprawdzić, co ci się stało, i przywrócić cię do poprzedniego stanu.

- Nic mi nie jest. Nie jestem chora. Nie chcę wracać do poprzedniego stanu.

- Więc jak, na Boga, mamy znaleźć Louisa? Przecież nie widzisz? Mówię ci, tutaj można wszystko odwrócić, wyleczyć, naprawić. Wszystko. Musimy odszukać Louisa. Mówiłaś, zdaje się, że wybierał się do Paryża?

Przystanęła biorąc głęboki wdech. Powinna mu to powiedzieć zwyczajnym, prostym hiszpańskim.

- Myślę, że Louis nigdy nie opuścił Argentyny. Sądzę, że zmienił się w światło.

Manuel puścił jej ramię.

Usłyszała, jak kobieta, która przyszła z jej mężem, pyta:

- Co to znaczy? Luz? Światło? Ona oszalała. Potrzebuje pomocy. Musimy wezwać pomoc...

A Manuel odpowiada:

- Jeżeli jest obłąkana, to będzie się przy tym, co mówi, upierać. Uparta, szalona kobieta. Znam ją, wierz mi. Nic nie poradzimy. Chodźmy. Muszę znaleźć mojego syna. Moja żona nie zamierza mi pomóc.

Angelina poczuła, że Manuel odchodzi. Tym razem na zawsze.

- Proszę bardzo, szukaj Louisa! I znajdź go! - krzyknęła za nim, a przynajmniej miała nadzieję, że jej słowa towarzyszyły mu w ucieczce.

On ma rację - pomyślała, kręcąc się bezmyślnie, aż poczuła klepnięcie w ramię.

- Madame, pani laska - powiedziała kelnerka. Angelina ujęła cylindryczną rączkę i poczuła, że wizja wróciła.. Niewielka, niezbyt wyraźna. Tylko podłoga, ściany, ostre światło za oknami, ale żadnych szczegółów.

- Przepraszam za zamieszanie.

- To nie pani wina - odpowiedziała kelnerka. - Ten facet to świnią.

Angelina westchnęła.

- Ależ nie. Jest w porządku. Po prostu niełatwo jest się pogodzić z tym wszystkim.

Opadła na krzesło. Oparła się wygodniej i zatraciła we wspomnieniach o Louisie. Louis jako dziecko, Louis bawiący się z ojcem na podwórzu w słoneczny dzień. Angelina powstrzymywała się od płaczu.

Cała ta literatura, którą nosiła w umyśle, wszystkie opowieści, były niczym. To tylko nieustający świergot ptasiej gromady. Historie stanowiły jedynie sposób, by człowiek miał poczucie swojego miejsca w czasie i przestrzeni, były jak uspokajające sygnały, jak dowód na istnienie innych ludzi, jak zwierciadło.

Ale ten poranny incydent sprawił, że pragnienie Angeliny, by odnaleźć męża, zniknęło.

MAJ 2115

METAMORFOZA

Pewnego ranka, podczas zwiedzania kolejnego nieznanego miejsca w Paryżu, schodząc z krawężnika Angelina usłyszała krzyk i odgłos biegnących kroków. Została popchnięta, jakiś mężczyzna całym ciężarem przygniótł ją do ziemi. Wiedziała, że to mężczyzna, choć nie mogła go zobaczyć. Uderzyła twarzą w trotuar.

- Przepraszam, tak mi przykro, proszę wybaczyć. - Nieznajomy ujął jej ramię i pomógł wstać. - Masz posiniaczoną twarz. Zabiorę cię do przychodni.

W Paryżu przychodnie znajdowały się w każdej dzielnicy: małe punkty szpitalne, łatwo dostępne i rozrzucone gęsto, na wypadek zagrożenia zdrowia.

- Samo się zagoi - powiedziała Angelina.

- Prawie weszłaś na jadący skuter - odpowiedział z wyrzutem mężczyzna. - Nie sądzę, żeby miał włączony biper.

Ponieważ pojazdy poruszały się niemal bezszelestnie, prawo nakazywało, aby miały generatory dźwięków wysokiej częstotliwości.

- Przynajmniej pozwól, że wytrę ci krew.

- Chester?! - Cofnęła się zaskoczona, a potem znowu stanęła na krawężniku. Chwyił ją za ramię, a Angelina mimowolnie objęła go w pasie. Stał pewnie, spokojnie. Pod palcami poczuła szorstkość marynarki, pod nią zapewne nosił tylko cienką koszulę.

- Chester?

Może to był głos, może ślad akcentu, a może coś, co przypominało Angelinie lalkę. Zaraz jednak opuściła ręce i cofnęła się, tym razem starannie unikając krawężnika.

- Dziękuję. I przepraszam. Po prostu przypominał mi pan kogoś, kogo znałam.

- *Kogoś?* - Głos zabrzmiał przekornie. - *Czy coś?*

A Angelina chwyciła go za połą marynarki, objęła mocno i przytuliła.

- Przestań ze mną żartować - wydusiła, wybuchając płaczem. - Czułam się taka

zrozpaczona, kiedy cię straciłam. Wyobrażałam sobie, że wyrzucono cię na śmietnik. A teraz... Teraz jesteś prawdziwy! - Poklepywała go po bokach, dotykała twarzy. Wreszcie się odsunęła.

- Tak - powiedział z powagą - teraz jestem prawdziwy. Podmuch wiatru uderzył Angelinę w plecy, nie mogła trzymać się z daleka od tego cudu, który się jej właśnie objawił.

- Jak Pinokio.

- Coś w tym rodzaju. - Jego głos brzmiał teraz ponuro.

- Zostałem ukarany, naprawdę ukarany za to, że chciałem być prawdziwym chłopcem.

- Ale jak? Dlaczego? Musisz mi opowiedzieć. Jak to się stało, na Boga, że tu jesteś?

- Śledziłem cię - wyznał - parę miesięcy.

- Miesiące! Teraz mam wrażenie, że cię porzuciłam! - odparła.

- Porzucanie jest złe - powiedział ciepłym tonem i oboje się roześmiali. Angelina poczuła się trochę niezręcznie, stojąc tak na ulicy.

- Jak teraz wyglądasz? - spytała w końcu.

- Och, jestem wysoki. Rude włosy. Jasna cera. Piegi. Ciężko to opisać. Wyobraź sobie... Albo nie. - Ujął jej dłonie, położył sobie na ramionach. Szybko poruszył nimi w górę i w dół, a Angelina ponownie wybuchła śmiechem.

- Wzruszenie ramion! Chester, to nie do wiary! Jak to się stało?

- Nie możemy tak stać. Niedaleko jest hotelik. Przypuszczam, że znajdzie się tam miejsce, gdzie będziemy mogli usiąść. Może nawet jest restauracja.

- Świetnie - zgodziła się. - Czy gdzieś tu nie leży moja laska?

- Zobaczmy... Tak. Proszę. - Usłyszała, jak wziął nagły, szybki wdech. - To boli, Angelino. Co jest w tej lasce?

- Prąd - odpowiedziała, gdy pośpiesznie wcisnął jej urządzenie w dłoń. Ulica była pusta.

- Tędy. - Szybko przeszli przez jezdnię.

- Och - odezwała się, gdy przekraczali drzwi - James Joyce tutaj nocował. I Nora. I dzieci. Ach, miałabym tu sporo pracy. - Skierowała się do niebieskiej sofy i już miała usiąść, ale Chester ponownie chwycił ją za rękę.

- Tu jest krzesło. - Posadził ją. - Prawie usiadłaś na stole.

Dobiegł ją szelest. To Chester przesuwiał po dywanie drugie krzesło.

- Poczekaj tu.

Usłyszała oddalające się kroki. Wrócił po chwili z wilgotnym, zimnym ręcznikiem, który przyłożył jej do twarzy.

- To powinno pomóc. Siedzę tuż obok ciebie.

- Weź mnie za rękę - poprosiła i Chester pochylił się, obejmując palcami jej dłoń. - To cudowne. Ale, Chester, jestem kompletnie zaskoczona. I podniecona. Zamartwiałam się o ciebie. Nie rozumiem, po co mnie śledziłeś? Nie musiałeś. Mogłeś mnie powiadomić, że tu jesteś.

- To było nieuprzejme, przyznaję - odpowiedział - ale odkryłem, że jestem trochę nieśmiały.

- Ty? Nie wierzę!

- Musiałem się przystosować - wyjaśnił. - Nie wiedziałem, jakim człowiekiem mam się stać.

- Co się z tobą działo w Hiszpanii?

Westchnął.

- Pokojówka znalazła mnie na tarasie po tym, jak ciebie zabrano do szpitala. Zapytałem ją, jak się czujesz i co z tobą będzie. Wrzuciła mnie do kosza z rzeczami znalezionymi. Przyszła następnego dnia i powiedziała, że najpewniej wyzdrowiejesz. Poprosiłem ją, żeby zaniósła mnie do szpitala, bo należę do ciebie.

- Ale tak się nie stało.

- Nie. Jednak nie mogłem tego zrobić. Mówiłaś o powrocie do Argentyny i o tym, że nie wrócisz do pociągu. Nie mogłem tego pojąć. Kiedy byłem w pociągu, czułem się bardziej żywy, bardziej realny. I wierzyłem, że jeśli tylko pojedę nim do tego cudownego miasta, stanę się naprawdę prawdziwy. Stanę się człowiekiem. Chciałem do ciebie wrócić. I zrobiłem wszystko, co można. Ale czy mogłem wiele, skoro byłem tylko porzuconą lalką?

- To nieprawda! Zabrałabym cię...

- Nie, Angelino - odpowiedział łagodnie. - Nie chodzi o to, że byłaś okrutna. Po prostu myślałaś o mnie jak o lalce. O swojej lalce. Jak o własności. O czymś, co można mieć i dysponować tym wedle woli.

- Ale starałam się... Słuchałam cię... Ja...

- Już dobrze. Dobrze. - Ale usłyszała gorycz w jego głosie i ogarnęło ją poczucie winy, ponieważ wiedziała, że Chester mówi prawdę. Współczuła mu bezgranicznie.

I czuła coś jeszcze.

Podniosła się z krzesła i stanęła przed nim, używając rąk do orientacji, a potem pochyliła się i objęła go mocno, przyciskając twarz do jego policzka i - na moment - usta do ust.

- Chester...

Ale on przyciągnął ją mocno, objął silnym uściskiem ramion. Pocałował ją raz, nieśmiało, a Angelina odpowiedziała chętnie, zaskoczona i uszczęśliwiona. Ten dzień był cudowny, w chwilę później Chester poprowadził ją po wąskim dywanie obok słodko pachnących kwiatów, z oddali słyszała, że rozmawia z obsługą, potem dobiegł ją krótki dzwonek windy, kiedy zasuwały się drzwi. Widziała je. Potem była jazda na górę i pocałunek, zanim wyszli z kabiny.

Gdy znaleźli się w pokoju, gorączkowo pozbyli się ubrań. Angelinie wydawało się, że Chester jest wszędzie wokół niej, jak tornado, a potem nagle znalazł się w niej. Krzyknęła. I znowu. Pieścił jej twarz, dotykała go i śmiała się z jego nosa, uszu, a potem się kochali i spali aż do popołudnia. Obudzili się głodni, zamówili posiłek, a potem znowu się kochali.

W końcu zaczęli rozmawiać.

- Dzisiaj opowieści mi nie przeszkadzają - powiedziała Angelina. - Cieszę się, choć nie wiem dlaczego.

- To chyba przeze mnie - odparł. - Może we mnie nie ma żadnych opowieści. Kiedy mnie dotykasz, nic się nie dzieje, prawda?

Usiadła, opierając się o wezglowie łóżka.

- Może. Ale myślę, że na ich powstanie trzeba czasu. Mówiłeś, że obserwowałeś mnie przez kilka miesięcy. Jak długo trwało to u ciebie?

- Jak długo trwało, zanim stałem się prawdziwy? - Usiadł przy niej, ich ramiona się zetknęły. - Około dwóch tygodni. Od razu, jak tylko się tu znalazłem. Zaczęło się jeszcze w pociągu.

- Pokojówka zabrała cię do pociągu?

- O, tak. Ale zboczyliśmy z tematu. Przyznaję, jestem zaskoczony. Uprawiałem wcześniej seks tylko dwa razy. Żeby zobaczyć, jak to jest.

- I co? - droczyła się Angelina. - Jak ci się podobało?

- No... - odpowiedział poważnie - było interesująco, po prostu, żeby się nauczyć albo podjąć aktywność fizyczną.

- Jak chodzenie. Albo mówienie. Albo granie na fortepianie.

- Dzisiaj było trochę inaczej - zapewnił.

- A wcześniej byłeś w pociągu.

- Przekazano mnie do pociągu. Najpierw znalazłem się na stosie bagaży i bałem się, że znowu zostanę wyrzucony Ale pojawił się tragarz. Podniósł mnie, a ja opowiedziałem o moim problemie. Tragarz też nie był prawdziwy, więc mnie zrozumiał. Powiedział, że mogę znaleźć azyl w pociągu, tak jak on.

- Też był lalką, jak ty?

- Nie. Został stworzony jako pomocnik. Na krótko stał się człowiekiem, ale uznał, że woli być służącym. Wyznał mi, że troszczenie się o siebie i myślenie było bardzo nieprzyjemne i dlatego woli być tym, czym jest.

- Ty nie miałaś takiego problemu.

- Kompletnie zgłupiałem, gdy mi to powiedział. Ale zabrał mnie do wagonu pasażerskiego. Ta mała Niemka, którą wcześniej spotkaliśmy, poznała mnie. Zaczęła się ze mną bawić. To było przerażające.

- Myślałam, że ją polubiłeś...

- Oczywiście, że tak. Ale ta dziewczynka polubiła mnie jako lalkę. Tak samo jak ty. Zacząłem się bać, że zechce mnie zatrzymać i pozostanę tylko lalką. Tego nie miałem w planach. Obawiałem się też, że jej rodzice mogą mi przeszkodzić. Pewnej nocy leżałem na półce, gdzie zostawiła mnie dziewczynka. Byłem smutny. Zacząłem mówić do siebie. Dochodziłem do wniosku, że bez pomocy ludzi nie uda mi się dostać do miejsca, gdzie mógłbym się stać człowiekiem. I wtedy półka owinęła się wokół mnie. Myślałem, że to koniec. Ale wyciągnięto ze mnie esencję, osobowość. I stworzono ciało. Dano mi do zrozumienia, że wszystko to zrobił tragarz. Dla mnie. Po prostu przysługa dla pasażera. Słyszałem, jak gdzieś w oddali dziewczynka krzyczy, ale nawet jej rodzice nie mogli wyciągnąć mnie z kokonu, choć czułem, że próbują. A kiedy w końcu się obudziłem, byłem w Paryżu, nagi, i miałem ciało, a obok mnie leżała...

- Nie płacz - poprosiła Angelina, wycierając mu łzy płynące po policzkach.

- To byłem ja - wyszeptał. - Mały Chester. Taki mały, biedny i martwy.

- Ale nie naprawdę.

- Naprawdę. Coś wtedy utraciłem. Myślę, że niewinność.

- Lecz także wiele zyskałeś.

Pocałował ją.

- Z całą pewnością.

*

Angelina tak przywykła do fragmentarycznych wizji, że poświęcała im uwagę tylko wtedy, gdy chciała. Ale bardzo mocno pragnęła zobaczyć Chestera.

- Ale czemu? - spytał tydzień po ich pierwszym spotkaniu. - Powiedziałem ci, jak wyglądam.

- Bo chcę.

Wybierał się właśnie do pracy, wychodząc z mieszkania, które razem wyszukali.

Kiedy oznajmił Angelinie, że pracuje, była zaskoczona.

- Praca?! Wielkie nieba, czym się zajmujesz?

- Czymś zupełnie niedorzecznym! - przyznał z typowym dla siebie ironicznym uśmiechem. - Do czego jednak jestem doskonale przygotowany.

- Czyli?

- Jestem przedszkolanką.

Mieszkali razem. Angelina szukała i porządkowała opowieści, Chester uczył nieliczne w Paryżu dzieci dobrych manier i obycia. Dorastał, tak jak i one - myślała Angelina, gdy pewnego razu siedziała w klasie. Dzieci traktowały go z niezmiennym entuzjazmem i miłością. A Angelina od wieków nie czuła się tak szczęśliwa. Cudownie było mieć kogoś, z kim się leżało nocą w łóżku, spacerować wieczorami po średniowiecznym Paryżu, gdzie można było poznać historię dawnej muzyki, napawać się doskonałą harmonią katedry Notre Dame. Bajarka planowała w niedługim czasie poszukać opowieści o nieco młodszej muzyce.

Ale Chester nie był szczęśliwy. Zaczął się o nią niepokoić.

- Tylko trochę - mówił na początku gderliwie. - Jesteś taka samolubna.

- Wcale nie jestem samolubna. Martwię się o ciebie. Ja mogę objąć wszystkie te informacje. Jestem odmienna.

- Nie sędzę, by ktokolwiek mógł być bardziej odmienny niż ja. - zripostował.

- W Paryżu są łącza...

- Nie chcę ich. Chcę ciebie! Trochę od czasu do czasu. Przecież to ten sam rodzaj połączeń, dzięki któremu jestem w tym ciele. Chcę być w pełni człowiekiem, Angelino. Staram się, ale to trwa za wolno. Także ze względu na dzieci; chciałbym być lepszym wychowawcą...

- Nie opowiadaj bzdur.

- I dla nas.

- Jestem zupełnie szczęśliwa.

- Bo jesteś spełniona. Jesteś ode mnie starsza. Wiesz więcej. Jesteś kimś więcej.

- Chester... - Poczula się całkiem bezradna. - Nie potrafię sprawić, byś wiedział więcej.

Nie mogę uczynić, abyś stał się starszy. Czego ode mnie żadasz? Żebym dostała amnezji?

- Chcę być częścią ciebie, chcę, abyśmy wspólnie w tym uczestniczyli - powiedział z uporem, jak dziecko.

- To nie zabawa, Chester. Tylko ludzie tacy jak ja mogą się tego podjąć.

- Ach, tak. Sławetne DNA. Ten stworzony przez Sygnał mózg, tak unikalny.

- Jest unikalny. Niestety. Co więcej, przeszłam przez różne stadia dojrzewania, jak zwyczajny człowiek, a moje ciało modelowane jest większe niż u innych...

Dowiedziała się tego, gdy tylko znalazła się w Paryżu. Takie informacje na całym świecie nie były łatwo dostępne.

- Ależ, Angelino, ja też muszę się rozwijać, dojrzewać. Rozpaczliwie tego pragnę. Jest tyle progów, które muszę przekroczyć. Tyle drzwi, które trzeba otworzyć. Zapominasz, że byłem lalką. Lalką, Angelino. Już się trochę zmieniłem, a ty nawet nie zauważyłaś.

- Zauważyłam, Chester - odpowiedziała sucho. - Ale to co innego.

- To nie jest coś innego. - Włożył płaszcz i usłyszała tylko trzaśnięcie drzwi.

Wrócił po kilku godzinach. Jedyne, co powiedział, to:

- Jest późno, jestem zmęczony.

Położyli się bez dalszych dyskusji. Angelina objęła go, ale odtrącił jej dłoń.

- Nie czuję się najlepiej.

- Ale już się nie dąsasz, prawda? - Dotknęła jego czoła. - Masz chyba lekką gorączkę.

Przyniosę ci coś...

- Nic mi nie jest - odparł krótko. - Nic nie możesz zrobić. Śpij.

- Dobrze - zgodziła się, po czym posłusznie zamknęła oczy i zasnęła.

*

Obudziła się nagle, słysząc, jak łomocze jej serce. Ale było coś jeszcze. Światło.

- Louis! - krzyknęła, odrzucając przykrycie. Wskoczyła z łóżka i pobiegła w stronę jasności, ale zahaczyła o krzesło i upadła. Światło znikło. Przy Angelinie pojawił się Chester.

- To był Louis. - Drżała.

- Widziałem.

- To niemożliwe - zaprzeczyła.

- Ponieważ to ty jesteś inna? - zapytał, ale bez gniewu, łagodnie. - Pamiętaj, Angelino, ja także byłem radiem. Nadal jestem. Chciałem się upewnić, że tę część mnie uda się zachować, i powiedziano mi, że można to zrobić. To jest Paryż. Jesteśmy częścią ogromnej anteny, rozciągniętej przez całą Europę. Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

- Muszę iść. Teraz. - Pośpieszyła do drzwi, ale zawadziła o coś i musiała się przytrzymać łóżka. Powoli osunęła się na posłanie i próbowała sobie przypomnieć, gdzie co jest. Ale nie miała czasu, musiała się spieszyć.

- Gdzie są moje buty? Czy zaczęło padać?

- Dokąd się wybierasz?

- Na wieżę Eiffla.

- Jest trzecia nad ranem.

- Zejdź mi z drogi.

- Nie stoję ci na drodze. Podaję ci buty. Proszę. Dobrze. Żadnych ubrań, moja droga? Ta koszula nocna jest chyba troszkę za cienka. Nie, uspokój się. Proszę. Spodnie. Znakomicie. Teraz skarpetki. Sweter. Dobrze. A teraz moje buty...

- Nigdzie nie idziesz.

- No to nie. - Usłyszała, jak wrzuca rzeczy z powrotem do szafy. Włożyła buty, zawiązała, zapięła sweter trzęsącymi się rękami i skierowała do drzwi. Trafiała jednak na ścianę. Ramię Chestera objęło ją w talii, a pocałunek na policzku tchnął zdumiewającym spokojem.

- OK. Jestem gotów. Angelino, jestem ci potrzebny. Nieważne, co o tym sądzisz.

- Jasne, że cię potrzebuję - powiedziała i usłyszała, jak się zachłystuje oddechem. Odwróciła się i objęła go mocno. - Jasne, że tak.

Pochylił głowę i oparł się o Angelinę na chwilę. Potem się wyprostował.

- A zatem chodźmy. Do Miasta Światła.

Miasta Louisa - pomyślała, jednocześnie uradowana i zmartwiona, nie potrafiąc zrozumieć własnych uczuć.

*

Ulice były zatłoczone rowerami i szybkimi samochodami. Chester i Angelina szli pieszo szybkim krokiem. Kobieta trzymała laskę na ramieniu, z Chesterem jako przewodnikiem mogła się poruszać dużo szybciej.

- Wieża świeci - powiedział z zachwytem. - Szkoda, że tego nie widzisz. Jest taka eteryczna!

Angelina opuściła laskę.

- Ach. Rzeczywiście... teraz widzę!

Wokół nich rozbrzmiewały odgłosy zabawy i świętowania. Muzyka, taniec, klaskanie, brzęk tłuczonego szkła.

- Ale co tu się właściwie dzieje?

- Może... oblewają opracowanie najnowszej koncepcji czasoprzestrzeni, o której ci wspomniałem jeszcze w pociągu? Stało się coś ważnego, w każdym razie. Nie tylko my wyszliśmy na ulicę. Słuchaj! - Poprowadził ją trotuarem w kierunku hotelu w stylu art deco. Goście otwierali okna, z każdego pokoju rozlegała się muzyka.

- Amerykański jazz! - oznajmił Chester.

- Tommy Dorsey - dodała kobieta, która stanęła obok.

Angelina oparła laskę o chodnik i poczuła, jak przebiega przez nią lekki prąd. Odwróciła się w stronę budynku i prąd stał się mocniejszy.

Kiedy tak stała przed zatłoczonym frontem hotelu, dźwięki umilkły na chwilę, a potem połączyły się w jedną melodię.

Na początku była odległa i cicha, ale stopniowo narastała, wypełniona rytmemi, które zdawały się różnić od siebie całkowicie, jak rzeka płynąca naprzód, lecz zarazem kręcąca się wśród wirów, w polu widzenia Angeliny była jedynie czysta biel, zaraz jednak wypełniły ją symbole i liczby, rozbłyskujące tak szybko i intensywnie, że nie mogła skupić wzroku. Mimo to czuła, że je przyjmuje, jakby spożywała eteryczny posiłek - tak bardzo symbole wydawały się namacalne, istotne i tak esencjonalne. Zniknęło ciało Angeliny, zmieniło się w ciąg liczb. Czas nie istniał. A jednak, gdyby tylko zapragnęła, mogłaby zobaczyć wszystkie czasy; jej czas, czas innych osób, chwile pełne emocji, które zapisały się w umyśle dzięki wrażeniom zmysłów. Potężna muzyka nie niosła nic oprócz uporządkowanych częstotliwości. Nic oprócz światła, w tej jednej chwili Angelina czuła więź ze wszechświatem. Chwila doskonałości. Zawsze istniała. Bajarka zawsze chciała, by istniała.

*

- Angelino! - Chester uderzył ją w policzek, zabolalo. Otworzyła oczy i ujrzała biel, ale otoczył ją dobrze znany, bliski zapach, ostry i mocny. Odetchnęła głęboko i poczuła na twarzy oddech towarzysza, wzdychającego z ulgą. - Dobrze się czujesz?

- Gdzie jestem?

- Na ławce w parku.

Dźwięki powoli stawały się czyste, a chłodne powietrze nocy niesło orzeźwienie. Usiadła przy pomocy Chestera i opuściła nogi na ziemię.

- Ach! To ten mały park, który mineliśmy. - Była przemoczona i zmarznięta.

- Tak. - Objął ją ramionami. - Co się stało?

Angelina słyszała ryk tłumu i muzykę dobiegającą z ulicy.

- Nie wiem. To była jakaś fala. Nie potrafię opisać.

- Czułem ją trochę. - w głosie Chestera brzmiało rozczarowanie. - Może jak dłużej z tym pożyję, dojrzeję wystarczająco, by zrozumieć więcej.

- Pożyjesz z czym?

- Z niczym.

- Chester, przestań myśleć, że jesteś niewystarczający albo niedorobiony.

- Jestem. Ale nie będę. Choć może zawsze jest coś więcej...

- Mam nadzieję - powiedziała. - Chodźmy, czuję się już dużo lepiej. Zabawmy się.

Podnieśli się z ławki i ruszyli w stronę muzyki.

*

Następnego nocy wieża Eiffla nie świeciła, podobnie kolejnej. A Chester nie poszedł do przedszkola.

- Dzieci nie będą za tobą tęsknić? - spytała Angelina.

- Są inni wychowawcy - odpowiedział, leżąc na kanapie.

- Ale dlaczego jesteś taki zmęczony? Nie rozumiem... Jesteś chory?

- Niezupełnie.

- Skoro wiesz, czemu mi nie powiesz?

- Dodałem sobie pewną genetyczną modyfikację.

- Co?

- To, co słyszałaś. Na dzień przed tą imprezą w centrum. Imprezą, którą nie do końca pojmuję... Dobrze się czujesz?

- To niebezpieczne, Chester. Co ci zmodyfikowali?

- Jestem taki jak ty - powiedział cicho. - Właśnie przez to przechodzę.

Angelina westchnęła, przypominając sobie dzieciństwo i dorastanie przepełnione powracającymi bólami głowy.

- Świetnie. Mam nadzieję, że przyniesie ci to więcej radości niż mnie.

- Tak myślę. Pomimo fizycznych dolegliwości. Jak sądzisz, co się stało zeszłej nocy?

- Cóż...

- Dobrze. Opowiem ci, jak ja to odebrałem. Przez krótką chwilę działało radio, prawda? I wtedy coś się stało mnie. Niewiele, bo nie było silne, ale czułem to. Moja modyfikacja genetyczna działała dopiero od kilku godzin. Odebrałem przekaz na nowej częstotliwości. I widziałem. Przyszedł z nieba.

- Kto?

- Może raczej „co”. To było jak ogromny rezerwuuar czasu, który spływał na Ziemię w... w wielkich snopach światła. Oczyma nadal odbierałem tę częstotliwość, właśnie dlatego wszystko widziałem. Ale... w jakiś sposób czułem, że jestem na zewnątrz tego, co się dzieje. Jakby każdy oprócz mnie - w głosie Chestera pojawiło się przygnębienie - mógł się napić... z tego źródła... z którego bije muzyka czasu i światła. Wszelkie możliwe kompozycje i wszechobecna harmonia.

Angelina musiała przyznać, że również to czuła. To było jak przebudzenie. I teraz wszystko wydawało się o wiele bardziej realne. Jakby świadomość się poszerzyła i rozwinęła. Pomyślała o średniowiecznych filozofach i o wymyślonej przez Augustyna definicji Boga -

po prostu coś, ponad co nic większego nie można sobie wyobrazić. Być może ludzie fizycznie nie byli zdolni do zrozumienia.

Może ich umysły trzeba było zmienić, by umożliwić prawdziwe rozumienie czegoś, co zawsze, od wieków, zdawało się poza zasięgiem pojmowania, niezależnie od sposobu, w jaki było opisywane lub definiowane.

A Chester starał się poddać tej zmianie ze wszystkich sił.

- Chciałbym odwiedzić Miasto Półksiężycy - mówił właśnie. - Może tam stanę się w pełni człowiekiem. Więcej niż człowiekiem. Angelino, coś się dzieje. Coś, co będzie... wyższym stopniem rozwoju. A ja pragnę osiągnąć ten stopień. Słyszałem, że zbiera się grupa, która wkrótce wyrusza.

Nie myśląc, krzyknęła:

- Nie! Nie możesz wyjechać! To zbyt niebezpieczne!

Roześmiał się.

Uznała, że powinna nieco złagodzić ton.

- Nie chcę cię stracić.

- Więc to ty mnie zostawisz i nigdy się już nie spotkamy? Znakomite rozwiązanie.

Angelino, mówiłaś o wyjeździe. Mówiłaś przez sen.

- Naprawdę? Sądzę, że się nad tym zastanawiałam. Ale mimo wszystko ty masz wybór, Chester. Ja nie. To nic przyjemnego. Mogę być jak leming. Dopóki masz wybór, powinieneś się temu opierać.

- Ale muszę się troszczyć o ciebie.

- Bez ciebie też świetnie sobie dawałam radę.

- Oczywiście. Prawie wpadłaś pod samochód.

I przerculali się argumentami aż do następnego wieczora, gdy poszli na spacer wzdłuż kanału przy Notre Dame. Chester powiedział wtedy:

- Proszę tylko o jedno, Angelino, żebyśmy w tym uczestniczyli. Tylko to. Nie wierzę, że coś stracisz. I chciałbym mieć nadzieję, że czujesz zew równie mocno jak ja.

A kiedy ją objął, zrozumiała, mówiąc jednocześnie:

- To coś, czego i ja pragnę, Chester. Cieszę się, że pójdziesz ze mną. Cieszę się, że chcesz się stać człowiekiem. I czymś więcej niż człowiekiem.

Nie, żeby miała wybór, kiedy to się zaczęło. Uświadomiła sobie jednak, że mimo wszystko czuje ogromną wdzięczność.

*

Kilka dni przed wyjazdem Angelina usłyszała pukanie do drzwi. Przygotowywała

właśnie miętową herbatę.

- Proszę! - krzyknęła, myśląc, że to Gloria, sąsiadka, która często do niej wpadała. -

Drzwi są otwarte!

Rozległy się niepewne kroki.

- Dzień dobry?

Angelina odstawiła filiżankę na stół, żeby jej nie potłuc, ale nie cofnęła ręki.

- Manuel?

I wtedy wszedł do kuchni i stanął blisko. Poczwała bijące od niego ciepło. Pachniał tak bardzo znajomo. Wstrzymała oddech. Nie chciała mieć z nim do czynienia. Już nie.

- Angelina. Przepraszam, że wpadam tak nagle. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Znalazłem Louisa.

- Louisa!

- Tak. Pozwól, że ci pomogę. Możemy usiąść w salonie?

- Poradzę sobie.

Manuel wziął ją pod ramię i zwinnie posadził w klubowym fotelu, nawet podsunął jej podnózek i podał filiżankę. Promienie słońca wpadały przez okno, ogrzewając z prawej strony twarz Angeliny.

Manuel odchrząknął. Usiadł na sofie naprzeciw. Wiedziała, że jest zdenerwowany.

- Po pierwsze - zaczął - chcę cię przeprosić za moje zachowanie wtedy...

- Było, minęło.

- To nie tylko moja wina, tak wyszło.

- Nie przepraszaj. Powiedz mi po prostu o Louisie.

Głos męża złagodniał.

- Znalazłem fragment pamięci Paryża. Louis tu był. Tamtej pamiętnej nocy. Był... Fenomenem Świetlnym, tak się to nazywa.

- Tamtej nocy wyszłam. Kto tak nazwał Louisa? I dlaczego?

- Ludzie inni niż ja... Rozumiesz, to było cudowne, zdumiewające, ale najwyraźniej na mnie nie wywarło takiego wpływu jak na... innych. Sądzę, że to Paryż tak nazwał to zjawisko.

- No dobrze. - Angelinę irytował nieco brak precyzji w wyjaśnieniach Manuela.

- Nie mów „no dobrze” takim tonem - odparł ostro. - To było zjawisko radiowe. Fenomen. Obłok plazmowy... który spowił Paryż... Antena go wychwyciła... No dobrze! Nie rozumiem tego. Ale wiesz, że kocham Louisa równie mocno jak ty. I po naszym spotkaniu szukałem go przy użyciu wszystkich możliwych źródeł i baz danych w mieście. Przydał się mój zbieracz.

- Zbieracz? - Upiła łyk herbaty.

- Tak. Żeby znaleźć informacje o Louisie w Paryżu.

- Och, jasne. Co to zbieracz?

- Zwyczajny zbieracz - powiedział niecierpliwie. - Wszyscy ich tutaj używają. Cały czas.

Do wszystkiego. Zaskakujące, że ty nie masz ani jednego.

- Mam dużo pracy...

- Nie rozumiem, dlaczego próbujesz mnie zdenerwować.

- Przyszedłeś, aby powiedzieć mi coś o Louisie. Pamiętasz? Jak użyłeś tego... zbieracza?

- Nie mogę uwierzyć, że nie wiesz, jak to działa. Przekazałem zbieraczom wszystkie moje wspomnienia o Louisie. Od chwili, gdy się urodził, z każdego naszego spotkania.

Które nie odbywały się zbyt często, odkąd Louis skończył czternaście lat. Trudno było powstrzymać się od wypowiedzenia tego na głos. Angelina wypiła trochę herbaty.

- Coś, co jest Louisem - jego osobowością, jego esencją - było częścią radiowego fenomenu, który pojawił się tydzień temu. Nie, nic nie mów. Pozwól mi skończyć. - Usłyszała szmery i mąż włożył jej coś w dłoń. - To jest zbieracz. Wystarczy się podłączyć i Paryż, używając go, odszuka dane, o których ci mówiłem. Tak mi się zdaje... - w tonie głosu Manuela pojawiło się lekkie zdenerwowanie. - Chociaż jeżeli nie widzisz, to nie wiem...

- Poradzę sobie - odpowiedziała. - Mam coś w rodzaju wzroku. I widzę wyraźniej to, co jest związane z miastem.

Zbieracz okazał się gładką i giętką kulą wielkości orzecha z wtyczką do interfejsu. A interfejsy znajdowały się wszędzie.

- Ale powiedz mi wreszcie, Manuelu, czy Louis czuje się dobrze?

Manuel westchnął.

- Dobrze, Angelino. Zrobię, co będę mógł, żeby tak się stało. Nawet jeśli niewiele rozumiem. To dlatego dałem ci zbieracz. Louis ma to po tobie. Tę samą genetyczną mutację co ty. Pamiętasz? Powiedziałaś mi przed ślubem.

- Ostatnio ciągle mi się to wypomina - zauważyła. - A teraz się okazało, że ta anomalia genetyczna poważnie wpłynęła na los Louisa.

Wokół nie było już bieli, lecz jedynie ponura ciemność stłoczonych tysiącami depresyjnych opowieści.

Angelina słyszała, jak Manuel wstaje z krzesła. Zabrał filizankę i ujął jej dłonie.

- To na pewno nie twoja wina, Angelino. Przecież nie zrobiłaś tego celowo. To, co powiedział mi Louis... A raczej przekazał... nie tylko mnie... świadczy o jednym. Że był

bardzo szczęśliwy. I że jest szczęśliwy.

- Ale co się z nim dzieje? - krzyknęła. - Po prostu mi powiedz!

- Zdaje się, że on... nie jest już człowiekiem, nie do końca. Jest więcej niż człowiekiem, został przemieniony. Czas płynie dla niego inaczej. To jest jakoś związane z naturą światła. Louis został zmieniony całkowicie, nawet na poziomie atomowym, można powiedzieć... To światło pochodzi z niewyobrażalnie daleka. I jest jednocześnie tu, na Ziemi, i tam - w dwóch miejscach równocześnie. Wiąże się to z kwantową nieoznaczonością, czy jakoś tak. Louis teraz rozumie więcej, na pewno więcej niż mógłbym zrozumieć ja, nawet gdybym się uczył przez całe życie. Pozostawił coś w rodzaju wizji dotyczącej tego, co będzie, czym się stał. I zostawił... dokładny plan, albo raczej nanotechnologiczne nasienie idei - coś, czego trzeba użyć, aby zrobić kolejny krok; coś, co pomoże nam wszystkim, uszlachetni nas, staroświeckich idiotów, przemieni nas, abyśmy nie byli już tak ograniczeni...

- Manuelu, złamiesz mi palce... Puścił jej dłoń.

- Wybacz, Angelino. Nie potrafię tego lepiej wyrazić. Uwielbiam to miasto i naprawdę kocham literaturę. I podziwiam pracę, jaką wykonujesz, odkąd tu jesteś. Spędzam dużo czasu na poznawaniu jej efektów. Są wspaniałe.

- To dzięki tobie - wtrąciła.

- Ale po prostu nie mam odpowiedniego typu umysłu. Takiego, jaki masz ty albo Louis. Nigdy naprawdę nie zrozumieję tego wszystkiego. To straszne... - Gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Płaczesz? - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. - Och, Manuelu, proszę, nie płacz...

- Tak bardzo pragnę zrozumieć mojego syna. Pragnę z nim być. Pragnę zrozumieć ciebie. I być z tobą.

Drzwi się otworzyły.

- Cześć! - powiedział Chester.

- Cześć? - w głosie Manuela słychać było zdumienie.

- To Chester - wyjaśniła Angelina. - On też tu mieszka.

- Chester? Ale miasto wskazało, że mieszkasz... To znaczy...

- Sama? - dokończył Chester z lekką ironią. - Oczywiście. Bo widzisz... z kim mam przyjemność?

- To Manuel. Mój mąż - przedstawiła Angelina oschle.

- Manuel! Bardzo się cieszę, że nareszcie mogę cię poznać. Proszę, pozwól mi uścisnąć ci dłoń.

Angelina usłyszała, jak w pośpiechu Chester potrąca stolik do kawy.

- Widzisz - wyjaśnił Manuelowi - ja nie do końca jestem człowiekiem.

- Hmm? - Mąż Angeliny usiadł ponownie.

- Czy twój zbieracz nie powinien o tym wiedzieć? - spytała. - On ma zbieracz - wyjaśniła Chesterowi.

- Wszyscy mamy - odpowiedział - ty również. Rozgość się, Manuelu. Czego się napijesz: wina, piwa, szkockiej?

- Wina. Dziękuję. - Manuel wytarł twarz. Siedział przez chwilę, ale zaraz się podniósł.

- Może jednak już pójdę...

- Nie, nie! - zaprotestował Chester, wracając. Angelina usłyszała, że mąż siada i upija drinka. - Widzisz, nie do końca jestem prawdziwy.

- To chyba niedobrze - mruknął Manuel niepewnie.

- Pracuję nad tym.

- Manuel przyniósł zbieracz, który może mi coś powiedzieć o Louisie. - Pokazała kulkę na wyciągniętej dłoni. Chester wziął urządzenie.

- Możemy od razu obejrzeć dane.

- Nie wiem - skrzywiła się. - Myślałam, że może później, gdy będę sama...

- Rozumiem. A czy ja mógłbym zerknąć?

- To obejmuje całe miasto - ostrzegł Manuel. - Obawiam się, że nie ma w tym przekazie nic osobistego, Angelino. Louis za bardzo się zmienił.

- Jak my wszyscy - zauważył Chester.

- W porządku - zgodziła się Angelina. Zalała ją fala zrozumienia, ponieważ przypomniała sobie, że to właśnie Chester powiedział jej o Louisie, i wspomniała światło, z którym spotkała się w Hiszpanii, gdy oszołomiona wypadła z balkonu.

- Możemy skorzystać ze stolika do kawy.

- Teraz? - Angelina nie była jeszcze gotowa na te wszystkie rewelacje. Ale Chester stwierdził:

- Zbyt długo chodziłaś z głową w chmurach. Moja wina. Dzieci w Paryżu używają zbieraczy, zanim nauczą się mówić. Wystarczy położyć na blacie. Jestem pewien, że uzyskasz dostęp do danych. Dotknij tu.

Angelina uspokoiła strumień opowieści w umyśle. Wyciągnęła rękę i położyła na rozplaszczonym na blacie urządzeniu. Było ciepłe.

Spodziewała się uderzenia wizji, wstrząsu i naporu danych.

Ale przekaz był łagodny, jasny i klarowny. Niósł wszystko o tym, kogo znała od

chwili jego narodzin, kto dojrzywał w niej i użył jej łona jako trampoliny do skoku w świat, a wcześniej tańczył w niej do rytmów pieśni gauczów.

Zarazem jednak przekaz był czysty jak wizja. Klarowniejszy niż wcześniejsze wizje Angeliny; dużo jaśniejszy, tak bardzo realny, tak bardzo prawdziwy.

To była kolejna opowieść.

Na początku pojawił się komunikat matematyczny, nastąpił błysk i przekaz wypełniły symbole towarzyszące muzyce, która poruszyła każdą komórkę ciała i przepłynęła przez nią, odświeżająca jak łyk czystej, chłodnej wody w upalny letni dzień, z symboli biła obcość, nie były jednak tylko prezentacją wizualnej strony przekazu: przynosiły nową matematykę, pochodzącą z miejsca, gdzie przebywał teraz Louis.

Angelina patrzyła, słuchała i zanurzała się w tej nowej opowieści.

Kiedyś jedna transmisja dotarła do Ziemi, obiegała ją i popłynęła dalej. Potem nadeszła następna. I kolejne, i jeszcze więcej, uderzające staccato w comiesięcznych cyklach.

Wcześniej dla tych przekazów oczyszczono drogę. Za pomocą *El Silencio. El Silencio*, cisza wywołana impulsami, które wygenerowane zostały przez istoty rozumiejące naturę i fizykę wszechświata znacznie dokładniej niż ludzkość. Przekazy ujawniały się przypadkowo i wpływały na ludzi w sposób niemożliwy do przewidzenia.

To proces, który rozpoczął się wiele lat temu, a jeszcze więcej lat miało upłynąć, zanim zacznie się zbliżać do końca. Przekaz pochodzący z niewyobrażalnie odległego czasu i miejsca.

Jestem teraz inny; zostałem przemieniony. Sądzę, że jestem pośrednikiem. Łącznikiem. Trafila mi się... sposobność. Znajduję się jednocześnie w dwóch miejscach. To coś więcej. To idea miejsca. Nawet słowa są ograniczeniem i osobliwością - to jest tak, jakbym miał nieograniczony w żaden sposób widok ze szczytu góry, na którą wspinałem się ścieżką z ograniczoną widocznością. Tutaj nie ma pojęć jednostkowości, osobności ani nawet dwoistości. Tutaj istnieje tylko równoczesność.

Angelina słuchała tego głosu, teraz już głosu mężczyzny. Przyjemny, mówiący po hiszpańsku tenor, w którym brzmiało jeszcze echo dzieciństwa. Jak zbieracze to zrobili? Jej oczy wypełniły się łzami i popłynęły po policzkach, gdy mrugnęła. Nie zwróciła na nie uwagi.

Tu jest światło. Tak wiele światła. Poznałem teraz światło, a światło poznało mnie. Jest tylko jeden wybór dla tych, którzy są przygotowani. Musicie być gotowi na to, co ma się stać. Wasze ciała muszą być gotowe. Gotowe jak embrion, który, kiedy nadchodzi czas narodzin, jest w pełni przygotowany do odbioru światła i dźwięku, do tworzenia obrazów

świata, którego doświadcza zmysłami.

Kiedy znowu nadejdzie sygnał, ci, którzy będą gotowi, przemienią się. Nie tak jak ja, nie tak całkowicie jak ja, jeżeli nie zechcą. Tutaj są różne stadia, poziomy, bogactwo stopni, które przeszedłem. Opuszczone. Porzucone. To stało się tak nagle. Nie mogłem się oprzeć. Pragnąłem tego. Mówiłem, że tak wielu rzeczy nie zrobiłem. Mówiłem to, bo nie byłem gotowy. Ale to było jak upadek w przepaść. Zrobiłem krok. naprzód i nie mogę się już cofnąć.

Manuel ujął dłoń Angeliny i uściśnął mocno.

Być może tu nie przyjdziecie. Ja miałem w sobie coś, co przywiodło mnie właśnie tutaj. Jednak cywilizacji nie może stworzyć tylko jedna osoba, musi być ich wiele. Dlatego trzeba, aby dotarło tu was jak najwięcej. Aby stworzyć lepszy przekaznik.

Kierujcie się po prostu mapą. Tą mapą, którą wszyscy tworzyliście przez minione lata, nie wiedząc po co.

Kiedy będzie nas więcej, przekazemy sygnał jeszcze raz. Wtedy się spotęguje, wzmocni. I wtedy trzeba go modulować. Pokażę wam jak, kiedy się zjawicie. Dam wam plany. Muszą być rozpowszechnione po całej Ziemi i prawidłowo zaprogramowane, by działały cyklicznie. Musicie dokładnie zapamiętać tę okresowość. Ci, którzy są gotowi, będą w stanie wybrać, gdy pojawi się szansa wyboru.

Jeżeli wszystko się uda.

Jak każde życie, także i to jest całkowicie nieprzewidywalne. Kompletne.

I tak piękne, że nie potrafię wyrazić, nawet teraz.

*

Manuel puścił jej dłonie.

- To wszystko.

- To nie może być wszystko! Musi być więcej!

- Zostawiam ci ten przekaz - oznajmił Manuel. Wstał. - Miło było cię poznać, Chester.

Angelina usłyszała, jak przechodzi przez pokój i otwiera drzwi.

- Dziękuję - nareszcie mogła to powiedzieć.

- Nie martw się, Angelino. Nie do końca rozumiem przekaz i nie sądzę, abym kiedykolwiek zrozumiał. Ale będę się starał. Myślę jednak, że ty jesteś w stanie go zrozumieć. - Zamknął drzwi.

Angelina czuła zapach chleba pieczonego w innym mieszkaniu. Kroki męża cichły na schodach. Wyciągnęła rękę, by ponownie dotknąć zbieracza, ale tylko ukryła twarz w dłoniach.

- Teraz masz cel, Angelino - powiedział Chester. - I ja także. Może to nie jest

prawdziwe. Ale wierzę, że to Louis.

11 SIERPNIĄ 2115

IO I SU-CHEN

Morze było intensywnie turkusowe, z wysokimi falami. Wśród nich niewielka łódka z delikatnym białym żaglem kołysała się powoli, zdużając na zachód. Kilka płetw trzepotało wzdłuż prawej i lewej burty, a na rufie ogon ospale falował na boki.

Na pokładzie znajdowała się samotna dziewczynka, szczupła, wysoka jak na swoje trzynaście lat, z azjatyckimi rysami i paskudnymi oparzeniami słonecznymi. Jej długie, czarne włosy zlepiły się od soli. Dziewczynka była naga, ale leżała pod ochronnym baldachimem.

Obok leżała wysoka, chuda i koścista kobieta, ubrana w podarty biały kombinezon. Na nogawkach i torsie widać było czarne smugi przypalenia i sadzy.

W niewielkiej klatce spał kot.

Stateczek parł przed siebie kursem ustalonym na podstawie fotografii o wysokiej rozdzielczości, zrobionych z Księżyca. Podczas żeglowania system łodzi dojrzewał i uczył się, stawał się sprawniejszy. Od Io dostał mapy gwiazd i posługiwał się nimi teraz, by kierować łódką dokładnie na jeden punkt, naprawdę bardzo niewielki punkt, ledwie widoczny z Księżyca przez teleskopy o najwyższej mocy.

Io obudziła się od razu, tego wieczora, gdy chłodny, obcy wiatr świstał przenikliwie pod osłoną przeciwsłoneczną. Blask zachodzącego słońca szybko stłumiły ciemne chmury, rozległ się grzmot, a niebo rozdarły błyskawice. Io niezbyt przytomnie zarejestrowała, że żagiel się zrefował. Gdy zmoczyły ją pierwsze zimne strugi deszczu, tkanina namiotu rozpięła się nad nią i Su-Chen, skuloną teraz i pojękującą ze strachu.

Io sięgnęła po lśniącą kulę kołyszącą się pod wewnętrznym nawisem burty, z wysiłkiem odwróciła się i wsunęła srebrzystą, miękką bryłkę w usta dziewczynki.

- Żuj - wyszeptała przez wyschnięte gardło. Po chwili Su-Chen wykonała polecenie, przeżuła i przełknęła, ale nie otworzyła oczu.

Io to jednak wystarczyło. Drugą kulę wzięła dla siebie. Płyn zawarty w tej dużej

kropki był przefiltrowaną i odsoloną wodą morską nasyconą witaminami i mikroelementami.

Żucie i przełykanie zabrało jej resztki energii. Leżała bezwładnie, martwiąc się o obrażenia własne i Su-Chen i zastanawiając, czy uda się znaleźć pomoc, zanim tu umrą.

Zdawało się jej, że widzi świetlika unoszącego się tuż nad kadłubem.

Czy one nas śledzą - zastanawiała się - czy może to coś innego? Jaka jest ich natura? Czy te świetlne istoty należą do stworzeń zawieszonych pomiędzy czasem i przestrzenią? Można jedynie stwierdzić, że istnieje tylko człowiek poruszający się od minuty do minuty na Ziemi pełnej unikalnych zjawisk. Bo czyż każdy z nas nie czuje się wyjątkowy ze względu na swoją świadomość, punkt widzenia, swoją własną historię? Naprawdę ludzie są tylko - pomyślała z zaskoczeniem - tylko historią. A czym są te świetlne istoty? Czy też mają własną opowieść? Czy są...?

Ale odsunęła od siebie tę niebezpieczną myśl, myśl, która doprowadziła ją na skraj depresji, gdy została sama na Harmonii: czy to są moi utraceni przyjaciele i bliscy? Dlaczego się nie zgodziłam na... na co? Na odejście? Zmianę? Śmierć?

Zdecydowała, że to, co widziała przez chwilę, jest tylko złudzeniem optycznym. Chciała być przytomna, ale choć wokół grzmiała burza, Io nie pozostało wiele sił. Zapadła w nieświadomość.

*

Zbudziło ją mocne kopnięcie w bok.

- Jak się zwraca tę przeklętą łódź? - Męski głos był pełen gniewu i wściekłości.

Otworzyła nieprzytomnie powieki. Słońce świeciło jasno i ciepło na błękitnym niebie. Jedynym odzieniem mężczyzny były zeszmaczone, poplamione krwią spodnie. Skórę miał mocno opaloną, białe włosy wiły się wokół spoczonej twarzy. Długie blizny znaczyły mu tors. Przykucnął z groźnym grymasem na pokiereszowanym obliczu.

Io podniosła się, choć kosztowało ją to resztki sił. Zastanawiała się, jaką obroną dysponuje łódź.

Osłona przeciwburzowa z poprzedniego wieczora zmieniła się na powrót w przeciwsłoneczny baldachim. Morze było gładkie jak staw i żagiel opadł, niewypełniony wiatrem. Ale łódź nadal płynęła. Za rufą widniał prosty kilwater.

- Na tej cholernej krypie nie ma steru - stwierdził mężczyzna. - Żadnego rumpla, koła sterowego!

Jego angielski był zniekształcony dziwacznym akcentem, ale Io rozumiała, co mówi.

Natychmiast wróciły do niej wszystkie obawy, jakie żywiła wobec Ziemi.

- Ta łódź dopłynie tylko w jedno miejsce.

- Gdzie?

- Miasto Półksiężycyca.

- Na to wygląda. Kurs dokładny jak po sznurku.

Io poczuła ulgę.

Mężczyzna mówił dalej.

- Nie chcesz tam płynąć, kobieto. Właśnie stamtąd wróciłem. Miałem szczęście, że udało mi się uciec. Dobrze, że cię znalazłem. Miasto Półksiężycyca sprowadza na ludzi obłąd.

- I z ciebie też zrobiło szaleńca, tak? - Oczywiście Su-Chen były otwarte. Mówiąc, obserwowała nieznajomego uważnie, ale nie poruszyła się ani odrobinę.

- To nie jest zabawne - odpowiedział. - To nie żarty, dziecinko.

- Co masz na myśli? - zapytała Io.

- Mówię, że miasto odbiera ludziom osobowość.

- Czy właśnie to ci się przytrafiło? - Wydawało się, że Su-Chen nie odpuści tego pytania. Mężczyzna spojrział na nią, oceniając jej intencje, w końcu oznajmił:

- Udało mi się uciec bez szwanku.

- Dlaczego wszedłeś do miasta, skoro zaraz chciałeś z niego wyjść?

- Jestem piratem.

To zaalarmowało Io. Nie była na Ziemi od dawna, lecz zdawało się jej, że piractwo nie jest zjawiskiem pozytywnym ani zwyczajnym dla Miasta Półksiężycyca.

- Co to jest pirat? - zapytała Su-Chen, nadal nie ruszając się z miejsca. Jej głos brzmiał beznamiętnie. Mężczyzna uniósł brwi.

- Dlaczego po prostu nie pójdziesz spać?

- Chcę wiedzieć.

- Słuchaj, pochodzę z małej, biednej wyspy. Od dawna krążyły tam pogłoski, że Miasto Półksiężycyca może wyleczyć każdą chorobę, że jest tam wiele bogactw, wszystko za darmo. Miasto miało wszystko, czego brakowało na wyspie. Jestem piratem od wielu lat. Lubię to, naprawdę.

- Ale co to jest pirat?

- Piraci, dziecinko, zajmują się łupieniem, okradaniem i zabijaniem ludzi, którzy stawiają im opór. To właśnie z tobą zrobię, jeśli nie przestaniesz się wymądrzać. Konfederacja Karaibska piratów zakontraktowała mnie i moją załogę kilka miesięcy temu i zaprosiła do udziału w ataku na Miasto Półksiężycyca. Jedna grupa nie miałaby szans, ale gdyby się zgromadzić i połączyć siły, atak na miasto mógłby się udać. Tak zrobiliśmy. Moglibyśmy

uleczyć nasze rodziny i sprzedać zdobyte towary. Bylibyśmy zdrowi i bogaci. To nie fair, że miasto ma wszystko, a my nic.

- Masz stosunkowo niski głos - zauważyła Su-Chen. - Czy wszyscy na Ziemi mają tak niskie głosy?

- Co się stało? - zapytała szybko Io. Żałowała, że nie ma żadnej broni.

- Gaja! - Pirat uderzył w wodę, ale niepewnie spojrzął na Su-Chen, a potem usiadł, opierając się plecami o burtę i krzyżując nogi. - To Gaja sprowadziła obłąd. I Współdziałanie.

- Co to jest Gaja? - zapytała Su-Chen.

Mężczyzna zachnął się:

- Och, Gaja to rodzaj filozofii. Gajanie głoszą, że jest jakaś równowaga, to wszystko, co wiem. A w Mieście Półksiężycy Gaja odbiera ci równowagę umysłu. Wiem, że zaraz zapytacie o Współdziałanie. No, to wam powiem. Współdziałanie ma kontrolę nad wszystkim w mieście. Postąpicie głupio, jeżeli tam popłyniecie. Przejdziecie pranie mózgu. Wkrótce uwierzycie w Gaję, jak wszyscy moi starzy kumple. Przyjaciele zmienili się w wariatów. I wy też takie będziecie. Powinnyście natychmiast zawrócić, dla własnego dobra. Co więcej, część miasta ma podobno wylecieć w kosmos! - Roześmiał się szyderczo. - Doprawdy, chciałbym to zobaczyć, z daleka. Pewnie ten odlot zmiecie wszystko wokół.

Ku zaskoczeniu Io, Su-Chen wstała, podtrzymując się masztu, po czym wykrzyczała piratowi w twarz:

- Pły-nie-my! Do! Miasta! Półksiężycy!

Odwrócił się do niej i ryknął:

- Zamknij się! Przestań mnie wkurzać! Ja tu rządę, jasne?! - Dосkoczył do Su-Chen i chwycił ją za ramiona. Dziewczynka kopnęła go w brzuch z zaskakującą siłą.

- Nie waż się mnie dotykać! - wrzasnęła - Następnym razem cię zabiję!

Pirat odepchnął Su-Chen. Nie uderzył, ale w zamian kopnął klatkę, która wpadła do wody i szybko utonęła.

- Ostrzegam, że nie jestem cierpliwym człowiekiem!

Su-Chen tylko patrzyła.

- To był mój kot. Statku, pozbądź się tego pirata. Szybko.

- Chcesz popaść w obłąd, tak? - wrzasnął mężczyzna. - Wszyscy moi kumple zostali poskromieni. Przestali być ostrzy.

- Czym byli? Nożami? - spytała Su-Chen. Jej głos wrócił do zwykłej beznamiętności. - Statku, to trwa już za długo.

- Uspokójmy się. - Io postanowiła interweniować. - Daj mi trochę czasu, muszę

pomyśleć, co robić.

Jeżeli zyska na czasie, może łódź zdąży wyprodukować jakąś broń.

Mężczyzna przykląkł, zerkając na Su-Chen i Io.

- Myśl szybko. Skąd w ogóle jesteście, głupie baby?

- Z Księżyca - odpowiedziała Su-Chen.

- Te bzdury zaczynają mnie męczyć! - Pochylił się do dziewczynki, ale zaraz upadł na plecy.

Jego twarz poczerwieniała. A po chwili poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Co to jest... na moim ramieniu? - wydyszał. Podniósł rękę, wspierając się o dno tratwy, na której przypłynął, z wyrazem bezgranicznego przerażenia na twarzy. Miejsce na burcie, gdzie trzymał dłoń, z białego stało się czerwone.

Mężczyzna konwulsyjnie łapał powietrze. Straszne było widzieć jego twarz i jego usilną walkę o oddech.

- Co to jest? - spięła się Io. Su-Chen milczała. Tylko patrzyła.

Mężczyzna puścił burtę łodzi i upadł w drgawkach na tratwę. Po chwili znieruchomiał.

- Nie żyje - powiedziała Io.

- Musimy odepchnąć tratwę. To nie był dobry człowiek.

- Nie jestem pewna, czy to takie proste - zauważyła Io. Wytarła pot z czoła. - Trzeba było znaleźć inne rozwiązanie. I nie dotykaj go.

- Zabił mojego kota.

- To nie powód, by zabijać człowieka.

- Myślę, że chciał zabić też nas. Powiedział, że chce.

Io milczała przez chwilę. Przez morze przebiegały niewielkie, zielonkawe fale. Słońce paliło mocno, promienie przecinały wodę i nikły w głębinie.

- Może masz rację. Wygląda na to, że nasz statek zmądrzał. Musiał wyprodukować jakiś alergen. - Czerwony ślad na burcie zaczął znikać.

- Muszę was zabrać do Miasta Półksiężycy. - Głos łodzi był niezwykle beznamiętny, zupełnie jak głos Su-Chen. Być może gdy Io spała, łódź rozmawiała z dziewczynką i uczyła się od niej.

Kobieta usłyszała naraz trzaski wyemitowane przez system sterujący, jakby odgłos gardłowego śmiechu. Płatwy na burtach i rufie poruszyły się szybciej.

- Tak - zgodziła się - to miłe z twojej strony. Położyła się w cieniu i wycieńczona zamknęła oczy. Słyszała równy plusk.

Statek płynął dalej.

LIPIEC 2115

*Brukowana żółta droga*⁷

Pierwsze problemy Angeliny i Chestera zaczęły się, kiedy próbowali wejść do pociągu z pozostałymi paryżanami udającymi się do Miasta Półksiężycy.

Podczas wspinaczki po stopniach Angelina z przyjemnością chłonęła wizje płynące z każdej powierzchni, kiedy nagle ktoś za jej plecami stwierdził:

- Sire, nie ma pan pozwolenia, by jechać tym pociągiem.

Odwróciła się i oznajmiła stanowczo:

- On jest ze mną.

Kontrolerka o różowych policzkach i jasnych włosach splecionych w warkocze powtórzyła spokojnie:

- Przykro mi, madame, ale...

Angelina przerwała jej natychmiast:

- On jedzie ze mną. Chodźmy, Chester.

Weszli między rzędy siedzeń i zajęli miejsca. Chester opadł bezwładnie na fotel naprzeciw Angeliny, jakby nadal był nieszczęśliwą lalką.

- Nie przejmuj się tak - powiedziała. Pochyliła się i ujęła go za rękę. Jego twarz była całkowicie spokojna, tylko w orzechowych oczach czaiło się zmartwienie. Jasna skóra, piegi, krótkie, rude włosy, tak rozczochrane, że aż niemal zabawne. Wyprostował kościste, szczupłe ciało, podciągnął długie nogi i pochylił się do Angeliny. Trzymali się za rękę, gdy pociąg ruszał.

- Zdaje się, że mam wizje - powiedziała. - Czuję je, tłoczą się wokół. Miliony żołnierzy. Lekarz siedzący samotnie i martwiący się wybuchem epidemii. Proust jadący do rodzinnego domu.

Popatrzył jej w oczy. Pociąg okrążył wielkim łukiem miasto, po czym minął ostre,

⁷ Taka droga wiedzie do Szmaragdowego Grodu w powieściach Franka Bauma, w języku potocznym jej nazwa stała się synonimem drogi ku beztróskiemu, pełnemu fantazji życiu (przyp. red.).

jasne światło i budynki Paryża zaczęły się oddalać. Nabierali prędkości.

- Widzisz mnie - stwierdził Chester. - To miło. Angelino, pozwól mi odjąć ci trochę tego ciężaru, trochę tych opowieści. Podziel je ze mną. Chcę tego. Nie możesz ich trzymać tylko dla siebie. Jesteś zbyt zaborcza.

- Spróbujemy niedługo - obiecała i poczuła się prawie tak, jakby się zgodziła urodzić mu dziecko.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się w porcie. Urzędnicy i biurokraci nie uznawali żadnych tłumaczeń, nie dawali się przekonać. Chester za każdym razem był odsyłany.

Spędzili tydzień w małym hotelu przy nabrzeżu, podczas gdy stary statek w pośpiechu przygotowywano do rejsu. Codziennie wracali - choć Chester protestował, że to nie ma sensu - i codziennie byli odsyłani. Powodem było jego zmodyfikowane DNA. Grupa z Paryża nie chciała zabrać przerobionej lalki. Ludzie od razu dowiadywali się z odczytu genotypu, że Chester był lalką. Równie dobrze, powiedziała Angelinie jedna z kobiet, można by przynosić ucłowieczone dzbanki lub prześcieradła. To była wyprawa niosąca oświecenie. Ludzie z Paryża mieli zamiar oświecić Miasto Półksiężycy. A Chester nie ma wystarczającego statusu, by oświecić nawet psa - oznajmiła.

Angelina jednak się nie poddawała, przygotowała nawet plan, by przeszmygłować Chestera na pokład. Szkoda, że nadal nie jest lalką - żartowali oboje niekiedy.

- On nie jest jednym z nas - poinformował Angelinę męski głos, gdy po raz ostatni próbowali wejść na statek. Mewy śmiały się krzykliwie wśród plusku fal. Wiedziała, że wiele ptaków stało się gatunkami zagrożonymi, odkąd pojawiło się *El Silencio*, ale mewy wydawały się niezniszczalne. Angelinie kojarzyły się z elastycznością, zmiennością i zdolnością do przetrwania w każdych okolicznościach.

Poza Paryżem jej laska była bezużyteczna. Ale próbowali ją zastąpić, sprawdzając już w pociągu, jak stworzyć między sobą połączenie. To był pierwszy krok w procesie wzajemnego uczenia się. Angelina wzięła Chestera za rękę i dzięki temu widziała mężczyznę, który zabronił mu wejścia na statek.

- Może to i dobrze - powiedziała, przyglądając się uważnie złośliwej twarzy biurokraty. Doskonale wiedziała, że widok jest zniekształcony przez pryzmat emocji Chestera. - Nie jestem pewna, czy byłabym zadowolona, gdybym należała do ludzi tej samej klasy co pan.

- Chciałem tylko powiedzieć... - zaczął.

- Nieważne, co pan chciał powiedzieć. - Odwrócili się i Angelina wyprowadziła Chestera z doku.

- Może nie powinnaś była go obrażać? - zapytał później. - Uważaj! - Pomógł jej ominąć wyrwę na nabrzeżu. Miejsce przesycone było zapachem ryb, morza i kurzu.

- Niech spływają - odpowiedziała. Jej umysł wypełniły żeglarskie opowieści. - Może tak jest lepiej.

Wynajęli łódź, zapewniając agencję, że zamierzają po prostu przez miesiąc żeglować w luksusowych warunkach. To był jacht, którym, jak sądziła Angelina, można by przepłynąć Atlantyk. Wynajęli również załogę, która została ożywiona, gdy jedli na łodzi kolację - zupę rybną i wino w nadbrzeżnej restauracji. Załoga - agent podkreślił, że nie należy jej traktować w kategoriach ludzkich - miała przyprowadzić łódź, gdy Angelina i Chester wysiądą w Mieście Półksiężycy.

- Agent zapewnił, że nie będą nam wchodzić w drogę - powiedziała Angelina, odgryzając kawałek chrupiącego pieczywa.

- Nie, jasne, że nie - westchnął Chester żałośnie.

- Jeżeli zamierzasz się dąsać, może powinniśmy zrezygnować.

- Może powinniśmy mieć czas, żeby to przemyśleć. Gdybyśmy tylko poczekali parę miesięcy, pogoda byłaby lepsza i zapewne rejs trwałby najwyżej dziesięć dni. O tej porze są straszne sztormy.

Angelina pokiwała głową.

- To prawda. Bezwzględnie. Ale mam silne przeczucie, że wtedy będzie za późno.

- Równie silne jak twoja wcześniejsza potrzeba, żeby wyjechać?

- Tak, to podobne uczucie - zgodziła się. - Za wszelką cenę muszę płynąć już teraz.

- Mam wrażenie, że twoje życie rządzone jest tym „za wszelką cenę” od jakiegoś czasu.

- Cały czas, jak sądzę. Ranczo, za wszelką cenę. Nawet za cenę mojego małżeństwa. Może gdybym się zgodziła wyjechać z Manuelem, albo chociaż przeczytać książki, które mi podsuwał... Ale w końcu tak, jak wyszło, też jest dobrze.

- Dziękuję.

- Dobrze się stało. Musiałam pojechać do Paryża i to też było dobre.

- Dziękuję ci raz jeszcze. - Jego głos brzmiał skromnie i szczerze, pomagał Angelinie w rozważaniu decyzji, jaką podjęła.

- Jeżeli... Jeżeli zdecydujemy się czekać, może nam to nie wyjść na dobre.

- Dlaczego? Co może się stać?

Roześmiała się wbrew sobie, wbrew poczuciu, że trzeba się śpieszyć, a światło i ciemność wymieszały się w jej wizji.

- Nie wiem. Och, Chester! Wierz mi, mam milion powodów, żeby zostać, a każdy przyjemniejszy. Możemy choćby zostać na południu Francji, jeść owoce morza i miło spędzać czas.

- Nie wygląda interesująco.

- Nie w pojedynkę - przekomarzała się.

- A ta łódź, ten jacht, który zasadniczo planujesz ukraść - czy jest odpowiednio wyposażony? Pewnie nie tak, jak łódź, która mogłaby zostać zrobiona w Paryżu. - Jego głos brzmiał chłodno, ponuro.

- To się dzieje tak szybko. - Zamyśliła się. - Tak. Moglibyśmy wrócić i zbudować łódź w Paryżu.

- Więc wróćmy do Paryża i zróbmy to.

- Tyle tylko, że czuję, jakby Paryż dał mi już wszystko, co miał do zaoferowania. - Czowała się sfrustrowana, nie potrafiąc przekonać Chestera, że to, co postanowiła, jest jedynym dobrym rozwiązaniem. Czasami łatwiej po prostu coś zrobić, gdy się jest samemu.

- Możesz płynąć sama - powiedział. Zaskoczył ją, podobnie jak syrena statku, która zawibrowała w tym momencie przy nabrzeżu.

Wyprostowała się, nieco zakłopotana.

- Tak tylko pomyślałam. Jednak chcę być z tobą.

- Ale ludzie nie chcą mnie na statku.

- Nie.

- Zdaje się, że to jedyny sposób.

- Tak jest.

- A może się zdarzyć, że ci marynarze z jachtu, kiedy dotrzemy do Miasta Półksiężycy, również staną się w pełni ludźmi. - w jego głosie zabrzmiała wesołość.

- Na pewno.

- Angelino, straciliśmy mnóstwo czasu. Skoro wszystko rozumiesz lepiej, czy nie sądzisz, że o wiele prościej byłoby przekonać mnie, iż zawsze masz rację?

- Obawiam się, że jest to moja największa wada. Roześmiali się oboje i wtedy dla obojga przestrzeń wypełniła się światłem.

*

Marynarze przeprowadzili jacht najpierw do Hiszpanii, potem do Afryki. Zachowywali się grzecznie i z rezerwą, byli bardzo wydajni i sumienni. Angelina i Chester zajęli się najważniejszym zadaniem, zdobywaniem zapasów w każdym porcie i próbami stworzenia stałego połączenia między umysłami. Angelina zauważyła, że jej towarzysz denerwuje się

równie mocno jak ona. Wszystko się miało zmienić. A przecież teraz byli szczęśliwi. Po co ryzykować? I dlaczego próbować właśnie teraz, zamiast poczekać, aż znajdą się w Mieście Półksiężycy lub na ładzie, gdzie nie byłiby tak odizolowani od reszty świata?

Ale w końcu, pewnej jasnej, usianej gwiazdami nocy, zrozumieli, że nie mogą dłużej zwlekać.

Urządzenie przypominało wyglądem błoniasty kokon. Było bezpieczne, używano takich, jak się upewnili, już od dobrych stu lat. Angelina i Chester położyli się wewnątrz i zostali zamknięci, nadzy, stykając się ramionami.

Nowa świadomość Chestera rozkwitła, gdy odbijali od brzegów Afryki.

Następne dni nie były idylliczne, ale za to intensywne i przytłaczające. Angelina niepokoiła się o Chestera, gdy wił się i jęczał zwinięty na koi, zalewany potopem danych. Wyrzucała sobie, że nie zrobili tego w Paryżu, podczas gdy towarzysz, w krótkich chwilach przytomności, zapewniał Angelinę, że miała rację zwlekając.

Czwartej nocy Chester wstał, wyszedł na pokład i zaczął opowiadać, wyrzucać słowa z pasją, a Bajarka słuchała oczarowana o teoriach literatury i świadomości, która rozrasta się w nim jak wiosenny strumień. Trwało to sześć godzin. Dla uszu Angeliny stanowiło zupełną nowość. Później zjedli posiłek przygotowany przez pokładowego kucharza - smażoną świeżą rybę, upieczony niedawno chleb oraz wino - i rozmawiali do świtu, a potem uciekli przed słońcem na wąską koję i ciasno objęci rozmawiali dalej.

Dzielili i pojmowali wszystko. Nareszcie Chester był Angeliną, Angelina Chesterem. To było przyjemne, ale i bolesne, miejscami palące, lecz krańcowo fascynujące, jakby nigdy nie mogli się dość na siebie napatrzeć i jednocześnie zupełnie od nowa widzieli świat wokół siebie. Starając się wyjaśnić własne wrażenia, Chester najczęściej mówił o zwiniętych wymiarach, o strunach światła, które przetwarzają świadomość, i o tym, jak niemal dostrzega ich potencjał, jakby czekały tylko, by się rozciągnąć i przepłynąć przez istnienie wszystkich żyjących stworzeń.

- To jest inne stadium. Zawsze istniało inne stadium rozwoju, w ten sposób działa ewolucja. Skokami. Wstrząsami. To tak, jakbym był płaski. Jak malowidło. Malowidło jest sztuczką, która ma cię przekonać, że istnieje w trzech wymiarach, choć tak naprawdę ma tylko dwa. A jednak - wzruszył ramionami i zerknął na Angelinę w sposób, który uważała za zabawny - tacy artyści jak Picasso - znasz jego prace? - stosowali płaskość jako środek ekspresji, w ten sposób obraz staje się czymś więcej niż obrazem, z powodu tych historii - literatury, nauki, wszystkich ludzkich opowieści - zyskałem głębię. Opowieści tworzą głębię, dodatkowy wymiar. Różnią się od obrazów, bo zawierają element czasu.

Unióśł brwi, spojrział poważniej, pochylił się i mówił bardziej nagłaco.

- Dopiero teraz uczyć się, co to znaczy być człowiekiem. Świadomość. Dawać świadectwo. Widzieć na własne oczy? Patrzyć z innymi? A może ludzie są oczyma wszechświata?

- Świadomość to tylko słowo wymyślone przez ludzi - roześmiała się Angelina. - Nie wnosi uniwersalnej, objawionej wartości.

Chester zignorował tę uwagę.

- Jest wyższe stadium. Louis. Myślałem o kolejnym wymiarze, jaki zyskał. Ten nowy wymiar sięga poza naszą świadomość, w taki sposób, jak światło pada na ziemię, choćby o wschodzie słońca. To tak, jakby rozjaśniała się przed nami nowa forma świadomości. Jesteśmy na rozstaju, w punkcie rozwidlenia. I to rozwidlenie jest zawsze w ruchu. Dlatego właśnie istnieje rachunek sumienia...

Angelina przyciągnęła go blisko i otarła mu łzy z twarzy.

- Tyle jest w tobie pasji, Chester.

- To dlatego, że bycie realnym jest tak przytłaczające i cudowne. To ty sprawiłaś, że jestem prawdziwy. Sprawiałaś, że jestem pełniejszy. A to dopiero początek!

Chester mówił też z pasją do załogi, zapewniając ich, że również mogą dostąpić tego chrztu, a żeglarze uśmiechali się uprzejmie, kiwali głowami i wracali do swojej pracy.

Nawigator, stale noszący przy sobie sekstans, powiedział im pewnego ranka, że znajdują się zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów od ostatniej znanej pozycji pływającego miasta, jaką podali mu w porcie w Afryce inni żeglarze, pływający tymi szlakami. Angelina i Chester kolejno próbowali dostrzec sztuczną wyspę przez lornetkę. Chester twierdził nawet, że widział miasto - błyszczące jak słońce, które zniżało się do morza za jego plecami. Wreszcie się upewnili - dojrzeli wielobarwne boje błyskające w rytmie, który wydawał się kodem. Ale zaraz potem boje zgasły jedna po drugiej, księżyc zasłoniły chmury, a wiatr zaczął dąć coraz mocniej, zawodząc na wantach.

*

Następną rzeczą, jaką Chester zapamiętał, było brutalne wyciągnięcie z wody przez rybaka, z silnym hiszpańskim akcentem mężczyzna powiedział, że pomimo długich poszukiwań nie znalazł oprócz Chestera żadnych rozbitków ocalałych z nocnego sztormu.

Gdy patrzył na miasto, które wyglądało jak skupisko okrągłych namiotów wynurzających się z olśniewająco błękitnego morza, Chestera przepełniało trzy tysiące lat opowieści o stracie i smutku. Greckich, chińskich, anglojęzycznych, francuskich, indiańskich, aborygeńskich. Wszystkie mówiły o tym samym. O cierpieniu niemożliwym do ogarnięcia.

Strząsnął z ramion pomocne dłonie rybaków, którzy próbowali go zatrzymać, wspiął się na burtę i chciał skoczyć do morza, by dołączyć do Angeliny, co wydawało się jedyną rozsądną rzeczą, jaką mógł zrobić. Bili go po twarzy, gdy nieprzytomnie płakał.

Marzył jedynie o tym, by znowu być lalką i uwolnić się od bezlitosnego bólu, bezmiernego cierpienia.

11 SIERPNIĄ 2115

DANYA I KOJOT

Danya sądziła, że po opuszczeniu Rancza Teraźniejszości jechała przez cały dzień. Było ciężko, lecz przyjemnie, a rower okazał się bardzo pomocny - zauważyła, że przerzutki zmieniają się automatycznie podczas jazdy. Skierowała się z powrotem na drogę międzystanową nr 10, najszybszy szlak do Houston. Już pamiętała. Kowboj nalegał, by podróżowali bocznymi drogami, szlakami Dzikiego Zachodu, bezdrożami i starymi ścieżkami, gdzie nie było tych przeklętych billboardów, które stale napotykała. To dlatego minęli Houston. Zapewne nie zauważyli któregoś z ważnych skrzyżowań, być może drogowskazy były zbyt zniszczone i nieczytelne.

Dzień miał się ku końcowi, a Danya wciąż cięła powietrze, zroszona potem. Organizm znalazł rytm, tajemną ścieżkę metabolizmu, najwyraźniej nie używaną nigdy wcześniej. Wokół rozciągała się płaska kraina. Wzdłuż „dziesiątki” nie było domów i pojawiły się tylko trzy stare pojazdy - jeden zmierzał na wschód, dwa na zachód - zbyt szybkie, by można było dostrzec więcej niż kilka szczegółów.

Kiedy przed Danyą pojawił się długi, wąski cień, zorientowała się, że jest wykończona. Skrzyła z międzystanowej w wąską ścieżkę, przy której widniał znak: PROSZĘ SKORZYSTAĆ ZE ZJAZDU, BY OPUŚCIĆ DROGĘ MIĘDZYSTANOWĄ NR 10. Wpadła między zakurzone, kamieniste koleiny, biegnące przez wysoką trawę, i zatrzymała się na niewielkim wzniesieniu, skąd w oddali widać było Houston. Leżało w odległości może trzydziestu mil.

Nie miała pojęcia, gdzie może się znajdować Centrum Kosmiczne. Widziała tylko, że miasto jest ogromne. A przecież nie miała czasu... Choć nie wiedziała nawet, jaki jest dzień i kiedy mija termin.

Zatrzymała rower przy samotnej sośnie. Głowę miała ciężką - może od wysiłku, a może po prostu efekty tego, co zrobiło jej światło, były ograniczone. No, to przyjechała.

Danya Cooper. Salvation/Bunt, Memphis/Małżeństwo/Głupota, Miasta Kwiatów/Szaleństwo, Miasto Półksiężycy/Inteligencja, Rozsądek, Użyteczność, Aż do/Większe Szaleństwo/Teraźniejszości i już. Ot, cała historia Danyi. Tylko czemu tak piekielnie bolały ją nadgarstki?

Zajrzała do bagaży i wyjęła tobolek wielkości bagietki. Rozwinęła materiał na ziemi. Nie było to jednak pieczywo, lecz namiot. PRZED OTWARCIEM ZAPOZNAĆ SIĘ z ULOTKĄ, cholera! Danya rozwinęła kolejną płachtę i odskoczyła, gdy tkanina napelniła się powietrzem, formując się w ośmiokątny namiot mogący pomieścić nawet dwie osoby.

Przykłęka przed okrągłą przesłoną, najwyraźniej wejściem. Po prawej znajdował się mały panel dotykowy. Danya wybrała KAMUFLAŻ i ujrzała, jak pokrycie nabiera barw otoczenia - głębokiej zieleni i khaki. Jakieś geny ryby lub jaszczurki, a może owada - stwierdziła. Wejście rozciągnęło się i oznajmiło, że jest teraz zaprogramowane na komendy dotykowe Danyi oraz że namiotu nie można przeciąć nożem, piłą łańcuchową, kulami czy innymi paskudnymi urządzeniami. Ciepły, spokojny głos dodał także, że namiot jest dobrze osadzony w ziemi. Naraz spokojną wypowiedź przerwał zupełnie inny głos:

- Tu Darryl Feinster, projektant tego namiotu. Ten wzór został po prostu ukradziony! Nie przez jakiś pieprzony koncern, ale przez cholernych socjalistów. Pracowałem nad tym projektem naprawdę ciężko! A teraz będą go rozpowszechniać, a ja nic z tego nie będę miał. Trochę światła i nagle okazuje się, że kopia GOTOWA. UKRADLI mój program! I proszę, już jest napisane, że wszelkie dane są własnością GAI. GAI?! Bez JAJ! Powinienem lepiej poznać miejsce, w którym siedziałem tak długo. Informacja chce być WOLNA? No, PRZEPRASZAM. Zdaje im się, że dane spadają z nieba gdzieś we wschodnim Teksasie, a kiedy trafią na urodzajny grunt czy coś, to wyrastają z nich śliczne, małe namioty? Zapamiętajcie, przekleńci złodzieje, gdy ten namiot ochroni was przed deszczem lub inną pogodą, przygotuje wam coś do jedzenia i picia, czy inne fajne rzeczy - zapamiętajcie, że to ja wymyśliłem ten namiot! I COŚ mi się za to należy! Bo CIĘŻKO nad nim pracowałem!

Ochryply głos Darryla Feinstera rzucał głośne przekleństwa i inwektywy, aż wreszcie zamilkł, w chwili ciszy Danya poprosiła:

- A zatem przygotuj coś dla mnie, namiocie.
- Może być kubek ziołowej herbaty?

Weszła do środka przez rozciągliwą przesłonę. Światło w namiocie było zielonkawożółte, przez tkaninę bowiem przesączały się ostatnie promienie słońca. Ułożyła się na plecach.

- Co jeszcze masz w menu?

- Nie jestem czarodziejem.

- A jak przygotować herbatę?

Cisza.

- Zapytałam...

- MYŚLĘ! Zdaje się, że najlepszym rozwiązaniem będzie nzbieranie ziół, rozpalenie ogniska, zagrzanie wody w garnuszku i...

- Cóż, to miło, że można z kimś porozmawiać - powiedziała Danya i uderzyła w panel, chowając go w ścianę.

- Też tak czuję.

Nadal leżąc, przeszukała kieszenie w nadziei, że znajdzie baton wzmacniający, który włożyła tam wcześniej, ale przypomniała sobie, że już go zjadła. Wypiła trochę wody z kanistra i poczuła się bardzo śpiąca, choć przez tkaninę namiotu Darryla Feinstera przebijały błyszczące promienie zachodzącego słońca.

Obudziła się kilka godzin później, zdjęła buty i owinąwszy się ciasniej śpiworem, ponownie ułożyła się do snu.

- Chciałabyś zobaczyć księżyc? - Nie czekając na odpowiedź, płachta namiotu stała się przezroczysta. Światło, które padło wprost w oczy Danyi, niemal ją oślepiło. - Pozwól, że wyjaśnię ci, ile lumenów...

Osloniła oczy ramieniem.

- Po prostu daj mi spać - wymamrotała.

- Mam kompletny kalendarz księżycowy na następne tysiąc lat.

Westchnęła. Bolał ją brzuch. Wstała, włożyła buty, ale ich nie zasznurowała. Wyczołgała się przez przesłone wejścia i wyprostowała. Zabolało. Masz prawie sto lat - upomniała się - twoje mięśnie i ścięgna też.

Podeszła do roweru i przeszukała pakunki. Wyjęła cienką kurtkę i ubrała się; strój natychmiast dostosował ciepłotę do warunków otoczenia.

- Wspaniale - wymruczała. Znalazła też paczkę batoników i odpakowała dwa. Wkładała właśnie jeden do kieszeni, gdy usłyszała za plecami:

- Chyba nie aż tak wspaniale.

Zamarła. To nie namiot się odezwał. Głos był kobiecy. Brzmiał nisko, nosowo i nieco sarkastycznie, Danya nie od razu zrozumiała słowa, wymawiane jakby z powolnym, południowym akcentem i silnym zmiękczeniem głosek.

- Nie martw się - powiedziała nieznajoma. - Nie skrzywdzę cię.

Przy drzewie przysiadł kojot. Opuścił pysk, szczerząc zęby. Wydawał się znacznie

większy, niż można się spodziewać po kojotach. Niewątpliwie jednak był to kojot.

- Też chyba jesteś samotna - odezwała się Danya, zanim pomyślała. Zdaje się, że nie tylko wszyscy, ale wszystko tej nocy było w potrzebie.

- Nieszczególnie.

Danya obserwowała pysk zwierzęcia: podczas mówienia pozostawał otwarty i wyszczerzony, z wywieszonym językiem. Kojocica skrzyżowała wielkie, srebrzystożółte łapy.

Dziewczyna podeszła do sosny i osunęła się na ziemię, opierając się o pień. Chyba nadal śniła.

- W jaki sposób mówisz?

- Mam organiczny wokalizator. Jest częścią moich strun głosowych. Muszę trzymać otwarte szczęki, inaczej dźwięk jest stłumiony.

- Stłumiony?

- Właśnie. - Kojocica zamknęła paszczę i polizała łapę, a potem uważnie spojrzała na Danyę zmrużonymi, żółtymi ślepiami. - To bardzo skomplikowane. Dlatego mam częściowo ludzki mózg, żeby połączyć przepaść pomiędzy umysłem kojota, w którym dominują zapachy, a... Przy okazji, ty pachniesz nieco nieprzyjemnie... - Wywiesiła język.

- No, tak.... Czy mogę ci jakoś pomóc? - w tej chwili Danya woląca myśleć, że śni. Nie była jednak pewna, wszystko wydawało się całkiem realne.

- Może ja pomogę tobie.

- Powiedz - nagle dziewczyna zrobiła się podejrzliwa - wiesz coś o Teraźniejszościach?

Szczęki kojocicy zatrzasnęły się, a potem otwały, by pozwolić płynąć dźwiękom. Żółte oczy lśniły w ciemności.

- Taa... Znowu te przeklęte Teraźniejszości. Dlatego tu jestem. Stworzono mnie w Biolaboratorium Rdzennych Amerykanów. Jakies trzydzieści mil stąd. Teraźniejszości, Teraźniejszości, Teraźniejszości. Trudno powiedzieć. Jeżeli to jakiś legalny system, nie warto się procesować. Cóż może wiedzieć kojocica, która pragnie być tylko archetypem... Znaczą, mogłabym poszukać gdzieś informacji. - Uniosła się nieco i z bliska spojrzała na Danyę. - Wiem tylko, że Teraźniejszości przychodzą i że Teraźniejszości są tu zawsze. Mają coś wspólnego ze snem.

Podniosła się nagle, stając naprzeciw Danyi, i odwróciła głowę. Jej kły zaśniły w świetle księżyca. A potem zawyła:

- Teraźniejszości mają coś wspólnego z TOOOOBAĄĄ!

Danya zerwała się, chwyciła rower i pchnęła go, wskakując na siodełko, z rozpędu przejechała parę stóp, zanim trafiła stopami na pedały. Przednie światło zabłysło, oświetlając jej drogę. Danya przyspieszyła i światło zrobiło się jaśniejsze.

- Wracaj tu! - wrzasnął namiot. - Nie możesz mnie tu po prostu zostawić!

Skreśliła na międzystanową i pedałowowała godzinę, choć nogi się jej trzęsły. Księżyc zaszedł, więc gdy się rozglądała, nie widziała, czy kojocica dalej za nią biegnie, zdawało jej się bowiem, że wcześniej ją widziała. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno i Danya mogła sobie wmawiać, że to jednak sen. Albo że kojocica zrezygnowała z pościgu. Inna sprawa, że dziewczyna była krańcowo wyczerpana. Zatrzymała się, weszła na wysepkę pomiędzy pasmami autostrady, na której nie było już ruchu, i opadła na ostrą, twardą trawę.

Niezobowiązującym tonem kojocica oznajmiła tuż przy uchu Danyi:

- Nie martw się, choć to uwielbiam, nie wolno mi cię zjeść.

Dziewczyna zerwała się znowu, pchnęła rower i zaczęła pedałować.

*

Gdy wzeszło słońce, Danya przekonała się, że jedzie po dwupasmowej drodze szybkiego ruchu, przeciętej trawiastą miedzą. Nie przypominała sobie, aby na nią wjeżdżała. Nie wyglądało to dobrze. Kilka dróg międzystanowych przebiegało wyżej, niemożliwie daleko. Czula, że ktoś na nią patrzy, nie była jednak pewna. Znajdowała się może o pięć mil od murów Miasta Kwiatów - o ile były to właśnie one. Wysokie, nagie ściany. To, co było za nimi, całkowicie dystansowało, jeśli chodzi o formy, mentalność i zmiany w obrębie ludzkiego DNA, to co pozostało na zewnątrz miasta.

Pod murami stały walące się domy z odpadającym tynkiem i połamanymi dachówkami, a centrum handlowe stanowiło właściwie płataninę krokwi, najwyraźniej zrobionych z wytrzymałych, odpornych na zniszczenia materiałów. Danya zbliżyła się do pustej wystawy i pchnęła otwarte szklane drzwi. Poprowadziła rower po rampie i zjechała prosto do sklepu.

Wewnątrz było pusto, na posadzce leżał drobny gruz, zza modułów toalet dochodził zapach stęchlizny. Przy końcu znajdowały się drzwi ze stalową barierką i kilka wysokich, potłuczonych okien oraz wielka, poszarpana dziura w suficie, ale szklana tablica przed frontem budynku nie nosiła śladu zniszczeń. Danya zbadała drzwi i zamknęła je na zamek, z satysfakcją słuchając krótkich kliknięć zapadek.

Wtedy usłyszała huk. Wystrzał.

Kojocica biegła przez parking prosto do wejścia, brocząc krwią.

- Wpuść mnie - szczeknęła. - Proszę! - Upadła tuż przed szybą.

Danya wahała się tylko ułamek sekundy. Otworzyła, wciągnęła skomlące zwierzę do środka i ponownie zamknęła drzwi. Ulicę przeciął mężczyzna, oburącz trzymający strzelbę. Rozglądał się i najprawdopodobniej zobaczywszy krew skierował się do drzwi sklepu. Miał na sobie zielone spodnie, buty myśliwskie i czerwoną czapkę. Uderzył w drzwi pięścią, a gdy nie poskutkowało, kolbą strzelby. Spojrzał na Danyę.

- To mój kojot - krzyknął. - Zabiłem go!

- Pohandlujmy! - odkrzyknęła.

- Co?!

Danya przeszukała szybko bagaże.

- Chcesz nóż?

- Nie oddawaj noża - jęknęła kojocica.

- Co powiedziałaś? - zawołał myśliwy.

- To mój kojot! Mój zwierzak domowy! Nie miałeś prawa strzelać!

- Właśnie - szczerknęła kojocica. Twarz mężczyzny stężała. Spojrzał na Danyę, potem na kojocicę, potem znowu na Danyę. Wreszcie potrząsnął głową.

- Zaraza. Powinienem zastrzelić was obie. Masz szczęście, że przestrzegam prawa.

Odwrócił się i odszedł, chrzęszcząc twardymi podeszwami po odłamkach szkła.

Danya przyklęknęła przy zwierzęciu.

- Jak masz na imię? - Widziała, że kojot leży bezwładnie, a na skołtunionym, srebrzystym futrze przy szyi płynie jasna, utleniona krew.

- Trzy Niemożliwości. Mam na imię Trzy Niemożliwości Przed Śniadaniem. - Jej głos był słabym westchnieniem, jak odległy szum morza.

Danya usiadła wygodniej i obejrzała nóż, który była gotowa przehandlować za kojota. Miał plastikową rączkę i, jak się okazało po wyjęciu z futerału, trzycalowe, błyszczące ostrze.

- Chyba jesteśmy spokrewnione. Mój ojciec podobnie nazywał mnie. Wiele razy. Niemożliwość.

Zdjęła koszulę i za pomocą noża rozcięła szwy, a potem obiema rękami podarła tkaninę na pasy. Musiała użyć noża, by odciąć guziki.

Po dłuższym grzebaniu w bagażach znalazła apteczkę. Otworzyła ją, czując się jak kretynka.

- Pewnie! Tu są prawdziwe opatrunki... Zobaczmy. Podniosła opakowania do światła.

- „Gwarantowana dezynfekcja i wyleczenie”. - Rozdarła folię. - Mam nadzieję, że jest wystarczająco długi. Muszę go jakoś zamocować wokół twojej łapy. Zaraz, co jeszcze... O, fiolka z czymś, co trzeba nalać na ranę. - Odkręciła korek i wlała kilka kropel w środek

czerwonej plamy. Trzy Niemożliwości obróciła głowę i sapała ciężko, charcząc. Danya usiadła zmęczona.

- Wybacz - wydyszała kojocica. Głowa jej opadła, zamknęła oczy.

Danya wstała, pobiegła przez sklep do łazienki. Przekręciła kurek, ale nic się nie stało.

- Cholera.

Wróciła do zwierzęcia, podniosła podarte ubranie i zaczęła owijać prowizoryczne bandażę wokół opatrunku. Gdy przeciągała dłoń pod torsem kojocicy, Trzy Niemożliwości jęczała cicho. Wreszcie Danya oznajmiła:

- Zrobione.

- Woda?

Danya zerknęła do manierki. Została może kwarta. Kobieta naląła trochę do wyciągniętej z bagaży miski. Potem przyłożyła naczynie do pyska kojocicy i przechyliła, by pomóc osłabionemu zwierzęciu. Trzy Niemożliwości piła powoli, a i tak większość zawartości miski znalazła się na podłodze. Potem kojocica zadrżała i zasnęła.

Kiedy świat pulsował i jaśniał pełnią dnia, Danya się obudziła. Leżała na posadzce, wśród rozrzuconych rzeczy, z żakietem pod głową. Na chwilę uniosła oczy, potem spała dalej.

*

Po raz kolejny zbudziło ją uszczyknięcie w ramię i głośnie warczenie.

- No nie! - Usiadła gwałtownie, odsuwając się poza zasięg szczęk Trzech Niemożliwości.

- Głód. Wyjście. Teraz. - w żółtych ślepiach kojota czaiła się prawdziwa dzikość, o wiele bardziej wymowna niż słowa.

Danya wstała i kopnięciem odrzuciła kłęb zakrwawionych bandaży, które kojocica przegryzła w nocy i zostawiła na podłodze. Otworzyła drzwi.

- Proszę.

Zwierzę stało w przejściu krótką chwilę, a potem rzuciło się naprzód niczym szara strzała. Przebiegło przez parking, przecięło drogę i znikło między zrujnowanymi budynkami.

- I tyle. - Danya pozbierała rzeczy z apteczki i spakowała bagaż. Na zewnątrz zawahała się, nie wiedząc, w którą stronę ma jechać. Była głodna. Przypomniała sobie myśliwego i rozejrzała się niepewnie, przekonana tylko, że nie zauważy go, o ile sam na to nie pozwoli. Jak ludzie mogą tu żyć i ile osób może mieszkać w tych ruinach?

Przejechała przez ulicę, skręciła za róg i zatrzymała się.

Niebo było jasne i wieże Houston błyszcząły w słońcu.

Danya widywała już Miasta Kwiatów. Do diabła, mieszkała w Memphis, zanim wyruszyła w rejs na „American Queen” i znalazła się w Mieście Półksiężycyca.

Wiedziała, jakie potworności mogą powstać w biomiastach, jeżeli zachwiana zostanie delikatna równowaga, jednak była niezmiennie oczarowana pięknem kwiatowych metropolii.

Masywne, purpurowe Orchidee unosiły się w kierunku słońca z asymetrycznych dachów wież. Kielichy Sasanek z ciemnymi plamkami tworzyły niemal jednolitą masę z błękitnymi Dzwonkami, kołyszącymi się na wietrze. Kilka Pszczół krzątało się wśród nich przenosząc Dane, które nie różniły się niczym od narkotyku - biologicznego, zniewalającego i uzależniającego. Niebo miało barwę czystego błękitu.

Danya przypominała sobie pierwsze, cudowne lata małżeństwa. To dzieci sprawiły, że było tak pięknie - uświadomiła sobie. Zastanawiała się, gdzie są teraz, w tym wielkim świecie, i czy nadal żyją. To było najtrudniejsze. Świadomość, że nigdy się nie dowie.

Miasto Półksiężycyca zawsze służyło wsparciem i pomocą. Miało miejsca, gdzie można było spędzać czas w wirtualnym świecie opartym na wspomnieniach, ale Danya stanowczo unikała takich rozwiązań, w zamian zaadoptowała kilka sierot, które przyprowadzili do miasta zainfekowani plagą dorośli. Dzieci miały traumę i milczały, albo przeciwnie - zachowywały się głośno i agresywnie. Zazwyczaj były niebezpieczne, głównie dla siebie. Pomagając im dojść do normalności, pomagała również sobie, pogodziła się ze stratą, a potem nareszcie mogła wejść do Współdziałania i zrobić coś dla przyszłości.

I co się stało z tą przyszłością?

Współdziałanie rozpadło się na oczach Danyi. A teraz stała w pobliżu miejsca, gdzie mogła dostać to, co niezbędne dla Miasta Półksiężycyca, by wypełniło swoje przeznaczenie. Tutaj Danya miała odnaleźć utracone koordynaty, przechwycone przez NASA w ostatnich dniach przed Ciszą. Współrzędne wpisane w przekaz radiowy, odebrany, zanim na dobre zaczęły się pojawiać problemy z łącznością. Kowboj paplał bez sensu o tych czasach, opowiadając pokręcone bajki o dzieciństwie znacznym bólem i przerwami jasnych doznań podczas Ciszy.

Krótko mówiąc, Danya doszła do wniosku, że Kowboj był obcym. Albo mutantem. Albo Pionierem, jak ich nazywano w Mieście Półksiężycyca. Opowiadał też o żonie w Chicago, gdzie był Naczelnym Nanoinżynierem. W to Danya nawet wierzyła. Ale najbardziej prawdopodobne wydawały się jej historie o dziewczynach podróżujących za jeden uśmiech i łapiących okazję na amerykańskich drogach.

Dobrze pamiętała pierwszą noc na małej łodzi, gdy zaczynała się ta wyprawa. Kowboj mówił wtedy przytomnie i wiarygodnie, pomiędzy okresami walki z obłądem, jakim były

dane wpisane mu przez miasto. Przyłączyła się do wyprawy. To dlatego teraz była w Houston.

A gdzie pójdzie potem?

Wracać do Miasta Półksiężycy, do piratów? Nie. Do Memphis? Nigdy.

Na równiny Teksasu, na tę małą farmę, gdzie może pewnego dnia pojawi się nieliczna grupa spokojnych ludzi? Tak.

Czy naprawdę przedwczoraj się z nimi rozstała? Ten dzień zapamięta na zawsze. I Kowboj również. Chciałaby, żeby Radiokowboj był teraz przy niej. Aby mu pokazać ludzi z Terazniejszości. Podzielić się z nim. Dać mu niepodważalny dowód.

Na niebie pojawiły się czerwone i pomarańczowe pasma, a potem szybko pociemniały. Danya patrzyła, zachwycona niebem nad Teksasem i Houston, na którego tle wiatr kołysał kielichami Kwiatów.

Wzdrygnęła się, słysząc szelest za plecami. To była Trzy Niemożliwości.

- Chodźmy.

- Gdzie?

- Do NASA. Jestem twoim przewodnikiem. Słyszałaś o przewodnikach, prawda? Idea przewodnika była bardzo ważna dla niektórych ludzi w Biolaboratoriach Rdzennych... i tak dalej. Mam odzwierciedlać najgłębszy aspekt twojego jestestwa.

- Zostałaś przysłana właśnie do mnie?

- Do ciebie albo kogoś takiego jak ty. Minęło dużo czasu. Względnie rzecz ujmując, oczywiście. Ha. Ha.

- Ha.

- Po prostu idź za mną. Przebudziłam się i wiem, że do tego zadania zostałam stworzona.

- Och. Skoro tak, jak mogłabym odmówić? A jak twoja rana?

- Lepiej. Opatrunki prawie wszystko uzdrowiły.

Nocna podróż po mieście przebiegała szerokimi ulicami, które nadal były oświetlone i miały sygnalizację świetlną dla pojazdów. Trzy Niemożliwości ostrzegła Danyę skamleniem, żeby nie wjeżdżała na drogę, gdy z oddali zobaczyła zbliżający się pojazd, Danya jednak uparcie pedałowowała i po minucie półciężarówka minęła ją z rykiem. Zaraz potem tuż przy głowie śmignęła jej butelka piwa i rozbiła się na poboczu. Samochód zahamował przed znakiem stopu i Danya szybko skręciła w przejście między sklepami. Kierowca krzyczał za nią przez okno, a potem z piskiem opon pojechał dalej. Ale od tej pory kobieta posłusznie podążała za kojotem, ilekroć mijały ulice.

Księżyc wzniósł się na najwyższy punkt nieba, wskazując północ. Znajdowały się w pobliżu niskiego i pozornie nieskończenie długiego budynku. Danya minęła oświetloną budkę z hamburgerami, przy której zgromadził się nieduży tłum. Usłyszała śmiech. Potem niezliczone bary, otoczone światłami i rzędami ciężarówek. Zza drzwi dobiegała muzyka. Kobieta zorientowała się, że jest już czwarta nad ranem, kiedy Trzy Niemożliwości w końcu przystanąła, obróciła się i poczekała na towarzyszkę.

- Blisko. Dość. - Kojocica dyszała.

Danya również miała zadyszkę. Napiała się. Manierka znowu była prawie pusta.

- Teraz odpoczniemy.

- Dobrze.

- Tam.

Położyły się spać w zrujnowanym budynku, który nie miał nawet dachu.

Kiedy Danya się obudziła, było późne popołudnie, a Trzy Niemożliwości czekała na nią z torbą zimnych hamburgerów.

*

- Tu nie ma żadnego wejścia! - Mur otaczający Centrum Kosmiczne był gładki i wysoki, a do tego bez drzwi, o ile Danya mogła ocenić po przejściu ponad mili wzdłuż bariery. Mniej więcej co sto stóp widniał znak ostrzegawczy. NIE PARKOWAĆ, mówił jeden. Inny był tylko czerwonym kołem przekreślonym czarną, ukośną kreską. Kolejny, ręcznie malowana czaszka i dwie skrzyżowane piszczelce, oznajmiał: NIEBEZPIECZEŃSTWO. Jeden z napisów głosił:

PAMIĘCI SARY BINGHAM,

NEDA WITHERSPOONA I CLYDE' A SMITHA,

KTÓRZY TU WESZLI I NIGDY NIE WRÓCILI.

To nie było łatwe. Gęsty, ciernisty zagajnik wykłuł na skórze Danyi krwawe hieroglify. Nie było żadnej drogi czy przejścia między splątanymi krzewami, oprócz zniszczonych ścian budynków, które zaczynały się przy drodze i kończyły przy murze. Tuż obok rozrastały się mimozy i leszczyny, przez co z daleka Centrum Kosmiczne wyglądało jak jeszcze jedna z kwiatnych konstrukcji miasta. Na dodatek ogromna.

- Musi być jakieś wejście. BIOLAB nie stworzyłby mnie, bym była twoim archetypicznym przewodnikiem duchowym, gdyby nie było wejścia. Nieprawdaż? Mówię ci, wszyscy i wszystko próbują ci pomóc, ludzka biedaczyno. Przyznaj to. Beze mnie nigdy byś

nie znalazła tego miejsca. No i może jeszcze nie jest za późno.

- Za późno na co? - Ale Trzy Niemożliwości wczłogała się między wrzośce.

Danya przepychała mozolnie rower przez chaszczce, od czasu do czasu odnajdując wąskie ścieżki w zaroślach, jakby zrobione przez dzieci, które kiedyś zajmowały te dzikie, nieskażone obecnością dorosłych obszary. Pojawiały się też większe miejsca, jakby jaskinie, gdzie zapewne sypiali bezdomni, znaczone butelkami po alkoholu i śmieciami. Robiło się coraz ciemniej.

- Kto zbudował ten mur? - wymamrotała Danya, wyciągając nóż i przecinając pnącza szarpiące ją za koszulę. Rozejrzała się, gdy usłyszała szczekanie, i ruszyła szybciej wzdłuż ściany. Kojocica z oddali wyglądała na małą i drobną. Danya dołączyła do niej i dopiero wtedy zobaczyła, to co zwierzę.

Rusztowanie zwieszało się z dachu budynku, który najwyraźniej przeciął mur, pozostawiając jedynie wąski wyłom tuż, przy ziemi.

Danya i Trzy Niemożliwości weszły tam ostrożnie. Dziewczyna położyła rower na podłodze, w snopie światła zauważyła, że leżą tu odłamki szkła i kawałki falistych dachówek. Prowizoryczna drabina, zrobiona z trzech sosnowych pni, stała przy dziurze w dachu.

- Dzieci - stwierdziła Danya. Potrząsnęła drabiną. - Wątpię, czy wytrzyma mój ciężar.

- Po prostu spróbuj, czy złamie się pierwszy szczebel - odpowiedziała kojocica. Siedziała na ziemi i powolnym, powtarzalnym ruchem lizała prawą łapę.

Danya westchnęła.

- I złamię sobie kark. - Odsunęła się i spojrzała w górę. - Dlaczego, na Boga, jest tu ten mur? To znaczy, jeżeli za murem jest coś, co wymaga ochrony, to dlaczego zbudowano ścianę, którą mogą pokonać nawet dzieci?

- Może dzieci nie potrafią czytać.

- A ty potrafisz?

- Owszem, ale od tego strasznie boli mnie głowa.

Danya raz jeszcze spojrzała na drabinę.

- Zdaje się, że będziesz musiała tu zostać.

- Jeżeli podsuniesz pod przejście tamtą pakę, może uda mi się wskoczyć.

Wskazana paka okazała się stosem palet. Danya przepchnęła je cal po calu pod otwór, myśląc o tym, jak programy z Miasta Półksiężycy rozwiązałyby problem. Wdrapała się na dach i pomogła wejść kojotowi.

Po krótkim węszeniu Trzy Niemożliwości ruszyła naprzód, prowadząc dziewczynę do prostopadłościennej nadbudówki.

Do windy.

Na panelu do wyboru były cztery nieistniejące piętra w górę oraz zjazd w dół do sklepu z pamiątkami i na parking.

- Parking - zdecydowała Danya i drzwi windy rozsunęły się z sykiem.

Kabina zjechała, lecz otworzyła się na pierwszej kondygnacji i nie chciała ruszyć niżej. Weszły w ciemność. Trzy Niemożliwości warknęła:

- Bądź ostrożna. Czuję śmierć.

Światła zapłonęły, gdy Danya postąpiła kilka kroków, lecz zgasły natychmiast, gdy przystanąła. Trzy Niemożliwości sunęła za nią z uszami położonymi po sobie.

Dziewczyna starała się nie okazywać strachu, gdy ujrzała nagły ruch i rozbłysk. Wiedziała, że to hologram. Uśmiechnięta kobieta w uniformie podeszła bliżej.

- Czym mogę służyć?

- Gdzie jestem?

- Sklep z pamiątkami przy Muzeum Kosmicznym. - Hologram zatoczył ramieniem po regałach, opróżnionych już dawno temu; zawartości najwyraźniej nie próbowano uzupełnić. - Czy ma pani dzieci? Dysponujemy czterdziestoma trzema rodzajami modeli, w tym promami kosmicznymi, które mogą latać. Proszę spojrzeć! - Kobieta ruszyła między pustymi półkami i zatrzymała się przy regale, z którego zostały tylko resztki. Uśmiechała się z entuzjazmem, świeciła własnym blaskiem, a jej nogi nikły tuż nad podłogą. - Ten pakiet zawiera pierwsze lądowanie na Księżycu. Wymaga jedynie standardowej platformy. Wystarczy podłączyć pakiet i cała sekwencja danych zostanie pokazana w czasie rzeczywistym. Można zobaczyć na monitorze, co się działo wewnątrz lądownika, albo wejść w przestrzeń wirtualną i oglądać zdarzenia z dowolnej perspektywy. Jeżeli pani dziecko skończyło piętnaście lat, można aktywować program dawkujący feromony i odtwarzający emocje, jakie towarzyszyły pokazywanym sytuacjom. To jeden z naszych najbardziej realistycznych zestawów z serii Granice Kosmosu.

- A macie Statek Świetlny 7? - zapytała Danya. Po wizycie na Ranczu Teraźniejszości pamiętała wszystko - rzeczy, których nie mogłoby znać żadne dziecko w Mieście Półksiężycy, nawet jeśli się przykładało do nauki.

Hologram zamarł. Po chwili obok kobiety pojawił się drugi. Tym razem był to krzepki mężczyzna w czarnym garniturze. Oparł ręce na biodrach i uchylił poły marynarki, odsłaniając broń.

To tylko hologram - uspokajała się Danya w duchu, ale przypominała sobie różne rodzaje laserów, w tym tych niebezpiecznych dla człowieka, które tworzyły tę projekcję, i

uznała, że kwestia realności ochroniarza nie ma żadnego znaczenia. I tak był niebezpieczny.

- Upoważnienie proszę.

- Jestem z Miasta Półksiężycy.

- Wie pani zapewne, że nie ma czegoś takiego jak Statek Świetlny 7.

- Oczywiście - przyznała.

- To dlaczego pani pyta? - indagował zgodnie z obłąkańczym programem, w którym nie było za wiele miejsca na osobowość i decyzyjność.

- Dlatego, że jeżeli coś takiego istnieje, to dane, które zawiera, mogą być użyte przez systemy nawigacyjne Miasta Półksiężycy. Straciliśmy dane nawigacyjne. Przyszłam, żeby je skopiować.

- W naszych zapisach jest wersja systemu nawigacji, który mógłby poprowadzić statek świetlny, gdyby takowy istniał. System został skradziony w 2034 roku. - Jastrzębie oczy hologramu lśniły.

Ten system nawigacyjny zawierał precyzyjnie wyznaczone koordynaty, opracowane na podstawie danych, jakie były dostępne tylko przez krótki okres, prawie sto lat temu - zaraz potem przestało działać radio, a impulsy uderzyły w Ziemię i w umysły nie wiadomo ilu tysięcy zmutowanych dzieci. Wiele z nich znalazło się w Centrum Kosmicznym, gdzie poddane zostały praniu mózgu...

O, tak. Znała historię.

- Czy w Centrum Kosmicznym przebywa jakiś prawdziwy człowiek? - Nie była pewna, czy to dobry pomysł, ale prawdziwy człowiek będzie przynajmniej interesującym partnerem w rozmowie. Na twarzy hologramu pojawiało się niepewność. Przechylił głowę.

- Zdefiniuj „prawdziwy”.

- Organiczny.

Niepewność pozostała.

- Czy są tu dzieci? - spytała Danya łagodnie.

- W pewnym sensie - odpowiedział, wzbudzając u kobiety respekt dla oprogramowania. Ciekawa była, czy hologram musi zawsze mówić prawdę, a jeżeli nie, jaki mechanizm decyduje, kiedy kłamać. Może czas i ta koszmarna dehumanizacja nie całkiem zdewastowały funkcje tutejszych maszyn?

- Co to za zapach? - zainteresowała się.

Hologram przechylił głowę i zerknął w lewo. W tym momencie światło w pomieszczeniu przygasło i Danya ujrzała trzy oświetlone ciała leżące na podłodze. Potem obraz ściemniał.

- Mają kilka tygodni.

- Czy mogę... Czy mogę zobaczyć jeszcze raz? - w tym krótkim błysku dostrzegła nie tylko ciała, lecz chyba coś jeszcze straszniejszego.

Hologram ponownie przechylił głowę i Danya ujrzała stos białych kości. Wśród ciał krążyły karaluchy. Danya pochyliła się, czując mdłości. Obróciła się, oparła dłońmi o pustą półkę i osunęła na kolana, w całym budynku zapłonęło światło. Powinna się podnieść, ale krew łomotała jej w uszach.

W odległej ścianie dostrzegła dziurę wśród gruzu. Gdyby tam pobiegła...

Była jednak całkowicie pewna, że jeżeli zrobi choćby jeden krok, zginie.

- Uciekaj! - szczerknęła Trzy Niemożliwości i rzuciła się przez ogromną salę ku otworowi.

Danya pobiegła, kuląc się, i wypadła na ulicę. Potknęła się i upadła na asfalt, ale nie zwracając uwagi na otarte kolana, pognęła dalej tak szybko, jak mogła. Słyszała jedynie uderzenia podeszew o podłogę. Nagle jednak rozległo się straszne, bolesne skomlenie i charkotliwe szczerknięcie. Zatrzymała się, obejrzała i zaczęła biec z powrotem.

W błysku ujrzała Trzy Niemożliwości leżącą bezwładnie w kałuży krwi.

Danya biegła, choć zdawało się jej, że stoi w miejscu. Drżała tak, że szczerkały jej zęby.

- Możesz nam pomóc? Proszę? - Drgnęła, słysząc obcy głos. To była dziewczynka, może sześćioletnia. - Przeszłaś przez maszyny.

Kobieta wzięła kilka głębokich, jęklivych wdechów.

- Kim jesteś?

- Lily. - w głosie dziecka brzmiała rozpacz. - Nasza matka nie żyje, a ojciec jest zablokowany. Maszyny nas tutaj trzymają. Chcemy wyjść.

Danya spróbowała się skupić.

- Czy to bezpieczne?

Dziecko zerknęło na oświetlony budynek.

- Raczej tak. Chodź, zabiorę cię do siebie.

Dziewczynka była ubrana w szorty i koszulkę z wizerunkiem świetlnego statku. Włosy miał krótko przycięte, lekko kręcone. Tyle Danya zauważyła. I jeszcze, że skóra dziecka jest ciemna.

- Muszę ratować kojota. Lily odwróciła wzrok.

- Muszę pomóc tamtemu kojotowi. - Danya zrobiła krok w stronę Trzech Niemożliwości, ale wówczas dziewczynka krzyknęła:

- Stój! Znowu rozgniewasz maszyny!

- Nie obchodzi mnie to! - Ruszyła z powrotem i po chwili uklęknęła przy zwierzęciu.

Oddychało. Nadal.

- Przyrowadź tamten pojazd - rozkazała dziecku Danya.

Niegrabnie ułożyła kojota na siedzeniu niedużego wózka.

- Wiem, gdzie jest przychodnia - oznajmiło dziecko. - Masz szczęście, że nie jesteś ranna.

Dziewczynka poprowadziła pojazd między budynkami i skręciła za róg. Zatrzymała się przed świecącym jasno neonem z napisem: POGOTOWIE. Potem wjechała po rampie pod frontowe drzwi, które otworzyły się, gdy tylko znalazła się w pobliżu.

- Witam - odezwał się mężczyzna, zbliżając się do wózka, jednak Lily przejechała przez niego i przystanąła przy kolejnych automatycznych drzwiach.

W pomieszczeniu było czysto i aseptycznie. Żadnych ludzi ani hologramów. Panował tu wyjątkowy spokój.

- Trzeba zrobić skan - oznajmiła Lily. - Połóż kojota tutaj.

Danya uniosła Trzy Niemożliwości i ułożyła ją na stole. Dziewczynka podeszła do konsoli i wybrała kilka przycisków.

Nad kojotem zawisło ramię skanera, Lily pochyliła się nad ekranem:

- No, dobrze. Organizm w przeważającej mierze kojota, niezwykle dużego, z następującymi anomaliami....

- Nie obchodzą mnie jej anomalie. - przerwała Danya. - Co jej jest?

- Krwotok wewnętrzny. Złamane żebra. Rana na grzbiecie i wstrząs. Proszę przesunąć stół tędy.

Kobieta nacisnęła włącznik, popłynęła energia. Zaciśnięta dłoń na uchwytach i pchnęła lekko, a stół ruszył i wsunął się za szklaną szybę.

- Podejdź tutaj - poleciła Lily. Dotknęła kilku przycisków, a potem wcisnęła jeszcze jeden, bardziej zdecydowanie. Trójwymiarowe schematy pokazujące system krwionośny, szkielet i organy kojota zawisły w powietrzu. Mechaniczne ramiona wysunęły się ze ścian, jedno z nich zaaplikowało zwierzęciu zastrzyk. Na wysokości oczu Danyi pojawił się licznik czasu.

- Osiem godzin i dziesięć minut - przeczytało dziecko. - Potem będzie jak nowa. Chodźmy - dodało.

- Muszę tu poczekać.

- Nie. Lepiej chodź. Wszyscy się denerwują, jak mnie długo nie ma.

- Wszyscy?

Lily ujęła dłoń Danyi i pociągnęła ją do pojazdu. Wyjechały na zewnątrz i skręciły w jedną z ciemnych ulic.

Dziewczynka zatrzymała się przy metalowych schodach i zaparkowała pojazd.

- Chodź.

Schody okazały się częścią metalowych rusztowań. Danya i Lily wspięły się po pięćdziesięciu, według rachuby Danyi, stopniach i stanęły przed... nie, to nie były drzwi.

- To gniazdo - zdziwiła się kobieta, podczas gdy dziewczynka wbijała kod i czekała, aż gniazdo się obróci.

- Cofnij się - ostrzegło dziecko, gdy otwierało się wejście.

Znalazły się na platformie złożonej z resztek rusztowań i oplecionej roślinami, w niektórych miejscach było jasno, ale większość przestrzeni tonęła w ciemności. Danya zauważyła wnękę kuchenną, gdzie pięcioro dzieci siedziało przy małym stole i jadło. Wszystkie wyglądały na rówieśników Lily.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała dziecko.

- Statek Świetlny 8. Jesteśmy systemem nawigacji - odpowiedziała dziewczynka, a potem krzyknęła:

- Wstawać wszyscy! Pani tu przyszła i zamierza nam pomóc!

Pojawiło się ośmioro. Jedenaścioro pozostawało w jakimś rodzaju anabiozy. Danya poczuła mdłości, gdy ujrzała małe twarze i drobne ciała w szklanych komorach.

- Matka zawsze kładła nas spać. Ale umarła - wyjaśnił Jawan.

- Dlaczego musicie spać?

- Żeby nam się nic nie stało. Żyjemy na trzy zmiany. Niektórzy zginęli.

- Jimmy.

- Lena.

- Helikonia.

Dzieci na pomoście przed komorami rozplakały się. Danya przytuliła tyle, ile mogła objąć, mierzwiła im włosy i dziwiła się, jak dobrze wyglądają - zadbane, zdrowe i odżywione. Wzięła za ręce dwoje z gromadki.

- Macie tu jakiś salon?

- Miejsce spotkań. - Zaprowadziły ją do owalnej wnęki pełnej poduszek. Usiadły wokół, wycierając nosy w chusteczki.

- Skąd je macie? - zainteresowała się Danya.

- Na ulicy Prezydenta Johnsona jest duży magazyn - wyjaśnił Jawan. - Zawsze pełen.

Hologramy pojazdów kosmicznych wirowały w powietrzu. Danya znalazła sobie miejsce i usiadła.

- Można to wyłączyć?

Obrazki zniknęły jak zdmuchnięte, odsłaniając nagie, metalowe ściany. Kobieta uświadomiła sobie, że trudno jej zebrać myśli.

- Co chcecie, abym zrobiła? - Wydawało się, że to dobre pytanie na początek. Dzieci spojrzały zaskoczone.

- Musimy wystartować.

- Uruchomić Centrum Kosmiczne.

- Jesteśmy już bardzo opóźnieni w stosunku do terminarza - wyjaśniła Tunezja poważnym tonem.

- Ale kolejne okno będzie za siedem dni.

- Okno?

- Impuls. Impuls powie nam, dokąd.

- To straszne, gdy przychodzi impuls, bo nie możemy nic z nim zrobić.

- Dostajemy szału - wyszczerzył się Jawan.

- Matka nie mogła tego znieść.

Naraz dzieci zamilkły. Odezwała się Danya.

- Nie jestem pewna, czy stąd może wystartować cokolwiek.

- Racja - przyznał Leonard. - To tylko model stacji kosmicznej do oglądania przez turystów.

- Jednak próbowaliśmy.

- Raz wystrzeliliśmy raketę. A raczej Czerwona Zmiana wystrzeliła.

- Czerwona Zmiana?

- My jesteśmy Zielona Zmiana.

- Ojciec pomagał wystrzelić raketę, ale potem się zablokował.

- Rakietę miała za niską orbitę. Mana poleciała. Miała zamiar dostać się do kolonii księżycowej. Ale Mana...

Kilkoro dzieci popatrzyło na siebie i cała gromadka nagle zamilkła.

- Co to znaczy: „Ojciec się zablokował”?

- No, bo tak naprawdę to był program. Teraz jest zablokowany. Zawiesił się w centrum kontroli lotów. Jego hologram nadal tam siedzi. - Dzieci zachichotały.

- Czy Matka też była programem?

- Nie. Matka była prawdziwą osobą. Jacyś ludzie z Houston weszli tu i...

- Zgwałcili ją.
- A potem zabili.
- A potem my ich zabiliśmy.
- A potem włączyliśmy wartowników wokół stacji.
- Ale to była Niebieska Zmiana.
- Dlaczego hologram nie zabił mnie wcześniej? - zapytała Danya.
- Słuchamy. Obserwujemy. Decydujemy, kiedy.
- Światło powiedziało, że wkrótce ktoś przyjdzie.
- Światło? - powtórzyła.
- No, wiesz. Światło.
- Nie, nie wiem. Co za światło?

Dzieci znowu popatrzyły na siebie i nie odpowiedziały, w końcu Lily przerwała ciszę.

- Wiemy tylko, że ktoś ma przyjść i nam pomóc.
- Tak.
- Dlaczego myślicie, że wam pomożę?
- A nie pomożesz? - spytał Jawan z zalem.
- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Bo wiedziałaś o nas.
- Bo zapytałaś o nas.
- Bo masz ładną buzię.

Danya uśmiechnęła się.

- Dziękuję. - A potem westchnęła. - Dlaczego nie zabraliście matki do szpitala?
- Próbowaliśmy, ale mężczyzna zabił jedno z nas.
- Theo.
- Potem, gdy do niej dotarliśmy, było już za późno. Matka umarła całkowicie.

Nieodwracalnie.

- A więc powiem wam, co robić. Przrzekacie, że zrobicie, o co poproszę?
- Nie - odrzekły zgodnym chórem dzieci. Roześmiała się. Zaczynała czuć gorąco. To wielkie, niskie, wilgotne pomieszczenie. - Musimy dotrzeć do Miasta Półksiężycy.
- A co to jest?
- Pływające miasto. Pływające miasto, które zamierza wystartować w kosmos. Ale nie wie, dokąd lecieć. - Danya pochyliła się i zakończyła z naciskiem: - I właśnie to muszę zrobić. Znaleźć współrzędne. Znaleźć system nawigacyjny.
- Ale to my jesteśmy systemem nawigacyjnym.

- Och - wydusiła zaskoczona. - Wy?

- Oczywiście. Nie wiedziałaś?

- Ja... Nie miałam pojęcia.

Dzieci mówiły nadal.

- Musimy zabrać Niebieską Zmianę.

- Oczywiście - zgodziła się Danya. - Wyruszymy jak najszybciej. To długa podróż, a Miasto Półksiężycy wkrótce zamierza wystartować, niezależnie od tego, czy będzie miało współrzędne, czy nie.

- Ale my...

- Ciiii!

- Ale co? - zapytała z naciskiem.

- Nie zrobiono nam aktualizacji - oznajmił jeden z chłopców wyzywająco i popatrzył na pozostałe dzieci.

- No i teraz nas nie zabierze! - warknęła Lily ze złością.

- Zabiorę was, niezależnie od wszystkiego - zapewniła Danya. - Musicie stąd wyjechać. Jak długo tu jesteście?

- Od 2036 - wyznał Leonard.

- Siedemdziesiąt dziewięć lat? - zdziwiła się. - w jaki sposób zostaliście...

- Aresztowano nas - wyjaśnił Jawan beznamiętnie.

- Było tu wielu dorosłych.

- Zawsze tu byli.

- Robili nam różne rzeczy...

- Zabiliśmy ich.

- A jeżeli nam nie pomożesz...

- ...też cię zabijemy.

Dzieci paplały, aż zapadła noc. Danya była zafascynowana, zmęczona i smutna. Zauważyła sporo sprzeczności w ich wypowiedziach oraz jawne kłamstwa. Zastanawiała się, ile i co jest prawdą.

- Prawie się nie widzimy z innymi zmianami. Tylko przez pierwsze dwadzieścia lat, może trochę dłużej. Potem nas rozdzielono, w jednym miejscu grała dziwna muzyka, w miejscu, gdzie wszyscy znają koordynaty i gdzie zrobili coś z naszymi mózgami. Trzymamy się z daleka od tego miejsca.

- Dlaczego nie wypuściliście innych zmian?

Cisza pełna zaskoczenia. A potem pośpieszne okrzyki:

- Nie jesteśmy upoważnieni! Nie wolno! Nie chcieliśmy... wkładać wszystkich jajek do jednego kosza.

- Jesteśmy jak jajka.

- Ale nie tylko - zaprzeczyła Danya. - A to nie jest koszyk. Jesteście ludźmi. Nie jajkami. Chcecie dorosnąć? - Przez głowę przemknęła jej wątpliwość, czy powinna o tym wspominać. Ale wiedziała, że Miasto Półksiężycy może im pozwolić dorosnąć, jeśli tylko uda się tam dotrzeć.

- Och! Bardzo chcemy!

- Bardziej niż wszystkiego innego!

- Seks! Moglibyśmy uprawiać seks!

- A... nie uprawialiście? - zapytała Danya, czując się nieco skrępowana.

- Nie! Matka nam nie pozwalała. Nie mogliśmy się dotykać. Ani innych. Nie jesteśmy wystarczająco duzi.

- Ach - mruknęła Danya, nie wierząc im ani trochę.

I tak rozmawiali, aż nadszedł ranek.

Radiokowboj w Yumie

Pojazd Carli zbliżał się do pasma niskich, wygładzonych przez czas gór, wśród których wiła się droga. Sprawiły wrażenie bagnistych i skalistych pagórków. Był wieczór, kiedy mężczyzna ponownie stał się Inżynierem. To znaczyło, że Radiokowboj, ten dziwaczny, gadatliwy, nienormalny produkt informatyczny, wkrótce go ponownie opęta i nie pozwoli mu odetchnąć. Minęła zaledwie druga noc w autobusie, więc po dzieciach nie było jeszcze widać żadnych zmian. Nie obchodziło go, którą jadą. Widząc jednak błysk wody w promieniach zachodzącego słońca, zapytał:

- Co to jest?

- Co? - zdziwiła się Carla.

- Tam. Wygląda jak jezioro.

Spojrzała drwiąco w tę samą stronę co Peabody.

- To rzeka Kolorado, głupku.

- Nie może być. Kolorado jest zatamowana. Woda płynie do Los Angeles. Byłem tam

kiedyś. Rzeka przypomina potok. Przecina wcześniej granicę z Meksykiem, ale tam są tylko bagna.

- Och. Najwyraźniej byłeś tu bardzo dawno temu - stwierdziła dziewczyna. - Cóż. Tama Hoovera została wysadzona wiele lat temu. A Los Angeles jest dziwnym miejscem, z pewnością nikt prawdziwy tam nie mieszka.

- Nikt prawdziwy?

- Wiesz, o czym mówię!

Kowboj się wycofał, więc uczucia, jakie załamywały Peabody'ego, były bardzo silne. Obraz jasnowłosej kobiety. Matki Peabody'ego. Przekraczającej bramę Kopuły. Tak dawno temu. Tak bardzo dawno temu...

I... był jeszcze Zeb. Zeb poszedł do Kopuły.

Zeb, który pracował nad Teorią Wszystkiego.

Przynajmniej jest jeden powód, by ulec instynktowi Kowboja.

- Mówisz o Kopule?

Carla zerknęła zaskoczona.

- Nie jesteś taki głupi, na jakiego czasami wyglądasz, Kowboju.

- Dzięki - odrzekł, podczas gdy realna i surrealistyczna część jego osobowości walczyły o prymat.

- A więc - to była długa przerwa, choć krajobraz za oknami pojazdu nie uległ zmianie - nikt z Los Angeles nie próbował walczyć o odzyskanie wody?

- Nikt, o kim bym słyszała. Myślę, że Meksykanie mogliby walczyć. Byli wściekli i zmęczeni tym, że Stany Zjednoczone zabierają im wodę. Przy południowej granicy stoi wiele farm. Prowadzą tam hodowlę i uprawę, robią dziwne rzeczy. Silna, meksykańska kultura. A Meksyk stał się czymś, czego nikt sobie nie mógł nawet wyobrazić. Yuma też się zmieniła tak bardzo że trudno wyrazić. Na wzgórzach był szpital. Teraz nad rozlewiskiem rzeki znajdują się tereny kempingów, z Zatoki Corteza rzeką Kolorado płynie żelazo, jak wcześniej, zanim zbudowano tamę. I rozwija się handel. Są też regularne spędy bydła, koni i innych zwierząt.

Droga międzystanowa przebiegała teraz między pojedynczymi domami otoczonymi wiecznie zielonymi żywopłotami. Miały na ścianach wygrawerowane logo „INTELLIGENTNE DOMY”. Zapewne - pomyślał Peabody - są inteligentniejsze, niż można się spodziewać. Może zostały porzucone, nie ma w nich ludzi, w każdym razie żadnego nie zauważył, gdy autobus mijał wąskie uliczki i szmaragdowozielone trawniki poprzecinane pasami jasnobrązowej ziemi. Ciekawe, co z zapasami wody i energii z baterii słonecznych. Przypuszczalnie chcieliby się tam wprowadzić dzicy lokatorzy, lecz byłoby to trudne,

ponieważ domy miały zapewne systemy obronne.

Kiedy zapadł zmierzch, autobus minął góry i zachód pozostał w tyle. Przed oknami pojazdu rósł wielki błękit rzeki migoczącej wśród wzgórz. Wkrótce znaleźli się bliżej. O kilka stóp zaczęły pojawiać się obozowiska, jeszcze niedawno tak odległe. Teraz wyraźnie było widać, jak wielkie jest to zgromadzenie - świadczyły o tym zaparkowane chaotycznie różnorodne pojazdy i jasne płachty namiotów, pewnie ze sto lub więcej, choć na pierwszy rzut oka trudno było ocenić. Autobus mijał jadące w różnych kierunkach samochody, a Carla, lawirując między nimi, trąbiła ile sił.

Dziewczynka omijała obozowiska, manewrując wśród rozproszonych namiotów i przyczep, sznurów z suszącymi się ubraniami i kabli. Najwyraźniej każdy parkował i rozbijał obóz, gdzie chciał. Kiedy zaszło słońce, Carla włączyła światła, w blasku reflektorów ukazały się gromadki ludzi zebranych przy ogniskach.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Peabody.

- Chcę być blisko centrum, w ten sposób dzieci się nie zgubią, gdy zrobi się ciemno. Mamy specjalny gwizd, na który Bessie odpowiada klaksonem, ale może go nie usłyszeć z większej odległości. A zgubienie się jest niebezpieczne. To straszne przeżycie. Jeszcze długo potem bałam się wyjść na zewnątrz. Ale wkrótce moja kolej, żeby się przekreślić. - Jej głos był smutny i lekko ironiczny. - A później, kto wie? Może Bessie będzie jeździć w tę i z powrotem po całym kraju z martwymi dziećmi w środku.

- Zapominasz o mnie - zauważył Inżynier.

Carla spojrzała na niego krótko.

- Żartujesz?

- Ani trochę - odparł łagodnie. - Patrz, tam chyba jest miejsce.

Dziewczynka zakreśliła kierownicą i Bessie zakołysała się przy hamowaniu. Carla westchnęła.

- Pewnie wszyscy już śpią. To był ciężki dzień. Nie ma powodu ich budzić. Ja też jestem potwornie zmęczona. Chyba się położę. Kolację zjemy później.

- A ja chyba się rozejrzę.

- Ale wrócisz, prawda?

Roześmiał się.

- Nagle zdałaś sobie sprawę, że nie mam powodów, by tu zostać? Ale wrócę. Po prostu, ty masz plany wobec mnie, a ja mam plan dla ciebie.

- Co?

- Zobaczysz niedługo. Nie odjeżdżaj beze mnie, dobrze? To by wszystko zepsuło.

Carla wzruszyła ramionami i poszła na tył pojazdu. Zasłona zakołysała się, gdy za nią zniknęła. Dopiero wtedy Peabody powiedział:

- Chcę wyjść. Otwórz, proszę, Bessie.

I drzwi się otworzyły, a potem zamknęły za jego plecami. Zastanawiał się, czy może je zamknąć na jakiś zamek lub inaczej zabezpieczyć, w końcu rodeo było punktem zbornym najgorszej hołoty na południowym wschodzie, uznał jednak, że autobus potrafi o siebie zadbać.

Buty Kowboja stukały o płyty chodnika. Szedł w stronę czegoś, co wyglądało na centralny plac. Pozostały tu ślady dawnego miasteczka. Zszedł z drogi lecz natychmiast poczuł, jak oblepia go lepki pył, wrócił więc na trotuar. Zorientował się, że kiedyś zapewne była do jezdni przecinająca centrum handlowe. Usiłował przypomnieć sobie czasy, gdy przejeżdżał przez Yumę, ale nigdy nie był w mieście - mijał je, podążając drogą międzystanową.

Nie był pewien, jak długo dzieci zechcą tu zostać. Miał ochotę obudzić je i ruszyć na wschód tak szybko, jak się da. Zastanawiał się, jak mógłby uruchomić Bessie. Najlepszym pomysłem, jaki mu przyszedł do głowy, było przekonanie Carli, by ich zawiozła.

Wokół niesły się apetyczne zapachy. Kilka stóp od Peabody'ego kobieta piekła mięso na grillu, rzucając mężczyźnie groźne spojrzenie, gdy się zorientowała, że ten patrzy w jej stronę dłużej niż kilka sekund.

Sięgnął do portfela po pieniądze. Tak, Danya zadbała, by mieli odpowiednią walutę, gdy przekraczali granicę Republiki Teksasńskiej.

Peabody się martwił. Ile dni minęło, odkąd Danya go zostawiła? Zapewne radziła sobie nie lepiej niż on, ale przecież mogła napotkać wszelkie możliwe (i niemożliwe również) niebezpieczeństwa. Podczas pirackiego ataku Danya także ucierpiała. Była zagubioną duszą. Inżynier miał tylko nadzieję, że nic się jej nie stało.

Przypomniał sobie jej profil obrysowany blaskiem płomieni, gdy wpatrywała się w ogień. Prosty nos, poważne spojrzenie, rozwichrzone długie włosy. Dla niego, Jasona Peabody'ego, była kimś bardzo drogim. Nie chciał jej przestraszyć, ani tym bardziej rozgniewać. Zdawała się popadać w lekki trans, gdy mówiła o Memphis, o dzieciach i o byłym mężu. Bez wątplenia nie była najlepiej nastawiona do mężczyzn. Zapewne przeżycia z przeszłości wpłynęły na jej stosunek do Peabody'ego.

W Mieście Półksiężycy chodzili do tych samych miejsc. Zapewne do Sali Nauki i Wiedzy. Pamiętał, że Danya była jedną z osób, których praca pomogła zakończyć projekt akceleratora cząstek. Przypomniał sobie, że właśnie wtedy słyszał jej nazwisko. Był takim

przeklętym pustelnikiem! Mógł ją spotkać lata wcześniej. I gdyby się nie stał tym idiotycznym Kowbojem...

W kramie zamówił taco i fasolę oraz piwo, a potem, gdy się najadł, jeszcze jedno. Żołądek Kowboja wołał o mięso, i to nie o zwykły stek, lecz o mięso specjalnie przyrządzone i upieczone. Ale odkąd stworzono tak wiele zwierząt, które potrafiły mówić, Peabody uznał, że zabijanie i jedzenie mięsa jest dla niego za trudne. Wypiwszy piwo, poszedł dalej zwiedzać rodeo.

Najpierw minął ogrodzenie, za którym trzymano stado bydła. Śmierdziało tu mocno krowim nawozem. Zwierzęta kręciły się i popychały, nie mucząc, lecz raczej jęcząc. Podszedł do nieco niższej barierki bramy. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, ani ludzie, ani krowy. Ale jedno ze zwierząt podbiegło do Peabody'ego i kilka razy uderzyło z całej siły głową w ogrodzenie. Zauważył wtedy, że na rogach krowy błyszczą litery.

Pomocy - było napisane na prawym rogu, a na lewym: *Proszę. Wypuść mnie stąd.*

Żołądek Peabody'ego zwinął się w supeł, w gardle zaczęła rosnąć wielka gęła. Odsunął się od ogrodzenia i pobiegł w noc. Tchórz - pomyślał. Ale w tej chwili miał do ocalenia autobus pełen dzieci.

Nieopodal błyszcząły jasne światła stadionu. Słychać było gwizdy i okrzyki ludzi oglądających popisy rodeo. Peabody wszedł na wybetonowany plac. Nieczynna fontanna z meksykańskim ornamentem pełna była śmieci. Na placu panowało ożywienie i ruch, brzmiała muzyka grana przez mariachi. Swobodnie odziani ludzie posilali się przy okrągłych stolikach oświetlonych lampionami i świecami. Peabody, nadal całkowicie będąc sobą i tylko sobą, wszedł do salonu przez wahadłowe drzwi. Za nimi ujrzał scenę jak z tysięcy czarno-białych filmów o kowbojach. Mężczyźni i kobiety grali w pokera i pili whisky. Cofnął się i zatrzymał dopiero przy niewysokim betonowym murku, na którym siedział stary, wysuszony kowboj. Obok leżała otwarta walizeczka z różnokolorowymi fiolkami wypełnionymi drobnymi pigułkami.

- Co to jest? - spytał sprzedawcę.

- Nie wiem. Dostałem je w Denver. Na handel.

- Ile za nie chcesz?

- A ile mi dasz?

- A sprzedasz kilka z kompletu?

Stary mężczyzna spojrział na swój towar i zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wiem.

Peabody przyjrzał się fiolkom uważnie. Miały logo Narodowego Instytutu Zdrowia,

co znaczyło, że zawartość wyprodukowano zanim nadszedł nanotechnologiczny przełom. Oryginalnie zapakowane i na oko nietknięte. Zapewne znalezione niedawno. Jason słyszał, że Denver było jednym z wielu zamkniętych Miast Kwiatów, w których nie pozostało już wielu ludzi, a życie było bardzo ryzykowne.

Fiolki nie powinny być stracone dla świata.

Nie miał zamiaru puszczać ich w obieg, nie spodziewał się też, że w jakikolwiek sposób zadziałają na niego, ale mógłby ich użyć, aby pomóc dzieciom znowu zacząć dorastać. Odwrócił się jednak i zaczął odchodzić.

- Sprzedam - odezwał się stary kowboj. - Którą chcesz?

- Żadnej z tych - odparł Peabody przez ramię. A potem przystanął, wzruszył ramionami i wrócił. - A może wszystkie. Co powiesz na dwadzieścia dolców?

- Odbiło ci - sprzeciwił się starzec.

- Jak wiele ofert miałeś? Jak długo tu jesteś?

Mężczyzna milczał przez chwilę, a potem zdecydował:

- Pięćdziesiąt dolców.

- Trzydzieści pięć.

- Czterdzieści.

Peabody zajrzał do portfela i wręczył staremu cztery dziesięciodolarówki Republiki Teksasńskiej. Sprzedawca uniósł je do światła.

- Są prawdziwe - stwierdził ku lekkiemu zaskoczeniu Jasona.

- W porządku. - Peabody zatrzasnął teczkę i przełożył długi pasek przez ramię. Ruszył przez plac, zastanawiając się, co u diabła kupił? Nieważne. U niego przynajmniej było to bardziej bezpieczne niż u kogoś innego. Powinien zniszczyć preparaty. Dopóki jednak nie sprawdził, co zawierają fiolki, lepiej trzymać je zamknięte i mieć nadzieję, ogromną nadzieję, że znajdzie w nich coś, co pomoże jego nowym towarzyszom podróży. Równie dobrze jednak mógł to być zestaw zawierający wirusy nanoplagi, wywołujące obłęd i zmieniające ludzi w bardziej szalonych, niż byli obecnie. Albo tworzące nowe wyznania. Albo wywołujące gorliwą wiarę według praw jednej ze starych religii. A może stymulujące nieustanne pragnienie opowiadania historii, jakie ludzie wymyślili wcześniej.

Albo może zawierały prawdziwą miłość.

Jason pomyślał o Danyi.

Wystrzelone fajerwerki rozświetliły otoczenie głębokimi barwami. Stary, na poły zniszczony budynek nosił jasne ślady po reklamach. Hałaśliwi ludzie tłoczący się wokół ubrani byli w stroje w każdym możliwym fasonie i kolorze. Peabody poczuł się

zdezorientowany. Miał wrażenie, jakby znalazł się na targowisku, gdzie pojawili się ponownie pierwsi mieszkańcy tego kraju, sprzedający drewniane naczynia, biżuterię czy stare relikwie, dowodzące, że składano tu ofiary z ludzi; gdzie zapewne mogliby się zebrać na Taniec Ducha, tak ważną dla nich ceremonię.

Peabody usiadł przy stoliku przed barem i pochylił się nad menu. Teczkę oparł o udo i zamówił piwo. Było nalewane z beczki i serwowane przy małym kontuarze. Kiedy wypił, rozejrzał się. Przy stoliku obok siedziała kobieta z długimi czarnymi warkoczami i układała pasjansa - gra wyświetlała się nad blatem, była sterowana dotykiem palców.

Przypomniał sobie, że uwielbiał układać ten sam pasjans, „Solitaire’a”, gdy był chłopcem. Wydawało mu się wtedy, że gra odkrywa przed nim sekrety wszechświata. Miał karty z limitowanej serii, równie ograniczonej jak niektóre rozdania. Nadal produkowano gry niemające końca, zawierające nieskończoną liczbę kombinacji. Zupełnie jak formy życia. I gry, i stworzenia zdawały się szybko mutować w czasie i zmieniać nieustannie.

Wypił ciemne, gorzkie piwo i przyglądał się grze kobiety. Umysł zaczął pracować, rozważając możliwości rozkładu kart i wyobrażając sobie kolejne ruchy.

Ogląd całości był bardzo istotny. Wspominając, Jason uświadomił sobie, że próbuje wygrać grę - zarówno tę, jak i tę znacznie większą, grę w rozwój i dorastanie, w rzeczywistości, kiedy umysł potrafił łatwo zapamiętać karty, w przypadku pasjansa wszystko stawało się jasne. Najpierw umysł Peabody’ego rejestrował rozkład kart, a potem od razu zaczynał pracować nad rozwiązaniem, więc kiedy poruszał dłonią, by przesunąć karty - tak było w przypadku jego pasjansa - decyzja i rozwiązanie następowały natychmiast. Nie pamiętał, aby planował kolejność ruchów - i w rzeczy samej, czasem nieświadomie ręka zmieniała rozwiązanie na lepsze. Umysł i ręka stanowiły wtedy jedność o wiele mądrzejszą niż sama świadomość.

Umysł ludzkości, Współdziałanie, znajdował się w Mieście Półksiężyca. Ten umysł miał prawie wszystkie dane potrzebne, by zacząć pojmować, jaki może być wynik trwającej tak długo ewolucji. Złoty wiek prawdy i realizmu, tak odległy przecież od terażniejszości, pozostawił w tyle czasy, gdy umysł Boga był mistyczną tajemnicą. Ludzkość przemieszczała się w czasie i była częścią długiej kosmicznej opowieści o ewolucji świadomości, improwizowanej opowieści, która może trwać wiecznie, dopóki rozbrzmiewa muzyka życia.

Ale - i to była realna możliwość - ludzie mogli uczynić błędny ruch. I to z własnej woli. I gra się skończy. Nie gra wszechświata, lecz część, która dotyczy ludzkości. Nie da się rozegrać ich kart. Ludzka świadomość może rozplątać się w ciemnościach i nigdy nie połączyć ze świadomością, która wysłała Sygnał. Do kogokolwiek ta świadomość należy.

Oderwał wzrok od pasjansa i spojrział na plac. Uświadomił sobie, że wszyscy, którzy tutaj przebywają, mają świadomość. Świadomość jest prawdziwa, realna. Posiada energię, którą można obserwować. Tę energię, jaką przekłada się na ruch, na pracę. To energia, dzięki której porządkuje się i zbiera informacje, ogląda świat, poznaje materię i przetwarza ją w inne formy, podnosząc się na wyższy poziom świadomości.

Peabody doznał olśnienia, namacalnego niemal uświadomienia. Przyjechało doń na rumakach zmysłów i złożyło się w scenariusz, możliwość, rozwiązanie niemal w zasięgu ręki, popartą nauką prawdę: *Świadomość posiada obserwowalną energię*. I za pomocą narzędzi, albo tylko pracą umysłu, może tę energię przełożyć na coś, co jest widoczne.

I dlatego energia ta może również zostać przekształcona w coś, co jest słyszalne. Myśli mogą się stać widoczne - dzięki wyobrażeniom w umyśle. Myśli mogą być słyszalne - dzięki odpowiedniemu połączeniu. Być może z czasem...

Umysł Jasona przeskoczył do Gai, w którą wierzyła jego matka. Wspomnienie przywiódł przechodzący mężczyzna, pachnący płonącym drewnem - zapachem dzieciństwa Peabody'ego, czasów, gdy jego matka starała się nadać życiu wartość świętości - czy to przez religijne ceremonie, czy też poświęcając bliskim uwagę i serce.

Odrzucił to wszystko dawno temu. Ale nowe spojrzenie na świadomość przywołało nagle ukryte głęboko wspomnienia i pytanie: a co, jeśli Gaja istnieje?

Gaja, suma wszystkiego, co żyje na Ziemi. Według Gajan, którzy najpewniej przyłożyli rękę do produkcji plag, jakie przetrzebiły i zredukowały znacząco populację przez drastyczne obniżenie ludzkiej płodności, człowiek i jego świadomość były częścią większego organizmu. Organizmu rozwijającego się jako część wszechświata, dojrzewającego i gotowego sparzyć się z innym przedstawicielem swojego gatunku, jak samotne drzewo z żeńskimi kwiatami, rosnące z dala od drzew męskich. Być może inni przedstawiciele gatunku, jakim jest Gaja, to jałowe planety, gdzie mogłaby wyewoluować świadomość, czekające jedynie, aż jakaś siła przyniesie im pyłek - może owad lub wiatr, a może Sygnał - i dojdzie do zapłodnienia i narodzin.

Co narodziło się na Ziemi po długiej historii nieorganicznych, a potem organicznych przemian?

Jason Peabody, dziecko dawno utraconej matki-mistyczki, chłopiec, którego mózg został zreorganizowany przez obce fale radiowe, oparł się o słup. Gwiazdy, tak niewyraźne i stłumione przy jasno oświetlonym placu, mimo wszystko płonęły, wysyłając w przestrzeń świetlne przekazy prawdy o swojej długiej i niepojętej ewolucji, być może także o swojej śmierci, choć nadal świeciły jasno. Gwiazdy snuły część opowieści, która miała przebudzić

Jasona, by mógł się również włączyć do gry.

Może - pomyślał na koniec, gdy kobieta zamknęła panel pasjansa i karty zniknęły - słodkie powietrze w autobusie Carli jednak działało. Przyniosło mu przecież wspomnienia dziecka, jakim był dawno temu, i nie wiadomo, czy nie wywarło wpływu na jego układ immunologiczny, podobno uodporniony na wszelkie sprytne manipulacje genetyczne. Peabody żył długi czas w sztucznym środowisku najnowocześniejszej nanotechnologii. Miasto Półksiężycy mogło mu wpisać w geny Kowboja, ponieważ dokładnie znało Peabody'ego. A we Współdziałaniu Jason był zawsze tak bezbronny i pozbawiony ochrony.

Obserwował kobietę, gdy odsunęła krzesło, wstała i wmieszała się w tłum. Ku zaskoczeniu Jasona odwróciła się jeszcze i posłała mu krótkie spojrzenie, zanim zasłonili ją muzycy, jakby była posłańcem z żądaniem, by się przebudził; z tym samym przekazem, jaki płynął na falach Sygnału.

Peabody potrząsnął głową, odrzucając niemądre myśli.

Ale może jednak nadawano NOWA wiadomość? Tak dawno, bardzo dawno temu sądził, że pierwsze przekazy, jakie odbierał umysłem, były tylko iluzją. Odrzucił je, jak Gaję i całą resztę.

Wstał, ściskając teczkę z fiołkami. Tracił zbyt wiele czasu we wcieleniu Kowboja. Tylko w nocy był wolny, w ciągu jednego dnia Kowboj potrafił zmarnować wszelkie wysiłki Peabody'ego, by dotrzeć do celu. I oto teraz budził się nocą, coraz bardziej oddalając się od Houston.

Zrozumiał jednak na nowo swoje obowiązki. Nie mógł zabrać całego świata do Miasta Półksiężycy. Miał jedynie mgliste pojęcie o świecie, który istniał przed jego narodzinami, kiedy informacja płynęła przez Internet, zanim wszystko runęło. Zbyt szybko. A jeżeli ktoś znał rozwiązanie problemu, na przykład problemu opętania przez byt, który nazwał się Kowbojem, jeżeli ktoś był ekspertem od tego rodzaju spraw, powinien być dostępny. Jak Peabody mógł przypuszczać, że ten chaos, ten poziom informacji przypominający średniowiecze, w którego pejzażu tu i ówdzie widać ruiny rzymskiej technologii, stanowi drogę do prawdy, wiedzy i transcendencji?

Nie. Właśnie że musiał zabrać wszystkich do Miasta Półksiężycy, i to szybko, zanim straci całkowicie zdolność panowania nad własną osobowością. Nie mógł sobie pozwolić, by stać się na powrót dzieckiem. Miasto Półksiężycy i wszelkie kolonie w kosmosie - po to właśnie miasto powstało, by stać się samowystarczalnym miastem w kosmosie - potrzebowały Jasona, by odnalazł w Houston koordynaty źródła Sygnału, które zapisano i wykreślono jeszcze zanim radio zamilkło, jeszcze w czasach, gdy funkcjonowała dawna

technologia, gdy globalne organizacje i rządy były sprawne, gdy żyli ludzie rozumiejący naukę, w czasach, zanim Ziemia została zainfekowana nanoplagami. w Houston były dzieci - snuł rozmyślenia Peabody. Znalazł wśród nich przyjaciół, gdy pracował jako woźny w Centrum Kosmicznym i sprzątał szkołę, do której uczęszczały.

Oczywiście nie było wiadomo, czy dane nadal znajdują się w Centrum Kosmicznym. Ani czym się stało Centrum przez te wszystkie lata.

Peabody ruszył szybko przez plac, próbując wrócić tą samą drogą, którą przyszedł. Minął stadion, choć teraz był po przeciwnej stronie. Otoczyli go świętujący ludzie. Muzyka rozbrzmiewała wszędzie, głośna i dezorientująca. Dla umysłu w kruchym stanie równowagi, w jakim znajdował się Jason, dźwięki były zbyt głośne. Próbował się oddalić.

A potem zawrócił.

Nie, przecież naprawdę minęły lata. Dziesiątki lat.

Minęło tak wiele lat od czasów, gdy widział radioastronoma; gdy spotykali się w Hali Nauki lub w Wieży Radiowej, gdzie Jason mieszkał.

Ale czy to nie był radioastronom? Tam, wśród tłumu, czy nie mignęły mu długie, siwe włosy, szczupła, pomarszczona twarz? A obok, czy nie widział kompozytorki - jak ona miała na imię? Ra? Zdumiewająca kobieta. Jej długie, złotobrazowe włosy jak grzywa lwa otaczały twarz w kształcie serca...

Tłum się zamknął.

Peabody, ogłuszony hałasem, zaczął się przeciskać przez ludzki mur. Krzyczał, lecz nawet sam nie słyszał własnego głosu. Popychał ludzi i sam był popychany. Wkrótce poczuł uderzenie pięści w plecy. Odwrócił się, krzycząc i rozglądając się, podskakując, żeby lepiej widzieć. Wspiął się na krzywy stolik, strącając wysokiego drinka. Jego właściciel odepchnął natręta. Peabody zwałił się ciężko na ludzi siedzących obok. Muzyka urwała się nagle, ustępując miejsca odgłosom bijatyki.

Wstał, rozejrzał się szybko i równie szybko się wycofał. Ci ludzie przypominali bohaterów kreskówek o Dzikim Zachodzie. Najwyraźniej był jedynym, który brał pod uwagę odejście. Ktoś go pchnął. Upadł, dusząc się od kurzu. Tymczasem kilku mężczyzn włączyło się do bójki z wyrazem dzikiej radości na twarzach.

Jason ominął zamieszanie, przypominające teraz samonapędzający się mechanizm złożony z setek wijących się kończyn.

- Ra! - wrzeszczał. - Ra!

Otarł twarz grzbietem dłoni, rozmazując na twarzy smugi kurzu i błota. Był jak zagubione dziecko, które wzywa matkę.

- Ra! Zeb!

W gardle mu zasychało. Nie widział ich. I nagle...

Wspinali się na niewysoki pagórek. Zaraz potem przeszli przez oświetlony lampionami plac, w cieniu pagórka Peabody ujrzał zaparkowanego vana. Zeb i Ra weszli do samochodu. Zabłyśły przednie światła.

Jason pobiegł tak szybko, jak potrafił, gnany niepokojem, jakiego nie czuł jeszcze w swoim długim życiu.

W samochodzie był człowiek, który znalazł klucz do informacji docierających na Ziemię.

Wiele lat temu Zeb opuścił Miasto Półksiężycy. Chciał się dostać do Los Angeles, postludzkiej metropolii, by udoskonalić umysł i sposób rozumowania, skryzalizować własne rozumienie dokonanych odkryć. Zeb pragnął stać się czystą informacją. Chciał się wyzbyć emocji, osobowości, przeszłości.

Chciał się zmienić w światło...

- Zeb! - wychrypiał Peabody. Wdrapał się na pagórek, taszcząc teczkę z fiołkami.

Światła samochodu zatoczyły nagle łuk. Pojazd zawracał i skręcał. Przemieszczał się przez obozowisko powoli, lecz znacznie szybciej niż Jason. Wreszcie nabrał szybkości i Peabody ujrzał jedynie czerwone światła niknące na pustyni. Na wschodzie.

Przynajmniej wiedział, dokąd zmierza Zeb. Na wschód.

Peabody ruszył tak szybko, jak tylko potrafił, w stronę, gdzie - jak sądził - stała Bessie. Trochę biegł, trochę szedł pośpiesznie, a szczypiący pot zalewał mu oczy. Przez chwilę myślał, że zabłądził, ale rozpoznał jasny blask czerwonego grilla, który mijał wcześniej, a dalej ujrzał autobus.

Wejście nie chciało się otworzyć po stronie kierowcy, ale wpuściło go od strony pasażera.

Okay. Jasna sprawa.

Siedział na miejscu pasażera kilka minut. Jesteś teraz jednym z nich - powiedział sobie. Bessie cię posłucha. Oddechy śpiących dzieci wypełniały wnętrze autobusu, w końcu Peabody usiadł przy kierownicy.

Nie było żadnego powodu, dla którego miałby tu zostać. Ale jeżeli chciał uratować te dzieci...

Położył dłonie na kierownicy i wyszeptał:

- Ruszaj.

HASŁO - zapłonęło na desce rozdzielczej. Czy Carla podawała hasło?

- Po prostu jedź. Proszę.

Bessie cofnęła się, najwyraźniej posłuszna prośbie. Peabody prowadził ostrożnie, bardzo ostrożnie, zerkając we wsteczne lusterka, w końcu udało mu się wyjechać na drogę.

- Szybciej - wyszeptał i poczuł przyspieszenie. Pędzili już kwadrans, gdy zbudziła się Carla. Jason widział przed sobą czerwone światła. Doganiał przyjaciół.

- Co robisz? - zapytała dziewczynka spokojnie.

- Jadę na wschód. Zabieram was do Miasta Półksiężycy.

- Akurat.

- Jestem tam Inżynierem. Wiem, że miasto was uzdrowi. - Nie było sensu wspominać o własnej ucieczce. - Ale najpierw zatrzymamy się w Houston.

- Już teraz mogę ci powiedzieć, że tam nie pojedziemy. - Jej głos był nadal spokojny.

- Musimy. A potem...

- Nie ma żadnego potem. Wiedziała, że coś jest nie tak. Myślała, że trochę bardziej się do nas przywiązałeś.

- Co masz na myśli?

- Powinieneś mieć na uwadze przede wszystkim nasze dobro. Twój plan podróży nie ma znaczenia. - w głosie Carli brzmiał niepokój i rozczarowanie.

- Skąd masz ten autobus?

- Tiva go kupiła, gdy jeszcze była dorosła. Tiva była biochemikiem.

- Może ten pojazd wie więcej, niż myślisz. Naprawdę mam na uwadze wasze dobro. I przede wszystkim Bessie mi ufa. Prawda, Bessie?

- Ufam mu - oznajmiła Bessie.

- Ale... ona nigdy ze mną nie rozmawiała... - wyjąkała Carla, w stłumionym świetle bijącym z deski rozdzielczej widział uniesione brwi dziewczynki. - Nie tak normalnie. To ja mówiłam do Bessie. Bessie mnie słuchała. Tiva ją tak wytrenowała.

- Najwyraźniej Bessie ma jeszcze inne oprogramowanie. To pozwoliło jej dopasować się do mnie. Może to metaprogram.

- Nie podoba mi się to.

- Pozwól, że wytłumaczę ci lepiej...

- Myślisz, że jestem głupia? Słyszałam, co mówiłeś. I nie pojedziemy na wschód. Pojedziemy na północ. Zobaczyc Wielki Kanion. Mieszka tam plemię uzdrowicieli...

Peabody chciał objąć Carłę, delikatnie i przyjacielsko, ale dziewczynka w tym momencie zaczęła krzyczeć:

- Pomocy! Pomocy!

Natychmiast został zasypany gradem uderzeń zadawanych drobnymi piąstkami. Poczuł, że autobus zwalnia, ale się nie zatrzymuje. Drzwi jednak się otworzyły i w twarz uderzyło go chłodne nocne powietrze.

- Nie! - krzyknął.

Dzieci wypchnęły go z autobusu.

Ramię uderzyło w ziemię pierwsze, poczuł ostry ból. Przewrócił się i potoczył, próbując chronić głowę. Wreszcie runął ciężko na twarde, kamieniste podłoże.

Oświetlony jasno autobus pędził przez noc.

Po kilku sekundach Peabody ujrzał, że pojazd skręca. Oszołomiony, widział jeszcze, jak Bessie kieruje się na zachód, nabierając prędkości. Minęła Jasona ze świstem, pozostawiając po sobie jedynie podmuch wiatru.

A potem zapadła cisza.

Mężczyzna próbował wstać. Nie mógł. Z bólu stracił przytomność i leżał bezwładnie, aż słońce i upał go obudziły. Nie miał kapelusza. Gdy otworzył oczy, natychmiast zalał je szczypiący, ostry pot. Ubranie było podarte i poplamione krwią. Nie mógł ruszać prawą ręką. Lewe ramię było sprawne, ale dłoń zwiślała bezużytecznie, z trudem otarł czoło rękawem. Kiedy spróbował wstać, nieoczekiwanie przeszył go ból. Prawa noga nie była w stanie udźwignąć ciężaru ciała.

I nie miał wody.

Sytuacja nie wyglądała najlepiej.

Ra i Zeb jadą na wschód

- To było przygnębiające - oznajmiła Ra, gdy następnego dnia jechali do Nowego Meksyku.

- Yuma? - spytał Zeb.

- Nic się nie zmieniło przez cały czas, gdy byliśmy w Kopule. Zupełnie nic.

- Coś się zmieniło - zaproponował mężczyzna. - Inaczej wciąż tam byśmy byli. - Spojrzał w zamyśleniu na towarzyszkę. - Chcesz wracać?

- Nie - odparła stanowczym, nieco rozgniewanym tonem. - Jakie to ma w ogóle znaczenie? Nie jesteśmy sobą. Ja nie jestem sobą. Jak mogę podejmować decyzje?

- Nie ma powodu do cynizmu. - wtrącił się samochód.

- Dlaczego nie? - Ra odwróciła się w stronę głosu dobiegającego z deski rozdzielczej. - Ty jesteś cyniczny.

- Tylko część mnie. Ale wszystkie te piosenki o miłości i pokoju są bardzo wzruszające. Nie mogę pozostać cyniczny, skoro ich słucham. Chcesz, puszcze ci parę.

- Nie, dziękuję - warknęła Ra. - Może coś Duke'a Ellingtona.

- Mam *The Duke of Earl*. To kawałek z *Roots of Rock III*. Posłuchaj. *Duke, Duke, Duke, Duke of...*

- Nie! - jęknęła Ra. - Nie wiem, co mi jest! Zwykle mogłam... Och! Blokujesz barwy tym hałasem... !

- Dość - rozkazał Zeb i samochód się uciszył. - Tak lepiej, Ra?

- Zdecydowanie lepiej. Dziękuję ci, Zeb.

- Podziękuj mnie, nie jemu - wymamrotał van.

- Dziękuję ci. Słuchaj, a może skomponowałabym coś, Zeb? Nową muzykę?

- Jasne, to by było miłe. Naprawdę.

Ra uspokoiła się i z uwagą wbiła oczy w krajobraz.

- Te góry są czerwone i niebieskie. I zielone. Zielone pasmo na dole. Zaraz przy krawędzi brunatnej pustyni. Boże, i jeszcze złoto - spójrz na zachód. Lśni jak złoto, a powyżej chmury stają się czerwone. To jak muzyka, nie sądzisz, Zeb? Zeb?

- Och. Przepraszam, zamyśliłem się.

- Chcesz, żebym poprowadziła?

Samochód zaśmiał się szyderczo.

- Dlaczego myślisz, że to on prowadzi?

- Racja - przytaknął Zeb. - Wszystko jest zautomatyzowane. Ja jestem tylko częścią kierownicy, zdaje się. Pewnie dlatego, że ją trzymam.

- Nad czym się tak zamyśliłeś?

- Nad światłem. Myślałem o świetle.

- Tak - mruknęła Ra i objęła mężczyznę ramieniem. - Jak zwykle. TW.

- Te-wu? - zapytał samochód.

- Teoria Wszystkiego - wyjaśniła kobieta. - To właśnie robi cały czas. Myśli o równaniach, które opisują wszystko, co się zdarza. Nie tylko lokalnie, nie tylko w małych cząstkach, jak to robi fizyka kwantowa. Ani też nie skupia się na bardzo wielkich sprawach, jak kosmos, czas albo teoria względności. On to wszystko chce połączyć.

- Aha - powiedział van. - Tak właśnie myślałem.

*

Ra obudziła się następnego ranka o świcie i zobaczyła Zeba śpiącego przy kierownicy. Już chciała krzyknąć, ale zaraz uspokoiła się, uświadamiając sobie, że samochód może jechać samodzielnie.

Znaleźli się w zupełnie innej krainie. Przypominała Ra Luizjanę. Kobieta otworzyła okno; powietrze było gorące i wilgotne. Droga biegła przez równinę usianą niskimi, liściastymi drzewami. Ra zauważyła również aligatory, nieruchome i ogromne, wygrzewające się na podmokłym, bagiennym brzegu.

Twarz Zeba rozluźnił sen. Dziwnie było mieć świadomość, że i on, i ona nie są sobą, lecz kopiami stworzonymi przez Kopułę w Los Angeles. Ra czuła się przez to tak, jakby spadła w bardzo głęboką przepaść. Wróciła myślami do muzyki.

Gdy przebywała w Kopule, przez ten dziwny, beczasowy okres, próbowała komponować muzykę w oparciu o równania Zeba. Oczywiście musiałyby zrozumieć najpierw jego obliczenia, a tego uczynić nie umiała, znalazła jednak pośrednią metodę - przekładanie finezyjnych obliczeń na inne nośniki niż zapis matematyczny: na obraz, taki jak falujące lub pulsujące wykresy, czasem zmiennobarwne. I na dźwięki. Ra zbierała te zapisy i komponowała do nich muzykę, tworzyła sztukę, której pojmowanie mogłoby zająć wiele lat. Ale cóż znaczył czas w Kopule? Będąc tutaj, miała jedynie mgliste wspomnienia, jak tam było, w tej ogromnej cyfrowej przestrzeni i miejscu.

Ale teraz, na zewnątrz, przypomniała sobie o własnych korzeniach. Przywołała imię, które dla siebie wybrała: Sun Ra. Tutaj imię rezonowało znaczeniem. Inspirowało ją kiedyś, gdy czuła się, jakby płynęła przez przestrzeń kosmiczną, grając muzykę sfer niebieskich, omijając racjonalny umysł tak, jak powinna najlepsza melodia. Ta muzyka inspirowała jej zespół, Arkestrę. Ra zsunęła okno, kręcąc korbką w drzwiach, i gorący, ostry wiatr wypełnił wnętrze samochodu. Poklepała parę razy rozgrzaną karoserię, gdy pojazd pędził przez zastraszająco długi, wielki most, z którego ku swemu zdumieniu ujrzała błękitną, głęboko błękitną Zatokę Meksykańską, obramowaną śnieżnobiałym piaskiem plaży.

- Zeb! - Potrząsnęła towarzyszem. Natychmiast otworzył oczy.

- Co? - Nie wydawał się ani trochę oszołomiony czy rozespany. Może wcale nie spał. Może po prostu wszedł w tryb głębokiego myślenia.

- Dotarliśmy! Jesteśmy na wybrzeżu!

Zeb pochylił się do przodu i chwycił kierownicę. Nacisnął sprzęgło, ale van odezwał się ze spokojem:

- Jedziemy z największą bezpieczną prędkością. Dotrzemy do brzegu w siedemnaście

minut, o ile nie pojawią się żadne przeszkody na drodze.

- Minęliśmy Houston - zauważył mężczyzna.
- Nie sądzę, aby trzeba było odwiedzać Houston - odparł samochód.
- Skąd to przekonanie? - zainteresował się Zeb.
- Mówiłem ci, mam misję do wykonania. I wiem, co trzeba.
- Czemu chciałeś się zatrzymać w Houston, Zeb?

- Miasto Półksiężycy najwyraźniej chce się wynieść, wystartować w kosmos. System map i obliczeń, stworzony przez NASA, nadal może się znajdować w Centrum Kosmicznym. Przekaz, który odebrałem - który mnie obudził - mówił, że miasto jest gotowe do następnego etapu. I dlatego musiałem tam dotrzeć. I jeszcze w wiadomości podano, że koordynaty zostały zniszczone.

- Skąd się wzięły te koordynaty?

- Pamiętasz? Och, zaraz, może ciebie tam nie było. Gdy po raz pierwszy spotkałem Peabody'ego, rzucił je po prostu na stół. To było dawno, jeszcze w starym Nowym Orleanie, przed Powodzią, gdy Miasto Półksiężycy dopiero powstało i czekało na zasiedlenie. Jason ukradł dane z Centrum Kosmicznego. Po prostu rzucił je na stół i odszedł. Były zapisane na jednej z tych kul informacyjnych, pamiętasz je? Nie widziałem go potem przez lata, zanim wrócił do Miasta Półksiężycy i na nowo podjął pracę. Ale wtedy już się zmienił. Bardzo się zmienił. Wiele przeszedł.

Dojechali na plażę. Droga po prostu ciągnęła się wzdłuż oceanu. Kilkaset jardów na południe z toni wystawały betonowe falochrony, na których rozbijały się fale. Van się zatrzymał.

Ra otworzyła drzwi i wysiadła, rozglądając się ciekawie.

Zapatrzyła się w panoramę rozciągającą się wokół niej. Zatoka rysowała się czystą, błękitną linią, przysłoniętą miejscami przez wydmy. Niesione wiatrem ziarna piasku uderzyły ją w twarz i ramiona. Zeb również wysiadł i stał teraz obok z rękami w kieszeniach i ze swoim zwykłym, beznamiętnym wyrazem twarzy.

Skąd mam wiedzieć, że to jest realne?

Nie było powtórki, nie było żadnych pytań pomocniczych, jakie mogłaby jej podsunąć Kopusza. Tutaj panowała zwykła natura. Jediną nienaturalną rzeczą była Ra. I Zeb.

Opuściła głowę. To absurd. Jeżeli jest nienaturalna, jak może czuć tak naturalny, głęboki smutek i strapienie?

Inna. Jestem realna. Ale inna. Jestem czymś nowym.

- Hej? - Głos samochodu nikł na wietrze.

Ra odwróciła się i ujrzała, że van się zmienił. Opony stały się większe i szersze. Dach złożył się częściowo, odsłaniając miejsca z przodu.

Pośpiesznie wsiadła, Zeb uczynił to samo. Van powoli ruszył przez piasek.

- No i nie mówcie, że nie jestem dobry - oznajmił. - No już, przyznajcie. Jestem najlepszy.

Ra spojrzała na linię wybrzeża z powątpiewaniem. Plaża usiana była szarymi kłodami, wystającymi z piasku gałęziami i konarami, a także pasmami wodorostów. Mewy gromadziły się nad falami, krzycząc i pikując ku ziemi w nieustannym, zmiennym harmiderze.

- No - mruknęła Ra - i co teraz?

- Potrzebuję troszkę czasu - przyznał samochód. - Ale trzymajcie się.

Przyśpieszył nagle i zjechał z drogi prosto w morze.

Ra poczuła się absolutnie żywa i prawdziwa, gdy morska piana prysnęła jej w twarz. Van rozorał wodę i popłynął, mijając pierwszy z falochronów i odbijając się od kolejnego. Zaraz potem znaleźli się na otwartym morzu. Ra popatrzyła na Zeba i uśmiechnęła się szeroko. Zeb także się uśmiechnął i ujął jej dłoń.

Minęło ponad dwadzieścia minut, zanim van odezwał się ponownie. Zmieniał się, stopniowo, ale dość szybko, by pasażerowie mogli zobaczyć postęp transformacji.

Łódź przekształcała się w dwuosobową motorówkę. Skierowała się na wschód - południowy wschód i unosząc dziób rozpędziła się na falach. Odezwała się tylko raz, wykrzykując:

- Przepraszam, ale przemiana i ruch zużywają zbyt wiele energii i brak jej na komunikację werbalną. Proszę się mocno trzymać. Koniec komunikatu.

12 SIERPNIĄ 2115

SU-CHEN W MIEŚCIE

Jest noc. Widzę to na niebie.

Powiedziałam łodzi żeby zabiła pirata który wyrzucił mojego kota. Kopnął klatkę do morza i kot utonął. Pirat chciał nas powstrzymać przed dotarciem do Miasta Półksiężycy. Io zapytała dlaczego i pirat odpowiedział że miasto zmieniło innych piratów w dobrych ludzi a jemu się to nie podoba i chce ukraść naszą łódź by uciec jak najdalej. Łódź ukuła pirata kolcem z trucizną jakiegoś morskiego stworzenia. Pirat zrobił się czerwony spuchł i się udusił a ja odepchnęłam go od łodzi gdy Io spała.

Dni są jasne pełne słońca i muzyki. Słyszałam w oddali niskotonową melodię silnika i zagrałam ją. Poprosiłam łódź by stała się instrumentem muzycznym. Łódź wytworzyła membrany do przekazywania dźwięków w powietrzu i klawiaturę dla moich palców. Powietrze wylatywało z baniek Membran gdy grałam. Wielka szara ryba tańczyła obok mnie. Płynęła obok w tę i z powrotem skakała przez fale wyskakiwała z wody i zataczała łuki. I śpiewała.

Muszę wrócić do światła. Chciałam pójść z Zeusem ale tędy też będzie dobrze.

Io jest chora oczy zamknięte i mówi mówi mówi. Mówi o widmach zjawiskach świetlnych i nieoznaczoności jak mój ojciec.

Oni nie są widmami. Są bardziej prawdziwi niż wszystko inne. Są jednym choć jest ich wielu. Są czasem ściśniętym do drgań i drgania są muzyką. Muszę ich zagrać. Muszę dotrzeć do Miasta Półksiężycy. Muszę ich stworzyć. Oni są muzyką i ja muszę ich zagrać. Muszę ich wszystkich stworzyć. Stworzyć to. To ma liczby. To jest liczbami. To jest muzyka.

Jeżeli w mieście są ludzie mogą próbować mnie dotknąć a wtedy kopnę ich i będę krzyczeć to boli boli boli. Ugryzę ich.

Chcę mojego kota.

To wielkie i jasne jest już bliżej.

*

Io ocknęła się i ostrożnie usiadła, pochylając się w stronę masztu. Łódź unosiła się i opadała na długich, powolnych falach. Kobieta czuła się chora, strasznie słaba.

Ale żyła. Obie żyły.

- Su-Chen! To tutaj!

- Widzę. - w głosie dziewczynki nie było śladu emocji, tylko stwierdzenie faktu.

- Gdzie ten mężczyzna?

- Odepchnęłam go w morze.

- Mówiłam ci, żebyś go nie dotykała.

- Nic mi nie jest.

Twarz Su-Chen oblewała zielonkawa biopoświata bijąca z masztu.

- Zanim zaszło słońce, widziałam plażę i palmy. A potem był duży sztorm. Zły. Pioruny, błyskawice i deszcz, duży deszcz. Myślałam, że nas zaleje. Nie obudziłaś się. Przywiązałam nas obie, żebyśmy nie wypadły z łodzi.

- Och. Myślałam, że mi się to śni.

- Łódź powiedziała, że masz wysoką gorączkę. Cały czas mówiłaś, ale było zbyt głośno i nie słyszałam, co mówisz.

- Skąd masz ubranie?

Dziewczynka miała na sobie szorty i cienką koszulkę, która lśniła jadowitą zielenią.

- Łódź je zrobiła. Dla ciebie też.

Otworzyła worek i wyciągnęła długi kawałek tkaniny. Po rozwinięciu okazało się, że to drapowana sukienka, podobna do ubrania, jakie Io miała na sobie, gdy po raz pierwszy spotkała Su-Chen. Sukienka również była seledynowa. Oblepiona solą Io zdjęła biały, poprzypalany kombinezon i wyrzuciła go za burtę. Przez głowę włożyła nowy ubiór.

- Strój zajmie się solą i nie będzie cię swędziała skóra - oznajmiła dziewczynka.

- Niebo zrobiło się szare. - Io rozejrzała się. - Myślę, że jest ranek.

- Wkrótce dotrzemy do miasta. Łódź mówi, że za dwie godziny. Chcesz się jeszcze przespać?

- Nie.

Miasto kołysało się na szarych falach oceanu, białe i lśniące w poświacie świtu, a wschodzące słońce oblało je różem, zielenią i żółcią. Ogromne pawilony i wysokie wieże wznosiły się otoczone wieńcem zielonych palm.

- Czy to rakiety? - spytała Su-Chen.

- Tak myślę.

Miasto wydawało się tętnić zmianami, choć z tej odległości trudno było dostrzec szczegóły. Io zauważyła przepływające majestatycznie wzdłuż burty w przejrzystej zielonej wodzie wielkie żółwie. Su-Chen położyła dłonie na klawiaturze, którą kazała stworzyć łodzi, by mogła grać, i nad pokładem popłynął dziwny, lecz miły dla ucha, melodyjny świst.

W miarę zbliżania się do miasta fale stawały się większe. Io obawiała się, że mogą uderzyć w wystający z rafy falochron. Su-Chen oparła dłonie na burtach, a łódź, złapawszy prąd, skręciła, omijając przeszkodę. Na nabrzeżu jakieś dwie kobiety, wyciągające sieci, pomachały do nadpływających.

Wreszcie łodzią przestało kołysać, gdy wpłynęła na przybrzeżne wody.

Miasto otoczyło Io i Su-Chen. Jego splecione harmonijnie kontury były absolutnie piękne. Kobiety minęły wały absorbujące uderzenia fal oceanu i odgradzające wnętrza spokojnych lagun. Na nabrzeżach leżały wodorosty rozciągnięte na stelażach, by wyschły w słońcu. Pelikany podlatywały na keję, gdzie cumowały łodzie, a białe dźwigi pogłębiały dno. Wiatr szeleścił wśród zagajnika palm kokosowych, wypełniając powietrze wilgocią i szumem przypominającym odgłos deszczu. Kanał prowadzący w głąb sztucznego lądu zwęził się, na brzegach otoczyły go drzewa o wystających korzeniach, splecionych jak sieć. Io wciągnęła znany, charakterystyczny zapach, który pamiętała z dzieciństwa: kwiatu pomarańczy.

Na chwilę pogрузzyła się w myślach. Ląd, choćby i sztuczny, był blisko. Wyspa na Ziemi, gdzie można pewnie oprzeć stopy i iść przed siebie.

Nie widać było żadnych ludzi oprócz kobiet na nabrzeżu rafy. Może piraci wszystkich zamordowali. Io stała się czujna, nie zamierzała pozwolić, by ją uwięziono lub zatrzymano. Nie była od wielu lat na Ziemi i nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować wobec innych ludzi, tak różnych od mieszkańców Harmonii, bezpośrednich i bezceremonialnie szczerych.

- Patrz.

Io odwróciła się.

- Myślę, że to słoń.

- Owszem! - potwierdziła zaskoczona kobieta.

- Statku, zabierz mnie do słońca. - Su-Chen położyła dłonie na burcie i wpatrzyła się w stworzenie na brzegu. Łódź skręciła pod jej dotykiem. Stała się im tak bliska i pomocna, że Io zdecydowała się pozostać na bezpiecznym pokładzie tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

- Czeka!

- Co?

- Ktoś tu jest. W wodzie.

Su-Chen spojrzała we wskazanym kierunku. Na falach unosiła się kobieta w

jasnożółtej kamizelce ratunkowej. Łódź skrzyła posłusznie i zbliżyła się do wskazanego celu.

Kobieta leżała w wodzie twarzą do góry. Policzki miała blade, bezkrwiste. Długie, ciemne włosy otaczały jej głowę. Ławica małych rybek skubała białe, bezwładne palce.

- Jest martwa - oceniła Su-Chen. Nic w wyrazie jej twarzy lub brzmieniu głosu nie zdradzało emocji.

Io wychyliła się, by przyciągnąć ciało, z wysiłku na czole wystąpiły jej krople potu. Słońce paliło, wspinając się coraz wyżej na nieboskłon. Kobieta zwymiotowała by prosto do wody, gdyby tylko miała czym.

Nagle przy ciele ze ślizgiem wyhamowała inna łódź.

Znad burty wychylili się kobieta i mężczyzna. Wciągnęli ofiarę na pokład. Pracowali szybko, nie poświęcając uwagi ani Io, ani Su-Chen.

Ratownicy położyli ciało kobiety na dnie łodzi, obrócili na bok i uderzyli w plecy, z ust bluznęła woda. Ciało jednak pozostało bezwładne i ciche. Żadnego kaszlnięcia, żadnego oddechu.

Bez słowa, jak dobrze zgrany zespół, ratownicy obrócili kobietę i owinęli ją przezroczystą tkaniną. Natychmiast przepłynęły po niej jaskrawe kolory, pulsując faliście na powierzchni kokonu.

- Co robicie? - spytała Su-Chen.

Mężczyzna o długich, ciemnych włosach związanych w koński ogon odpowiedział:

- Zabieramy ją do kliniki.

- Przecież ona nie żyje.

Oboje ratowników zajęło fotele. Mężczyzna wyjął z kieszeni czerwoną chustę i przetarł twarz.

- Jej mózg jeszcze żyje. Współdziałanie się z nim połączy i zapisze wszystko. Może ta kobieta później zechce się ucieleśnić. Reinkorporacja nie jest trudna.

- A wy skąd jesteście? - zapytała ratowniczką. Miała krótkie, ciemne włosy i brązowe oczy.

- z Księżycy - odpowiedziała Su-Chen.

Ratownicy parsknęli śmiechem.

- Wkrótce będziesz mogła tam wrócić - podsunęła kobieta. - Niedługo mamy zamiar wystartować.

- Nie muszę tam wracać - odparła dziewczynka. - Muszę iść za muzyką.

- A co z piratami? - zapytała Io, oddychając ciężko.

Ratowniczką spojrziała na nią z uwagą.

- Jeden z nich próbował ukraść nam łódź - wyjaśniła Io.

- Powiedział, że uciekł i że w Mieście Półksiężycy są piraci.

Ratownicy patrzyli na siebie przez chwilę. Kobieta chrząknęła, w końcu odezwał się mężczyzna.

- To my jesteśmy piratami, prawda?

- Tak - przyznała ratowniczką pewnym tonem. - To prawda. Prawie zapomniałam. Teraz to naprawdę dziwne. Tak. A przecież to nie było tak dawno. Może miesiąc temu? Jesteśmy z Trynidadu.

Io usiłowała zachować koncentrację, ale nie było to łatwe. Ratownicy rozmywali się, chwilami wcale ich nie widziała. Próbowwała się ruszyć, ale tylko usiadła oszołomiona.

- Cieszę się, że tu przyплыliśmy - stwierdził ratownik.

- Tu jest tak pięknie. Pomimo zniszczeń, jakie zrobiliśmy. Ale już je naprawiamy. Nieważne, skąd jesteście - z Księżyca, z Miami - spodoba się wam tutaj. Ostrzegam jednak, że tutaj wszystko szybko się zmienia. To może doprowadzić do szału.

- Miasto potrzebuje... określonej liczby ludzi - dodała kobieta. - To dlatego, że opustoszało. Zabiliśmy sporo mieszkańców. Całkiem na śmierć.

- Ta kobieta też umrze całkiem, jeśli jej nie zabierzemy na czas do szpitala. Pośpieszmy się.

- Zaraz! - Ratowniczką przyjrzała się baczniej Io. Chwyciła krawędź burty i przyciągnęła łódź bliżej motorówki. - Masz paskudne oparzenia na nogach. - Bez pytania podniosła wyżej suknię kobiety. - Brzydkie pęcherze.

- Pociągniemy je na holu - zdecydował natychmiast ratownik. Gdy próbował przywiązać łódzie do siebie, Su-Chen prześlizgnęła się przez burty i wskoczyła do wody. Io widziała, jak dziewczynka płynie czałkiem, kierując się w stronę odległej drabinki przy brzegu. Dziewczynka wspięła się po cienkich szczeblach, chwyciła się wystających korzeni drzew pomarańczowych i wydostała na ląd.

Natychmiast ruszyła w kierunku słońca.

- Muszę z nią zostać... - powiedziała Io, ale słowa zmieniły się w niezrozumiałe chrypienie i ratownicy nie zwrócili na nie uwagi.

Motorówka zatoczyła łuk i popędziła przez kanał do serca miasta, pozostawiając jedynie cichnący między brzegami szum.

Łódź Io jęknęła i popędziła w ślad za ratowniczym ślizgaczem.

Śpiewam do słonicy a ona przychodzi i podnosi mnie obejmując trąbą unosi mnie w górę i kładzie na swoim grzbiecie. Chwytam ją za uszy a ona śpiewa do mnie. Bardzo niskie dźwięki. Kiedy trąbi słonica gra muzykę którą słyszę.

Słonica wie gdzie oni są. Idą we wszystkie strony. Naprzód i do tyłu i na ukos. I w jeszcze więcej kierunków. Jak w muzyce. Melodia płynie, wiruje, skręca, mija się i spotyka w środku by Wybrzmieć wszędzie. Długo jadę na grzbiecie słonia. Zasypiam pod drzewem w wysokiej trawie. Gdy się budzę jestem bardzo głodna.

Słyszę muzykę na przylądku obok. Widzę światła.

Idę tam.

CHESTER

Realnie realna realność

Chester obudził się w szumie i łoskocie, plusku i szemraniu fal. Ciało miał poobijane i skurczone. Bycie w pełni żywym okazało się przerażająco bolesne.

Rażące światło wdzierało się do środka przez iluminator. Chester przypomniał sobie, że jest na dziobie, siedzi przy drzwiach toalety.

Ku jego zaskoczeniu drzwi się otworzyły, gdy spróbował zapukać. Ruszył do góry po wąskich schodkach, natykając się na zdziwionego rybaka, który właśnie miał zamiar zejść tą samą drogą.

- *Buenos dias* - przywitał go rybak. - Cieszę się, że czujesz się już lepiej. Właśnie opuściliśmy łowiska niedaleko Miasta Półksiężycy i kierujemy się na Haiti. Stamtąd możesz popłynąć, dokąd zechcesz.

Twarz mężczyzny była szczupła, poważna i czarna. Okalały ją dredy. Chester przyglądał się przez chwilę. Widywał już czarnoskórych w Argentynie i nielicznych również w Paryżu, ale większość miała włosy krótkie i nie nosiła równie zaskakującej i ładnej fryzury.

- Dziękuję - odpowiedział. - Ale właśnie tutaj muszę zostać, w Mieście Półksiężycy. Możesz zawrócić i wysadzić mnie na brzegu?

- Señor, proszę wybaczyć, ale nie powinieneś tam iść.

- Dlaczego?

- Bo to zbyt przerażające. - Rybak spojrzał uważnie ciemnymi oczyma i Chester opuścił wzrok. Mężczyzna mówił dalej.

- Miasto się zmienia. Wzbudziło ten proces. I teraz rośnie. My wszyscy trzymamy się z dala, bo wiemy o ludziach, którzy weszli do miasta i nigdy już nie wrócili. Znamy też ludzi, którzy weszli i potem opuścili Miasto Półksiężycy, ale to było dla nich jak choroba i wracali, bo musieli. To miasto uzależnia jak narkotyk. Wszystko w nim jest tak piękne, doskonałe, idealne. Jak w raju.

- I co w tym złego? - spytał Chester, starając się, by jego głos brzmiał lekko i z ciekawością raczej niż z ironią.

- To nie jest prawdziwe. Zmiana nie jest prawdziwa. Co się za nią kryje? Nic. Zdaje mi się, że to tylko powolne opadanie na dno, którego nie ma. Wszystko, co jest tak kusząco piękne, musi być niedobre. Nawet bardzo złe, jak myślę. Jesteśmy wierzącymi ludźmi - ja, moja rodzina i wioska. Nie wymyślamy rzeczywistości. Nie wymyślamy prawdy. Tworzy ją Bóg, by nas doświadczyć. By nam pomóc, by nas uczyć. Gdybyśmy wymyślili i stworzyli własną rzeczywistość, jak moglibyśmy się czegokolwiek nauczyć?

- Zdaje się, że miasto jest zupełnie solipsystyczne - zauważył Chester.

- Tak jest. I do niczego to nie prowadzi - odpowiedział rybak stanowczo. - Miałem wiele czasu, by pomyśleć nad tym wszystkim, co dzieje się na oceanie. Moja żona chce przepłynąć do Miasta Półksiężycy. Chce tu przywieźć dzieci. I złości się na mnie, że się nie zgadzam. Myśli, że tutaj dzieci nigdy nie będą głodne, będą mieć wszystko, czego potrzebują i czego zapragną. Ale mogą stracić dusze.

Chester roześmiał się i rybak spojrzał na niego niechętnie.

- Przepraszam - wyjaśnił. - Nigdy nie myślałem w ten sposób. Ale pojąłem, że masz rację. Biorąc pod uwagę naturę duszy, to możliwe. Ale z drugiej strony, czy z tego, że w mieście panuje dostatek i wszystkie potrzeby fizyczne można zaspokoić, wynika od razu utrata duszy? - Zdecydował się nie wspominać, że najprawdopodobniej nie ma duszy, bo tak naprawdę jest lalką. Miał jednak wrażenie, że okłamuje rybaka. I, co tu kryć, myślenie o duszy oszałamiało go. Poczł mdłości, gdy ogarnęła go wizja dantejskiego czyścica i piekła. Drobne figurki spadały mu przed oczyma, próbując się czegoś chwycić w nicości i krzycząc, gdy zanurzały się w jeziorze ognia. Chester musiał odetchnąć. Odwrócił się i podszedł do burty. Przechylił się i zwymiotował. Niewiele mu to pomogło.

Rybak obserwował go z drzwi, gdy Chester pochylił się nad zlewem i przepłukał usta.

- Jesteś biały jak mleko - powiedział. - Wybacz, że musieliśmy cię zamknąć na dziobie, ale chciałeś wyskoczyć za burtę. Oszałałeś.

- Dziękuję - odparł Chester. Otarł pot, który nagle zrosił mu twarz, i dopiero teraz zauważył, że ubranie, nadal przemoczone, jest zbyt grube i ciężkie jak na tę ciepłą strefę klimatyczną. - Nic mi już nie jest. Wracam do miasta. To coś, co... co miałem... z Angeliną...

- I wtedy się rozplakał i zaczął opowiadać rybakowi wszystko. Mężczyzna słuchał cierpliwie, a Chester zerkał na niego tylko od czasu do czasu, stale ściskając i rozkurczając dłonie, gdy szukał słów, które zdawały się tak ważne, tak żywe. I odkrywał kolejne wyrazy, by opowiedzieć własną historię.

- Myślenie jest jak... ubranie! Ubranie, które się rozrasta w tobie, od wewnątrz. Wszystkie myśli takie są. Tym jest właśnie twoja religia i religie w ogóle, i wszystko, co wymyślamy i robimy. Wiem, że to prawda, bo obserwowałem siebie, jak zaczynałem myśleć.

Rybak cofnął się w wąski, zagracony korytarz wyłożony boazerią, o śliskiej posadzce przesyconej zapachem ryb.

- Nie, słuchaj! - powiedział Chester, znacznie bardziej gorączkowo niż chciał. - To prawda! Wkładamy ramiona w rękawy opowieści. Opowieści rosną w nas, dojrzewają. Wrastają w nasze ciała jak inne żywotne organy. Tak! - Kiwnął z podnieceniem głową. - Opowieści wybuchają w naszych sercach i umysłach, przejmują nad nimi kontrolę. To właśnie mi się przydarzyło. To zdarza się każdemu, a więc zdarzy się i tobie!

Mówił teraz i pokrzykiwał, czując się, jakby był otwartą księgą. Angelina ostrzegła go przed tym, gdy chciał przejść podobną przemianę jak ona, by stać się prawdziwym człowiekiem. Próbował złagodzić ton głosu, ale nie potrafił. Poddał się, pozwolił się porwać słowom. - Właśnie dlatego wiemy, że jesteśmy światłem i że jesteśmy muzyką, z powodu opowieści! I właśnie dlatego muszę iść do Miasta Półksiężycy. - Jeszcze raz pokiwał głową. - Ponieważ naprawdę mam duszę i ponieważ ona jest światłem i ponieważ jest muzyką, ponieważ wszystko przydarza się w czasie; i moja dusza jest równie dobra jak twoja; ale nie w czasie i na świecie nie przywróci mi Angeliny, a ja nigdy o tym nie pomyślałem i dlatego wiem, że mam duszę, i to jest tak, jakbym wiedział, że... że mogę... - w tym momencie musiał przerwać i zacerpnąć powietrza. Bez opamiętania potrząsał głową.

Rybak powiedział tylko:

- Chodź, wyjdziemy na pokład i zobaczysz miasto. Może poczujesz się lepiej. Może nawet będziemy mogli tam podpłynąć. - Patrzył na Chestera, ponieważ w jego oczach było więcej światła niż u innych ludzi. Jednak nawet w mroku pod pokładem widać było niepewność w spojrzeniu rybaka. Chester zastanawiał się, co naprawdę myśli ciemnoskóry człowiek.

Ruszył przodem, chwytając przedramię mężczyzny, by wspiąć się na schodki i wyjść na zewnątrz. Podeszedł do burty i ujrzał za rufą Niebiańskie Miasto, Miasto Półksiężycy - jak miasto z baśni, nieprawdopodobne miejsce kołyszące się w sercu oceanu jak pająk w sieci.

Długie, długie pasmo ciągnące się od miasta migotało wśród fal. Chester zauważył linę, kiedy łódź uniosła się na fali. Rybak, który właśnie wchodził za nim na pokład, zaczął krzyżeć. Ale zanim dwóch innych mężczyzn się ruszyło, Chester chwycił reling i przełożył nogi przez barierkę, a potem puścił się i wpadł do morza.

To był szok. Woda nie była zimna, ale wróciło wspomnienie kołysania, jakie przeżył

podczas sztormu. Zaczął tonąć, machnął nogami i wydostał się na powierzchnię, wciągnął do płuc powietrze i trochę morskiej wody. Kamizelka ratunkowa, w którą nadal był ubrany, automatycznie się napompowała i po chwili już kołysał się wśród fal. Miał szczęście, że się pośpieszył. Przez głowę, gdy zamykały się wokół niego błękit, czerń i zieleń oceanu, przemknęła mu pełna rozbawienia myśl, że ludzie potrafią przetrwać w każdej sytuacji. Podjął to nierozważne i popędliwe działanie pod wpływem emocji, nie myśląc o ryzyku. Łódź oddalała się od niego i poczuł mieszaninę obawy i triumfu. Nie widział liny, gdy wskoczył do wody. Próbował się zorientować, gdzie jest, ale coś otarło się o jego nogę i pchnięty paniką zaczął płynąć. Fala uniosła go i z ulgą zobaczył, że znajduje się może o dwadzieścia stóp od białego pasma wysnuwającego się z miasta.

Starał się podplynąć jak najbliżej, by dotknąć kabla, który okazał się śliski od glonów i szeroki ledwie na pięć stóp. Kilka pełnych wysiłku sekund zajęło Chesterowi wspięcie się na przewód. A potem długo leżał na plecach z zamkniętymi oczyma w jasnym, palącym słońcu.

Strasznie chciało mu się pić. Najwyraźniej torsje go odwodniły. Ogarniała go ciemność. Mógłby tu umrzeć. Mógłby wybrać śmierć.

Podniósł się i stanął na kołyszącym się na boki pod wpływem fal przewodzie, próbując utrzymać równowagę. Bezskutecznie. Algi okazały się śliskie i Chester plasnął w wodę. Ramię uderzyło w kruchą narośl. Krzyknął z bólu. Mniej entuzjastycznie niż wcześniej pozwolił, by fale uniosły go z powrotem w pobliże liny, i ponownie wdrapał się na jej powierzchnię. Oddychał ciężko i czuł jeszcze większe pragnienie. Kiedy usiadł, zauważył przestraszony, że z przedramienia spływa mu strumyczek krwi, żłobiąc ścieżkę w soli na skórze. Rozcięcie piekło, ale ból wydawał się odległy i niewielki, jakby ręka nie należała do Chestera.

Ruszył powoli wzdłuż przewodu. Po pięćdziesięciu minutach rana zaczęła pulsować bólem wyraźniej, więc zatrzymał się, by odpocząć, pewien, że pokonał niezbyt duży dystans. Opowieści zdawały się wypływać z niego - głównie historie o pustyni, wodzie i wyspach. Starał się je ignorować, aby móc się skoncentrować na własnym położeniu. Zdawało mu się, że te historie nie przynoszą nic oprócz cierpienia i poczucia beznadziei, a Chester miał jeszcze nadzieję. Oczywiście, że miał nadzieję. Wystarczy, że się prześlizgnie wzdłuż tego przewodu milę lub dwie, czy ile tam, a znajdzie się u celu.

Potrafił zignorować głód, ale pragnienie było zbyt silne. Jakież jestem kruchy - pomyślał, pamiętając, że kiedyś, gdy był lalką, nie potrzebował ani jedzenia, ani picia, a jedynie dotyku słońca, by naładować baterie. Być może tamta egzystencja była doskonalsza niż ludzka. Wkrótce pewnie się przekona, czy rzeczywiście.

Po południu fala opowieści przemieniła się w delirium. Wydawało się, że miasto wcale nie jest bliżej. Od czasu do czasu Chester próbował iść, ale zawsze opadał z bólu na kolana lub wpadał do wody. Przewód ciągnął się przed nim nieskończony, nieugięty.

Chmury skłębiły się na niebie i zasłoniły słońce, przynosząc ulgę i cień. Spadł chłodny deszcz. Chester chwycił krople w dłonie i zlizywał je spragniony, rozpiął kamizelkę i koszulę, by chwycić w poły drobną ulewę słodkiej wody. Nie trwało to długo, by mokre ubranie przykleiło się do skóry i owiany chłodną bryzą mężczyzna zaczął drżeć. Kamizelka pomogła nieco utrzymać ciepło. Ruszył naprzód, a ból w przedramieniu przeszedł w stałe ćmienie.

Po chwili, gdy słońce znalazło się za jego plecami, dostrzegł w oddali ruch. Krzyżąc z ulgi, próbował dostać się bliżej, krok po kroku, aż zobaczył wyraźnie platformę kołyszącą się nad przewodem. Stało na niej kilkoro ludzi. Chester krzyknął raz jeszcze, wstał i pokonał pięćdziesiąt stóp, nawet się nie poślizgnąwszy, dopiero na końcu wpadając do wody.

Poczuł ramię obejmujące go mocno za tors i obracające na plecy, a potem był ciągnięty, ciągnięty, ciągnięty i pchnięty do drabinki.

- Możesz wejść? - Głęboki kobiecy głos zadał pytanie, którego Chester nie zrozumiał, zanim nie chwycił się prętów. Dopiero wtedy dotarł do niego sens słów wypowiedzianych po angielsku, ale z dziwnym akcentem. Ludzie na tratwie - Chester naliczył sześcioro - śmiali się i klaskali. Wszyscy, jak rybak, mieli przepiękną czarną skórę, z wyjątkiem jednego białego chłopca.

Jednak reszta załogi mówiła tak strasznym dialektem, że nie potrafił zrozumieć ani słowa z pytań, jakie mu zadawano. Wskazał na miasto i czarnoskórzy ludzie potrząsnęli głowami. Trzęsąc się z zimna, przyjrzał się dużej tratwie unoszącej się na falach i luźno przywiązanej do przewodu. Kobieta, która go wyciągnęła z wody, zaczęła coś tłumaczyć, lecz Chester słabo znał angielski i czuł się strasznie zagubiony. Kiedyś oczywiście miał odpowiedni program i mógłby przetłumaczyć wszystko bez wysiłku, z nadejściem nocy ogarniało go poczucie ogromnej bezsilności i ograniczenia.

- Idziesz tam, gdzie my nie idziemy - powiedziała kobieta poważnie. Włosy miała przycięte tuż przy skórze. Szczupły chłopiec, ubrany jedynie w kąpielówki, ukląkł i poklepał kilka razy półkulisty bąbel. Wkrótce bąbel rozjarzył się jasnym, białym światłem, rozjaśnił tratwę i rzucił długie cienie w mrok wieczoru, w którym słychać było plusk ryb i dawno zapomniane krzyki ptaków, przemykających jak ciemne strzały w kierunku miasta. Przesuwając się za plecy kobiety, chłopiec poklepał teraz prostopadłościan. Tym razem bryła rozjarzyła się czerwienią. Jeden z mężczyzn położył na niej jasne płyty mięsa i Chester poczuł aromat pieczonej ryby. Kilka białych czapli wylądowało na przewodzie i obserwowało ludzi.

- Muszę tam iść - powiedział Chester powoli po hiszpańsku. Powtórzył to po francusku, ale zaraz stracił energię. Nie potrafił myśleć słowami. Ktoś podał mu plastikową butelkę z wodą. z wdzięcznością wypił do dna, choć wcześniej bez zrozumienia patrzył na naczynie.

- Przepraszam.

Angielski wpłynął mu w umysł.

- Tak, przepraszam - powtórzył trochę zdziwiony i zaskoczony. Kiedy był lalką, wszystkie chwile były takie same. Nigdy nie tracił umiejętności, by potem je odzyskać. A teraz bolała go ręka, miał kłopoty z uniesieniem butelki i był przekonany, że jeszcze długo nie będzie mógł poruszyć ramieniem.

Chłopiec położył na grillu tortille. Chwilę później Chester z wdzięcznością przyjął pulchny, zarumieniony naleśnik z kawałkami ryby.

- Naprawdę muszę tam iść - powiedział wskazując na miasto i wszyscy się roześmiali.

Kobieta przerwała mu przyjaznym gestem.

- Mówimy tu jednym z narzeczy kreolskich - powiedziała powoli po angielsku. - Mieszanką angielskiego, hiszpańskiego i francuskiego, która już daleko odeszła od źródeł. Mamy wiele nowych słów. Znam angielski, bo mówi nim wielu ludzi w mieście, lecz używają głównie formy komunikacji nazywanej *mysłokryptem*. Prawdę mówiąc, jest tam wiele sposobów porozumiewania się.

- Mieszkasz w mieście? - Chester wymawiał słowa równie powoli jak jego rozmówczynie.

- Tak. Właśnie próbujemy się zdecydować, co zrobić. Wszystko się zmienia. Ciebie także dosięgnie zmiana, jeżeli wejdiesz do miasta.

- Jaka zmiana? - zapytał.

- Wierzimy, że miasto planuje start w kosmos. Pewne aspekty metropolii ulegają przemianie. Wszyscy widzieliśmy to samo, mieliśmy tę samą wizję. Miasto... tęskni. Pragnie. Potrzebuje. Staje się też nazbyt muzykalne. Wszyscy mamy chorobę muzyczną.

- Chorobę? Muzyczną?

- Chorobę muzyczną - powtórzyła wyraźnie i stanowczo, potwierdzając to skinieniem głowy. - Miasto stara się przestroić każdego. Niektórzy z nas jednak nie chcą być przestrojeni.

- Zaśmiała się i zawtórowali jej inni.

- Jak można być przestrojonym? - spytał Chester, zakłopotany i skonfundowany tak, jak nie był nigdy, gdy funkcjonował pod postacią lalki.

- Wszyscy składamy się ze strun - wyjaśniła kobieta.

- A struny można stroić. Chodzi o to, że nie jesteśmy pewni, co można utracić w takim strojeniu.

- Struny?

- Struny światła. Struny czasu. Struny świadomości. Umysł i cała reszta. Wszystko składa się ze strun. Superstrun. Jesteśmy drganiem strun. - Mówiła teraz jeszcze wolniej, jakby tłumaczyła dziecku coś, co doskonale rozumieją dorośli. - Wielu z nas lubi życie na Ziemi. Nie podzieliliśmy pragnienia miasta, by wiedzieć więcej; by stać się czymś więcej. Tacy jak my zaczęli opuszczać miasto już miesiąc temu. Ale pojawili się piraci. - Zaśmiała się głośno i inni znów jej zawtórowali.

- Co takiego?

- Piraci. I teraz nie zdają sobie sprawy, że mają wybór, czy dać się przestroić, czy nie. Większość z nich nie ma pojęcia, co się dzieje. Więc większość została przestrojona. - Znowu śmiech, głośny, niosący się echem po morzu. Nocne niebo usiane było gwiazdami, a Miasto Półksiężycy stopniowo rozpalało światła. Widok zaparł Chesterowi dech w piersi.

- Ale... Skąd się wzięła w ogóle ta... akcja strojenia?

Od strony miasta zabrzmiała muzyka, cicha, ledwie słyszalna. Rozpłynęła się po falach coraz wyraźniejsza, jakby biegła wzdłuż przewodu.

- Muzyka. - Kobieta potrząsnęła głową.

- Jak można...

- Wydajesz się sporym... ignorantem, tak, do dobre określenie. Każdy zna teorię superstrun. Nawet dzieci. Skąd jesteś?

Z fabryki w Des Moines, chciał odpowiedzieć Chester.

- Z Argentyny - powiedział na głos. - Jest tam wielu mądrych ludzi. Po prostu do takich nie należę.

Może teoria superstrun była przewidziana dla dzieci w wieku przedszkolnym i znajdowała się w jego programie. Terminy wydawały się znajome. Zapewne po hiszpańsku pojęcia brzmiały nieco inaczej. Albo nabycie ludzkiego ciała i umysłu wymazało informacje, które chciałby teraz poznać. A może po prostu miał za mało miejsca w mózgu...

Roześmiał się.

- Przepraszam - odezwała się czarnoskóra kobieta. - Pewnie za długo żyłam w mieście - westchnęła. - Może jest już za późno, może to jedyne miejsce, gdzie mogę żyć, nieważne, co się stanie. - Wyrzuciła z siebie kilka niezrozumiałych słów i jej towarzysze odmruczeli coś, nie przerywając jedzenia tacos, które chłopiec przygotował na kolejne danie. Butelka powędrowała, przekazywana z rąk do rąk, i Chester Pociągnął łyk mocnego czerwonego

wina. Niektórzy pokręcili głowami w odpowiedzi na słowa kobiety. Inni skinęli potakująco.

- Jak widać, nadal nie możemy się zdecydować. - Muzyka z miasta, które teraz błyszczało jasnym światłem i przyćmiewało gwiazdy, stała się głośniejsza i bardziej gwałtowna, w migotliwej poświacie Chester ujrzał, że miasto otaczają białe plaże, a za nimi rosną palmy, kołyszące się w nocnej bryzie. Wszystko to wyglądało niezwykle romantycznie i łzy same napłynęły mu do oczu.

- Hej. - Kobieta poklepała go po ramieniu. - Nie płacz. Możemy cię tam zabrać w każdej chwili. To potrwa najwyżej godzinę. Może to nam ułatwi decyzję. Nawet teraz trudno jest pozostać poza miastem. Urodziłam się tutaj.

Dwaj mężczyźni tańczyli do muzyki i tratwa chwiała się łagodnie pod wpływem ich ruchów. Unieśli ramiona i wirowali szybko.

- Jak to pływające miasto może wystartować w kosmos? - zapytał Chester.

- Ach. Widzisz ten przewód, po którym szedłeś? Miasto wypuściło wiele takich ramion. Na ich końcu mają urosnąć płaskie płyty. Jest ich już ponad milion pod powierzchnią wody, ale nadal rosną następne. Będą stanowić przeciwwagę dla siły rakiet. - Tratwa była teraz odwiązana od przewodu i ostrożnie niosła ludzi ku miastu. Chester zauważył z odrobiną zaskoczenia, że odkąd się na niej znalazł, zmieniła nieco kształt, bardziej zaczynała przypominać łódź. Biały chłopiec wylał trochę wody na grilla i czerwień przygasała powoli.

- Co się stanie, gdy już miasto znajdzie się w kosmosie? Dokąd poleci? - spytał Chester.

- Tam, dokąd poprowadzi nas muzyka - odparła kobieta zagadkowo. Widząc zakłopotanie Chestera, delikatnie pogładziła go po policzku. - Długo by trzeba wyjaśniać to komuś, kto nie wie nawet o superstrunach. Nie mogę powiedzieć, że wszystko rozumiem. Nikt z nas nie rozumie pewnie do końca. To poza ludzkim zasięgiem poznania. Ale miasto powie ci wszystko. Pozna twój styl uczenia się i nauczy cię w sposób, jaki tylko dla ciebie będzie właściwy.

Tratwa zmieniona w łódź nabrała rozpędu i skierowała się ku światłu.

Miasto wypłuje mnie ze wstrętem, bo jestem tylko lalką. Jednak Chester trzymał się mocno burty i zwrócił twarz pod wiatr, a ostry ból i zdenerwowanie targały jego piersią.

Io obudziła się i napotkała oczy kota. Gdy zwierzę się w nią wpatrywało, pomyślała, że ocknęła się pod ciężarem tego spojrzenia.

Kot był czarny. Siedział na niskim stoliku obok łóżka Io i lizał łapę.

Przez chwilę czuła dezorientację. Uświadomiła sobie ruch, ale nie było to zmienne kołysanie się płynącej łodzi, lecz powolne, senne balansowanie, wyczuwane ledwie na granicy zmysłów.

Poczuła zapach mięty i rozbudziła się bardziej. Usiadła i wyprostowała się. Dobrze znówu być w pomieszczeniu rozmiarem przystosowanym dla człowieka, a nie w ciasnych kwaterach. Odrzuciła cienki pled i zerknęła przez łukowato sklepione okno, za którym rozciągał się wielki błękit: błękitny ocean i o ton jaśniejsze błękitne niebo. Nie czuła żadnego bólu, żadnej choroby morskiej.

Pozostała jednak zagadka. Poważne i mroczne myśli napierały ze wszystkich stron.

Zagadka świetlistych istot.

Io rozejrzała się po pomieszczeniu i zorientowała, że to musi być szpital. Kot zeskoczył na podłogę, na stoliku została jedynie filiżanka miętowej herbaty, którą wcześniej zasłaniał.

Wróciły ostatnie wspomnienia - Su-Chen skacząca do kanału.

Io była na Ziemi, w Mieście Półksiężycu.

Próbowała wstać, ale tylko bezsilnie opadła na plecy.

Obok łóżka znajdował się monitor. Przeczytała informacje na swój temat.

Czarna kobieta, częściowo odwodniona i wygłodzona, twierdząca, że pochodzi z Harmonii na Księżycu. Poparzone nogi i tors. Wdrożono kuracje wzmacniające i uzdrawiające. Całkowity powrót do zdrowia przewidywany za około cztery godziny.

Kobieta uniosła ubranie i zobaczyła, że na nogach nie ma już pęcherzy, lecz gładką, nową skórę.

Musiała znaleźć Su-Chen. Chociaż na razie była zbyt słaba, by iść.

W tym momencie do pomieszczenia wszedł mężczyzna, a za nim kobieta.

- Och, widzę, że czujesz się już lepiej - zauważył.

- O wiele lepiej.

Nieznajoma kobieta uśmiechnęła się do Io i oznajmiła:

- Jestem dr Sharon. Byłaś odwodniona i wygłodzona. Miałaś poparzenia. Nawet teraz jesteś bardzo słaba.

- Nie jestem przyzwyczajona do takiej grawitacji - odpowiedziała Io bez zastanowienia.

- Racja. Powiedziałaś, że jesteś z Harmonii na Księżycu.

- Chyba miałam halucynacje.

Mężczyzna i lekarka roześmiali się.

- Wszystko w porządku - zapewniła dr Sharon. - Twoje kości... odbiegają od normy. Dane fizyczne potwierdzają, że możesz pochodzić z Księżycy. To nie problem. Po prostu chcemy, żebyś wyzdrowiała. Tak naprawdę - dodała - jesteśmy teraz bardzo zajęci, w końcu udało się przywrócić prawidłowe tempo przemian i poradzić sobie z atakiem piratów, ale teraz staramy się pracować z ludźmi, by przygotować ich do odlotu.

- Pirat powiedział...

- Jaki pirat?

- Pirat, który przybił do mojej łodzi i próbował ją ukraść. Powiedział, że miasto wkrótce wystartuje w kosmos.

- Cóż, tak... - przyznała dr Sharon. - To właśnie kłopot. Nie jesteśmy jeszcze przygotowani. Ale z tobą wszystko już dobrze. Jeżeli chciałabyś wyjść...

- Tak - potwierdziła Io.

- Dawidzie, przyprowadź ślizgacz, proszę. - Potem zwróciła się do Io:

- Nadal jesteś bardzo osłabiona. Zafascynowało mnie twoje pochodzenie z Księżycy. Szkoda, że nie mam czasu... - Ujęła dłoń Io i uściśnęła. - Bardzo się cieszę, że wyzdrowiałaś i rany dobrze się goją. - Pośpiesznie opuściła pokój.

W chwilę później wrócił Dawid z niedużym pojazdem.

- Wytrzyma sześć godzin jazdy, skręca w dowolnym kierunku i można nim wozić spore ciężary. Doradzałbym, abyś trzymała się z daleka od zachodniego kwadrantu, jest najbardziej zniszczony i naprawy potrąją jeszcze trochę. Jakies pytania?

Io próbowała opanować oszołomienie. To wszystko działo się za szybko.

- Jak mogę najszybciej odnaleźć moją towarzyszkę? Dziewczynkę, która była ze mną na łodzi?

- Przeszłaś inicjację?

- Nie.

- Szkoda, że nie możemy tego zrobić tutaj, ale byliśmy zalani. Powiem ci, co zrobić. Najlepiej pojechać tu - szybko uderzył palcem w ekran na panelu pojazdu. - Pomoże ci facet, który nazywa się Sam. Ślizgacz cię do niego zawiezie. Nie martw się, możesz w każdej chwili wyłączyć zdalne sterowanie.

A potem szybko wyszedł. Cóż.

Io nacisnęła START i ślizgacz ruszył za Dawidem do drzwi.

W klinice panowała krzątanina. Przejeżdżając obok jednego z pomieszczeń, Io zobaczyła coś dziwnego. Nacisnęła STOP.

Rozpoznała kobietę, którą widziała w kanale.

Leżała na wysokim stole, zanurzona w przezroczystym żelu, po którym przepływały fale barw. Wysuwały się z niego włókna przytwierdzające się do półkolistej osłony otaczającej ciało.

Wiry kolorów nikły w osłonie. Obok stała pielęgniarka. Zauważyła przypatrującą się Io i podeszła.

- To zawsze jest tak... poruszające - wyszeptała. - I smutne, choć wiadomo, że ich wspomnienia, osobowość, myśli - będą nadal istnieć. Nawet jeśli taka matryca zdecyduje, że chce ponownie mieć ciało. To jednak prawdziwa śmierć, z moją ciotką tak było. Wybrała po śmierci ponownie ucieleśnienie - ale jako chłopiec. Pod wieloma względami przypominał mi ciotkę. Sposób, w jaki mówił - zaczął od nowa w wieku dziesięciu lat - jak gestykulował, jak myślał... Znał sprawy, o których wiedziała ciotka. Ale to nie była już ona. Ona umarła.

- Kim jest ta kobieta?

- Zdaje się, że ma imię... - Kobieta zmarszczyła brwi, zerkając na monitor przy ciele. - Angela? Angelina? Nie pochodzi z miasta. Utopiła się. Mieliliśmy kilkoro topielców tydzień temu - chyba cały komplet pasażerów płynących z Paryża. Utopili się podczas sztormu trzeciej kategorii. - Oczy pielęgniarki zwęziły się nagle.

- Ona ma mnóstwo informacji! O wiele, wiele więcej niż większość ludzi! Tak czy inaczej, będzie mogła zdecydować, co zrobić. Na początku to szok, matryca potrzebuje chwili, by uświadomić sobie, że dawne ciało jest martwe. Niektórzy... ludzie... myślę, że nadal powinno się ich tak nazywać - nigdy się nie budzą. Po prostu odchodzą w milczeniu. - Westchnęła i odeszła. Io ruszyła dalej.

Miasto tętniło życiem, rosły tu bujnie rośliny, kwitły kwiaty, szumiały drzewa. Gdyby kobieta nie siedziała w ślizgaczu, na pewno nie ruszyłaby się stąd na krok, chciałaby się nacieszyć każdą rośliną.

Największym cudem jednak byli ludzie. Żywi, prawdziwi ludzie, zajęci własnymi, życiowymi sprawami.

Nadal żyli w mieście.

To była wielka ulga.

Po około piętnastu minutach podróży Io minęła zamgloną od wilgoci uprawę kawy i znalazła się na owianej wilgotną bryzą półkolistej plaży. Wokół było prawie pusto.

Przeszła na ręczne sterowanie i podjechała bliżej, a potem rozejrzała się w zachwycie.

Widok był oszałamiający. Warstwa po warstwie miasto opadało w fale. Niektóre poziomy były przejrzyste. Niektóre migotały barwami. Morskie ptaki przysiadły na dachach. Bez wątpienia guano, jakie tam zostawiały, było przetwarzane. Laguny otoczone palmami i gęstymi zaroślami wyglądały jak złota korona obrębiona szmaragdową zielenią morza.

Część miasta, jak zauważyła Io, wyglądała jednak inaczej. Bardziej chaotycznie. Bryły budowli były spłaszczone, lecz przebijały przez nie wcześniejsze kształty. Io widziała proces transformacji.

Statek kosmiczny. Tak. Wkrótce wzleci.

Aż trudno uwierzyć.

- Cześć. - Io podniosła wzrok i ujrzała mężczyznę o okrągłej, jasnej twarzy, ciemnych, krzaczastych brwiach i takich samych wąsach i brodzie. Za to czaszkę miał zupełnie naga.

- Nie jesteś stąd - powiedział mężczyzna. Przyniósł sobie krzesło i usiadł obok wózka. Wyciągnął wielką rękę i potrząsnął dłonią Io. - Sam, z Illinois.

- Io, z prowincji Shaanxi.

- Jesteś z Chin?

Skinęła głową.

- To musiała być długa podróż.

- I była. - Milczała przez chwilę. - Przez Harmonię. Kolonię na Księżycu.

- Nie gadaj!

Ponownie kiwnęła głową, zastanawiając się, co wyniknie z tej rozmowy.

- Inżynier zawsze powtarzał, że na Księżycu jest kolonia. Mówił, że czasami udaje się wychwycić jej sygnały. A ja nie wierzyłem! Przychodziłem do jego wieży od czasu do czasu, ale jedyne, co mogłem usłyszeć, to piski i gwizdy.

- Inżynier? Wieża?

Na twarzy Sama pojawił się smutek.

- Inżynier zniknął mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaatakowali piraci. Nie tak dawno. Obawiam się, że został zabity. Dziwnie się czuję, gdy pomyślę, że go tu nie ma. Przychodziłem do niego jako nastolatek, dorastałem w tej okolicy. Inżynier nie był gadatliwy ani wylewny, ale bardzo życzliwy. Wiesz, o czym mówię? Zawsze serdecznie nas przyjmował. - Potrząsnął głową z lekkim uśmiechem. - Pamiętam, jak się zdenerwował, kiedy ja i moi przyjaciele zdecydowaliśmy się przetransformować naszą strukturę genetyczną na wzór jego anomalii. Chcieliśmy być tacy jak on. Jak Pionierzy. Jak dzieci urodzone w czasach, gdy zaczęły się Cisie. Wydawało się to nam takie rozsądne i inteligentne. Spędzaliśmy mnóstwo czasu w kawiarniach, dyskutując o polityce i sztuce, pisząc wiersze. I

piekielnie chorowaliśmy. Migreny były śmiertelnie bolesne. Ale Inżynier nigdy nas nie wyśmiał, nigdy nie powiedział „a nie mówiłem”, w końcu migreny przeszły. Ale nikt z nas nie usłyszał muzyki, o jakiej wspominali wszyscy urodzeni po pierwszej Ciszy. Och, zdaje się, że raz czy dwa słyszałem. Ale to było tak ulotne i niejasne, że pewnie to sobie uroiłem.

A zatem ten nieznany Inżynier był ofiarą Ciszy i ofiarą muzyki, jak Io.

- Słyszałam, że ciężko się dostać do miasta. Ale mnie i mojej towarzyszce udało się od razu.

Sam westchnął.

- Za każdym razem, kiedy populacja osiąga wartość graniczną, miasto się zamyka. Smutne, lecz prawdziwe. Przeludnienie mogłoby się stać poważnym problemem w miejscu takim jak to. Przybysze są zawracani. Uprzejmie, lecz stanowczo odprowadzani na pokład statków i proszeni o odpłynięcie. A miasto po prostu nie poddaje ich inicjacji.

- Inicjacja...?

- Podłączenie on-line. Dostęp do Współdziałania. Przyznać muszę, że zostałaś najprawdopodobniej wpuszczona tylko dlatego, że nasza populacja bardzo się zmniejszyła. Wielu mieszkańców wyjeżdża z powodu startu. Och, nie trudź się pytaniem, i tak ci wszystko powiem. - Io przypuszczała, że mężczyzna stara się utrzymać na wodzy podniecenie, ale nie bardzo mu się to udawało. Głos mu lekko drżał. - Pierwotną ideą przyświecającą powstaniu Miasta Półksiężycy było stworzenie środowiska i populacji do podróży w kosmos. Och, oczywiście, mieliśmy być również naukową mekką i, jak mi się zdaje, byliśmy nią przez jakieś trzydzieści lat. Nie jestem pewien, co stało się potem. Nawet mnie tutaj nie było. Ale musieliśmy się stać samowystarczalni. Co prawda jesteśmy uzależnieni od morza, ale mamy tu zamknięte ekosystemy, mamy je od ponad stu lat. I przeprowadziliśmy sporo badań nad samowystarczalnością. Ogólnie rzecz ujmując, jesteśmy przygotowani. Nie ma wątpliwości. A Współdziałanie zadba o wszystko. Możemy odlecieć... na zawsze.

- A Wsp...

Wzruszył ramionami.

- To ciężko wyjaśnić. Chyba można powiedzieć, że Współdziałanie to umysł zbiorowy. Ale też znacznie więcej. To zupełnie nowa technologia. Zupełnie nowy system, naprawdę. Pomysł pochodzi z prac badawczych Wilsona. To facet, który badał mrówki. Społeczeństwa mrówek, mrowiska. Napisał mnóstwo na temat współzależności. Każdy, kto został poddany inicjacji i wprowadzony do systemu, staje się częścią Współdziałania i ma do niego dostęp. To biosystem, w którym używane są metaferomony.

- Mam receptory - powiedziała Io, pokazując Samowi dłonie. Na Księżycu miał je

każdy.

- Wiem - odpowiedział. - Wyczułem, gdy się witałem. Wielu piratom je zaimplantowano, gdy zostali przetestowani. Trwało to trochę, zanim znaleźliśmy wszystkich, ale za to teraz są... wyedukowani. - Wzruszył ramionami. - Sprawa budziła sporo kontrowersji, wiele sprzeciwów ze strony tych, którzy przeżyli atak. Potrzeba było dużo trudu, by dojść do kompromisu. Sporo możliwości przepadło, w rzeczy samej był tylko jeden sposób, by utrzymać tempo przygotowań do startu. Uczynić piratów jednymi z nas. Moglibyśmy się zdecydować na zniknięcie i wypuścić napastników. Moglibyśmy wybrać walkę i pozabijać ich bez litości. Ale wiele przemawiało przeciw takim rozwiązaniom. I w ten sposób piraci przeżyli. Jak i my. Mają wybór. Mogą odejść - choć nie przypuszczam, by mogli wrócić do dawnego życia - albo zostać. Współdziałanie też się zmieniło. Wypełniły je nowe myśli. Jedną z nich jest organizowanie ekspedycji, by nieść technologię w świat, uczyć ludzi. Kłopot w tym, że ta technologia wydaje się tak magiczna, iż nie ma nikogo, kto zwracałby sobie głowę jej nadzorowaniem, szczególnie gdy coś pójdzie nie tak. A przy nanotechnologii wszystko może się zdarzyć. I wtedy ludzie nauczeni polegać na nano mogą się znaleźć w niezłych tarapatkach. Więc... wciąż o tym myślimy. - Uśmiechnął się, ale w oczach krył się smutek. - Zdaje się, że będziemy musieli zacząć myśleć szybciej.

- Dlaczego? - zapytała Io.

- Przekonasz się, gdy zostaniesz poddana inicjacji. Współdziałanie poinformowało, że odlecimy za cztery dni. To dlatego wszyscy się tak spieszą. I dlatego niektóre rejony miasta są puste - to część, która polecie. Niewiele możemy poradzić, jeżeli chodzi o datę startu. Ale nawet teraz ludzie próbują. Miasto jednak zdecydowało, że odlatuje.

- Ale część sztucznego lądu zostanie? - Io była zaskoczona, że w jej głosie zabrzmiała ulga, lecz uświadomiła sobie, że naprawdę bardzo, ale to bardzo cieszy się z powrotu na Ziemię. Nie była gotowa na skok w nieznane, szczególnie tak szybko.

- Wiatry wieją tu przeważnie z zachodu na wschód. Zatem sekcja wschodnia miasta oddzieli się i zostanie, a zachodnia odleci.

- I dokąd polecie?

Sam wzruszył ramionami.

- W górę. W przestrzeń. To wszystko, co wiem. Tyle wie każdy. Współdziałanie nad tym pracuje. Nie jest gotowe, by zdecydować, dokąd. Niewystarczająca ilość danych.

- A kiedy będzie wiadomo?

- Przed startem, mam nadzieję, w ciągu paru dni. A jeśli nie, to później.

- A jak mam odbyć inicjację?

- Jest tylko jeden sposób. Chodź ze mną.

Poprowadził Io do jednego ze stolików rozrzuconych w pawilonie. Usiedli naprzeciw i Sam uderzył w blat, który zmienił się natychmiast w monitor. Mężczyzna dotykaniem aktywował nowe okna. Po chwili na płaszczyźnie pojawił się zarys dłoni.

- Skoro masz receptory, wystarczy przyłożyć tu dłonie. Czekaj! Pójdę... na spacer. To coś, co wymaga jednak prywatności.

Sam miał naprawdę ładny uśmiech. Włożył ręce w kieszenie i oddalił się w kierunku otwartego tarasu.

Io wzięła głęboki wdech i położyła prawą dłoń we wskazanym miejscu.

Została wciągnięta w potężną i ogromną przestrzeń.

Obrazy przepływały przez jej umysł mimo zamkniętych oczu. Powieki stały się ekranami. Została zalana uczuciami, myślami, opowieściami, nawet zapachami i dźwiękami, jednak zbyt szybkimi, by mogła je zarejestrować i zapamiętać. Zostały natomiast zasymilowane przez umysł Io.

A Io została wchłonięta przez Współdziałanie. Współdziałanie poznało ją natychmiast dokładnie, do poziomu komórek.

To nie było zaskakujące i nie wzbudziło sprzeciwu. Po jakimś nieokreślonym czasie zrozumiała, jak to działa. Mogła opisać Współdziałanie w tej mentalnej przestrzeni, gdzie ogrom przytłaczał i nie było nic więcej, w swoim długim życiu Io miała już do czynienia z podobnymi systemami i ideami, wiedziała zatem, że potrafi wybrać dla takiej przestrzeni właściwe sobie symbole i aspekty. Mogłaby na przykład zmienić ją w bibliotekę, gdzie wybierałaby książkę, a Współdziałanie wypełniłoby ów tom odpowiednią wiedzą, którą by wchłoneła. Io mogłaby również zamówić posiłek i zjeść dane. Jak jabłko - pomyślała z mentalnym uśmiechem. Współdziałanie powitało Io, a Io powitała Współdziałanie. Rozpłynęła się w nim na jasny, wieczny czas.

Kiedy się ocknęła, było ciemno.

Już czas odszukać Su-Chen.

Zjechała na niższe poziomy i wjechała na plac, gdzie sprzedawano guzowate owoce lub warzywa - nie wiedziała - a także granaty, pomarańcze, banany, cukinie, soję, fasolę. Zatrzymała się przy kramie z pitą, przyciągnął ją świeży, kuszący aromat przywiany morską bryzą.

- z fasolą czy mięsem? - zapytał uśmiechnięty czarnowłosy mężczyzna. Nie wyglądał na Chińczyka i Io poczuła dezorientację. Dopiero po chwili zrozumiała, że mężczyzna mówi dialektem mandaryńskim. Łzy napłynęły jej do oczu. Wróciła. Mogła pojechać do Chin.

Gdziekolwiek. Gdzie tylko zachce. Cały gniew i uprzedzenia, jakie miała, znikły, pozostała tylko nostalgia.

- Z fasolą - odpowiedziała, uśmiechając się i wycierając oczy. - Skąd wiedziałeś, że znam mandaryński?

Mężczyzna wskazał na jej czoło, a potem, uśmiechnąwszy się, na przedramię.

Na skórze Io tańczyły znaki kanji.

Patrzyła na ręce - obie - z takim przerażeniem, jakby właśnie się dowiedziała, że zaraziła się agresywną nanoplagą. Widząc jej minę, mężczyzna się roześmiał.

- Pewnie chcesz się nauczyć, jak to wyłączyć - powiedział. Uścisnął ją za ramiona, dodając: - Opowiadasz mi o dawnych czasach, o swoim dzieciństwie, sceny z twojego domu - drzewo, rzeka... Wszystko w porządku, nie ma się czego wstydzić, nie pojawiają się żadne twoje sekrety, oprócz... - Spojrzał w górę i zamrugał - Twój pierwszy chłopak... Czekaj! Żartowałem! Proszę, oto pita. - Wsunął potrawę do torebki, która, o czym Io wiedziała, była jadalna jak kandyzowany papier ryżowy i dokładnie tak samo sucha. Io skinęła głową, pamiętając o przyłożeniu dłoni do panelu, gdzie wyświetlił się kontur ręki. w mieście nie używano pieniędzy, ale Współdziałanie zajmowało się rejestracją wymiany.

- To dlatego, że jedzenie przywołało wszystkie te wspomnienia - wyjaśnił mężczyzna. - Uczucia, nostalgia, aktywowały to na skórze. To część Współdziałania. Jesteś nowa. Nie przejmuj się. Wszystko się uspokoi. Musisz tylko zacząć się uczyć, jak...

Ale Io już odjeżdżała. Zatrzymała się pod drzewem i z zadowoleniem zjadła pitę wypełnioną słodką pastą z czarnej fasoli. Żałowała tylko, że nie ma filiżanki zielonej herbaty. Torebką nakarmiła niewielkiego czarnego psa, który czekał cierpliwie, aż kobieta skończy posiłek. Pies chwycił torebkę szczęką zębami, a Io zdawało się, że usłyszała ciche *gracias*. Potrząsnęła głową, zbyt pochłonięta zdumiewającymi i wielkimi sprawami, o których się tu dowiedziała, by przejmować się takim drobiazgiem jak mówiące zwierzę.

Kanji na jej skórze znikły, ale emocje powracały. Nie wystarczyło czyste powietrze i błękitne niebo. Zawsze było coś jeszcze, ktoś jeszcze - obok siebie Io czuła pustkę i wiedziała, że zawsze już będzie ją czuła. Tak bardzo tęskniła za Platonem. Była obolała i zmęczona i ani trochę nie zbliżyła się do zrozumienia kwestii świetlistych istot, świetlików, a może widm. Ale czy naprawdę musiała się tym zajmować?

Dotarła z Su-Chen do Miasta Półksiężycy. Obie przeżyły. To nie wina Io, że teraz będą musiały podjąć kolejną decyzję. To nie jej wina, że tak wiele myśli i uczuć, które ją wypełniały, wydostawało się na widok publiczny przez symulację na skórze, przez co obcy mogli poznać jej marzenia i sekrety. Sam jej nie uprzedził, w sumie niewiele jej powiedział.

Od razu, szybko - tak mówił. Niech miasto ją wchłonie.

No i dobrze. Ale gdzie jest Su-Chen? Nadal ze słoniem?

Io kluczyła po kamiennych ścieżkach, rozwidlających się na plaży i przecinających kanał. Przejechała na drugi brzeg po małym, uroczym moście wyginającym się łukiem nad wodą. Przy poręczy stały wielkie donice, w których rosły obsypane żółtymi kwiatami drzewka.

I wtedy właśnie usłyszała muzykę.

Ra i Zeb

Dopłynęli do Miasta Półksiężycy nocą, gdy jaśniało blaskiem świetlistych pasm. Jedna lub dwie łodzie minęły ich, kierując się w inną stronę, zielone lub czerwone lampy zaśniły w mroku. Nikt ich nie zatrzymał.

Van wybrał wąski kanał chroniony falochronem. Ra przypomniała sobie stromy, zdumiewający brzeg przecięty lagunami i otoczony palmami, które rosły na granicy plaż ocieniając małe, zgrabne chatki. Miasto było nadal takie samo, tylko większe i o bardziej zróżnicowanej architekturze.

Łódź minęła rząd palików, do których przycumowano poduszkowce i motorówki. Ra przyjrzała się uważniej fladze powiewającej na końcu kanału, którym płynęli.

- To dziwne. Czaszka i skrzyżowane piszczele. To jakiś żart?

- Kto wie? - odpowiedział Zeb, owijając linę wokół pachołka cumowniczego. - w przekazie wysłanym z Miasta Półksiężycy była wzmianka o jakichś niepokojach, ale zbyt niewyraźna, aby można było zrozumieć dokładnie.

- Dokąd teraz? - Zeszła z pokładu, gdy towarzysz podał jej rękę.

- Moglibyście mi chociaż podziękować - odezwała się łódź z wyrzutem.

Ra uklękła i poklepała dziób vana.

- Dziękuję ci bardzo serdecznie.

Łódź nie odpowiedziała. Kobieta wzruszyła ramionami i wstała, rozglądając się przez chwilę. Zeb wziął ją za rękę i lekko uścisnął.

- Chodźmy. Zobaczmy, co nas tu czeka.

Skierowali się do wyjścia z doku. Przy kuli luminescencyjnej siedziała kobieta.

Zerwała się na ich widok.

- Kto idzie? - krzyknęła.

- Zeb Aberly - powiedział Zeb.

- Sun Ra! - zawtórowała mu śpiewnie Ra. Zaczęła wpadać w radosny nastrój, chociaż nie wiedziała dlaczego.

Kobieta na czole miała wytatuowaną lśniącą czaszkę.

- Co was sprowadza do Miasta Półksiężycy? - spytała.

- Muzyka światła - odrzekła Ra. - A co sprowadziło ciebie?

- Miasto jest teraz nasze - oznajmiła kobieta z czaszką.

- Och? - uśmiechnęła się Ra. - A kim jesteście?

- Zjednoczona Federacja Piratów.

- Dla mnie to brzmi jak oksymoron - parsknęła Ra.

- Znaczy co?

- Przeciwność pojęć - wyjaśnił Zeb. - Ale nas to nie obchodzi, nic do ciebie nie mamy.

- Zgadza się - potwierdziła Ra. - Jestem tylko kompozytorką i muzykiem.

- A ja po prostu radioastronomem - dodał Zeb.

- Ta... - Kobieta-pirat usiadła spokojniej. - Oboje jesteście bezyteczni. Nadajecie się co najwyżej na żarcie dla psów. Ale możecie iść. Jestem dziś w dobrym nastroju. - Wyjęła zza pasa, przy którym wisiała rozpięta kabura z bronią, butelkę, odkręciła korek i pociągnęła spory łyk. Wsunęła flaszkę z powrotem. - Ta-ak. W bardzo dobrym nastroju. Wiecie, kocham to miejsce. Świetny rum. Nawet opowieść o was jest w tym rumie. Jakby was oczekiwano. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Nie mówcie nikomu, że mam taki rum, dobra? Jeszcze mi zabiorą i wypiją sami. - Potrząsnęła głową. - Głusi jesteście, czy jak? Idźcie!

Zeb i Ra ruszyli, trzymając się za ręce. Nie rozmawiali. Gdy przeszli kilkaset jardów, natrafili na otwartą windę. Zabrała ich do celu, na czterdziesty drugi poziom. Gdy wznosili się nad ogromnym, ciemnym morzem, miasto przekazało im wspomnienie.

Dzielili je oboje.

Zeb wspinał się po wąskich, drewnianych stopniach za Sun Ra. Dzwoneczki przyczepione do koszuli i warkoczyków, w jakie zaplotła długie włosy, wydawały cichy, harmonijny dźwięk, który zawsze kojarzył mu się z partnerką. Kobieta właśnie skończyła kilkugodzinny koncert. Od paru miesięcy byli w Noworleanie, tym Noworleanie, nazywanym Miastem Półksiężycy. Zeb sporo słyszał o tym miejscu.

- Jesteś pewien, że to tutaj? - spytała Ra.

- Tak sądzę. Jakiś facet mówił mi, że jest tam duża sala. Tutaj, to te drzwi. - Przepchnął się obok i zapukał do drewnianych podwoi u szczytu schodów.

Otworzył mężczyzna o skórze koloru wiśniowego drewna, długim, prostym nosie i łysej czaszce.

- Czy to Pokój Radiowy? - zapytał Zeb.

- Jasne. - Mężczyzna się uśmiechnął. - Proszę wejść. Nieduże mansardowe okna były otwarte. Wiatr kołysał koronkowymi firankami.

- Ten pokój wygląda jak z lat trzydziestych dwudziestego wieku - stwierdziła Ra, rozglądając się ciekawie - Art deco i takie tam...

Na niskim stoliku otoczonym krzesłami stało staromodne radio.

- Jest prawdziwe? - zainteresował się Zeb.

- Jak najbardziej - odpowiedział mężczyzna, który otworzył drzwi. - Pochodzi dokładnie z 1930 roku. Mam na imię Max. - Ucisnął dłoń Zeba, potem przywitał się z Ra.

Zgromadzeni w sali ludzie przeważnie ubrani byli oficjalnie, Zeb zauważył nawet mężczyznę w smokingu i kobietę w długiej sukni wieczorowej ozdobionej paciorkami. Naliczył około piętnastu osób, sączących aperitify lub martini i pogrążonych w cichych rozmowach, w tle słyhać było ledwie słyszalny szum, przebijający się przez szmery rozmów.

- Ma lampy? - upewnił się Zeb, podnosząc radioodbiornik, by się dokładniej przyjrzeć.

- Jasna sprawa. Wyszperałem je w starym sklepie przy ulicy Świętej Anny.

- Odbiera coś czasami? - pytał dalej radioastronom.

- Rzadko, gdy jest noc nowiu. Dostroilem częstotliwość, na której ostatnio coś się pojawiło. Czysty sygnał ze stacji nadawczej w Memphis. Myślałem o założeniu klubu, by wspólnie próbować nadawać różne transmisje. Nadawalibyśmy przez całą dobę, bo nie wiadomo, kiedy coś przejdzie.

Zeb wyprostował się.

- Jeżeli przygotujesz sprzęt i parametry przekazów, będzie można w przybliżeniu przewidzieć, kiedy radio zadziała.

- Człowieku, to by było wspaniale - uśmiechnął się Max. - Mogę postawić ci drinka?

- I dla mnie - wtrąciła Ra. w przeciwieństwie do oryginalnego Sun Ra nie gardziła okazją, by się napić.

- Sok żurawinowy? - zaproponował Zeb.

- Może być. Usiądźmy.

Usiedli wokół radia. Zostali tam przez godzinę, ciesząc się widokiem świateł miasta i

przystani, gdzie z parostatków wysiadali pasażerowie, w końcu wstali, zbierając się do wyjścia.

Wtedy radio przemówiło. Zeb był równie zaskoczony jak wszyscy pozostali.

- ...stary przebój Jerry'ego Lee Lewisa. Posłuchajcie Lotta Shakin' Goin' On.

Przez kilkanaście sekund w powietrzu niosła się czysta melodia. Wszyscy skupili się wokół radioodbiornika. Ktoś pogłośnił dźwięk. Niektórzy zaczęli tańczyć. Jednak melodia nagle się urwała i powrócił szum.

Zeb zerknął na zegarek i wyciągnął notes.

- To było dawno - powiedziała Ra, gdy wspomnienie zbladło.

- Ale nadal jesteśmy rozpoznawani - zauważył Zeb.

- Racja. Ulżyło mi bardzo.

- Dostałaś część o piratach?

- Ten mały suplement? Tak. Interesujące. Wygląda na to, że miasto po prostu pozwoliło im wejść.

- Też odniosłem takie wrażenie. Ale dlaczego?

- Patrz, jesteśmy na miejscu.

Wieża Radiowa Jasona Peabody'ego stała pusta, nie licząc kota. Była to czarna kotka, drzemiąca na szerokim parapecie. Otworzyła intensywnie zielone oczy, gdy dwoje ludzi weszło do środka.

- Ach! - westchnął Zeb, spoglądając na kolekcję radioodbiorników i innych urządzeń, które Peabody zebrał tutaj i naprawił wiele lat temu.

- I co teraz? - spytała Ra.

Zeb obszedł pomieszczenie w zamyśleniu, a potem usiadł. Przerzucił ramię przez oparcie krzesła.

- Moja teoria zakłada, że pojawi się nowy fenomen. Jednak nawet w Kopule nie miałem pojęcia, skąd może się pojawić, w każdym razie musi pokonać długą drogę, zanim dotrze do nas i zostanie zrozumiany. Ale jeśli mam rację i jeżeli obliczenia Peabody'ego są prawidłowe, to zjawisko powinno się już pojawić.

- Po czym to poznamy?

- Cóż... Dla nas zapewne będzie wyglądać jak światło.

- Co masz na myśli?

- Dla innych stworzeń, istot odbierających przez zmysły inny zakres bodźców, zjawisko może się objawiać jako dźwięk. A nawet jako nowy sposób doświadczenia czasu lub

przestrzeni. Może być odebrane jako obraz lub jako nowy sposób odczuwania czasu. Jestem pewien, że w Sygnale, który dotarł na Ziemię, zawarta jest Teoria Wszystkiego. Ludzie tacy jak Peabody, którzy posiadają genetyczną anomalię, prawdopodobnie potrafią odebrać to wyraźniej niż ci, którzy mają zwykły genotyp. Zakładam jednak, że większość ludzi odbiera w jakiś sposób pojawiające się nowe zjawisko. Jedną z moich hipotez zakłada, że istoty, które wysłały Sygnał, chcą, by każdy uległ przemianie. To oznacza również, że Sygnał nie miał być tak poszatowany i chaotyczny. Prawdopodobnie miał dotrzeć na Ziemię i w krótkim czasie zmienić nas i dać to, co nadawcy Sygnału uważają za wspaniały dar.

- To znaczy, że im się nie do końca udało.

- Być może. Albo, jak mówi inna hipoteza, znaleźliśmy się jedynie przypadkiem na drodze Sygnału wysłanego do kogoś innego. Ale niezależnie od tego, jak jest naprawdę, i tak znajdujemy się w procesie przemian - ewoluujemy pod wpływem tego nowego czynnika, który pojawił się w naszym środowisku.

- No, dobrze. Ale co to oznacza dla Miasta Półksiężycy, dla ludzi, którzy tu mieszkają? I dla ludzi na całym świecie?

- Jestem pewien, że wkrótce zostanie osiągnięta masa krytyczna i trzeba będzie się dowiedzieć, jak ją kontrolować. Albo dowiedzieć się, w jaki sposób trzymać się od niej z daleka.

- Albo się do niej przyłączyć - powiedziała miękko Ra.

- Albo się do niej przyłączyć - przyznał Zeb, uśmiechając się krzywo. - To dlatego tak cię kocham. Taki pomysł nie przyszedłby do głowy większości ludzi.

- Ha! - odrzekła Ra żywo, rozglądając się po pomieszczeniu. - Mam tu sporo do zrobienia. Trochę zabawy. Czas zatańczyć z tymi denerwującymi piratami.

- Co chcesz zrobić?

Ra roześmiała się, a kiedy potrząsnęła głową, jej warkoczyki wydzwoniły wyjątkową kaskadę melodyjnych dźwięków.

- To, co zawsze robię w nowym miejscu. Zamierzam zebrać nowy zespół muzyczny, nową Arkestrę.

- Baw się dobrze - powiedział Zeb. - I uważaj na siebie.

- Ty również.

- Cieszę się, że czujesz się lepiej.

Ra przystanąła i zamknęła oczy. Po chwili otworzyła je i oznajmiła z powagą:

- Wypełniają mnie wspomnienia z miasta. To coś jak projekcja holograficzna. Jestem w każdym zakamarku miasta, nawet w takich, o których nikt nie wie, ponieważ miasto

rezonuje we mnie. - Westchnęła głęboko. - Tak. Bardzo się cieszę. Dobrze jest znowu odczuwać rzeczywistość... I Współdziałanie. Jest teraz - sama nie wiem - chyba głębsze. Tak mi się zdaje. Teraz.

- Oto natura bestii.
- Też tak uważasz?
- Jest tu coś więcej - przyznał Zeb.
- Tak... Opowieści. O wiele więcej opowieści.
- Osiąganie masy krytycznej.
- I wszyscy wybuchniemy sztuką. - Ra uśmiechnęła się nieco szyderczo.
- To twoje marzenie.
- Może to coś więcej niż marzenie.
- Obyś miała rację, Ra.

Su-Chen na scenie

Su-Chen porzuciła słonia wieczorem, wzywana muzyką płynącą wśród wąskich lagun. Na początku skierowała się do miasta, podpierając się kijem.

Znalazła się w ogromnym, zadaszonym pawilonie. Powietrze wypełniał szmer fontann. Nie słyszała już muzyki. Była za to bardzo głodna.

Wyszła pośpiesznie na plażę, klucząc wśród kolumn, ale wkrótce zwolniła, dysząc z wysiłku. Upadła i podniosła się z trudem. Nikt za nią nie szedł, nikt nie zwracał uwagi.

Wokół rosła dżungla. Jak w pokoju Su-Chen na Księżycu, tylko tutaj nie miała końca. Wilgotne czerwone anturium wyrastało przy pniu baobabu, w którego koronie figlowały i krzyczały małpy. Przeszła ścieżką między krzewami i obeszła pień drzewa. Przystanęła i rozejrzała się dokładnie.

Z drzewa sfrunęła biała kakadu i wylądowała obok dziewczynki.

- *Hola.*
- Cześć - odpowiedziała Su-Chen.
- Dobrze. Mówisz po angielsku. Zgubiłaś się? - Głos papugi był ostry i schrypnięty, ale zrozumiały.
- Jestem z Księżycy. Chce mi się jeść i szukam muzyki.

- Musisz się cofnąć. Są tam. Jedzenie i muzyka. Po ataku piratów przez chwilę ich nie było, ale już są znowu razem. Chodź za mną.

Ptaka poprowadził Su-Chen przez labirynt ścieżek. Niekiedy pojawiali się ludzie, ale nikt nie zwracał uwagi ani na dziewczynkę, ani na papugę.

Dróżka pod stopami Su-Chen nagle zmieniła się w brukowaną alejkę.

- Słyszę - oznajmiła dziewczynka. Próbowwała iść szybciej, ale była za słaba. Kakadu leciała przed nią, klucząc po wąskich uliczkach między staroświeckimi domami o balkonach z żelazną kratą.

W końcu ptak przeleciał przez bramę ocienioną zielonymi krzewami. Zapach świeżego pieczywa mieszał się tu ze słoną morską bryzą. Ludzie siedzieli przy piwie i pieczonych krewetkach.

Na niewielkim podwyższeniu w kącie sali postawna czarnoskóra kobieta śpiewała przy akompaniamencie fortepianu, gitary i perkusji.

- Usiądź tutaj - wyskrzeczła papuga do ucha Su-Chen.

Dziewczynka posłusznie przysiadła na krześle ze zdobnym oparciem przy niewielkim, okrągłym stole nakrytym czerwonym obrusem. Ptak odfrunął i po chwili do stolika podeszła kelnerka, niosąc koszyk pieczywa i krewetek. Przysiadła naprzeciw Su-Chen.

Su-Chen nie dziękowała nikomu, tylko od razu zaczęła pochłaniać jedzenie. Mężczyzna przy sąsiednim stole roześmiał się.

- Jak taka mała dziewczynka może tyle zjeść? - Dziewczynka jednak nie odpowiedziała uśmiechem na uśmiech, ani też nie przerwała jedzenia.

Gdy skończyła, wypila szklanekę wody przyniesioną przez kelnerkę. Wytarła ręce w serwetkę i podeszła do podwyższenia.

Muzycy grali właśnie długi pasaż. Su-Chen zauważyła nieużywany syntezator. Stała przy nim, odnalazła włącznik i uruchomiła instrument. Przez chwilę studiowała panel kontrolny i klawiaturę, a potem nacisnęła kilka przełączników.

Muzycy spojrzeli na siebie, ale tylko wzruszyli ramionami i grali dalej.

Su-Chen zamknęła oczy i położyła dłonie na klawiszach.

Pierwszy akord zabrzmiał niepokojącym dysonansem. Saksofonista podniósł swój instrument i zerknął na dziewczynkę.

- Hej...

Zignorowała go. Jej palce przebiegły szybko po klawiaturze.

Przez kilka taktów brzmiały przeplatające się rytmy, które na końcu wybrzmiały w harmonijnym, wysokim, radosnym pasażu.

- Cholera - wyrwało się gitarzystce w czarnej skórzanej marynarce, lśniącej w światłach sceny - To jakiś dziki jazz.

Coraz więcej ludzi tłoczyło się przy barze, ale po około dziesięciu minutach słuchacze stali już nawet na ulicy. Do gry włączyła się gitarzystka, czując się przy pierwszych taktach jak dziecko, które pierwszy raz słyszy muzykę. Saksofonista podjął spór z melodią, wyzywająco i ekstatycznie. Po twarzy spływał mu pot.

W tym czasie Io udało się przebić przez tłum. Porzuciła ślizgacz i przeciskając się między ludźmi, po żelaznych kratkach balkonów, niekiedy korzystając z pomocnych dłoni, w końcu dotarła na krzesło tuż przy scenie. Wiedziała, że Su-Chen ją zauważyła, choć wyraz twarzy dziewczynki nie zmienił się ani na jotę.

Serce Io wznosiło się wraz z muzyką. Od czasu do czasu przez tłum przepływały fale radosnych okrzyków i oklasków, ale dłuższych pasaży i motywów ludzie słuchali w ciszy i skupieniu, z niemal nabożną czcią. Kelnerka przyniosła piwo. Io wypiała. Od lat nie czuła równie wielkiego szczęścia. Znowu liczby i idee rosły w jej umyśle i nikły, pozostawiając czystą, intensywną muzykę, z każdym akordem odczuwała niemal fizycznie zmiany.

Su-Chen grała prawie bez przerwy całą noc. Zdawało się, że przez lokal przewinęła się cała populacja Miasta Półksiężyca. Wielu innych muzyków przyłączało się do dziewczynki na godzinę lub dwie, potem jednak poddawali się lub przekazywali instrumenty kolejnym artystom.

Su-Chen nigdy nie powtórzyła improwizowanych jazzowych pasaży. Około trzeciej nad ranem szczupła czarnoskóra kobieta weszła na scenę i śpiewała przez pięćdziesiąt pięć minut. Melodia grana przez Su-Chen otaczała głos śpiewaczki, pieściła go, cofała się i napierała, falowała wokół wokalizy, punktowała ją, podkreślała, odpowiadała jej i współbrzmiała w harmonijnych akordach. Ten występ, spośród całego koncertu, najbardziej spodobał się Io. Su-Chen przewidywała muzyczne intencje śpiewaczki i współpracowała z nią, by stworzyć muzyczne arcydzieło.

Tuż przed świtem, gdy tłum się nieco przerzedził, bardzo niski czarny mężczyzna postawił wysoką butelkę piwa na blacie i dosiadł się bezceremonialnie do stolika Io. Muzyka brzmiała teraz ciszej, spokojniej i melancholijnie, choć Io wątpiła, czy dziewczynka przy syntezatorze przeżywa emocje, jakie wywołuje melodią. Ta słodko-gorzka gama uczuć budziła się w sercu słuchaczy pod wpływem melodii. Io pomyślała o kolonii na Księżycu. Harmonia tak pusta i niewyobrażalnie odległa, opanowana przez światło, pozbawiona teraz prawdziwego życia, dla którego tak długo stanowiła schronienie. Kobieta wzięła głęboki, drżący oddech. Pustka. Kompletna pustka Harmonii.

Wróciła na ziemię, gdy mężczyzna przy jej stoliku odezwał się niskim, przebijającym się przez muzykę głosem.

- Ona jest cudowna.

Io zerknęła na rozmówcę, w migoczącym blasku świec ujrzała dużą, kanciastą twarz. Zdawał się... nieobecny. Niezupełnie zdający sobie sprawę, gdzie się znajduje. Jakby częściowo stąpił się z otoczeniem. Miał na sobie cienką, żółtą koszulę z krótkimi rękawami, na której zdawały się poruszać barwne, błyszczące papugi. Właściwie to naprawdę się poruszały. Fruwały z drzewa na drzewo w dżungli, która wyrastała z dołu tkaniny, płynnie przechodząc z żółci w cytrynową zieleń i ciemniejsze odcienie splątanych drzew. Papugi machały skrzydłami do rytmu melodii, kiwały głowami. Io oderwała wzrok od ubioru i raz jeszcze spojrzała na twarz sąsiada. Uznała, że jest interesująca.

Odwzajemnił spojrzenie. Nawet w przyćmionym świetle dostrzegała, że jego półprzymknięte oczy są intensywnie zielone.

- Ta dziewczynka tworzy coś zupełnie nowego. To cały czas jazz, oczywiście. Ale jazz nie jest związany z przeszłością. Jest powiązany z terażniejszością. Przepływa przez terażniejszość. Nie jest odtwarzany, nie można go powtórzyć w tym samym kształcie i formie. To nieustanna improwizacja. Całkowicie świadoma i zamierzona. To potencjał rezonujący w psychice chwila po chwili. Umysł tej dziewczynki rezonuje z innymi aspektami improwizacji, które nie są słyszalne dla większości z nas.

- Co masz na myśli?

- To jest związane z nieoznaczonością, z nielokalnością. Przekonasz się. Słysząc to wyraźnie w tej muzyce. Cudownie mieć tutaj kogoś takiego jak ona. Wszystko zdaje się pasować i działać. Widzisz, od ponad stu lat jednym z ważniejszych problemów fizyki jest wynalezienie nowej matematyki, która nie odnosiłaby się do znanych już sposobów myślenia o czasie i przestrzeni. Taka muzyka niezmiernie pomaga w poszukiwaniach.

Uśmiechnął się szeroko, dokończył piwo i zsunął się z krzesła. Dziwacznym, kaczkowatym krokiem przecisnął się między stolikami i wyszedł na oświetloną migotliwie ulicę. Zdawało się, że rozplynał się w świetle - kolorowa koszula i cała niska postać.

Do sceny zbliżyła się czarna kobieta z włosami splecionymi w długie warkoczki. Towarzyszył jej biały mężczyzna z długimi, siwymi włosami. Usiedli przy sąsiednim stoliku.

- Co ci mówiłam? - spytała Ra, pochylając się do głowy Zeba, by móc mówić mu prosto do ucha.

- Powiedziałaś, że ta dziewczynka gra muzykę światła. - I miałam rację?

- Jeszcze nie wiem.

- Słuchałam jej przez kilka godzin. To jest muzyka Arkestry, Zeb. Muzyka, o jakiej marzył mój idol i mistrz, Sun Ra; jaką mógł sobie tylko wyobrazić. Słuchaj. To niesamowite, czarodziejskie. Nieprzewidywalne. Trudne do objęcia umysłem. I myślę, że znam tę muzykę. Choć w innej formie.

Zeb na moment zamknął oczy. A potem powiedział:

- Moje prace nad Ogólną Teorią Wszystkiego.

- Tak.

Ra wspięła się na scenę i uśmiechnęła do dziewczynki przy syntezatorze. Młoda artystka była teraz sama, inni muzycy odpoczywali. Nie odpowiedziała uśmiechem.

Ra zaczęła uderzać w bęben.

Wydobyła z niego rytm, który pochodził wprost z serc dalekich gwiazd, rytm impulsu, który uderzył w Ziemię ponad sto lat temu.

Dziewczynka otworzyła szerzej oczy, spojrzała na Ra i skinęła głową.

Razem sprawiły, że czas zatańczył.

14 SIERPNIĄ 2115

IO I SU-CHEN

W Hali Nauki i Wiedzy

Popołudnie przechodziło już w wieczór, gdy Io i Su-Chen otworzyły wysokie drewniane drzwi prowadzące do Hali Nauki i Wiedzy.

Przespały się trochę w wieży Inżyniera, gdzie zabrali je Ra z Zebem. Kiedy się obudziły i zjadły śniadanie, Ra pomogła Su-Chen zainicjować połączenie ze Współdziałaniem.

Po dziewczynce nie było widać, że cokolwiek przeszła zeszłej nocy. Może - pomyślała Io - dla niej to po prostu normalne. Żadnych wzlotów i spadków emocji. Tylko w muzyce, którą gra. Reszta płaska jak blat stołu.

Dziewczynka miała na sobie różowe szorty i ażurowy top w równie odblaskowym kolorze oraz czarne buty z imitacji skóry. Io nie wiedziała, skąd je wzięła. Su-Chen wydawała się chudsza niż na Księżycu. Lśniące włosy miała zaplecione w dwa nierówne warkocze.

- Mogę ci porządnie zapleść włosy? - zapytała Io.

- Nie. Nie wzywałam ich zeszłej nocy - stwierdziła dziewczynka, gdy pchnęły wysokie, łukowate drzwi ze skrzypiącymi zawiasami. Io domyśliła się, że Su-Chen mówi o świetlistych stworzeniach.

- Skąd wiesz, jak to zrobić? - wypytywała, gdy weszły na salę. Każdy krok zapalał światło. Choć wyglądało to nieco dziwnie, wywoływało jednak przyjemne odczucia. Powietrze było tu świeże i chłodne. Io zauważyła, że większość miejsc w pływającym mieście jest otwarta na naturalne światło i powietrze. Ale nie Hala Nauki i Wiedzy.

- Tak mi się zdaje, że wiem, jak - odpowiedziała Su-Chen.

- Tutaj jest trochę inaczej.

- Dlaczego? - Io szła wolno, rozglądając się ciekawie. Ślizgacz zamieniła na laskę. Ściany tutaj były jednocześnie ekranami, ukazującymi postęp przemiany miasta. Kobieta

uświadomiła sobie, że właśnie tutaj skoncentrowana jest każda cząstka wiedzy, jaką dysponuje miasto. Wzdrygnęła się, kiedy Su-Chen podeszła do jednej z wnęk i uruchomiła hologram, na którym troje ludzi dyskutowało nad właściwościami jednego z wyhodowanych wirusów.

- Po prostu do nich przywykłam - wyjaśniła Su-Chen.

- Wiem, że tu są. Mogę ich usłyszeć. Słyszę ich i gram to, co słyszę.

- Zawsze ich słyszałaś? - Io opadła na jeden z pluszowych foteli i obserwowała, jak dziewczynka bada Halę Wiedzy i Nauki, uruchamiając i wyłączając różne urządzenia, aktywując program chemiczny i dostęp do danych z akceleratora cząstek...

- Czeka! Włącz to jeszcze raz. - Przysunęła się z fotelem bliżej.

Io oczekiwała, że tego rodzaju urządzenia są w użyciu stale, jak to miało miejsce na Księżycu. To jednak najwyraźniej pozostawało bezczynne. Co więcej, obejmowało tylko raport końcowy i użyto go tylko raz do sprawdzenia dowodu.

Nielokalność. Hipoteza Bella, która dowodziła, że zdarzenia na poziomie kwantowym odzwierciedlane są na wszystkich innych poziomach uniwersum.

Dziwny mężczyzna spotkany na koncercie wspominał o tym.

- Moi rodzice - powiedziała Su-Chen - zawsze powtarzali, że jesteśmy zbudowani ze światła. Ale teraz wychodzi, że oni są ze światła, a ja nie. Nie ta sama forma światła co oni. Słyszę światło od dziecka. Zaczęłam je grać, gdy tylko mogłam. Może gdy skończyłam dwa lata, nie pamiętam.

- A kiedy grałaś, świetliste istoty przychodziły do ciebie?

- Nie. Nigdy się to nie zdarzało, aż do... - zająknęła się. - Wiedziałam, że są przy mnie i mogłam je usłyszeć, ale kiedy gram, stają się wyraźniejsze. Wiem, że to ja gram te istoty. Ale zanim to... to się stało, było tak, jakbym tylko ćwiczyła, ale jeszcze nie wszystko wiedziała.

- Aż co się stało? - spytała Io. Domyślała się, o czym mówi dziewczynka, ale chciała to od niej usłyszeć.

- To się zdarzyło mojemu ojcu. Światło. I wtedy kot wbiegł w światło, a ja za nim. Kot umarł.

- Ale ty nie.

- Nie. Ale od tamtej pory... jestem inna.

- To nie twoja wina. To się zdarza.

Io nie miała pojęcia, jakie uczucia przeżywa Su-Chen, nie znała jej emocjonalnej i psychicznej konstrukcji. Zdawało się jej tylko, że zachowanie dziewczynki doskonale pasuje

do zachowań dzieci mających poczucie winy z powodu ciężkich i przerażających przeżyć, które zmieniły ich życie.

- Pamiętasz to światło, które widziałyśmy na łodzi? - Zdarzenie nastąpiło na krótko przed dobieciem do brzegów Miasta Półksiężycy.

Su-Chen skinęła głową.

- Wtedy nic nie grałaś.

- Nie.

Io klepnęła w niski stolik przed fotelem i blat natychmiast zmienił się w ekran. Zabrało to kwadrans, ale udało jej się znaleźć rewolucyjne równania, które obejmowały i ujednociały wszystkie pięć hipotez dotyczących superstrun. M-teoria.

Nieźle orientowała się w bogactwie zagadnień z tego zakresu, ale chyba wyszła z wprawy. Na szczęście Miasto Półksiężycy, ze swoją potężną bazą danych, miało zdumiewające możliwości przedstawiania zebranych informacji.

Na przykładzie i modelu.

Su-Chen opadła na fotel obok i obserwowała.

Io otworzyła trójwymiarowy model. Oczywiście niemożliwe było wierne odwzorowanie, ponieważ teoria superstrun opisywała wymiary niedostępne ludzkim zmysłom. Nazywano je zwiniętymi wymiarami. Tworzony model był tylko jedną z wielu interpretacji.

Obraz zmieniał się w sposób, jakiego nie umiała zrozumieć. Jej mózg nie miał receptorów koniecznych do ogarnięcia całości. Na poziomie podstawowym model przypominał puzzle, wprowadzające umysł w oszołomienie, a przecież istniały więcej niż dwa rozwinięcia dla tej wizualizacji. Co więcej, liczba możliwych rozwiązań była nieskończona.

Model pokazywał spektrum znacznie szersze, niż Io mogła objąć umysłem. Przywoływał też dźwięki. Kojarzył się z muzyką. Może właśnie dlatego, że przez całe życie słyszała muzykę, zdolność Io do słyszenia dźwięków była znacznie większa niż u innych ludzi, jak wykazały audiotesty zrobione jej na Księżycu.

Su-Chen przyglądała się modelowi.

- Tego jest znacznie więcej - stwierdziła. - Nadchodzi po trochu i nigdy się nie kończy.

- Co masz na myśli? Czy to ułamek okresowy? Liczba urojona?

- Może - odpowiedziała dziewczynka. - Jeszcze nie wiem.

Muzyka, którą słyszała Io, nie była jednym z naturalnych doświadczeń, jakie przeżywa większość ludzi. Su-Chen słyszała tę samą muzykę - o ile w ogóle można to nazwać muzyką.

Io wiedziała, że u ludzi niewidomych prawdopodobieństwo wystąpienia większej wrażliwości na dźwięki jest wyższe niż u innych. Ludzie ci częściej mieli doskonały słuch i byli bardziej muzycykalni. Najwyraźniej część mózgu, która zazwyczaj odpowiada za procesy widzenia i postrzegania u niewidomych, włączała się do ośrodków przetwarzania bodźców słuchowych, przez co bodźce te przetwarzane były dokładniej i bardziej wnikliwie.

Może brak procesów emocjonalnych u Su-Chen dał jej, jak ludziom niewidomym, dodatkową przestrzeń w umyśle, dzięki której miała większą wrażliwość na zjawiska związane ze światłem. I więcej szlaków nerwowych oraz połączeń, które pozwalają na tworzenie takich abstrakcji jak matematyka lub muzyka.

Matematyka, w pewnym stopniu, stanowiła metodę mapowania i opisywania wymiarów, terytoriów i przestrzeni stworzonych przez ludzkie spekulacje i wyobraźnię. Przypominała długą dyskusję o świecie fizycznym, z ciągnącymi się argumentami na rzecz istnienia zjawisk, których ludzie nie mogą dostrzec inaczej niż oczyma wyobraźni.

Można powiedzieć, że muzyka jest jednym z takich właśnie argumentów - jako konstrukcja zbudowana z celowo użytych dźwięków - ale tak naprawdę muzyka po prostu istnieje. Potrafi wzbudzać obrazy w umyśle, a te wizje mogą być prawdziwe lub nie, lecz na pewno będą zupełnie różne dla różnych osób. Muzyki nie można użyć w jakimś określonym celu, w przeciwieństwie do matematyki, którą inżynieria stosuje przy budowie mostów, maszyn, raket, drapaczy chmur. Jednak muzyka jest równie precyzyjna jak matematyka, jak inżynieria. Jak słowa lub liczby, może zostać zapisana i odtworzona. Jak budowla, która jest jeszcze tylko projektem, niezrealizowanym planem przestrzennym, muzyka pozostaje niepoznana, dopóki nie dotrze do ludzkiego umysłu i przez umysł do dłoni lub głosu, by się odrodzić.

A może nie ma żadnego związku między zjawiskami świetlnymi a muzyką Su-Chen? Albo może zjawiska po prostu wzbudzają w Su-Chen emocje, które dziewczynka przekłada na muzykę?

To niezbyt prawdopodobne.

Ponieważ Su-Chen nie ma takich emocji, nie sięga do tej części umysłu. Nie ma uczuć, które przetwarzałyby w muzykę.

Zatem to, co gra, musi być beznamiętnie precyzyjne. Mapa światła. Mapa jego interwałów, jego przestrzeni, tonów i elizji, tak przejrzysta jak matematyczne równanie. Io przypomniała sobie fragment hymnu. Była to jedna z tych nieprzekładalnych pieśni, których uczyła się, gdy była dzieckiem, we wspólnocie religijnej, do której należeli jej rodzice. Hymn pełen był fonemów, które dopiero w trakcie śpiewu nabierały znaczeń:

*Zstąp o boża miłości
Wlej w duszę blask radości
Niechaj załśni we mnie jasnym płomieniem.*

*I niechaj rażno płonie
Aż blask ten mnie pochłonie
Tylko popioły pozostawi ognia drzenie.*

*I niech żar tych płomieni
Wiecznie mi opromieni
Krętą ścieżkę, która wiedzie w objawienie.*

Czyż przypadek Su-Chen nie przypominał tego, z czym zmagali się gorliwi wyznawcy wszystkich religii? Tylko popioły doświadczeń i przeżyć pozostawi ognia drzenie, by to puste miejsce wypełniło coś większego?

Io poczuła podniecenie. Czy muzyka Su-Chen mogłaby zostać przetłumaczona przez Współdziałanie na bardziej użytkowe dane? Może przydadzą się jedynie do lepszego poznania fenomenów świetlnych. To wystarczy. Za każdym razem, gdy Io miała z nimi do czynienia, ostrość i głębia przeżyć, wrażenie, że jest porwana przez wspomnienia, były przytłaczające.

- Skąd pochodzi twoja muzyka? - zapytała dziewczynkę.

Su-Chen nawet nie zwróciła uwagi, że pytanie nie wynika z wcześniejszego toku rozmowy.

- Przypominam sobie - odpowiedziała. - I wtedy jestem ze światłem. Widzę światło i uczę się więcej o tym, czym jest muzyka.

- Czy ta muzyka jest inna... przy tych innych światłach?

Io uświadomiła sobie, jak mocno uwierzyła w to, że światła mają indywidualność, że są istotami. Tak naprawdę była przekonana, że świetlne zjawiska są przejawem informacji o osobowości, esencji, czymkolwiek, co tworzy istotę, jaką jest żywe stworzenie.

Su-Chen popatrzyła jej w oczy.

- Jest tylko jedno światło.

- Ach, tak...

Po raz pierwszy Io dopuściła do siebie i przyjęła myśl: Plato odszedł. Na zawsze. Milczała długą chwilę, w końcu powiedziała:

- Wspomniałaś wcześniej o wzywaniu ich. Albo tego.

Lekki cień przebiegł po twarzy dziewczynki.

- Tak. Nie zawsze działa. Myślę, że to ma coś wspólnego z harmoniczną. No, wiesz, grasz jeden ton, potem kolejny o oktawę wyżej, o ile uderzysz we właściwą strunę i we właściwy sposób. Oddzielisz wibracje. Myślę, że ci inni... objawiają się w harmonii, albo pojawiają się w moim umyśle w tej chwili, kiedy tworzę harmonię w grze. Myślę, że światło jest podzielone na nieskończenie nieskończone długości. I kiedy gram, wygrywam im pojedynczą długość, wymiar. Oni istnieją gdzieś i wszędzie zarazem. A ja po prostu tworzę dla nich miejsce pasujące do nich, harmonizujące z nimi.

Su-Chen zmęczona mówieniem odwróciła się i podeszła do syntezatora.

Dopiero po chwili Io zorientowała się, że nie słycać żadnego dźwięku. Podniosła głowę i ujrzała, że na ekranie nad klawiaturą instrumentu pojawił się zapis w języku matematyki; której Io nie rozumiała.

- Mogę włączyć dźwięk?

- Nie. Dźwięki rozpraszają. A ja chcę pomyśleć.

- W porządku. - Io wróciła do zwiedzania Hali Wiedzy i sprawdzania urządzeń, tak zdumiewających, tak doskonałych. Chciała poszukać szerszych informacji o akceleratorze i prowadzonych w nim badaniach.

Nagle Su-Chen krzyknęła i odepchnęła się od klawiatury. Jej twarz wykrzywiła się, łzy wypełniły oczy i popłynęły po policzkach. Drżała i z trudem łapała spazmatyczny oddech.

Io zerwała się i podbiegła, chwytając krzesło i dziewczynkę tuż przed upadkiem. Wyciągnęła rękę, by objąć podopieczną, ale w ostatniej chwili powstrzymała ten odruchowy gest. Wiedziała, jak agresywnie reaguje Su-Chen, kiedy się jej dotyka.

Zamiast dziecka chwyciła oparcie krzesła.

- Co? - Rozejrzała się nerwowo, szukając przyczyny wybuchu dziewczynki. Co mogło ją tak przestraszyć lub tak nią wstrząsnąć? Pomieszczenie było puste, jak w chwili, kiedy tu weszły, w chłodnym powietrzu unosił się nadal ten sam zapach tworzyw i metali. Żadnych ludzkich śladów. - Weź głęboki oddech. Zaraz dostaniesz hiperwentylacji i wpadniesz w panikę.

- To. To - wydusiła Su-Chen, drżącą ręką wskazując na instrument. Syntezator stał na niewielkim podwyższeniu. - Dotknij - chlipnęła dziewczynka, nadal oddychając nierówno i z przerwami.

Io chciałyby ją objąć. Gdyby tak mogła użyć tego odwiecznego ludzkiego sposobu na uspokojenie dzieci. Jednak tylko wyciągnęła palec i nacisnęła klawisz.

Nie zabrzmiał żaden dźwięk, ponieważ głos nie był włączony. Ale Io ogarnęło przytłaczające, potężne, niemal bolesne uczucie, którego musiała doświadczyć również Su-Chen. Wypełniło ją, rozkwitając nie tylko cierpieniem, ale przede wszystkim intensywną, nieogarnioną radością.

Cofnęła palec. Wrażenie znikło, w przeciwieństwie do dziewczynki Io odczuwała to wszystko już wcześniej. Wiele razy. Nie tak intensywnie, ale na pewno prawie przez cały czas, odkąd się urodziła. Czasami był to łagodny przepływ, jak nurt wielkiej rzeki, czasami nagłe uderzenie, jak niespodziewana eksplozja. Emocje.

Jedną ręką uderzyła akord i, natychmiast odebrała pośpiesznie migające obrazy przeplatane urywanym dźwiękiem. Dwie małe postaci biegnące nocą przez wrzosowiska. Chłopiec uciekający z domu, by przyłączyć się do cyrkowej trupy. Kurtyzana pisząca przejmująco piękne wiersze. Mnich, który spogląda w księżyc.

Przyjmowała to i rozpoznawała.

Opowieści. Opowieści układające się na warstwach czasu. Przesycone uczuciami. I tak wieloaspektowe, że trudno to było od razu ogarnąć umysłem. Ale miały niepowstrzymaną moc, jak pożar. Emanowały każdym aspektem dzikości, niespokojne, nieuporządkowane jeszcze przez miasto, choć już przez nie wchłonięte. Ale skąd się wzięły?

Uderzając w klawiaturę, Io mogła uzyskać połączenie, by ustalić datę pojawienia się zbioru we Współdziałaniu. Zaledwie wczoraj.

W tym samym czasie, kiedy ona opuszczała szpital. Pamiętała fale kolorów napływające i niknące w osłonie, kiedy Współdziałanie zaczytywało wspomnienia martwej kobiety.

I te wspomnienia mogły teraz przepływać przez miasto, nawet przez ten instrument. Czy pielęgniarka nie mówiła, że jest w tym procesie coś niezwykłego?

Szloch Su-Chen cichł powoli.

- Nie mogę już grać - powiedziała ochryple. - To boli.

- Może uda mi się coś z tym zrobić. Ten... przekaz płynie ze Współdziałania. Zdaje się, że zostało zalane ogromną falą nowych informacji. Myślę, że wkrótce się uspokoi. Ale mogę wcześniej odłączyć tę klawiaturę albo ustawić osłony i bariery, które oddzielą instrument od Współdziałania.

Usiadła przed syntezatorem. Nad klawiaturą znajdował się niewielki ekran, na którym nadal jaśniały muzyczne notacje zapisane przez Su-Chen. Na panelu można było również wyświetlić klawiaturę alfanumeryczną.

- Podejdz. Pomożesz mi.

- Nie. - Su-Chen usiadła na sofie i wpatrzyła się w ścianę.

Io przyjrzała się klawiaturze i wcisnęła START. Potem raz jeszcze wyłączyła i włączyła instrument, a następnie na panelu zażądała dostępu do systemu syntezy.

Okolo kwadransa zajęło jej odizolowanie urządzenia od Współdziałania. Przeważnie używała komend głosowych, w tym samym czasie upewniła się, że wszystko, co zagra dziewczynka, zostanie zarejestrowane. Później będzie można to przesłać do Współdziałania, by zanalizowało dane.

- Gotowe - oznajmiła. - Współdziałanie jest zajęte, załazy je nowe dane, Su-Chen. Myślę, że ten instrument jest teraz dla ciebie bezpieczny. Niestety, tylko ten.

Dziewczynka nadal sztywno siedziała na sofie, patrząc uparcie przed siebie i nie reagując. Io powtórzyła i dopiero wtedy Su-Chen skinęła głową.

- Lubię Współdziałanie. Ma tyle informacji. Nie wiedziałam, że może mnie zranić.

- Myślę, że to były emocje, Su-Chen. To coś, co inni ludzie... czują. Tak samo, jak ty czujesz ból, gdy się skaleczysz. To sygnał ostrzegawczy. Uczy cię, żeby unikać podobnych sytuacji i ran. Większość ludzi czuje ból... w sercu. Albo szczęście. To właśnie sprawia, że większość z nas się śmieje, płacze albo się martwi. To coś, co się w ludziach rozwija, dojrzewa. Sądzę, że większość ssaków przeżywa emocje. Może nawet ptaki. Albo ryby i rośliny.

- Możesz spytać ptaki, czy przeżywają te okropne rzeczy - powiedziała Su-Chen. - Ptaki tutaj potrafią mówić.

- Racja.

- Emocje są straszne.

- To, co poczułaś ze Współdziałania, jest bardzo intensywne. Intensywniejsze niż to, co ludzie zazwyczaj przeżywają. Ale prawdę mówiąc, kilka razy dziennie, czasem kilka razy w ciągu godziny, zdarza mi się czuć silne emocje.

- Przykro mi - powiedziała dziewczynka. - To musi być jak straszna choroba.

- Przywykłam - uśmiechnęła się Io. - Pewnie za bardzo. Nie zawsze postępuję zgodnie z rozsądkiem, czasami kieruję się emocjami, choć nie powinnam.

- Ale mogę teraz grać bez tego? To boli.

- Tak. Odłączyłam syntezy. Sądzę, że powinnaś być ostrożna w przypadku innych urządzeń. Jednak myślę, że w ciągu kilku dni opowieści zostaną bardziej zasymilowane. Poddane lepszej kontroli. Zastanawiam się, co to jest. Jak turbulencja. Zastryk nowych informacji. Pewnie weszłaś w interakcję z tymi opowieściami bez żadnego ostrzeżenia, przygotowania...

- Może powinnam raczej trzymać się od tego z daleka.
 - Dobry pomysł. Musisz być ostrożna nawet tutaj.
 - Chcę mojego kota. - Su-Chen przygarnęła kota z wieży Inżyniera.
- Io uśmiechnęła się.
- Zobaczę, czy kot pozwoli się tutaj przynieść.

Chester

Ale czy naprawdę, naprawdę był realny?

Oczywiście, że nie. Chester wszedł po schodach i znalazł się na przestronnym tarasie rozciągającym się nad falami.

Oczywiście, że nie. Ale był tutaj, w tym sławetnym miejscu. Miejscu, gdzie był lalką, w micie, który opowiadał przestraszonym dzieciom. Ale nie, to nie było wcale prawdziwe. To była sławna naukowa mekka, miejsce bogactwa barw i zapachów, gdzie splatała się muzyka i czyste, rozprzestrzeniające się życie, gdzie geny mieszały się i tworzyły wiele form, tworzyły rozum, inteligencję, żywiąc się i przepływając przez Współdziałanie, które rozrastało się pod bosymi stopami Chestera jak fala uderzeniowa. Wszedł na najwyższy stopień i znieruchomiał, zaskoczony tym, co mówi Współdziałanie.

Tak jest. Żyję.

- Angelina! - wykrzyknął, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi; wszyscy tańczyli, pochłonięci tą dziwną, podniosłą muzyką. Szept Angeliny w umyśle Chestera był czystym cudem. - Gdzie jesteś?

Idź. w prawo. A teraz wejdź do windy przed tobą. Tak. Czterdzieste piętro. Owszem, jedź tak wysoko. I szybko. Dobrze. Skręć w lewo, idź korytarzem - tak. Nie patrz, dostaniesz zawrotów głowy - świetnie. Teraz...

Pchnął wysokie, łukowato sklepione skrzydła drewnianej bramy i wkroczył do wielkiego, mrocznego pomieszczenia.

- Angelino...

Masz wybór...

- O czym ty mówisz? - spytał niecierpliwie. - Gdzie jesteś? Angelino, tak strasznie byłem załamany. Nie miałem jednak czasu, by za wiele o tym myśleć. Proszę, gdzie...

Masz wybór. Głos był smutny, jakby nieco znużony. Obok ciebie znajduje się kokon. Po prawej. Tak. Widzisz go. Wejdź do środka.

- Jaki mam wybór? - odważył się w końcu zapytać, stając przed kokonem. Nagle zabolalo go serce. - Nie żyjesz, prawda?

Nie było odpowiedzi.

- Powiedz mi, do cholery, Angelino! Powiedz to! - Jego pięść uderzyła w ścianę, zanim zdążył pomyśleć. - Proszę.

Pragnę cię...

- Dobrze - powiedział. Gniew mu minął. Usiadł w kokonie, który rozpękł się, by go przyjąć, a potem, otuliwszy mu stopy, delikatnie ułożył ciało Chestera na podłodze. Kokon, tak znajomy jeszcze z okresu nauki w Paryżu, otulił go łagodnie.

Przez umysł przepłynęły mu obrazy.

Upadek, krzyk, opadanie w morze. Wyciągnięcie na łódź i złożenie w kokonie, a potem pośpieszne przeniesienie do miasta. Przemiana Angeliny, jej transformacja, transfiguracja po śmierci.

Jej opowieści. Te, które teraz należały także do Chestera.

Oto wybór.

Tak.

Możesz wrócić - powiedział jej.

Rzeczywiście. Ale nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Dzięki temu, kim jestem teraz, mogę opowiadać historie symultanicznie, stale. Ludzie mają do mnie dostęp...

Ale nie potrzebują cię, by mieć opowieści! - krzyknął do niej przez kokon.

Przeciwnie, potrzebują mnie. Potrzebują filtra, jakim jest moja świadomość. Bez tego informacji jest za wiele, za dużo kodów równocześnie. Opowieści są zakrzywionymi, zwiniętymi wymiarami w teorii strun. Opowieści są tym, czym ludzie zakrzywiają czas. Świadomość przenika czas w nowy sposób. To kolejna improwizacja, jakiej dokonał wszechświat. Świadomość ewoluuje w rytmie czasu. I zakrzywia czas. Czas jest matrycą. Mogę ludziom przekazać opowieści, jakie dał nam Louis. Czyste.

- Och, gówno! - warknął Chester. - Angelino, nie widzę cię, Proszę. Kocham cię. Proszę. Wróć. Bądź znów człowiekiem. Masz wybór.

Tak jak i ty. Chodź ze mną.

Chester rozkazał, by kokon go wypuścił. Wstał, potrzęsął głową i podszedł do sofy. Jego wspomnienia były proste. Dotyczyły Angeliny. I długiego czasu pustki, zanim się pojawiła. Pustki sprzed Angeliny.

- Nie - powiedział w końcu. - Nie teraz.

Wstał i wyszedł z sali, wracając do życia, jakie znał i rozumiał.

Chociaż trochę.

12 SIERPNIĄ 2115

RADIOKOWBOJ I PEABODY

Słońce prażyło Kowboja i sytuacja wyglądała poważnie. Wszystkie kowbojskie myśli wtopione w mózg Peabody'ego znikwały teraz pod wpływem upału i gorączki; zwały się w uczucie paniki, którą przerwało szybko przemożne pragnienie. Żadnego cienia, jak to zwykle bywa wczesnym popołudniem, kiedy nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodzi na słońce.

Muzyczne słońce.

Ogarnęły go wspomnienia. Wspomnienia dni oderwanych od pamięci Kowboja. Mała firma nanotechnologiczna produkująca samochody. Nazywała się „Musical Sun”, bo słońce było dla Peabody'ego zapowiedzią muzyki, potężnej jak objawienie. Słońce do najdrobniejszego świętego atomu porządkowało jego umysł, pozwalało odbierać pasaż zmiennych częstotliwości, które sprowadzały się czasem tylko do danych, jakie ze sobą niosły.

Życie przewijało się przed jego oczyma. To życie, które tak często zmieniał. Okresy, o których wolałby nie pamiętać, okresy strat i klęsk. Jego matka, Julia, wierząca, że Peabody został zmieniony w jej łonie pierwszym impulsem energii, po którym nadeszły Cisze - okresy, gdy odbierał czyste obrazy i dźwięki płynące z majestatycznej, międzygwiazdnej pustki. Jego dzieciństwo było pasmem bólu, strachu i zmieniających się krajobrazów rozświetlonych słońcem zachodu.

Klasa Jasona w małym miasteczku w Montanie, do którego rodzina dotarła w listopadzie, tuż po jego trzynastych urodzinach, miała mu umożliwić zdanie matury, co rodzicom wydawało się bardzo ważną sprawą. Matematyka, fizyka, chemia - nosił je w torbie razem z przedmiotami dodatkowymi, muzykologią i projektowaniem komputerowym. Brakowało mu jeszcze dziesięciu wypracowań z angielskiego i egzaminu z gramatyki. Chciał z tego zrezygnować, ale matka codziennie suszyła mu głowę.

Świadectwo było niezbędnym krokiem do celu. Miał przy sobie wyniki testów i egzaminów z wcześniejszych klas, zaliczone pod pseudonimem, który w myśl jego planów miał mu służyć całe życie - fałszywej tożsamości na nazwisko Paul Jones.

Padający śnieg przesłaniał góry, widoczne przez okna klasy. Napadał już na stopę lub więcej, ale Jason, i jego rodzice oraz większość mieszkańców nie musieli odbywać długich spacerów czy dojazdów. Mama i tata znaleźli pracę na miejscu, gdy tylko zaktualizowali swoje dane w systemie informacyjnym miasteczka. Próbowali zaoszczędzić trochę przed kolejną przeprowadzką. Pracowali tylko tam, gdzie płacono złotem lub w towarze. Po długich dyskusjach zdecydowali się zaryzykować i posłać jednak Jasona do szkoły. Tutejsza szkoła nie miała podłączenia do żadnej sieci państwowej lub agencyjnej, prawdopodobieństwo wytropienia Peabody'ego było więc niewielkie. Ukrywanie się stanowiło obsesję i sposób na życie.

Oslabiony jak zwykle migreną, Jason rozwiązywał zadania matematyczne wykraczające poza program nauczania. Satysfakcja, jaką czerpał z udanych wyników, odrywała jego myśli od bólu. Jak w większości szkół, gdzie przebywał, mógł się uczyć we własnym tempie. Poziom nauczania był wszędzie dość podobny. Zadania, które teraz robił, były na poziomie college'u, ale radził sobie bez problemów. Sporo mówiło się - w kawiarniach, w artykułach prasowych - o upadku edukacji i o tym, że naukowców odciągano od pracy nauczycielskiej, zatrudniając w agencjach rządowych. Mówiono również, że coraz więcej dzieci nie ma nawet podstawowej wiedzy, jaką powinno zapewnić nauczanie w domu. Jason uświadomił sobie niejasno, że na świecie jest wielu różnych rodziców i większość z nich nie ma odpowiednich kwalifikacji, by uczyć własne dzieci równie dobrze jak prawdziwi nauczyciele lub ci, którzy korzystając z dostępnych materiałów starają się pełnić obowiązki nauczycieli.

Jason uwielbiał rytm padającego śniegu, rejestrowany kątem oka. Jego koledzy z klasy byli w zasadzie małowówni, choć zdarzyło się kilka dyskusji na temat zadań domowych. Bóle głowy, przenikliwe i pulsujące, których nie potrafiły uśmierzyć żadne leki, stanowiły tło podobne do hałasu na korytarzach szkoły.

Światło zamigotało - widomy znak, że przełączono się z sieci na lokalny, miejski generator. Pulpit automatycznie zapisywał dane co sekundę, więc nic nie przepadło. Popularnie nazywano tę opcję pulsowaniem, ponieważ bazowała na doświadczeniach, jakie nabyto przy pojawieniu się impulsów. Radio nie działało.

Jason poczuł znajome drżenie w żołądku i ulgę, gdy ustąpił ból głowy.

Skończył rozwiązywać zadanie i szybko przeszedł przez pozostałe w zestawie. Dotknął

zielonego punktu, który uruchamiał przesyłanie danych do komputera. Pulpit, którym się posługiwał, był prostokątną płytą o zaokrąglonych rogach, długą na trzy cale i szeroką na jeden, w szkole wystarczyło ją położyć na pulpicie, by automatycznie nawiązała łączność z komputerem szkolnym i umożliwiła przesyłanie informacji między oboma urządzeniami. Jason używał tego urządzenia w szkole, więc można je było stale ładować nowymi programami i danymi. Swoją prawdziwy, osobisty komputer miał w plecaku. Urządzenie było skonfigurowane w bardzo specjalny, wyjątkowy sposób - chłopiec był przekonany, że nikt, nawet rodzice, nie mają do niego dostępu.

Wsunął palce i odłączył swój pulpit. Na ekranie widoczne były odpowiedzi ze Standardowych Testów Matematycznych 7.5.

Zaniósł je do nauczycielki, która siedziała na poduszce w kącie sali, trzymając własny pulpit na skrzyżowanych nogach. Mogła sprawdzić na nim odpowiedzi Jasona, zapisać u siebie, a następnie dać mu kod dostępu do testów 7.6.

Nauczycielka trzymała kubek gęstej, parującej kawy. Pociągnęła łyk i odstawiała naczynie na podłogę.

- Co my tu mamy... - Przez chwilę studiowała dane z komputera Jasona. - Paul, zacząłeś testy 7.5 dziś rano, prawda?

Uderzyła palcami w pulpit, gdzie ukazał się schemat postępów klasy, by upewnić się, czy ma rację. Zerknęła na chłopca spod oka.

- To naprawdę niezbyt dobry pomysł, by używać programu podpowiadającego. Wiem, że nietrudno go znaleźć, ale powinieneś nad tymi zadaniami pracować samodzielnie, nawet jeżeli zajmie ci to cały dzień lub dwa. To nie ma znaczenia. Chodzi o to, abyś się nauczył.

- Zrobiłem je samodzielnie - odpowiedział, starając się zachować spokój. - Nie oszukiwałem.

- Nie twierdzą, że oszukiwałeś - odpowiedziała nauczycielka. - Po prostu...

- Właśnie tak pani myśli! - Ściszył głos, gdy niektórzy uczniowie podnieśli głowy znad swoich prac. Wahał się przez chwilę. Wiedział, że to głupie, ale naprawdę się wkurzył. Był zły na nauczycielkę, zły, że zawsze musi ukrywać to, co naprawdę wie i potrafi, to, kim jest. Miał już dość udawania.

- Pokażę pani, jak rozwiązałem ostatnie z zadań. - Usiadł obok kobiety.

- Dobrze. - Odsunęła się, robiąc mu więcej miejsca. Jason był pewien, że starała się, by w jej głosie nie zabrzmiał sceptycyzm. Używając jej pulpitu, otworzył plik z zadaniami i wypisał dane. Z taką samą swobodą, z jaką napisałby trzyliterowy skrót, rozpisał rozwiązanie. Pojawiła się odpowiedź. Na ekranie rozbłysła plansza z gratulacjami i migoczącymi

gwiazdkami.

Po południu wrócił do domu w towarzystwie nauczycielki, która powiedziała rodzicom, że Jason ma ogromny talent i powinien trafić do miejsca, gdzie będzie miał warunki, by rozwijać zdolności.

- Nigdy nie spotkałam dziecka, które tak łatwo rozwiązałoby te zadania - oznajmiła, a potem szczebiotała o posłaniu go w przyszłym roku do specjalnej szkoły, gdzie prowadzone są kursy na studia. Ojciec podał kobiecie kawę i udawał, że jest podekscytowany i szczęśliwy.

Następnego ranka, nie zważając na śnieg, rodzina się spakowała, a ojciec nałożył łańcuchy na koła ich terenówki. Wyjechali zaraz potem.

To była ostatnia szkoła, do jakiej uczęszczał Jason Peabody.

*

Jego głowa została delikatnie uniesiona i usłyszał, jak ktoś mówi cicho:

- A teraz otwórz usta.

Strumień wody popłynął mu po policzkach i na ramiona. Zakrztusił się, potem usiadł i zakaszłał. Ujął naczynie i napił się słodkiej, chłodnej wody.

Oszłomiły go intensywne barwy. Znajdował się w pokoju. Za siedziska służyły tu drewniane stołki przykryte niebieskimi, czerwonymi i zielonymi pledami. Gęsto tkany dywan w czerwono-czarny geometryczny wzór pokrywał część sosnowej podłogi. Masywny kamienny kominek po prawej ział chłodem, choć była w nim sadza. Mężczyzna, który siedział przy łóżku Peabody'ego, miał siwą, długą brodę i niemal niewidoczne, błękitne oczy w ogorzalej, pomarszczonej twarzy. Szyję otaczała mu czerwona chusta. Na włosach widoczny był ślad po kapeluszu.

Pięć małych kul unoszących się pod sufitem oświetlało pomieszczenie. Peabody obserwował, jak stykają się dwie z nich, jedna zielona, druga żółta. Przez chwilę lampy dawały seledynowe światło, by po rozdzieleniu ponownie załsnąć wcześniejszymi kolorami. Żółta kula odbiła się od sufitu i poszybowała w przestrzeń między dwoma regałami, odbijając się od kubków, naczyń, książek, gazet i zdjęć ustawionych w ramach przed rządami książek.

Dwa duże okna otwierały się na odległe, purpurowe teraz góry. Wysokie kaktusy z uniesionymi ramionami rzucały długie cienie.

Houston leżało w odległości 943,2 mili.

Jedno ze świateł wyciągnęło nogi, potem głowę z odstającymi uszami i kocimi oczami. Przeszło po staromodnym, zniszczonym bucie i przysiadło na kolanie Jasona, okrytym poszarpanymi dzinsami, polizało łapę i spojrzało w twarz Peabody'ego.

- Kim jesteś? - spytał Peabody, siadając na brzegu łóżka.

Siwowłosa mężczyzna potrząsnął głową.

- Nazywam się Kocia Burza.

- Nie jesteś Indianinem. - Peabody bezsensownie przeciągnął dłonią po włosach.

Broda zatrzęsa się, gdy starzec uśmiechnął się szeroko.

- DNA mówi coś innego. Matka Hopi. Ojciec - Los Alamos. A ty?

- Matka z Sedony, ojciec inżynier.

Kocia Burza skinął głową. Wstał. Świetlny kot przekształcił się z powrotem w kulę i poszybował pod sufit. Mężczyzna podszedł do wnęki, gdzie na prostym stoliku stała misa, a nad nią wisiał kurek. Peabody widział jedynie cienie na gładkiej, lśniącej powierzchni parawanu. Kocia Burza nalał galon ze zbiornika zimnej wody. Odsunął z jednego ze stolików drobne przedmioty i postawił naczynie oraz butlę. Na matowej powierzchni pojawiły się drobne krople.

- Mnóstwo wody, Kowboju.

- Jestem Peabody. - Jason pokuśtykał do naczynia i nalał sobie szklanekę, a potem wypił do dna, niemal się krztusząc.

Siwowłosa mężczyzna znowu się uśmiechnął.

- Powiedziałeś mi: Radiokowboj. Wtedy, gdy podnosiłem cię z pobocza. Myślałem, że nie żyjesz. Prawie tak wyglądałeś. Niewiele brakowało. Chyba cholernie dużo wiesz o byciu martwym.

- Nie martwym. Po prostu czekałem na nowe wcielenie. Tu nie jest gorąco...

- Chłodzenie wodą. Lubimy wodę.

- Masz żonę?

- Miałem kilka. Obecnie nie mam. Kolejna żona raczej się nie pojawi, przynajmniej na razie. Ale chciałbym poznać twoją opowieść, Peabody. - Wyprostował się na krześle, oparcie zatrzęszczało. - Mamy czas, jak widzisz. Moje Pszczoły latają wcale daleko i gromadzą sporo informacji, nie jestem zatem tak zupełnie nieświadomy, jak może ci się wydawać. - Uniósł głowę z dumą. - Dzikie Kwiaty rosną na dachu tego domu. Tam Pszczoły przynoszą i gromadzą dane. Jak miniaturowe Miasto Kwiatów. Nazywam to Kwietny Domek na Prerii. - Uśmiechnął się szeroko. - Nad tym właśnie pracowałem kiedyś - nad systemem, który można zastosować na wsi, bez niewygód i nieprzyjemnych tłumów typowych dla miasta.

Kiedy to się zaczęło? w mężczyźnie Peabody widział przyjaciela, sojusznika. Nie, żeby od razu istnieli jacyś wrogowie przeszkadzający mu w zadaniu, którego się podjął, ale zbyt wielu ludzi pozostawało po prostu obojętnych na misję Inżyniera.

Musiał dotrzeć do Houston. I to jak najszybciej.

- Czemu mnie w ogóle zabrałeś? Kilka samochodów minęło mnie w nocy, ale nie sądzę, aby ktoś mnie zauważył. Straciłem przytomność. Wydaje mi się, że pamiętam, jak ktoś się zatrzymał i kopnął mnie parę razy. Sądziłem, że wybiła moja godzina.

- Prawie. Może miałem dobry dzień. Jednak nie od razu cię zauważyłem. Moje Pszczoły powiedziały mi o tobie. Zostałeś okradziony, choć niewiele miałeś poza czymś, co według mnie - na podstawie wizji dokonanej pszczelim okiem - wyglądało jak dolary Republiki Mississippi. Zabrali ci kapelusz. To było najgorsze. Wyruszyłem, żeby cię odszukać.

Kocia Burza wyprostował się, opuścił długie ręce na chude kolana. Oczy musi mieć po ojcu - domyślił się Peabody. To oczy człowieka, który należał do elity naukowej. To człowiek, który zrozumie, o co chodzi i jaka jest stawka. Ktoś, kto rozumiał dążenie do gwiazd i kto zapewne miał jakieś pojęcie, co może się stać, jeżeli zmarnuje się szansę na lot do źródła Sygnału, i co może się stać, jeżeli Sygnał naprawdę wysłała jakaś obca inteligencja. To człowiek, który znał zasady tej gry. Kocia Burza odezwał się znowu:

- A teraz powiedz mi, czemu one - mówię o Pszczołach - w ogóle cię szukały?

- Jestem jednym z... - Peabody zawahał się, nagle zagubiony wśród słów, którymi go nazywano. Pionier. Obcy. Mutant. - Jestem jednym z mutantów - stwierdził wreszcie.

- Ludzie-Pomosty, jak nazywała was moja matka. Znam kilku takich jak ty. Moja pierwsza żona była z Pionierów. Dopadli ją agenci rządowi i zabrali. Nigdy jej już nie widziałem. To było moje polityczne przebudzenie. Lata temu. Zrozumiałem wtedy, że marnuje się większość energii i ludzkiego potencjału. I że rząd upada. Przekonałem się, że to samo dotyczy nauki. - Rozłożył ręce, wzruszył ramionami, a potem znów opuścił dłonie na kolana. - Byłem zarejestrowany u rządowych w Tucson pod numerem 2042.8. Mój własny wybór. Zostałem, bo sądziłem, że tak będzie dobrze. Ale prawdę mówiąc, zostałem wykorzystany. Lee Ann była moją drugą połową. Po jej zniknięciu przez lata czułem gniew. Pół wieku zajęło mi uspokojenie się, a w tym czasie popełniłem mnóstwo czynów, które można by nazwać „aktami terroryzmu”. Troje moich dzieci uciekło najszybciej jak mogło. Zdaje mi się, że przez długi czas pozostawałem w stanie kompletnego szaleństwa. Przyznać muszę ze wstydem, że dobrze zrobiły, uciekając.

- Znałem kobietę, która pomogła stworzyć Miasto Półksiężycy - powiedział Peabody. - Ale odszedłem. To było dawno temu. Manipulowano mną. W końcu to odkryłem i niezbyt mi się spodobało. Zanim odszedłem, zostawiłem jej pewne dane nawigacyjne, które wyniosłem z Houston. - Uśmiechnął się przelotnie. - To wersja skrócona, rozumiesz. Miałem zostać Inżynierem. Nawet zacząłem w Chicago. Byłem tam Naczelnym Nanoinżynierem. Mieliśmy

najlepsze Miasto Kwiatów na świecie. Ale wtedy moja żona - urwał, nie mogąc wykrztusić przez chwilę słowa i dziwiąc się, że wspomnienia mogą nadal tak boleć - moja żona popełniła samobójstwo. Więc wyjechałem, w tym czasie wschód był całkowicie opanowany przez Plagę Noworleańską. Nie wiem, jak się rozprzestrzeniała, w efekcie populacja we wschodnich Stanach drastycznie się zmniejszyła. Ludzie uciekali stamtąd i przypływali do Miasta Półksiężycy. To były wspaniałe lata rozkwitu miasta, ale gdzie indziej nadeszło nowe średniowiecze. Tymczasem my przetrwaliśmy i żyliśmy w dobrobycie. Mam wrażenie, że zrobiliśmy się tłuści i leniwi. A teraz nadszedł czas na działanie. Działanie jest konieczne. Miasto Półksiężycy zostało zaatakowane przez piratów. Ja i pewna kobieta wyruszyliśmy do Houston, by zdobyć pewne dane. Informacje zostały zebrane w okresie pierwszych lat Ciszy.

Kocia Burza usiadł wygodniej.

- Myślisz, że dane nadal są w Houston?

- To całkiem możliwe.

- W Houston jest bardzo ponuro. Słyszałem, że miasto się zmieniło. Jest teraz strasznym miejscem... jak wiele innych w dzisiejszych czasach.

- Informacje są najprawdopodobniej przechowywane w jakimś nośniku organicznym. Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest - wyjaśnił Peabody. - Zresztą ktokolwiek odbyłby tak długą podróż jak ja, też chciałby się przekonać, czy było warto.

- Ale w czym problem? Mówisz: zdobyłeś dane. Mówisz: dałeś je Miastu Półksiężycy. Zostały zapisane i włączone do bazy danych. Więc o co chodzi?

- Znasz lemingi?

- Jasne.

- Właśnie o to chodzi. To wszystko, co wiem. Jestem jak leming. Pewnie dotychczas walczyłem z tym poczuciem misji. Jednak jest za silne. Ludzie znaleźli się na progu nowego etapu ewolucji - etapu międzygwiazdowego. Moja matka była Gajanką. Przypuszczam... To śmieszne, ale wierzę... - Wyrzucił z siebie wszystko i poczuł ulgę. Wziął głęboki oddech. Od wielu lat już nie zdarzyło mu się tak naprawdę rozmawiać z innym człowiekiem. - Przypuszczam, że Ziemia jest jak drzewo. Jest organizmem mającym określoną płeć. Albo coś podobnego, coś, co daje pewną określoną orientację, dążenie. I gdzieś tam, wśród gwiazd, jest partner dla Ziemi. I to wszystko - zatoczył ręką łuk - to wszystko, ewolucja życia, rozwój technologii i następstwa Ciszy, jest częścią ewolucji intergalaktycznej... intergalaktycznej inteligencji. Inteligencji tak bardzo nas wyprzedzającej i wyższej niż nasz rozum, że nawet nie potrafimy sobie tego teraz wyobrazić. To nie jest plan. To... - zastanawiał się dłuższą chwilę, próbując znaleźć najodpowiedniejsze słowo - to improwizacja. Jesteśmy już w

pewnym stopniu rozumni. Ale przecież częściowo jesteśmy zupełnie ślepi i głusi. Nie wiem, co widzą twoje Pszczoły. Nie wiem, co słyszy pies. Na pewno nie potrafię powiedzieć, co myślą inne stworzenia, które rozwinęły wrażliwość na inne pasma częstotliwości fal niż ja.

Kocia Burza popatrzył na Peabody'ego.

- To niezupełnie pasuje do trzeźwo myślącego Inżyniera.

- Nie - odrzekł Jason. - Niezupełnie. Udawałem przez całe życie, że jestem rozsądnym i trzeźwym człowiekiem, a okazałem się zupełnie bezużyteczny i nieefektywny. Moja żona, którą przecież kochałem, wybrała śmierć, nie chciała żyć, nie chciała nawet sprawdzić, co nas czeka. To moja wina.

- Ale teraz...

- To była moja wina - powtórzył stanowczo Peabody. - Skaza na idealnym Chicago. Gdybym tylko mógł ją zobaczyć wcześniej, dowiedzieć się wcześniej...

- Dużo na siebie bierzesz - zauważył starszy mężczyzna.

- Mnóstwo programów terapeutycznych powiedziało mi coś podobnego i jeszcze więcej. To niczego nie zmienia. Czas to sobie uświadomić. I pora uświadomić sobie, po co się urodziłem. Aby zrozumieć najdokładniej jak można, co się stało i co się dzieje. Nieważne, czy to w ogóle ma jakiś sens. Urodziłem się, by ułatwić i pomóc w przemianie ludzkości. By dać wybór. Wszystkim stworzeniom. Nie tylko ludziom. Wszelkiemu życiu i temu, co z niego powstaje. Dlaczego tak trudno zrozumieć, że świadomość się rozwija i rośnie, i że ten nowy etap ewolucji wykracza poza świadomość? - Peabody wstał i zaczął się przechadzać. - To nie tylko nieunikniony krok. To krok w rozwoju, chyba nie tak nieświadomy jak wcześniejsze etapy ewolucji. To mnie wzywa. - Wyciągnął rękę do siwowłosego mężczyzny, aby uścisnąć mu dłoń. - Muszę iść. Bardzo ci dziękuję za pomoc, ale muszę już iść. Może kiedy się trochę ochłodzi...

- Do cholery, zabiorę cię do Houston.

Peabody spojrzał na Kocią Burzę.

- Czemu nie?

W tym momencie Jason usłyszał miauknięcie i ujrzał, jak dwie kule światła niczym iskry spadają na gospodarza. Kocia Burza odpędził je ruchem ręki, gdy wstawał.

- Denerwują się. Wybaczcie, kochaneczki, ale mężczyzna musi zrobić to, co jest zadaniem mężczyzny.

*

Kolacja Kociej Burzy była szybka i ergonomiczna: fasola z ryżem, kaktusowe pikle oraz sałatka owocowa. Posiłek postawiony został na niskim stole, przy którym przycupnęły

kule światła. Talerze gospodarz wyjął z szafki, skąd wcześniej przepędził kocia lampkę. Gdy mężczyźni zjedli, jedno ze światel wysunęło łapy i uniosło ogon, a potem przyglądało się uważnie kocimi oczami bandażowaniu żeber Peabody'ego. Po założeniu opatrunku Kocia Burza otworzył wielki zbiór plików w komputerze i wyszukał wzór preparatu uzdrawiającego, który zlecił do przygotowania domowi. Choć Jason protestował, że jego własne nano jest w doskonałej formie, gospodarz zmusił go do wypicia płynu.

- Przewrotny zawsze ubezpieczony. Pomoże ci na twoje dolegliwości. Zdaje się, że nie jesteś tak przewrażliwiony jak ten radiowy koleś. Zresztą ten preparat przyhamuje go na dłużej.

Peabody przejrzał półkę z książkami, sącząc mieszankę o cytrynowym zapachu. Na regale znalazł płytkę z wygrawerowanym dyplomem ukończenia inżynierii astrofizycznej na Uniwersytecie Nowego Meksyku, wsuniętą niedbale za przepiękną misę Hopi. Na płycie widniało nazwisko Sam Atchley. Świetlny kot przebiegł po krawędzi półki i wskoczył Peabody'emu na ramię.

- Wybacz, ale myślę, że ta mała od razu cię polubiła.

- Czy to naprawdę... koty? - zapytał Jason. Kotka siedząca mu na ramieniu wydawała się całkiem realna.

Kocia Burza spojrzał na niego z niedowierzaniem zabarwionym rozbawieniem.

- To helikoty. Koty słoneczne. No, to zbierajmy się.

Wyszli na zewnątrz w błękitny zmierzch. Kaktusy stały niczym szpaler wartowników, gdy przechodzili do wielkiego, kopulastego garażu. Gospodarz zapalił światło i Peabody ujrzał różnorodne pojazdy ustawione pod aluminiowym dachem.

Była tam półciężarówka na energię słoneczną z karoserią w kolorze lapis lazuli. Peabody mgliście przypominał sobie, że chyba już ją widział, gdy leżał na poboczu drogi. Obok samochodu stał motocykl i jeep.

I niewielki pojazd z dwoma siedzeniami. Wyglądał, jakby zaprojektowano go do latania. Sprawiał wrażenie niebezpiecznego.

Ku konsternacji Jasona Kocia Burza podszedł właśnie do ażurowego wehikułu.

- Śliczny, prawda? Sam go zbudowałem.

Peabody poczuł wyraźnie obcy, ale przyjemny pustynny zapach, którego nie potrafił rozpoznać.

- Nie potrzebujemy ciepła, światła słonecznego czy innych... - Siwowłosa mężczyzna roześmiał się i klepnął Jasona po plecach. - Jedyne, co musisz zrobić, to wejść i usiąść.

Peabody rozejrzał się niepewnie.

- Przecież w pobliżu jest droga...

- E tam. Spójrz tylko. Wznosi się pionowo. Popatrz na skrzydła, może latać jak koliber. To hybryda. Nie jest zbyt szybka, wyciągnie najwyżej sześćdziesiąt mil, z tobą i ze mną. Droga zajmie nam, powiedzmy, dziesięć godzin. Będziemy mogli się zatrzymać na odpoczynek, jeżeli zajdzie potrzeba.

Peabody czuł się sztywny, obolały i stary, gdy zajmował miejsce w fotelu, wdrapując się po boku urządzenia za pomocą dwóch uchwytów i wgłębień. Cieszył się, że przynajmniej ma uzdrawiające nano.

Wysokie okna domu Kociej Burzy odbijały ostatnie promienie słońca. Niewielkie świetlne kule polatywały wszędzie. Siwowłosa mężczyzna usiadł obok Jasona. Natychmiast objęły ich pasy bezpieczeństwa, które, jak Peabody wiedział, mogły się przekształcić we wspaniałe amortyzującą piankę, zdolną ochronić pasażerów w razie uderzenia lub wypadku. Jason miał tylko nadzieję, że nie widać po nim tak bardzo zdenerwowania. Kocia Burza posłał mu uśmiech i skinął głową, a zaraz potem ornitopter wytoczył się na betonowy podjazd przed garażem. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z głuchym hukiem. Otoczyły ich kaktusy i splekana ziemia. Ściany garażu odbiły blask purpurowego zachodu.

Pod stopami Jasona zawarczał cicho wirnik, obracając się coraz szybciej i szybciej. Kocia Burza przyciągnął dźwignię i ornitopter uniósł się w niebo tak nagle, że dom zmalował w oczach, a Peabody poczuł zawrót głowy. Spojrzał na horyzont, by się uspokoić, i ujrzał ciemną, poszarpaną linię krajobrazu, oblewaną ostatnimi blaskami zachodu.

Ornitopter z gracją skierował się na północ. Wkrótce ujrzeni drogę międzystanową nr 10, na której poboczu lśniły światła.

- Oto nasz przewodnik. Najszybsza trasa do Houston. Wirniki zamilkły i wsunęły się za siedzenia pasażerów.

Wehikuł rozwinął skrzydła.

- Pięknie, prawda? - powiedział Kocia Burza.

13 SIERPNIĄ 2115, WPÓŁ DO SZÓSTEJ RANO

Danya

Świt w południowo-wschodnim Teksasie był stosunkowo chłodny. Zatoka Meksykańska leżała w odległości około pięćdziesięciu mil. Danya całą noc spędziła w gnieździe, stłoczona z dziećmi, które nigdy nie zasypiały i nigdy nie przestawały mówić. Poszła też sprawdzić, co z kojocicą, ale z bólem serca przekonała się, że Trzy Niemożliwości odeszła.

Danya również ruszyła, pobiegła lekkim truchtem, trochę tylko szybszym niż chodzenie. Prawie natychmiast zrosił ją pot. Wytarła twarz chustą. Znalazła ubrania wielu, zbyt wielu ludzi, zapewne tych, co odeszli lub umarli. Były wśród nich szorty, koszulki i spory asortyment butów sportowych, wśród których Danya przebierała dłuższą chwilę. Po drugiej stronie, za oświetloną ulicą, widać było niebo. Robiło się szare. Jasność dnia rozświetlała zdumiewająco bujne cierniste krzewy rosnące w otoczonych betonowym krawężnikiem kręgach ziemi. Zarośla sięgały wysoko ponad głowę kobiety i kwitły stożkowatymi, żółtymi kwiatami. Ciągnęły się wzdłuż rumowiska starych domów, zbudowanych, jak pamiętała Danya, około roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, blisko sto pięćdziesiąt lat temu.

Aluminiowe szkielety budynków wyrastały wszędzie w okolicy, a widoczne na nich panele baterii słonecznych, niegdyś różowe i błękitne, teraz zachowały jedynie wspomnienie dawnych kolorów. Danya pobiegła między nimi. Okna zrujnowanych domów, z powybijanymi szybami, odbijały promienie słońca w tysiącach błysków, zmieniających się, gdy je mijała. Kierowała się w stronę masywnych brył rakiet, odległych może o pół mili. w rzeczywistości Centrum Kosmiczne w Houston nie było początkowo kosmodromem, lecz tylko ośrodkiem kontroli lotów i centrum obliczeniowym. Kiedy jednak kosmodrom na przylądku Canaveral został zalany pod koniec Pierwszej Fali, starty rakiet przeniesiono do Houston. Stąd właśnie wystrzelono misję kolonizacyjną na Księżyc. Co się stało z tamtą kolonią?

Danya nie miała pojęcia, przyśpieszając pomimo odczuwanego gorąca. Była wtedy w Mieście Półksiężycy. Pamiętała, że kolonia istniała i że Ziemia straciła z nią łączność, może nawet celowo odcięła połączenie. Może istniała również kolonia na Marsie, gdzie wykorzystano wszelkie nanotechnologiczne rozwiązania. Ale nikt na Ziemi nie miał pojęcia, co się stało z pozaziemskimi bazami, a główny ośrodek łączności, jakim było Centrum Kosmiczne w Houston, milczał.

Cudownie było zostać samej. Żadnych Teraźniejszości. Żadnych bizonów. Żadnych dziwnych plemion. Żadnych kojotów. Tylko Danya i ta dzika granica utraconych nadziei i niedotrzymanych obietnic. I bezmiar nieba nad głową, po którym, jak stado lub karawana

dźwigająca ładunek wody, płynęły majestatyczne cumulusy.

Uderzeniem dłoni strąciła kilka moskitów i zamrugła powiekami, gdy światło na kroplach potu poraziło ją w oczy.

Zamrugła jeszcze raz.

- Nie - wyszeptała.

Lecz owszem.

Mały owal światła pulsował w cieniu ogromnego statecznika jednej z rakiet. Niezbyt blisko. Może ćwierć mili od Danyi. Mogłaby się odwrócić i uciec lub udać, że nic nie zauważyła. Wtedy jednak światło mogłoby ją doścignąć. A co będzie, jeśli ją złapie?

Jej dziki śmiech eksplodował w czystym powietrzu. Ostrożnie ruszyła w stronę jasnego owalu. Mogła ocenić jego rozmiary. Mogłaby poobserwować go uważnie, naukowo. Nie wysyłał do jej umysłu żadnych zabójczych promieni. Nie zmieniał, nie mógł zmieniać upływu czasu. Światlik był dla niej zagrożeniem w równym stopniu co słońce lub nocna lampka w dzieciennym pokoju, w Mieście Półksiężycy nabyła manii naukowej. Miasto uczyniło umysł Danyi elastycznym i kreatywnym. Przypomniała sobie precyzyjnie ułożone, jak w strukturze kryształu, i ściśnięte w czasie amerykańskie mity, których efektem był Radiokowboj. Przypomniała sobie prehistoryczną ludność kontynentu, która zesła prawdopodobnie z Wind Rock, co Danya widziała w widmowej transmisji radiowej. Czas natury, czas pędzenia stad przez prerię, przez ogromne równiny soczystej trawy skąpane w jasnym blasku błękitnego nieba i ocienione wysokimi górami, płonącymi czerwienią o zachodzie słońca. Czas przepływał przez umysł Danyi w równych impulsach i przynosił muzykę, i opowieści o zdradzie i o tak wielu możliwościach, jakie otwierała przyszłość, o pejzażu podobnym do gór - wyższych, niż kiedykolwiek widziała - gdzie muzyka rozbrzmiewała wyraźnie i odbijała się od turni, a echo zmieniało brzmienie majestatycznych pasaży coraz szybciej i szybciej, i znowu, i znowu...

...wtedy opadła na kolana, a transmisja radiowa ucichła, jednak światło nadal wdzierało się w jej umysł, łącząc się z obrazem rozwidlonej, wielkiej, złotej drogi, po której Danya zawsze chciała wędrować i dokonać czegoś ważnego podczas tej wędrówki. Upadła na ziemię i usłyszała w oddali tętent stada bizonów pędzącego przez puste przedmieścia Houston, między niskimi sosnami, płosząc stada wodnego ptactwa. Gromady krzyjących czapli przesłoniły słońce...

...dźwięk unosił Danyę wśród ogromnych stad czapli, flamingów i innych wymierających gatunków. Niósł ją w góry, gdzie ujrzała wśród szczytów szybującego samotnie orła, a dalej była ta jasna rzecz, owalna jasna rzecz, wypełniająca powietrze nowymi

uczuciami, pieszcząca zmysły i zapowiadająca nowy poziom ewolucji...

Otworzyła oczy i napotkała uważne spojrzenie Radiokowboja. Ogorzałą twarz otaczało rondo jasnego kapelusza i błękit niebios, który pasował do koloru tęczy mężczyzny, jakby jego oczy były częścią nieba. Radiokowboj nie był prawdziwy. Kojot nie był prawdziwy. Teraźniejszości nie były prawdziwe. Tylko nieboskłon był prawdziwy, ten głęboki, niezmierny błękit otoczony czasem jak cieniem...

- Danya?

Woda oblała jej twarz. Zakrztusiła się. To jednak była rzeczywistość. Radiokowboj, stado bizonów i ta dziwna podróż przez czas, jakby Danya płynęła po oceanie obrazów, z westchnieniem próbowała wstać, ale bezradnie opadła w ramiona Kowboja.

- Która godzina?

- Około południa. Jęknęła i wyjaśniła: - Zdaje się, że zgubiłam pięć godzin.

Ponownie próbowała wstać, ale zawrót głowy sprawił, że opadła na...

- Co to jest, do cholery? - Podniosła się nieco i rozejrzała. Leżała na twardym, stalowym stole, a wokół niej mrugały światła. Zamknęła oczy.

- Czy tu nie ma żadnego normalnego łóżka? Chyba jestem za bardzo obolała, by tu leżeć. - Zerknęła na swoje ramię, owinięte niebieskim opatrunkiem, spod którego ciągnęła się rurka do podwieszanej plastikowej butelki.

- Dałeś mi narkotyk, czy co?

- Lekarstwo - powiedział Kowboj i zaczął wacikiem zmywać krew z jej ramienia. - To woda z solą i minerałami. Byłaś odwodniona. Musiałaś leżeć na słońcu kilka godzin.

Danya obiema dłońmi dotknęła twarzy.

- Au...

- Masz paskudne oparzenia od słońca.

- Jak mnie znalazłeś?

- Przez cholernego, skamlącego kojota.

- Och. Świetnie! Ale... Tylko skamlała? Nic nie mówiła?

- Proszę. Napij się wody. Martwiliśmy się o ciebie.

- Jak się tu dostałeś?

- Ten facet okazał się bardzo pomocny.

Otworzyła oczy i za plecami Kowboja ujrzała wysokiego, ogorzałego mężczyznę, przyglądającego się jej uważnie ciemnymi oczyma. A dalej gromadkę dzieci, wyciszonych, speszonych. Czyżby czuły się winne?

Uśmiechnęła się do nich.

- Hej! Nic mi nie jest. Wysłałam pobiegać. To było głupie, wiem. - Wcale nie było głupie. Przywykła do upałów. Była dobrze nawodniona, piła dużo. Znowu tamto światło, to wszystko. Oparła czoło o ramię Kowboja. - Przepraszam, że cię tak zostawiłam. Jak mnie znalazłeś? To znaczy, jak dostałeś się do Houston?

- Cóż... Właściwie nie miałem zamiaru cię szukać. Choć miałem nadzieję, że cię tu znajdę. Zdaje się, że po prostu szliśmy w tym samym kierunku.

- Tak... Oboje byliśmy ranni, oboje znaleźliśmy drogę... I nie wiem, po co to wszystko. Ty wiesz?

- Aby odnaleźć system nawigacyjny - powiedział Radiokowboj. - I znaleźliśmy. A teraz musimy go zabrać do domu. Właśnie w tej chwili budzimy Zieloną Zmianę.

- Niebieską. Na mnie nie licz, Kowboju - oznajmiła, zsuwając się ze stołu. Nieomal upadła, gdy dotknęła stopami podłogi, w ostatniej chwili oparła się o towarzysza.

- Jesteś potrzebna w Mieście Półksiężycy - stwierdził, obejmując ją w talii. - I mów do mnie Jason. Albo Peabody. Nie Kowboj. Żaden ze mnie kowboj. Jestem zwykłym Inżynierem, z zadaniem do wykonania. Ty również masz zadanie, Danyo.

- Współdziałanie mnie nie potrzebuje - odpowiedziała. *Ale oni mnie potrzebują.*

Czymkolwiek i kimkolwiek są. Dziwne plemię z Teraźniejszości.

Wysłali zew, silny i czysty, który przeniknął Danyę aż do ostatniej komórki ciała i wstrząsnął do głębi serca. Nieważne, czym się teraz zajmuje, czuła wezwanie. Była zanurzona w czasie, falowała w czasie, choć jeszcze nie widziała nic więcej niż kilka rozwidleń na ścieżce teraźniejszości biegnącej w przyszłość.

Jeszcze nie.

- Miasto cię potrzebuje - stwierdził Radiokowboj. Nie umiała myśleć o nim inaczej. Nie podobał się jej ten spokojny, wyważony ton głosu, jakby mówca był najbardziej ponurym i obowiązkowym facetem pod słońcem. I jeszcze to przekonanie, że Danya na pewno się zgodzi na jego plany. Jego oczy były poważne, bez śladu choćby iskry wesołości, jaką widziała u Kowboja. Nawet jego gesty i postawa przesycone były odpowiedzialnością i celowością. - Potrzebuje cię. Musimy przywrócić miastu system nawigacyjny, dać mu mapę, model nieba. Te dzieci noszą w sobie zapewne najdoskonalszą na świecie formę tej mapy, najpełniejsze dane. Zmieniały się wraz z aktualizacjami, z nowymi obliczeniami, z każdym nowym połączeniem pomiędzy impulsami. A teraz musimy sprawdzić... całą resztę. Od tego zależy, co się dalej stanie.

- Resztę czego? - spytała wojowniczym tonem. Miała straszną ochotę zapalić. - Jest tu coś do jedzenia? Zgłodniałam.

- Nie wiem, czy pamiętasz - jego głos był łagodny, zbyt łagodny - co się stało, kiedy odpływaliśmy. I nie mam pojęcia, co się stanie, kiedy wrócimy. Przyjmijmy pozytywny scenariusz. Wszystko się względnie uspokoiło. Zanim odpłynęliśmy, odebrałem od Współdziałania odczucie, że miastu śpieszy się, by opuścić ocean i Ziemię. Nieważne, czy będzie miało komplet danych nawigacyjnych, czy nie. Ufam, że jest dobrze przygotowane do odlotu. I do tego, czym się stanie. Ale chcę mieć pewność, że wszystkie systemy będą działały nie tylko dla miasta, ale i dla ludzi, którzy z nim polecą. Są przecież dwa równoległe systemy: miasto i Współdziałanie. Będzie nam potrzebna każda pomoc.

- Oczywiście - mruknęła, ale równocześnie pomyślała: *Nie mogę płynąć do miasta*. A potem pozwoliła, aby pomógł jej położyć się na stole, i usłyszała tylko:

- Odpocznij.

Była głęboka noc wypełniona nieopisanym wibrowaniem czasu, gdy mężczyźni pomogli Danyi wejść do autobusu. Wszyscy wsiedli - dzieci, Radiokowboj Peabody i wysoki mężczyzna, a potem ruszyli i przejechali przez bramę, choć krzyczała: Stać! Stać!, ale Kowboj jedynie objął ją mocno; krzyczała nie tylko dlatego, że zostawiała tę niepoznaną świetlistą istotę, lecz także najlepszą przyjaciółkę, Trzy Niemożliwości, która ją tutaj przyprowadziła i której Danya jeszcze się nie zrewanżowała za szczodrość, za dobroć, za osobistą wieczność niesioną między silnymi szczękami, za wszystko, co mogła przynieść Ludziom z Teraźniejszości; ale autobus mknął przez równinę, minął wzgórza usiane aż po horyzont barwami rozkwitłych kwiatów - żółć, czerwień i najgłębsza zieleń, wszystko to czekało na Danyę, czekało na nią, czekało, a wiatr szumiał w autobusie, dzieci skakały i śpiewały, przepychały się i wychylały przez okna, aż wreszcie pasy bezpieczeństwa mocniej przypięły je do foteli i zbeształy za nieostrożność. O świcie Radiokowboj wynajął łódź i skierował się do Zatoki. Danya słyszała, jak wysoki mężczyzna i Kowboj rozmawiają - jak mogli tak spokojnie rozmawiać, gdy przeszłość i przyszłość rozwidlały się na płaskim, piaszczystym brzegu, który właśnie opuszczali, by dopłynąć do sztucznej wyspy - wyspy, która teraz wydawała się Danyi zupełnie obca - a kiedy fale uderzyły w burty i łódź pomknęła w przeraźliwym pośpiechu, nie dając żadnego wyboru, żadnej swobody, nie, nie!; usłyszała swój krzyk i Radiokowboja mówiącego jej z troską, że poczuje się lepiej, gdy znajdzie się w domu.

13 SIERPANIA 2115, W PÓŁ DO SZÓSTEJ RANO

Danya

Dzieci zabrały Danyę na szczyt dziesięciopiętrowego budynku, żeby zobaczyła wschód słońca. Choć była wyczerpana, wzięła udział w dziecięcym tańcu, idąc za grupą korytarzem, w którym na ekranach migają napisy: ZAŁOGA MISJI MARSJAŃSKIEJ lub ZAPIS LĄDOWANIA. Na zewnątrz rozciągał się czysty błękit nieba aż po horyzont, gdzie rozlewał się złoty blask. Przez chwilę Danya poczuła się tak, jakby odrywała się od Ziemi i leciała na Marsa albo jeszcze dalej, na krańce czasu i przestrzeni...

Dzieci tańczyły i śmiały się; cicha grecka melodia płynęła z bąbla ustawionego przy kolumnie tuż obok. Robiło się coraz jaśniej. Danya uświadomiła sobie, że obok siedzi kojocica - poczuła wyraźnie woń zwierzęcia.

- Czujesz się lepiej? - zapytała. - Cieszę się... Kojocica ostrożnie ułożyła się na brzuchu, wywiesiła język i zaczęła dyszeć.

- Tak oto doświadczamy radości nauki i oto jesteśmy osaczani przez Teraźniejszości.

- No, dobra. Powiedz mi. Czym są Teraźniejszości? Każdy już wie, co mi się przydarzyło. Najpierw było światło - ta świetlista istota w sklepie, potem bizony, a teraz ty. Czuję się, jakbym została... pominięta albo podobnie. Trochę mi się to nie podoba.

Trzy Niemożliwości otworzyła pysk i chwyciła rękę Danyi, a potem delikatnie puściła. Nie chciała sprawić jej bólu. Przez chwilę spoglądała uważnie, a potem rozchyliła szczęki.

- Jesteś tutaj. Tutaj. Dokładnie na początku wektora, którego ludzkość obecnie nie może wykryć, bo nie ma wystarczającej mentalnej siły. Ale jesteś dokładnie tutaj, moja droga.

- Głos Trzech Niemożliwości świstał kontrapunktowo do greckiej melodii.

- Rozumiem - powiedziała Danya. - To znaczy, że ty masz mentalną siłę, by określić ten wektor...

- Nie... - Głos kojocicy wypełnił smutek. - Niezupełnie. Ale jestem częścią tego, co może pomóc w nabyciu tej umiejętności. Posłuchaj muzyki. To muzyka, którą możesz zobaczyć. Nie widzisz tego? - Ton głosu Trzech Niemożliwości zmienił się ze smutnego w perswazyjny. - Powinnaś móc to zobaczyć. - Czy to było westchnienie? - Mam tak wiele informacji. Informacji, których nie można przetłumaczyć na angielski. Matematyka jest odpowiednia, ale to nie jest mój naturalny język. Zapach jest dla mnie naturalny. - Uniosła pysk i zasapała Danyi do ucha. Połaskotało. - Taniec zapachów.

Kojocica dźwignęła się i ruszyła w środek gromadki dzieci, skamląc i biegając pomiędzy nimi, zakręcając i podskakując. Danya spoglądała na tę wirującą scenę.

Improwizacja przenika wszystko - pomyślała nagle. Improwizacja, która nie rozumie znaczenia tego, co było i co będzie, jest krawędzią czasu. Miała wrażenie, jakby oglądała obraz bawiących się dzieci nieskończoną ilość razy. Czerwone i zielone koszulki mieszały się, czarne włosy Elizabeth odrzucone na plecy, ciemna skóra Kevina lśniąca w promieniach coraz jaśniejszego słońca....

Dzieci biegały i tańczyły w objawieniu chwili obecnej. Teraźniejszość, którą Danya czuła zawsze.... choć zaczęło się to dopiero kilka dni temu...

Trzy Niemożliwości zlizwała jej łzy z twarzy, a dzieci skupiły się wokół kobiety zmartwione.

- Co ci jest?

- Wszystko dobrze - zdobyła się na wyduszenie słów ze ściśniętej krtani. - Nic mi nie jest, wszystko dobrze. - Objęła Eliasza i przytuliła na moment. Chłopiec wykręcił się z uścisku i pobiegł do reszty dzieci, w światło. Wszystkie te maluchy były objawieniem genetycznym, strażnikami tajemnicy potrzebnej, by ludzkość mogła stać się czymś więcej niż jest. W niebo popłynął śpiew ze stacji Radio-T. Melodia dochodziła z kieszeni Danyi, z małego radia, a Trzy Niemożliwości raz jeszcze ujęła dłoń kobiety. Danya zrozumiała, że jest bardzo, ale to bardzo zmęczona. Nie pomogła świadomość, że otacza ją tęcza białego światła i opowieści, które z niej płyną, w swoim życiu była tak wieloma osobami... zbyt wieloma... Zrobiło się tak głośno i tak wietrznie...

Radiokowboj pojawił się nagle. Wsiadł z ornitoptera, który wylądował na dachu, doskoczył do Danyi i powiedział coś zmartwionym tonem, a potem masował jej dłonie, przemywał twarz wodą i niósł ją po schodach, podczas gdy dzieci skandowały:

- Woźny powrócił. Błogosławione niechaj będzie jego imię. On jest naszym bratem i zabierze nas do gwiazd.

*

Danya bała się otworzyć oczy. Słyszała wokół szmery i rozmowy. Ktoś mówił o wodzie i jedzeniu i o Zielonym Zespole, z którego wszyscy nie żyją. A może to był Czerwony Zespół.

Nagle szorstki język przejechał jej po policzku i zerwała się, pocierając twarz dłońmi i chichocząc.

- Jesteśmy prawie gotowi do podróży - powiedział Radiokowboj z kąta pokoju.

- To znaczy? - Danya była jeszcze kompletnie oszołomiona. - Gdzie jedziemy?

- Znaleźliśmy autobus. To niezły autobus, z klimatyzacją. Choć może być uszkodzona.

Pojedziemy do Galveston. Kocia Burza mówi, że zabierze nas stamtąd na łódź. I w ciągu

dziesięciu-dwunastu godzin będziemy w Mieście Półksiężycy.

- Kocia Burza?

- Miło mi poznać, panienko. - Wysoki mężczyzna z nieprawdopodobnie długimi kończynami podszedł do Danyi i zamknął jej dłoń w uścisku. - Wiele o tobie słyszałem od doktora Peabody'ego i Niebieskiego Zespołu, choć to nieczułe sukinsyny.

- Doktor Peabody?

Radiokowboj przysunął sobie krzesło i usiadł obok.

- Czujesz się lepiej? - Jego głos był przepełniony smutkiem, jak wcześniej głos Trzech Niemożliwości.

Danya usiadła i spuściła nogi z metalowego stołu zabiegowego, a potem wstała. Kowboj natychmiast ją podtrzymał. Po chwili objął ją mocniej i przytulił. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Miałaś ciężką podróż....

- To była tylko przejażdżka rowerowa - zapewniła.

- Myślę, że masz gorączkę z wyczerpania.

- Mamy tu rakiety, dużo rakiet - zabrzmiał w tym momencie głos Jawana, tłumaczącego coś Kociej Burzy. - Musimy mieć. Żeby ćwiczyć. Tak, jedną udało się wystrzelić. Musieliśmy. Chcieli, żebyśmy to zrobili. Chcieli polecieć. My też chcemy polecieć.

- Dalej i dalej!

- Polecieć do światła!

Jednak Danya czuła się bliska omdlenia. Przerazało ją to, co się działo. Jakby nieskończone rzeczywistości przenikały i mieszały się w czasie.

- Powinniśmy zwolnić tempo... - powiedziała stanowczo.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobić - odpowiedział, zaskakując ją całkowicie. - Nie tutaj. Zdaje się, że masz jakiś problem... Myślę, że potrzebujesz... przywrócenia. Och, nie wiem - powiedział głośniejszym głosem. - Po prostu nie wiem.

Danya odprężyła się w jego uścisku. To nic, że nie wie. Jest tak dobrze...

Mężczyzna znowu zaczął mówić:

- Myślę, że jesteśmy dopiero na początku. Długo trwało, zanim doszliśmy do tego etapu. Choć to tylko początek. Wszystko jest takie rozproszone. Niesamowity bałagan. Czuję się gorzej niż wtedy, gdy byłem chłopcem. Gorzej niż wtedy, gdy w samym środku plagi płynąłem przez Mississippi wśród ciemności i szaleństwa. Po prostu nie wiem, co robić i gdzie jest coś do zrobienia. Nie wiem nawet, co jest do zrobienia. Na dodatek nie udało mi się

spotkać radioastronoma. Minęliśmy się o włos. Tak blisko i tak daleko zarazem, jak mawiała moja matka, z naszej strony wszystko wygląda jak jeden wielki chaos. Ale może z drugiej strony... jeśli jest jakaś druga strona. Całe moje życie dowodzi jednak, że musi być druga strona. Inna strona, bardziej realna niż ta. Tęsknię za światłem, Danyo. Jak ty. - Jego ciepłe usta dotknęły jej warg, pocałował ją. To też było przyjemne, choć trochę jak sen. - Żaden ze mnie doktor. Nie umiem nawet zrobić zastrzyku, nie wiem, jak leczyć. Wszystko nie tak, prawda? I ta stacja kosmiczna nawiedzona przez światło... A te dzieci nic się nie zmieniły, Danyo, nic a nic! Wyglądają tak samo jak siedemdziesiąt lat temu, kiedy tu pracowałem. Pamiętam ich imiona. Pamiętam ich twarze. Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś bardziej przerażającego... A one są takie szczęśliwe... Widziałem inne dzieci... Tak wiele dzieci... To straszne. To takie straszne.

Danya odgarnęła włosy i spojrzała mu w oczy. Były smutne, desperacko smutne.

- Lepiej będzie, jeżeli wyruszymy - wtrącił się Kocia Burza. - Wszystkie dzieci są już obudzone. I trochę oszołomione. To chyba dobrze - uśmiechnął się ironicznie.

Radiokowboj próbował ją podnieść, ale zachwiał się niepewnie i zrezygnował.

- Przepraszam... Bardzo przepraszam - powtarzał nawet wtedy, gdy zapewniła go, że wszystko w porządku; gdyby nawet było tysiąc razy gorzej, i tak by było dobrze, nie potrafiła jednak tego powiedzieć, mogła tylko śmiać się i płakać jednocześnie, bo tak się cieszyła, że znowu go widzi, choć nie spodziewała się, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczy, i cieszyła się, że i Radiokowboj należy do Teraźniejszości. Może jemu uda się dostroić Danyę, może zrobi to Miasto Półksiężycy, może pojawi się tam nowa częstotliwość; gdyby jeszcze tylko mogli ją wyczuć, doświadczyć jej zmysłami. Najprawdopodobniej jednak nowa częstotliwość nadal była dla nich niedostępna, poza zasięgiem wzroku, słuchu, węchu i dotyku, poza zasięgiem ścieżek umysłu, poza szlakiem prowadzącym do Umysłu pragnącego połączyć się ze wszystkim, co żyje na Ziemi.

Nadeszła noc, gdy w końcu wsiedli do autobusu i odjechali. A Danya przypomiwała sobie zbyt wiele. Kiedy wchodziła po schodkach do samochodu, zdawało jej się, że to stopnie przy drzwiach domu, w którym dorastała. Pachniały starym drewnem. Bawiły się na nich dzieci jeszcze przed wojną secesyjną. A później ukrywali się pod nimi Jankesi. Widziała ich wtedy i teraz. Czy taka drobna sprawa może zaważyć na całym życiu? Dlaczego nie? Och, dlaczego nie?

- Dlaczego nie? - krzyknęła chrapliwie i krzyczała tak długo, aż ochrypła. - Nikt mi nie może już pomóc. Nikt.

Do jej umysłu napłynęły obrazy. Jej dziadek - niewolnik, prababka - z plemienia

Irokezów, jej praprababka, emigrantka z Irlandii, nieugięta i twarda. Wizja rozwijała się, coraz szersza i niezmierna, niekończąca się, ale zawsze wypełniona wewnętrznymi powiązaniem między wszystkimi elementami. Radiokowboj głaskał jej policzki i mówił, że przeprasza, przeprasza za wszystko; ale to nie była jego wina, niczyja wina i w ogóle to nie była wina, to było dobre, jasne, pozytywne, wielkie i intensywne, tak intensywne, że jak mogłaby się oprzeć? Jak mogłaby ponownie skurczyć się do jednej tylko osoby? Bezkresna śmierć, bezkresne życie, bezkresne gwiazdy, bezkresne wszechświaty, wszystko to zalewało Danyę rytmicznie, niczym taniec, który znały tylko nieliczne gwiazdy. Pójdź tą ścieżką, pójdź właśnie tą ścieżką...

- Dokąd ona poszła? - krzyknęła nagle zaalarmowana. Wchodzili po stopniach do autobusu. Czy już tego nie robiła? - Gdzie jest Trzy Niemożliwości?!

Zacząła się szamotać i dzieci musiały ją popchnąć, by weszła do samochodu, przeszła na tył i usiadła. Śmierdziało tu okropnie, jak we wszystkich starych autobusach, to nie był dobry autobus, w ogóle nie istniały dobre autobusy. Wyjrzała przez tylne okno. Było ciemno, a Trzy Niemożliwości odeszła. I Danya zaczęła płakać. Płakała i płakała, gdy bramy Centrum Kosmicznego otwarły się i autobus przejechał przez błoto, a potem był upał i równiny usiane rzadko niskimi drzewami wokół Houston, gdzie paliły się światła. Jechali do Galveston, na wybrzeże. Dla Trzech Niemożliwości jechali na pewno za szybko, nie mogłaby biec za nimi.

Danya krzyknęła tylko:

- Oszukano mnie!

A potem zaczęła się śmiać, z przerażeniem. Głośno.

13 SIERPNIĄ 2115

Danya

Obie Teraźniejszości połączyły się na drodze do Galveston. Nie różnią się za bardzo - pomyślała Danya. Ten rozłam. Jestem tutaj i tutaj jest tylko jedna Teraźniejszość, i tyle.

Droga była prosta. Na poboczu leżał jasny, czysty piasek i rosła nadmorska trawa. Zaprowadziła ich prosto do dobrze znanego zapachu i widoku wielkiego błękitu, który śpiewał odwieczną głęboką pieśń wciąż na tej samej nucie.

15 SIERPNIĄ 2115

Z powrotem

To była długa podróż przez jasne, błękitne morze. I kłopotliwa - wszak Peabody prowadził łódź z gromadą dzieci na pokładzie i niemal szaloną kobietą. Jednak tym, co go zmartwiło, były statki, które odpływały z Miasta Półksiężycy.

Pierwszego dnia podróżnicy ujrzeli tylko jedną łódź, ale następnego już cztery. Zbyt wiele, by sądzić, że to przypadek.

Na dodatek wynajęty kuter okazał się znacznie wolniejszy, niż się spodziewali.

Jason Peabody martwił się również o spotkanie Miasta Półksiężycy z tymi dzikimi dziećmi. Dorastały w zupełnie innym tempie i warunkach niż zwykle dzieci i na swój sposób były przerażające. Samodzielnie zabiły swoje odpowiedniki, dzieci z drugiej zmiany. Przez jakiś czas były uczone przez dorosłych, wpojono im podstawową dyscyplinę i zasady zachowań. Przy tym były oszałamiająco inteligentne; o wiele bardziej niż przeciętni dorośli, lecz ich rozwój emocjonalny zatrzymał się na poziomie sześciolatków.

Jednak dzieci były kluczem do nawigacji. Peabody'emu nie udało się spotkać z radioastronomem, osobą, która dawno temu dokonała analizy rytmu impulsów i stanęła na progu odkrycia równania opisującego naturę czasu i przestrzeni, równania, jakie zastąpiłoby $E=mc^2$, równania, które połączyłoby prawdę o makro - i mikrokosmosie oraz o wszystkim, co znajduje się pomiędzy. Radioastronom opuścił Miasto Półksiężycy wiele lat temu, aby kontynuować pracę w bardziej sprzyjającym, jak uważał, środowisku - w Kopule Los Angeles.

Zapewne jednak jego informacje nie były potrzebne.

Na myśl o tym Peabody'ego wypełniała głęboka radość. Zapewne nie potrzebowali Teorii Wszystkiego, by wystartować w kosmos i udać się do miejsca, skąd wysłano Sygnał. Wszystko, co było potrzebne, to dzieci z Houston.

Pozostawało jednak niezaprzeczalnym faktem, że ktokolwiek stworzył Sygnał, ktokolwiek wysłał ów zmieniający DNA wirus, na pewno doskonale rozumiał prawa czasu i przestrzeni. I próbował tę wiedzę rozprzestrzenić na Ziemi. Albo gdziekolwiek indziej. Najprawdopodobniej - musiał przyznać Peabody - Zeba tak naprawdę nie interesowało, czy miasto i jego mieszkańcy polecą w kosmos, czy nie. Chciał tylko wiedzieć, dla samej wiedzy.

Jason Peabody spoglądał w wysokie, błękitne fale, powoli uderzające w burty łodzi. Jego życie było tak zaskakujące. Przez pierwsze siedemdziesiąt lat nastąpiło tak wiele zmian, a później zmiany te przyniosły przełomy, których nie dokonaliby Einstein, Kopernik i Galileusz razem wzięci.

Peabody odkrył u siebie tendencję do odrzucania zmian. Tendencję do odrzucenia ulotnych obietnic doświadczenia, co tu kryć, transcendencji. Odczuwał ją nawet teraz, gdy osobowość Radiokowboja pozostawała uśpiona - cokolwiek zaaplikował mu Kocia Burza, działało znakomicie - choć Peabody rozumiał, że może być to jedyny sposób, w jaki miasto mogło mu pomóc w poszukiwaniach, na które go wysłało. Żeby odszukać to, co właśnie przynosił miastu. Inna sprawa, że prowadził życie pustelnika w wieży i nigdy by dobrowolnie nie wyjechał. Zapewne ukryłby się gdzieś przed piratami i nadal wraz z innymi zajmowałby się swoimi badaniami. Nigdy nie przeżyłby tej zdumiewającej, wspaniałej, poruszającej do głębi przygody. Nadal byłby przekonany, że to, co dzieje się w wielkim świecie, wcale go nie obchodzi.

Zresztą nadal tak uważał. Tęsknił do bezpiecznego i spokojnego zajęcia, jakim było monitorowanie działania radia, do kota, który dotrzymywał mu towarzystwa, do widoku odpływów i przyływów na wybrzeżach miasta, które stało się jego domem. To prawda, uświadomił sobie Jason, że w dużym stopniu minął mu zapał i stał się nudny, przemądrzały,

zrezygnowany i cyniczny. Radiokowboj obudził w nim młodość. I Peabody tęsknił za Radiokowbojem. Ale nie chciał, aby powrócił.

Nadzwyczajnie również cieszył się, że ten kuter jest wystarczająco duży, by nie zmuszać go do przebywania cały czas w towarzystwie tych rozbrykanych dzieciaków. Siedział dwadzieścia stóp wyżej na wieżyczce, podczas gdy dzieci biegały i krzyczały bawiąc się na pokładzie i nie zwracając uwagi na zapach ryb, którym przesiąknięta była łódź. Peabody czuł tę woń, od czasu do czasu niesioną podmuchami wiatru.

Na pokład wyszła Danya, trzymając się jedną ręką poręczy przy schodach, a drugą osłaniając oczy. Wyglądała znakomicie. Co za kobieta! Wiele przeszła. Została niemiłosiernie wykorzystana przez miasto, tak jak i Jason. Chyba nadal odczuwała skutki przygód, jakie przeżyła. To było coś potężnego i dezorientującego zarazem. Wcześniej bez opamiętania powtarzała: Teraźniejszości, Teraźniejszości, Teraźniejszości. Te-raż-niej-szo-ści. Jakby to było pojęcie równie oczywiste jak księżyc lub gwiazdy. Mówiła też o ludziach z Wind Rock, o pieśniach i o świetle - nie, o ludziach zbudowanych ze światła, nie, nie całkiem - o ISTOTACH zbudowanych ze światła...

Te opowieści niepokojąco przypominały zjawisko, jakie Jason widział przed atakiem piratów. Zjawisko, które wolałby zignorować, ale niestety zostało ono zarejestrowane, zapisane w pokoju, gdzie trzymał radiodbiorniki. I głośniki starych urządzeń, które konserwował i dbał, by nie uległy korozji, wybuchły wspaniałym, potężnym dźwiękiem, gdy pojawił się fenomen. Owal światła. Fenomen powstały przez jakieś uporządkowanie częstotliwości światła. Jednej lub wielu.

Coś nowego pod słońcem.

Coś nowego w czasie i przestrzeni. Albo nawet w tym czasie i tej przestrzeni. Coś, co sprawiło, że napapłał Danyi o świetle, i co natrętnie dręczyło jego umysł, choć nie bardzo pamiętał, o czym wtedy mówił. Czy to Kowboj się odezwał zamiast Peabody'ego? A może w duszy Jasona obudziło się coś nowego?

Bóg raczy wiedzieć. Peabody był bardzo zmęczony tymi ciągłymi przebudzeniami. Ale nie mógł powtórnie zasnąć.

Co będzie tym razem? - zastanawiał się, gdy na horyzoncie pojawiła się kolejna łódź, jeszcze jeden dowód na niewątpliwy exodus z Miasta Półksiężycy. Czy tym razem była to obietnica transcendencji? I czy miał wybrać transcendencję? Wybrać całkowitą przemianę, coś nienazwanego, nieopisywalnego, co można jedynie określić jako zmianę w Innych?

Po kręgosłupie przebiegł mu prąd podniecenia. Może to jest odpowiedź na wszystkie pytania i wątpliwości. Może to uleczy rany Jasona, jakie nosił w sercu, w pamięci. Ale czym

naprawdę będzie ta przemiana i do czego doprowadzi? Wszystko, co mógł sobie wyobrazić, było jedynie mglistym przypuszczeniem, nie prawdziwym doświadczeniem. Tylko po przemianie będzie znał odpowiedź.

Był jednak pewien, że tym razem odpowiedź naprawdę istnieje. Tutaj.

Tak. Może. Mógłby. Prawdopodobnie. Przejść przemianę.

Nie byłoby odwrotu. Ale Peabody uważał, że nigdzie już nie ma odwrotu.

Zdumiewające, jakie myśli przychodzą mu do głowy na widok Danyi.

Danya. Oczywiście, ona również może przejść przemianę.

Spojrzał na nią znowu. Szła właśnie do niego, wspinając się po drabince, uchylając się przed poluzowanym panelem słonecznym, który kołysał się nad pokładem. Chciał ją zawrócić, odprowadzić na dół, przecież powinna odpoczywać...

Ale stała tu, przed nim, cielesna i realna, iskrząca zdenerwowaniem, zakłopotaniem, siłą i poczuciem humoru.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Dzień dobry.

- Witaj - odpowiedział.

- A zatem nareszcie jesteś prawdziwym sobą.

Uśmiechnął się.

- Myślę, że to samo można powiedzieć o tobie.

Stali obok siebie, spoglądając na ocean. Był nieco wzburzony, na falach spiętrzały się smugi białej piany i rozbijały na dziobie kutra. Danya wskazała miasto.

- Widzę trzy łodzie. Płyną w przeciwnym kierunku niż my?

Jason skinął głową.

- Myślę, że trwa ewakuacja.

- Ach, rzeczywiście. Niektórzy ludzie są beznadziejni. Tak mi się zdaje. Chcą być na stałym lądzie. Kosmos nie jest miejscem, gdzie chcą się znaleźć.

- A ty?

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

- To jakaś propozycja?

- Tylko pytanie.

- Cóż, mogę odpowiedzieć. Nie, nie chcę się znaleźć w kosmosie.

- Ale?

- Jest więcej niż prawdopodobne, że wcześniej chciałam tam polecieć. Ale jeżeli dobrze rozumiem, a nie jestem całkiem pewna, po najeździe piratów musieliśmy odzyskać

dane, które utraciło miasto. Informacje, które zawiodą nas... gdzieś tam. Gdzieś dalej.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Wiatr szarpał jej włosami i rozwiewał kosmyki wokół twarzy. Niecierpliwym potrząśnięciem głowy odrzuciła je na plecy. Oczy miała poważne. Tak poważne, że serce mu zamarło, w tej krótkiej chwili, gdy słyhać było melodię morza i wiatru, przecinaną krzykiem mew przelatujących w pobliżu.

- Chcę zostać tutaj - oznajmiła, a brzmienie jej głosu świadczyło, że wie doskonale, co to oznacza dla nich, dla niej i dla Jasona.

Ogarnął go głęboki smutek. Objął Danyę i przytulił. Przyłgnęła do niego mocno, w dole dzieci śmiały się i skakały, a ich głosy mieszały się z krzykiem mew, ale to wszystko było odległe i nieważne, gdy tak stali objęci, zbliżając się do miasta. Oboje jednak nie widzieli nic oprócz siebie, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

*

Kuter przycumował do przystani otoczony chmarą mew. Dzieci czekały w napięciu, zbite w gromadkę, aż Kocia Burza wyjdzie ze sterówki, a potem wszyscy ruszyli do miasta.

- Dzięki Bogu jesteśmy na miejscu - powiedziała Danya, gdy zeszła z trapu. - Zaczynałam się czuć jak kula we fliperze wielkości statku. Co teraz zrobisz? - zapytała idącego za nią Jasona.

- Wrócę do domu - odpowiedział. - Wezmę prysznic.

- Przekąsisz coś? - uśmiechnęła się, zgadując.

- Owszem. I pewnie wrócę do pracy. A ty?

- Och, mam sporo do zrobienia - oznajmiła z dumą.

- Na przykład?

- Jak ci zapewne wiadomo, niezłe znam się na teorii superstrun - wyjaśniła. - Wiele się nauczyłam podczas tej wyprawy i muszę to przemyśleć. Muszę też przekazać wszystko Współdziałaniu, żeby można było wyciągnąć jakieś wnioski. Na razie jeszcze nie mam żadnych. - Przypomniała sobie, że wspomniała Peabody'emu o Teraźniejszościach, jednak wyjaśnienie za pomocą słów okazało się znacznie trudniejsze, niż sądziła. Teraźniejszości były trochę jak mewy, pośpiesznie wpadające i wyskakujące z tego planu egzystencji, pozostawiając po sobie tylko powidok, obraz znikający równie szybko jak śnieg w promieniach słońca. I jeszcze był problem z tą przeklętą muzyką, którą Danya słyszała, wszelkimi rodzajami muzyki-niemuzyki. Gdybym nie była tak pewna siebie - przemknęło jej przez głowę, a odbłaski słońca na wodzie splatały się w jej oczach w muzykę i Teraźniejszości tworzące piękny, precyzyjny wzór - mogłabym pomyśleć, że popadłam w kompletny obłąd.

- No, tak - odezwał się Peabody. - Ale na razie wyglądasz, jakbyś miała wpaść do wody. To pewnie od choroby morskiej. Chodź. Pójdziemy do mojego mieszkania, zjesz coś i odpoczniesz.

- A od kogo ta propozycja? - spytała, mrużąc podejrzliwie oczy. Jej włosy targane wiatrem przypominały sploty wściekłych węży.

- Od Jasona Peabody'ego, Dyplomowanego Nanoinżyniera. Nieważne, co miasto może na ten temat powiedzieć. Naprawdę. - Jego głos brzmiał poważnie i stanowczo.

- W porządku. Po prostu nie chcę mieć więcej do czynienia z tym kowbojem.

- Ani ja - zapewnił stanowczo. - Chodźmy.

*

Był zaskoczony, gdy się dowiedział, że jego mieszkanie stało się centrum spotkań. Otworzył drzwi, a tam stała wysoka, niezwykle szczupła i elegancka ciemnoskóra kobieta. Posłała mu szeroki uśmiech i przemówiła pierwsza, niskim, melodyjnym głosem.

- To ty musisz być doktorem Peabodym.

Za kobietą zobaczył pobojowisko. Zbyt wiele rozrzuconych puszek po piwie i książki - jego książki! - a nawet kilka wartościowych radioodbiorników... No, nie, nie były rozrzucone. Porozstawiane po prostu rzędem na stole.

- Hmm, tak, to ja. - Stał niepewnie w drzwiach. - A kim ty jesteś?

- Io Xia. Z Harmonii. - To zabrzmiało wyzywająco.

- Wspaniale. Bardzo mi miło poznać. A to jest Danya... ach...

- Wystarczy Danya - powiedziała, ściskając dłoń Io. - Mówisz, że z Harmonii? Z Księżyca? Coś niesamowitego! Co za podróż musiałas odbyć. Ach, wiesz, że miasto chce polecieć w kosmos, ale w inną stronę? To dopiero będzie wyprawa! Bóg wie dokąd! Och, mamy szczęście, że żyjemy tu i teraz! - Danya przecięła pokój i podeszła do łóżka w niszy. Opadła na pościel i zdawało się, że natychmiast zasnęła.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała Io po krótkiej chwili ciszy. - Cieszę się, że wróciłeś, Inżynierze. Wszyscy się o ciebie martwili. Przede wszystkim Zeb i Ra. Znasz ich?

- Gdzie oni są?

- W Hali Nauki i Wiedzy, jak sądzę.

- W Hali... Świetnie. Przyjdę tam, jak tylko trochę odpocznę. Możesz zostać, jeśli chcesz....

- Och, nie. Spotkamy się później. - Wyszła, zamykając drzwi.

Jason podszedł i spojrzał na Danyę. Dotknął jej policzka. Miała gorączkę albo może był to efekt oparzenia słonecznego. Nie otwierając oczu, kobieta objęła go i pocałowała.

- Posuń się - powiedział Peabody.

*

Inżynier wyczuł głęboką zmianę we Współdziałaniu, gdy tylko usiadł przy panelu radiowym parę godzin później. Wszystko przesycone było oczekiwaniem. Zdawało się bardziej ożywione. Jednak Peabody zamierzał trzymać się na dystans. Radiokowboj, choć uśpiony, nadal pozostawał w jego świadomości i Jason nie chciał pozwolić, by sztuczna osobowość znowu przejęła kontrolę. To groziło zbyt wieloma kłopotami.

Jednak udało mu się przywieść tu dzieci. Kocia Burza przyrzekł, że się nimi zajmie. Odważny człowiek. Był tak podniecony po przejściu inicjacji. A dane nawigacyjne, nienaruszone i dokładne, stale aktualizowane i doskonale zapisane w elastycznych mózgach dzieci, w przeciwieństwie do sztywnych zwojów mózgu Peabody'ego, miały poprowadzić miasto podczas nadchodzącej wyprawy - podróży do źródła Sygnału.

Zdumiewające - pomyślał z podnieceniem, które starał się opanować. Zdumiewające, że po tych wszystkich latach nadszedł wreszcie jakiś przełom, jakaś zmiana i decyzja.

Rendez-vous!

Nie! - pomyślał Peabody, odpychając Kowboja. Co jednak z innymi dziećmi? Nadal tam były. Krążyły po kontynencie.

Zmartwiło go to wspomnienie. Fiolki, które kupił, zostały z tamtymi dziećmi. Może będą umiały jakoś ich użyć, by znaleźć dla siebie ratunek. To była jedyna nadzieja, choć słaba i bardzo odległa.

Cóż... Wrócił do radioodbiorników i sprawdził, co się zdarzyło w mieście. Zajrzał do danych, jakie zapisał, zanim odpłynął na kontynent. Zdaje się, że ktoś przy nich grzebał, chociaż...

Ten drugi przekaz nadchodził najwyraźniej równocześnie z okresami, gdy radio działało. Jason nakazał komputerowi, by odtworzył dane w dwóch różnych formach. A potem spytał, skąd pochodzą nowe informacje.

To była najwyraźniej muzyka. Muzyka, którą grano na żywo, tutaj, w Mieście Półksiężycy.

Gdzie?

W Hali.

Co grało? A może kto?

Dwunastoletnia dziewczynka.

Jason ściszył przekaz, by nie zbudzić Danyi.

Melodia płynęła i płynęła, nie powtarzając się ani razu. Przypominała - co zauważył

natychmiast - te nowe równania, które radioastronom przekazał Współdziałaniu oraz zostawił w mieszkaniu Peabody'ego na szczycie sterty notatek. Były przerażające. Właśnie dlatego Peabody starał się utrzymać zdrowy dystans do Współdziałania i dlatego tak długo trwało, nim zdecydował się połączyć z systemem. Bał się, że zostanie zjedzony żywcem.

Ale w końcu się połączyłem - upomniał się w duchu. Pomimo obaw.

Nadal czuł wyczerpanie po przejściach z Radiokowbojem. Podróż odcisnęła się w jego pamięci, w zasadzie w jasnych barwach, pomimo bólu, niepewności i dziwności, jaka jej towarzyszyła. Pozostało jednak coś jeszcze. Wszyscy ci ludzie, ludzie nowej epoki. Ludzie pozostawieni samym sobie, by radzili sobie najlepiej jak potrafią po tym, jak nadeszła Cisza.

Lecz jak Peabody mógłby im pomóc? Nawet gdyby zdecydował się pozostać na Ziemi. Na tej Ziemi, Ziemi bezmiernych równin, wysokich gór i nieskończonych dróg. Nie umiał pomóc. Był robotnikiem, budowniczym. Inżynierem. Inżynierem, który przez całe życie nie potrafił pomóc nawet jednej zbłąkanej duszy. Inżynierem, który zawsze wybierał tę złą drogę - i szczerze mówiąc, zawsze brnął w najgorszym z możliwych kierunków.

Potrafił naprawiać różne urządzenia, wiedział, jak to robić. Wiedział już teraz, jak się trzymać na dystans od Współdziałania, w przeciwieństwie do większości głupców, którzy dali się wessać i Współdziałanie wypluło jedynie ich szczątki. Sam tego doświadczył. Wiedział, jak działa miasto, pomagał w projektowaniu wielu systemów do prowadzenia wypraw w kosmos. I wiedział, czasami intuicyjnie, jak je naprawić, jeśli się psuły. Oczywiście, inni też to wiedzą - powiedział sobie. No i samo miasto również wie najlepiej, jak działa.

Szczerze mówiąc, po prostu chciał polecieć. I polecieć. Wyczuwał, że miasto pręży się jak bestia szykująca się do skoku. A teraz wiadomo już było, dokąd lecieć. Jednak wcale nie dlatego ludzie chcieli polecieć z miastem. Po prostu byli tak uporczywie nakłaniani do lotu, że ich wola i życzenia rozpadły się w pył, pozostawiając jedynie przekonanie, że nic innego nie mogą zrobić.

Ale dlatego również, że to jest kolejny krok. Przełom.

I dlatego, jak osobiście uważał Peabody, że ogromny organizm, jakim była Ziemia, przebudził się i rozwinął, przeszedł na wyższy poziom świadomości. Samotne drzewo w górach zrodziło nasiona i rzuciło je na wiatr.

Jason zajął do Danyi, zanim wyszedł. Tylko odsunął zasłonę i popatrzył na jej ukochaną twarz i jej piękne, nagie ciało. Kowbojskie rzeczy, jakie ze sobą przywiozła, ubranie, torba i kapelusz, leżały na stoliku obok łóżka. Kapelusz, który chronił głowę skrywającą tak wiele wartościowych informacji. Najlepsze, co przydarzyło się Jasonowi podczas wyprawy na kontynent, to Danya. Była bez wątpienia oszałamiająca.

I prawie się zatraciła, niemal dotarła do granicy, skąd nie mogłaby już wrócić. Oderwana od rzeczywistości, pogrążona we własnych wizjach, jeszcze nie do końca doszła do siebie. Potrzebowała odpoczynku i opieki. Nie była wolna od Współdziałania, jak Jason, potrzebna jej była pomoc i wsparcie. A Peabody pierwszy raz w życiu był gotów do pomocy. To także go zaskoczyło.

Przykrył Danyę cienkim pledem. Wymamrotała coś niewyraźnie.

- Proszę?

- Mógłbyś wyłączyć tę przekłętą muzykę? - powtórzyła, nie otwierając oczu. Posłusznie wyłączył. A potem wyszedł na schody, cicho zamykając za sobą drzwi.

*

- Jej muzyka... - mówił właśnie Zeb, odwrócony plecami do drzwi. Peabody rozpoznał jego długie, siwe włosy. Chwycił przyjaciela za ramiona, uścisnął i obrócił w radosnym zawirowaniu. Obejmowali się i poklepywali, kołysząc się nierówno, aż wreszcie odsunęli się od siebie. Jason nigdy wcześniej nie czuł takiej radości ze spotkania kogokolwiek. No, z wyjątkiem chwili, gdy odnalazł Danyę w Houston.

- I Ra! - Jeszcze więcej uścisków i poklepywania, aż wreszcie wszyscy opadli na sofy i fotele, i mówili przez cały czas, podczas gdy kobieta z Księżyca słuchała i przyglądała się im uważnie, a dziewczynka z Księżyca grała i grała...

W pewnej chwili muzyka zaczęła działać Jasonowi na nerwy. Już chciał poprosić, żeby przerwać koncert, lecz okazało się, że pozostali uważają tę muzykę za bardzo ważną i byli zaskoczeni jego reakcją. Jestem zmęczony - pomyślał Peabody. Jestem kompletnie wykończony. Wszystko, na co patrzył, zaczynało się rozmywać. Powinien się wyspać. Ale reszta chciała się wygadać, musiała mówić, dużo mówić. Stało się tutaj coś doniosłego, coś, co wiązało się z kobietami z Księżyca i planowanym startem w kosmos, i z pokonaniem piratów, i z tym świetlnym zjawiskiem, które tańczyło w rogu pokoju przez odpłynięciem Jasona. To wszystko go ominęło; w tym czasie był na kontynencie. A teraz Peabody chciałby się na powrót dopasować, lecz nie potrafił; nie udało mu się nawet zapamiętać większości tego, co powiedziano.

Do pomieszczenia wpadł nagle młody, rudowłosy mężczyzna z oparzeniami od słońca na twarzy i rękach, kościsty i wyglądający komicznie w śnieżnobiałych szortach. Wymachiwał plikiem kartek pokrytych schematami i liczbami, mówiąc przy tym szybko:

- Powiedziała, że ty będziesz wiedział, jak to zbudować i że powinieneś zacząć od razu. Powiedziała też, że to opowieść, ale opowieść dla inżyniera, a ty potrzebujesz opowieści dla inżyniera, żeby zrozumieć resztę historii. Żeby zrozumieć czas, no wiesz, sposób, w jaki

pojmujesz - w jaki wszyscy pojmujemy - czas. Zwinięte wymiary!

- Co? - zdziwił się Zeb, ale mężczyzna trąknął dalej.

- Próbowala poradzić sobie innymi sposobami, ale jeszcze nie wie jak. - Po chwili, gdy zebrani patrzyli bez zrozumienia, rudowłosy dodał: - Ona jest Bajarką. - Jakby to wyjaśniało wszystko.

Peabody niemal widział serce wyrywające się z piersi zdenerwowanego intruza.

- Przepraszam - powiedział spokojniej rudowłosy chudzielec. - Źle trafiłem?

- Nie - odpowiedział Jason. - Choć nie wiem, kim ona jest. Ani kim ty jesteś. - Mężczyzna się nie przedstawił.

Peabody wyjął arkusze papieru z drżących dłoni, zdumiony tym prymitywnym nośnikiem danych, i rozłożył je na jednym z długich stołów, a potem przyjrzał się zapisom. Kilka razy je obracał, zaznaczał coś i poprawiał. Potem długo studiował arkusze. Nic już mu się nie rozmyślało przed oczyma. Dane nabierały czystego, pięknego sensu.

- To coś podobnego do radia. Tak mi się zdaje. Nazwijmy to radiem. Wyłapuje promieniowanie. Częstotliwości... - Studiował schematy przez dłuższy czas. - Bardzo, bardzo piękne, zdumiewające. Proste, mocne i niezniszczalne. Poskładam to, rzecz jasna. Jestem pewien, że będzie miało zdolność do porządkowania częstotliwości fal i nadawania ich w tej samej formie. Ale na co te częstotliwości działają - a są poza naszym zakresem widzenia lub słyszenia - nie wiem.

- Na mózgi - powiedziała kobieta z Księżyca głębokim i przepełnionym pewnością tonem, zaglądając Peabody'emu przez ramię. - Na ludzkie mózgi. Ale nie nasze. Te, które wejdą na wyższy poziom.

Su-Chen

Oni ciągle są jak dzieci choć myślą że to ja jestem dzieckiem.

Muzyka płynie muzyka krąży szybko opada i powraca.

Widać dokąd płynie słycać dokąd płynie ale gdzie jest dokąd i jak płynie razem nie widać i nie słycać.

Z muzyki złożony jest kot. z muzyki złożony jest Księżyc, z muzyki składa się wszystko.

Znam sposób zawsze znalazłam sposób a oni muszą tylko słycać.

Io czeka i słucha ludzi którzy chcą odlecieć i my wszyscy chcemy polecieć minąć Księżyc i musimy musimy pomknąć daleko dalej niż na Księżyc tam gdzie oni są i gdzie zawsze byli i są. Musimy tylko iść za muzyką muzyka jest mapą tak samo jak liczby. Możemy zobaczyć dokąd oni idą o ile sami to wiedzą może im powiem że to ciekawe i że to tak jak mówi mój ojciec: święte najświętsze jest to co wiem nie to co czuję.

Ja. Wiem.

18 SIERPNIĄ 2115

Ustrojstwo

Był ranek i w mieście panowała jeszcze senność. Mieszkańcy budzili się, jedli śniadanie złożone ze słodkich zawijańców z alg oraz kawy, albo z zupy miso, albo z sałatki lub marynowanych ryb. Przez lata ludzie ze wszystkich kontynentów, reprezentujący tysiące kultur i ras, przybywali do Miasta Półksiężycy i podłączali się do Współdziałania. Tego ranka jednak wszyscy obywatele przenosili się do różnych części miasta, przygotowując się, by pozostać lub odlecieć.

Poza nieliczną grupą zgromadzoną w niewielkim pokoju w samym sercu Miasta Półksiężycy.

Zeb, Peabody i Danya przyglądali się ustrojstwu - jak nazywał urządzenie Jason, gdy je konstruował.

Było opakowane w białą kulę i kołysało się wewnątrz niej, jednak nie było widać żadnych przyłążeń. Urządzenie wzrastało jednocześnie z kulistą osłoną. Błyszczało tak jasno, że niemal nie sposób było patrzeć na nie wprost.

- Wiedziałaś, że to się stanie? - spytała Danya Zeba, którego właśnie poznała. Był wysoki i jakby trochę nieobecny. Jason powiedział, że Zeb jest radioastronomem i że został zrekonstruowany przez Kopułę, w jaką przekształciło się Los Angeles. Zapewne właśnie stąd brał się ów dystans w zachowaniu starszego mężczyzny.

- Coś podobnego musiało się zdarzyć - odpowiedział Zeb.

- Chylę głowę w pokorze na samą myśl, że jesteśmy częścią ewoluującego kosmosu, a

ten ewoluujący kosmos jest zaledwie zdarzeniem kwantowym. To mnie przytłacza.

- Nie wiemy, na czym polega to zjawisko. Nie umiemy tego pojąć - być może nie jesteśmy nawet odpowiednio uzdolnieni, by to pojąć. Możemy jedynie mieć nadzieję, że ci z nas, którzy przeszli biologiczną inicjację w odpowiednim czasie, jak Peabody, rozumieją, gdy przejdą przemianę.

- A do czego to służy? - Danya wpatrywała się w kulę zmrużonymi oczyma z nieskrywaną ciekawością.

- Otwiera drogi, a raczej kierunki... - Zeb mówił z roztargnieniem, jakby nagle powrócił do terażniejszości z bardzo daleka.

- Kierunki, jakie zapisane są w umysłach dzieci z Houston.

- Tak - Nie odrywał oczu od kuli. - Te kierunki są stale aktualizowane. Dzieci to żywe równania. Prawdopodobnie noszą w sobie to wszystko co dzieci Ciszy - tutaj nazywacie je chyba Pionierami.

Może to właśnie stanowiło wyjaśnienie sposobu, w jaki poruszały się dzieci z Houston, przypominającego uderzenia błyskawic. Jak zachowują się żywe równania? Wybiegły ze statku z hałasem i znikły w mieście, zanim Danya i Radiokowboj - Jason Peabody - zdążyli się obejrzeć. Nie było sensu ich szukać. Dzięki Bogu Danya nie była do nich podobna. Zapewne też zaliczała się do Pionierów, choć nie była tak całkiem udana. Może dlatego, że została poczęta w trakcie długiej alkoholowej libacji i przez pierwsze tygodnie rozwoju w łonie matki faszcerowana była alkoholem.

Przez całą noc, jak wskazywały informacje wyświetlone przez system, dzieci z Houston biegały beztrąsko po mieście, przepychały się i potraçały, dotykały kolumn, blatów, piłek - połączonych ze Współdziałaniem - a dane przekazywane przez dotyk były rejestrowane i zapisywane.

Danya czuła smutek, ilekroć przypominała sobie, że te dzieci celowo zostały zatrzymane w rozwoju fizycznym, celowo wstrzymano je na etapie wczesnej młodości, by ich umysły były elastyczne i stale zdolne do rozumienia oraz zestawiania informacji niesionych przez impulsy nadchodzące podczas długiej, długiej Ciszy. Umysły tych dzieci były znakomicie dostrojone do zmiennej mapy magnetycznej, jaka nadeszła na początku z pierwszymi impulsami, tak dawno temu, lecz podlegała ciągłym aktualizacjom.

Ale czy to takie złe?

Miasto miało już wystarczającą ilość danych, by obliczyć przyszłe fluktuacje mapy. To... ustrojstwo na pewno przyda się przy rachunkach.

I być może dzieci z Houston będą mogły nareszcie dorosnąć.

- I to można będzie zaprogramować? - zapytała, starając się zrozumieć ogrom danych, jakiego wymagały obliczenia na skalę międzygalaktyczną. Niemal dostawała zawrotu głowy na myśl o chaosie czynników, jakie trzeba przy takich działaniach uwzględnić.

- Tak. Jest programowany muzyką graną od wczoraj - wyjaśnił Zeb. Kilka godzin po pojawieniu się dzieci z Houston Su-Chen zaczęła grać i nie przestała, dopóki Io nie oderwała jej od klawiatury tuż o świcie.

- I te dane wskażą nam miejsce...?

Radioastronom westchnął, nieco zniecierpliwiony.

- To jest miejscem. Miejscem, gdzie wszystko się zmieni.

- My wszyscy się zmienimy.

- Wszyscy w tej części Miasta Półksiężycy - przyznał Zeb. - Nawet ja. Ponieważ pozwoliłem, by przetransformowano moje DNA.

- To my mamy DNA?

Odwrócili się. Ra stała w drzwiach, na jej twarzy malował się niepokój.

- Oczywiście, Ra. - Zeb podszedł do kobiety i objął ją w talii.

- Ale moje DNA w Kopule nie zmieniło się wcale.

- Nie. Przypuszczam, że ludzi w Kopule, czymkolwiek się stali, nie dosięgnie przemiana. Zostawimy ich.

Danya popatrzyła w sufit, a rysy jej twarzy się wyostriły.

- Zostawimy ich - powtórzyła.

Peabody skinął potakująco.

- Tak. Łatwo jest zabrać tych, którzy są w mieście. Po prostu polecą razem z nim. Wszyscy, którzy zdecydowali, że polecą. A część miasta pozostanie.

- A co się stanie z innymi ludźmi na Ziemi? - Danya oparła dłonie na biodrach i spojrzała na każdego po kolei.

- Nie mogą polecieć - powiedział Jason. - To oczywiste.

- O tym wiem - odparła. - Ale ostatniej nocy miałam przebłysk tego, co się stanie. Tylko przebłysk, jak to będzie, gdy przejdziemy przemianę. Gdy całkowicie się zmienimy. To nowy etap ewolucji, mam rację? Reszta świata również zasługuje, by go dostąpić. Cokolwiek to będzie.

Peabody zaczął tłumaczyć, mówiąc powoli, z namysłem:

- Właśnie... Tak naprawdę nie mamy najmniejszego pojęcia, co to będzie. Nie mamy pojęcia, w jaki sposób i w co się zmienimy. Po prostu chcemy skorzystać z szansy.

- Oczywiście. I chcemy zmiany. Bardzo chcemy.

Jason potrząsnął głową i popatrzył na Danyę znad kuli. To zamyślane i pełne bólu spojrzenie uderzyło ją w serce jak fala przyływu.

- Wszyscy możemy zginąć. Czy nie lepiej, jeżeli część ludzkości przeżyje? Nie sądzisz?

Niecierpliwość sprawiła, że głos jej się łamał.

- Owszem, o ile ludzie chcą zostać i przeżyć. Czy to jest coś, czego ty byś chciał? Aby cię zostawiono? Niezbyt dobrze się dzieje na kontynencie, o ile raczyłeś zauważyć. Założę się, że szykuje się nowa wojna. Cała rasa ludzka podąży utartym szlakiem, jakim zawsze podążała. Sięgnie po stare, tradycyjne metody. Pójdzie na wojnę, jak zwykle. Chyba że nadejdzie coś nowego. Wybawienie. Coś, co wyprowadzi ludzkość na nową ścieżkę, rozwinie nowy scenariusz zdarzeń. Nową przyszłość. Zwłaszcza że ta cała naukowa kolonia ma zamiar wystrzelić się w kosmos i zniknąć. - Zerknęła na Zeba, który zdawał się wiedzieć więcej. - A jak ty myślisz, co się stanie?

Nie odpowiedział od razu. Dopiero po dłuższej chwili się odezwał:

- Nie jestem pewien. Potrafię to opisać jedynie liczbami. Obraz, jaki mi się rysuje, jest dość mglisty. Polecimy do miejsca, skąd nadano Sygnał. Istoty, które nam go wysłały, znają prawdę o materii, prawdę o historii czasoprzestrzeni. One ją opanowały. Wiedzą wszystko o rzeczywistości fizycznej. Przypuszczam, że fizycznie się od nas różnią. Nasza matematyka jest odzwierciedleniem nas samych, obrazuje nasz sposób myślenia, jaki wytworzył się podczas ewolucji i pozwolił naszemu gatunkowi przetrwać. Ale ta matematyka nie jest potrzebna, by pojąć, co się naprawdę stało. Może ci, co nadali Sygnał, są bliżsi poznania prawdy. Być może my będziemy musieli zmienić się fizycznie, by również móc poznać tę prawdę. To jest tak, jakby dano nam zaproszenie.

- Raczej rozkaz - zauważył Peabody z goryczą.

Zeb zerknął na niego i lekko wzruszył ramionami.

- Racja, Peabody. Nie potrafimy odgadnąć ich intencji. A może się również okazać, że to wszystko było zupełnym przypadkiem. Bez znaczenia dla kogokolwiek oprócz nas. W ogóle bez znaczenia, produkt uboczny jakiegoś procesu lub czegoś podobnego. Choć bardzo wątpię, że tak jest. Cóż z tego? Prawda jest taka, że się uczyliśmy. I jesteśmy zmieniani. To nawet coś więcej. Więcej niż uczenie, więcej niż wiedza. To wezwanie, abyśmy zdobyli zdolność poznania prawdy. I jest taki obraz... jedynie prosty model...

- Jaki model? - zainteresował się Peabody.

- Potrafię go sobie tylko wyobrazić - westchnął Zeb. - Nie potrafię go sensownie opisać...

- To jak słomki. - Oczy Ra jaśniały, głos brzmiał entuzjazmem.

Danya zerknęła zaskoczona.

- Co?

- Słomki - Ra zaczęła mówić szybko, urywanie. - Widziałam ten obraz, w Los Angeles. Widziałam takie rzeczy, gdy przebywaliśmy w Kopule. Wiedziałam, co myśli Zeb. Ale... Również o tym myślałam, tyle że na swój własny sposób. To jak słomki światła, które wychodzą z nieba, aby każdy mógł się przez nie napić. Napić się czasoprzestrzenią. Przez słomki. Albo może bardziej są to struny, niezliczone struny. Przenikające przez różne wymiary. Łączące nas z nimi. Prowadzące nas do harmonii. O ile w ogóle można to nazwać harmonią. To nie jest harmonia, którą musimy usłyszeć. To coś, co przenika do naszej psychiki, a my zaczynamy wtedy pojmować wszystko na nowo, z nowej perspektywy. I wszystko jest inaczej.

- W każdym razie z pewnością brzmi inaczej. - Danya skrzyżowała ręce na piersi. - I każdy może zdecydować, czy chce, czy nie?

- Nie - odpowiedziała Ra. - Tylko ludzie ze szczególnym typem DNA. Tylko tacy ludzie mają wybór.

- Ale jaki jest ten wybór? - spytała Danya, ponownie czując frustrację.

- To nie jest coś, co nasze umysły, takie, jakie są teraz, potrafiłyby zrozumieć - wtrącił Zeb. - Są prawdopodobnie zbyt ograniczone. Tylko jeżeli się przemienimy, dowiemy się, czy to dobra zmiana, czy nie. I jak mówiliśmy, to nadal ogromne ryzyko.

- Ale nawet ty jesteś skłonny je podjąć - wytknęła mu Danya.

- Długo już żyjemy - powiedział Jason. - Bardzo długo. I mieliśmy dużo czasu na przemyślenia. Zarażenie wszystkich ludzi tym, co przyniósł Sygnał, zanim sprawdzimy, co to jest, byłoby nieuczciwe.

- Ale jeżeli odleciecie, nie będziecie mogli już nic przekazać ludziom na Ziemi! - krzyknęła Danya. - Nawet gdyby ci, których pozostawicie, chcieli zmiany!

Raz jeszcze spojrzała na wszystkich wyzywająco, a potem odwróciła się i wyszła z pokoju.

Peabody wzruszył ramionami. Zeb i Ra nie wyglądali na zaniepokojonych. Wrócili do obserwacji zmieniającej się szybko kuli.

Urządzenie splotało częstotliwości fal pozostające poza zasięgiem ludzkich zmysłów. Zaprojektowało je Współdziałanie. Takiej konstrukcji nie potrafiłby wymyślić żaden człowiek, ani nawet zespół ludzi. Jedynie wiedza techniczna i naukowa zgromadzona w myślącym systemie Współdziałania była zdolna do stworzenia takiego wynalazku, tego

ustrojstwa, jak zwykł mówić Peabody. Urządzenie wysyłało fale o stale zmieniających się częstotliwościach, które mogły dotrzeć do wszystkich ludzi w Mieście Półksiężycy. Fale wchłaniane przez ludzkie mózgi i zmieniane w informacje, które sprawiają, że umysły zaczynają się rozwijać i rozrastać, gotowe na zrozumienie, gotowe na przemianę.

Su-Chen miała nadal karmić urządzenie nielokalnymi danymi, które emanowały od świetlnych istot.

Wszystko zostało zaplanowane.

19 SIERPNIĄ 2115

Danya

Kiedy się obudzisz, będziesz wszystko pamiętać

Wzruszająca muzyka przenikała wszędzie. Danya obudziła się właśnie przez nią.

Zbudziła się i ujrzała wstrząsający obraz - szeregi świetlnych istot, zdawać by się mogło, ciągnące w nieskończoność.

Zbudziła się do nowej opowieści.

Do nowych faktów.

Wyślizgnęła się z łóżka. Śpiący obok Peabody sapał i pochrapywał od czasu do czasu.

Bezszelestnie jak kojot Danya włożyła ubranie przy świetle księżyca rozjaśniającym pomieszczenie. Brudna, pognieciona spódnica, koszula poszarzała i cuchnąca potem. Nawet nie pomyślała, żeby dać je do prania. Podniosła sponiewieraną skórzaną torbę, wcisnęła kapelusz na rozczochrane włosy, włożyła kowbojskie buty i wyszła na korytarz, gdzie owiało ją chłodne, orzeźwiające powietrze.

Przytrzymując kapelusz wolną ręką, Danya pobiegła dalej, a świetlne istoty błyskały wokół jak barwne ważki nad ocienioną łąką.

Opowieść o kojocie pulsowała jej we krwi.

W mieście pojawił się nowy poziom - opowieści. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się ich wątki, meandry ścieżek świadomości, szkielet stale rozwijających się Teraźniejszości.

Ta opowieść nie była tylko typową historią z Ameryki Północnej. Przebiegłe zwierzęta, niekiedy stojące po stronie ludzi, niekiedy przeciwnie, występowały w ludowych podaniach na całym świecie.

Baśniowe zwierzę - kojot - było ponadczasowe, jak świetlne istoty, które pojawiły się w mieście.

Czymś nowym była mapa ciągnąca się przez korytarze i windy, czymś nowym były tłumy na placach i ulicach, tłoczące się przy barierkach i podziwiające widok, który mógł być ich ostatnim na Ziemi, jeżeli zdecydują się podążać ścieżką opowieści o exodusie i opuścić rodzinną planetę. Ale Danya wiedziała, że ci ludzie odczuwają przede wszystkim intensywną, niemal religijną wizję - mandali, krzyża, sześcioramiennej gwiazdy i wielu innych symboli transcendencji. Uniesienie w śmierci. Objawienie się Nieznanego. Poczucie konieczności złożenia się w ofierze w imię wyższych celów.

To nie dla mnie - szczeknęła kojocica w umyśle Danyi. W głębi miasta płonął ogień i Danya miała go ukraść.

Ukraść i przełamać czas, zanieść jego sekrety wszystkim ludziom.

Nauka była tylko jednym ze sposobów tłumaczenia świata. Splot umysłowości, samoświadomości i materii. Wzrastanie i wyrastanie świadomości z materii.

Zmiana pojmowania materii przez świadomość.

Danya nie wiedziała, co będzie dalej, jaka będzie ta nowa, wielka przemiana.

Ale musiała zanieść ów płomień wiedzy do swojego plemienia. Do plemienia wędrującego w Teraźniejszościach.

Teraźniejszości przychodziły w błyskach. Jak urwane słowa dwuletniego dziecka, które dopiero uczy się mówić. Ale musiała istnieć droga, która do nich prowadzi. Droga, którą można je opuścić. Droga stale się zmieniająca, prowadząca do zmian, do wiedzy...

Aby można było wiedzieć więcej, aby poznać nowe perspektywy. A czas stanie się wówczas jak język, z jego własnym słownictwem i gramatyką.

Trzeba tylko znaleźć drogę, która prowadzi do rozwoju umysłu, do wzrostu świadomości.

Drogę dla ludzkiej świadomości, prowadzącą do połączenia się z umysłami zdumiewających istot na innych planetach.

Potrzebna była improwizacja, jak w muzyce, którą Danya słyszała wokół siebie.

Muzyce, która ucichnie, gdy miasto odleci w kosmos.

Przystanęła na tę myśl, gardło miała suche, z trudem łapała oddech po biegu.

Danya wiedziała, że utraci tę muzykę. Jednak ludzie zgromadzeni na placach i tarasach miasta utracą znacznie więcej.

Będą mieli opowieści. Opowieści są zwiniętymi wymiarami. Uwolnią nas od czasu. Staniemy się początkiem nowej opowieści. Staniemy się bardziej pomocni, niż jesteśmy teraz. Zrobimy więcej. Współdziałanie jest jedynie narzędziem.

Głos miał wyraźny, hiszpański akcent. Przypominał Danyi rodzinę w Teksasie.

A kiedy naprawimy rozłam, który teraz powstanie, wszystko stanie się jasne, również tutaj.

Czy to był prawdziwy głos? Danya poczuła nagły ból. Wydusiła cicho:

- Jak mogę znowu zostawić Radiokowboja? Nie chcę! Po prostu nie mogę!

Założyła jednak kowbojskie buty, choć natychmiast odezwało się pieczenie w otartych stopach. Ignorując ból, ruszyła do pomieszczenia w sercu Miasta Półksiężycy, gdzie, jak według pirackiej mapy, znajdował się skarb.

Cóż za dziwaczny skarb - uznała Danya, obchodząc go dookoła.

Był teraz większy. Inny.

Czarna kula stojąca pośrodku pokoju. Jakies pięć stóp średnicy. Ale nie, była biała, a teraz wielościenna... Nie...

Kolory przebiegały po powierzchni kuli, składały się w obrazy, które szybko rozwiewały się, by mogły powstać kolejne i kolejne... To dlatego kula wydawała się raz biała, raz czarna...

Danya podeszła zafascynowana. Oczywiście, kula była niezwykła. Mogłaby ją obserwować, badać, jak działa. Każdy mógłby. Jednak to urządzenie było czymś więcej.

Podeszła bliżej i palcem dotknęła sferycznej powłoki. Przeszył ją ciepły prąd. Zaskakująca fala dobrego samopoczucia. Tak niezrozumiała, że Danya zaczęła się śmiać, a potem zapłakała i płakała tak, jakby nigdy nie miała przestać. A potem znowu napłynęła ogromna radość życia i poczucie wielkiego szczęścia. Jej umysł w tej chwili nie znał granic.

To była ostatnia myśl, jaką zapamiętała.

Ocknęła się leżąc na podłodze i nie wiedząc, ile minęło czasu.

Nie musiała tego wiedzieć.

Wiedziała jedynie, że inni ludzie muszą się dowiedzieć tego samego co ona.

Ale jak ma sobie poradzić? Zadanie było ogromne.

Gdy patrzyła, kula rozwinęła się w spirale, jak macki ukwiału, które splatały się i

rozplatały rytmicznie tak szybko, że Danya zaczęła podejrzewać jakąś sztuczkę. Potem pomyślała, że chyba jednak trick polega na spowolnieniu obrazu, choć nawet teraz ludzki wzrok z trudem nadażał ze śledzeniem błyskawicznych przemian.

Danya wyciągnęła ręce i chwyciła splątaną masę.

Natychmiast upadła na posadzkę, jej dłonie przeszył straszny ból, o wiele większy niż ten, jaki odczuwała, gdy rodziła dzieci. Chciała puścić urządzenie. Ale nie mogła.

Ze zmiennych spiral równie nieoczekiwanie popłynęło światło i ból ustąpił.

Urządzenie stało się teraz szare i kruche, a macki falowały powoli. Ważyło najwyżej funt.

Danya miała tylko nadzieję, że energia, potencjał tego... ustrojstwa uległ zawieszeniu. To wszystko, czego potrzebowała.

Delikatnie wsunęła maszynę do torby i zacisnęła pasek zapięcia.

Pozostała jeszcze jedna rzecz do załatwienia, ale już znacznie łatwiejsza.

Kobieta wyszła z pomieszczenia i ruszyła przez napływ opowieści oraz zgromadzenie świetlnych istot. Wkroczyła w jedno z tysiąca przejść, jakie prowadziły z miasta prosto do morza. Było przesłonięte przejrzystą błoną, która rozplynęła się, gdy tylko Danya podeszła. Poniżej ujrzała nadpływającą ze wszystkich stron flotyllę statków. Zrozumiała, że nie ma wiele czasu.

Zaczęła biec.

Musiała dotrzeć na poziom morza. Zjechać do stóp wież, w plątaninę ścieżek i pawilonów, pomiędzy którymi lśniły fale oceanu.

Wszędzie panował chaos. Ludzie uciekali z miasta lub spieszyli na wyższe poziomy, by przygotować się do odlotu. Danya szukała interfejsu lub komputera.

Nagle usłyszała muzykę. Zamarła, rozglądając się z niepokojem. Źródło dźwięku było w pobliżu. I wtedy twarz kobiety zalały łzy ogromnego smutku.

To było radio Kowboja. Miała je w kieszeni spódnicy. Działało. Wygrywało głupie reklamy po hiszpańsku.

Radio zaczęło działać. A Danya właśnie porzuciła Radiokowboja.

Do umysłu napłynęło jedno słowo - niesiona przez powietrze wskazówka od Współdziałania: TAM.

Aha. TAM. Danya rozejrzała się. Znalazła wgłębienie w ścianie i pociągnęła. Ukazała się stacja robocza. Kobieta ospale pochyliła się nad panelem i dotknęła jego powierzchni. Jeszcze wolniej, gdy Danya była już bliska agonii od wstrząsów, które rzucały nią na wszystkie strony podczas metamorfozy korytarza, na panelu ukazało się wreszcie to, co

zamówiła.

Niewielki bąbel zielonej, galaretowatej masy, opakowanej w ciekłą membranę.

Wrzuciła go do torby i ruszyła biegiem na wybrzeże.

Musiała opuścić drabinę, żeby zejść na poziom morza i zeskoczyć z dość dużej wysokości. Podniosła się po zeskoku, zatoczyła i potknęła, a potem kuśtykając pobiegła dalej.

Na przystani zeskoczyła na pokład odcumowującej właśnie ciężkiej łodzi. Powyżej miasto zmieniało się coraz szybciej, zbiegało się - statek musiał walczyć z silnym wstecznym prądem i wiatrem. Oddalał się powoli od brzegu, wypełniony tłumem szlochających i krzyczących ludzi. Niektórzy wskakiwali do wody i wpław wracali na brzeg, pozostałych przerażała fala gorąca, jaką wytwarzały plazmowe silniki, oraz prawdopodobieństwo wywołania przez start tsunami.

Jednak najpierw pojawiła się zaskakująca cisza.

Statek z Danyą oddalił się zaledwie pięć mil od coraz szybciej zmieniającego się miasta. Stawało się teraz gładziej i bardziej opływowe. Niezliczone wysokie pawilony i hale wydłużyły się i zbiegły w jednym punkcie. Wiatr się wzmagił.

Ogromny żagiel rozwinął się i załopotał nad falami.

Przypominał spinaker albo przezroczystą błonę, jakby część mydlanej bańki.

Ale był o wiele bardziej wytrzymały. Pochwyił wiatr, a Miasto Półksiężycy pięło się w górę i smukłało. Nad wodą niósł się wibrujący, głęboki dźwięk - odgłos pracy silników odrzutowych, z tej odległości silniki wyglądały jak cieniutkie pałeczki, które po chwili spadły do oceanu.

W tym momencie startujące miasto przechyliło się i zachwiało, jednak wiatr zaraz porwał je w górę. Sto, dwieście, pięćset stóp. Tysiąc stóp - nadal wydawało się ogromne i niezgrabne.

Zapewne na dwóch tysiącach stóp odpalone zostały silniki raketowe.

Miasto Półksiężycy przyspieszyło gwałtownie w wybuchu płomieni z dysz, z oddali dobiegł spóźniony huk. Membrana rozdarła się na strzępy, które szybowały na wietrze jeszcze długo po zniknięciu smugi na niebie.

Danya przecisnęła się do relingu, rozpychając się łokciami. Długo spoglądała w górę.

INŻYNIER

Wielkie podzielenie

Peabody wyskoczył z łóżka, zanim zdał sobie sprawę, co robi. Dezorientowało go jeszcze przebywanie w domu i bycie ponownie tylko sobą. Ułamek sekundy zajęło mu uświadomienie sobie, że nie śni.

Danya odeszła.

Ich spór nadal dźwięczał mu w pamięci. Wiedział, dokąd poszła i co chce zrobić.

Cała Ziemia zasłużyła na tę szansę. Zasłużyła na Teraźniejszości. Wiem, że nie wierzysz w Teraźniejszości i ich nie rozumiesz, ale Teraźniejszości istnieją, są prawdziwe. Ludzkość zasługuje na zakończenie wojen, cierpień i śmierci. Zasługuje na to, by znowu się cieszyć nanotechnologią. Zasługuje na dostęp do zapewne niezrozumiałego przełomu, który nastąpi, gdy spełni się wizja Ra. Pamiętasz, co mówiła? Muzyka światła dostroi nas, nas wszystkich, którzy mamy zmutowane ONA. Drzwi są otwarte. Możemy przez nie przejść. Jesteśmy po jednej stronie, a możemy być po drugiej, której na razie nie potrafimy dostrzec. O ile to wszystko jest prawdą. Może nie jest, Ale szansa istnieje. Ktoś musi tu zostać i zadbać o to, aby wszyscy poznali prawdę. Nie możemy pozostawić Ziemi w mroku i zapomnieć. Ta możliwość przemiany musi być dostępna dla każdego. Podobnie jak zmiana genetyczna, która przygotowuje ludzi na większą przemianę. I to... ustrojstwo, które tu powstało. Urządzenie, które uporządkuje częstotliwości fal według wzorców otwierających umysł. Dajmy im szansę, by wybrali przemianę lub nie. Nieważne, czym okaże się ta nowa forma, wiedza, nowy próg świadomości.

Danya mówiła spokojnym, opanowanym głosem. Głosem pełnym siły.

Peabody nienawidził jej racji.

Ale sam wcale nie był lepszy. To może być zwykła eugenika, stwierdził. Jak inaczej można wytłumaczyć tę straszną, nagłą inwazyjność procesu, który rozpoczął się na Ziemi po pierwszym impulsie. Czemu obcy naruszyli równowagę świata? Nie zdawali sobie sprawy, że takie majstrowanie w ogromnym ekosystemie może przynieść więcej szkód niż pożytku? I co w ogóle obcy rozumieją pod pojęciami pożytku i dobra?

Zastanawiam się, jak wielu ludzi i jak długo cierpiało, zanim nauczono się leczyć polio? - odparowała Danya. - Jak wielu cierpień wymagało wyleczenie gruźlicy? Poza tym uważam, że większość ludzkich ideologii jest jak choroby. Jak śmiertelne wirusy. Równie destrukcyjna jak działające na psychikę plagi. Obudź się, Peabody! Możesz uczciwie powiedzieć, że wojna jest dobra? Możesz równie uczciwie stwierdzić, że przygotowanie

umysłów do nauki, niesione przez transmisje danych z kosmosu, jest złem?

O ile to było przygotowanie...

Było i ty wiesz o tym najlepiej. Wszyscy wiemy. Czy mamy skazać pozostałych ludzi na niewolnictwo ignorancji i ciemnotę?

Na zawsze? Będziemy zdolni to kiedyś cofnąć, naprawić? I czy to my mamy rację? A co z Teraźniejszościami? Powiedzmy sobie szczerze, wszyscy jesteśmy teraz ślepi. A oni rozumieją, że czas jest ograniczeniem, rozumieją, jak oślepia, jak jest tragiczny, jakim prawem zaprzeczamy ich wizji?

Cholera.

Wszystkie radioodbiorniki w pokoju były włączone i teraz grały, tworząc kakofonię z urywków piosenek, reklam, audycji. Powinien się ucieszyć, zatańczyć do rytmu tej chwili wolności radiowej, którą - był tego pewien - zyska miasto, gdy tylko oderwie się od Ziemi. Na pewno będzie to zasługą ogniskującego częstotliwości ustrojstwa.

Jason podszedł do okna i spojrzał na miasto kończące przygotowania do startu.

To jego zasługa. To zasługa wszystkich, którzy włączyli się do Współdziałania. I tych wszystkich, którzy przewinęli się przez długą historię Miasta Półksiężycy na całym świecie. I tych wszystkich opowieści, które stworzyła ludzkość i które nadały ludziom nowe wymiary, nowe perspektywy. Wznosili się jak crescendo w kolejnych kadencjach wielkiej symfonii. I była to muzyka otwierająca umysł Peabody'ego, jego świadomość, o wiele silniej niż inne słyszane melodie. Muzyka światła.

Tęsknił do tej muzyki, szukał jej całe życie.

A jednak odczuwał gniew, że zdarzyła mu się dopiero teraz.

- Daj mi opowieść - błagał. Ale nie było żadnej odpowiedzi. Zwinięte wymiary pozostały zwinięte. Zamknięte dla Jasona.

- Daj mi opowieść! - zażądał, zaskoczony gwałtownością własnych słów, gniewem w głosie. - Jak wcześniej, do cholery!

Mógł tylko opuścić miasto. Znaleźć Danyę i pójść za nią. Mógł zrobić to, co było słuszne.

Ponieważ właśnie Danya miała rację.

Miasto zmieniało się, było prototypem, ale to Ziemia musiała stać się miejscem, które pozwoli każdemu, kto jest odpowiednio przygotowany - nawet zwierzętom, może nawet roślinom - nauczyć się nowego rozumienia czasu. Współdziałanie zaprojektowało urządzenie nie w oparciu o ludzkie opowieści, nawet nie opowieści całej planety czy całej istniejącej na niej świadomości. Użyło opowieści świetlnych istot, posługujących się językiem, który

przecina i zmienia czas.

Żaden człowiek nie potrafiłby przyjmować informacji w takiej postaci. Zrozumienie tego przełomu w inżynierii zająć mogło lata, nawet dziesięciolecia interdyscyplinarnych badań. Ale Współdziałanie zaprojektowało to urządzenie i urządzenie działało, a to znaczyło, że Peabody i Zeb mogą zrozumieć, jak działa.

Było programowane przez muzykę. Danya jeszcze tego nie wiedziała. Wypadła z pokoju wściekła, że nikt nie przyjmuje jej argumentów. Kiedy Jason znalazł ją później w tym samym pokoju, nie mógł jej dobudzić - odpychała go i krzyczała, nie otwierając oczu, nieprzytomnie. Przestraszyła go tak bardzo, że postanowił dać jej odpocząć.

To był błąd.

Peabody ubrał się i ruszył powoli na zewnątrz.

I w ten sposób odnalazł własną opowieść. Opowieść o wielkiej uldze. Zaledwie załączek prawdziwej, mocnej historii, ale wystarczający, by zmusić go do podążania naprzód. To było coś, co wślizgnęło się między Inżyniera i wielką radość miasta, święto, gorączkę, poczucie sensu płynące z oczekiwania na przekroczenie progu i znalezienie się po tamtej stronie horyzontu zdarzeń. Ale Peabody umiał się już odciąć od przytłaczających emocji miasta. Miał własną opowieść. Nie był już Jasonem Peabodym, człowiekiem, który miał za sobą długie życie wypełnione głównie pracą, życie pełne cierpienia i wątpliwości. Nie był też Radiokowbojem. Czuł wdzięczność, że Radiokowboj został z niego wymazany.

Nowa opowieść była doskonale dopasowana do tego, co miał zrobić.

Zaczął się przedzierać przez świętujące i szalejące tłumy. Szukał dziewczynki, która rozumie muzykę światła. Dziewczynki, która jest wolna od opowieści. Jedynej osoby zdolnej do tworzenia czystej muzyki światła - dziewczynki z kosmosu, z kolonii na Księżycu, zdolnej do wycucia i przekładania wibracji strun bez zakłóceń wywołanych strachem lub radością.

Peabody znalazł ją tam, gdzie była wcześniej, w Hali Nauki i Wiedzy. Stała przy klawiaturze, grając i jaśniejąc jak płomień. Przyklęknął przy niej.

- Su-Chen, pójdziesz ze mną? Zamierzam opuścić miasto i wrócić do świata. Potrzebuję cię, żebyś grała tę muzykę. Aby programować urządzenie, które pomoże ludziom dokonać przemiany; które porządkuje częstotliwości...

Dziewczynka spojrzała na niego z góry, nie przestając grać.

- Ludzi jest wielu.

- Tak. Bardzo, bardzo wielu.

- Muszę pokazać im wszystkim. Muszą poznać świetliki. Tak nazywa je Io.

Hala wypełniła się tymi jasnymi, czystymi, wibrującymi światłami.

Su-Chen przerwała grę. Światliki pozostały. Peabody słyszał, co to oznacza.

Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, Su-Chen wstąpiła między nie, rozłożyła ramiona i zaczęła tańczyć.

Su-Chen

Emocje. Burzowe chmury nad oceanem. Przychodzą po mnie. Chcę od nich uciec ale nie potrafię. Pada z nich ulewny deszcz każda kropla rozdziera mnie na strzępy. Strach. Strata. Radość. Coś czego nie chcę coś czym nie chcę być. Niesamowity nieznośny ból. Zасыpuje mnie gradem obrazów.

Nareszcie burza przemija.

Słodkie słodkie dryfowanie i słowa splecione razem tak łatwo. Wszystkie opowieści ludzi są takie - spokojne falujące... - Wszystko co widzę zmienia się. Już nie potrafię powiedzieć co jest prawdziwe. Opowieści i emocje rozpraszają moją wizję. Sprawiają że kolory są zbyt jasne albo zbyt stłumione. Sprawiają że muzyka nie jest muzyką nie jest cudownym delikatnym splotem zależności i związków lecz ośrodkiem tworzenia następnych przynoszących ból opowieści. Zawsze już będę płakać. Jak oni to znoszą? Jak to możliwe że potrafią to znieść? w ten sposób tracą tak wiele. Zbyt wiele.

Mogę tylko krzyczeć i krzyczeć i krzyczeć

*

Mężczyzna przypominający jej ojca otoczył ją ramionami i przytulił. Nie próbowała się wyrwać. Pozwoliła się objąć. Czowała się dobrze w jego uścisku.

- Nie mogę tego znieść - usłyszała swój szept. Wcześniej mogła znieść wszystko. Ale teraz było za jasno. Wstrząsał nią silny szloch. - Proszę, muszę stąd odejść. Chcę odejść. Jeśli tu zostanę, znowu to mi się przydarzy. I będzie się cały czas przydarzać. Nie podoba mi się to.

Odwróciła się i zwymiotowała na podłogę. Szarpnęła włosy obiema rękami, tak bardzo bolało. Podeszła do ściany i uderzyła w nią czołem. Chciałaby wybić sobie z głowy opowieści. Albo się zabić. Nie miało znaczenia, która z tych rzeczy jej się uda.

Poczuła, że mężczyzna bierze ją za rękę. Nie mogła jej wyrwać, choć chciała. Miał bardzo mocny chwyt. Otarł jej twarz chłodnym, wilgotnym ręcznikiem. Wyjął z szafki ubrania i trochę jedzenia i zapakował do plecaka znalezionego w kolejnej skrytce.

Potem podniósł ją. Była chuda i wysoka, ale dotykanie było w porządku, czuła się dobrze, ten dotyk nie był zły, nie bolał. Czuła się taka zmęczona. Znużona. Głowa ją bolała, z rany na czole popłynęła znowu krew, zalała jej oczy. Lepka krew. Ponownie poczuła na skórze chłodną, mokną tkaninę; mężczyzna wytarł krew i włożył jej szmatkę w dłoń.

- Musimy tylko zabrać parę rzeczy - powiedział, a dla Su-Chen zabrzmiało to, jakby sam miał się rozpląkać, bo usłyszała, jak zabawnie załamał się ton i rytm słów.

- Chcę się tylko lepiej poczuć - odpowiedziała. - Chcę się znowu poczuć lepiej. I chcę mojego kota.

Peabody podniósł kota i włożył jej w rękę.

- Trzymaj mocno. - A potem dźwignął dziewczynkę i pobiegł w kierunku wyjścia.

Światliki unosiły się wszędzie i Su-Chen bardzo mocno zaciskała powieki.

Potem nagle opadła na pokład, uderzyła się mocno i usłyszała przeprosiny. Gdy odpływali, dźwięki - metaliczne „klang!”, „łups!” odcumowania, krzyki innych ludzi, potężny, niski i wibrujący odgłos silnika, przypominający bełkotanie - falami przepływały przez umysł dziewczynki. A potem pojawił się wiatr - oddalali się coraz szybciej od miasta. I woda chlupotała przy burtach.

Peabody powtarzał w kółko:

- Dokąd ona poszła? Dokąd ona poszła?

Aż w końcu znalazł odpowiedź:

- Do Teksasu.

Statek skręcił.

Patrz, Su-Chen! Otwórz oczy! Taki widok można zobaczyć tylko raz w życiu. Miasto wystartowało.

Mówi cicho i powoli. Jakby też chciał polecieć.

Ale skąd mam wiedzieć czego on chce?

Wstrząs jak fala przebiega przez powietrze uderza we mnie i muszę otworzyć oczy. Zbyt jasno by widzieć świetlistych ludzi. Muzyka zbyt głośna nie mogę jej znieść chcę zagrać własną odepchnąć tamtą kopnąć uderzyć. Ktoś łapie mnie za rękę: Siadaj bo wylecisz za burtę.

Przejdźcie. Ulga. Odeszło. Miasto odeszło. Blask odszedł. Poszarpana płaszczyzna to wszystko co pozostało po Mieście Półksiężycy i nie mogę na to patrzeć. On patrzy i drży. Łzy powoli płyną mu po policzkach i skapują z podbródka. Ma ściągniętą twarz i płacze tak płacze a ja Rozumiem.

To uczucia.

Klepię go po plecach. Klep. Klep. Klep. Tak właśnie robią ludzie. Mój ojciec tak robił ale to zawsze bolało.

W końcu Peabody się uśmiecha. Ale jego oczy nie zmieniają wyrazu ani trochę. Nie umiem nazwać tego co widać w jego oczach.

Ale wiem że tam jest.

Nie podoba mi się że to wiem. To za bardzo boli. Io tu nie ma nie może tego naprawić. Nie ma jej i nie może mi pomóc. Io poleciała z miastem.

Czym są te łzy które pochodzą z głębi z wnętrza i nie płyną ze złości?

Mam nadzieję że niedługo wszystkiego się dowiem.

Inżynier

- Nic mi nie jest - powiedział do Su-Chen. Objął jej dłoń i ucisnął lekko. Ręka dziewczynki była sztywna i nieruchoma, ale przynajmniej mógł jej dotykać.

Kiedy obserwował odlot miasta, aż stało się niewielkim świecącym punktem na niebie, zrozumiał, że zrobił dobrze. Wszyscy zrobili to, co dla nich najlepsze, wszyscy, których Jason poznał tak dawno, gdy miasto dopiero powstawało. Przyjaciele odlecieli, rozplynęli się w czasie.

On został tutaj. Miał pracę do wykonania.

Nie był mistykiem. Był Inżynierem.

Ciężko było pogodzić się z tą myślą, jednak zmusił się, by podchodzić do kwestii pozytywnie; by uczucia, które przynosiły mu zmartwienie, i te, które kołysły udręczony umysł, skończyły się i ucichły.

Peabody wiedział, że jego ścieżka nie biegnie śladami dawno zmarłej żony. Pewnie dobrze się złożyło, że przeżył samobójstwo bliskiej osoby i dzięki temu teraz mógł podejmować właściwe decyzje. I dobrze, że będzie się opiekował tą dziewczynką. Jedno było prawdą. Szedł kiedyś inną drogą, ale to było już przeszłością.

Miał teraz nową drogę. Można to nazwać dążeniem ku światłu, celem, przeznaczeniem. Czekala go długa podróż, bardziej niepewna i trudniejsza niż podróż przyjaciół, którzy odlecieli z miastem. Trudniejsza niż wszystkie dotychczasowe podróże w jego życiu.

Najbliżsi zapewne pograżyli się w wielkiej, transcendentnej przemianie i niedługo mieli poznać tajemnice, nad których rozwiązaniem Peabody biedził się latami. Wyjaśnienie, skąd i po co pojawiła się mutacja w jego genotypie, usprawiedliwienie dla jego smutnej i naznaczonej kłopotami egzystencji - rozwiązania oddalały się od Jasona z prędkością tak ogromną, że wiedział, iż nie zdoła nigdy ich dogonić.

Nadal był tutaj, na błękitnym oceanie, w niewielkiej łodzi kołyszącej się lekko wśród turkusowych fal. Obok stała dziewczynka, którą musiał się zaopiekować, a upalne słońce grzało pokład.

Zorientował się, że silnik się zatrzymał. Znaczący - trzeba go naprawić.

Peabody był w domu.

I miał pracę do wykonania.

Danya

Danya nie wiedziała, dokąd płynie łódź. Okazało się, że na Haiti.

Kilka miesięcy zajęło jej ponowne dotarcie do wybrzeży Teksasu.

Mimo to jasna smuga na niebie, o wiele jaśniejsza nocą, jakby rozdarcie w tkaninie czasoprzestrzeni, nadal pozostawała widoczna. Jak zawsze.

Dwie noce Danya spędziła w obozowisku na wydmach, gdzie zostawiła kawałek szarej materii, by się rozrósł. Ten został wyhodowany na Haiti i kilku wyspach, które odwiedziła po drodze. Substancja szybko się regenerowała po odcięciu kawałka. Zawierała serum genetyczne, to samo, którego dzieci w Mieście Półksiężyca używały, by stać się jak Pionierzy. Danya ofiarowała je wszystkim, którzy chcieli i którzy uwierzyli w jej wyjaśnienia.

Wędrowała pieszo.

W końcu dotarła do miejsca, gdzie osiągnęła poczucie doskonałości.

Było puste. Drzwi na ganku kołysały się leniwie, skrzypiąc na przerdzewiałych zawiasach. Potok wysechł, a drzewa w sadzie umarły.

Jednak najgorzej wyglądało wewnątrz domu Edny, gdzie przecież Danya była - jak sądziła, prawie na pewno - zaledwie tydzień temu. Siedziała tu z Białą Porą i resztą ludzi Teraźniejszości, popijając mrozoną herbatę w podmuchach gorącego wiatru krążącego po salonie, skąd widać było konie pasące się przy rzece. Teraz zaś dom Edny straszyl

pobliżnionymi ścianami i pustką, jakby porzucono go nie kilka dni, lecz wiele lat temu. I jakby nikt tu od dawna nie mieszkał.

Danya posadziła w sadzie kawałek szarej substancji i ruszyła w dalszą drogę.

Od tamtej pory życie stało się bardzo ciężkie.

Inżynier

Najpierw odnalazł Carlę i pozostałe dzieci. O niczym innym nie potrafił myśleć. Były w Sedonie. Miał naprawdę ogromne szczęście, że właśnie tam. Sedona była mała i mieszkał tu w dzieciństwie. Miasteczko niewiele się zmieniło od tamtych czasów. Peabody porozmawiał z ludźmi i ruszył śladem dzieci.

Została jedynie Carla i jeszcze troje. Mieszkali na czerwonej równinie w autobusie zaparkowanym przy bystrym potoku. Tylko Carla go pamiętała. Miała teraz około czterech lat. Całą trójką opiekowała się nastoletnia dziewczyna. Substancje z fiolek, które dzieci zatrzymały, ale najwyraźniej ze strachu nie otworzyły, zadziałały, jak miał nadzieję. Poczul ulgę. Zapewne Carla i pozostałe maluchy nigdy się nie dowiedzą, co zrobił Peabody. Zapisał dla nich historię spotkania i wspólnej wędrówki i zostawił nastolatce. Ją również zmienił. Miała teraz przed sobą bardzo długie życie, podobnie jak ci, którzy żyli w Mieście Półksiężycy i korzystali z pomocy technologii zapewniających długowieczność.

Kiedy odchodził, zabrał ze sobą resztę fiolek, uświadamiając sobie ze smutkiem, że teraz zaledwie kilku ludzi na świecie wie, jak ich używać. Peabody był jednym z nich, był dyplomowanym Nanoinżynierem, certyfikowanym przez od dawna już nieistniejący rząd. W tej chwili równie dobrze mógłby uchodzić za czarnoksiężnika.

Spędził lata tęskniąc i szukając Danyi oraz poszukując Teraźniejszości, w których, jak sądził, ugrzęzła. Pragnął znaleźć Teraźniejszości. Bał się ich.

Starał się przygotować świat na ich przyjście.

Ostatecznie wraz z Su-Chen powędrował na północ, przez Kolorado, potem Ohio, Pensylwanię, Nowy Jork i Nową Anglię, kierując kroki zawsze w te miejsca, które zostały spustoszone przez plagi, uzdrawiając je, przynosząc ulgę zniszczonej ziemi i ludziom. Życie tułacza Peabody'ego przypominało opowieść o Johnnym Appleseedzie. I jak historia osiemnastowiecznego misjonarza, legenda Inżyniera rozprzestrzeniła się na kontynencie i

wpływała na wybory Jasona nawet wtedy, gdy już osiadł. Nad brzegami górskich jezior, skąd obserwował czasem gwiazdy, rozmyślał, jak dziwne było jego życie i jak milczący i pusty stał się dla niego nieboskłon, odkąd odleciało Miasto Półksiężycy. Niekiedy zastanawiał się, czego dokonał i co z tego wyniknie. I żałował, że nie poleciał z miastem zamiast wyruszać na tę niepewną wędrowkę. Czuł, że nigdy nie ujrzy kolumn czasu przenikających Ziemię i niebo, przez które, jak przez słomki, ludzie ze zmodyfikowanym genotypem będą się mogli napić wieczności, albo przynajmniej dowiedzieć się, czym może być wieczność. O ile dokonają wyboru - przejść przemianę lub pozostać przy starych, ludzkich sposobach egzystencji.

Su-Chen nie sprawiała kłopotów. Była cicha, spokojna, wydawała się pogodzona z życiem, wsłuchana w siebie, w ciszę świadomości. Ona i Peabody stanowili dziwną parę - razem, ale osobno, każde zaabsorbowane własnymi myślami, lecz wspólnie wędrujący z miejsca na miejsce, pchani pragnieniem osiągnięcia jednego celu. Niekiedy, rzadko, Su-Chen wybuchała i mówiła przez dzień lub dwa. Zazwyczaj jednak wystarczała jej muzyka, którą grała - to był jej język - oraz słuchanie. To było jej całe życie.

Co wieczór Peabody wspominał swoje klęski i porażki; dopiero po tej litanii zamykał oczy. Tylko wtedy mógł zasnąć.

PAŹDZIERNIK 2194

EAST KINGSTON, NEW HAMPSHIRE

Xavier miał dziesięć lat, kiedy dotarł do miasta Inżynier. Towarzyszyła mu dziwna, czarnowłosa kobieta.

- To ty, prawda, dziadku? To ty jesteś Xavier!

- Cicho, Tropicielko! - Bliźniacy byli starsi od niej o kilka lat. - Dlaczego zawsze pytasz o to samo?

- Głupki!

- Żadnych wyzwisk, albo przestanę opowiadać. Zgoda? Zgoda.

Xavier bawił się na podwórku przed domem. To był bardzo stary dom, nad głównym wejściem wykuto datę: 1734 rok. Mieszkańcy Exeter mawiali, że ten dom jest nawiedzony i dlatego unikali rodziców chłopca i nie pozwalali dzieciom się z nim bawić. Zdawać by się mogło, że takie życie było bardzo samotne, ale mama twierdziła, że przez to ich niewielka rodzina bardziej się zżyła. Xavier zrozumiał, że miała rację. Rodzina mieszkała na przedmieściach i hodowała własne warzywa, miała też stary sad, gdzie rosły jabłonie, a na rozłożyste drzewa przyjemnie było się wspinać dla zabawy lub gdy owoce dojrzewały i nadchodziła pora zbioru, z obitych jabłek mama robiła jabłecznik. Mała Kimberly śmiała się wtedy tak bardzo, aż zmoczyła majtki i Xavier obawiał się, że rodzice nie będą zadowoleni. Jednak mama, z policzkami zaczerwienionymi od pracy i jasnymi włosami spadającymi spod filcowego kapelusza na ramiona, też się śmiała, a potem zaniósła Kim do domu, aby zmienić jej bieliznę.

Tak więc wszyscy byli daleko - mama w domu, tata głęboko w sadzie - kiedy nadszedł Inżynier. Podróżował samochodem na parę. Kiedy pociągnął za hamulec, rozległ się głośny,

niski gwizd. Inżynier podszedł do Xaviera. Miał uczciwą twarz i poważne spojrzenie...

Xavier już na pierwszy rzut oka uznał, że Inżynier ma uczciwą twarz, i kiedy opowiadał wnukom tę historię, zawsze wspominał o swoim pierwszym wrażeniu.

- *Są twoi rodzice? - spytał i wtedy zobaczył tatę w sadzie. Pomachał mu.*

Za sadem ciągnęły się wzgórza, złote i czerwone, a niebo było tak jasnobłękitne, że raziło oczy, można było w nie spoglądać jedynie przez osłonę gałęzi. Policzki Inżyniera poróżwiały od chłodnego wiatru. Kobieta siedząca w samochodzie tylko patrzyła przed siebie, na drzwi stodoły. Przyjezdni mieli przyczepę.

- Byłeś w innych miastach, dziadku? - spytała Tropicielka, a jej brązowe oczy były poważne. Siedziała obok kolan Xaviera, ubrana w granatowe sztruksy, które matka wzięła z maszyny do ubrań znajdującej się w mieście. Dziadek od razu przeskoczył do czasów nieco bliższych, przerywając wcześniejszą opowieść.

- Żeby nie skłamać, to i owszem. Kilka lat po spotkaniu z Inżynierem pojechałem do Paryża. Ale to inna historia. Teraz posłuchajcie opowieści o Inżynierze. Ich samochód zaparkował przed stodołą...

- Tą samą co teraz? z zagrodą dla kurczaków?

- Nie, wtedy trzymaliśmy kurczaki za domem. Słuchajcie!

- A mogę usiąść ci na kolanach?

Dziadek podniósł dziewczynkę z ziemi.

- A teraz uważaj.

- My uważamy - oznajmili unisono bliźniacy. Mieli po dziesięć lat i siedzieli na stołkach wokół paleniska, gdzie w żeliwnym kociołku bulgotała zupa z dziczyzny. Ich starszy brat tydzień temu zabił jelenia, w świetle ognia lśniły ich jasne włosy. Dzieci słyszały już wcześniej opowieść o Inżynierze, ale zawsze chętnie słuchały jej po raz kolejny.

- No, dobrze. Było późne popołudnie i moja matka spytała Inżyniera i jego towarzyszkę, czy zostaną na noc. Na pewno słyszeli od ludzi w mieście, że wynajmuje gościom sypialnię na tyłach domu. Prawdopodobnie miejscowi ostrzegli również Inżyniera, że rodzina jest dziwna. Cóż, może była.

Xavier przyglądał się kobiecie podczas kolacji, choć ojciec upominał go wielokrotnie, by przestał. Inżynier łagodnie wyjaśnił, że wszystko w porządku, że tej pani nie przeszkadza, gdy się na nią patrzy. Skupiła się na jedzeniu. Kiedy skończyła posiłek, rozejrzała się po pokoju. Było coś zabawnego w wyrazie jej twarzy i w spojrzeniu. Nigdy się nie zmieniły i Xavier uświadomił sobie nagle, że twarze jego rodziny cały czas zmieniają wyraz, czego wcześniej nie zauważał. Kimberly jak zwykle zachowywała się głupio - albo się śmiała, albo

trajkotała bez przerwy, aż w końcu odesłano ją od stołu, żeby się uspokoiła, ale oczywiście wcale się nie uspokoiła - biegała i skakała po dużej kuchni. Wreszcie jednak usiadła w kącie i zaczęła się bawić miniaturami maszyn rolniczych - traktorem, kombajnem i młockarnią. Miała też stary policyjny wóz, ale kiedy włączyła syrenę, tata zabrał zabawkę i położył ją wysoko na półce, gdzie nie mogła dosięgnąć, a potem z powrotem usiadł przy stole.

- A zatem jaka jest pańska propozycja, panie...

- Tak właśnie mówił pradziadek! - wtrąciła Tropicielka. - Jakby warczał.

Xavier uśmiechnął się. Lubił naśladować głosy.

- Peabody. Chciałbym wynająć ćwierć akra waszej ziemi. Jakieś ustronne miejsce.

- Na wzgórzach, czyż nie?

- Tak. Ale chciałbym mieć tam dobry dojazd.

- Wtedy nie byłoby to ustronne miejsce, nieprawdaż?

- Potrzebny mi kawałek ziemi wystarczająco daleko, aby nikt go za często nie odwiedzał i nie interesował się za bardzo, co tam jest. - Inżynier rozejrzał się wokół stołu i Xavier odniósł wrażenie, że mężczyzna coś oblicza. - Rozumiem, że ta ziemia należy do waszej rodziny od wieków.

- A jakie to ma znaczenie?

- Chciałbym coś wybudować i zostawić na... jakiś czas.

- Czyli na jak długo?

- Najwyżej na sto lat, nie dłużej.

- Mówi pan o wynajmie, Peabody? A za co?

- Ponegocjujemy.

Kobieta skończyła jeść, odsunęła gwałtownie krzesło i spokojnie włożyła płaszcz i kaptur, a potem wyszła na dwór.

- Mamy kanalizację wewnątrz - zapewniła mama, spoglądając na zamknięte drzwi.

- Ona lubi spacerować.

- Ale jest ciemno...

- Na niebie świeci księżyc w drugiej kwadrze, a droga jest dobrze oznakowana - Peabody nie sprawiał wrażenia zmartwionego.

- Ta dziewczyna niewiele mówi.

- Nie.

Chwilę milczenia przerwał ojciec.

- Jak chce pan zapłacić za wynajęcie ziemi na sto lat?

- Proszę mi powiedzieć, panie Appleton, jaki jest pański stosunek do nanotechnologii?

- Zależy. - Tata popatrzył na nas, jakby chciał, abyśmy wyszli, ale nie powiedział tego głośno. - Jakiego rodzaju nano?

- Wożę ze sobą duży asortyment nanozarodników. Nie, nie! - Peabody potrząsnął głową, gdy mama się zaniepokoiła. - Daję słowo, że nie są niebezpieczne. Jestem dyplomowanym nanotechnologiem, dostałem licencję w pięćdziesięciu dwóch stanach. To znaczy, wtedy, gdy to jeszcze były stany.

- Jakich stanach? - zapytałem.

- New Hampshire było stanem - wyjaśnił mi James. Był dla mnie miły, ponieważ chciał się popisać przed dorosłymi, jak dużo wie. - Wcześniej była to część Federacji Nowej Anglii. A to był stan w państwie, które nazywało się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Jeszcze przed Trzecią Falą Nanotechnologiczną...

- To były straszne czasy - zauważył pan Peabody. Kąciki ust mu opadły i wydawał się spoglądać gdzieś w dal, w odległą przeszłość. - Straciliśmy wszystko, co mieliśmy. Zginęło wielu ludzi. Ale nadchodzi nowa era.

- Może powinien pan opowiedzieć tę historię na Niedzielnym Zgromadzeniu - skrzywił się tata.

- Jestem zwykłym Inżynierem - odpowiedział Peabody. - Jestem tu, ponieważ chcę wam pomóc. Ale jeżeli każecie mi odjechać, odjadę natychmiast. Rozumiem państwa niepokój. Jednak nowa era nadchodzi. Jeżeli zgodzicie się poświęcić mi kilka godzin, będziecie mogli zadać mi tyle pytań, ile zechcecie, a potem zdecydować, czy można mi wynająć kawałek ziemi.

- Moja matka była lekarzem - odezwała się mama. - Pracowała w Bostonie, gdy jeszcze był Miastem Kwiatów. Tam się urodziłam i dorastałam. Dziadek był elektroinżynierem, ale przebrnął się i został nanotechnologiem, jak pan. Nie jesteśmy tak podejrzliwi jak ludzie w miasteczku. - Posłała tacie lekki grymas, a tato tylko wzruszył ramionami.

- Przewornie zawsze ubezpieczony, Kate - zauważył.

- Jednak wysłuchajmy, co pan Peabody ma do powiedzenia, dobrze?

Zaczęli rozmawiać. Potem, gdy położyli mnie do łóżka, odczekałem chwilę, wstałem i zakradłem się z powrotem do jadalni, kryjąc się w cieniu za kominkiem...

- I dlatego kiedyś wiedziałeś, gdzie mnie szukać, tak? - zapytała Tropicielka sennie, zwiijając się w kłębek na kolanach Dziadka.

Usłyszałem, co mówili.

Pan Peabody tłumaczył, że jego przyjaciele odlecieli w kosmos. Przyznał, że wcześniej spędził tydzień w mieście i tam dowiedział się o moich rodzicach. I pomyślał, że mama i tata

okażą mu zrozumienie. Powiedział, że wierzy w wielką zmianę, jaka nadejdzie na Ziemi, oraz że ma projekt urządzenia do odbioru informacji, które może przyspieszyć tę zmianę. Powiedział też, że wierzy, iż zmiana będzie dobra dla ludzi i że już wielu ludzi na Ziemi ma genetyczną modyfikację, pozwalającą im rozumieć Sygnał. Wtedy mama zaczęła płakać, a tata objął ją ramieniem. Inżynier przyznał, że on też ma taką modyfikację, a tata wyjął z kredensu whisky i potem wszyscy dorośli unieśli szklaneczki i wypili. I wtedy zasnąłem.

Obudziłem się rano we własnym łóżku. Słońce świeciło jasno. Musiało być późno. Mama zawsze budziła mnie przed świtem, abym po zjedzeniu śniadania i nakarmieniu kurczaków pouczył się jeszcze w kuchni.

Ubrałem się i pobiegłem do jadalni. Mama nucila, a tata był raczej spokojny i milczący. Pan Peabody i ta kobieta, Su-Chen, kończyli właśnie śniadanie. Na stole rozłożone były szare, srebrzyste arkusze. Peabody dotknął jednego z nich i pojawił się obraz. To był pierwszy komputer, jaki widziałem.

- Ale teraz mamy ich wiele, prawda? - spytał Dave, jeden z bliźniaków.

- Tak. Służą wam do nauki.

- To one były zapłatą, jakiej chcieli twoi rodzice, dziadku?

- Dokładnie tak, młody człowieku.

- A ty nigdy nie próbowałeś ich sprzedać lub pokazać innym, bo ludzie się boją.

- Skoro inni rodzice nie pozwalali dzieciom bawić się z nami, nietrudno było dochować tajemnicy.

- A pan Peabody zostawił coś w lesie.

- Wtedy to nie był jeszcze las, lecz zwykłe pole. Najpierw wylaliśmy fundamenty, postument, a potem pan Peabody... zbudował urządzenie.

- A kiedy babcia Kimberly urosła, wyjechała, żeby pomóc budować takie urządzenia.

- Tak - przyznał dziadek Xavier ze smutkiem. - w Teksasie znajdowało się centrum szkoleniowe. To bardzo daleko i po wyjeździe dostaliśmy od Kimberly tylko jeden list, w którym napisała, że skończyła kurs. Powinniście ją kochać. Zawsze wierzyłem, że Kim do nas wróci. - Wstał i zaniósł śpiącą Tropicielkę do łóżka. Potem wrócił, by dokończyć opowiadanie rodzinnej historii bliźniakom.

Śpieszyli się, by jak najszybciej skończyć stawianie fundamentów, ponieważ robiło się coraz zimniej. Miały dziesięć stóp na dziesięć. Tata przyniósł ręczną pompę i pociągnęli rurę prawie przez ćwierć mili do pobliskiego potoku. Potem pan Peabody otworzył swoją przyczepę i zabrał się do pracy. Pozwalał wszystkim z rodziny patrzeć i próbował nam wyjaśniać, co robi, ponieważ, jak twierdził, to nie czary lub magia, lecz inżynieria wymyślona

przez ludzi i ludzie powinni wiedzieć, jak jej używać. Mówił też, że nanotechnologia jest dziedzictwem ludzkości i trzeba o nią dbać. Była to pora roku, kiedy zachody słońca są takie, jakie najbardziej lubię - przypominają jasne linie rózu na błękicie. Następnego dnia może spaść śnieg, a w powietrzu unosi się zapach lasu.

Pan Peabody powiedział mi, że zbuduje coś w rodzaju radia. Mówił, że wierzy, iż nadejdzie dzień, gdy radio zadziała i wtedy będziemy mogli nauczyć się zupełnie nowych, ważnych rzeczy, i że to będzie najlepszy czas pod słońcem. Nigdy nie powtórzyłem ojcu, co mówił Inżynier, gdy pomagałem mu przy tworzeniu urządzenia. Pan Peabody i ja zawsze wkładaliśmy rękawice i używaliśmy czystych, lśniących narzędzi, które przechowywane były w przyczepie w skrzynkach wyłożonych filcem. Inżynier nie był głupcem i zdaje sobie sprawę, co chciał osiągnąć. Chciał mieć pewność, że młodzi, którzy wiedzą o urządzeniu, będą je chronić i zatroszczą się o to, by nie zostało zniszczone. Dlatego pozwalał nam pomagać przy budowie, chciał, żebyśmy czuli dumę i potem mogli się zatroszczyć o to dziwne radio-nieradio.

Strzegłem urządzenia, ale mam wrażenie, że Peabody się mylił. Od dawna nic się nie zdarzyło. Nie pojawiły się tunele światła, przez które moglibyśmy czerpać energię z gwiazd, nowe geny nie przyniosły nam innej świadomości, ani też nie potrafimy się porozumieć ze wszystkim, co żyje, i nic nie wygląda inaczej, nie czujemy też nic nowego. To nie szkodzi. Jestem zadowolony z tego, jak żyję teraz. A wy, dzieci?

- Ale jak Inżynier budował urządzenie?

Och, oczywiście. Mówiąc szczerze, przypominało to robienie ciasta. Inżynier najpierw złożył wysoką skrzynię z cienkich płytek, które połączył śrubami. Potem wyłożył ją plastikową wykładziną. Był to prostopadłościan mniej więcej mojego wzrostu. Peabody podnosił mnie i mogłem tam wlewać substancje, które miały się wymieszać. Do tej skrzyni wsypywałem zielony, czerwony i fioletowy proszek. Inżynier wyjaśnił, że te substancje aktywują się dopiero po zmieszaniu, dlatego trzeba je przechowywać osobno. Cały proces, jak mi powiedział, wymyślił on sam - ulepszył to, co stosowano wcześniej. Kiedy o tym wspomniał, uśmiechał się. Przyznał się również, że ma sto czterdzieści lat i były to ciężkie i długie lata. Potem postawił mnie na stolku i dał mi końcówkę węża, żebym mógł wlewać wodę. Kiedy skrzynia wypełniła się do połowy, Inżynier wsypał coś jeszcze, gruboziarnistą substancję. A potem stanął na stolku i wymieszał dokładnie wszystko za pomocą długiej łyżki. Wyglądało to trochę zabawnie, bo łyżka była naprawdę długa, miała chyba z dziesięć stóp. Peabody obawiał się, że mieszanina może zamarznąć, ale okazało się, że zaczyna parować i Inżynier uśmiechnął się z ulgą. Powiedział, że od tego momentu mieszanka będzie sama utrzymywać odpowiednią ciepłość.

- I dlatego wokół urządzenia rośliny są zielone nawet zimą - zauważył Dave.

- A co się stało potem? - zapytał Dale.

I wtedy stało się najdziwniejsze. Inżynier zostawił mieszankę na tydzień, by proces budowy się ustabilizował. Sprawdzał tylko przebieg, ale wewnątrz skrzyni zmiany zachodziły już samoistnie. Potem przyniósł jakieś mierniki i sprawdził wszystko, aż wreszcie oznajmił, że może już zabrać opakowanie. Ostrożnie rozkręcił śruby i zdjął cienkie płytki, które schował na tył przyczepy. Dzień był pochmurny i dlatego widziałem, że pod plastikiem masa lśni od wewnątrz pasmami światła. Przypominała kostkę galarety. Taka delikatna. Ale, niech mnie zaraza - powierzchni nie można niczym zarysować.

- Wiem - przyznał Dale. - Nie można jej rozbić. Kiedyś wziąłem kamień i spróbowałem.

I tak to właśnie było. Z lasu wyszła kobieta, spacerowała tam codziennie. A Inżynier zaprosił całą rodzinę, więc zebraliśmy się przy urządzeniu. Powiedział, że to nie potrwa długo, z samochodu, który został w całości pokryty bateriami słonecznymi, rozwinął drut i przypiął go do owalu pokrytego klawiszami. Nie było na nich żadnych symboli. Nie potrafiliśmy zgadnąć, czy to komputer, czy instrument muzyczny, ale Inżynier wyjaśnił, że i jedno, i drugie. Towarzysząca mu kobieta zaskoczyła nas wszystkich, mówiąc, że muzyka i matematyka są tym samym i kiedy słuchamy muzyki, słyszymy matematykę. Matematyka może być sposobem rozumienia muzyki. Powiedziała też, że światło jest wszędzie i wszystko jest ze światła, również muzyka. I że zagra nam muzykę światła. Tymczasem Peabody przyłączył stojącą na cienkich nóżkach klawiaturę do wierzchołków sześcianu i zdjął plastik z urządzenia i sprawdził, czy dobrze osiadło na postumencie. Można teraz zaglądać do wnętrza maszyny, a to, co się ujrzy, zdaje się nie mieć granic. Inżynier skinął głową i kobieta położyła palce na klawiszach.

Kiedy grała, dźwięki zdawały się wpływać do sześcianu i wewnątrz pojawiło się lśnienie i migotanie zmiennych barw. Kobieta miała oczy zamknięte, jakby słuchała i grała jednocześnie. Dziwna to była muzyka. Żaden prawdziwy instrument nie ma takiego brzmienia. Czuliśmy się trochę jak w kościele. Słońce zachodziło i zdawało się, że za plecami kobiety płonie ogień i jakby ona sama płonęła. Miałem wrażenie, że wokół pojawiły się jasne światła. Włosy kobiety lśniły, twarz jaśniała.

Czułem się tak, jakby światło i świat przemówiły do mnie.

Su-Chen grała przez około dwadzieścia minut, a potem przestała i wydawało się, że melodia się urwała w połowie utworu. Kobieta popatrzyła na starszego mężczyznę. Peabody odłączył klawiaturę i starannie spakował cały sprzęt do pudełek i futerałów. Zawsze był

bardzo staranny.

I to wszystko. Inżynier podziękował naszej rodzinie, zostawił nam komputery i programy szkolne. Nigdy więcej już go nie spotkałem.

*

Przydarzyło się to Tropicielce, gdy miała piętnaście lat. Od tygodni bolała ją głowa i była tym bardzo zdenerwowana, choć wiedziała, że jej matka też przez to przechodziła. Ale wtedy zaczęła słyszeć muzykę. Wczesnie rano. Muzyka ją obudziła.

Tropicielka ubrała się i wyszła z domu. Gwiazdy jeszcze świeciły i padał śnieg. Dziewczynę otoczyła muzyka. Rozpłakała się z radości czy innych uczuć - cokolwiek to było, nie mogła przestać płakać.

Kiedy miała dwadzieścia lat, wyszła za mąż za Tima Engle'a, który mieszkał przy końcu drogi. Zbudowali dom u stóp Old Pike i po roku doczekali się dziecka.

Pewnego razu Tropicielka, nie wiedząc dlaczego, obudziła się w środku nocy. Usiadła na łóżku. Jej mąż spał obok. Włożyła sukienkę i sprawdziła, co się dzieje z dzieckiem. Spało spokojnie i głęboko. Ginger, ich pies, pobiegł za panią po schodach i obserwował, jak wkłada buty, płaszcz, czapkę, szalik i rękawiczki.

Tropicielka ruszyła przez las ścieżką prowadzącą do urzędnika. Pod koniec zaczęła biec, bo wydawało się jej, że niebo rozblęsnęło jasnym światłem. Strasznie bolała ją głowa.

Gdy dotarła na miejsce, przekonała się, że wszystko zarosło - postument otaczały splątane zarośla i pędy, a tuż przy krawędzi wyrosło nawet drzewo. Kobieta podeszła, ale zaraz się cofnęła.

Otoczający urządzenie murek, wielokrotnie wzmacniany i naprawiany, teraz był całkowicie zniszczony, a fragmenty walały się wokół postumentu. Na zniszczonych fundamentach stał duży sześcian, a z górnej ścianki na oczach Tropicielki wyrastały niewielkie narośle. Wkrótce okazało się, że to talerz małej anteny. Dziewczyna widziała takie anteny w dzieciństwie, na lekcjach prowadzonych przy komputerach, które nadal były w posiadaniu jej rodziny.

Ból głowy minął nagle, a muzyka w umyśle stała się potężniejsza i coraz bardziej intensywna. Tropicielka poczuła mrowienie w żołądku, a światło płynące z urządzenia zmieniło się w tęczę barw, jakich nigdy wcześniej nie widziała. Rozwarte usta przysłoniła dłonią.

Z urządzenia popłynął głos i zaczął opowiadać, co się stało. Że ta transmisja pochodzi od grupy, która dawno temu opuściła Ziemię. I że zaczęły się zmiany, które mogą dać ludziom nowe zmysły. Będzie to nowy sposób pojmowania i rozumowania, nowy stopień

ewolucji, nowa perspektywa i nowe istnienie. I to wszystko właśnie się zaczęło.

Ale Tropicielka nie potrzebowała głosu, który o tym mówił.

Tropicielka wiedziała.

Z TEJ STRONY

Matthew

Nigdy nie poślubiłem Danyi. Miała rację. Gdy miałem dwadzieścia dwa lata, poślubiłem Sarah. A kiedy miałem prawie trzydzieści lat i troje dzieci, Danya odeszła. Widziałem ją po raz ostatni, kiedy szła drogą za miasto.

Wybiegłem na pole, wołałem za nią i machałem rękami. Odwróciła się, przysłoniła oczy dłonią, a gdy mnie zauważyła, pomachała mi na pożegnanie, w dole kanionu dostrzegłem - przysięgam, że widziałem - ludzi na koniach. Wyglądali jak Indianie. Prawdziwi. I kojota. Dużego, starego kojota. Pamiętam, bo pomyślałem, że trzeba będzie zamknąć kurczaki, żeby się do nich nie dostał.

Ci ludzie mieli dla Danyi rower. Przysięgam. Danya wsiadła, pomachała mi i wszyscy ruszyli, niknąc w cieniu kanionu. Odwiedzałem potem to miejsce w wolnych chwilach, gdy nie przeszkadzały mi dzieci ani praca. Jednak nigdy już nie spotkałem Danyi.

Ale kiedy niebiosa się otworzyły i muzyka rozbrzmiała w naszych umysłach, wiedzieliśmy, że to zasługa Danyi. Myślę, że kiedy się to dokonało, Danya na pewno musiała poszukać drogi, by dotrzeć do Radiokowboja, który miał tak samo długotrwałe zadanie, jak i ona. Dlatego ponowny kontakt był możliwy. A nawet coś więcej niż tylko kontakt.

Tak naprawdę to nie była muzyka. Och, oczywiście, można ją było usłyszeć, ale przede wszystkim tworzyła nowy wzór w moim umyśle i w umysłach wszystkich, którzy przyjmowali komunię Danyi, oraz w umysłach ich dzieci.

Czekałem na przebudzenie, tak jak ludzkie zmysły czekają na chwilę narodzin, by poznać fenomen świata, wszelkie jego wibracje i aspekty. A potem poznać pismo - cyfry i liczby, litery i słowa - jeszcze jeden zmysł, który należy obudzić, by zrozumieć otoczenie, by mieć z nim łączność.

Istnieją też inne zmysły. Połączenia, o których wcześniej nie wiedziałem nic. Ale część mnie czekała na to, co się miało zdarzyć. To jak przywrócić wzrok niewidomemu. Świat

widzialny zawsze był wokół niego, choć nie potrafił go dostrzec.

Jesteśmy elementami mozaiki, wzoru, improwizacji, która rozszerza czas. To tak, jakbym przez całe życie wędrował wąską górską ścieżką między sosnami, dostrzegając w krótkich przeblyskach między pniami zaledwie fragmenty krajobrazu, a potem nagle stanął przed rajsłą doliną i ujrzał wschód słońca.

To właśnie coś takiego.

Coś, co wszystko zmienia.

Przyszliśmy na świat przez wąski, ciemny kanał rodny i wydostaliśmy się w migotliwą, czystą jasność. Jesteśmy w stanie widzieć więcej, zrobić więcej, mamy większą wiedzę, mądrość i przeżywamy ogromną radość, głęboko i intensywnie, potrafimy również rozumować szybciej i dokładniej. I dzięki temu możemy tkać więcej strun, więcej informacji, niż kiedykolwiek wcześniej. Jesteśmy częścią muzyki, którą tworzy światło. Na zawsze.

Wytworzyliśmy sobie dodatkowy, przeciwny kciuk. Mamy języki, które daleko w tyle pozostawiają tę mowę, ale tylko w tym języku mogę się porozumieć z wami, którzy jeszcze nie przeszliście przemiany. Poznaliście całą tę długą opowieść od samego początku. I wiecie, co ta opowieść obiecuje.

Zachęcam, abyście dokonali przemiany.

Wyobraźcie sobie. Słuchajcie. Smakujcie i obserwujcie. Doświadczcie muzyki, jaką tworzy światło, a zapragniecie więcej. Poznajcie ścieżki, które was tutaj doprowadzą. Stwórzcie je sami.

Boże! Tutaj jest tak cudownie, że nie potrafię tego wyrazić.